



Karl Ove

KNAUSGÅRD

Moja walka

POWIEŚĆ

5.



Karl Ove
KNAUSGÅRD
Moja walka
KSIĘGA PIĄTA
Z norweskiego przetoczyła Iwona Zimnicka

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

CZEŚĆ 6

CZEŚĆ 7

Przypisy

Tytuł oryginału: MIN KAMP. FEMTE BOK. ROMAN

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK

Redakcja i adiestacja: HENRYKA SALAWA, ANNA MILEWSKA

Korekta: JACEK BŁACH, EWELINA KOROSTYŃSKA, Pracownia 12A

Projekt okładki i stron tytułowych: MAREK PAWŁOWSKI

Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

This translation has been published with the financial support of NORLA.

Tłumaczenie dofinansowane w ramach programu dotowania tłumaczeń literatury norweskiej NORLA (Norwegian Literature Abroad).

Copyright © Forlaget Oktober AS, Oslo, 2010

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2016

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05916-6

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

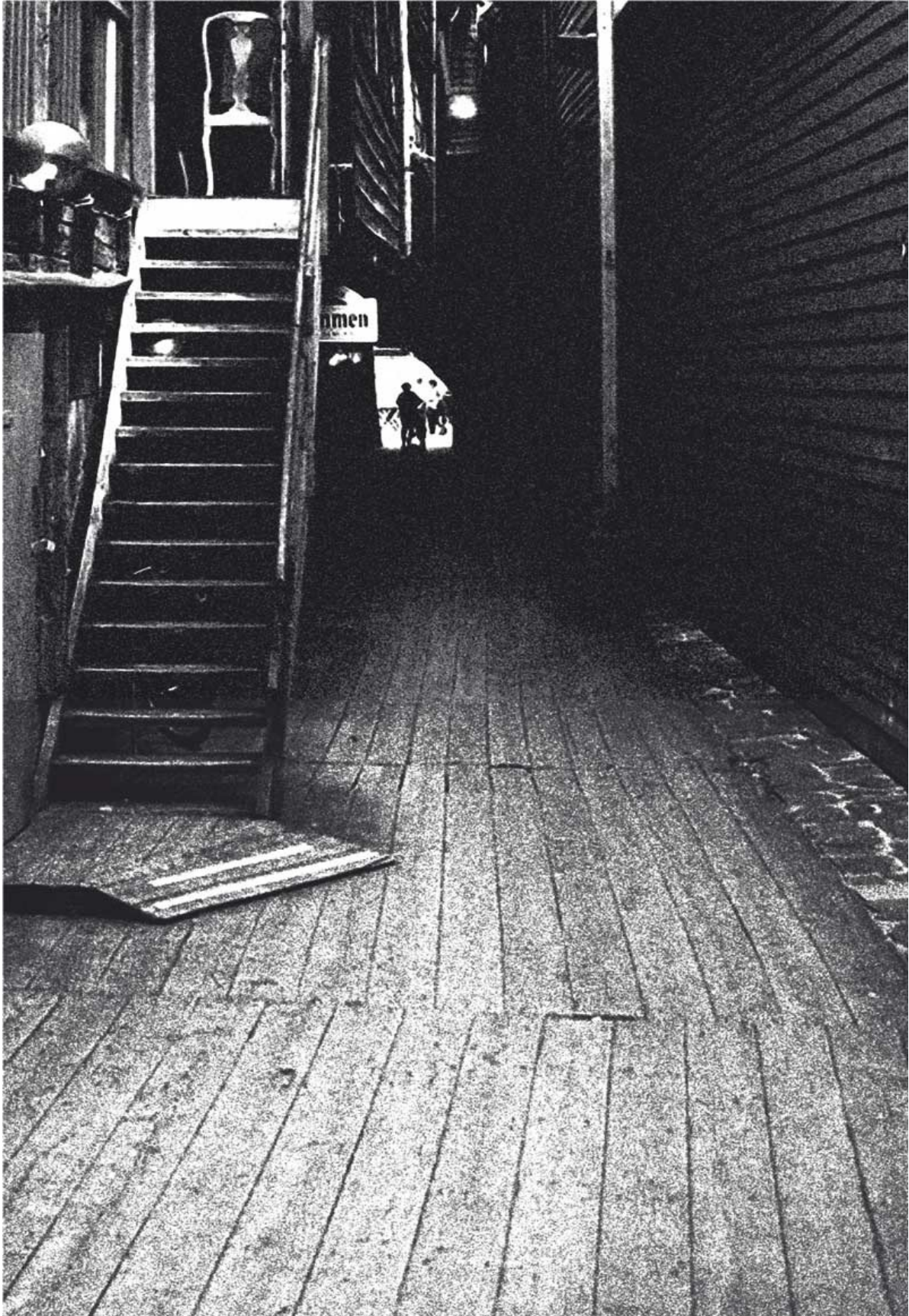
fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



Część 6

Tamtych czternaście lat, które przemieszkalem w Bergen od roku 1988 do 2002, już dawno minęło, nie pozostał po nich żaden ślad, z wyjątkiem epizodów zapamiętanych być może przez różnych ludzi, jakiś przebłysk w jednej głowie tu, przebłysk w drugiej głowie tam, no i oczywiście wszystko to, co z owego czasu zachowało się w mojej pamięci. Jest tego jednak zaskakująco mało. Z tysięcy dni, które spędziłem w tym niewielkim mieście na zachodzie Norwegii, wśród jego wąskich uliczek, lśniących od deszczu, pozostało jedynie kilka zdarzeń, za to mnóstwo nastrojów. Pisałem dziennik, ale go spaliłem. Robiłem jakieś zdjęcia, z których zachowało się tylko dwanaście, leżą w niewielkim stosiku na podłodze przy biurku, razem ze wszystkimi listami z tamtego czasu. Przejrzałem je, poczytałem trochę tu, trochę tam, jak zawsze mnie przygnębiły, to był taki straszny czas. Mało wiedziałem, bardzo dużo chciałem i nic mi z tego nie wychodziło. Ale w jakim nastroju jechałem do Bergen! Tamtego lata wybrałem się wraz z Larsem autostopem do Florencji, spędziliśmy tam kilka dni, potem dotarliśmy koleją do Brindisi; było tak gorąco, że kiedy człowiek wystawiał głowę przez otwarte okno pociągu, miał wrażenie, że gdzieś się pali. Noc w Brindisi, ciemne niebo, białe domy, upał niemal jak ze snu, tłumy w parkach, wszędzie młodzież na skuterach, krzyki i hałas. Wraz z mnóstwem innych, niemal bez wyjątku młodych ludzi, z plecakami, tak jak my, ustawiliśmy się w kolejce do trapu prowadzącego na wielki prom, który płynął do Pireusu. Czterdzieści dziewięć stopni na Rodos. Dzień w Atenach, najbardziej chaotycznym miejscu, w jakim w życiu byłem, obłędny skwar, potem prom na Paros i Antiparos, gdzie każdego dnia leżeliśmy na plaży i każdego wieczoru upijaliśmy się mocnym alkoholem. Pewnej nocy spotkaliśmy tam jakieś dziewczyny z Norwegii, a kiedy poszedłem do toalety, Lars powiedział im, że jest pisarzem i jesienią zaczyna naukę w Akademii Sztuki Pisania. Gdy wróciłem, toczyła się na ten temat ożywiona rozmowa. Lars tylko spojrzał na mnie z uśmiechem. Co on wyprawiał? Wiedziałem o tym, że kłamię w sprawach bez znaczenia, ale żeby tak na moich oczach? Przemilczałem to, postanowiłem jednak, że w przyszłości będę trzymał się od niego z daleka. Razem pojechaliśmy do Aten, kończyły mi się już pieniądze, Larsowi zostało jeszcze

mnóstwo, ale zdecydował, że następnego dnia wraca do domu samolotem. Siedzieliśmy w ulicznej restauracji, on jadł kurczaka, broda świeciła mu się od tłuszczu, ja piłem wodę. Poproszenie go o wsparcie było ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, przyjąłbym od niego pieniądze jedynie wtedy, gdyby mnie spytał, czy chciałbym trochę pożyczyć. Usiłowałem go do tego sprowokować, ale nie spytał, więc poszedłem spać głodny. Nazajutrz pojechał na lotnisko, a ja opuściłem miasto autobusem, wysiadłem w pobliżu autostrady i zacząłem łapać stopa. Już po kilku minutach pojawił się radiowóz, policjanci nie znali ani słowa po angielsku, ale zrozumiałem, że autostop jest tutaj zabroniony, więc wróciłem autobusem do centrum i za ostatnie pieniądze kupiłem bilet na pociąg do Wiednia, bułkę paryską, dużą colę i karton papierosów.

Wydawało mi się, że podróż potrwa kilka godzin, dlatego przeżyłem szok, kiedy zrozumiałem, że w grę wchodzi raczej dwie doby. W przedziale siedział chłopak w moim wieku, Szwed, były też dwie Angielki, parę lat starsze, jak się okazało. Dotarliśmy już w głąb Jugosławii, kiedy wreszcie uświadomili sobie, że nie mam ani pieniędzy, ani jedzenia, więc zaproponowali, że się ze mną podzielą. Krajobraz za oknem był piękny aż do bólu. Doliny i rzeki, pojedyncze gospodarstwa i wioski, ludzie ubrani w stylu kojarzącym mi się z dziewiętnastym wiekiem i najwyraźniej obrabiający ziemię tak samo, jak w tamtych czasach, używali koni i wozów na siano, kos i pługów. Część składu pociągu była radziecka, wieczorem przeszedłem się po tych wagonach, oczarowany obcymi literami, obcymi zapachami, obcym wnętrzem, obcymi twarzami. Po dotarciu do Wiednia jedna z dziewczyn, Maria, chciała, żebyśmy wymienili się adresami, była atrakcyjna i w normalnej sytuacji pomyślałbym, że może kiedyś odwiedzę ją w Norfolk, może się z nią związę i tam zamieszkać, ale tamtego dnia, kiedy wędrowałem ulicami na obrzeżach Wiednia, nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia, wciąż przepęłniały mnie myśli o Ingvild, którą spotkałem tylko raz, w Wielkanoc tamtej wiosny, lecz później z nią korespondowałem. W porównaniu z nią wszystko inne blakło. Udało mi się złapać stopa, sztywna trzydziestoletnia blondynka podrzuciła mnie do stacji benzynowej przy autostradzie, tam spytałem kierowców ciężarówek, czy u któregoś nie znalazłoby się dla mnie miejsce. Jeden kiwnął głową, chciał tylko najpierw coś zjeść. Mógł dobiegać pięćdziesiątki, był ciemnowłosy, smagły i chudy, miał błyszczące, wręcz gorejące oczy.

Stałem w ciepłym zmierzchu, paląc papierosa, wpatrzony w światła przy

drodze, coraz wyraźniejsze, w miarę jak zapadał wieczór, i otoczony szumem samochodów, który od czasu do czasu przerywały krótkie, ale ostre trzaśnięcia drzwiczek czy rozlegające się nagle głosy ludzi idących przez parking w kierunku wielkiej stacji benzynowej lub stamtąd wracających. Wewnątrz ludzie siedzieli na ogół pojedynczo i jedli w milczeniu, widać było jedynie kilka rodzin z dziećmi, tłoczących się przy stolikach. Wypełniła mnie cicha radość, właśnie to kochałem najbardziej ze wszystkiego, to, co zwyczajne i dobrze znajome, autostradę, stację benzynową, kafeterię – ta jednak wcale nie była aż tak znajoma, bo w wielu szczegółach różniła się od tej, do której przywykłem. Kierowca wyszedł, skinął na mnie głową, więc ruszyłem za nim, wdrapałem się do ogromnego pojazdu, rzuciłem plecak na tył i rozsiadłem się wygodnie. Szofer zapuścił silnik, wszystko zawarczało i się zatrzęsło, zapaliły się światła i zaczęliśmy się toczyć, najpierw powoli, potem coraz szybciej, ale cały czas ciężko, dopóki nie znaleźliśmy się bezpiecznie na prawym pasie autostrady, dopiero wtedy pierwszy raz na mnie spojrzał. *Sweden?* – spytał. *Norwegen*, odpowiedziałem. *Aha, Norwegen!*

Jechałem z nim całą noc i jeszcze trochę. Przerzuciliśmy się kilkoma nazwiskami piłkarzy – w ożywienie wprowadził go zwłaszcza Rune Bratseth – lecz ponieważ nie znał ani słowa po angielsku, na tym się skończyło.

Dotarłem do Niemiec okropnie głodny, ale bez grosza przy duszy, pozostało mi jedynie palić i licząc na łut szczęścia, iść na autostop. Zatrzymał się młody facet w czerwonym volkswagenie golfie, miał na imię Björn i jechał daleko, łatwo się z nim rozmawiało, a wieczorem, kiedy dotarliśmy do celu, zaprosił mnie do siebie do domu i poczęstował płatkami z mlekiem, zjadłem trzy porcje, pokazał mi kilka zdjęć z wakacji w Norwegii i w Szwecji, które w dzieciństwie spędził tam z bratem; powiedział, że jego ojciec ma bzika na punkcie Skandynawii, stąd to imię, Björn. Kręcąc głową, dodał, że bratu na imię Tor. Odwiózł mnie na autostradę, podarowałem mu swoją potrójną kasetę Clashów, uścisnął mi rękę, życzyliśmy sobie nawzajem powodzenia i znów ustawiłem się przy jednym z wjazdów. Po trzech godzinach zatrzymał się zarosnięty brodacze w okularach w czerwonym 2CV, jechał do Danii i mogłem się z nim zabrać aż tam. Zajął się mną, zainteresował się, kiedy powiedziałem, że piszę, więc pomyślałem sobie, że może to jakiś profesor, w kafeterii zafundował mi jedzenie, przespałem się kilka godzin, znów mi kupił jedzenie, a kiedy się z nim rozstałem, byłem w środku Danii, w odległości zaledwie kilku go-

dzin jazdy od Hirtshals, a więc prawie w domu. Ostatni odcinek poszedł jednak gorzej, udawało mi się przejechać nie więcej niż kilkadziesiąt kilometrów na raz, o jedenastej wieczorem dotarłem zaledwie do Løkken i postanowiłem przenocować na plaży. Ruszyłem wąską drogą przez niski las, tu i ówdzie asfalt był przysypany piaskiem; wkrótce przed moimi oczami wyrosły wydmy, wspiąłem się na nie i w świetle skandynawskiej letniej nocy zobaczyłem przed sobą szare, gładkie morze. Z położonego kilkaset metrów dalej kempingu, czy też kolonii domków kempingowych, dobiegały głosy i warkot silników samochodowych.

Dobrze być nad morzem. Czuć słaby zapach soli i tę ostrość w powietrzu. To było moje morze, dotarłem prawie do domu.

Znalazłem zagłębienie w ziemi, rozwinąłem śpiwór, wpełzłem do niego, zaciągnąłem suwak i zamknąłem oczy. Czułem się nieprzyjemnie, w każdej chwili ktoś mógł mnie tu nakryć, ale byłem tak zmęczony po tych ostatnich dniach, że zgasłem jak zdmuchnięta świeczka.

Zbudził mnie deszcz. Przemarznięty i zeszywniały, wylażłem ze śpiwora, wciągnąłem spodnie i ruszyłem w głąb lądu. Dochodziła szósta. Niebo szare, mżawka padała bezszelestnie, ledwie wyczuwalna, było mi zimno, więc usiłowałem się rozgrzać szybkim marszem. Nie dawał mi spokoju nastrój snu, który mi się przyśnił. Pojawił się w nim brat taty, Gunnar, a raczej jego gniew, chodziło o to, że tyle piłem i tak źle się zachowywałem, zrozumiałem to dopiero teraz, kiedy szybkim krokiem szedłem przez ten sam las co poprzedniego wieczoru. Drzewa stały nieruchomo, szarawe pod gęstą pokrywą chmur, bliższe śmierci niż życia. Między nimi nawiało piasku, ułożył się w swoje zmienne i nieprzewidywalne, a jednak zawsze takie same wzory, w niektórych miejscach delikatne ziarenka utworzyły na szorstkim asfalcie jakby zarys rzeki.

Wyszedłem na większą drogę, pokonałem nią kilka kilometrów, na jakimś skrzyżowaniu zdjęłem plecak, postawiłem go na ziemi i zacząłem machać na samochody. Do Hirtshals było już niedaleko. Nie wiedziałem jednak, co się wydarzy, nie miałem przecież w ogóle pieniędzy, więc dostanie się na prom do Kristiansand mogło się okazać trudne. A może wzięliby mnie, a potem mi przysłali rachunek za podróż? Gdybym tylko natknął się na jakąś dobrą duszę, która by się nade mną zlitowała!

O, nie. Deszcz padał coraz większymi kroplami.

Na szczęście przynajmniej nie było zimno.

Zapaliłem papierosa, przegarnąłem dłonią włosy. Na deszczu wtarty w nie żel zaczął się lepić. Wytarłem dłoń o nogawkę spodni, nachyliłem się i wyjąłem z plecaka walkmana. Przejrzałem kilka kaset, które miałem ze sobą, wybrałem *Skylarking* XTC i włożyłem do odtwarzacza.

W tym śnie była też chyba amputowana noga? Tak. Upiłowana tuż pod kolanem.

Uśmiechnąłem się, a kiedy ze słuchawek popłynęła muzyka, wrócił do mnie nastrój z czasów wydania tej płyty. To musiała być druga klasa liceum. Ale moją głowę wypełnił przede wszystkim dom w Tveit, to, jak siedziałem w wiklinowym fotelu, piłem herbatę, paliłem i słuchałem *Skylarking*, zakochany w Hanne. Yngve, który był tam z Kristin. Wszystkie rozmowy z mamą.

Szosa nadjechał samochód.

*When Miss Moon lays down
And Sir Sun stands up
Me I'm found floating round and round
Like a bug in brandy
In this big bronze cup*

To był pick-up, na karoserii widniała nazwa firmy, wypisana czerwonymi literami. Pewnie jakiś rzemieślnik w drodze do pracy, nawet na mnie nie spojrział, kiedy przemknął obok ze świstem, a z pierwszego utworu wyrósł następny, uwielbiałem to przejście, bo wtedy i we mnie coś rosnęło, kilka razy machnąłem ręką w powietrzu i okręciłem się, stawiając powolne kroki.

Pojawił się kolejny samochód. Wystawiłem kciuk. I tym razem kierowcą był zaspany mężczyzna, który nie poświęcił mi ani jednego spojrzenia. Najwyraźniej znalazłem się przy drodze, na której panował spory ruch lokalny, ale czy to stanowiło przeszkodę, żeby ktoś się mógł zatrzymać? Wywieźć mnie do jakiejś większej szosy?

Dopiero po paru godzinach ktoś się zlitował. Dwudziestopięcioletni Niemiec w okrągłych okularach, z powagą wypisaną na twarzy, zjechał małym oplem na bok, podbiegłem do niego, rzuciłem plecak na tylne siedzenie, już wypełnione bagażami, i usiadłem obok kierowcy. Powiedział, że wraca z Nor-

wegii i jedzie na południe, podrzuci mnie tylko do autostrady, niedaleko, ale może coś mi to da. Powiedziałem: *yes, yes, very good*. Okna mocno parowały, więc bez zatrzymywania samochodu nachylił się i przetaił szmatką przednią szybę. *Maybe that's my fault*, powiedziałem. *What?* – spytał. *The mist on the window*, odparłem. *Of course it's you*, syknął. Okej, pomyślałem, jeśli chce, żeby tak było, to niech tak będzie, i odchyliłem się na siedzeniu.

Wypuścił mnie dwadzieścia minut później koło dużej stacji benzynowej, chodziłem po niej raz w jedną, raz w drugą stronę, wypytując każdego, kogo zobaczyłem, czy nie jedzie do Hirtshals i czy nie mógłby mnie zabrać. Byłem przemoknięty i głodny, po wielu dniach spędzonych w drodze wyglądałem niechlujnie, więc długo wszyscy kręcili głowami, aż w końcu jakiś facet w samochodzie dostawczym, wypełnionym, jak zrozumiałem, chlebem i innymi wyrobami piekarniczymi, uśmiechnął się i powiedział: bardzo proszę, wskakuj, jadę do Hirtshals. Przez całą drogę myślałem o tym, czy nie poprosić go o chleb, zabrakło mi jednak odwagi. Zdołałem tylko wykrztusić z siebie, że jestem głodny, ale się na to nie złapał.

Kiedy się z nim zegnałem w Hirtshals, prom akurat odpływał. Pobiegłem z ciężkim plecakiem do kasy biletowej, zdyszany wyjaśniłem sytuację kasjerce, powiedziałem, że nie mam pieniędzy, i spytałem, czy mogę mimo wszystko dostać bilet i prosić o przesłanie rachunku. Mam paszport, mogę się wylegitymować, na pewno zapłacę. Uśmiechnęła się życzliwie, ale pokręciła głową. To niemożliwe, muszę zapłacić gotówką. Ale ja m u s z ę się przedostać na drugą stronę, powiedziałem. Przecież tam m i e s z k a m! A nie mam pieniędzy! Znow pokręciła głową. Niestety, powtórzyła i odwróciła się ode mnie.

Przysiadłem w porcie na krawężniku, z plecakiem między nogami, i patrzyłem, jak wielki prom odbija od brzegu, sunie po morzu i znika.

Co miałem robić?

Jedynym wyjściem było wyruszyć autostopem z powrotem na południe, do Szwecji, i jechać tamtędy. Ale czy na tamtej trasie też nie należało pokonać jakiejś wody?

Usiłowałem przypomnieć sobie mapę, żeby stwierdzić, czy istnieje jakieś połączenie lądowe między Danią i Szwecją, ale doszedłem do wniosku, że chyba nic takiego nie ma, trzeba by pewnie jechać aż do Polski, dalej przez Związek Radziecki do Finlandii i dopiero stamtąd dostać się do Norwegii. A więc jeszcze ze dwa tygodnie autostopem. No, a w krajach bloku wschod-

niego wymagana jest chyba wiza czy coś takiego? Oczywiście mogłem też pojechać do Kopenhagi, od której dzieliło mnie zaledwie kilka godzin, licząc, że tam zdobędę pieniądze na prom do Szwecji. Nawet gdybym musiał zebrać.

Inną możliwością było poproszenie mamy o przekazanie pieniędzy do jakiegoś tutejszego banku. To nie stanowiłoby większego problemu, ale mogło potrwać kilka dni. A mnie nie stać było nawet na telefon.

Otworzyłem następną paczkę cameli i wypaliłem trzy papierosy, jednego po drugim, obserwując samochody, które cały czas podjeżdżały i ustawiały się w nowej kolejce. Wiele norweskich rodzin, które były w Legolandzie albo na plaży w Løkken. Sporo Niemców wybierających się na północ. Dużo przyczep kempingowych, dużo motocykli, a zupełnie z boku olbrzymie tiry.

Czując suchość w ustach, znów wyciągnąłem walkmana. Tym razem włączyłem kasetę z Roxy Music. Ale już po drugim utworze muzyka zabrzmiała fałszywie, a wskaźnik baterii zaczął mrugać. Spakowałem więc odtwarzacz z powrotem, wstałem, zarzuciłem plecak na ramiona i ruszyłem w głąb Hirtshals jego nielicznymi, smutnymi ulicami. Chwilami głód ścisnął mi żołądek. Myślałem o tym, żeby wejść do jakiejś piekarni i spytać, czy nie mieliby na zbyciu bochenka chleba, ale z pewnością spotkałbym się z odmową. Nie mogłem znieść myśli o tak upokarzającej sytuacji, więc postanowiłem zaoszczędzić tę możliwość na chwilę, kiedy naprawdę mnie przycisnie. Zawróciłem do portu i zatrzymałem się przy lokalu stanowiącym skrzyżowanie kawiarni z ulicznym barkiem, doszedłszy do wniosku, że mogę przynajmniej poprosić o szklanek wody.

Barman nalał mi wody z kranu, który miał za plecami. Usiadłem przy oknie. W lokalu było prawie pełno. Na zewnątrz znów zaczęło padać. Popijałem wodę i paliłem papierosa. Po jakimś czasie do środka weszło dwóch chłopaków w moim wieku, w pełnych strojach przeciwdeszczowych, rozsznurowali kaptury i rozejrzeli się po sali. Jeden z nich podszedł do mnie i spytał, czy miejsca przy moim stoliku są wolne. *Of course*, odparłem. Zaczęliśmy gadać, okazało się, że są z Holandii i wybierają się do Norwegii, całą trasę przebyli na rowerach. Śmiali się z niedowierzaniem, kiedy im powiedziałem, że przejechałem autostopem z Wiednia bez pieniędzy, a teraz usiłuję się dostać na prom. To dlatego pijesz wodę, skonstatował jeden, a kiedy potwierdziłem, spytał, czy nie napiłbym się kawy. *That would be nice*, odpowiedziałem, on wstał i kupił mi kawę.

Wyszedłem razem z nimi. Wyrazili nadzieję, że spotkamy się na pokładzie, i zniknęli ze swoimi rowerami, a ja powlokłem się tam, gdzie stały tiry, i zacząłem rozpytywać, czy któryś z kierowców by mnie nie zabrał, bo nie mam pieniędzy na prom. Oczywiście żaden się nie zgodził. Jeden po drugim uruchamiali silniki i wjeżdżali na pokład, więc w końcu wróciłem do tej kawiarni i dalej siedziałem, obserwując, jak kolejny prom odbija od brzegu i staje się coraz mniejszy, a po półgodzinie całkiem znika.

Ostatni prom odpływał wieczorem. Wiedziałem, że jeśli nie uda mi się na niego dostać, będę musiał łapać stopa na południe, do Kopenhagi. Taki był mój plan. Czekaając, wyciągnąłem z plecaka swój rękopis i zacząłem go czytać. W Grecji napisałem cały rozdział; przez dwa kolejne poranki przeprowałem się, brodząc w wodzie, na niewielką wysepkę, a stamtąd na kolejną, w tłumoczku na głowie niosłem buty, T-shirt, blok do pisania, długopis, kieszonkowe wydanie *Jacka*^[1] po szwedzku i papierosy. Usadowiony w skalnym zagłębieniu, w zupełnej samotności, pisałem. Ogarniało mnie uczucie, że dotarłem tam, dokąd chciałem dotrzeć. Siedziałem na greckiej wyspie, na środku Morza Śródziemnego, i pisałem swoją pierwszą powieść. Jednocześnie odczuwałem niepokój, bo tam w pewnym sensie nic nie było, tylko ja, ale ową pustkę odkryłem dopiero wtedy, kiedy stała się wszystkim. Tak to odbierałem, pustka we mnie obejmowała naprawdę wszystko, i nawet kiedy siedziałem zatopiony w lekturze *Jacka* albo nachylony nad notatnikiem, pisałem o Gabrielu, moim głównym bohaterze, czułem przede wszystkim pustkę.

Od czasu do czasu wskakiwałem do wody, ciemnoniebieskiej, cudownej, ale już po paru ruchach rękami przypominało mi się, że mogą w niej być rekiny. Wiedziałem, że w Morzu Śródziemnym nie ma rekinów, ale i tak o nich myślałem, więc czym prędzej wychodziłem na ląd, ociekający wodą i wściekły na siebie, powtarzając w duchu, że to przecież idiotyzm, jak można bać się rekinów t u t a j, o co chodzi, czy ja mam siedem lat? Ale byłem samiutki pod słońcem, samiutki w obliczu morza i zupełnie pusty. Miałem wrażenie, jakbym był ostatnim człowiekiem na Ziemi. Z tego powodu zarówno pisanie, jak i czytanie traciło sens.

Ale kiedy przeczytałem rozdział o marynarskiej knajpie w portowej dzielnicy Hirtshals, tak jak ją sobie wyobrażałem, uznałem, że jest dobry. Fakt, że dostałem się do Akademii Sztuki Pisania, świadczył o tym, że mam talent, teraz chodziło jedynie o to, by go wydobyć. Planowałem napisanie powieści w nad-

chodzącym roku i wydanie jej następnej jesieni, trochę w zależności od tego, ile czasu zajmie przygotowanie i druk.

Miała nosić tytuł *Woda na górze / Woda na dole*.

Kilka godzin później, w zapadającym zmierzchu, znów wędrowałem wzdłuż rzędu tirów. Niektórzy kierowcy drzemali w fotelach i podrywali się wystraszeni, kiedy pukałem w okno, po czym albo otwierali drzwi, albo opuszczali szybę, żeby się dowiedzieć, czego od nich chcę. Nie, nie mogę się zabrać. Nie, to niemożliwe. Nie, oczywiście, że nie. A co, miałiby płacić za mój bilet?

Oświetlony prom przybił do brzegu. Dookoła uruchamiano silniki. Jeden rząd samochodów zaczął się wolno posuwać, pierwsze auta już znikwały w otwartej gardzieli kadłuba. Byłem zdesperowany, ale tłumaczyłem sobie, że to się musi dobrze skończyć. Chyba jeszcze nigdy nie słyszano o młodym Norwegu, który umarł z głodu na wakacjach albo nie zdołał dotrzeć do domu, tylko został w Danii?

Przy jednym z ostatnich tirów rozmawiało trzech mężczyzn. Podeszedłem do nich.

– Cześć – powiedziałem. – Czy któryś z was mógłby mnie zabrać na pokład? Widzicie, nie mam pieniędzy na bilet. A muszę wrócić do domu. Nic nie jadłem od dwóch dni.

– Skąd jesteś? – spytał jeden z wyraźnym arendalskim akcentem.

– Z Arendal – odparłem, też przechodząc na dialekt. – To znaczy z Tromøi.

– Naprawdę? Ja też jestem stamtąd.

– A skąd?

– Z Færvik. A ty?

– Z Tybakken. Weźmiesz mnie?

Kiwnął głową.

– Wskakuj, tylko się schowaj, kiedy będziemy wjeżdżać na pokład. To żaden problem.

I tak się stało. Podczas wjazdu na prom siedziałem skulony na podłodze, odwrócony plecami do szyby. Kierowca zaparkował, wyłączył silnik, a ja wyskoczyłem z plecakiem w rękę. Miałem mokre oczy, kiedy mu dziękowałem. Zawołał jeszcze za mną: hej, poczekaj chwilę! A kiedy się odwróciłem, wrę-

czył mi pięćdziesiąt koron duńskich, mówiąc, że jemu są niepotrzebne, ale może mnie się przydadzą.

Poszedłem do kafeterii i zjadłem wielką porcję klopsików. Prom ruszył. Powietrze wokół mnie wypełniły podniecone rozmowy, zapadł wieczór, byliśmy w podróży. Myślałem o swoim kierowcy. Zwykle nie czułem sympatii dla takich typów, marnowali życie na siedzenie za kółkiem, nie mieli żadnego wykształcenia, byli grubi i pełni najprzeróżniejszych uprzedzeń, a ten niczym się od nich nie różnił, widziałem, no ale, do diabła, przecież mnie zabrał!

Kiedy następnego dnia rano samochody i motocykle, warcząc i podskakując, zjechały z promu i wyruszyły na drogi wokół Kristiansand, zostawiły za sobą miasto pogrążone w ciszy. Usiadłem na schodach dworca autobusowego. Słońce świeciło, niebo było wysokie, w powietrzu już czuło się ciepło. Zaoszczędziłem trochę z tych pieniędzy, które dostałem od kierowcy, aby mieć za co zadzwonić do taty i uprzedzić, że się zjawię. Tata nie cierpiał niezapowiedzianych wizyt. Kupili z Unni dom kilkadziesiąt kilometrów od miasta, który na zimę komuś wynajmowali, sami zaś zamierzali spędzić w nim całe lato, aż do powrotu na północ Norwegii, gdzie pracowali. Planowałem zostać u nich kilka dni, a potem pożyczyć pieniądze na bilet do Bergen, może na pociąg, bo to najtańsze rozwiązanie.

Ale na razie było jeszcze za wcześnie na telefon.

Wyjąłem dziennik podróży, który prowadziłem przez ostatni miesiąc, i zapisałem wszystko, co się wydarzyło po drodze z Austrii. Na sen, który mi się przyśnił w Løkken, poświęciłem kilka stron, wciąż pozostawałem pod wielkim wrażeniem, jakie na mnie wywarł, utkwiał mi w ciele niczym zakaz albo granica, uznałem go za ważne wydarzenie.

Wokół mnie autobusy pojawiały się z coraz większą częstotliwością. Wkrótce już co minutę podjeżdżały i wypuszczały pasażerów. Ci ludzie jechali do pracy, widziałem to po ich oczach, mieli puste spojrzenia najemnych pracowników.

Wstałem i ruszyłem do miasta. Główna ulica, Markensgate, była prawie pusta, tylko od czasu do czasu to z jednej, to z drugiej strony pojawiał się jakiś przechodzień. Kilka mew szarpało śmieci przy pojemniku, z którego odpadło dno. Dotarłem do biblioteki, przygnał mnie tu nawyk, bo ogarnęło mnie uczu-

cie podobne do paniki, która mnie nawiedzała, gdy chodziłem tędy w czasach licealnych, lęk, że nie mam dokąd pójść i że wszyscy to widzą. Problem ten rozwiązywałem, przychodząc właśnie tutaj, w miejsce, w którym można było być samemu i nikogo to nie dziwiło.

Przede mną rozciągał się plac z szarym murowanym kościołem o jaskrawo-zielonym dachu. Wszystko było niepozorne i smutne. Po zwiedzeniu Europy wyraźnie widziałem, jak małym miastem jest Kristiansand.

Pod ścianą po drugiej stronie ulicy spał bezdomny. Zarośnięty, z długą brodą i takimiz włosami, w podartym ubraniu, wyglądał jak dzikus.

Usiadłem na ławce i zapaliłem papierosa. A jeśli to jemu żyło się najlepiej? Robił dokładnie to, co chciał. Jeśli chciał się gdzieś włamać, to się włamywał. Jeśli chciał się upić do nieprzytomności, to się upijał. Jeśli chciał dokuczać przechodniom, to im dokuczał. Jeśli był głodny, kradł jedzenie. Owszem, ludzie traktowali go jak śmiecia lub jakby w ogóle nie istniał. Ale dopóki nie przejmował się innymi, to i tak nie miało żadnego znaczenia.

Właśnie tak musieli żyć pierwsi ludzie, zanim zaczęli się łączyć w gromady i uprawiać ziemię, kiedy po prostu wędrowali, jedli to, co znaleźli, spali tam, gdzie im wypadło, a każdy dzień był pierwszy albo ostatni. Ten człowiek tutaj nie miał żadnego domu, do którego musiał wracać, który go do siebie przywiązywał, nie miał żadnej pracy, o którą musiał dbać, żadnych wyznaczonych godzin, na które musiał zdążyć; kiedy mu się zachciało spać, po prostu się kładł, tam gdzie stał. Miasto było jego lasem. Cały czas spędzał pod gołym niebem. Twarz miał ogorzałą, pomarszczoną, włosy i ubranie brudne.

Wiedziałem, że nawet gdybym chciał, nigdy nie potrafiłbym się znaleźć w miejscu, w którym on przebywał. Nie mógłbym zwariować, nie potrafiłbym być bezdomnym, to mi się po prostu nie mieściło w głowie.

Dalej przy placu zatrzymał się stary busik; z jednej strony wyskoczył tęgi, lekko ubrany mężczyzna, z drugiej wysiadła tęga, lekko ubrana kobieta. Otworzyli tylne drzwi i zaczęli wyładowywać skrzynki z kwiatami. Rzuciłem papierosa na suchy asfalt, wziąłem plecak i wróciłem na dworzec autobusowy, skąd zadzwoniłem do taty. Rozzłościł się, był nieprzyjemny, oświadczył, że moja wizyta w ogóle mu nie pasuje, mają przecież maleńkie dziecko i nie mogą przyjmować gości pojawiających się bez uprzedzenia. Powinienem był zadzwonić wcześniej, wtedy byłoby inaczej. Niedługo mieli ich odwiedzić babcia i kolega z pracy. Powiedziałem, że rozumiem, przeprosiłem, że nie za-

dzwoniłem wcześniej, i się rozłączyłem.

Dłuższą chwilę stałem ze słuchawką w ręku i zastanawiałem się, aż w końcu wybrałem numer Hilde. Powiedziała, że mogę się u niej zatrzymać i że zaraz po mnie przyjedzie.

Pół godziny później już siedziałem obok niej w starym golfie, wyjeżdżaliśmy z miasta, okna mieliśmy otwarte, a słońce świeciło nam w oczy. Hilde się śmiała, mówiła, że śmierdzą i muszę się wykąpać, kiedy dojedziemy na miejsce, potem usiądziemy w ogrodzie za domem, ponieważ tam jest cień, a ona zrobi mi śniadanie, bo widzi, że i to mi się przyda.

Zostałem u Hilde trzy dni, dostatecznie długo, żeby mama wpłaciła mi trochę pieniędzy na konto, a potem pojechałem do Bergen. Pociąg odchodził po południu, słońce zalewało światłem zalesiony krajobraz regionu Indre Agder, który przyjmował je na różne sposoby: woda w jeziorach i rzekach połyskiwała, gęste drzewa iglaste lśniły, leśne poszycie się czerwieniło, liście na drzewach liściastych migotały, wprawiane w ruch tchnieniem wiatru. Wśród tej gry światła i kolorów powoli wyrastały cienie, coraz większe i gęściejsze. Długo stałem przy oknie w ostatnim wagonie, wpatrując się w szczegóły pejzażu, które stale znikwały, jakby usuwane na rzecz nowych, cały czas pojawiających się niczym rzeka pniaków i korzeni, skałek i wykrotów, strumieni i płotów, wyrastających nagle wzgórz; na ich uprawianych zboczach dawało się dostrzec domy i traktory. Przez całą drogę nie zmieniały się jedynie tory kolejowe, po których jechaliśmy, i te dwa lśniące punkty na nich, odbicie słońca. Niezwykłe zjawisko. Przypominało dwie świetlne piłeczki, które wydawały się nieruchome – chociaż pociąg jechał z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, te świetlne piłki znajdowały się cały czas w takiej samej odległości.

Wielokrotnie podczas dalszej podróży wracałem w tamto miejsce, żeby jeszcze raz spojrzeć na te kulki ze światła. Poprawiały mi humor, patrząc na nie, czułem się niemal szczęśliwy, jakby niosły w sobie nadzieję.

Poza tym siedziałem na swoim miejscu, paliłem, piłem kawę, czytałem jakieś gazety, ale nie sięgnąłem po żadną książkę, bo uważałem, że cudzy tekst może wyrzucić wpływ na moją prozę, że stracę to, dzięki czemu przyjęto mnie do Akademii Sztuki Pisania. Po pewnym czasie wyciągnąłem listy od Ingvild. Wziłem je ze sobą całe lato, zaczynały się przecierać na zagięciach i umiałem je prawie na pamięć, ale za każdym razem, gdy je czytałem, wyczuwałem biją-

ce od nich światło, coś dobrego, przesyconego radością. To była cała ona, zarówno to, co zapamiętałem po naszym jedynym spotkaniu, jak i to, co się ujawniało podczas pisania, lecz wiązała się z tym również nieznana przyszłość, która mnie czekała. Ingvild różniła się od innych ludzi, była dla mnie kimś innym, a najbardziej mnie zdumiewało, że również ja stawałem się inną osobą, kiedy o niej myślałem. Bardziej wtedy lubiłem siebie. Jak gdyby myśl o niej coś we mnie zacierała, dając mi dzięki temu nowy początek albo przenosząc mnie w inne miejsce.

Wiedziałem, że ona jest tą właściwą, zorientowałem się od razu, choć może wcale tak nie pomyślałem, lecz tylko wyczułem, że to, kim jest i co ma w sobie, co momentami w przebłyskach pojawiało się w jej oczach, jest czymś, do czego pragnę dotrzeć lub być blisko tego.

Co to było?

No cóż, zrozumienie siebie i sytuacji, na chwilę przesłaniane śmiechem, lecz powracające już w następnej sekundzie. Jakiś oceniający, może nawet sceptyczny element jej charakteru, który pragnął przewyciężenia, ale bał się, że zostanie oszukany. Zawierała się w tym wrażliwość, lecz nie słabość.

Tak bardzo lubiłem z nią rozmawiać i tak bardzo lubiłem wymieniać z nią listy. To, że właśnie o niej pomyślałem, budząc się następnego dnia po naszym pierwszym spotkaniu, nie musiało nic oznaczać, często mi się tak zdarzało, ale na tym się nie skończyło. Myślałem o niej codziennie od tamtej pory, a minęły już cztery miesiące.

Nie wiedziałem, czy ona czuje podobnie. Zapewne nie, lecz coś w tonie jej listów mówiło mi, że również z jej strony istnieje jakieś związane ze mną napięcie i coś ją do mnie ciągnie.

W Førde mama przeprowadziła się z szeregowca do mieszkania w suterenie, znajdującej się w domu w Angedalen, dziesięć minut od centrum. Dom był ładnie położony, z jednej strony rósł las, z drugiej rozciągało się pole, dochodzące do rzeki, ale mieszkanie było małe, trochę studenckie, jeden duży pokój z kuchnią i łazienką, to wszystko. Mama postanowiła tam mieszkać, dopóki nie znajdzie sobie czegoś lepszego do wynajęcia, albo może nawet do kupienia. Dwa tygodnie, które miałem u niej spędzić do czasu przeprowadzki do Bergen, zamierzałem poświęcić na pisanie; zaproponowała mi, żebym skorzystał

z domku letniskowego należącego do jej wuja Steinara i stojącego przy starej letniej zagrodzie w lesie, powyżej rodzinnego gospodarstwa babci, matki mamy. Zawiozła mnie tam, napiliśmy się razem kawy przed zagrodą, potem mama wróciła do siebie, a ja wszedłem do chaty. Sosnowe ściany, sosnowa podłoga, sosnowy dach i sosnowe meble. Parę kilimów, kilka prostych obrazów. Plik czasopism w koszyku, kominek, nieduża kuchnia.

Przesunąłem stół pod ścianę bez okna, po jednej stronie ułożyłem papiery, po drugiej stos kaset, i usiadłem. Ale pisać nie mogłem. Pustka, którą po raz pierwszy poczułem na wysepce w pobliżu Antiparos, powróciła. Poznałem ją, była identyczna. Świat był pusty, był niczym, był obrazem, ja też byłem pusty.

Położyłem się na łóżku i spałem dwie godziny. Kiedy się obudziłem, zaczęło się już zmierzchać. Niebieskoszare światło wieczoru zasnuło las jak woal. Na myśl o pisaniu wciąż czułem odrazę, więc włożyłem buty i wyszedłem.

Z głębi lasu dochodził szum wodospadu, poza tym panowała zupełna cisza.

Nie, gdzieś podzwaniały dzwonki.

Zszedłem do ścieżki nad strumieniem i ruszyłem nią dalej przez las. Świerki rosły tu wielkie i ciemne, skałę pod nimi pokrywał mech, tu i ówdzie wystawały odsłonięte korzenie. W kilku miejscach cienkie drzewka liściaste usiłowały utorować sobie drogę do światła, gdzie indziej wokół przewróconych drzew tworzyły się niewielkie polany. Otwarta przestrzeń rozciągała się oczywiście również wzdłuż strumienia, który wirował i szumiał, rzucał się w dół i spadał ze skał i głazów. Z tymi wyjątkami otaczała mnie gęstwina ciemnozielonych igieł. Idąc pod górę, słyszałem własny oddech, czułem uderzenia serca w piersi, w gardle, w skroniach. Szum się wzmagił, wkrótce stanąłem na skale ponad głęboką niecką wyrzeźbioną przez wodospad i patrzyłem na stromiznę nagiej skalnej ściany, po której spływała woda.

Piękne to było, ale do niczego nie mogłem tego wykorzystać, wszedłem więc w las przy wodospadzie i zacząłem się wspinać po nagiej skale, zamierzałem dotrzeć na sam jej szczyt kilkaset metrów wyżej.

Niebo było szare, woda płynąca obok mnie lśniła i przejrzysta jak szkło. Mech, po którym szedłem, nasiąkł wilgocią, tu i ówdzie się uginał, stopa się wtedy ześlizgiwała, odsłaniając ciemną skałę pod spodem.

Nagle coś uskoczyło mi spod nóg.

Znieruchomiałem, sztywny ze strachu. Serce też niemal mi stanęło.

W bok pomknęło maleńkie szare stworzonko. Mysz albo jakiś gatunek szczura.

Spróbowałem się roześmiać, żeby sprawdzić, czy to pomoże. Ruszyłem dalej pod górę, ale tamta chwila lęku utkwiała we mnie na dobre, teraz z niechęcią zaglądałem w ciemny las, a równa kurtyna dźwięku wodospadu, o której do tej pory myślałem z przyjemnością, zmieniła się w coś groźnego, niepozwalającego mi usłyszeć nic oprócz własnego oddechu, dlatego kilka minut później zawróciłem i zacząłem schodzić.

Usiadłem przy palenisku wymurowanym przed starym domem i zapaliłem papierosa. Mogła być jedenasta, może wpół do dwunastej. Zagroda wyglądała tak, jak musiała wyglądać w latach dwudziestych albo trzydziestych, kiedy pracowała tu babcia. Tak, z pewnością wszystko wyglądało mniej więcej tak jak wtedy. A jednak było inne. Był sierpień 1988 roku, ja byłem człowiekiem z lat osiemdziesiątych, z czasów Duran Duran i The Cure, a nie tej muzyki skrzypek i harmonii, którą niegdyś słyszał dziadek, gdy z kolegą wdrapywał się pod górę, żeby zalecać się do babci i jej sióstr. Nie należałem do tego miejsca, czułem to całym sobą. W niczym nie pomagała mi świadomość, że ten las jest tak naprawdę lasem z lat osiemdziesiątych, a góry – górami z lat osiemdziesiątych.

Co więc tu robiłem?

Miałem pisać. Ale nie mogłem. Byłem przecież zupełnie sam, samotny aż do głębi duszy.

Kiedy po tygodniu mama przyjechała po mnie wąską zwirową drogą, siedziałem na schodach ze spakowanym plecakiem między nogami i nie miałem napisanego ani słowa.

– Dobrze ci tu było? – spytała.

– Tak, pewnie – odpowiedziałem. – Niewiele udało mi się zdziałać, ale...

– No tak. – Spojrzała na mnie. – Ale może trochę odpoczynku dobrze ci zrobiło.

– Na pewno. – Zapiąłem pas bezpieczeństwa i wróciliśmy do Førde, tam zatrzymaliśmy się na obiad w hotelu Sunnfjord. Wybraliśmy stolik pod oknem, mama powiesiła torebkę na oparciu krzesła i podeszliśmy do bufetu ustawionego na środku jadalni. Było prawie pusto. Kiedy usiedliśmy z pełnymi tale-

rzami, zjawił się kelner, poprosiłem wtedy o colę, mama o wodę mineralną, a gdy odszedł, zaczęła opowiadać o swoich planach rozwoju kształcenia w dziedzinie pielęgniarstwa psychiatrycznego, które zaczynały się krystalizować. Znalazła odpowiedni lokal, starą szkołę, z jej opisu wynikało, że naprawdę wspaniałą, znajdującą się stosunkowo niedaleko od jej szkoły pielęgniarstwa. Mówiła, że to budynek z duszą, stary, drewniany, duże, wysokie pomieszczenia, coś zupełnie innego niż ten niski murowany bunkier, w którym teraz uczy.

– Nieźle się zapowiada – stwierdziłem, wyglądając na parking, gdzie połykiwały w słońcu nieliczne samochody. Zbocze góry na drugim brzegu rzeki było zupełnie zielone, z wyjątkiem niewielkiego obszaru zabudowanego domami, których kolory zdawały się wibrować.

Wrócił kelner, wypłem colę duszkiem. Mama zaczęła mówić o moim stosunku do Gunnara. Stwierdziła, iż odnosi wrażenie, że doszło u mnie niemal do zinternalizowania jego wartości, że uczyniłem z niego swoje superego, traktuję go jak kogoś, kto może mi mówić, co mam robić, a czego nie, co jest złe, a co dobre.

Odłożyłem sztucce i popatrzyłem na nią.

– Czytałaś mój dziennik?

– Nie, dziennika nie czytałam – odparła. – Ale zostawiłeś zeszyt, w którym opisywałeś swój wyjazd, a przecież zawsze jesteś taki otwarty i mówisz mi o wszystkim.

– Ale to był dziennik, mam. Nie czyta się cudzych dzienników.

– No tak, oczywiście, wiem o tym, ale skoro zostawiłeś go na stole w salonie, uznałam, że nie jest to coś, co chciałbyś zachować w tajemnicy.

– Ale chyba się zorientowałaś, że to dziennik?

– Nie. To była relacja z podróży.

– Okej, okej – powiedziałem. – Moja wina. Nie powinienem był go zostawić. Ale co powiedziałaś o Gunnarze? Że zinternalizowałem jego wartości? O co ci chodzi?

– Tak to wygląda, sądząc po śnie, który opisujesz, i twoich późniejszych refleksjach.

– Tak?

– Twój ojciec był wobec ciebie bardzo surowy, kiedy dorastałeś. Potem nagle zniknął i mogłeś odnieść wrażenie, że wszystko ci wolno. Miałeś więc dwa zestawy norm, ale oba pochodziły z zewnątrz. A chodzi o to, żeby mieć własne granice. Muszą wypływać z wnętrza, z ciebie samego. Twój ojciec ich nie miał i może dlatego był taki zagubiony.

– Jest – poprawiłem ją. – Ciągle jeszcze żyje, z tego, co wiem. W każdym razie tydzień temu rozmawiałem z nim przez telefon.

– Teraz najwyraźniej zastąpiłeś ojca Gunnarem – ciągnęła mama, spojrzawszy na mnie przelotnie. – A to, o czym mówię, nie ma nic wspólnego z Gunnarem, chodzi o twoje własne granice. Jesteś już dorosły i sam musisz je znaleźć.

– Właśnie to usiłuję robić, pisząc dziennik – oświadczyłem. – Ale ten dziennik czytają przeróżni ludzie, więc nie da się niczego wymyślić samodzielnie.

– Przepraszam – powiedziała mama. – Ale naprawdę nie sądziłam, że uważasz to za dziennik. Gdybym wiedziała, nigdy bym go nie zaczęła czytać.

– W porządku. Jemy jakiś deser?

Siedzieliśmy u niej w mieszkaniu i gadaliśmy do późnego wieczora. W końcu wyszedłem do przedpokoju, zamknąłem za sobą drzwi, wziąłem nadmuchiwany materac, który stał oparty o ścianę w niedużej łazience, ułożyłem go na podłodze, nakryłem prześcieradłem, rozebrałem się, zgasilem światło i położyłem się spać. Dochodziły do mnie przytłumione odgłosy krzątania mamy, od czasu do czasu przejechał samochód. Zapach materaca przypominał mi dzieciństwo, wycieczki pod namiot, otwarte przestrzenie. Czas był teraz inny, ale podekscytowanie takie samo. Nazajutrz miałem wyjechać do Bergen, do wielkiego miasta uniwersyteckiego, zamieszkać we własnym mieszkaniu i studiować w Akademii Sztuki Pisania. Wieczory i noce planowałem spędzać w Café Opera albo na koncertach świetnych zespołów w klubie studenckim Hulen. Zapowiadało się fantastycznie, ale najwspanialsze było to, że Ingvild też zamierzała przenieść się do Bergen. Umówiliśmy się, że się spotkamy. Dostałem numer telefonu, pod który miałem zadzwonić po przyjeździe.

To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, stwierdziłem, leżąc na nadmuchiwanym materacu, pełen niepokoju i radości na samą myśl o tym, co miało się zacząć. Przewracałem się z boku na bok, słuchając, jak mama mówi przez

sen. Tak, powiedziała, po czym nastąpiła dłuższa przerwa. Tak, powtórzyła. To prawda. Długa przerwa. Tak. Tak. Mhm. Tak.

Nazajutrz mama zabrała mnie do centrum handlowego Handelshuset, chciała mi kupić kurtkę i spodnie. Znalazłem kurtkę dzinsową ze skórzanymi wstawkami, wyglądała nie najgorzej, i zielone, trochę jakby wojskowe spodnie, a także parę czarnych butów. Mama odprowadziła mnie do autobusu i dała mi pieniądze na bilet. A kiedy autobus ruszył z dworca, stała przy samochodzie i machała mi na pożegnanie.

Po kilku godzinach przyglądania się lasom, jeziorom, oszłamiająco wysokim górcom i wąskim fiordom, gospodarstwom i polom, po przeprawie jednym promem i przejeździe długą doliną, w której autobus w jednej chwili znajdował się na szczycie wzgórza, a w następnej był już przy samej krawędzi wody, oraz po przejechaniu nieskończonej ilości tuneli dostrzegłem, że domy zaczęły pojawiać się coraz gęściej, coraz więcej było osad, po obu stronach drogi wyrastały budynki przemysłowe, ogrodzenia, stacje benzynowe, centra handlowe i osiedla. Zauważyłem drogowskaz z nazwą Wyższej Szkoły Handlowej i pomyślałem sobie, że czterdzieści lat temu właśnie tam studiował Mykle^[2], potem zobaczyłem Szpital Psychiatryczny w Sandviken, tkwiący jak twierdza pod skalną ścianą, a po drugiej stronie woda lśniła w popołudniowym słońcu, żaglówki i łodzie wydawały się nieostre w lekkiej mgiele na tle wysp, gór i niebieskiego nieba nad Bergen.

Wyskoczyłem z autobusu na samym końcu Bryggen. Yngve pracował na wieczornej zmianie w hotelu Orion, właśnie tam miałem odebrać klucz od jego mieszkania. Miasto wokół mnie zanurzało się w senności, przynależnej jedynie popołudniom późnego lata. Tu i ówdzie jakaś postać w szortach i T-shircie, ciągnąca za sobą długi, ruchliwy cień, połyskujące w słońcu ściany domów, znieruchomiałe drzewa, żaglówka z gołymi masztami, wypływająca z portu na rytmicznie warczącym silniku.

W recepcji hotelu było pełno ludzi, Yngve, bardzo zajęty, stał za kontuarem. Kiedy mnie zobaczył, powiedział: właśnie podjechał autokar Amerykanów, masz tu klucz, widzimy się później, dobrze?

Autobusem pojechałem na Danmarksplass, przeszedłem trzysta metrów do jego mieszkania, otworzyłem kluczem drzwi, odstawiłem plecak w przedpoko-

ju i przez chwilę stałem, zastanawiając się, co robić. Okna wychodziły na północ, a słońce właśnie powoli zanurzało się w morzu, więc w mieszkaniu panowały półmrok i chłód. Rozejrzałem się po dużym pokoju, przeszedłem do sypialni. Zauważyłem tam nowy plakat ze zdjęciem nagiej kobiety przypominającej ducha, podpisanym *Munch i fotografia*. Na ścianach wisiały również fotografie, które zrobił Yngve, seria z Tybetu – jaskrawoczerwona ziemia, grupka pozujących mu obdartych dzieci z ciemnymi, obcymi spojrzeniami. W kącie obok przesuwanych drzwi stała gitara, oparta o wzmacniacz. Na nim wielki mikser z echem. Prosty biały pled z Ikei i dwie poduszki zamieniły łóżko w kanapę.

W czasach licealnych kilkakrotnie odwiedzałem Yngvego i jego pokoje stanowiły wtedy dla mnie jakąś świętość, reprezentowały to, czym on już był, a czym ja pragnąłem się stać. Coś istniejącego poza moim życiem, do czego również kiedyś miałem się przenieść.

Teraz już tu jestem, pomyślałem i przeszedłem do kuchni. Zrobiłem sobie kilka kanapek i zjadłem je, stojąc przy oknie z widokiem na rzędy starych robotniczych domów, zbudowanych tarasowo na zboczu opadającym ku Fjøsangerveien. W oddali błyszczał w słońcu maszt na szczycie Ulriken.

Uświadomiłem sobie, że ostatnio przebywałem głównie w samotności. Odkąd pożegnałem się z Larsem w Atenach, niewiele czasu spędziłem z drugim człowiekiem, nie licząc tych kilku dni najpierw z Hilde, a potem z mamą. Prawie nie mogłem się doczekać, kiedy Yngve wróci do domu.

Puściłem płytę Stranglersów i usiadłem na kanapie z jedną z jego książek o fotografii. Ścisnęło mnie w brzuchu, nie wiem dlaczego. Czuję się trochę tak, jakbym był głodny, ale nie chodziło o jedzenie, tylko o coś innego.

Może Ingvild już przyjechała do miasta? Może już siedziała w jednym ze stu tysięcy mieszkań, wśród których się znalazłem?

Jedno z pierwszych pytań, jakie Yngve zadał mi zaraz po przyjeździe, dotyczyło mojej relacji z Ingvild. Niewiele mu wcześniej mówiłem, rzuciłem jedynie kilka słów, kiedy siedzieliśmy na schodach na początku lata, ale tyle wystarczyło, by zrozumiał, że to coś poważnego. Możliwe nawet coś wielkiego.

Powiedziałem, że niedługo przyjeżdża do miasta, zamieszka w Fantoft i mam do niej zadzwonić, żeby umówić się na pierwsze spotkanie.

– Może to będzie twój rok – stwierdził Yngve. – Nowa dziewczyna, Akademia Sztuki Pisania...

– Przecież ze sobą nie chodzimy.

– Wiem, ale z tego, co mówisz, wynika, że jest tobą zainteresowana, tak?

– Może trochę, chociaż nie wydaje mi się, żeby dla niej to było coś tak ważnego jak dla mnie.

– Ale może będzie. Bylebyś tylko umiejętnie rozegrał karty.

– Wyjątkowo jak na mnie?

– Ja tego nie powiedziałem – odparł. – Napijesz się wina?

– Tak, chętnie.

Wstał i wyszedł do kuchni. Wyłonił się z niej z karafką w ręku i przeszedł do łazienki. Usłyszałem delikatne sapnięcie, odgłos klaskania, potem lekki plusk i zaraz Yngve pojawił się z napełnioną karafką.

– Rocznik osiemdziesiąty ósmy – oznajmił. – Ale całkiem niezłe. No i jest go bardzo dużo.

Wypiłem łyk. Wino było takie kwaśne, że aż mną wstrząsnęło.

Yngve się uśmiechnął.

– Niezłe? – spytałem.

– Smak jest rzeczą względną – stwierdził. – Trzeba je porównać z innymi winami domowej roboty.

Przez chwilę popijaliśmy, nic nie mówiąc, wreszcie Yngve wstał i podszedł do gitary i wzmacniacza.

– Napisałem kilka utworów, odkąd widzieliśmy się ostatnio – oznajmił. – Chcesz posłuchać?

– Chętnie.

– Utworów jak utworów – dodał. – W zasadzie to tylko kilka riffów.

Widząc Yngwego stojącego przy sprzęcie, poczułem nagle przypływ czułości.

Włączył wzmacniacz, stanął obrócony do mnie plecami, dostroił gitarę, nastawił mikser z echem i zaczął grać.

Czułość zniknęła, bo to, co grał, było naprawdę dobre. Gitara brzmiała potężnie, majestatycznie, riffy były melodyjne, chwytliwe. Brzmiało to jak skrzy-

zowanie The Smiths z The Chameleons. Nie pojmowałem, skąd mu się to bierze. Mnie zarówno muzykalność, jak i sprawność palców były bardzo dalekie. On to po prostu umiał od razu, kiedy tylko zaczął grać. Jakby zawsze to w sobie nosił.

Dopiero gdy skończył i odstawił gitarę, odwrócił się do mnie.

– To było świetne – powiedziałem.

– Tak uważasz? – Wrócił na kanapę. – Ot, takie sobie drobiazgi. Chciałbym mieć jakieś teksty, żeby dało się to wykończyć.

– Nie rozumiem, dlaczego nie grasz w zespole.

– No... Od czasu do czasu gram z Pål'em. Oprócz niego nie znam nikogo, kto by grał. No, ale teraz ty tu jesteś.

– Przecież ja nie umiem grać.

– Ale mógłbyś zacząć pisać teksty. Poza tym umiesz grać na perkusji.

– Nie umiem. Jestem za słaby. Ale może rzeczywiście mógłbym coś napisać. Fajnie by było.

– No to pisz.

*

Jesień idzie, pomyślałem, kiedy staliśmy na ulicy przed długim, niskim, mурowanym szeregowcem i czekaliśmy na taksówkę. Jasna letnia noc nabrała swoistej głębi, niemożliwej do określenia, lecz mimo to niewątpliwej. Zapowiedź czegoś nieprzyjemnego, wilgoci i ciemności.

Taksówka zjawiła się po kilku minutach, wsiedliśmy, nonszalancko zjechała na Danmarksplass, minęła duże kino, przemknęła przez most i wzdłuż Nygårdsparken, po czym wjechała do centrum, gdzie straciłem orientację, ulice stały się po prostu ulicami, a domy – domami, zniknąłem w wielkim mieście, pochłonięty przez nie, i nawet mi się to spodobało, bo jednocześnie ukazałem się sobie, zobaczyłem młodego człowieka w drodze do wielkiego miasta, pełnego szkła, betonu i asfaltu, obcych ludzi w świetle latarni, wystaw i podświetlanych reklam. Ciarki przechodziły mi po plecach. Silnik warczał, światło zmieniło się z zielonego na czerwone, zatrzymaliśmy się przy, jak mi się wydawało, dworcu autobusowym.

– Czy nie tutaj wtedy wysiedliśmy? – spytałem, ruchem głowy wskazując drugą stronę ulicy.

– Zgadza się – powiedział Yngve.

Miałem wówczas szesnaście lat i pierwszy raz przyjechałem do niego w odwiedziny. Żeby wejść do lokalu, musiałem wziąć za rękę dziewczynę z naszego towarzystwa. Wcześniej skorzystałem z dezodorantu Yngvego, a chwilę przed wyjściem z domu Yngve poświęcił czas na odpowiednie podwinięcie rękawów mojej koszuli, po czym wręczył mi swój żel do włosów, obserwował, jak go wcieram, i w końcu powiedział: dobrze, idziemy.

Teraz miałem dziewiętnaście lat i wszystko to należało do mnie.

Dostrzegłem przebłysk wody w środku miasta i zaraz skręciliśmy w lewo, przejeżdżając obok dużego budynku z betonu.

– To Grieghallen, filharmonia – oznajmił Yngve.

– Aha, a więc tutaj stoi.

– A to jest Mekka – rzucił po chwili, pokazując mi sklep spożywczy. – Naj-

tańsze sklepy w mieście.

– Tutaj robisz zakupy? – spytałem.

– Kiedy nie mam pieniędzy. Ale to w każdym razie jest Nygårdsgaten. Pamiętasz tekst *The Aller Værste!*, prawda? „Biegliśmy przez Nygårdsgata, jakbyśmy byli na Dzikim Zachodzie”.

– Pewnie – powiedziałem. – *A Disken?* „Dostałem się do Disken, gdzie był cholerny ścisk”.

– To o dyskotece w hotelu Norge. To zaraz tutaj, na tyłach. Ale teraz nazywa się inaczej.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił kierowca.

Yngve wręczył mi setkę, wysiadłem i przyjrzałem się szyldowi na budynku, przy którym staliśmy. Na białym tle był różowo-czarny napis: „Café Opera”. Za wielkimi szybami siedziało mnóstwo ludzi, wśród jasnych, wyraźnych punkcików płomieni świec wyglądali jak cienie. Yngve wysiadł drugą stroną, pożegnał się z kierowcą i trzasnął drzwiczkami. Wchodzimy, powiedział.

Zatrzymał się zaraz za drzwiami i rozejrzał po lokalu.

– Nie ma nikogo znajomego. Idziemy na górę.

Ruszyłem za nim po schodach, minęliśmy kilka stolików i podeszliśmy do baru, znajdującego się dokładnie w tym samym miejscu co ten na dole. Zaglądałem do tej knajpy już wcześniej, lecz tylko przelotnie i w ciągu dnia; teraz wyglądała całkiem inaczej, to było coś zupełnie innego, wszędzie siedzieli ludzie i pili piwo. Lokal przypominał mieszkanie wypełnione stolikami i krzesłami, z barem na środku, ustawionym pod kątem.

– O, tam jest Ola! – ucieszył się Yngve.

Spojrzałem w stronę, którą wskazał głową. Olę spotkałem raz wcześniej tego lata; teraz siedział przy stoliku razem z trzema innymi osobami. Uśmiechnął się i pomachał do nas. Podeszliśmy.

– Znajdź jakieś krzesło, Karl Ove, to się przysiadzimy – zarządził Yngve.

Obok pianina przy sąsiedniej ścianie stało jedno wolne krzesło, więc po nie poszedłem. Czuję się kompletnie obnażony, kiedy je podnosiłem. Czy powinienem się tak zachować? Czy mogłem zwyczajnie przenieść je przez salę? Przyglądali mi się studenci, obeznani z tym miejscem, przyzwyczajeni do nie-

go, dlatego się zaczerwieniłem, ale nie widziałem innego wyjścia, niż zanieść krzesło do stolika, przy którym już usiadł Yngve.

– To mój młodszy brat, Karl Ove – przedstawił mnie. – Będzie studiował w Akademii Sztuki Pisania.

Uśmiechał się, kiedy to mówił. Ledwie się ośmieliłem przez moment spojrzeć w oczy tym trzem osobom, których wcześniej nie znałem, dwóm dziewczynom i jednemu chłopakowi.

– A więc to ty jesteś tym młodszym bratem, o którym tyle się mówi – odezwała się jedna z dziewczyn. Miała jasne włosy i wąskie oczy, które prawie całkiem zniknęły, gdy się uśmiechała. – Jestem Kjersti – powiedziała.

– Karl Ove.

Druga dziewczyna miała czarne włosy obcięte na pazia, usta pomalowane jaskrawoczerwoną szminką i czarny strój; również się przedstawiła, tak samo jak siedzący obok niej chłopak, niepozorna postać o rudoblond włosach i bladej cerze, który szeroko się uśmiechnął. Ich imiona już chwilę później wyleciały mi z głowy.

– Chcesz piwo? – spytał Yngve.

Zamierzał odejść i mnie tu zostawić?

– Chętnie.

Wstał, a ja wbiłem wzrok w stół. Nagle przypomniałem sobie, że przecież mogę zapalić, więc wyjąłem paczkę z tytoniem i zacząłem zwijać papierosa.

– By-by-byłeś w Roskilde? – spytał Ola.

Był pierwszą jękającą się osobą, jaką spotkałem od czasów podstawówki. Nikt by tego nie podejrzewał, patrząc na niego. Miał czarne okulary w stylu Buddy'ego Holly'ego, ciemne włosy, regularne rysy twarzy i chociaż nie ubierał się ani trochę wyzywająco, mimo wszystko miał w sobie coś takiego, że kiedy pierwszy raz go zobaczyłem, pomyślałem, że wygląda na członka jakiegoś zespołu. Tak samo teraz. Biała koszula, czarne dżinsy i czarne, szpiczaste buty.

– Byłem. Ale niewiele zespołów widziałem.

– Dla-dlaczego?

– Bo tyle innych rzeczy się działo.

– Wy-wy-wyobrażam sobie – uśmiechnął się.

Nie trzeba było spędzić z nim dużo czasu, żeby zrozumieć, że to człowiek o gorącym sercu. Cieszyłem się, że przyjaźni się z Yngvem, a jąkanie, które zaniepokoiło mnie poprzednim razem – to Yngve ma przyjaciół, którzy się jąkają? – teraz już tak bardzo nie raziło, kiedy się przekonałem, że Ola ma co najmniej troje innych znajomych. Nikt z nich nie reagował na jego jąkanie politowaniem ani pogardą, a to, co czułem, kiedy się odzywał – że sama sytuacja: „on się jąka, a ja nie mogę zwracać na to uwagi”, staje się nieprzyjemnie wyrażna, no bo czy on nie rozumie, o czym myślę, kiedy mówi? – nie znajdowało żadnego odbicia na ich twarzach.

Yngve postawił przede mną piwo i usiadł.

– Co piszesz? – spytała mnie ciemnowłosa dziewczyna. – Poezję czy prozę? – Oczywiście miała ciemne, a jej sposób zachowania świadczył o tym, że traktuje mnie z wyższością.

Wypiłem duży łyk piwa.

– Teraz akurat pracuję nad powieścią – odpowiedziałem. – Ale na zajęciach pewnie będziemy mieli też coś z poezji. Niewiele wierszy napisałem, chociaż może powinienem... cha, cha.

– To nie ty prowadziłeś własny program w radiu? – spytała Kjersti.

– Miał też własną szpaltę recenzencką w gazecie – uzupełnił Yngve.

– Owszem – potwierdziłem. – Ale to już jakiś czas temu.

– A o czym jest twoja powieść? – spytała ciemnowłosa.

Wzruszyłem ramionami.

– O różnych rzeczach. Wydaje mi się, że to trochę skrzyżowanie Hamsuna z Bukowskim. Czytałaś Bukowskiego?

Skinęła głową i odwróciła się, żeby spojrzeć na ludzi, którzy właśnie wchodzili po schodach.

Kjersti się roześmiała.

– Yngve mówił, że waszym nauczycielem będzie Hovland. To prawda? Jest fantastyczny!

– Owszem – przyznałem.

Na chwilę zapadła cisza, ich uwaga wreszcie przestała skupiać się na mnie. Odchyliłem się, kiedy podjęli rozmowę. Znali się ze studiów, z medioznawstwa, i o tym właśnie rozmawiali. W powietrzu nad stolikiem przez dłuższą

chwilę unosiły się nazwiska wykładowców i teoretyków, tytuły książek, płyt i filmów. W pewnej chwili Yngve wyjął cygarniczkę, włożył w nią papierosa i zaczął palić, wykonując gesty, które przez samą obecność lufki stawały się wystudiowane. Starłem się na niego nie patrzeć, udawać, że nic się nie dzieje, bo tak zachowywali się pozostali.

– Jeszcze po piwie? – spytałem, a kiedy kiwnął głową, ruszyłem do baru.

Jeden barman stał przy nalewaku za kontuarem, a drugi akurat wstawiał tacę ze szklankami do otworu w ścianie, w którym, jak zrozumiałem, kryła się nieduża winda.

Fantastyczna rzecz, mała winda wożąca różne rzeczy w górę i w dół między piętrami!

Barman przy nalewaku odwrócił się powoli, uniosłem dwa palce, ale nie zareagował i znów stanął tyłem. W tej samej chwili zwrócił się w moją stronę ten drugi, więc nachyliłem się lekko nad kontuarem, by zasygnalizować, że chcę złożyć zamówienie.

– Tak? – spytał.

Był w białej koszuli i czarnym fartuchu, przez ramię przerzucił białą ścierekę, miał długie baki, a na szyi coś jakby tatuaż. W tym mieście nawet barmani wyglądali świetnie.

– Dwa piwa – powiedziałem.

Trzymając w jednej ręce dwie szklanki, podstawił je pod dwa krany i rozejrzał się po lokalu.

W głębi pojawiła się znajoma twarz. To był kumpel Yngvego, Arvid, razem z dwiema innymi osobami. Skierowali się wprost do stolika, przy którym siedział Yngve.

Pierwszy barman postawił na barze dwie półlitrowe szklanki.

– Siedemdziesiąt cztery korony – oznajmił.

– Ale przecież ja zamówiłem u niego. – Wskazałem drugiego barmana.

– Przed chwilą zamówiłeś u mnie dwa piwa. Jeśli u niego zamówiłeś kolejne dwa, to musisz zapłacić za cztery.

– Nie mam tyle pieniędzy.

– To co, mamy wylać to piwo? Musisz uważać, jak zamawiasz. Sto czterdzieści osiem koron.

- Chwileczkę – powiedziałem i poszedłem do Yngvego.
- Masz forszę? – spytałem. – Oddam ci, kiedy wypłacą mi kredyt studencki.
- Przecież miałeś mi postawić.
- No tak..
- Masz. – Podał mi stówę.

Arvid spojrzał na mnie.

- No proszę, kogo tu mamy!

– Właśnie. – Uśmiechnąłem się przelotnie, nie bardzo wiedząc, co robić.

W końcu wskazałem na bar, powiedziałem: – Muszę tylko... – i poszedłem zapłacić.

Kiedy wróciłem, okazało się, że przesiedli się do innego stolika.

- Kupiłeś c z t e r y piwa? – zdumiał się Yngve. – Dlaczego?
- Tak wyszło. Jakieś zamieszanie z zamówieniami.

Nazajutrz padał deszcz i cały dzień siedziałem w mieszkaniu, podczas gdy Yngve był w pracy. Może przez spotkanie z jego kolegami ze studiów, a może dlatego, że zbliżał się początek zajęć – ogarnęła mnie nagła panika. Poczułem, że nic nie umiem, a wkrótce miałem usiąść razem z innymi studentami, prawdopodobnie o wiele bardziej doświadczonymi i zdolniejszymi, pisać teksty, odczytywać je na głos i wysłuchiwać ocen.

Z półki na kapelusze wziąłem parasol, rozłożyłem go i w deszczu zbiegłem ze wzgórza. Jeśli dobrze pamiętałem, na Danmarksplass znajdowała się księgarnia. Rzeczywiście. Otworzyłem drzwi i wszedłem. W środku w ogóle nie było ludzi, a w asortymencie najwyraźniej przeważały artykuły papiernicze. Ale dostrzegłem też kilka półek z książkami, które omiotłem wzrokiem, trzymając w ręku ociekający wodą parasol. Miałem bardzo mało pieniędzy, więc zdecydowałem się na wydanie kieszonkowe. *Głód* Hamsuna. Książka kosztowała trzydzieści dziewięć pięćdziesiąt, zostało mi dwanaście koron, wydałem je na dobry chleb w piekarni przy niewielkim placu na tyłach. Powędrowałem z powrotem pod górę w ulewnym deszczu, który wraz z ciemną, ciężką pokrywą chmur zmieniał cały krajobraz, zamykał go sobą. Woda ściekała z szyb i z masek samochodów, pluskała w rynnach i płynęła ulicami, na których tworzyły się malutkie fale w kształcie pługa. Przepływała obok mnie, gdy wspina-

łem się pod górę, deszcz bębnił w parasol, a torba z chlebem i książką przy każdym kroku obijała mi się o udo.

Wszedłem do mieszkania. Światło było blade, w najdalszych kątach mroczne, a wszystkie meble i przedmioty bez przeszkód zaznaczały swoją obecność. Gdy się tam przebywało, nie dało się nie wyczuwać Yngvego, bijąca od niego aura jakby zawisała w tych pomieszczeniach, dlatego krojąc świeży chleb na kromki przy kuchennym blacie, wyjmując margarynę i brązowy kozi ser, zadawałem sobie pytanie, jaką aurą będzie promieniował mój pokój i czy znajdzie się ktoś, kogo w ogóle będzie to interesować. To Yngve załatwił mi mieszkanie – znał dziewczynę, która na rok wybierała się do Ameryki Południowej, mieszkała po drugiej stronie miasta, w kierunku na Sandviken, przy Absalon Beyers gate – i mogłem je zajmować aż do następnego lata. Miałem szczęście, większość nowo przybyłych studentów zwykle w pierwszym okresie mieszkała w akademikach – albo w Fantoft, gdzie tata miał pokój podczas studiów, gdy byłem mały, albo w Alreku, gdzie przez pierwsze pół roku mieszkał Yngve.

Mieszkanie w akademiku oznaczało niski status, wiedziałem o tym, o wiele lepszy był adres w centrum, najchętniej w pobliżu Torgallmenningen, głównego placu miasta, ale do Sandviken też nie można się było przyczepić.

Zjadłem, schowałem resztę chleba i usiadłem w pokoju z papierosem i kawą, żeby poczytać. Zwykle czytałem szybko, przelatywałem przez strony, nie zastanawiając się nad tym, jak zostały napisane, jakie chwytły czy język zastosował autor. Interesowała mnie jedynie akcja, która mnie pochłaniała. Tym razem usiłowałem czytać powoli, skupiając się po kolei na każdym zdaniu, zwracać uwagę na to, co się w nich działo, a gdy coś wydało mi się znaczące, podkreślać to trzymanym w pogotowiu długopisem.

Już na pierwszej stronie coś odkryłem. Występowała tu zmiana czasu. Najpierw tekst był pisany w czasie przeszłym, potem nagle czas zmieniał się na teraźniejszy i znów wracał do przeszłego. Podkreśliłem to, odłożyłem książkę i z biurka w sypialni wziąłem kartkę. Wróciwszy na kanapę, napisałem:

Hamsun. Głód. Notatki, 14.08.1988

Zaczyna się ogólnie o mieście. Perspektywa daleka. Potem główny bohater się budzi. Zmiana czasu przeszłego na teraźniejszy. Po co? Prawdopodobnie po to, żeby opis był bardziej intensywny.

Na dworze lało. Szum samochodów na Fjøsangerveien brzmiał prawie jak szum morza. Czytałem dalej. Aż mnie zdziwiło, jak prosta jest ta historia. Bohater budzi się w swoim pokoju, skrada się po schodach na dół, bo od pewnego czasu nie płacił czynszu, i wychodzi na miasto. Nic nadzwyczajnego się nie dzieje, po prostu chodzi po mieście, jest głodny i o tym rozmyśla. Dokładnie o tym samym mógłbym i ja napisać. O kimś, kto się budzi w wynajętym mieszkaniu i wychodzi. Ale bohatera musiałoby wyróżniać coś szczególnego, na przykład musiałby być głodny. W tym cała rzecz. Tylko co by to miało być?

Pisanie nie jest żadną czarodziejską sztuką. Chodzi tylko o to, żeby wpaść na coś takiego, na co wpadł Hamsun.

Gdy tak o tym pomyślałem, zmartwienie i niepokój trochę odpuściły.

Kiedy Yngve wrócił do domu, spałem na kanapie. Podniosłem się, gdy tylko usłyszałem odgłos otwieranych drzwi, i kilka razy przetarłem dłońmi twarz, bo z jakiegoś powodu nie chciałem pokazywać, że zasnąłem w środku dnia.

Yngve odstawił plecak na podłogę w przedpokoju, powiesił kurtkę na wieszaku i rzucił mi „cześć” w drodze do kuchni.

Od razu poznałem tę jego zaciętą minę – nie chciał mieć do czynienia z nikim, a już na pewno nie ze mną.

– Karl Ove! – zawołał po chwili.

– Tak?

– Przyjdź tu na chwilę!

Posłuchałem, ale zatrzymałem się w drzwiach.

– Jak pokroiłeś ser? Nie możesz kroić takich grubych plasterków. Mam ci pokazać, jak to się robi?

Wziął nóż do sera i odkroił kawałek.

– O tak – zademonstrował. – Widzisz, jak łatwo jest cienko kroić?

– Widzę – odparłem i odwróciłem się.

– Jeszcze jedno.

Odwróciłem się z powrotem.

– Po jedzeniu masz zgarnąć okruchy. Nie mam zamiaru po tobie sprzątać.

– Dobrze – powiedziałem i poszedłem do łazienki. Miałem łzy w oczach, dlatego kilka razy ochlapałem twarz zimną wodą, potem się wytarłem, wróciłem do pokoju, usiadłem i znów zacząłem czytać *Głód*, słuchając, jak Yngve szykuje sobie jedzenie, sprząta i idzie do sypialni. Po jakimś czasie zapadła cisza, zrozumiałem, że zasnął.

Podobny incydent zdarzył się następnego dnia. Zirytowało go, że nie wytarłem po sobie podłogi w łazience. Wydał mi też parę poleceń, jakby stawiał się wyżej ode mnie. Nie odezwałem się, ze spuszczoną głową zrobiłem to, co mi kazał, ale w duchu się wściekłem. Później tego dnia, gdy wracaliśmy z zakupów i znów za mocno, jego zdaniem, zamknąłem drzwiczki samochodu, usłyszałem: musisz tak cholernie trzaskać, nie możesz trochę uważać? To nie twój samochód. W końcu wybuchnąłem.

– Przestań wreszcie mówić mi, co mam robić, słyszysz? – krzyknąłem. – Nie życzę sobie tego! Traktujesz mnie jak jakiegoś cholernego dzieciaka. Cały czas mnie pouczasz!

Zerknął na mnie.

– Rozumiesz? – spytałem z oczami pełnymi łez.

– Nigdy więcej tego nie zrobię – odparł.

I rzeczywiście, nigdy się to już nie powtórzyło.

*

W ciągu tego tygodnia kilka razy wychodziliśmy na miasto i za każdym razem było tak samo, Yngve spotykał znajomych i przedstawiał mnie im, mówiąc, że jestem jego bratem i zaczynam naukę w Akademii Sztuki Pisania. To mi dawało fory, już byłem kimś, nie musiałem się popisywać, a jednocześnie utrudniało mi to życie, bo należało sprostać opinii, od czasu do czasu rzucić coś, co powinien powiedzieć przyszły pisarz, o czym nikt inny wcześniej nie pomyślał. Ale to nie wypalało. Oni już wcześniej mieli wszystko przemyślane. Umieli więcej niż ja, i to do tego stopnia, że po pewnym czasie dotarło do mnie, iż to, co powiedziałem i pomyślałem, oni pomyśleli i powiedzieli bardzo dawno temu, a teraz uważali to już za przeszłość.

Ale fajnie było pić razem z Yngvem. Po kilku piwach obaj się ożywialiśmy, wszystko, co nas dzieliło w ciągu dnia, nagle pojawiające się milczenie czy narastająca irytacja, nagły brak punktów styecznych między nami, chociaż przecież mieliśmy ich tak wiele, wszystko to znikało w rosnącym zapale, któremu towarzyszyła serdeczność: patrzyliśmy na siebie i wiedzieliśmy, kim jesteśmy. Kiedy szliśmy podchmieleni przez miasto, pokonując kolejne wzgórza w drodze do mieszkania, nie istniało żadne niebezpieczeństwo, nie było też milczenia, wokół nas światła latarni odbijały się w mokrym asfalcie, mijały nas ciemne taksówki, obok przechodzili samotni mężczyźni albo kobiety lub inni młodzi ludzie, podobnie jak my wracający z miasta; wtedy mogłem spojrzeć na Yngvego, który tak samo jak ja szedł lekko pochylony do przodu, i spytać: jak się właściwie czujesz po tym, co się wydarzyło między tobą a Kristin? Doszedłeś już do siebie? A on mógł wtedy na mnie spojrzeć i odpowiedzieć: nie, nigdy nie dojdę do siebie. Żadna nie może się z nią mierzyć.

Mżawka, chmury pędzące nad naszymi głowami, podświetlone od spodu światłami miasta, poważna twarz Yngvego. Ostry zapach spalin, który, jak już zrozumiałem, zawsze wisiał nad Danmarksplass. Na skrzyżowaniu zatrzymał się motorower z dwojgiem młodych ludzi. Chłopak, który prowadził, opuścił stopy na asfalt, siedząca z tyłu dziewczyna mocniej go objęła.

– Pamiętasz, jak Kajsa ze mną zerwała? – spytałem.

– O tyle, o ile.

– Puściłeś mi wtedy The Aller Værste! „Wszystko kiedyś mija, wszystko musi się skończyć”.

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Naprawdę tak zrobiłem?

Kiwnąłem głową.

– To samo mógłbym powiedzieć teraz tobie. Wszystko kiedyś mija. Równie mocno zakochasz się w jakiejś innej dziewczynie.

– Ile wtedy miałeś lat? Dwanaście? Więc to nie jest dokładnie to samo. Kristin była miłością mojego życia. A mam tylko jedno życie.

Nic na to nie odpowiedziałem. Ruszyliśmy w górę zbocza naprzeciwko dawnej stoczni i skręciliśmy w lewo przy wielkim czerwonym budynku, w którym, jak wiedziałem, mieściła się szkoła.

– Ale mam z tego jedną korzyść – przyznał. – Ponieważ nie interesowałem się dziewczynami, one nagle zaczęły interesować się mną, w zupełnie inny sposób niż dawniej. Nie obchodzą mnie, ale mogę je mieć.

– Wiem, że tak jest – powiedziałem. – Mój problem polega na tym, że nie potrafię ich olać. Na przykład Ingvild. Wiem, że będę się cholernie denerwował, kiedy się spotkamy, i nie dam rady powiedzieć ani słowa. Ona sobie pomyśli, że właśnie taki jestem, i nic z tego nie wyjdzie.

– Na pewno nie – zaprotestował Yngve. – Będzie dobrze. Przecież ona już cię zna. Pisaliście do siebie przez całą wiosnę i lato.

– No tak, ale to było p i s a n i e. Pisząc, mogę być, kim zechcę. Mogę poświęcać na to dużo czasu, wymyślać, kim chcę być. A to nie będzie możliwe, kiedy spotkam się z nią naprawdę.

Yngve prychnął.

– Nie myśl o tym tak dużo, a wszystko się ułoży. Ona będzie się czuła dokładnie tak samo.

– Tak uważasz?

– Oczywiście. Wypijcie razem kilka piw i trochę się odprężcie, a wtedy na pewno będzie dobrze.

Wyjął z kieszeni klucz, złożył parasol, wszedł przez bramę i dalej po niskich, śliskich schodkach, pociemniałych od deszczu. Stałem za nim i czeka-

łem, aż otworzy.

– Masz ochotę na kieliszek wina, zanim pójdziemy spać? – spytał.

Kiwnąłem głową.

Przez cały tydzień narastało we mnie zniecierpliwienie, którego nigdy dotąd nie doświadczałem, w ogóle nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Chyba chciałem, żeby się zaczęło na poważnie. Chciałem też wreszcie być na swoim, niezależnić się od Yngvego. Pożyczyłem już od niego kilka stów, a potrzebowałem jeszcze paru do czasu wypłaty kredytu studenckiego. Byłem na tyle głupi, że gdy wyjeżdżałem z Håfjord, zgłosiłem zmianę miejsca zamieszkania i podałem adres Yngvego, więc kiedy przyjechałem do Bergen, czekały na mnie wezwania do zapłaty z elektrowni i z tego sklepu, w którym kupiłem wieżę stereo. To drugie było znacznie poważniejsze, grozili, że jeśli tym razem nie zapłacę, skierują sprawę do sądu, żeby odzyskać pieniądze.

Gdyby to jeszcze była dobra wieża, a nie taka gówniana, jakoś bym to przeżył. Yngve sprawił sobie wzmacniacz NAD i dwa małe, ale dobre głośniki JBL, Ola też miał świetny sprzęt, z elementów kupionych osobno. Właśnie coś takiego powinno się mieć, a nie jakiś pieprzony zestaw Hitachi.

Wkrótce mieli mi wypłacić do ręki ponad dwadzieścia tysięcy.

W tych dniach zastanawiałem się też nad tym, czy nie kupić sobie jakiegoś pisma pornograficznego. Mieszkałem teraz w dużym mieście, nikogo tu nie znałem, więc wystarczyło po prostu zdjąć pornosa z półki, położyć na ladzie, zapłacić, schować do torby i iść do domu. Ale nie potrafiłem się przemóc. Kilka razy stałem w pobliskim kiosku i mój wzrok przyciągały blondynki na okładkach oraz wielkie piersi, i już sam widok skóry na błyszczących kartkach wywoływał ściskanie w gardle. Zawsze jednak kładłem na ladzie jedynie gazetę i paczkę tytoniu, nigdy nie sięgnąłem po takie czasopismo. W dużej mierze dlatego, że mieszkałem u Yngvego i czułem, że nie powinienem niczego tam ukrywać, ale również nie miałem odwagi spojrzeć w oczy ekspedientowi w momencie wykładania pisma na kontuar.

Postanowiłem się z tym wstrzymać.

Przyszedł dzień przeprowadzki. Wspólnie z Yngvem przenieśliśmy z piwnicy do samochodu wszystkie moje rzeczy z Håfjord. W sumie było tego osiem

kartonów, kompletnie zasłaniały widok za tylną szybą, więc Yngve ostrożniej niż zwykle wyjechał na ulicę i ruszył w dół.

– Jeśli teraz gwałtownie zahamujesz, złamiesz mi kark – powiedziałem, bo pudła za mną sięgały do samego sufitu.

– Postaram się tego nie robić – odparował. – Ale nie mogę ci niczego obiecać.

Po raz pierwszy od kilku dni nie padało. Nad miastem unosiła się gęsta szarobiała pokrywa chmur, a światło na okolicznych ulicach było łagodne, chociaż niczego nie przykrywało ani nie upiększało, raczej pozwalało wszystkiemu, co istnieje, wystąpić w całej okazałości. Asfaltowi w szaroczarne plamki, żółtozielonym murom przesyconym spalinami i pyłem, szarozielonym drzewom, gładkiej szarawej powierzchni wody w zatoce przy stoczni. Kolory zaczęły się trochę nasycać, gdy ruszyliśmy pod górę po stronie Sandviken. Tam większość domów była drewniana, a gładka farba na ich ścianach zdawała się lśnić w neutralnym świetle.

Yngve wjechał na krawężnik przy niedużym parku i zatrzymał się tuż przy budce telefonicznej. Na ścianie domu po drugiej stronie ulicy wisiała tabliczka z napisem: „Absalon Beyers gate”.

– To tutaj? – spytałem.

– Ten narożny dom – wyjaśnił Yngve i wysiadł. Uniósł rękę w geście szybkiego powitania, powiodłem za nią spojrzeniem i w oknie mieszkania na parterze zobaczyłem przyglądającą się nam dziewczynę ze ścierką w rękę.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, dziewczyna wyszła do nas, podałem jej rękę. Stwierdziła, że dobrze wymierziliśmy czas, bo akurat skończyła sprzątać.

– Wejdźcie – zaprosiła nas.

Znaleźliśmy się w niedużym pokoju, umeblowanym jak najprościej. Pod oknem stała kanapa, przy niej niski stolik, a pod drugą ścianą biurko. Była też rozkładana sofa, z której dawało się zrobić łóżko. W głębi pokoiku, oddzielona drzwiami, znajdowała się mała kuchnia. To wszystko. Ściany były pomalowane na ciemnobrunatny kolor i byłoby tu cholernie smutno, gdyby nie murowany fragment obok kuchennych drzwi i namalowany na nim pejzaż – drzewo na nadmorskiej skale – trochę podobny do tego widniejącego na pudełkach zapalek, który Kjartan Fløgstad wykorzystał na okładce swojej książki

z ogniem i płomieniami w tytule, *Fyr og flamme*.

Dziewczyna zauważyła, że wpatruję się w malowidło, i uśmiechnęła się do mnie.

– Prawda, że fajne?

Kiwnąłem głową.

– Tu masz klucze – oznajmiła, wręczając mi nieduży pęk. – Ten jest od drzwi wejściowych, ten od mieszkania, a ten od komórki na strychu.

– A gdzie jest toaleta? – spytałem.

– Na dole. Wspólny prysznic i wspólna toaleta. Trochę to niepraktyczne, ale dzięki temu czynsz jest o wiele niższy. Pójdziemy na dół zobaczyć?

Schody były strome, korytarz na dole wąski, po jednej stronie znajdowało się nieduże mieszkanie w suterenie, zajmowane przez kogoś, kto miał na imię Morten, po drugiej – prysznic i toaleta. Spodobał mi się ten brak wygody, przypadły mi też do gustu stare, lekko zalatujące pleśnią mury w piwnicy. Skojarzyło mi się to z Dostojewskim, młody ubogi student w wielkim mieście.

Gdy wróciliśmy na górę, dziewczyna wręczyła mi plik wypełnionych już blankietów do opłacania czynszu, w jedną rękę chwyciła puste wiadro, w drugą szczotkę, a w drzwiach jeszcze się do nas odwróciła.

– Mam nadzieję, że będzie ci tu dobrze. Ja w każdym razie przeżyłam tutaj wiele miłych chwil.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem. – Udanej podróży. Widzimy się latem przyszłego roku.

Zniknęła za rogiem ze szczotką na ramieniu, a my zaczęliśmy wnosić kartony. Kiedy już się z tym uporaliśmy, Yngve wsiadł do samochodu i pojechał do hotelu, bo miał popołudniową zmianę, a ja usiadłem z nogami na stole i zanim zacząłem się rozpakowywać, zapaliłem papierosa.

Mieszkanie znajdowało się na poziomie ulicy, chodnik biegł tuż przy ścianie budynku i chociaż nie przelewał się tędy strumień ludzi, to jednak za oknami regularnie przesuwały się głowy, a widoczne przez szyby pomieszczenie tak przyciągało wzrok, że w zasadzie nikt nie opierał się pokusie zajrzenia do środka. Podniósłszy oczy znad kolekcji płyt, napotkałem spojrzenie czterdziestoletniej kobiety, która, co prawda, natychmiast odwróciła głowę, lecz mimo to zostawiła we mnie odcisk swoich oczu. Powiesiłem plakat z Johnem Lennonem, popatrzyłem w okno i napotkałem wzrok dwóch dwunastoletnich chłop-

ców. Zmontowałem ekspres do kawy, wetknąłem wtyczkę do gniazdka przy szafce, odwróciłem się i spojrzałem wprost w oczy trzydziestoletniego brodacza. Żeby położyć temu kres, pinezkami przypiąłem nad jednym oknem prześcieradło, nad drugim obrus, a potem usiadłem na kanapie, dziwnie niespokojny, jakby pęd we mnie był większy od tego na zewnątrz.

Puściłem kilka płyt, zaparzyłem sobie herbatę i przeczytałem parę stron *Głodu*. Znów zaczęło padać. Podczas krótkich przerw między utworami na longplayach słyszałem krople lekko pukające w szybę tuż za moją głową, chwilami ktoś kręcił się po mieszkaniu piętro wyżej, a za oknem zapadał zmierzch i w pokoju powoli się ściemniało. Rozległy się kroki na schodach, z góry dobiegły podniesione głosy, zagrała muzyka, zaczęła się impreza.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Ingvild, była moją jedyną znajomą w tym mieście, ale odrzuciłem ten pomysł, nie mogłem przyjść na spotkanie z nią nieprzygotowany, miałem tylko jedną szansę i nie wolno mi było jej zaprzepaścić.

To dziwne, że Ingvild wywarła na mnie tak wielkie wrażenie, przecież siedziałem z nią przy stoliku zaledwie pół godziny.

Czy można się w kimś zakochać w czasie półgodzinnego spotkania?

O, tak, można.

Czy człowiek, którego prawie się nie zna i o którym nie wie się właściwie nic, może kogoś wypełnić aż po brzegi?

O, tak.

Wstałem po listy od niej. Najdłuższy przyszedł w połowie lata, pisała, że jest w drodze przez Amerykę razem z rodziną, u której kiedyś mieszkała, zatrzymywali się przy wszystkich napotkanych atrakcjach turystycznych, a było ich wcale niemało, bo prawie każde miasto czymś się szczyciło i z czegoś słynęło. Ingvild wykorzystywała te przystanki na to, by odejść na bok i ukradkiem zapalić, a poza tym, leżąc na łóżku w kamperze, oglądała krajobraz, który czasami bywał niesamowicie piękny i dramatyczny, a czasami monotony i nudny, ale zawsze obcy.

Wyobrażałem ją sobie, ale nie dość na tym, wręcz się z nią identyfikowałem, to znaczy dokładnie rozumiałem, o czym pisze i jak się czuje. W tonie, w jakim pisała, albo w tych przebłyskach, w których się odsłaniała, rozpoznawałem siebie, a czegoś takiego, że ktoś inny odbierał rzeczywistość w ten sam

sposób co ja, nigdy wcześniej nie przeżyłem. Czułem wtedy jasność, radość, lekkość, napięcie, balansowałem na granicy mdłości, cały czas bliski rozpaczy, bo przecież tak bardzo chciałem, pragnąłem tylko jednego, ale co będzie, jeśli się nie uda? Jeśli ona mnie nie zechce? Jeśli uzna, że się dla niej nie nadaję?

Schowałem listy, włożyłem kurtkę, wciągnąłem buty i wyszedłem. Zamierzałem wybrać się do Yngvego, kończył dopiero o jedenastej, ale przy odrobinie szczęścia mogło się okazać, że ma mało roboty i zamieni ze mną kilka słów, może nawet wyjdziemy razem na papierosa.

Najpierw przeszedłem na drugą stronę ulicy, żeby rzucić okiem na mieszkanie piętro wyżej nad moim, ale w oknie zobaczyłem tylko kilka głów od tyłu. Padało dość mocno, nie miałem parasola, a w kurtce przeciwdeszczowej nie chciałem chodzić, więc chociaż było dość nieprzyjemnie i żel do włosów zaczął mi spływać na czoło, wysunąłem głowę przed siebie i ruszyłem naprzód.

W sąsiednich kwartałach wszystkie domy były drewniane i pomalowane na biało, wszystkie też miały krzywe narożniki i dachy na różnych wysokościach. Do niektórych domów prowadziły z chodnika kamienne schodki, do innych nie. W sąsiedniej dzielnicy stały murowane budynki, długie, stosunkowo wysokie kamienice czynszowe, zbudowane zapewne w początkach stulecia, z przeznaczeniem dla robotników, sądząc po prostych, nieprzyozdobionych niczym ścianach.

Ponad tym wszystkim, widoczne nawet z najgłębszych i najmroczniejszych zaułków, wznosiły się góry. A w dole, w prześwitach między domami i drzewami, rozciągało się morze. Góry były wyższe od tych w Håfjord, a morze równie głębokie, ale nie wywierały tak silnego wrażenia jak tam, tu główny ciężar spoczywał na mieście, na kamieniach bruku, na asfalcie, na kamienicach i kwartałach drewnianych domów, na oknach i światłach, na samochodach i autobusach, na mnogości twarzy i ciał na ulicach, w porównaniu z tym wszystkim morze i góry wydawały się lekkie, niemal pozbawione siły ciężenia, były po prostu czymś, na czym człowiek zawiesza wzrok, scenografią.

Przyszło mi do głowy, że gdybym mieszkał tu całkiem sam, na przykład w jakimś niedużym domku na zboczu, bez żadnego innego domu w pobliżu, ale dokładnie w tym samym krajobrazie, wówczas odczuwałbym ciężar gór i głębię morza, słyszałbym szum wiatru przelatującego nad szczytami i fale uderzające o brzeg, i nawet jeśli bym się wprost nie bał, to starałbym się przynaj-

mniej zachować czujność. Krajobraz byłby czymś, w czym bym zasypiał i w czym bym się budził. Teraz tak nie było, czułem to całym sobą, teraz liczyły się twarze.

Minąłem pomalowany na czerwono długi budynek przypominający szopę, w którym mieścił się zakład powroźniczy, przeszedłem na drugą stronę obok supermarketu, dotarłem do szerszej ulicy, na jej końcu skręciłem w prawo, minąłem spokojny szary kościół Mariacki, na który zwróciłem uwagę trzy lata wcześniej, kiedy poprzednim razem odwiedzałem Yngvego i mamę, ponieważ był tak skromny i tak się wtapiał w otoczenie, minąłem go i zszedłem na historyczne nabrzeże, na Bryggen.

Samochody jeździły z zapalonymi światłami. Lekko falująca woda w basenie portowym miała zupełnie czarny kolor. Cumowało tam kilka żaglówek, w ich gładkich kadłubach odbijało się słabo światło przydrożnych latarni. W sterówce jednej z łodzi siedzieli i pili jacyś ludzie, ich głosy rozbrzmiewały cicho, twarze były ledwie oświetlone. Z przylegającej do zatoki dzielnicy Vågsbunnen dobiegały przeróżne dźwięki, szum samochodów, muzyka, okrzyki, które zanim do mnie dotarły, już zdążyły stać się dalekie.

Yngve stał za kontuarem recepcji razem z jakimś chłopakiem. Kiedy wszedłem, spytał:

– Już ci się nudzi? – I patrząc na kolegę, dodał: – To mój brat, Karl Ove. Przeprowadził się tu tydzień temu.

– Cześć – rzucił tamten.

– Cześć – powiedziałem.

Chłopak poszedł na zaplecze. Yngve lekko stukał długopisem o kontuar.

– Musiałem się trochę przewietrzyć – wyjaśniłem. – Pomyślałem, że zajrzę do ciebie, żeby mieć jakiś cel tego spaceru.

– No tak. Tu się nic nie dzieje.

– Widzę. Wracasz później do domu?

Kiwnął głową.

– Asbjørn przyjechał do miasta. Może zajrzemy do ciebie jutro, zobaczymy, jak się urządziłeś?

– Przyjdźcie. Przyniesiesz mi parasol? Masz dwa, prawda? Pożyczyłbym od ciebie, dopóki nie dostanę pieniędzy z kredytu, dobra?

– Postaram się nie zapomnieć.

– No to do zobaczenia.

Kiwnął mi głową, wyszedłem. Na siedzenie u siebie wciąż nie miałem ochoty, więc powędrowałem mokrymi ulicami, obok Café Opera, oczywiście pełnej ludzi, do której jednak nie miałem odwagi wchodzić sam, i skierowałem się nad morze, minąłem kilka zrujnowanych budynków, przypominających magazyny, ruszyłem pod górę i zatrzymałem się dopiero na szczycie wzgórza. Miałem teraz pod sobą Bryggen i Sandviken po drugiej stronie zatoki Vågen, połyskujące w wilgotnym, szarocarnym powietrzu!

Zszedłem na szeroki, otwarty plac, minąłem hotel z betonu i ze szkła, nazywał się Neptun, pomyślałem, że to odpowiednia nazwa w tym mieście, w którym stale płynie woda, i postanowiłem to zapamiętać, a po powrocie do domu zapisać, spojrzałem w górę i na końcu ulicy dla pieszych zobaczyłem wielką murowaną bramę, wiedziałem, że to jedna ze starych bram miejskich, bo mama pokazywała mi dokładnie taką samą roгатkę na drugim końcu centrum. Przeciąłem ulicę, minąłem duży biurowiec, wyrastający wprost z wody jak skała, okrążyłem węgiel i ujrzałem przed sobą przystań promową Strandkaiterminalen, skąd odpływały promy na Sognefjorden, a za nią znów Vågsbunnen.

Przeniknęło mnie poczucie szczęścia. Uszczęśliwiły mnie deszcz, światła, wielkie miasto. I ja sam – miałem przecież zostać pisarzem, gwiazdą, światłem rozjaśniającym drogę innym.

Przegarnąłem ręką włosy śliskie od żelu, wytarłem ją w nogawkę spodni i przyspieszyłem, w nadziei, że to uczucie szczęścia utrzyma się całą drogę do domu i jeszcze dłużej, przez cały ten czas, który czekał mnie w wynajętym mieszkaniu, dopóki nie położę się spać.

Tej nocy przyśniło mi się, że łóżko, na którym leżę, stoi na środku ulicy. Obudzony, najprawdopodobniej biciem dalekich kościelnych dzwonów, pomyślałem, że sen wcale nie był taki dziwny, ponieważ łóżko stało tuż przy ścianie pod oknami i wyraźnie docierał do mnie odgłos każdego kroku na chodniku, poza tym dom stał przy skrzyżowaniu, na którym ludzie idący w różne strony i wracający z miasta zatrzymywali się, żeby pogadać, a z budki telefonicznej po przeciwnej stronie ulicy często również nocą korzystali ci, którzy chcieli zamówić taksówki dla całej gromady znajomych albo postanowili powiedzieć

kilka słów prawdy swojej dziewczynie, chłopakowi bądź przyjacielowi, w każdym razie komuś, kto ich zawiódł i kogo teraz należało przywołać do porządku lub błagać o wybaczenie.

Długo leżałem, zbierając się do wstania, zanim w końcu się ubrałem i poszedłem do sutereny z ręcznikiem w jednej ręce i szamponem w drugiej. Korytarz był zaparowany, nacisnąłem klamkę w drzwiach do prysznica, okazały się zamknięte, a ze środka rozległ się dziewczęcy głos, który zawołał, że niedługo kończy. Okej, powiedziałem i oparłem się o ścianę, żeby poczekać.

Nagle drzwi obok mnie się otworzyły i wystawił z nich kędzierzawą głowę chłopak w moim wieku.

– Cześć – powiedział. – Wydawało mi się, że kogoś słyszę. Mam na imię Morten. To ty się sprowadziłeś na parter?

– Tak – odparłem i podałem mu rękę.

Roześmiał się. Był w samych slipach.

– Co tu robisz? – spytał. – Studiujesz?

– Dopiero przyjechałem do miasta. Zaczynam naukę w czymś w rodzaju szkoły pisania.

– To ciekawe.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi pomieszczenia z prysznicem i wyszła stamtąd dziewczyna, która mogła mieć około dwudziestu pięciu lat. Ciało miała owinięte wielkim ręcznikiem, a głowę drugim, mniejszym. Ciągnął się za nią obłok pary.

– Cześć – rzuciła. – Później poznamy się bliżej. W każdym razie łazienka już wolna.

Odeszła korytarzem.

– He, he, he – zaśmiał się Morten.

– A ty? – spytałem. – Studiujesz?

– Pogadamy później! Idź się wykąp, bo zaraz znów będzie zajęte.

Podłoga w pomieszczeniu z prysznicem była betonowa i lodowata w miejscach, gdzie nie ogrzała jej woda. Odpływ wypełniały włosy, na których zatrzymała się lekko połyskująca piana z szamponu dziewczyny. Plastikowa płyta na ścianie lekko odstawała przy podłodze, a białe drzwi poczerniały od dołu i zaczęły się łuszczyć. Ale woda leciała gorąca i już wkrótce stałem z namy-

dloną głową, nie wiadomo z jakiego powodu nucąc cicho *Ghostbusters*.

Po powrocie do mieszkania nie miałem odwagi nigdzie wyjść, bo Yngve nie sprecyzował, o której przyjdą, ale to mi w niczym nie przeszkadzało, bo czułem w sobie zupełnie inny spokój niż dzień wcześniej, i poświęciłem ten czas na rozpakowanie przyborów kuchennych, ułożenie ubrań w szafie, powieszenie ostatnich obrazów i przygotowanie listy rzeczy, które muszę kupić, kiedy wypłacą mi kredyt. Uporawszy się z tym, stanąłem przy drzwiach i próbowałem spojrzeć na wszystko oczami Yngvego i Asbjørna. Maszyna do pisania na biurku prezentowała się dobrze. Plakat ze stodołą i jaskrawożółtym polem zboża pod prawie czarnym, dramatycznym amerykańskim niebem też był dobry, niezłe źródło inspiracji. Zdjęcie Johna Lennona, największego buntownika spośród Beatlesów, również niczego sobie. No i kolekcja płyt na podłodze pod ścianą, duża i imponująca, nawet dla Asbjørna, który, jak zrozumiałem, znał się na rzeczy. Minusem był zbiór książek, bo liczył zaledwie siedemnaście tomów, a poza tym nie miałem dostatecznego porównania, żeby wiedzieć, z jaką mocą działają poszczególne tytuły. Ale Saabye Christensen, którego miałem *Beatlesów* i *Sneglene*, to na pewno strzał w dziesiątkę. Tak samo Ingvær Ambjørnsen, jego autorstwa miałem trzy pozycje, *23-salen*, *Den siste re-vejakta* i *Hvite niggere*.

Położyłem na stole otwarty *Romans z kokainą*, a obok niego dwa numery „Vinduet”, jeden rozłożony, drugi nie. Trzy otwarte lektury byłyby przesadą, scena wyglądałaby na zaaranżowaną, ale dwie otwarte, a trzecia zamknięta nie mogły wzbudzić niczyich podejrzeń, prezentowały się idealnie.

Godzinę później, kiedy ciągle siedziałem, usiłując coś napisać, usłyszałem dzwonek. Na schodach stali Yngve i Asbjørn. Wyczułem w nich niepokój, już chcieli iść dalej.

- Fajnie, że przyjechałeś do Bergen, Karl Ove – uśmiechnął się Asbjørn.
- Pewnie. Wejdźcie!

Zamknąłem za nimi drzwi do mieszkania, stanęli na środku i zaczęli się rozglądać.

- Fajnie się urządziłeś – stwierdził Yngve.
- Mhm – mruknął Asbjørn. – Naprawdę fajne miejsce. Ale wiesz co?
- Co?
- Ten plakat z Lennonem musisz zdjąć. Nie może tu wisieć.

– Nie? – zdziwiłem się.

– Takie rzeczy są dobre w liceum. John Lennon, cholera – uśmiechnął się ironicznie.

– Zgadzasz się z tym? – spytałem, patrząc na Yngvego.

– Oczywiście.

– No to co mam powiesić w tym miejscu?

– Cokolwiek – odparł Asbjørn. – Już lepszy jest Bjøro Håland^[3].

– Ja właściwie lubię Beatlesów – przyznałem się.

– Chyba nie mówisz poważnie. Beatlesów? – Odwrócił się do Yngvego z uśmiechem. – Mówiłeś, zdaje się, że twój młodszy brat ma dobry gust, jeśli chodzi o muzykę. Podobno prowadził własny program w radiu.

– Nikt nie jest idealny – odpowiedział Yngve.

– Siadajcie – zaprosiłem ich. Sprawa z plakatem Lennona trochę wytrąciła mnie z równowagi i rozzłościła, bo zrozumiałem swój błąd już w momencie, gdy Asbjørn zaczął mówić, oczywiście, że to licealne, ale mimo wszystko ciągle byłem dumny, że są tutaj, u mnie w mieszkaniu, wśród moich rzeczy.

– Gadaliśmy o tym, żeby pójść do miasta, napić się café au lait czy czegoś takiego. Idziesz z nami?

– A nie możemy się napić kawy tutaj?

– Lepiej posiedzieć w Operze – stwierdził Yngve.

– No tak, oczywiście. No to zaczekajcie chwilę, muszę się ubrać.

Gdy tylko wyszliśmy na schody, i Asbjørn, i Yngve włożyli ciemne okulary. Moje zostały w mieszkaniu, ale za bardzo bym się odsłonił, gdybym po nie wrócił, więc zrezygnowałem. Ruszyłem razem z nimi mokrymi ulicami, lśnięcymi w blasku promieni słonecznych, przeciskających się przez szpary w pokrywie chmur.

Asbjørna spotkałem zaledwie kilka razy i nigdy zbyt długo z nim nie rozmawiałem, ale wiedziałem, że jest ważny dla Yngvego, a zatem był ważny również dla mnie. Dużo się śmiał, a gdy przestawał się śmiać, też nigdy nie cichł. Miał krótkie włosy, zaczątki bokobrodów, dość pulchną twarz i ciepłe, uważnie patrzące oczy. Często pojawiał się w nich błysk. Tak jak Yngve, ubrał się tego dnia całkiem na czarno. Czarne lewisy, czarna skórzana kurtka, czarne martensy z żółtymi szwami.

– Naprawdę fajnie, że dostałeś się do tej szkoły pisania – powiedział. – Ragnar Hovland jest świetny. Czytałeś coś z tego, co napisał?

– Nie, w zasadzie nie – przyznałem.

– No to musisz przeczytać. *Sveve over vatna* to zdecydowanie norweska powieść studencka.

– Tak?

– Owszem, i zdecydowanie bergeńska. Absolutnie *over the top*. Jest naprawdę świetny. Lubi The Cramps, już samo to wystarczy!

Zorientowałem się, że często używali wyrażenia „*over the top*”.

– No tak – powiedziałem.

– Crampsów słyszałeś?

– Jasne, oczywiście.

– Już jutro zaczynasz? – spytał Yngve.

Kiwnąłem głową.

– Trochę się denerwuję, to muszę przyznać.

– Dostałeś się, a oni wiedzą, co robią.

– Miejmy nadzieję, że tak.

Café Opera w dzień była zupełnie czymś innym niż Café Opera wieczorem. Teraz nie wypełniali jej studenci popijający piwo, tylko przeróżni ludzie, nawet starsze panie pod sześćdziesiątkę, które siedziały przy kawie i ciastkach. Znaleźliśmy stolik przy oknie na dole, powiesiliśmy kurtki na oparciach krzeseł i poszliśmy zamówić. Byłem kompletnie splukany, więc Yngve postawił mi café au lait, natomiast Asbjørn wziął espresso. Gdy zobaczyłem, jak podają mu małą filiżankę, zorientowałem się, co to jest. To samo zaserwowano mnie i Larsowi, kiedy tir, którym jechaliśmy, zatrzymał się na pierwszym postoju po przekroczeniu włoskiej granicy. Poprosiliśmy o kawę, a dostaliśmy te naparstki z płynem tak mocnym i gęstym, że kompletnie nie nadawał się do picia. Wyplułem go z powrotem do filiżanki, wymownie patrząc przy tym na kelnera, który mnie zignorował, demonstrując, że z kawą wszystko w porządku.

Asbjørn jednak najwyraźniej lubił taką kawę, bo podmuchał na czarnobrunatną powierzchnię, wypił łyk, odstawił filiżankę na spodek i spojrzał w okno.

– A czytałeś Jona Fossego? – spytałem, patrząc na niego.

- Nie, a co, dobry jest?
- Nie mam pojęcia. To kolejny nauczyciel.
- Wiem, że pisze powieści – powiedział Asbjørn. – To modernista. Modernista z zachodu Norwegii.
- Dlaczego nie spytasz mnie, czy czytałem Fossego? – wtrącił się Yngve. – Wiesz, ja też czytam książki.
- Nie słyszałem, żebyś o nim mówił, więc uznałem, że go nie czytałeś. Czytałeś?
- Nie – odparł Yngve. – Ale mogłem.
- Asbjørn się roześmiał.
- Nie ma wątpliwości, że jesteście braćmi!
- Yngve wyjął cygarniczkę i zapalił papierosa.
- Widzę, że jeszcze ci nie przeszło stylizowanie się na Davida Sylviana – zauważył Asbjørn.
- Yngve tylko pokręcił głową i powoli wydmuchał dym nad stolikiem.
- Szukałem takich okularów, jakie nosi Sylvian, ale przejrzałem na oczy, już kiedy zobaczyłem cenę.
- O rany, Yngve! – westchnął Asbjørn. – To twój najgorszy dowcip do tej pory, a to wiele znaczy.
- Owszem, przyznaję, że niezbyt się popisałem – roześmiał się Yngve. – Ale na dziesięć gier słów udana bywa jedna, najwyżej dwie. Problem w tym, że aby dotrzeć do tych naprawdę dobrych, trzeba przejść przez wszystkie słabe.
- Asbjørn spojrzał na mnie.
- Szkoda, że nie widziałeś Yngvego, kiedy wpadł na to, że lotnisko w Jølster oczywiście powinno się nazywać Astrup^[4]. Śmiał się tak, że musiał wyjść z pokoju. Z własnego dowcipu!
- Bo był świetny. – Yngve znów wybuchnął śmiechem. Asbjørn także. A potem, jakby ktoś nagle przekręcił mu wyłącznik, ucichł i przez chwilę siedział w kompletnym milczeniu. Wyjął papierosa, zauważyłem, że pali winstony, zapalił jednego i drugim łykiem opróżnił filiżankę espresso.
- Nie wiesz, czy Ola jest w mieście? – zwrócił się do Yngvego.

– Tak, już od jakiegoś czasu – odparł Yngve.

Zaczęli rozmawiać o swoim kierunku studiów. Większości nazwisk, które padały, nigdy nie słyszałem, a ponieważ kontekst był mi nieznany, nie mogłem się włączyć, nawet kiedy nawiązywali do filmów i zespołów, które znałem. W pewnej chwili doszło niemal do kłótni. Yngve uważał, że nie istnieje nic, co by było szczere, autentyczne samo w sobie, że wszystko jest w taki czy inny sposób pozerstwem, nawet image Bruce’a Springsteena, który podał za przykład. Twierdził, że ta jego zwyczajność jest równie udawana i przemyślana, jak ekscentryczność Davida Sylviana czy Davida Bowiego. Oczywiście, przyznał Asbjørn, oczywiście, w tej kwestii masz rację, ale to przecież nie wyklucza istnienia naprawdę szczerych sposobów wyrazu. Kogo masz na myśli? – spytał Yngve. Podaj jakiś przykład! Hank Williams, powiedział Asbjørn. Hank Williams!? – oburzył się Yngve. Przecież o nim krążą legendy. Jakie legendy? Legendy country, odparł Yngve. O rany, Yngve! – zdenerwował się Asbjørn.

Yngve przeniósł wzrok na mnie.

– Tak samo jest z literaturą. Nie ma różnicy między powieścią rozrywkową a powieścią *highbrow*, obie są tak samo dobre. Inna jest tylko aura, jaką się je otacza, a o niej decydują czytelnicy, nie sama książka. Nie ma nic takiego jak „książka sama w sobie”.

Wcześniej nigdy się nad tym nie zastanawiałem, więc milczałem.

– No a komiksy? – spytał Asbjørn. – Czy wobec tego *Kaczor Donald* jest tak samo dobry jak James Joyce?

– W zasadzie tak.

Asbjørn się roześmiał, a Yngve się uśmiechnął.

– Ale mówiąc poważnie, to recepcja definiuje dzieło czy artystę, artyści oczywiście na tym grają. Bez względu na to, czy znajdujesz się wysoko, czy nisko, i tak wszystko jest poza.

– Pracujesz jako recepcjonista, więc na czym jak na czym, ale na recepcji powinieneś się znać – stwierdził Asbjørn.

Znów trochę się pośmiali, a potem umilkli. Yngve wstał po gazetę, ja też. Siedzieliśmy i przerzucaliśmy stronicę, byłem tak podekscytowany całą tą sytuacją, tym, że siedzę razem z dwoma doświadczonymi studentami w knajpie w Bergen w niedzielne popołudnie, i tym, że nie jest to sytuacja wyjątkowa, chwilowa, tylko taka, której jestem częścią, że ledwie docierała do mnie treść

artykułów.

Wyszliśmy stamtąd pół godziny później, oni wybierali się do Oli, który mieszkał przy ulicy na tyłach Grieghallen. Yngve spytał, czy chcę iść z nimi, ale odmówiłem, tłumacząc, że muszę się trochę przygotować na jutro. Prawdziwym powodem była jednak radość, jaką odczuwałem, tak wielka, że z trudem sobie z nią radziłem, i musiałem trochę pobyc sam.

Rozstaliśmy się na końcu Torgallmenningen, przy knajpie o nazwie Dickens. Życzyli mi powodzenia, Yngve poprosił, żebym zadzwonił i opowiedział, jak mi poszło. Spytałem, czy mógłby mi pożyczyć trochę pieniędzy, już ostatni raz, kiwnął głową i wygrzebał z kieszeni pięć dych. Szybkim krokiem ruszyłem przez ten wielki, pusty plac w środku miasta, smagany deszczem, bo chociaż słońce wciąż oświetlało domy na zboczu, to jednak niebo bezpośrednio nademną było ciężkie, niebieskoczarne.

Po powrocie do mieszkania nie tylko zdjęłem ze ściany zdjęcie Johna Lenona, ale w dodatku podarłem je na kawałeczki, które wyrzuciłem do kosza na papiery. Potem postanowiłem zadzwonić do Ingvild i zaproponować jej spotkanie w weekend, uznałem bowiem, że to dobry moment. Czułem się lekko na duszy, a ta lekkość otwierała mnie na nią, bo to o niej myślałem całą długą drogę pod górę, jakby moje wnętrze nie wiedziało, co jest dla niego dobre, i do napięcia wywołanego godzinnym spotkaniem z Yngvem i Asbjørnem postanowiło dołożyć kolejną porcję, co prawda zupełnie innego rodzaju, bo ten konkretny czas spędzony z nimi, to, co się działo tam i wtedy, było nie do zniesienia, natomiast napięcie związane z Ingvild w zupełnie inny sposób kierowało się ku temu, co miało się wydarzyć kiedyś w przyszłości – gdy się ze sobą zwiążemy, wtedy wreszcie będzie mogło opaść.

Ona i ja.

Myśl, że to naprawdę możliwe, że nie jest to tylko samooszukiwanie się, marzenie, odezwała się z nową siłą.

Na dworze całkiem się zachmurzyło, przebłyski słońca zupełnie zniknęły, krople deszczu z pluskiem uderzały w nawierzchnię ulicy. Przebiegłem do budki telefonicznej, kartkę z numerem do Fantoft położyłem na aparacie, wrzuciłem piątkę do szczeliny, wykręciłem numer i czekałem. W końcu odezwał się głos młodego mężczyzny; kiedy spytałem o Ingvild, odpowiedział, że nie mieszka tam nikt o tym imieniu, więc wyjaśniłem, że ma się wprowadzić, ale może jeszcze nie przyjechała, odparł, że rzeczywiście, jeden pokój jest ciągle

pusty, więc przeprosiłem, że przeszkadzam, powiedział, że nic nie szkodzi, i odłożyłem słuchawkę.

Koło siódmej rozległ się dzwonek do drzwi. Poszedłem otworzyć, to był Jon Olav.

– Cześć – powitałem go. – Jak mnie tu znalazłeś?

– Zadzwoiłem do Yngvego. Mogę wejść?

– O rany, no pewnie.

Nie widziałem go od Wielkanocy, kiedy to pojechaliśmy do Førde i tam poznałem Ingvild. Jon Olav studiował w Bergen prawo, ale z tego, o czym mówił przez następne pół godziny, zrozumiałem, że mnóstwo czasu i sił poświęca młodzieżowej organizacji zajmującej się ochroną środowiska, Natur og Ungdom. Zawsze miał skłonności idealistyczne: któregoś lata, gdy w tym samym czasie byliśmy u dziadków w Sørbøvåg – mogliśmy mieć wtedy ze dwanaście, trzynaście lat – stałem oparty o kierownicę roweru i gadałem z nim o różnych dziewczynach mieszkających w pobliżu, a o jednej powiedziałem, że rzygać mi się chce na jej widok. Nagle mnie wtedy zaatakował: wydaje ci się, że ty jesteś taki śliczny?

Zrobiło mi się głupio, wsiadłem na rower i zacząłem jeździć w kółko, a później już zawsze pamiętałem ten moment, jego troskę o innych i gotowość stawania w ich obronie.

Pogadaliśmy trochę, napiliśmy się herbaty, spytał, czy chciałbym zobaczyć jego stancję. To było niedaleko, a ponieważ oczywiście chciałem, wkrótce szliśmy już ulicą, biegnącą w dół.

– Widziałeś się latem z Ingvild? – spytałem.

– Tak, przelotnie, parę razy. Co u niej słyhać? Pisałeś do niej, prawda?

– Tak. Od tamtej pory korespondujemy ze sobą. Przyjeżdża teraz do Bergen, więc mam zamiar się z nią spotkać.

– Jesteś nią zainteresowany?

– To *understatement* – przyznałem. – Nigdy wcześniej nie czułem nic podobnego.

– No to rzeczywiście nieźle – roześmiał się.

Zatrzymał się przy drzwiach wysokiego, długiego, murowanego budynku na-

przeciwko dawnego warsztatu powroźniczego. Klatka schodowa i schody były drewniane, sprawiały wrażenie nagich, niemal biednych. Mieszkanie składało się z dwóch małych pokoików, ze wspólną toaletą na korytarzu, prysznic nie było. Zbiór płyt Jona Olava, który przejrzałem, kiedy wyszedł do ubikacji, był niewielki i przypadkowy, w równych częściach składał się z dobrych i ze złych longplayów. Znalazły się wśród nich takie, jakie mieli wszyscy, parę było naprawdę dobrych, na przykład Waterboys, parę trochę gorszych, jak The Alarm. To była kolekcja kogoś, kto niespecjalnie interesuje się muzyką i głównie naśladuje innych. Ale Jon Olav grał kiedyś w zespole, umiał grać na saksofonie i to właśnie on nauczył mnie podstawowego beatu na perkusji, kiedy byliśmy mali, koordynacji hi-hatu, werbla i bębna basowego.

– Musimy któregoś wieczoru umówić się na miście – oświadczył, kiedy wrócił. – Spotkasz moich kumpli.

– To ci sami co dawniej?

– Tak. I liczę, że zawsze będą ci sami. Idar i Terje, z nimi najczęściej się spotykam.

Wstałem.

– Jeszcze o tym pogadamy. Teraz powinienem już wracać. Jutro pierwszy dzień w akademii.

– Gratuluję ci, że się dostałeś.

– No tak, fajnie. Ale trochę się denerwuję. Przecież nie mam pojęcia, jaki tam będzie poziom.

– Chyba dalej będziesz robił swoje? W każdym razie to, co czytałem, było niezłe.

– Mam nadzieję, że tak. No to na razie.

W środku nocy miałem wytrysk, obudził mnie, przez jakiś czas leżałem po ciemku, rozważając, czy nie wstać i nie włożyć świeżych slipów, ale wkrótce zasnąłem. Za dziesięć szóstą znów otworzyłem oczy. W momencie gdy odzyskałem świadomość i zorientowałem się, gdzie jestem, w żołądku ścisnęło mnie z nerwów, zamknąłem powieki, usiłując dalej spać, ale byłem zbyt spięty, więc wstałem, obwiązałem się w pasie ręcznikiem i po zimnych schodach zimnym korytarzem przeszedłem do tak samo zimnej łazienki. Spędziwszy pół godziny pod strumieniem wrzątku, wróciłem na górę i ubrałem się, starannie

i metodycznie. Czarna koszula i czarna kamizelka z szarymi plecami. Czarne lewisy, pas z ćwiekami, czarne buty. Dużo żelu we włosy, żeby sterczały, tak jak powinny. Do specjalnie zaoszczędzonej reklamówki, którą dostałem od Yngvego, z Virgin, wrzuciłem notes i długopis, a na dodatek *Głód*, dla większego obciążenia.

Zaścieliłem łóżko, z powrotem zmieniając je w kanapę, wypilem tylko kubek mocno posłodzonej herbaty, ponieważ nie miałem siły jeść śniadania, a potem siedziałem i wyglądałem przez okno, patrzyłem na błyszczącą budkę telefoniczną, w której odbijało się słońce, na zacieniony trawnik w parku za nią, na drzewa, za którymi gwałtownie wyrastało skalne zbocze z szeregiem murowanych domów, również zacienionych, potem wstałem i nastawiłem płytę, przejrzałem kilka numerów „Vinduet”, a wszystko po to, by jakoś zabić czas do dziewiątej, kiedy mógłbym wreszcie wyjść. Zajęcia zaczynały się dopiero o jedenastej, ale zamierzałem najpierw pochodzić trochę po mieście, może znaleźć jakąś kawiarnię i tam poczytać.

Ulicą nadszedł kominiarz, na ramieniu niósł zwój liny, zakończony szczotką. Po trawniku skradał się kot. Droga wzdłuż skalnego zbocza, widoczną w przerwach między domami, jechała karetka pogotowia, powoli, bez włączonych syren i świateł.

W tamtej chwili, właśnie w tamtym momencie, czułem, że mogę osiągnąć wszystko, czego zapragnę, że nie ma dla mnie żadnych granic. Nie chodziło o pisanie, liczyło się coś innego, jakaś ogromna otwartość, trochę tak, jakbym mógł w tej chwili wstać i iść, iść i iść, aż na koniec świata.

Wrażenie to trwało może pół minuty, zaraz minęło i chociaż usiłowałem przywołać je z powrotem, pozostało odległe, mniej więcej tak jak sen, który znika i wymyka się, gdy człowiek usiłuje go uchwycić.

Gdy kilka godzin później szedłem ulicami w stronę centrum, czułem w sobie łagodne i nawet dość przyjemne zdenerwowanie, tak, czułem się lekko i dobrze, miało to jakiś związek z tym, że świeciło słońce, i z życiem na ulicach wokół mnie. W drodze pod górę w stronę Klosteret zobaczyłem, że na brzegach asfaltu wyrastają długie żdźbła trawy, a w paru miejscach między domami widniały nieduże gołe skały, które wiązały miasto z otaczającymi je dzikimi górami i z morzem w dole, ze wszystkim, co było nietknięte ręką człowieka; świadomość, że miasto stanowi część pejzażu, nie jest niczym osobnym, od-

ciętym, jak wydawało mi się przez pierwsze dwa dni, wywołała we mnie kolejną falę dobrych odczuć. Deszcz padał wszędzie, słońce świeciło wszędzie, wszystko wiązało się ze wszystkim.

Yngve dokładnie objaśnił mi drogę, więc nie miałem żadnych problemów z trafieniem. Przeszedłem wąskim zaułkiem, minąłem kilka dziwnych krzywych domków i u stóp wzgórza, nad brzegiem zatoki, zobaczyłem budynek nazywany po prostu Stoczną^[5]. Był murowany, wyglądał na dziewiętnastowieczny, miał wielki fabryczny komin. Okrążyłem go, szukając wejścia, nacisnąłem klamkę, drzwi okazały się otwarte, wszedłem. Pusty korytarz z kilkorgiem drzwi, żadnej tabliczki. Ruszyłem dalej. Z jakiegoś pomieszczenia wyszedł facet, trzydziestolatek, w dużych czarnych okularach i poplamionym T-shircie, artysta.

– Szukam Akademii Sztuki Pisania – powiedziałem. – Gdzie to może być?

– Nie mam pojęcia. W każdym razie nie tutaj.

– Na pewno?

– Oczywiście, że na pewno. Inaczej bym tak nie mówił.

– No tak.

– Ale spróbuj z drugiej strony. Tam są jakieś biura.

Zrobiłem, jak radził. Po drugiej stronie wszedłem po schodach do środka. Korytarz z kilkoma zdjęciami stoczni z czasów jej świetności, kręcone schody w głębi.

Otworzyłem jakieś drzwi i znalazłem się w kolejnym korytarzu. Tam jedne z licznych drzwi były uchylone, więc zajrzałem. Atelier. Odwróciłem się i ruszyłem z powrotem. Zatrzymałem się przy wejściu do korytarza, do którego zmierzała akurat kobieta mniej więcej trzydziestoletnia, w jasnoniebieskim płaszczu, o pulchnej twarzy, dużych oczach i trochę krzywych zębach.

– Wiesz, gdzie jest Akademia Sztuki Pisania? – spytałem.

– Wydaje mi się, że wyżej. Będziesz się tam uczył?

Kiwnąłem głową.

– Ja też – roześmiała się. – Mam na imię Nina.

– Karl Ove.

Ruszyłem za nią po schodach. Przez ramię miała przewieszoną niedużą torebkę. Jej konwencjonalny wygląd, na który składały się nie tylko płaszcz, torebka i krótkie botki, lecz również sposób ułożenia włosów, kojarzący się

z fryzurami dziewczynek z dziewiętnastego wieku, mocno mnie rozczarował. Spodziewałem się czegoś ostrzejszego, dzikszego, mroczniejszego. W każdym razie nie tak zwyczajnego. Skoro dopuszczali tu taką zwyczajność, to może i ja się dostałem, ponieważ byłem zwyczajny.

Nina otworzyła drzwi na szczycie schodów i weszliśmy do dużego pomieszczenia z ukośnie ściętymi ścianami i trzema dużymi oknami po jednej stronie oraz dwojgiem drzwi, między którymi stał regał z książkami, po drugiej. Na środku ustawiono w podkowie kilka stolików. Siedziały przy nich trzy osoby. Obok stali dwaj mężczyźni. Jeden, wysoki, szczupły, w marynarce z podwiniętymi rękawami, spojrzał na nas z uśmiechem. Zauważyłem, że na szyi ma złoty łańcuszek, a na palcach kilka pierścionków. Ten drugi, niższy, również w marynarce, z niedużym brzuszkiem rysującym się pod przyciasną koszulą, posłał nam przelotne spojrzenie i zaraz spuścił wzrok. Obaj mieli wąsy. Pierwszy mógł mieć około trzydziestu pięciu lat, drugi, stojący z rękami skrzyżowanymi na piersi, około trzydziestu.

Obaj wydawali się zdenerwowani. Po obu było widać, że w tej chwili woliliby znajdować się zupełnie gdzie indziej. Objawiało się to jednak bardzo różnie.

– Witamy – powiedział wysoki i przedstawił się: – Ragnar Hovland.

Uścisnąłem mu rękę i powiedziałem, jak się nazywam.

– Jon Fosse – rzucił szybko ten drugi, niemal wypluł te słowa.

– Usiądźcie na razie – zaproponował Ragnar Hovland. – Jest kawa w ekspresie, no i woda, gdyby ktoś miał ochotę.

Mówiąc to, patrzył raz na mnie, raz na Ninę, ale gdy tylko skończył mówić, odwrócił wzrok. Głos mu leciutko drżał, jakby naprawdę musiał ze sobą walczyć, aby powiedzieć to, co miał do powiedzenia. Jednocześnie miał przebiegłą minę, jakby wiedział o czymś, o czym nie wie nikt inny, a wzrok odwracał, żeby w duchu się z nas śmiać.

– Nie czytałem jeszcze żadnej twojej książki – odezwałem się, patrząc na niego. – Ale ostatnio pracowałem jako nauczyciel i w szkole korzystaliśmy z jednego z twoich podręczników.

– Tak? To dziwne – stwierdził. – Bo nigdy nie wydałem żadnego podręcznika.

– Było tam twoje nazwisko. Jestem pewien. Ragnar Hovland, tak?

– Oczywiście. Ale nie napisałem żadnego podręcznika.

– No ale ja go widziałem.

Uśmiechnął się.

– Nie mogłeś widzieć. Chyba że ktoś inny nazywa się tak jak ja.

– Jestem absolutnie pewien – powtórzyłem, zrozumiałem jednak, że nic więcej nie osiągnę, więc odłożyłem reklamówkę na krzesło, podszedłem do ekspresu, wziąłem plastikowy kubek ze stosu i nalałem sobie kawy. Widziałem już jego nazwisko, byłem tego pewny, dlaczego nie chciał się przyznać? To chyba żaden wstyd wydać podręcznik dla szkoły podstawowej? A może jednak?

Usiadłem, zapaliłem papierosa i przyciągnąłem do siebie popielniczkę. Z drugiej strony stołu przyglądała mi się ciemnowłosa kobieta w średnim wieku. Uśmiechnęła się, kiedy napotkałem jej spojrzenie.

– Else Karin – przedstawiła się.

– Karl Ove.

Obok niej siedziała jakaś dziewczyna i coś czytała. Mogła mieć ze dwadzieścia pięć lat, długie jasne włosy związała w koński ogon, który zdawał się naciągać skórę twarzy, co wraz z małymi, niemal prostymi wargami przydawało jej surowości, wzmocnionej jeszcze krótkim rzutem oka na mnie, w którym wychwyciłem sporą dozę sceptycyzmu.

Dalej siedział chłopak w tym samym wieku, wysoki i chudy, z małą głową, dużym jabłkiem Adama i wyraźnymi, lekko wygiętymi ustami; miał w sobie natychmiast wyczuwalny formalizm, a także zwyczajność.

– Knut – przedstawił się. – Miło mi.

W drzwiach pojawiły się jeszcze dwie osoby, mężczyzna miał brodę i nosił okulary, ubrany był we flanelową koszulę w czerwonej kratę, jasnoniebieską wiatrówkę i brązowe aksamitne spodnie. Pomyślałem, że wygląda jak przyjęty na zastępstwo pracownik sklepu z używanymi komiksami albo czymś podobnym. Towarzyszyła mu dość niska dziewczyna w wielkiej, czarnej, skórzanej kurtce, czarnych spodniach i czarnych ciężkich butach. Włosy też miała czarne i przez ten krótki czas, kiedy na nich patrzyłem, zdążyła dwukrotnie poruszyć głową i odgarnąć grzywkę do tyłu. Usta miała delikatne, a oczy czarne jak dwa węgielki.

– Petra – przedstawiła się, odsuwając sobie krzesło.

– A mnie na imię Kjetil. – Powiedziawszy to, chłopak wbił wzrok w stół.

Dziewczyna dwa razy zamrugała i podniosła górną wargę, jakby warczała, odsłaniając zęby.

Drzwi jeszcze raz się otworzyły i weszła kobieta trzydziesto-, może trzydziestopięcioletnia, szczupła, ale jakaś szara i matowa, z wyjątkiem oczu, które były wesołe i żywe.

Wypiłem łyk kawy i znów zerknąłem na czarnowłosą dziewczynę.

Miała delikatne, regularne rysy twarzy, ale otaczała ją ponura, niemal brutalna aura.

Spojrzała na mnie, uśmiechnąłem się, ale nie odpowiedziała uśmiechem, więc się zaczerwieniłem. Zdecydowanym ruchem zgasiłem papierosa w popielniczce, wyjąłem notatnik i położyłem go przed sobą na stole.

– To już chyba wszyscy – stwierdził Ragnar Hovland i obaj z Jonem Fossem ruszyli na drugi koniec sali, gdzie na ścianie wisiała tablica. Usiedli.

– Czekamy na Sagena? – spytał Fosse.

– Dajmy mu jeszcze kilka minut – odpowiedział Hovland.

Byłem tu najmłodszy, i to ze sporym marginesem. Gdzieś czytałem, że przeciętny wiek debiutanta w Norwegii wynosi trzydzieści kilka lat. Ja chciałem zadebiutować zaraz po dwudziestce. Ale kilka osób tutaj też nie dotarło jeszcze do tej granicy wieku. Petra, ta surowa dziewczyna, Knut, Kjetil. Wszyscy mieli około dwudziestu pięciu lat. Ciemnowłosa kobieta mogła mieć koło czterdziestki, w każdym razie ubierała się jak czterdziestolatka, miała szerokie, luźne rękawy i duże kolczyki. Ale obcisłe spodnie. Starannie zaznaczone brwi. I mocną szminkę na wąskich wargach. Co ona mogła, do cholery, pisać?

No i była jeszcze ta druga, Nina. W bladej twarzy miała coś rozmytego, jakby za dużo skóry, lekkie cienie pod oczami, jasne włosy, falami opadające na ramiona. Na pewno pisała lepiej, no ale czy to w ogóle mogło być dobre?

W drzwiach pojawił się niski mężczyzna, przypuszczalnie ów oczekiwany Sagen. Był w niebieskiej marynarskiej czapce, brązowej skórzanej kurtce, niebieskiej koszuli i ciemnobrązowych sztruksach. Ciemne kręcone włosy, nieduża łysina, nieduży brzusek.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, otworzył drzwi z prawej strony, chwilę pokręcił się w pomieszczeniu za nimi i wyszedł już bez kurtki i bez

czapki. Usiadł.

– No to możemy zaczynać, tak? – spytał, spoglądając na dwóch pozostałych. Na Hovlanda, który opierał się rękoma o brzeg krzesła, i na Fossego, który siedział z rękami skrzyżowanymi na piersi i patrzył nieco w bok. Obaj skinęli głowami i Sagen nas powitał. Opowiedział trochę o tym, jak powstała akademia, podkreślił, że to był jego pomysł, mówił o realizacji, o tym, że szkoła działa drugi rok i że to przywilej uczyć się tutaj, ponieważ zostaliśmy wybrani spośród ponad siedemdziesięciorga kandydatów, a nauczyciele zaliczają się do grona najlepszych pisarzy w kraju. Potem oddał głos Fossemu i Hovlandowi, którzy przedstawili pokrótce plan zajęć. W tym tygodniu mieliśmy wszyscy razem omawiać teksty, dzięki którym nas przyjęto. Dalej miał być blok poezji, następnie prozy, dramatu i eseistyki. Pomiędzy tymi sekwencjami przewidziano okresy pisania, a także zajęcia z nauczycielami wykładającymi gościnnie. Z jednym z nich, Øysteinem Lønne, zaplanowano kilkakrotne zajęcia, miał być kimś w rodzaju głównego nauczyciela, oczywiście oprócz Hovlanda i Fossego. Na wiosnę w planach był dłuższy okres pisania, a przed zakończeniem roku mieliśmy przygotować jakąś większą pracę, która zostanie oceniona. Tryb zajęć miał być następujący: dwóch nauczycieli najpierw omówi teorię, po czym nastąpią ćwiczenia i dyskusje nad tekstami. Nagle Jon Fosse pierwszy raz w ogóle zabrał głos i oświadczył, że nie będzie żadnej historii literatury, omawiane będą teksty powstałe głównie w nowszych czasach, a więc modernistyczne lub postmodernistyczne.

Øystein Lønn, jeszcze jeden nieznany pisarz.

Podniosłem rękę.

– Słucham? – spytał Hovland.

– Wiadomo już, jacy inni pisarze przyjadą na gościnne wykłady?

– Nie znamy jeszcze wszystkich nazwisk, ale na pewno Jan Kjørstad i Kjartan Fløgstad.

– To świetnie – powiedziałem.

– Nie będzie żadnej kobiety? – spytała Else Karin.

– Będą, oczywiście – odparł Hovland.

– Może zrobimy teraz rundę prezentacyjną – zaproponował Sagen. – Przedstawicie się, powiecie, ile macie lat i co piszecie, tak mniej więcej.

Else Karin, która zaczęła, nie spieszyła się i mówiąc, patrzyła na wszystkich

po kolei. Powiedziała, że ma trzydzieści osiem lat i wydała dwie powieści, ale nie uważa się za w pełni wykształconą i ma nadzieję, że w ciągu tego roku zrobi krok naprzód. Bjørg, bo tak miała na imię matowa kobieta o żywych oczach, również wydała powieść. Oprócz nich dwóch nikt z nas jeszcze nie zadebiutował.

Kiedy przysłała moja kolej, przedstawiłem się, powiedziałem, że mam dwiętnaście lat i piszę prozę, coś pomiędzy Hamsunem i Bukowskim, a obecnie pracuję nad powieścią.

– Petra, dwadzieścia cztery lata, proza – powiedziała Petra.

Rozdano nam plan zajęć, a potem Sagen przyniósł stos książek, w prezencie od wydawnictwa. Mogliśmy wybrać między dwoma tytułami, albo *Gravgaver* Tora Ulvena, albo *Fra Merete Morken Andersen*. O żadnym z tych pisarzy też nie słyszałem, ale wybrałem Ulvena, ze względu na nazwisko^[6].

Wszyscy wyszliśmy z zajęć jednocześnie i w drodze pod górę za Stoczną znalazłem się obok Petry.

– No i co myślisz? – spytałem.

– O czym?

– No jak to o czym, o naszej szkole.

Wzruszyła ramionami.

– Nauczyciele byli próżni i zadufani w sobie. Ale możliwe, że mimo to potrafią nas czegoś nauczyć.

– Próżni chyba nie byli – zaprotestowałem.

Prychnęła, mocno potrząsnęła głową, odrzucając grzywkę, i spojrzała na mnie z leciutkim uśmiechem.

– Nie zauważyłeś tej całej biżuterii Hovlanda? Miał łańcuszek, pierścionki i na dodatek bransoletkę. Wyglądał jak alfons.

Nic nie powiedziałem, chociaż uważałem tę ocenę za trochę zbyt surową.

– A Fosse tak się denerwował, że nie miał odwagi nawet na nas spojrzeć.

– To przecież pisarze – zauważyłem.

– I co z tego? To ma ich usprawiedliwiać? Przecież oni po prostu siedzą gdzieś i piszą. Nic więcej w tym nie ma.

Zrównał się z nami Kjetil.

– Ja się właściwie nie dostałem – zwierzył się. – Byłem na liście oczekujących, no i ktoś w ostatniej chwili zrezygnował.

– Wobec tego miałeś szczęście – stwierdziła Petra.

– Wiem. Poza tym to nie był żaden problem, bo i tak tu mieszkam, więc po prostu mogłem przyjść.

Mówił dialektem z Bergen, Petra zaś dialektem z Oslo, podobnie jak pozostali, z wyjątkiem Niny, bergenki, i Else Karin, która pochodziła gdzieś z południa regionu Vestlandet. Byłem jedyną osobą z Sørlandet, z południa kraju; kiedy to sobie uświadomiłem, zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle są jacyś pisarze stamtąd. Vilhelm Krag, no tak, ale on pisał przecież na przełomie wieków. Gabriel Scott? Tak samo. Oczywiście Bjørneboe, ale on z kolei usiłował wręcz zacierać u siebie wszelkie ślady swojego pochodzenia, w każdym razie tak to wyglądało w kilku wywiadach telewizyjnych, które widziałem, posługiwał się bardzo poprawną, konserwatywną odmianą norweskiego, a w jego książkach niewiele było o gładkich skałach nad morzem i rybackich kutrach.

Za nami szła Else Karin w zwiewnych szatach. Najwyraźniej należała do kobiet, które otaczają się chmurą gestów i przedmiotów, torebek, ubrań, papierosów i rąk.

– Hej – powiedziała, wbijając we mnie wzrok. – Właśnie obliczyłam, że mam dwa razy tyle lat co ty. Ty masz dziewiętnaście, a ja trzydzieści osiem. Jesteś bardzo młody!

– Owszem – potwierdziłem.

– Fajnie, że się dostałeś.

– Fajnie.

Petra się odwróciła, Kjetil patrzył na nas swoimi dobrymi oczami. W końcu dogoniliśmy resztę, stali na skrzyżowaniu i czekali na zielone światło. Domy po drugiej stronie ulicy były w złym stanie, miały ściany poszarzałe od spalin i asfaltowego pyłu, okna całkowicie nieprzejrzyste. Słońce ciągle świeciło, ale nad górami od północy niebo było prawie czarne.

Przeszliśmy na drugą stronę, pokonaliśmy łagodne wzgórze, minęliśmy antykwariat z rodzaju tych zaniedbanych, tak przynajmniej uznałem, patrząc na wystawę, na której wywieszono rozmaite komiksy, a na obciążonej filcem płycie ułożono kilka książek z tanich serii w wydaniu kieszonkowym, wszystko moc-

no wyblakłe na słońcu, które popołudniami świeciło przez szybę. Kawałek dalej, po drugiej stronie, była pływalnia. Postanowiłem, że wybiorę się tam w najbliższych dniach.

Przy Café Opera nasza grupa się rozeszła. Pożegnałem się i pospieszyłem do domu. Miałem ochotę kupić trochę książek, najchętniej tomików poezji, bo w całym swoim życiu nie przeczytałem ani jednego wiersza, oprócz tych przerabianych w szkole, głównie Wergelanda i Wildenveya, wyjąwszy jeszcze te tygodnie, kiedy na lekcjach norweskiego w liceum przygotowywaliśmy coś w rodzaju kabaretu – w trakcie występu Lars i ja czytaliśmy na scenie teksty Jima Morrisona, Boba Dylana i Sylvii Plath. Tych sześć wierszy było jedynymi porządnymi wierszami, jakie w życiu przeczytałem, lecz po pierwsze, nic z nich nie zapamiętałem, a po drugie, domyślałem się, że w akademii będziemy się zajmować zupełnie innym rodzajem poezji. Ale książki musiały poczekać do czasu, aż odbiorę kredyt studencki.

Ze skrzynki pocztowej wyjąłem same reklamy, wśród nich znalazł się jednak niewielki katalog angielskiego klubu książki, mieszczącego się – aż trudno uwierzyć – w Grimstad, więc starannie go przejrzałem, bo do złożenia zamówienia niepotrzebna była gotówka. Zakreśliłem *Dzieła zebrane* Szekspira, *Dzieła zebrane* Oscara Wilde'a, zebrane wiersze i dramaty T.S. Eliota, wszystkie po angielsku, a z ostatnich stron album z fotografiami lekko ubranych i nagich kobiet, ale to nie była pornografia, tylko sztuka, w każdym razie poważne zdjęcia, chociaż mogły mi się tak samo przydać, i przeszył mnie dreszcz na myśl, że niedługo będę mógł siedzieć, patrzeć na nie i być może... no tak, walić konia. Jeszcze nigdy tego nie robiłem, ale teraz wydawało mi się to nie-naturalne, uważałem, że prawdopodobnie wszyscy to robią, no i trafiła mi się taka szansa, ta książka, więc postawiłem przy niej krzyżyk, z tyłu zapisałem numer i tytuł, pod spodem swoje nazwisko z adresem i wyrwałem blankiet. Książka była bezpłatna, podobnie jak złożenie zamówienia.

Pomyślałem, że kiedy będę je wysyłał, przy okazji mogę wysłać kilka wiadomości o zmianie adresu, więc ruszyłem na pocztę z blankietem, ściskając w rękę czarno-czerwony adresownik.

Kiedy wracałem, zaczęło padać. I nie zaczęło się od pojedynczych kropli, stopniowo lecących z nieba coraz gęściej, do czego byłem przyzwyczajony, o, nie, tutaj deszcz rozpędzał się do setki w sekundę, w jednym momencie nie padało, a w następnym tysiące milionów kropli jednocześnie waliło w ziemię

z szeleszczącym, niemal terkoczącym odgłosem. Ruszyłem truchtem, śmiejąc się w duchu. Cóż to za fantastyczne miasto! I jak zawsze, gdy widziałem lub przeżywałem coś pięknego, pomyślałem o Ingvild. Była żywym człowiekiem istniejącym na świecie, przeżywała go na swój sposób, miała własne wspomnienia i doświadczenia, miała ojca i matkę, siostrę i przyjaciół, swój krajobraz, w którym wyrosła i wśród którego się poruszała, i wszystko to było w niej obecne, ta ogromna złożoność drugiego człowieka, z której tak mało możemy zobaczyć, gdy go spotykamy, ale to i tak wystarczy, by nabrać czułości dla tej drugiej osoby, poczuć do niej miłość, niepotrzebne jest bowiem nic więcej oprócz pary patrzących z powagą oczu, w których nagle pojawia się radość, pary oczu rozbawionych lub drwiących, które nagle zaczynają spoglądać niepewnie bądź samokrytycznie, które błędzą, człowiek błędzi, czy istnieje coś piękniejszego? Człowiek z całym swoim wewnętrznym bogactwem, a mimo to błędzący? Widzimy to, zakochujemy się w tym, to tak mało, można powiedzieć, że to tak mało, ale zawsze mamy rację. Serce nigdy się nie myli.

Serce nigdy się nie myli.

Nigdy, przenigdy nie myli się serce.

Przez następne dwie godziny wszystko było jedynie bębniącym deszczem, rozkołysanymi parasolami, wściekającymi się wycieraczkami i światłami samochodów, niepewnie przebijającymi się przez deszczową ciemność. Siedziałem na kanapie, od czasu do czasu spoglądałem na to, co się dzieje za oknem, a od czasu do czasu patrzyłem w książkę, w *Gravgaver* Ulvena, z której nic nie rozumiałem. Nawet kiedy naprawdę się skupiałem i czytałem najwolniej, jak potrafiłem, po kilka stron na raz, nic nie mogłem pojąć. Owszem, znałem prawie wszystkie poszczególne słowa, więc nie o to chodziło, i rozumiałem oderwane zdania, ale nie pojmowałem ich znaczenia. Nie miałem nawet żadnego pomysłu. Kompletnie wytrąciło mnie to z równowagi, bo przecież wiedziałem, że istnieje powód, dla którego rozdali nam właśnie te dwie książki. Musieli je uważać za dobre, liczące się, a do mnie nic nie docierało.

Nie miałem szans. Najpierw było o kimś kaszlącym na starym nagraniu płytowym, potem jakiś mężczyzna jechał niewiarygodnie nagrzanym samochodem na pogrzeb i jeszcze pewna para przebywała w jakiejś miejscowości wakacyjnej. Owszem, to rozumiałem, ale w książce, po pierwsze, nie było żadnej akcji, a po drugie – żadnej chronologii, żadnych powiązań, wszystko pojawiało

się zniecka i to mi w zasadzie nie przeszkadzało, ale nie wiedziałem, co właściwie się pojawia. Nie mogły to być myśli, bo nie objawiały się w żadnym konkretnym umyśle, ani też rozważania czy opisy, tylko wszystkiego naraz po trochu, co jednak nie pomagało w zrozumieniu całości, ponieważ nie pojmowałem najważniejszego, a mianowicie: co to ma z n a c z y ć?

Miałem nadzieję, że właśnie tego będziemy się uczyć.

Stwierdziłem, że trzeba uważnie słuchać, zapisywać wszystko, o czym będzie mowa, niczego nie puszczając mimo uszu.

Fosse wspomniał o modernizmie i postmodernizmie. Zapowiadało się niezłe, bo to przecież dotyczyło nas i naszych czasów.

Siedziałem właśnie przy obiedzie, to znaczy, z braku pieniędzy, przy pięciu kromkach chleba z masłem i trzech jajkach na miękko, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Przyszedł sąsiad z dołu, Morten, ubrany w czerwoną skórzaną kurtkę, niebieskie lewisy i buty żeglarskie włożone na białe skarpetki, w ręce trzymał długi czarny parasol z uchwytem w kształcie laski spacerowej; chociaż tym razem nie nastroszył włosów, to jednak ciągle miał w sobie jakąś dzikość, chyba zwłaszcza w spojrzeniu, którym mnie obrzucił, ale również w mowie ciała. Wydawało się, że ze wszystkich sił stara się stłumić w sobie coś wielkiego. No i jeszcze ten jego śmiech, którym wybuchał w najdziwniejszych momentach.

– Cześć – powiedział. – Mogę wejść? Pogadamy. Ostatnio rozmowa była raczej z tych krótszych, he, he.

– Tak, tak, proszę.

Zatrzymał się tuż za drzwiami i rozejrzał.

– Siadaj. – Uklęknąłem przy wieży stereo, żeby nastawić płytę.

– *Betty Blue* – zauważył. – Powiem ci, że widziałem ten film.

– Niezły. – Odwróciłem się do niego. Zanim usiadł, delikatnie podciągnął spodnie na kolanach. Miał w sobie pewną oficjalność, która wraz z lekkim, lecz mimo to intensywnym wrażeniem dzikości wypełniła cały pokój.

– Tak – potwierdził. – Ona była niezła. Zwłaszcza kiedy oszalała!

– No tak, rzeczywiście. – Usiadłem na krześle po drugiej stronie stołu. – Długo tu mieszkasz? – spytałem.

Pokręcił głową.

– *No, sir*. Sprowadziłem się dwa tygodnie temu.

– I studiujesz prawo?

– No właśnie. Ustawy i paragrafy. A ty zamierzasz zostać pisarzem, tak chyba mówiłeś?

– Owszem. Zacząłem dzisiaj.

– Cholera, ja też bym chciał. Przelewać na papier wszystko, co tu siedzi. – Postukał się w pierś. – Czasami robi mi się okropnie smutno. Tobie pewnie też?

– Zdarza się.

– Fajnie to z siebie wyrzucić, co?

– Owszem, ale to nie dlatego.

– Nie dlatego co?

– Nie dlatego piszę.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się, przekonany, że ma rację, potem klepnął się obiema dłońmi w uda, jakby miał wstać, ale wcale tego nie zrobił, tylko jeszcze wygodniej rozsiadł się na kanapie.

– Jesteś zakochany? – spytał. – To znaczy, akurat teraz?

Popatrzyłem na niego.

– A ty? Skoro o to pytasz.

– Zafascynowała mnie pewna dziewczyna. Chyba właśnie tak powinienem to określić. Jestem nią zafascynowany.

– A ja się zakochałem – przyznałem. – I to niewiarygodnie mocno.

– Jak jej na imię?

– Ingvild.

– Ingvild!

– Nie mów mi tylko, że ją znasz.

– Nie, nie. Studentka?

– Tak.

– Chodzicie ze sobą?

– Nie.

– W twoim wieku?

– Tak.

– Monica jest o dwa lata starsza. To chyba niezbyt dobrze.

Bawił się drutami parasola, który trzymał przy łydce, oparty o brzeg kanapy. Wyjąłem paczkę z tytoniem i zacząłem skręcać papierosa.

– Poznałeś już innych mieszkańców naszego domu? – spytał.

– Nie. Tylko ciebie. No i przez moment widziałem tamtą dziewczynę, która się kąpała.

– Lillian – wyjaśnił. – Mieszka przy schodach, na parterze, tak jak ty. Nad nią zajmuje mieszkanie starsza pani, która wtrąca się we wszystko, w co tylko się da, ale nie jest groźna. Bezpośrednio nad tobą mieszka Rune. Fajny facet. Z Sogndal. To już wszyscy.

– Pewnie z czasem ich poznam.

Pokiwał głową.

– No, nie będę ci zabierał więcej czasu – oświadczył i wstał. – Pogadamy kiedy indziej. Czuję, że jeszcze usłyszę o Ingvild.

Wyszedł, jego kroki ucichły na schodach, a ja wróciłem do swojego posiłku.

Nazajutrz poszedłem na uniwersytet sprawdzić, czy przysłano mi kredyt studencki, ale okazało się, że jeszcze go nie ma, więc ruszyłem ulicą wzdłuż Wzgórza, jak po prostu nazywano Nygårdshøyden, rejon miasta, w którym mieściły się budynki uniwersytetu, aż do jego końca, do wzniesienia Dragefjellet, gdzie miał siedzibę Wydział Prawa, stamtąd skręciłem w prawo, w jedną z małych, wąskich uliczek, i nieoczekiwanie wyszedłem przy pływalni, którą minąłem, wciągając głęboko powietrze, bo z kratek wmontowanych w chodnik bił zapach chloru, a pod jego wpływem wspomnienia wszystkich przyjemnych odczuć z dzieciństwa rozwinęły się jak odpoczywające nocą kwiaty pod dotykiem pierwszych promieni słońca.

Ale kiedy tak szedłem, nie było mowy o słońcu, lał deszcz, równy i gęsty, między budynkami prześwitywał ciężki, szaroczarny fiord pod niebem tak niskim i pełnym wilgoci, że granica między nim a wodą niemal całkowicie się zacierała. W końcu położyłem uszy po sobie i ubrałem się w kurtkę od desz-

czu, zieloną, cienką, wyglądałem w niej jak wieśniak albo głupek z przedmieść, ale przy tej pogodzie nie miałem innego wyjścia, bo tym razem nie zanosiło się na to, że deszczowe chmury, które nadciągnęły, znikną po półgodzinie; pokrywa chmur nad moją głową, gęsta i ciemnoszara, granicząca z czernią, wisiała nad miastem jak brezent wypełniony wodą.

Pogoda miała wpływ na atmosferę w klasie, która ze wszystkimi tymi kaloszami, parasolami i mokrymi kurtkami, z dodatkiem szarego światła na zewnątrz, sprawiającego, że sala lekko odbijała się w szybach, jako żywo przypominała wszystkie inne znane mi klasy, włącznie z tą na północy Norwegii, która już zdążyła dołączyć do szeregu dobrze przeze mnie wspomnianych pomieszczeń.

Usiadłem, wyjąłem notatnik, sięgnąłem po spięty zszywką plik fotokopii ze stosu i zacząłem czytać, ponieważ wszyscy właśnie tym się zajmowali. Również Fosse i Hovland przy tablicy. To były teksty Trude, tak miała na imię ta surowa dziewczyna, od niej mieliśmy zacząć. Pisała wiersze, piękne wiersze, od razu się zorientowałem. Pejzaż jak ze snu, konie, wiatr i światło, wszystko skoncentrowane zaledwie w kilku liniijkach. Czytałem, ale nie wiedziałem, czego mam szukać, nie miałem pojęcia, co jest dobre, a co nie i jak to ewentualnie poprawić. W trakcie czytania wzbierał we mnie strach, bo to było o całe niebo lepsze od tego, co sam napisałem, bez porównania, obcowałem z prawdziwą sztuką, tyle w każdym razie rozumiałem. I co miałem mówić, gdyby Fosse i Hovland kazali mi coś o tych wierszach powiedzieć? Co to znaczy, że pod jakimś drzewem stoi kilka koni, a w następnej linijsce nóż sunie po skórze? Albo że konie galopują po łące, stukając kopytami, a nad horyzontem wisi oko?

Kilka minut później zaczęliśmy na poważnie. Fosse poprosił, żeby Trude przeczytała swoje wiersze na głos. Na chwilę znieruchomiała, koncentrując się, w końcu zaczęła. Jej głos w pewnym sensie tulił się do tych wierszy, miałem wrażenie, że nie wychodzą one z jej ust, ale że istniały już wcześniej, a ona głosem się do nich zbliża. Jednocześnie nie było w nim już miejsca na nic innego, wyłącznie na te wiersze, te nieliczne słowa, stanowiące skończoną całość i niemal całkowicie oderwane od autorki.

Podobało mi się to, ale też czułem się trochę niekomfortowo, bo nic mi to nie mówiło, nie wiedziałem, co ona chce przekazać ani o czym są te wiersze.

Kiedy skończyła czytać, głos zabrał Hovland. Mieliśmy teraz skomentować

te utwory, po kolei, każdy dostał szansę na zabranie głosu. Hovland zaznaczył, iż należy pamiętać, że żaden z omawianych tu tekstów wcale nie musi być skończony czy gotowy i że uczymy się właśnie przez krytykę. Ważna dla nas powinna być nie tylko krytyka naszych własnych tekstów, równie istotna jest dyskusja z innymi, bo ten kurs polega przede wszystkim na czytaniu, na uczeniu się czytania, na wytrenowaniu umiejętności czytania. Dla pisarza bowiem najważniejsze jest być może wcale nie pisanie, lecz właśnie czytanie. Czytajcie tyle, ile możecie, przy czytaniu wcale nie zgubicie samych siebie, nie straciecie oryginalności, dzieje się zupełnie odwrotnie, czytając, odnajdziecie siebie. Im więcej będziecie czytać, tym lepiej.

Zaczęła się runda komentarzy. Było dużo błędzenia po omacku i wahania, większość osób poprzestawała na stwierdzeniu, że podobały im się ten czy inny obraz albo zdanie, ale spośród tego wszystkiego wyłoniło się kilka pojęć, które zostały przechwycone i powoli zaczęły liczyć się dla każdego, na przykład to, że „rytm jest dobry” albo „nie do końca się zgadza”. Potem zaczęliśmy mówić o „brzmieniu”, o „otwarciu” i „zamknięciu”, o „skreślaniu” i „cięciu”. Cudowne otwarcie, rytm dobrze trzyma, pewne niejasności w środkowej części, nie bardzo wiem, o co chodzi, ale coś tu zgrzyta, no nie wiem, może mogłabyś coś skreślić, ale dalej przy zamknięciu pojawia się ten mocny obraz i unosi w górę cały wiersz. Mniej więcej tak zaczęło to brzmieć. Podobał mi się ten sposób rozmowy, ponieważ mnie nie wykluczał, otwarcia i zamknięcia rozumiałem, zwłaszcza w zamknięciach byłem dobry, w tym, że coś powinno się unieść albo wręcz wznieść po ostatnim wersie. Zawsze tego szukałem, a kiedy znalazłem, mówiłem o tym. Gdy nie znajdowałem, również o tym mówiłem. Na przykład: w tym momencie jakby zamykasz ten wiersz. Widzisz? Widzisz tę ostatnią linijkę? Ona go podsumowuje, jakby zamyka go w sobie. Nie można by jej skreślić? Wtedy wszystko pozostałoby otwarte. Widzisz? Poruszyliśmy również kwestię podziału wersów i szybko się okazało, że największy wróg, najgorszy horror to zwykła proza podzielona na wersy. Wyglądało to jak wiersz, ale nie miało w sobie nic z poezji i było modne w latach siedemdziesiątych. Do tego dochodziło oczywiście omawianie wszystkich środków wyrazu, na przykład metafor i aliteracji, ale rzadko, bo do metafor, jak wyczułem, awersję przejawiali zarówno Jon Fosse, jak i koledzy piszący poezję, zawierały w sobie niemal brzydotę, staroświeckość, były więc nienowoczesne, archaiczne, a przez to do niczego dla nas nieprzydatne. Mówiąc

wprost, oznaczały zły gust. Aliteracje były jeszcze gorsze. Najbardziej liczyły się rytm, brzmienie, wersyfikacja, otwarcie i zamknięcie. Wyczułem, że Jon Fosse, komentując jakiś utwór, również zawsze szuka tego, co niezwykle, inne, do niczego niepodobne.

Ta pierwsza sesja przebiegła jednak prawie bez odwoływania się do pojęć, jedynie Knut miał opanowane słownictwo pozwalające na rozmowę o poezji, dlatego też jego słowa miały największą wagę. Trude cały czas słuchała w skupieniu, niekiedy notując, i potrafiła zadawać bezpośrednie pytania: dlaczego tak, dlaczego nie inaczej? Zrozumiałem, że jest pisarką, poetką, że nie tylko chce zająć daleko, ale już zaszła.

Kiedy przyszła kolej na mnie, powiedziałem, że wiersze są nastrojowe i głębokie, ale trochę trudno mi o nich mówić. W kilku miejscach nie rozumiałem, o co chodzi. Dodałem, że w głównej mierze zgadzam się z oceną Knuta, a podobał mi się zwłaszcza ten i ten wers, ale tamten chyba mogłaby wykreślić.

Kiedy to mówiłem, widziałem, że w ogóle jej to nie obchodzi. Nie notowała, nie próbowała się skoncentrować, patrzyła na mnie z leciutkim uśmiechem. Wkurzyłem się, ale nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko odchylić się na krześle, poprzesuwać papiery, które miałem rozłożone przed sobą, oświadczyć, że nic więcej nie mam do dodania, i zacząć małymi łyżkami popijać kawę.

Potem głos zabrał Jon Fosse. W przeciwieństwie do sposobu, w jaki poruszał głową, lekkimi, trochę ptasimi szarpnięciami, jakby momentami coś go zaskakiwało lub o czymś sobie przypominał, a także do sposobu mówienia, pełnego wahania, z pauzami, zaciniem się, chrząknięciami, prychnięciami, niekiedy z głębokim zachłyśnięciem się powietrzem na wdechu, które świadczyły o nerwowości i niepokoju, to, co mówił, przesycała pewność. Był pewny na sto procent, nie pozostawiał miejsca na wątpliwości, racja była po jego stronie.

Omówił wszystkie wiersze, skomentował ich mocne strony i słabości, podkreślił, że konie to piękny stary motyw w poezji i w sztuce. Wspominał o koniach w *Iliadzie*, o koniach na reliefach w Partenonie, o koniach u Claude'a Simona, po czym stwierdził, że te konie są jednak bliższe czegoś w rodzaju archetypu, tak mu się wydaje. Czytałaś Ellen Einan? Coś w twoich wierszach mi ją przypomina. Ten język marzeń sennych.

Wszystko notowałem.

Iliada, Partenon, Claude Simon, archetyp, Ellen Einan, język marzeń sen-nych.

Tego popołudnia w powrotnej drodze do domu tuż za wzgórzem koło Stoczni skręciłem w zaułek w lewo, żeby nie wracać z innymi. Ciągle lał deszcz, tak samo równo i nieprzerwanie jak wtedy, gdy tu szedłem, i wszystkie ściany, wszystkie dachy, wszystkie trawniki i wszystkie samochody były mokre i lśniące. Miałem dobry humor, bo to był niezły dzień, a to, że Trude w ogóle nie przejęła się moimi uwagami i wręcz okazała to pozostałym, wcale mi tak bardzo nie dokuczało, bo podczas przerwy, kiedy siedzieliśmy w kawiarni tuż przy Klosteret, rozmawiałem trochę z Ragnarem Hovlandem, a ponadto wdałem się w wymianę opinii na temat Jana Kjørstada. Właściwie to nawet ja pierwszy poruszyłem temat jego twórczości. Else Karin spytała, jakich autorów oprócz Hamsuna i Bukowskiego lubię czytać, na co powiedziałem, że mój ulubiony pisarz to Kjørstad, świetna jest zwłaszcza jego ostatnia książka, *Det store eventyret*, lecz podobają mi się również *Speil* i *Homo Falsus*, a nawet debiutancki zbiór opowiadań *Kloden dreier stille rundt*. Usłyszawszy to, stwierdziła, że jego książki są trochę zimne i sztuczne, na co natychmiast odparowałem, że właśnie o to chodzi, bo Kjørstadowi zależy na opisanu człowieka w inny sposób, nie od środka, tylko z zewnątrz, a poza tym wrażenie, że bohaterowie książek są prawdziwi, to złudzenie, bo przecież są tak samo sztuczni, po prostu przyzwyczailiśmy się, że tak ma być, a przecież przedstawienie ich w inny sposób jest co najmniej równie szczere. Powiedziała, że owszem, rozumie, ale ciągle uważa, że jego bohaterowie są zimni. To jej „uważam” było moim zwycięstwem, bo to przecież żaden logiczny argument, tylko wyraz odczuć, a więc konwencji.

Po przerwie omawialiśmy teksty Kjetila. To była proza i o tych tekstach, cały czas balansujących na granicy fantazji i groteski, mówiło się zupełnie inaczej. Nie chodziło w nich o otwarcia, zamknięcia ani brzmienie, odnosiliśmy się raczej do rozwoju akcji i do poszczególnych zdań, a kiedy ktoś powiedział, że to zbyt przesadzone, oświadczyłem, że według mnie właśnie o to chodziło i że to jest *over the top*. Dyskusja toczyła się z o wiele większym ożywieniem, o prozie mówiło się dużo łatwiej i czułem ulgę, bo mogłem uczestniczyć w tej rozmowie.

Na następny dzień zaplanowano czytanie moich tekstów i dyskusję nad nimi. Idąc przez Strandgaten, bałem się tego, ale również się cieszyłem. Przecież to, co napisałem, musiało być pod pewnymi względami dobre, inaczej by mnie nie przyjęli.

Po zbieżnym, ze stacji otoczonej lśniącem brukiem, ruszyła kolejka na Fløien, czerwona, śliczna wśród zieleni. Neonowe litery układały się w napis „Funicular”. Ta okolica miała w sobie coś alpejskiego – górską kolejka wyruszająca z centrum dużego miasta, o rzut kamieniem od starych, drewnianych domów hanzeatyckich. Gdyby w myślach usunąć stąd morze, można by się poczuć jak w niemiecko-austriackich Alpach.

I ten mrok, zawsze obecny w tym mieście! W żaden sposób niepowiązany z nocą ani z cieniem, ale niemal zawsze wyczuwalny, lekki mrok wypełniony padającym deszczem. Przedmioty i zdarzenia niesłychanie się w nim koncentrowały, bo to słońce otwierało przestrzeń; dajmy na przykład taką scenę: ojciec rodziny wkłada torby z zakupami do bagażnika samochodu przy Støletorget, a w tym czasie matka zagania dzieciaki na tylne siedzenie, sama siada z przodu, przeciąga pas przez pierś i go zapina; czym innym jest patrzeć na to, kiedy świeci słońce, przy jasnym, otwartym niebie, bo wtedy wszystkie ruchy zdają się odlatywać, znikać w momencie ich wykonania, a czymś zupełnie innym jest obserwowanie takiej rodziny w deszczu, w lekkim mroku, bo wówczas ruchy mają całkiem inną trwałość, a ludzie wydają się niemal posągami, zatrzymanymi na to mgnienie oka, z którego moment później mimo wszystko się wyrwywają.

Tak samo z pojemnikami na śmieci przy schodach – inaczej patrzy się na nie w zalewie słonecznego światła, wtedy jakby nie istnieją, prawie nic nie istnieje, natomiast w dziennym świetle ciężkim od deszczu stoją niczym kolumny ze srebra, lśnią, niektóre triumfalnie, inne z większym smutkiem i żalem, ale wszystkie obecne tu i teraz, w danym momencie.

Tak, tak, Bergen. N i e w i a r y g o d n a moc tkwiła w tych jakże różnych fasadach domów, wszędzie tak bardzo ściśniętych, jedna przy drugiej. Kiedy się szło pod górę zboczem któregoś wzgórza i widziało się to, miało się to przed sobą, radość potrafiła niemal rozsadzić pierś.

Ale przyjemnie też było po spacerze przez miasto zamknąć się w mieszkaniu. Przypominało oko cyklonu, chroniło przed cudzymi spojrzeniami, było jedynym miejscem, w którym mogłem czuć całkowity spokój. Tego popołudnia

skończył mi się tytoń, ale wiedziałem, że tak będzie, i zachowałem niedopałki z ostatnich dni. Nastawiłem kawę w ekspresie, wyjąłem z szuflady nożyczki i zacząłem odcinać końcówki petów. Kiedy już się z tym uporałem, pootwierałem niedopałki i wsypałem stary tytoń, wyschnięty na pieprz, z powrotem do paczki, która w końcu wypełniła się prawie do połowy. Koniuszki palców miałem czarne, mocno śmierdziały tytoniem, więc opłukałem je pod kranem, a potem ukroiłem plasterek surowego ziemniaka i włożyłem go do paczki. Wiedziałem, że tytoń wkrótce wchłonie wilgoć i będzie niemal jak świeży.

Wieczorem wyszedłem do budki i zadzwoniłem do Ingvild. Telefon znów odebrał mężczyzna. Ale tym razem powiedział: Ingvild, aha, zaczekaj chwilę, sprawdzę, czy jest w domu.

Czekając, cały drżałem.

Dobiegł mnie odgłos zbliżających się kroków, ktoś podniósł słuchawkę.

– Halo? – usłyszałem.

Głos miała głębszy, niż zapamiętałem.

– Halo – odezwałem się. – Tu Karl Ove.

– Cześć!

– Cześć. Co u ciebie? Dawno przyjechałaś do miasta?

– Nie, w poniedziałek.

– A ja tu jestem już od dwóch tygodni.

Cisza.

– Umawialiśmy się, że się spotkamy – powiedziałem w końcu. – Nie wiem, czy ciągle masz na to ochotę, ale co powiesz o sobocie?

– Nic innego nie mam w kalendarzu – roześmiała się.

– No to może najpierw spotkamy się w Café Opera, a później przeniesiemy do Hulen albo jakiegoś podobnego miejsca?

– Jak prawdziwi studenci?

– Tak.

– Możemy. Ale muszę cię ostrzec, że będę trochę stremowana.

– Dlaczego?

– Bo nigdy wcześniej nie byłam studentką. To po pierwsze. A po drugie,

w ogóle cię nie znam.

– Ja też będę miał tremę.

– To dobrze. Może nic złego się nie stanie, nawet jeśli będziemy się mało odzywać.

– Na pewno nie – powiedziałem. – Przeciwnie, nieźle się zapowiada.

– Nie przesadzaj.

– Naprawdę tak myślę.

Znów się roześmiała.

– No to pierwszy raz umówiłam się jako studentka. Café Opera w sobotę. Powiedzmy o... Właściwie o której umawiają się studenci?

– Wiem o tym tyle samo co ty. Może o siódmej?

– Tak chyba będzie dobrze. A więc jesteśmy umówieni.

Kiedy przechodziłem na drugą stronę ulicy i wracałem do mieszkania, ścisnęło mnie w żołądku. Miałem wrażenie, że zaraz zwymiotuję. A przecież się udało. Ale czym innym jest krótka rozmowa przez telefon, a czym innym może się okazać siedzenie z nią, gdy cały będę płonął w środku, jednocześnie nie mając do powiedzenia ani jednego mądrego słowa.

W tym czasie dręczyły mnie szczególnie dwie rzeczy. Po pierwsze, że tak prędko mam wytrysk, często zanim w ogóle do czegoś dochodzi, a po drugie, że nigdy się nie śmieję. To znaczy, owszem, zdarzało się to od czasu do czasu, może raz na pół roku, kiedy komiczność czegoś brała górę, i wtedy nie mogłem przestać się śmiać, ale było to zawsze nieprzyjemne, bo całkowicie traciłem nad sobą kontrolę, nie umiałem powstrzymać śmiechu, a nie chciałem pokazywać tego innym. Tak więc śmiać się potrafiłem, miałem tę zdolność, ale na co dzień, w towarzystwie, rozmawiając z ludźmi przy kawiarnianym stoliku, nigdy się nie śmiałem. Tę zdolność straciłem. Aby jakoś temu zaradzić, często się uśmiechałem, czasami wydobywałem z siebie jakieś dźwięki przypominające śmiech, więc chyba nikt się nad tym nie zastanawiał ani niczemu się nie dziwił. Ale ja wiedziałem, że nigdy się nie śmieję. Przez to oczywiście zwracałem większą uwagę na śmiech sam w sobie, zauważałem, kiedy się pojawiał, jak brzmiał, czym był. Ludzie śmiali się prawie nieustannie, mówili coś, śmiali się trochę, ktoś inny coś dodawał i znów wszyscy się śmiali. Śmiech działał na rozmowy jak smar albo przydawał im czegoś mającego niezbyt wiele

wspólnego z tym, co się mówiło, więcej natomiast z samym przebywaniem z innymi. Z sytuacją, z ludźmi, którzy się spotykają. W takich okolicznościach śmiali się wszyscy, oczywiście każdy na swój sposób, czasami z czegoś naprawdę zabawnego, ale również pozornie bez powodu, dając tym wyraz życzliwości albo otwartości. Śmiech pomagał ukryć niepewność, tyle rozumiałem, ale potrafił również dawać siłę i wspomagać, jak wyciągnięta pomocna ręka. W dzieciństwie dużo się śmiałem, ale w jakimś momencie to się urwało, może nawet już w dwunastym roku mojego życia, w każdym razie pamiętam, że lekkiem napełnił mnie film z Rolvem Wesenlundem, zatytułowany *Człowiek, który nie umiał się śmiać*, i prawdopodobnie właśnie wtedy, gdy o nim usłyszałem, uświadomiłem sobie, że rzeczywiście się nie śmieję. Od tamtej pory we wszystkich sytuacjach towarzyskich uczestniczyłem, a zarazem obserwowałem je z zewnątrz, ponieważ brakowało mi tego wypełniacza, tego międzyludzkiego łącznika, śmiechu.

Wcale jednak nie byłem ponury! Nie byłem smutasem! Nie byłem zamkniętym w sobie myślicielem! Nie byłem nawet wstydlivy ani nieśmiały!

Tak to jedynie wyglądało.

Chociaż szedłem do Akademii Sztuki Pisania dopiero po raz trzeci, już czułem się z nią zaznajomiony, niemal po domowemu, zarówno z prowadzącą tam drogą – najpierw ze stromych wzgórz do dzielnicy Vågsbunnen, potem wzdłuż szeregu budynków biurowych i sklepów przy Strandgaten, dalej pod górę przy Klosteret i wąskim zaułkiem po drugiej stronie cypla, spowitego, jak wszystko, welonem deszczu padającego z niskiego nieba – jak i z salą, w której mieliśmy zajęcia, z regałem z książkami na jednej ścianie, tablicą na drugiej i oknami na trzeciej, skośnej. Wszedłem, przywitałem się z tymi, którzy już tam byli, powiesiłem mokrą kurtkę, wyjąłem z mokrej reklamówki papiery i książki, położyłem je na stole, nalałem sobie kawy i zapaliłem papierosa.

- Ale pogoda – powiedziałem, kręcąc głową.
- Witaj w Bergen! – Kjetil podniósł oczy znad lektury.
- Co czytasz?
- *Dla wszystkich ten sam ogień*. Opowiadania Julia Cortázara.
- Dobrze?
- Tak. Chociaż może trochę zimne – uśmiechnął się.

Odwzajemniłem uśmiech. Na stole leżał plik skserowanych tekstów, rozpoznałem, że są moje po kształcie liter, po czcionce mojej maszyny do pisania i nielicznych poprawkach, które zrobiłem czarnym flamastrem; wziąłem sobie egzemplarz.

Else Karin pochwyciła moje spojrzenie.

Siedziała z jedną nogą podciągniętą na krzesło, ręką obejmowała kolano. W drugiej ręce trzymała papierosa i mój maszynopis.

– Denerwujesz się? – spytała.

– No... Może trochę. Podobało ci się?

– Poczekaj, to zobaczysz!

Siedząca obok niej Bjørg zerknęła na nas przelotnie, z uśmiechem.

W drzwiach na drugim końcu sali pojawiła się Petra. Nie miała ani parasola, ani płaszcza od deszczu. Jej czarna skórzana kurtka lśniła od wilgoci, a mokre włosy opadły na czoło. Zaraz za nią przysła Trude, w zielonych przeciwdeszczowych spodniach i zielonej kurtce z mocno ściągniętym kapturem. Na nogach miała wysokie kalosze, a na ramionach skórzany plecak. Wstałem i podszedłem do kącika kuchennego, żeby dolać sobie kawy.

– Ktoś jeszcze ma ochotę? – spytałem.

Petra pokręciła głową, oprócz niej nikt nie spojrzał w moją stronę. Pod ukosnym oknem Trude zdejmowała spodnie przeciwdeszczowe i chociaż pod spodem miała dżinsy, to jej wijące się ruchy i kręcenie biodrami wywołały u mnie erekcję. Szybko włożyłem rękę do kieszeni i możliwie najspokojniej wróciłem na swoje miejsce.

– Czyli są już wszyscy? – spytał Hovland spod tablicy. Fosse siedział obok niego, z rękami założonymi na piersi i ze spuszczonym wzrokiem, tak jak przez pierwsze dwa dni.

– Pierwszą część dzisiejszych zajęć poświęcimy tekstom Karla Ovego. Po przerwie zajmiemy się tekstami Niny. Jeśli jesteś gotów, Karl Ove, to możesz zacząć czytać.

Czytałem, a pozostali z uwagą śledzili swoje egzemplarze maszynopisu. Kiedy skończyłem, zaczęła się runda komentarzy. Notowałem hasła. Else Karin stwierdziła, że język jest świeży i żywy, ale akcja chyba zbyt przewidywalna. Kjetil uważał, że opowieść jest wiarygodna, tyle że nudnawa. Knut był zdania, że mój tekst przypomina Saabye Christensena, chociaż nie widział

w tym nic złego. Zdaniem Petry moi bohaterowie nosili idiotyczne imiona. Dajcie spokój, powiedziała. Gabriel, Gordon i Billy. To niby ma być fajne, ale jest zwyczajnie dziecinne i głupie. Bjørg uważała, że tekst jest interesujący, ale chętnie dowiedziałaaby się czegoś więcej o relacji między tymi dwoma chłopcami. Trude stwierdziła, że całość się klei, ale w tekście jest dużo klisz i stereotypów, jej zdaniem aż tyle, że prawie nie da się tego czytać. Ninie podobało się używanie radykalnych form językowych i za ładne uznała opisy przyrody.

Jako ostatni głos zabrał Hovland. Powiedział, że to realistyczna proza, rozpoznawalna i ładna, w kilku miejscach jemu także kojarzy się z Saabye Christensenem i chociaż oczywiście jest w niej kilka błędów, jeśli chodzi o użycie języka, to jednak całość ma w sobie moc, i że jest to opowiadanie, a napisanie opowiadania jest sztuką samą w sobie.

Popatrzył na mnie i spytał, czy chciałbym coś dodać albo może zadać jakieś pytanie; odparłem, że jestem zadowolony z omówienia, dużo mi dało, ale zastanawiam się, gdzie tu są klisze i stereotypy, czy Trude mogłaby mi je wskazać.

– Chętnie. – Znów sięgnęła po tekst. – Na przykład: „Okolice, w których nigdy nie stanęła stopa białego człowieka”.

– Ale to przecież miała być klisza. Właśnie o to chodzi. Oni w taki sposób widzą świat.

– Nawet to jest kliszą, rozumiesz? Dalej masz: „Słońce przeświecało przez liście” i „groźne czarne chmury zwiastowały burzę”. Zwiastowały, prawda? A potem: „Kolt bezpiecznie spoczywał w dłoni”. Bezpiecznie spoczywał. Tak jest do samego końca.

– Dużo tu też sztuczności i pozerstwa – dodała Petra. – Kiedy Gordon mówi: „daję ci *five seconds*” – uśmiechając się, palcami zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu – brzmi to cholernie głupio, bo rozumiemy, że autor chce nam wytłumaczyć, że oni to widzieli w telewizji, i dlatego używa angielskiego.

– Uważam, że jesteście niesprawiedliwe – oświadczyła Else Karin. – Przecież nie mówimy o poezji. Nie można stawiać równie wysokich wymagań poszczególnym zdaniom, tutaj się liczy całość, i tak jak powiedział Ragnar, to jest opowiadanie, a napisanie opowiadania jest sztuką.

– Musisz pisać dalej – stwierdziła Bjørg. – Moim zdaniem to naprawdę in-

teresujące! Poza tym po drodze na pewno sporo się w tym projekcie zmieni.

– Zgadzam się – zakończyła Petra. – Tylko pamiętaj o zmianie tych idiotycznych imion, a też będę zadowolona.

Po tej przeprawie czułem złość i wstyd, lecz również zagubienie, bo chociaż miałem świadomość, że pozytywne słowa, które padły na koniec, miały mnie pocieszyć, to jednak niezmiennie pozostawało to, że zostałem przyjęty do akademii, w przeciwieństwie na przykład do Kjetila, który właściwie się nie dostał, więc w moim pisaniu jednak musiało być coś dobrego. Ale używanie wyświechtanych określeń było przecież czymś najgorszym ze wszystkiego, zdaniem Trude zaś w moich tekstach aż się od nich roiło. A może po prostu była snobką, wydawało jej się, że już jest kimś, poetką, lepszą od pozostałych? Else Karin zauważyła przecież, że nie piszę poezji, i Hovland również to podkreślił, powiedział, że to proza realistyczna.

Zastanawiałem się nad tym, podczas gdy inni zaczęli wyjmować drugie śniadanie, a Else Karin nastawiła kolejny dzbanek kawy. Rozumiałem jednak, że nie mogę w tej chwili zamknąć się w sobie, byłoby widać, że się przejąłem ich komentarzami, bo trafili w sedno, i równałoby się to przyznaniu, że moje teksty nie są tak dobre jak ich.

– Możesz mi pokazać tę książkę, którą czytałeś? – spytałem Kjetila.

– Jasne. – Podał mi ją. Zacząłem przerzucać kartki.

– Skąd on jest?

– Chyba z Argentyny, tak mi się wydaje. Ale bardzo długo mieszkał w Paryżu.

– To realizm magiczny?

– Tak, chyba można to tak określić.

– Bardzo lubię Márqueza. Czytałeś?

Kjetil się uśmiechnął.

– Tak. Ale to nie całkiem w moim guście. Jak dla mnie, jest trochę za bardzo napszony.

– Mhm – mruknąłem. Oddałem mu książkę i zapisałem nazwisko Cortázara w swoim notatniku.

Po szkole poszedłem na Wzgórze odebrać kredyt studencki. W budynku Mu-

zeum Historii Naturalnej ustawiłem się w niezbyt długiej o tej porze kolejce, wylegitymowałem się, podpisałem, dostałem kopertę ze swoim nazwiskiem, wrzuciłem ją do reklamówki i ruszyłem w stronę Centrum Studenckiego, w którym między innymi mieścił się też niewielki bank. Szary betonowy budynek lekko połyskiwał w deszczu na środku łagodnie opadającego zbocza. Zarówno drzwiami od frontu, jak i tymi po bokach cały czas wchodzili i wychodzili studenci, spieszący gdzieś w pojedynkę albo grupami. Niektórzy obeznani już z tym światem, inni nowi, jak ja. Tych ostatnich nietrudno było wyłowić, w każdym razie jeśli miałem rację w swoich przypuszczeniach, że ci, którzy wydawali się rozemocjonowani i zagubieni, z wyostrozonymi zmysłami, nie mogli być tu dłużej niż kilka dni.

Wszedłem do środka, ruszyłem na górę po wysokich schodach i znalazłem się w dużej otwartej przestrzeni, w której pełno było kolumn i schodów, a także ludzi przy stoiskach; można tu było nawiązać kontakt z radiem studenckim, gazetką studencką, studenckim związkiem sportowym, studenckim klubem kajakowym czy chrześcijańskim stowarzyszeniem studentów, ale byłem tu już wcześniej, toteż zdecydowanym krokiem skierowałem się do banku na końcu hali, tam stanąłem w jeszcze jednej kolejce i w ciągu kilku minut zarówno wpłaciłem pieniądze na konto, jak i wypłaciłem trzy tysiące koron, schowałem je do kieszeni, po czym poszedłem do księgarni studenckiej o nazwie Studia, gdzie przez blisko pół godziny krążyłem między półkami, najpierw zdezorientowany i poruszony, bo tyle tu było interesujących dziedzin, z których książki mogły mi się przydać podczas pisania, na przykład psychologia, filozofia, socjologia czy historia sztuki, ale skupiłem się na literaturoznawstwie, to było teraz najważniejsze, chciałem kupić coś o analizie wierszy i może o modernizmie, a oprócz tego kilka zbiorów poezji i jakieś powieści. Najpierw znalazłem powieść Jona Fossego, nosiła tytuł *Blod. Steinen er* i miała czarną okładkę ze zdjęciem częściowo oświetlonej twarzy; odwróciłem ją i przeczytałem: „Jon Fosse, 27 lat, magister nauk humanistycznych i wykładowca Akademii Sztuki Pisania w Hordaland, w tym roku wydał swoją czwartą książkę”. Poczuję dumę, bo przecież studiowałem w Akademii Sztuki Pisania, więc to prawie tak, jakby napisano o mnie. Musiałem mieć tę pozycję. Dalej stało kilka książek Jamesa Joyce’a, wybrałem tę o najbardziej przemawiającym do mnie tytule, *Stefan bohater*, a następnie znalazłem coś o analizie tekstu, książka była po szwedzku i nosiła tytuł *Från text till handling*, czyli *Od tekstu do*

fabuły^[7]. Przeleciałem tytuły rozdziałów: „Czym jest tekst”, „Wyjaśnić czy rozumieć”, „Tekst”, „Fabała”, „Historia”, i uznałem ją za dobrą raczej dla początkujących, ale jednocześnie pewnych sformułowań kompletnie nie rozumiałem, na przykład „Ku hermeneutyce krytycznej” albo „Czas historyczny i aporetika czasu fenomenologicznego”, uznałem, że to dobry trop, podnieciło mnie to, chciałem się uczyć, więc ją wziąłem. Natrafiłem na tom poezji Charlesa Olsona, nic o nim nie wiedziałem, ale kiedy przejrzałem ten zbiór, zatytułowany *Morgengryets arkeolog*^[8], zorientowałem się, że to mniej więcej takie same wiersze jak te, które pisała Trude, więc również go wziąłem. Dołożyłem jeszcze dwie książki Isaaca Asimova, bo musiałem mieć też coś, co po prostu będzie się nadawało do czytania. Obok nich stała powieść jakiegoś Johna Bergera, *G*, na skrzydełku napisano, że to powieść intelektualna, więc i ją postanowiłem kupić. Cortázara nie znalazłem, do swojego stosu dodałem natomiast kieszonkowe wydanie *Dziennika złodzieja* Jeana Geneta, a na koniec doszedłem do wniosku, że muszę mieć też coś z filozofii, i miałem tyle szczęścia, że natychmiast trafiłem na coś traktującego zarówno o filozofii, jak i o sztuce, a mianowicie na *Wykłady o estetyce* Hegla.

Po zapłaceniu za te wszystkie pozycje ruszyłem po schodach do stołówki. Jadłem tam już wcześniej, z Yngvem, ale wtedy nie musiałem się o nic martwić, bo on wszystkim się zajął, a teraz byłem sam i zakręciło mi się w głowie na widok tyłu studentów siedzących przy jedzeniu w tej ogromnej sali.

Na jednym końcu znajdowała się lada, przy której albo nakładano dania obiadowe, albo samemu brało się to, co wystawiono w szklanej witrynie, a potem należało zapłacić w jednej z trzech kas i dopiero usiąść przy którymś stoliku. Okna na drugim końcu były zaparowane, w lepkim i wilgotnym powietrzu szum głosów wznosił się i opadał.

Rozejrzałem się po wszystkich stolikach, lecz oczywiście nie zobaczyłem nikogo znajomego. Przeraziła mnie myśl, że miałbym tu siedzieć sam, więc zawróciłem i poszedłem na drugi koniec budynku, bo od strony Nygårdsparken mieścił się Grillen, gdzie serwowano zarówno gorące dania, jak i piwo, trochę droższe niż w stołówce, ale tym się nie przejmowałem, przecież kieszenie miałem wypchane pieniędzmi i nie musiałem na niczym oszczędzać.

Zamówiłem hamburgera z frytkami i półlitrowe piwo i wszystko to zanieśli do wolnego stolika przy oknie. Siedzący tu studenci wydawali się starsi i bardziej doświadczeni od tych w stołówce, sporo było też znacznie starszych

mężczyzn i kobiet, domyślałem się, że to wykładowcy, chyba że osoby te należały do grupy wiecznych studentów, o których słyszałem, do brodatych czterdziestolatków z rozwichrzonymi włosami, w swetrach robionych na drutach, którzy już piętnasty rok ślęczeli nad podręcznikami wybranego kierunku studiów w jakiejś dziupli, podczas gdy świat dookoła gnał naprzód.

W trakcie jedzenia przejrzałem kupione książki. Na skrzydełku powieści Fossego widniał cytat z Kjærstada z 1986 roku: „Dlaczego «Bergens Tidende» nie wypełniają felietony o Jonie Fossem?”.

A więc jednak Fosse jest n a p r a w d ę dobrym pisarzem i na dodatek zalicza się do czołowych autorów w kraju, pomyślałem, podnosząc wzrok i jednocześnie przeżuając bułkę z mięsem na smaczną papkę. Krzewy w Nygårdsparken tworzyły zieloną ścianę na tle metalowego ogrodzenia, a szare powietrze nad nimi nieustannie przecinały ukośne strugi deszczu, popychane nagłymi porywami wiatru, który moment później ruszył ulicą w dół, wprawiając w łopot parasole dwóch kobiet, właśnie schodzących po schodach.

Wieczorem zadzwoniłem do Yngvego i spytałem, gdzie się ostatnio podziwał. Odparł, że pracował, a wieczorem tego dnia, kiedy wypłacono mu kredyt studencki, był na mieście. Dodał też, że powinienem sobie załatwić telefon, żeby nie musiał do mnie przychodzić za każdym razem, kiedy czegoś ode mnie chce. Powiedziałem, że odebrałem kredyt, a nad telefonem się zastanowię.

– A jak było na mieście? – spytałem.

– W porządku. Wylądowałem z pewną dziewczyną u niej w domu.

– Co to za jedna?

– Nie znasz. Czasami się widywaliśmy na Wzgórzu, to wszystko.

– Chodzicie ze sobą?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. A jak u ciebie?

– Wszystko w porządku, ale mam sporo czytania.

– Czytania? Myślałem, że będziecie pisać.

– Ale śmieszne. W każdym razie kupiłem sobie dzisiaj książkę Jona Fossego. Nieźle się zapowiada.

Zapadła cisza.

– Skoro nie zajmujecie się pisaniem, to może mógłbyś napisać dla mnie ja-

kiś tekst? A najlepiej kilka. Żebym miał gotowe piosenki.

- Mogę spróbować.
- No to spróbuj.

Do późnej nocy siedziałem przy włączonej muzyce, piłem kawę i pisałem teksty dla Yngvego. Kiedy się kładłem koło trzeciej, dwa obiecujące miałem rozgrzebane, a jeden całkiem gotowy.

KOŁYSZESZ SIĘ TAK CUDNIE

*Uśmiechnij się do mnie
nie chowaj urazy
chcę cię rozbierać
wiele, wiele razy*

*Tańcz
aż przeminie złość
aż powiem stop, stop, stop
nigdy nie będę
miał ciebie dość*

*Kołysziesz się tak cudnie
Kołysziesz się tak cudnie*

*Uśmiechnij się do mnie
nie wzywaj pomocy
chcę się z tobą kochać
noc po nocy*

*Tańcz
aż przeminie złość
aż powiem stop, stop, stop
nigdy nie będę
miał ciebie dość*

*Kołyszysz się tak cudnie
Kołyszysz się tak cudnie
Kołyszysz się tak cudnie
Kołyszysz się tak cudnie*

W piątek po zajęciach wyszliśmy wszyscy razem na miasto. Hovland i Fosse pewnym krokiem zaprowadzili nas do słynnej knajpy Wesselstuen. Okazała się przyjemnym miejscem ze stolikami nakrytymi białymi obrusami i ledwie zdążyliśmy usiąść, zaraz zjawił się kelner w białej koszuli i czarnym fartuchu, żeby zebrać zamówienia. Wcześniej niczego takiego nie doświadczyłem. Panowała swobodna, sympatyczna atmosfera, tydzień się skończył, czułem radość, było nas ośmioro starannie wybranych studentów akademii i siedzieliśmy przy jednym stoliku z Ragnarem Hovlandem, który już stał się legendą w kręgach studenckich, przynajmniej tych bergeńskich, i z Jonem Fossem, jednym z najważniejszych w kraju młodych pisarzy postmodernistycznych, który zebrał dobre recenzje również w Szwecji. Do tej pory nie rozmawiałem jeszcze z żadnym z nich w cztery oczy, ale teraz siedziałem obok Hovlanda, więc kiedy przyniesiono piwa i pociągnąłem spory łyk, postanowiłem wykorzystać szansę.

– Słyszałem, że lubisz Crampsów – zagaiłem.

– Tak? A kto ci przekazał taką złośliwą plotkę?

– Kolega. Ale czy to się zgadza? Interesujesz się muzyką?

– Owszem – odparł. – I lubię Crampsów, więc to prawda. Pozdrów kolegę i powiedz mu, że ma rację. – Uśmiechnął się, nie patrząc mi w oczy. – Wspominał jeszcze o jakichś zespołach, które lubię?

– Nie, tylko o Crampsach.

– A ty lubisz Crampsów?

– Taak. Są całkiem niezli. Ale ostatnio słucham głównie Prefab Sprout. Słyszałeś ich ostatnią płytę? *From Langley Park to Memphis*?

– Pewnie. Ale moją ulubioną i tak ciągle jest *Steve McQueen*.

Siedząca po drugiej stronie stolika Bjørg coś do niego powiedziała, więc nachylił się do niej z uprzejmą miną. Obok Bjørg siedział Jon Fosse i rozmawiał z Knutem. Jego teksty omawialiśmy jako ostatnie, widziałem, że wciąż

jeszcze to przeżywa. Pisał wiersze, zadziwiająco krótkie, często składały się zaledwie z dwóch albo trzech wersów, a niekiedy tylko z dwóch słów umieszczonych obok siebie. Nie mogłem się zorientować, o czym są, ale miały w sobie pewną brutalność, w którą aż trudno było uwierzyć, gdy się patrzyło na niego, uśmiechniętego lub roześmianego, emanowała z niego wielka życzliwość, wręcz odwrotnie proporcjonalna do długości jego wierszy. Dużo też mówił, więc tym bardziej ta lapidarność w poezji do niego nie pasowała.

Odstawiłem pustą szklankę na stolik i chciałem wziąć jeszcze jedno piwo, ale nie miałem odwagi skinąć na kelnera, więc musiałem czekać, aż ktoś inny złoży zamówienie.

Obok mnie Petra rozmawiała z Trude. Można by wręcz sądzić, że znały się już wcześniej. Petra nagle jakby się otworzyła, a Trude straciła swoją surowość i skupienie, pojawiło się w niej coś niemal dziewczęcego, jakby uwolniła się od jakiegoś wielkiego ciężaru.

Chociaż nie mogłem powiedzieć, że już ich wszystkich znam, to napatrzyłem się dość, żeby wyrobić sobie zdanie o ich osobowościach, i chociaż nie zgadzały mi się one z ich tekstami, z wyjątkiem Bjørg i Else Karin, które pisały tak, jak wyglądały, czułem się dość pewny swoich ocen. Wyjątek stanowiła Petra. Pozostawała zagadką. Czasami potrafiła siedzieć kompletnie nieruchomo, wpatrzona w stolik, nieobecna, jakby trawiła własne wnętrze, bo chociaż się nie ruszała, a oczy miała cały czas utkwione w ten sam punkt, wyczuwało się u niej jakąś agresję. Odnosiłem wrażenie, że przeżuwa samą siebie. Kiedy w końcu podnosiła wzrok, zawsze uśmiechała się ironicznie. Ironiczne bywały też najczęściej jej komentarze, nierzadko bezwzględne, ale trafione w taki czy inny sposób, chociaż przesadzone. Kiedy się ożywiała, ironia gdzieś przepadała, czasami nawet śmiała się serdecznie, wręcz jak dziecko, a oczy, które tak często pałały ogniem, zaczynały po prostu błyszczeć. Gdy czytała swoje teksty, pomyślałem, że są takie jak ona, tak samo przesycone niechęcią, kanciaste, czasami niezgrabne i nieeleganckie, ale prawie zawsze pełne złości i mocy, nieodmiennie ironiczne, chociaż niepozbawione zaangażowania.

Trude wstała i ruszyła w głąb sali. Petra odwróciła się w moją stronę.

– Mnie nie spytasz, jakie zespoły lubię? – Uśmiechnęła się, ale spojrzenie, którym mnie obrzuciła, było mroczne i drwiące.

– Mogę spytać. Jakie zespoły lubisz?

– Wydaje ci się, że interesują mnie takie chłopackie bzdury?

– A skąd mogę wiedzieć?

– Czy ja tak wyglądam?

– No, w zasadzie tak. W tej skórzanej kurtce i w ogóle.

Roześmiała się.

– Poza tymi idiotycznymi imionami, wszystkimi frazesami i brakiem głębi psychologicznej, podobało mi się to, co napisałeś.

– To nic w tym nie zostało – zauważyłem.

– Zostało, zostało. Nie traktuj tak poważnie wszystkiego, co mówią inni. Przecież to nic nie znaczy, to tylko słowa. Spójrz na tych dwóch – głową wskazała naszych nauczycieli – pławią się w naszym podziw. Popatrz teraz na Jona. I na spojrzenie Knuta.

– Po pierwsze, wcale się nie przejmuję. A po drugie, Jon Fosse to dobry pisarz.

– Tak? Czytałeś?

– Trochę. W środę kupiłem jego ostatnią powieść.

– *Blod. Steinen er* – powiedziała niskim głosem w dialekcie z Vestlandet, robiąc przy tym dramatyczną minę. Potem wybuchnęła serdecznym, dźwięcznym śmiechem, który nagle się urwał. – Ech, tyle udawania – dodała.

– A w tym, co sama piszesz, nie ma udawania? – spytałem.

– Przecież ja mam się tu uczyć. Chłonać od nich tyle, ile zdołam.

Kelner podszedł do naszego stolika, wysunąłem palec. Petra też tak zrobiła, w pierwszej chwili wydało mi się, że mnie przedrzeźnia, ale po prostu ona także chciała zamówić jeszcze jedno piwo. Wróciła Trude, Petra odwróciła się do niej, a ja nachyliłem się nad stolikiem, żeby ściągnąć na siebie uwagę Jona Fossego.

– Znasz Jana Kjærstada? – spytałem.

– Tak, trochę znam. Jesteśmy przecież kolegami po fachu.

– Ty też się uważasz za postmodernistę?

– Nie, ja jestem raczej modernistą. Przynajmniej w porównaniu z Janem.

– Aha.

Spojrzał na stolik, nagle jakby odkrył piwo i wypił długi łyk.

– Co myślisz o pierwszych dniach w akademii?

Pytał o to mnie? Poczulem na twarzy gorąco.

– Było bardzo fajnie. Mam wrażenie, że w krótkim czasie bardzo dużo się nauczyłem.

– To dobrze. Ragnar i ja daliśmy wam niewiele wskazówek, dla nas to prawie taka sama nowość jak dla was.

– No tak.

Wiedziałem, że powinienem coś powiedzieć, bo przecież nagle nawiązała się rozmowa, ale nie miałem pojęcia co, i po kilku sekundach ciszy między nami Fosse odwrócił wzrok. Złapał go ktoś inny, a ja wstałem i ruszyłem w stronę toalet, które mieściły się przy drzwiach wejściowych na drugim końcu sali. W męskiej jakiś facet stał przy pisuarze, wiedziałem, że przy nim się nie wysikam, dlatego stanąłem w kolejce do kabiny, która chwilę później się zwolniła. Na kafelkach leżał kawałek papieru toaletowego, nasiąknięty szczynami albo wodą, ostry zapach świdrował w nozdrzach, więc sikając, starałem się nie oddychać przez nos. Zza drzwi kabiny dochodził szum wody w umywalkach, moment później zawarczała suszarka do rąk. Spuściłem wodę i wyszedłem, w tej samej chwili tamci dwaj mężczyźni opuścili toaletę. Wszedł inny, starszy, z pokaznym brzuszyskiem i czerwoną bergeńską twarzą. Chociaż toaleta była trochę zaniedbana, z mokrą, brudną podłogą, i śmierdziała, to jednak miała w sobie jakiś element tej samej wagi, co restauracja z białymi obrusami i kelnerami w fartuchach. Przypuszczalnie wiązało się to z jej wiekiem, z tym, że zarówno kafelki, jak i pisuary pochodziły z innej epoki. Opłukałem dłonie pod kranem, przyglądając się swojemu odbiciu, które ani trochę nie pasowało do mojego poczucia niższości. Mężczyzna stanął przy pisuarze na szeroko rozstawionych nogach, a ja wsunąłem dłonie pod strumień ciepłego powietrza, kilka razy je obróciłem i wróciłem do stolika, gdzie czekało na mnie kolejne piwo.

Kiedy już je wypilem i zacząłem następne, to, co do tej pory było we mnie zaciśnięte, zaczęło się luzować i zastąpiły je jakaś łagodność i miękkość, nie czułem już, że pozostaję na obrzeżach rozmowy, na obrzeżach grupy, teraz byłem raczej w jej centrum, rozmawiałem raz z jedną osobą, raz z drugą, a kiedy znów poszedłem do toalety, miałem wrażenie, że zabieram ze sobą cały stolik, to wszystko istniało w mojej głowie, płatanina twarzy i głosów, opinii i relacji, śmiechu i chichotu, więc gdy ktoś zaczął się zbierać do wyjścia, początko-

wo w ogóle tego nie zauważyłem, to się działo gdzieś na marginesie i nie było ani trochę groźne, bo rozmowy i picie dalej trwały. W końcu jednak najpierw wstał Jon Fosse, wkrótce potem Ragnar Hovland, a to już było gorsze, bo bez nich przecież nie istnieliśmy.

– Wypijcie jeszcze po jednym – zaproponowałem. – Przecież nie jest późno. Poza tym jutro sobota.

Ale oni byli niezachwiani w swojej decyzji, musieli wracać do domów, a po ich wyjściu tendencje do zakończenia imprezy się nasiliły, więc chociaż każdego z osobna prosiłem, żeby posiedział jeszcze trochę, wkrótce przy stoliku zostaliśmy tylko we dwoje z Petrą.

– Ty chyba jeszcze nie idziesz? – spytałem.

– Niedługo. Mieszkam kawałek za miastem, więc muszę zdążyć na autobus.

– Możesz przenocować u mnie – zaproponowałem. – Mieszkam w Sandviken. Mogłabyś spać na kanapie.

– Aż tak chcesz się napić? – roześmiała się. – No to gdzie pójdziemy? Tutaj już się nie da siedzieć.

– Do Opery? – zaproponowałem.

– Może być.

Na dworze było jaśniej, niż się spodziewałem. Resztki światła letniej nocy odrobinę rozjaśniały niebo nad nami, kiedy szliśmy pod górę w stronę teatru, mijając rząd taksówek. Ciemnożółte światło latarni rozciągało się na mokrych kamieniach bruku, deszcz lał nieprzerwanie. Petra niosła swoją czarną skórzaną torbę i chociaż na nią nie patrzyłem, wiedziałem, że minę ma poważną i zaciętą, a ruchy twarde, jakby kanciaste. Była jak łasica, gryzła tych, którzy wyciągali do niej rękę.

W Operze było dużo wolnych stolików, usiedliśmy na piętrze przy oknie. Poszedłem po piwo, Petra wypła duszkiem prawie połowę i grzbietem dłoni wytarła usta. Zastanawiałem się, co powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy, więc i ja wypłem pół szklanki jednym haustem.

Minęło pięć minut.

– Co właściwie robiłeś w północnej Norwegii? – spytała nagle, ale takim tonem, jakbyśmy rozmawiali już długo; jednocześnie wpatrywała się w niemal pustą już szklankę, którą trzymała w ręku.

– Byłem nauczycielem.

– To już wiem. Ale co cię skłoniło, żeby tam pojechać? Co chciałeś osiągnąć?

– Nie wiem. Po prostu tak wyszło. Chyba zamierzałem tam pisać.

– Dziwny pomysł. Szukać pracy na północy, żeby pisać.

– Może i dziwny.

Teraz ona poszła po piwo. Rozejrzałem się. Sala się zapełniała. Petra oparła się łokciem o kontuar, w rękę trzymała stówę, przed nią jeden z barmanów nalewał piwo do szklanki. Uniosła wargę, odsłaniając zęby, i jednocześnie zmarszczyła brwi. Któregoś dnia na samym początku powiedziała, że nazywa się inaczej niż dawniej. Przypuszczałem, że zmieniła nazwisko, ale okazało się, że imię. Właściwie nazwano ją Anne albo Hilde, nosiła jedno z najzwyklejszych żeńskich imion; dużo się zastanawiałem nad tym porzuceniem własnego imienia, bo sam byłem do swojego bardzo przywiązany, przez myśl by mi nie przeszło, że mógłbym mieć inne, w pewnym sensie zmieniłoby to wszystko. A ona to zrobiła.

Mama zmieniła nazwisko, ale na nazwisko taty, bo taka była tradycja, a kiedy znów je zmieniła, wróciła do swojego dawnego. Nazwisko zmienił również tata, co było bardziej niezwykle, no ale pozostał przy dawnym imieniu, które w rodzinie nosił tylko on.

Wróciła Petra z piwami i usiadła.

– W kogo wierzysz? – spytała.

– Co masz na myśli?

– W klasie, w szkole.

Nie bardzo mi się podobały te określenia. Wolałem słowo „akademia”, ale to przemilczałem.

– Nie wiem – odparłem.

– Powiedziałaś: wierzysz, to oczywiste, że nie wiesz nic na pewno.

– Podobało mi się to, co napisałaś.

– Możesz sobie darować pochlebstwa.

– Mówię prawdę.

– Knut: zupełnie pusty. Trude: pozerstwo. Else Karin: proza gospodyni domowej. Kjetil: dziecinada. Bjørg: nuda. Nina: dobra. Jest stłamszona, ale pi-

sze dobrze.

Roześmiała się i z chytrą miną spojrzała na mnie z ukosa.

– A co ze mną? – spytałem.

– Ech, ty! – prychnęła. – Ty ani trochę nie rozumiesz siebie i nie masz pojęcia, co robisz.

– A ty masz pojęcie?

– Nie. Ale wiem przynajmniej, że tego nie wiem. – Znów się roześmiała. – No i jesteś trochę femi. Ale masz duże, mocne dłonie, a to wprowadza równowagę.

Odwrociłem głowę, czułem, że w środku płonę.

– Zawsze miałam cięty język – powiedziała.

Wypiłem kilka głębszych łyków i rozejrzałem się po sali.

– Chyba się nie obraziłeś za ten drobiazg! – Zachichotała. – Jeśli chcesz, mogę o tobie powiedzieć o wiele gorsze rzeczy.

– Wolę nie.

– Strasznie nabożnie traktujesz siebie. Ale to ma związek z wiekiem. Nie twoja wina.

No a ty? – miałem ochotę odparować. Co cię skłania do tego, żeby uważać się za taką świętą? I skoro ja jestem femi, to ty jesteś męska. Kiedy idziesz, wyglądasz prawie jak chłopak.

Przemilczałem to jednak i powoli ogień w moim wnętrzu przygasł, głównie dlatego, że zacząłem robić się na serio pijany i zbliżałem się do granicy, za którą nic już nie ma znaczenia, a raczej wszystko znaczy tyle samo.

Jeszcze parę piw i do niej dotrę.

Przez salę między stolikami sunęła znajoma postać. To był Morten, ubrany w swoją czerwoną skórzaną kurtkę, z jasnobrązowym skórzanym plecakiem na ramieniu, w rękę trzymał złożony długi parasol. Na mój widok się rozjaśnił i z werwą ruszył w stronę naszego stolika, wysoki i kościsty, ze sterczącymi jak gwoździe włosami, lśniącymi od żeluz.

– Cześć i czołem! – zaśmiał się. – Wyszedłeś się napić?

– Tak – powiedziałem. – To jest Petra. Petra, to Morten.

– Cześć – rzucił Morten.

Petra szybko omiotła go spojrzeniem i ledwie skinęła mu głową. Zaraz się odwróciła i skierowała wzrok w inną stronę.

– Wyszliśmy na miasto z ludźmi z akademii – wyjaśniłem. – Inni wcześniej poszli do domu.

– A ja myślałem, że pisarze cały czas chłają – stwierdził Morten. – Do tej pory siedziałem w czytelnicy. Nie wiem, co to będzie. Nic nie rozumiem! Kompletnie nic! – Zaśmiał się i rozejrzał. – Właściwie jestem już w drodze do domu. Zajrzałem tu tylko sprawdzić, czy nie ma kogoś znajomego. Ale mogę ci powiedzieć jedno: podziwiam was, przyszli pisarze. – Przez chwilę patrzył na mnie poważnie. – No, będę już leciał. Na razie.

Kiedy zniknął za rogiem baru, wyjaśniłem Petrze, że to był mój sąsiad. Pokiwała głową bez zainteresowania, dopiła piwo i wstała.

– Spadam – oznajmiła. – Mam autobus za piętnaście minut.

Zdjęła kurtkę z oparcia krzesła, zwinęła dłoń w pięść i wsunęła ją w rękaw.

– To jednak nie nocujesz u mnie? To naprawdę żaden problem.

– Nie, wracam do domu. Ale może skorzystam z twojej propozycji kiedy indziej. Trzymaj się.

Z ręką zaciśniętą na torbie i wzrokiem skierowanym prosto przed siebie ruszyła w stronę schodów. Nikogo innego tu nie znałem, ale zostałem jeszcze trochę, na wypadek gdyby ktoś miał się pojawić. Facet siedzący w samotności zbyt rzucił się w oczy, więc włożyłem kurtkę przeciwdeszczową, wziąłem swoją reklamówkę i wyszedłem w wietrzną ciemność miasta.

*

Okolo jedenastej przed południem obudziło mnie skrobanie i walenie w ścianę. Usiadłem i rozejrzałem się. Co to za odgłosy? W końcu zrozumiałem i z powrotem opadłem na łóżko. Za ścianą wisały skrzynki pocztowe, ale dotychczas jeszcze nie zdarzyło mi się spać tak długo, żeby słyszeć, jakie dźwięki towarzyszą roznoszeniu poczty.

Nade mną ktoś chodził i śpiewał.

Ale czy w pokoju nie było dziwnie jasno?

Wstałem i odsunąłem zasłonkę.

Słońce!

Ubrałem się, poszedłem do sklepu, kupiłem mleko, bułki i gazety. W drodze powrotnej zajrzałem do skrzynki pocztowej. Oprócz dwóch rachunków przesłanych na nowy adres były w niej dwa awiza. Natychmiast skoczyłem na pocztę, gdzie wydano mi dwie grube paczki. Otworzyłem je w kuchni za pomocą nożyczek. *Dzieła zebrane* Szekspira, zebrane wiersze i dramaty T.S. Eliota, *Dzieła zebrane* Oscara Wilde'a i album z fotografiami nagich kobiet.

Drżąc z podniecenia, usiadłem na łóżku, żeby przejrzeć tę ostatnią pozycję. Całkiem nagie nie były, wiele nosiło buty na wysokich obcasach, a jedna miała rozpiętą bluzkę, odsłaniającą szczupłe, opalone ciało.

Odłożyłem album i jedząc śniadanie, przejrzałem trzy kupione gazety. „Bergens Tidende” zajmowała się głównie zabójstwem, do którego doszło dzień wcześniej przed południem. Rozpoznałem miejsce zbrodni na zdjęciu, a po przeczytaniu artykułu moje podejrzenia się potwierdziły: to się stało w odległości zaledwie kilku kwartałów od domu, w którym teraz mieszkałem. Nie dość na tym, zabójcy wciąż jeszcze nie udało się ująć. W gazecie napisano, że ma osiemnaście lat i uczy się w szkole zawodowej. Z jakiegoś powodu wywarło to na mnie duże wrażenie. Wyobraziłem go sobie w miejscu, w którym się teraz znajdował, w wynajętym pokoju w suterenie, samego, za zaciągniętymi zasłonami, które od czasu do czasu delikatnie odchyłał, aby sprawdzić, co

się dzieje na ulicy, chociaż mógł obserwować jedynie ludzkie nogi do wysokości kostek, a serce łomotało mu w piersi i rozpacz z powodu tego, co zrobił, rozszarpywała mu wnętrze na kawałki. Walił ręką w ścianę, krążył po pokoju, zastanawiał się, czy zgłosić się już teraz, czy zostać tam kilka dni, a potem próbować uciec, może na pokładzie jakiegoś promu, do Danii albo do Anglii, i dalej autostopem na południe kontynentu. No ale nie miał pieniędzy ani żadnych ubrań, tyle co na sobie.

Wyjrzałem przez okno, żeby sprawdzić, czy na ulicy nie dzieje się nic niezwykłego, na przykład czy nie zebrała się policja lub czy nie stoją gdzieś radiowozy, ale wszystko było jak zawsze, oczywiście oprócz blasku słońca, zalewającego świat.

O tym zabójstwie mogłem porozmawiać z Ingvild. To, że zabójca być może przebywa tutaj, w mojej dzielnicy, akurat teraz, w czasie gdy szuka go niemal cała policja z miasta, było naprawdę niezłym tematem rozmowy.

Może mógłbym też o tym napisać? Młody chłopak zabija staruszkę i się ukrywa, a policja powoli go okrąża.

Za skarby świata bym sobie z tym nie poradził.

Szarpnęło mną rozczarowanie, więc wstałem, wziąłem ze stołu talerzyk i szklanę, wstawiłem je do zlewu w kuchni, gdzie już były inne brudne naczynia, z których korzystałem w ciągu tego tygodnia. Patrząc na jasnozielony trawnik w parku, przez który właśnie przechodziła kobieta z dwojgiem dzieci, trzymająca je za rękę, pomyślałem, że Petra co do jednego się pomyliła, a mianowicie co do tego, że nie rozumiem, kim jestem. Akurat samoświadomości mi nie brakowało. Wiedziałem dokładnie, kim jestem. Niewielu moich znajomych miało taką świadomość.

Wróciłem do pokoju i już miałem się nachylić nad płytami, kiedy mój wzrok dosłownie przyssał album z fotografiami. Poczułem ukłucie radości i strachu. Równie dobrze mogło się to stać teraz. Byłem sam i nie miałem żadnych planów, po co miałbym odkładać to na później, więc wziąłem książkę do ręki i rozejrzałem się po pokoju. Jak niepostrzeżenie przemycić ją do toalety? W torbie? Nie, kto, u diabła, zabiera reklamówkę do kibla?

Rozpiąłem guzik i suwak w spodniach, wetknąłem album za pasek, naciągnąłem koszulę i mocno się nachyliłem, żeby sprawdzić, jak to wygląda i czy ktoś mógłby się domyślić, że mam w spodniach książkę.

Może i tak.

A gdyby wziąć ręcznik? Jeślibym kogoś spotkał, mógłbym przytrzymać ręcznik przy brzuchu przez kilka sekund, jakie zajęłaby ewentualna rozmowa. Później wziąłbym prysznic. Chyba nie byłoby nic podejrzanego w tym, że przed kąpielą skorzystałem z toalety?

Tak właśnie zrobiłem. Z albumem za paskiem spodni i największym ręcznikiem kąpielowym w garści wyszedłem z mieszkania, pokonałem krótki korytarz, zbiegłem w dół po schodach i dotarłem do toalety, tam zamknąłem drzwi na klucz, wyjąłem album i zacząłem go przeglądać.

Chociaż nigdy wcześniej się nie onanizowałem i nie bardzo wiedziałem, jak to się robi, mimo wszystko miałem o tym jakieś pojęcie. Słowa „ciągnąć” i „skubać” kwitły we wszystkich dowcipach o waleniu konia, których nasłuchałem się przez lata, zwłaszcza w szatniach piłkarskich, więc czując pulsowanie krwi w członku, wyjąłem go z niedużej torebki, jaką były dla niego slipy, i zacząłem się wpatrywać w długonogą, czerwousta kobietę, która na tle domku wakacyjnego – sądząc po pobielonych wapnem ścianach i drzewach z powyginanymi pniami, nad Morzem Śródziemnym – stała pod sznurem na bieliznę z miską w ręku, całkiem naga. Patrzyłem na nią, patrzyłem i patrzyłem, na piękne, podniecające linie jej ciała, aż w końcu zacisnąłem palce na fiucie i zacząłem je przesuwając w górę i w dół. Najpierw po całym, ale już po kilku ruchach poprzestałem na samym koniuszku, jednocześnie nie odrywając oczu od kobiety z miską, a potem, w chwili gdy zaczęła we mnie wzbierać fala rozkoszy, pomyślałem, że muszę popatrzeć jeszcze na jakąś inną, żeby je maksymalnie wykorzystać, więc przerzuciłem kartkę, zobaczyłem inną kobietę, siedzącą na huśtawce, ubraną jedynie w czerwone buty z paskami zapiętymi wokół kostek, i wtedy mną szarpnęło, usiłowałem zgiąć członek w dół, żeby tryśnieło do sedesu, ale się nie dało, był zbyt sztywny, więc pierwsza porcja spermy poleciała prosto na otwartą klapę i powoli po niej spływała, podczas gdy ze mnie wydobywały się kolejne porcje, które tym razem trafiały niżej, ponieważ wpadłem na genialny pomysł, aby się pochylić, żeby się ustawić pod lepszym kątem.

Ach.

Zrobiłem to.

Nareszcie to zrobiłem.

Nie było w tym żadnej tajemnicy. Przeciwnie, okazało się to niewiarygodnie proste, dlatego tym bardziej się dziwiłem, że nie próbowałem tego nigdy wcześniej.

Zamknąłem album, wytarłem deskę, obmyłem się, przez chwilę stałem nieruchomo, nasłuchując, czy przypadkiem nikogo nie ma na zewnątrz, a potem znów wetknąłem książkę za pasek spodni, chwyciłem ręcznik i wyszedłem.

Dopiero wtedy zacząłem się zastanawiać, czy postąpiłem właściwie. Czy należało się spuścić do sedesu? A może do umywalki? Albo w kłęb papieru toaletowego trzymanego w dłoni? A może zwykle robi się to w łóżku? Z drugiej strony jednak działa się to w najgłębszej tajemnicy, więc chyba nie miało żadnego znaczenia, czy mój sposób postępowania odbiega od normy, czy nie.

Ledwie zdążyłem odłożyć album na biurko, a nieużyty ręcznik złożyć i schować do szafy, rozległ się dzwonek.

Poszedłem otworzyć.

To byli Yngve i Asbjørn, obaj w ciemnych okularach. Tak jak ostatnio, mieli w sobie jakiś niepokój, było coś takiego w kciuku Yngvego zatkniętym za szlufkę spodni i w pięści Asbjørna w kieszeni, a może chodziło o to, że obaj stali bokiem do drzwi i odwrócili się dopiero, gdy otworzyłem. Albo o ciemne okulary, których nie zdjęli?

– Cześć – powiedziałem. – Wejdźcie.

Poszli za mną do pokoju.

– Właściwie przyszliśmy tylko spytać, czy nie wybrałbyś się z nami do miasta – oznajmił Yngve. – Chcieliśmy pochodzić po sklepach z płytami.

– Chętnie – odparłem. – I tak nie mam nic innego do roboty. Idziemy od razu?

– Tak. – Yngve sięgnął po książkę z nagimi kobietami. – Widzę, że kupiłeś sobie album.

– Owszem.

– Nietrudno się domyślić, po co ci to – zaśmiał się.

Asbjørn też się roześmiał, ale jego śmiech wskazywał, że akurat tę część wizyty chciałby mieć jak najprędzej za sobą.

– To są poważne zdjęcia – oświadczyłem, włożyłem kurtkę i nachyliłem się, żeby zawiązać sznurowadła. – To coś w rodzaju albumu ze sztuką.

– Aha. – Yngve odłożył książkę. – A plakat z Lennonem zniknął, co?

– Tak – powiedziałem.

Asbjørn zapalił papierosa, odwrócił się do okna i wyjrzał na ulicę.

Dziesięć minut później szliśmy obok siebie przez Torgget, wszyscy w ciemnych okularach. Wiało od fiordu, proporczyki na masztach powiewały, łopocząc, a słońce świecące na bezchmurnym błękitnym niebie skrzyło się i lśniło na wszystkich powierzchniach. Na ulicy odchodzącej od Torgallmenningen przy każdej zmianie światła na zielone samochody wyrzywały do przodu jak sfera psów. Na placu było aż gęsto od ludzi, a między nimi, uwięzione w kilku metrach sześciennych zielonkawej i przypuszczalnie lodowatej wody, pływały w baliach dorsze z rozdziawionymi pyskami, w innych kraby pełzały jedne po drugich, a homary leżały nieruchomo, z kleszczami ściśniętymi białą gumką.

– Zjemy później w Yang Tse Kiang? – zaproponował Yngve.

– Możemy – odparł Asbjørn. – Pod warunkiem, że nie będziesz powtarzał, że jedzenie w Chinach ma zupełnie inny smak niż tam.

Yngve nie odpowiedział, tylko wyciągnął z kieszeni pudełko papierosów i zatrzymał się przy skrzyżowaniu ze światłami. Spojrzałem w prawo, na stragan z warzywami; widok pomarańczowych marchewek, powiązanych w pęczki i ułożonych w wielki stos, przypomniawszy mi tamte dwa sezony, kiedy pracowałem u ogrodnika na Tromøi – wyrwaliśmy marchewki, myliśmy je i pakowaliśmy, przez cały czas przebywałem wtedy bardzo blisko ziemi, czarnej i tłustej, pod sierpniowo-wrześniowym niebem, kiedy ciemność i ziemia były tak mocno ze sobą związane, a każdy szelest w krzakach i drzewach na końcu pola wywoływał we mnie leciutkie drżenie ze szczęścia. Teraz zastanawiałem się, czym to było spowodowane. Co sprawiało, że czułem się taki szczęśliwy?

Światło zmieniło się na zielone i razem z tłumem ludzi ruszyliśmy na drugą stronę ulicy, minęliśmy sklep z zegarkami i wyszliśmy na wielki plac, który otwierał się między domami jak polana w lesie. Spytałem, dokąd właściwie idziemy. Yngve odpowiedział, że w ł a ś c i w i e idziemy do Apollona, a potem możemy zajrzeć do kilku sklepów z używanymi rzeczami.

Na przeglądaniu płyt w sklepach muzycznych znałem się nieźle, kojarzyłem większość zespołów, których albumy stały na półkach, wyjmowałem je, sprawdzałem, kto je wyprodukował, kto gra w poszczególnych utworach,

w jakim studiu zostały nagrane. Byłem znawcą, mimo to, kiedy staliśmy i palcami przerzucaliśmy płyty, stale zerkalem na Yngvego i Asbjørna, a gdy któryś z nich wyjął jakąś płytę, starałem się zobaczyć, co to jest, co się tutaj liczy. Asbjørn sięgał po dość stare rzeczy, niektóre wręcz kuriozalne, takie jak George Jones czy Buck Owens, szczególnie zaś zdumiała mnie pewna świąteczna płyta, którą wyciągnął i pokazał Yngvem, obaj się zaśmiali, Asbjørn powiedział, że ona jest naprawdę *over the top*, a Yngve dodał, że tak, że jest rzeczywiście kampa. Sam jednak trzymał się tych samych ram co ja, brytyjski postpunk, amerykański indie rock, jakieś zespoły australijskie, no i oczywiście parę norweskich, ale nic poza tym, przynajmniej z tego, co widziałem.

Kupiłem dwanaście płyt, w większości zespołów, które znałem już wcześniej, i jedną z polecenia Yngvego, Guadalcanal Diary. Kiedy godzinę później siedzieliśmy w chińskiej restauracji, obaj z Asbjørnem śmiali się, że nakupiłem tyle krążków, ale w tym śmiechu wychwytywałem również szacunek, ten śmiech mówił nie tylko, że jestem świeżo upieczonym studentem, który nigdy nie trzymał w ręku tylu pieniędzy, ale że się naprawdę angażuję.

Na stół wjechała ogromna misa parującego ryżu, który jedynie leciutko się lepił do wetkniętej w niego wielkiej porcelanowej łyżki, od razu rzuciliśmy się na jedzenie i każdy nałożył sobie na talerz solidny kopiec, Yngve i Asbjørn polali ryż brązowym sosem, więc zrobiłem to samo. Sos, początkowo ciemny i gęsty, chwilę później zrobił się przezroczysty, niemal zniknął między ziarenkami ryżu. Miał w sobie lekką gorycz, ale następna porcja, którą wziąłem do ust, *chop suey* z wołowiną, wynagrodziła mi to z nawiązką. Yngve jadł pałeczkami, wymachiwał nimi jak Chińczyk; później zamówiliśmy na deser smażone banany z lodami, dostaliśmy też kawę, z małą czekoladką After Eight na spodeczku.

Przez cały posiłek usiłowałem się zorientować, na czym dokładnie polega relacja dwóch tak dobrych przyjaciół jak oni. Jak długo patrzą sobie w oczy, mówiąc coś, zanim spuszczą wzrok? O czym rozmawiają, ile to trwa i dlaczego mówią właśnie o tym? O wspomnieniach – pamiętasz, jak było wtedy? O innych przyjaciółach – wiesz, że on powiedział to czy tamto? O muzyce – słyszałeś ten czy ten utwór, tę czy tę płytę? O studiach? O polityce? O czymś, co się wydarzyło niedawno, w zeszłym tygodniu? Czy jeśli zmieniał się temat rozmowy, to nawiązywał do poprzedniego, jakby z niego wyrastał, czy też był bardzo odległy i pojawiał się zupełnie zniecka?

Ale nie obserwowałem ich w milczeniu. Cały czas uczestniczyłem w rozmowie, uśmiechałem się i komentowałem, nie wygłaszałem jedynie długich monologów, w przeciwieństwie do Asbjørna i Yngvego, którzy jakby wytrząsali słowa z kieszeni.

Na czym więc to polegało? O co w tym wszystkim chodziło?

Po pierwsze, nie zadawali sobie prawie żadnych pytań, inaczej niż ja. Po drugie, wszystko na ogół się ze sobą wiązało, niewiele brało się z powietrza. Po trzecie, chodziło głównie o śmiech. Yngve opowiadał jakąś historię, śmiali się z niej, Asbjørn coś dodawał, ciągnął opowieść w wymiarze hipotetycznym, a jeśli to zadziało, Yngve ją komentował i opowieść nabierała dzikości. Śmiech zamierał, mijało kilka sekund, Asbjørn opowiadał coś w podobnym stylu, również po to, by sprowokować śmiech, i powtarzało się mniej więcej to samo. Od czasu do czasu zahaczali w ten sposób o poważniejsze tematy, chwilę je rozważali, czasami dyskutując – trochę tak, ale, można tak powiedzieć, ale, nie, nie zgadzam się – po czym następowała przerwa, a mnie ogarniał strach, że się pokłócili, lecz zaraz pojawiała się kolejna historia, anegdota czy dykteryjka.

Przez cały czas szczególną uwagę zwracałem na Yngvego. Było dla mnie ważne, żeby nie powiedział nic głupiego lub nie wykazał się nieznaną rzeczą, czyli żeby nie wypadł gorzej niż Asbjørn, ale niepotrzebnie się obawiałem, byli sobie równi i bardzo mnie to cieszyło.

Najedzony i dość zadowolony, szedłem z centrum pod górę, w obu rękach niosąc torby z płytami, i dopiero prawie przy swoim mieszkaniu, gdy zobaczyłem przejeżdżający wolno policyjny radiowóz, przypomniałem sobie tamtego młodego mordercę. Skoro policja wciąż go szuka, oznacza to, że ciągle jest gdzieś w mieście, ciągle siedzi w kryjówce. Ależ musi się bać! Pewnie odchodzi od zmysłów ze strachu. Przerażony tym, co zrobił. Zabił drugiego człowieka, wbił nóż w jego ciało, patrzył, jak martwy upada na ziemię, i to za co? Na pewno słyszy w środku taki krzyk. Za co? Za co? Za portfel. Za kilka setek. Za nic. Musi się czuć naprawdę strasznie.

Kiedy już się wyszykowałem na spotkanie z Ingvild, było zaledwie kilka minut po piątej, więc żeby jakoś zabić czas, szedłem do Mortena i zapukałem do jego mieszkania.

– Proszę! – ryknął ze środka.

Otworzyłem drzwi. Regulował właśnie dźwięk wieży stereo, ubrany w T-shirt i szorty.

– Cześć, mój panie – przywitał mnie.

– Cześć. Mogę wejść?

– O rany, pewnie, siadaj.

Pomalowane na biało murowane ściany były wysokie, na samej górze miały dwa podłużne, wąskie, prawie nieprzejryste okienka. Pokój był umeblowany spartańsko, żeby nie powiedzieć – wręcz goły. Stało tam łóżko przypominające skrzynię, również białe, z brązowym materacem obitym materiałem podobnym do sztruksu i dużymi brązowymi poduszkami z tej samej tkaniny. Przy łóżku stół, po jego drugiej stronie krzesło, oba sprzęty z rodzaju takich, jakie znajduje się na pchlich targach albo w sklepach z używanymi rzeczami w stylu lat pięćdziesiątych. Wieża stereo, kilka książek, z których w oczy rzucała się ta gruba, czerwona, *Prawa norweskie*, pod ścianą telewizor na krześle.

Morten usiadł na łóżku i podłożył sobie pod plecy dwie duże poduszki; tak rozluźnionego jeszcze go nie widziałem.

– Tydzień na tym przeklętym Wzgórzu – westchnął. – Z ilu, z trzystu pięćdziesięciu?

– W takim razie lepiej liczyć dni – powiedziałem. – Bo to oznacza, że masz ich za sobą już pięć.

– Cha, cha, cha, to najgłupsza rzecz, jaką słyszałem. Wtedy zostaje mi jeszcze dwa i pół tysiąca jednostek!

– Tak to już jest. Gdybyś myślał w kategoriach lat, zostałyby ci tylko siedem, ale w takim wypadku nie odbębniłbyś jeszcze nawet promila.

– Albo procentu promila, jak mawiał jeden chłopak z mojej klasy. Niech pan siada, *monsieur*. Idziesz dziś na miasto?

– A co? – spytałem, siadając.

– Bo tak wyglądasz. Jakbyś się wyczesał zgrzeblęm.

– Rzeczywiście wychodzę. Mam się spotkać z Ingvild. W zasadzie to będzie nasze pierwsze spotkanie.

– Pierwsze spotkanie? Skąd ty ją wziąłeś? Z ogłoszenia matrymonialnego? Cha, cha, cha!

– Spotkałem się z nią raz, wiosną, w Førde. Widzieliśmy się mniej więcej pół godziny. Przepadłem z kretesem. Od tej pory o niczym innym nie myślę. Ale korespondowaliśmy ze sobą.

– Aha, no właśnie. – Nachylił się nad stołem, puknął w koniuszek pudełka papierosów, tak że podskoczyło w jego stronę, otworzył je i wystukał jedną fajkę. – Zapalisz?

– Czemu nie? Zostawiłem tytoń na górze. Kiedyś ci się odwdzięczę skrętem.

– Uciekłem właśnie od ludzi, którzy sami skręcają papierosy – powiedział, rzucając mi pudełko.

– A skąd jesteś?

– Z Sigdal. Z nędznej wioseczki w regionie Østlandet. Wyłącznie las i nędza. To tam, gdzie robią meble kuchenne, no, wiesz. Kuchnie z Sigdal. Bardzo jesteśmy z nich dumni.

Zapalił papierosa i szybko przegarnął dłonią włosy.

– To dobrze wyglądać na wyczesanego zgrzebłem czy źle? – spytałem.

– Jasne, że dobrze. Przecież idziesz na randkę. Trzeba się trochę wyszykować.

– No właśnie.

– A ty jesteś z południa?

– Tak. Z nędznego miasteczka na południu. Żeby nie powiedzieć z chujowego.

– Jeśli ty jesteś z chujowego, to ja jestem z piździarskiego.

– Chuj i pizda w nocy gwizda.

– Cha, cha, cha, co ty wygadujesz?

– Nie wiem, tak mi się skojarzyło.

– No tak, jesteś pisarzem. – Znów oparł się na poduszkach, jedną nogę podciągnął na materac i wydmuchał dym pod sufit. – Jakie miałeś dzieciństwo? – spytał.

– Dzieciństwo?

– Tak, kiedy byłeś mały. Jak to było?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. W każdym razie pamiętam, że stale ryczałem.

– Ryczałeś? – Tak się zaczął śmiać, że w końcu się zakrztusił. Jego śmiech był zaraźliwy. Też się śmiałem, chociaż nie bardzo wiedziałem z czego.

– Cha, cha, cha, ryczałeś!

– O co chodzi? Naprawdę ryczałem.

– Jak? – Usiadł wyprostowany. – Muuu! Tak czy inaczej?

– No nie, chodzi mi o to, że płakałem.

– Aha. Dużo płakałeś jako dziecko. A ja myślałem, że naprawdę ryczałeś.

– Cha, cha, cha!

– Cha, cha, cha!

Kiedy już się wyśmialiśmy do końca, zapadła cisza. Zgniotłem papierosa w popielniczkę i założyłem nogę na nogę.

– Ja w dzieciństwie dużo czasu spędzałem sam – powiedział Morten. – Przez całe gimnazjum i liceum marzyłem o tym, żeby stamtąd wyjechać. Więc to, że siedzę teraz tutaj, we własnym mieszkaniu, jest naprawdę czymś fantastycznym, chociaż to mieszkanie jest okropne.

– Rzeczywiście.

– Ale boję się tego prawa. Wydaje mi się, że może to nie całkiem moja działka.

– Chyba zacząłeś studia dopiero w poniedziałek? Nie za wcześnie, żeby tak mówić?

– Może.

Gdzieś trzasnęły drzwi.

– To Rune – wyjaśnił Morten. – Ciągłe bierze prysznic, prawdziwy z niego czyścioszek.

Znów się roześmiał.

Wstałem.

– Mam się z nią spotkać o siódmej – powiedziałem. – A wcześniej muszę jeszcze załatwić parę rzeczy. Wychodzisz gdzieś wieczorem?

Pokręcił głową.

– Zamierzam trochę poczytać.

– Coś związanego z prawem?

Potwierdził.

– Życzę ci powodzenia z Ingvild.

– Dzięki – rzuciłem i wróciłem do siebie. Wieczór był niezwykle jasny. Niebo na zachodzie, którego skrawek widziałem przez okno ponad drzewami i dachami, żarzyło się czerwono, sunęło po nim kilka czarnych chmur, przypominających kromki chleba. Nastawiłem stary maksisingiel Big Country, zjadłem bułkę, ubrałem się w czarną marynarkę, z kieszeni spodni przełożyłem do niej klucze, zapalniczkę i monety, żeby uniknąć nieeleganckiego wybrzuszenia na udzie, paczkę z tytoniem schowałem do wewnętrznej kieszeni i wyszedłem.

Kiedy Ingvild weszła do Opery, początkowo mnie nie zauważyła. Szła z pewnym wahaniem, rozglądając się, ubrana w biały sweter w niebieskie pasy, beżową kurtkę i niebieskie dżinsy. Włosy miała dłuższe niż wtedy, gdy widziałem ją ostatnio. Serce biło mi w piersi tak mocno, że ledwie mogłem oddychać. Nasze spojrzenia się spotkały, ale wcale się nie rozpromieniła, na co liczyłem, lekki uśmiech to było wszystko z jej strony.

– Cześć – przywitała mnie. – Już jesteś?

– Tak – odparłem i uniosłem się z krzesła. Ale my się przecież nie znaliśmy, więc uścisk byłby może nie na miejscu, a jednocześnie nie mogłem po prostu z powrotem usiąść, jak diabeł, który wyskoczył z pudełka, kiedy się zbyt napięło sprężynę, więc dokończyłem ten ruch i nadstawiłem policzek, którego Ingvild dotknęła na szczęście swoim policzkiem.

– Miałam nadzieję, że przyjdę pierwsza – powiedziała i najpierw powiesiła na oparciu krzesła torebkę, a potem kurtkę – i dzięki temu zyskam nad tobą pewną przewagę.

Znów się uśmiechnęła i usiadła.

– Napijesz się piwa? – spytałem.

– A, rzeczywiście. Musimy się czegoś napić. Postawisz mi szklanę, a potem ja postawię tobie?

Poszedłem do baru. Lokal zaczynał się zapełniać. Przede mną w kolejce stały dwie osoby. Starannie unikałem patrzenia na Ingvild, ale kątem oka i tak widziałem, że wpatruje się w okno. Ręce trzymała na kolanach. Cieszyłem się z tej przerwy, cieszyłem się, że tam teraz nie siedzę, ale zaraz przyszła moja kolej i dostałem dwie szklanki, więc musiałem wracać.

– Co słyhać? – spytałem.

– Z jazdą samochodem? Czy ten etap mamy już za sobą?

– Nie wiem.

– Strasznie dużo nowości – powiedziała. – Nowe mieszkanie, nowe studia, nowe książki, nowi ludzie. Nie żebym studiowała coś wcześniej, no ale... – dodała z lekkim śmiechem.

Nasze oczy się spotkały. Rozpoznałem to jej skłonne do śmiechu spojrzenie, które tak mnie urzekło od pierwszego razu.

– Tak jak zapowiadałam, mam treść.

– Ja też – przyznałem.

– No to na zdrowie.

Lekko trąciliśmy się szklankami.

Przechyliła głowę na bok i wyjęła z torebki pudełko papierosów.

– No i jak to będzie? – spytała. – Zaczynamy od nowa? Ja wchodzę, ty już tu siedzisz, ściskamy się, pytasz, co u mnie, ja odpowiadam i pytam, co u ciebie. O wiele lepszy początek!

– U mnie mniej więcej tak samo – powiedziałem. – Dużo nowości. Szczególnie w akademii. Ale mój brat także tu studiuje, więc trochę się do niego przyczepiłem.

– I ten twój bezczelny kuzyn też?

– Jon Olav? Tak.

– Mamy domek letniskowy, tam gdzie mieszkają jego dziadkowie. Jest pięćdziesiąt procent szans na to, że również twój dziadkowie.

– W Sørbovåg?

– Tak. Nasz domek stoi po drugiej stronie fiordu, pod Lihesten.

– Naprawdę? W dzieciństwie spędzałem tam każde lato.

– No to któregoś razu musisz przypłynąć do mnie łodzią w odwiedziny.

Pomyślałem, że niczego bardziej nie pragnę, niż spędzić z nią weekend w domku u podnóża potężnej góry Lihesten. Czy na świecie mogło być coś wspanialszego?

– Fajnie by było – powiedziałem.

Chwila milczenia.

Usiłowałem na nią nie patrzeć, ale nie mogłem się powstrzymać. Była taka

śliczna, gdy tak siedziała, wpatrzona w stół, z żarzącym się papierosem w dłoni.

Podniosła głowę i nasze spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęliśmy się do siebie.

To ciepło w jej oczach.

Światło wokół niej.

A jednocześnie niezdarność i niepewność, które się w niej pojawiły, kiedy tamta chwila minęła i Ingvild zaczęła śledzić wzrokiem własną dłoń strząsającą popiół z papierosa do popielniczki. Wiedziałem, skąd się to bierze. Znałem to z autopsji. Pilnowała siebie i sytuacji, w której się znalazła.

Siedzieliśmy w tej knajpie blisko godzinę. To była udręka. Żadne z nas nie potrafiło wziąć na siebie odpowiedzialności za tę sytuację, jakby istniała niezależnie od nas. Jakby była czymś o wiele większym i cięższym, niż potrafiliśmy udźwignąć. Kiedy się odzywałem, to rzucałem coś na próbę i właśnie ta badawczość, a nie sens słów, za każdym razem przeważała. Ingvild patrzyła w okno, ona także wyraźnie nie chciała być tu, gdzie się znalazła. Ale, powtarzałem sobie kilka razy w myślach, może do niej również napływają takie nagłe, intensywne fale radości z tego, że po prostu siedzi tutaj razem ze mną. Tak jak ja się cieszyłem, że siedzę tu z nią. Nie mogłem tego wiedzieć, nie znałem jej, nie miałem pojęcia, jak się zazwyczaj zachowuje. Ale kiedy zaproponowałem, żebyśmy już wyszli, wyraźnie poczuła ulgę. Tyle przynajmniej zauważyłem. Na zewnątrz ulice zaczęły już ciemnieć, ale ten zmierzch, pozbawiony obecności ciężkich, deszczowych chmur, miał w sobie coś z lata. Był bardziej otwarty, lżejszy, pełen obietnic.

Ruszyliśmy pod górę w stronę Wzgórza drogą wykutą w skale, z jednej strony ograniczoną wysokim murem, z drugiej – balustradą. W dole ciągnął się rząd wysokich murowanych domów. Pokoje za oświetlonymi oknami wyglądały jak akwaria. Po ulicach chodzili ludzie, i za nami, i przed nami słychać było kroki. Nie odzywaliśmy się do siebie. Myślałem jedynie o tym, że ona idzie w odległości zaledwie kilku centymetrów ode mnie. Jej kroki. Jej oddech.

Kiedy się obudziłem nazajutrz przed południem, padało. Z nieba lały się równe strugi deszczu, tak charakterystyczne dla tego miasta, nieodznaczające się wielką mocą ani gwałtownością, a jednak dominujące nad wszystkim. Na-

wet jeśli włożyło się kurtkę od deszczu, spodnie od deszczu i kalosze, człowiek i tak wracał do domu mokry. Deszcz wpełzał w rękawy, wciskał się w kołnierz, ubranie pod strojem przeciwdeszczowym parowało od wilgoci, nie mówiąc już o tym, co ten deszcz, bezustannie zalewający miasto, robił ze ścianami i dachami, z trawnikami i drzewami, z ulicami i bramami. Wszystko było mokre, wszystko pokrywała błona wilgoci, a kiedy się szło skrajem nabrzeża, miało się wrażenie, że to, co znajduje się ponad wodą, jest blisko związane z tym, co jest pod jej powierzchnią, że w tym mieście granice między owymi dwoma światami są ruchome, żeby nie powiedzieć – płynne.

Deszcz przenikał nawet do umysłu. Całą niedzielę przesiedziałem w domu, mimo to pogoda wpływała na moje myśli i uczucia, otaczała je czymś szarym, regularnym i niewyraźnym, a jej działanie wzmacniała dodatkowo atmosfera tego dnia – prawie puste ulice, wszystko pozamykane. Przypominały mi się inne niezliczone niedziele, które przeżyłem.

Ospałość.

Po późnym śniadaniu poszedłem zadzwonić do Yngvego. Na szczęście był w domu. Opowiedziałem mu o spotkaniu z Ingvild, o tym, że nie umiałem nic powiedzieć ani nie potrafiłem być sobą. Stwierdził, że ona z pewnością czuła podobnie, tak mu mówiło doświadczenie, dziewczyny tak samo się denerwują i są wobec siebie równie krytyczne. Kazał mi do niej zadzwonić i podziękować jej za spotkanie, a potem zaproponować następne. Może nie wspólne spędzenie całego wieczoru, lecz tylko umówienie się na kawę. Dzięki temu będę miał szansę sprawdzić, jak się sprawy mają. Powiedziałem, że już się tak umówiliśmy, na co spytał, które z nas to zaproponowało. Odparłem, że Ingvild. No, to sprawa jest jasna, stwierdził. Oczywiście, że jest tobą zainteresowana.

Ucieszył mnie ten jego brak wątpliwości. Dzięki temu i ja poczułem się pewniej.

Tuż przed tym, zanim się rozłączyliśmy, powiedział, że w sobotę robi u siebie imprezę i oczywiście mnie zaprasza, a jeśli chcę, mogę kogoś przyprowadzić. Przebiegając w deszczu przez ulicę, zastanawiałem się, kto by to mógł być.

No tak, oczywiście, Ingvild!

Już w mieszkaniu przypominała mi się Anne, która była moją techniczką, kiedy pracowałem w lokalnej rozgłośni radiowej w Kristiansand. Ona prze-

cież mieszka teraz tutaj, w Bergen, i na pewno zgodzi się ze mną pójść. Jon Olav i jego kumple. No i może Morten.

W następnych godzinach trzy razy schodziłem do piwnicy z albumem za paskiem spodni. Resztę dnia poświęciłem na pisanie. A kiedy przyszedł wieczór, usiadłem na kanapie z kupionymi wcześniej tomikiem wierszy i książką o analizie tekstów, żeby się przygotować do kursu poezji, zaczynającego się następnego dnia.

Pierwszy wiersz był krótki.

OSTATNIO

*cokolwiek masz do powiedzenia, zostaw
korzenie, niech
zwisają*

I cały ten brud

*żeby było jasne
skąd się biorą*

Żeby było jasne – c o skąd się bierze?

Przeczytałem wiersz jeszcze raz i dopiero wtedy się zorientowałem, że chodzi o korzenie słów. A więc należało pokazać korzenie słów i tkwiący na nich brud, żeby dla słuchających było jasne, skąd się biorą słowa. To znaczy mówić brudno, a przynajmniej się tego nie bać.

Czy to mogło być już wszystko?

Nie, chyba nie. Słowa z pewnością obrazowały coś i n n e g o. Może nas samych? Może to m y nie powinniśmy ukrywać, skąd pochodzimy. M y nie powinniśmy zapominać o tym, kim jesteśmy. Nawet jeśli to niekoniecznie jest dobre. Wiersz okazał się wcale nie taki trudny, należało po prostu przeczytać go uważnie i zastanowić się nad każdym słowem. Ale nie ze wszystkimi utworami tak się dało. Niektórych nie zdołałem rozwikłać, bez względu na to, ile razy je czytałem i jak długo zastanawiałem się nad tym, co tam jest napisane. Ziryto-

wał mnie zwłaszcza jeden:

*ten kto chodzi z domem na
głowie jest niebem ten
kto chodzi z domem
na głowie jest niebem ten kto chodzi
z domem na głowie*

To był czysty surrealizm. Czy to bohater, który miał dom na głowie – co to zresztą znaczy? – był niebem, czy może niebem był jego dom? No dobrze, powiedzmy, że dom jest obrazem głowy, że myśli to poszczególne pokoje w tym domu, a niebo polega na tym, że właśnie tak jesteśmy urządzeni. I co z tego? Do czego on zmierzał? I po co powtarzać *d o k ł a d n i e* to samo dwa i pół razy? To był czysty snobizm, autor nie miał nic do powiedzenia, po prostu zlepiał kilka słów, licząc, że jakoś to przejdzie.

Przez następne dwa dni bombardowano nas wierszami i nazwiskami poetów, nazwami szkół i kierunków. Byli więc Charles Baudelaire i Arthur Rimbaud, Guillaume Apollinaire i Paul Éluard, Rainer Maria Rilke i Georg Trakl, Gottfried Benn i Paul Celan, Ingeborg Bachmann i Nelly Sachs, Gunnar Ekelöf i Tor Ulven, były wiersze o armatach i trupach, aniołach i dziwkach, konsjerżkach i żółwiach, woźnicach i ziemi, nocach i dniach, a wszystko jakby zrzucone na różne stosy, tak to sobie wyobrażałem, notując, bo żadnego z tych nazwisk wcześniej nie słyszałem, wyjąwszy Charles'a Baudelaire'a i Tora Ulvena, więc nie potrafiłem ułożyć ich sobie chronologicznie w świadomości, wszystko to były części tego samego, nowoczesne wiersze z nowoczesnej Europy, która, gdy przyszło co do czego, okazała się wcale nie taka znów nowoczesna, bo odkąd spustoszyła ją pierwsza wojna światowa, minęło już przecież trochę czasu, mówiłem o tym nieco podczas jednej z przerw, że to paradoks, iż te wiersze, takie modernistyczne, są jednocześnie takie staroświeckie, przynajmniej w tematyce. Jon Fosse stwierdził, że to dość interesująca uwaga, ale podkreślił, że te wiersze są nowoczesne przede wszystkim w formie i w radykalnym sposobie myślenia, którego stanowią wyraz. Paul Celan wciąż

pozostaje radykalny, nikt nie posunął się dalej niż on. Wtedy pojąłem, że radykalizm owych wierszy tkwi właśnie w tym, czego nie rozumiałem, w tym, co do mnie nie docierało, w tym, co wydawało mi się w nich całkowicie niedostępne i zamknięte, że właśnie przez to wciąż pozostawały nowoczesne również dla nas.

Jon Fosse przeczytał nam wiersz Paula Celana zatytułowany *Fuga śmierci*, mroczny, hipnotyczny i straszny, wieczorem w domu do niego wróciłem, wciąż miałem w uszach monotony głos Fossego, gdy go odczytywał, i wydał mi się równie hipnotyczny i straszny, nawet w otoczeniu własnych, dobrze mi znanych rzeczy, które już przez sam fakt, że te słowa przechodziły przez moją głowę, przestawały być znajome, również one wplatały się w wiersz i w mrok, który się w nim przewijał, bo krzesło było jedynie martwym krzesłem, stół był jedynie martwym stołem, a ulica za oknem tkwiła pusta, cicha i martwa w mroku spływającym nie tylko z nieba, ale również z wiersza.

Lecz chociaż ten wiersz coś we mnie poruszył, nie rozumiałem, w jaki sposób to zrobił ani dlaczego.

*Czarne mleko poranku pijemy je wieczór
Pijemy w południe o świcie pijemy je nocą
Pijemy pijemy
Grób kopujemy w powietrzu tam się nie leży ciasno^[9]*

Bezdenny mrok istniejący w tym wierszu to była jedna rzecz, zupełnie inną natomiast było to, o czym ów utwór mówił. Jakie myśli się za nim kryły? Jeżeli miałem kiedykolwiek tak pisać, musiałem wiedzieć, skąd się to bierze, znać punkt wyjścia, filozofię, jaką ten wiersz wyraża. Przecież nie mogłem po prostu napisać czegoś, co będzie podobne, prawda? Musiałem uchwycić to coś.

Co bym napisał, gdybym miał stworzyć wiersz akurat w tej chwili?

Musiałby mówić o tym, co najważniejsze.

A co było najważniejsze?

Najważniejsza była Ingvild.

Czyli miłość. Albo zakochanie. Ta lekkość, która przeze mnie przepływała

za każdym razem, gdy o niej myślałem. Ukłucia radości, które się pojawiały, gdy tylko uświadamiałem sobie, że istnieje, że jest teraz tutaj, w tym samym mieście, i że znów się spotkamy.

To było najważniejsze.

Jak wyglądałby wiersz o tym?

Od razu, już po dwóch wersach, stałby się tradycyjny. Nie było sposobu na to, żebym mógł go rozerwać i rozrzucić po stronicach, tak jak robili moderniści. Obrazy, które do mnie przyływały, gdy o tym myślałem, również były tradycyjne. Górski strumień, zimna góraska woda, do której nie docierało słońce, wysokie szczyty pokryte lodowcem spływającym w dolinę. To był jedyny obraz szczęścia, na jaki potrafiłem wpaść. A może jej twarz? Może zrobić zbliżenie na oczy, na tęczę, na źrenicę?

Po co?

Na sposób, w jaki się uśmiecha?

No tak, dobrze, ale w tym momencie nieskończenie się już oddaliłem od punktu wyjścia, od tego mrocznego, hipnotycznego niczym zakłęcie wirowania u Paula Celana.

Wstałem z łóżka, zapaliłem światło, siadłem przy biurku i zacząłem pisać. Po półgodzinie miałem już wiersz gotowy:

*Oko, wzywam cię, przyjdź
Twarz, moja ukochana, żal
I życie, które gra
Czarną melodię
Oko, wzywam cię, przyjdź*

To był pierwszy prawdziwy wiersz, jaki napisałem, i po zgaszeniu światła kładłem się z powrotem do łóżka z o wiele cieplejszymi uczuciami dla Akademii Sztuki Pisania niż na początku nauki, bo zrobiłem wielki krok do przodu.

Następnego dnia dostaliśmy pierwsze zadanie literackie. Przydzielił je nam Jon Fosse, kazał napisać wiersz na podstawie jakiegoś – jakiegokolwiek – ob-

razu, więc po lunchu ruszyłem do jednego z muzeów nad jeziorem Lille Lungegårdsvannet w poszukiwaniu dzieła, które byłoby dla mnie inspiracją. Przed południem wyrzało słońce i kolory miasta nabrały żywości, wszystko było wilgotne i lśniło niezwykłą głębią, oszałamiającą na tle zielonych zboczy gór i błękitnego nieba.

W muzeum zostawiłem w szatni plecak, z którego wyciągnąłem wcześniej notatnik i długopis, kupiłem bilet i wszedłem do cichych, niemal całkowicie wyludnionych sal. Moją uwagę natychmiast przyciągnął prosty pejzaż przedstawiający wioskę nad fiordem, wszystkie elementy na nim dawało się uchwycić, na taką scenerię można by się natknąć w dowolnym miejscu na wybrzeżu, a jednocześnie obraz miał w sobie coś ze snu, chociaż nie baśniowość jak u Kittelsena^[10], bo to był inny sen, trudniejszy do nazwania, ale przez to jeszcze bardziej pociągający.

Gdybym zobaczył taki krajobraz w rzeczywistości, nigdy nie przesłoby mi przez myśl, by w nim pozostać. Ale gdy go ujrzałem tutaj, w tej białej sali, zapragnąłem się tam znaleźć, zatęskniłem za tym miejscem.

Oczy mi zwilgotniały. Tak bardzo spodobał mi się ten obraz, autorstwa malarza, który nazywał się Lars Hertervig^[11], że to w pewnym sensie odwróciło sytuację, nie byłem już jedynie studentem Akademii Sztuki Pisania, który nie ma pojęcia o sztuce i coś udaje i który miał stworzyć wiersz o obrazie, lecz kimś, w kim obraz obudził uczucia na tyle intensywne, że do oczu napłynęły mu łzy.

Ucieszony tym, ruszyłem dalej. Wiedziałem, że muzeum ma dużą kolekcję dzieł Astrupa^[12], był to jeden z powodów, dla których tu przyszedłem. Astrup pochodził z Jølster, rodzinnej wioski babci ze strony mamy, jego ojciec był tam pastorem. Przez całe moje dzieciństwo obraz Astrupa wisiał u nas na ścianie nad schodami, przedstawiał łąkę ciągnącą się aż do starej zagrody pod potężnymi, wysokimi, lecz przyjaznymi górami, to była letnia noc i łąkę pełną jasaków spowijało łagodne światło. Patrzyłem na ten obraz tyle razy, że stał się częścią mnie. Za ścianą, na której wisiał, były droga i osiedle, zupełnie inny, wyraźniejszy i bardziej konkretny świat, gdzie istniały pokrywy studzienek i kierownice rowerów, skrzynki pocztowe i przyczepy kempingowe, wózki domowej roboty, osadzone na kółkach od wózków dziecięcych, i dzieciaki w śniegowcach, ale ów nocny świat na obrazie mimo wszystko nie był wcale snem, nie był baśnią, on również istniał w rzeczywistości, w okolicy zagrody,

z której pochodziła babcia, gdzie wciąż mieszkało jej rodzeństwo, od czasu do czasu odwiedzane przez nas latem. Mama wspominała, że babcia pamięta Astrupa, mówiło się o nim w wiosce, a w domu dziadków wisiał inny namalowany przez niego obraz, na który również patrzyłem przez całe życie. Na tym obrazie był brzozowy lasek, gęstwina czarno-białych pni, wśród których szło kilkoro dzieci i coś zbierało; ten obraz był straszny, prawie całkiem pozbawiony nieba, ale wisiał wśród tego, co zwyczajne, nad kredensem, i wpasowywał się w poczucie bezpieczeństwa związane z tym miejscem.

Prawie wszystkie obrazy Astrupa przedstawiały motywy z Jølster, ukazywały miejsca, które znałem z rzeczywistości, rozpoznawalne dla mnie, a jednak obce. O tej dwoistości, o przestrzeni zarazem znanej i nieznannej, nie myślałem ani się nad nią nie zastanawiałem, ale i tak miałem świadomość jej istnienia, podobnie jak nigdy nie zastanawiałem się nad przestrzenią, w którą się zagłębiałem podczas lektury, a mimo wszystko byłem zaznajomiony z tym, że w jednej chwili opuszczam otaczającą mnie rzeczywistość i przenoszę się w inną, za którą niemal zawsze tęskniłem, gdy bywałem zmuszony się z niej wyrwać.

Obraz Astrupa stanowił część mnie, więc kiedy Jon Fosse poprosił nas o napisanie wiersza, od razu pomyślałem o tym malarzu. Zamierzałem chodzić po muzeum z otwartymi zmysłami i gdyby nagle pojawiło się coś, co by mnie zainspirowało, próbowałbym o tym napisać, ale gdyby tak się nie stało, zdecydowałem, że wybiorę obraz Astrupa, który dla mnie już wcześniej zawierał w sobie duży ładunek emocji.

Pochodziłem po salach z pół godziny, zrobiłem notatki przy obrazie Larsa Herterviga i obrazach Astrupa, opisałem szczegóły, żeby móc je później wykorzystać, kiedy wrócę do domu i siądę do pisania. Potem obszedłem jezioro i zapuściłem się w Marken, dzielnicę, której wcześniej prawie nigdy nie odwiedzałem. Roilo się tam od ludzi, słońce wyciągnęło ich na ulice. Wypiłem kawę w Café Galleri, napisałem kilka linijek, ruszyłem dalej, w stronę Torgalmenningen, i na widok kościoła górującego nad miastem przyszło mi do głowy, że mogę spróbować odszukać Ingvild, sprawdzić, czy nie ma jej w czytelni. Już na samą myśl o tym się rozdygotałem. Upomniałem się jednak w duchu, że przecież nie ma się czego bać, Ingvild jest tylko człowiekiem, jak wszyscy, w dodatku moją rówieśnicą, i podczas naszego ostatniego spotkania jej także z trudem przyszły naturalne zachowanie i rozmowa. Przypuszczenie, że czuje podobnie jak ja, że być może walczy z taką samą tremą i równie mocno pra-

gnie naszego związku, sprawiło mi wielką przyjemność i tak mnie podniosło na duchu, że szybkim krokiem pokonałem schody prowadzące na Wzgórze.

Kiedy już znalazłem się na szczycie i skierowałem do właściwego budynku drogą, którą wcześniej objaśniła mi Ingvild, uświadomiłem sobie, że przecież mam do niej sprawę: chciałem ją zaprosić na imprezę u Yngvego. Gdyby nasze spotkanie wypadło dobrze, mogłem zachować tę wymówkę na później, aby mieć wytłumaczenie kolejnego telefonu do niej, ale gdyby coś poszło nie całkiem gładko, mogłem wyciągnąć asa z rękawa.

Po ostrym blasku słońca na zewnątrz wejście do budynku Wydziału Psychologii wydało mi się tak ciemne, że nie mogłem odczytać liter na wiszącej tam tablicy, a gdy wreszcie nabrały ostrości, byłem już tak rozkojarzony z nerwów, że przez kilka sekund nie potrafiłem utrzymać na nich wzroku. Z suchością w gardle i rozpaloną głową zdołałem wreszcie odcyfrować, gdzie jest czytelnia, i kiedy do niej dotarłem, tak wyraźnie obcy w porównaniu z mijanymi po drodze studentami, stanąłem, patrząc na rzędy stolików. Nagle na drugim końcu sali ktoś wstał i do mnie zamachał, to była ona, pospiesznie zebrała swoje rzeczy, włożyła kurtkę dzinsową i podeszła do mnie, uśmiechnięta.

– Fajnie, że przyszedłeś – powiedziała. – Pójdziemy na kawę?

Pokiwałem głową.

– Prowadź – poprosiłem. – W ogóle nie wiem, jak się tu poruszać.

Tego dnia mnóstwo studentów siedziało na zewnątrz, na ławkach, krawężnikach i schodach, więc w bufecie w budynku dawnej szkoły Sydneshaugen, gdzie mieścił się Wydział Nauk Humanistycznych, większość stolików była wolna. Usiedliśmy tam z kawą i tym razem od samego początku panowała między nami o wiele swobodniejsza atmosfera; najpierw chwilę porozmawialiśmy o studiach Ingvild i o jej współmieszkańcach, z którymi miała wspólną kuchnię w Fantoft, ja jej opowiedziałem o Mortenie i zaraz przeszedłem na Yngvego, mówiłem, jak fantastyczne były dla mnie przyjazdy do niego w odwiedziny, kiedy chodziłem do liceum, ona trochę opowiadała o swoim dzieciństwie, mówiła, że była typową chłopczycą, grała w piłkę i wyprawiała się na jabłka do cudzych ogrodów. Stwierdziłem wtedy, że niewiele w niej z tego zostało, na co się roześmiała i oświadczyła, że w Bergen nie zamierza grać w piłkę, ale wybierze się na stadion, kiedy następnym razem przyjedzie tu drużyna z Sogndal, i liczy również na kibicowanie podczas kilku meczów na jej własnym stadionie, Fosshaugane. Mówiłem chwilę o Starcie, klubie z Kri-

stiansand, powiedziałem też, że oglądaliśmy z Yngvem tamten mecz, kiedy Start pokonał Rosenborg cztery do trzech w ostatniej rundzie w 1980 roku i został zwycięzcą ligi, że po meczu wbiegliśmy na boisko, a później urządziliśmy przy szatni owację piłkarzom, którzy rzucili w tłum koszulki, a mnie – co było niesamowite – udało się złapać koszulkę Sveina Mathisena, najcenniejszą ze wszystkich, z dziewiątką, ale jakiś dorosły facet dosłownie wyrwał mi ją z rąk i zabrał. Powiedziałem, że to fantastyczne siedzieć tutaj i rozmawiać o piłce nożnej z dziewczyną taką jak ona, na co oświadczyła, że być może ma więcej niespodzianek w zanadrzu. Potem z kolei Ingvild zaczęła mówić o swojej siostrze i o wszystkich swoich kompleksach, o tym, że absolutnie nic nie umie, lecz przeciwko jej słowom cały czas przemawiał śmiech, a filuterne spojrzenie nie tylko pozbawiało ostrości wszystkie te opisy jej nieudacznictwa, ale wręcz mówiło, że jest odwrotnie. Z jakiegoś powodu opowiedziałem jej o pewnym incydencie z dzieciństwa, jak to zdobyłem skądś gogle narciarskie, mogłem mieć wtedy osiem czy dziewięć lat, a te gogle były niesamowicie fajne, lecz miały jedną wadę: brakowało w nich szkła. Mimo to włożyłem je, kiedy następnym razem jeździliśmy na mininartach na górze przed domem. Padał śnieg, płatki leciały mi prosto do oczu i prawie zupełnie mnie oślepiły, ale dalej jeździłem, wszystko szło dobrze, dopóki nie pojawiło się kilku starszych chłopaków, im też spodobały się moje gogle. Powiedzieli to na głos, a ja o mało nie pękłem z dumy, no i oczywiście spytali, czy mogą je przymierzyć; oświadczyłem, że nie ma mowy, ale w końcu dałem się uprosić, jeden z nich je włożył i już miał zjechać z górki, gdy nagle się odwrócił i powiedział, że przecież nie ma w nich szybki. Wcale się ze mnie nie wyśmiewał, był po prostu szczerze zdumiony tym, że ktoś może jeździć w goglach bez szkła.

Posiedzieliśmy w bufecie z pół godziny, a potem odprowadziłem Ingvild z powrotem do czytelnicy. Zatrzymaliśmy się przed wejściem i dalej rozmawialiśmy, kiedy u stóp Wzgórza pojawił się Morten. Nie było mowy o pomyłce, nawet z daleka, niewielu młodych mężczyzn nosiło czerwone skórzane kurtki, a spośród nich jedynie Morten potrafił maszerować w taki sposób, sztywno jak lalka, a mimo to energicznie i z mocą. Teraz jednak nie szedł z wysoko podniesioną głową, jak poprzednio, kiedy go widziałem, tylko wyraźnie trzymał ją spuszczoną, a gdy się zbliżył i uniosłem rękę na powitanie, zobaczyłem, że jest ewidentnie przygnębiony.

Zatrzymał się, przedstawiłem ich sobie, uśmiechnął się przelotnie do In-

gvild i wbił we mnie oczy. Były w nich łzy.

– Jestem zrozpaczony – oznajmił. – Kurewsko zrozpaczony. – Spojrzał na Ingvild. – Przepraszam za użycie tak mocnych słów, piękna panienko. – Znów zwrócił się do mnie: – Nie wiem, co ze sobą zrobić. Nie mogę tego wytrzymać. Musiałem znaleźć psychologa. M u s i a ł e m z kimś porozmawiać. No to zadzwoniłem i wiesz, co powiedzieli? Że przyjmują tylko ostre przypadki, więc oświadczyłem, że to j e s t ostry przypadek, bo nie mogę dłużej wytrzymać, a oni wtedy spytali, czy mam myśli samobójcze. Oczywiście, że tak! Mam złamane serce i wszystko mi się zawaliło. Ale mój przypadek najwyraźniej nie jest dostatecznie ostry.

Długo się we mnie wpatrywał. Nie wiedziałem, co mówić.

– Ingvild, ty studiujesz psychologię, prawda?

Zerknęła na mnie, zanim odpowiedziała.

– Zaczęłam tydzień temu.

– Wiesz, do kogo się zwrócić w takiej sytuacji?

Pokręciła głową.

Morten znów spojrzał na mnie.

– Możliwe, że przyjdę do ciebie wieczorem, okej?

– Jasne, przyjdź.

Pokiwał głową.

– No to do zobaczenia – powiedział i pomaszerował dalej.

– To twój bliski przyjaciel? – spytała Ingvild, kiedy Morten znalazł się już poza zasięgiem naszych głosów.

– Tak bym tego nie określił. To ten sąsiad, o którym ci wcześniej opowiadałem. Widziałem go zaledwie trzy czy cztery razy. Strasznie wrażliwy. Nigdy nikogo takiego nie spotkałem.

– Aha – powiedziała. – No, muszę już iść. Zadzwońisz?

Zatkało mnie. Przez moment, sekundę czy dwie, nie mogłem złapać tchu.

– Pewnie – odparłem. – Pewnie, że zadzwonię.

Gdy chwilę później zatrzymałem się na szczycie Wzgórza i zobaczyłem rozciągnięte w dole miasto, dopadło mnie uczucie szczęścia tak szalone, że nie wiedziałem, jak zdołam dojść do domu, wysiedzieć u siebie w mieszkaniu i pisać. Jak zdołam jeść, jak zdołam spać? Ale świat jest już tak skonstruowa-

ny, że właśnie w takich momentach jak ten wychodzi człowiekowi na spotkanie, szczęście wewnętrzne szuka zewnętrznego odpowiednika i znajduje go, zawsze go znajduje, nawet w rejonach świata ponurych do bólu, bo wartością najbardziej względną ze wszystkiego jest piękno. Gdyby świat był inny, gdyby nie istniały góry i morza, równiny i jeziora, pustynie i lasy, gdyby składał się z czegoś zupełnie dla nas niewyobrażalnego, bo przecież nic oprócz tego nie znamy, również wydawałby się nam piękny. Gdyby wypełniały go na przykład gljogi i rabie, ewanbilty i koniulany albo ibiteitry, prolufnie i lopsity, również byśmy je opiewali, bez względu na to, czym te rzeczy by były, bo tacy już jesteście, opiewamy świat i kochamy go, chociaż nie jest to wcale konieczne, świat jest przecież światem, jedynym, jaki mamy.

Kiedy więc w tamtą środę pod koniec sierpnia schodziłem po schodach, kierując się w stronę centrum, w sercu miałem miejsce na wszystko, co widziałem. Wyślizgana kamienna płyta na schodach: fantastyczna. Zapadnięty dach tuż obok prostego, surowego murowanego budynku: jakie to piękne. Zszarzały papierek po hot dogu na kracie odpływu, przenoszony przez wiatr dwa metry dalej i układający się w nowym miejscu, tym razem na chodniku w białe plamy rozdeptanych gum do żucia: niesamowite. Chudy staruszek w znoszonym garniturze, który kulejąc, sunie z torbą wypchaną butelkami: co za widok.

Świat dawał mi szczodłą ręką, a ja brałem. Całą drogę przez centrum i przez wzgórza po drugiej stronie, aż do swojego mieszkania, w którym od razu zasiadłem do pisania wiersza.

Na początku pierwszej godziny zajęć następnego dnia oddaliśmy prace. W czasie gdy były powielane, siedzieliśmy, rozmawiając i popijając kawę. Słyszeliśmy warkot kopiarki, a ponieważ drzwi do pomieszczenia, w którym stała, były otwarte, widzieliśmy też błysk światła za każdym razem, gdy maszyna fotografowała kartkę. Wreszcie Fosse rozdał nam plik odbitek z wierszami. W następnych minutach wszyscy siedzieli w milczeniu, zajęci lekturą. Potem Fosse wyrzucił rękę w przód i spojrział na zegarek, to był sygnał, że przystępujemy do omawiania.

Wypracowaliśmy pewien schemat: najpierw jedna osoba czytała swoją pracę, pozostałe po kolei komentowały, a po zakończeniu tej rundy opinię wygłaszał nauczyciel. Ten ostatni punkt miał największe znaczenie, zwłaszcza gdy nauczycielem był Fosse, bo chociaż przez swoją nerwowość sprawiał wraże-

nie lekko przestraszonego, jego słowa miały wagę i moc przekonywania, zmuszały wszystkich do uważnego słuchania za każdym razem, gdy zabierał głos.

Poświęcił dużo czasu każdemu wierszowi, omawiał poszczególne wersy, niekiedy nawet słowo po słowie, chwalił dobre, odrzucał niedobre, krążył wokół obiecującego, wskazywał kierunki, w jakich mogło się to rozwinąć, cały czas skupiony, ze wzrokiem wbitym w tekst, prawie nigdy nie spoglądając na salę, w której siedzieliśmy i notowaliśmy to, co mówił.

Mój wiersz, ostatni, jaki mieliśmy omawiać, traktował o przyrodzie. Usiłowałem opisać piękno i otwartość krajobrazu, a zakończyłem tym, że trawa szepcze: „chodź”, jakby mówiła do czytającego i wyrażała uczucie, które mnie ogarnęło na widok tamtego obrazu. Ponieważ przedstawiał pejzaż, wiersz nie miał w sobie nic nowoczesnego i sporo czasu spędziłem, wypróbowując rozmaite rozwiązania, aby podciągnąć go do współczesności, i wreszcie wpadłem na jedno sformułowanie, a mianowicie „szerokoekranowe niebo”, mające wywołać w pewnej mierze takie samo wrażenie, jakie starałem się wywrzeć swoją prozą, wrażenie zabarwienia rzeczywistości tamtych chłopców tym, co czytali i co widzieli w telewizji, głównie tam. W wierszu ten efekt był obecny w sposób pośredni. Uznałem, że to wyrażenie stanowi zerwanie z lirycznym opisem przyrody i poetyckością; również teraz, po przeczytaniu na głos całego utworu, nadal uważałem, że właśnie tak funkcjonuje.

Fosse, ubrany w białą koszulę z podwiniętymi rękawami i dżinsy, z nieogolonym podbródkiem i ciemnymi kołami pod oczami, nie studiował dłużej wiersza po moim odczytaniu, jak było w przypadku kilku innych, tylko od razu zaczął mówić.

Powiedział, że lubi Astrupa i że nie jestem pierwszą osobą, która napisała o jego obrazie, bo zajął się tym również Olav H. Hauge. Potem zaczął rozbiierać sam wiersz. Pierwszy wers to klisza, powiedział, możesz go wykreślić. Drugi to również klisza. Trzeci i czwarty tak samo. Po odrzuceniu wszystkich wersów stwierdził, że jedyną wartością tego, co napisałem, jest „szerokoekranowe niebo”. Takiego wyrażenia wcześniej nie widziałem. Możesz je zachować. A resztę wyrzucić.

– Wtedy z wiersza nic nie zostanie – zauważyłem.

– Owszem – powiedział Fosse. – Ale zarówno opisy przyrody, jak i zachwywanie się nią to klisze. W twoim wierszu nie ma nic z mistyczności Astrupa, kompletnie ją zbanalizowałeś. Ale jak wspominałem, „szerokoekranowe

niebo” nie jest najgorsze. – Uniósł głowę. – No, to wszystko już omówiliśmy. Ktoś ma ochotę napić się piwa u Henrika?

Wszyscy mieli. Mżyło, kiedy całą grupą szliśmy do kawiarni naprzeciwko Opery. Ciągłe byłem bliski płaczu i w ogóle się nie odzywałem, mając świadomość, że milczeć mogę wyłącznie po drodze, jedynie wtedy pozostanie to niezauważone, ale gdy tylko usiadziemy w środku, będę musiał coś mówić i udawać zadowolonego, a przynajmniej zaangażowanego, żeby nikt się nie domyślił, jak głęboko uraziły mnie słowa Fossego.

No ale z drugiej strony – rozważałem, siadając na kanapie przy stoliku, na którym już stało piwo – nie mogę też okazywać zbyt dużego ożywienia, bo za bardzo będzie się rzucać w oczy, iż tak się staram udawać, że wcale się nie przejąłem.

Przysiadła się do mnie Petra.

– Fajny wiersz napisałeś – zachichotała.

Nie odezwałem się.

– A nie mówiłam? Podchodzisz do siebie z ogromnym nabożeństwem. To przecież tylko wiersz. Daj spokój!

– Łatwo ci mówić.

Posłała mi to swoje ironiczne spojrzenie i uśmiechnęła się ironicznym uśmiechem.

Fosse popatrzył na mnie.

– Trudno jest napisać dobry wiersz – powiedział. – Mało kto to potrafi. Wymyśliłeś jedno dobre wyrażenie, a to już dużo, rozumiesz?

– Tak, tak, rozumiem.

Chyba chciał jeszcze coś dodać, ale odchylił się i odwrócił wzrok. To, że usiłował mnie pocieszać, było jeszcze bardziej upokarzające niż samo omawianie wiersza. Oznaczało, że uważał mnie za kogoś, kto potrzebuje pociechy. Z innymi rozmawiał o literaturze, mnie pocieszał.

Nie mogłem wyjść stamtąd jako pierwszy, wówczas wszyscy pomyśleliby, że uciekam, ponieważ jest mi przykro i nie mogę tego wytrzymać. Nie mogłem wyjść nawet jako drugi czy trzeci, bo ciągle mogliby tak pomyśleć. Ale gdybym wyszedł jako czwarty, nikt by o tym nie pomyślał, a nawet jeśli, nie miałyby to znaczenia.

Na szczęście nie zanosiło się na siedzenie do późnej nocy. Ot, wpadliśmy na piwo po skończonym dniu pracy, więc po godzinie mogłem wstać i wyjść, nie tracąc twarzy. Deszcz się wzmógł, falami przewalał się przez ulice. Centrum po zamknięciu sklepów prawie zupełnie opustoszało. Olewałem deszcz, olewałem ludzi, olewałem wszystkie krzywe drewniane domki, wznoszące się tarasowo na zboczu, które pokonywałem najszybciej, jak mogłem. Chciałem jedynie wrócić do domu, zamknąć drzwi i być sam.

Po dotarciu do mieszkania zrzuciłem buty, ociekającą wodą kurtkę przeciwdeszczową powiesiłem w szafie, a torbę z tekstami i notatnikiem schowałem na najwyższą półkę, bo wystarczyłby jeden rzut oka na nią, żeby wstyd powrócił.

Sytuacja była beznadziejna, bo dostaliśmy nowe zadanie. Wieczorem powinienem napisać nowy wiersz, który nazajutrz miał zostać odczytany i znów poddany ocenie. Miałem olać również to?

Uznałem, że teraz na pewno nie dam rady nic stworzyć, i położyłem się na łóżku. Tuż nad moją głową deszcz walił w szybę. Rozlegał się lekki szum, kiedy wiatr nadciągał przez trawnik i przeciskał się między ścianami domów. Od czasu do czasu trzeszczało drewno. Pomyślałem o wietrze przy domu, w którym się wychowałem. Tamten szum był o wiele silniejszy, potężniejszy, z powodu drzew, którymi poruszał wiatr. Cóż to był za odgłos! Wznosił się gwałtownie, przemieszczał, znikał, znów się wznosił, przez las przelatywało westchnienie za westchnieniem, a drzewa rzucały się raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby usiłowały przed czymś uciec.

Z drzew najbardziej lubiłem sosny, które stały samotnie na działkach osiedla. Wyrosły w lesie, ale las wycięto, skały wysadzono, założono trawniki i zbudowano domy, z którymi teraz sąsiadowały, wysokie i smukłe, wiele miało gałęzie dopiero na samym czubku. Czerwonawe, w promieniach słońca здаwały się płonąć. Za każdym razem, kiedy stawałem w oknie swojego pokoju i patrzyłem na sąsiednią działkę, na której kołysały się, trzeszcząc, kojarzyły mi się z masztami. Działki były statkami, płoty burtami, domy kajutami, a całe osiedle tworzyło armadę.

Wstałem i poszedłem do kuchni. Poprzedniego wieczoru wszystkie brudne talerze i sztućce włożyłem do zlewu, który napełniłem gorącą wodą, dodałem trochę płynu i tak zostawiłem, teraz wystarczyło jedynie wypłukać je w zimnej wodzie – i wyjąć lśniaco czyste. Byłem bardzo zadowolony z wymyślenia ta-

łóżku.

– No i jak ci tam idzie? – spytał.

– Całkiem nieźle – powiedziałem. – Ale łatwo nie jest. Kiedy dyskutujemy o swoich tekstach, nikt niczego nie owija w bawełnę.

– Aha.

– Teraz piszemy poezję.

– A ty to umiesz?

– Nigdy wcześniej się tym nie zajmowałem, ale cały wic w tej szkole polega właśnie na próbowaniu nowych rzeczy.

– No tak – przyznał. – Ja się jeszcze nie wciągnąłem. A tyle jest nauki, że już mam wrażenie, że nie nadążam. U nas jest inaczej niż na wydziałach humanistycznych, nie można ślizgać się po powierzchni tego, co już się wie, czy po prostu kierować się zdrowym rozsądkiem... To znaczy, zdrowy rozsądek zawsze się przydaje – roześmiał się. – Ale u nas tyle rzeczy po prostu trzeba u m i e ć. To zupełnie inny stopień dokładności. Dlatego jedyne, co można zrobić, to się uczyć. Ludzie są twardzi jak kamienie, przychodzą do czytelnicy o świcie, a do domu wracają późnym wieczorem.

– Ale nie ty?

– Ja też tak będę robił. Tylko jeszcze nie zacząłem.

– Wydaje mi się, że u mnie w akademii jest tak samo ciężko, chociaż inaczej. Nie musimy kuć tak jak wy. Bycia pisarzem nie da się wykuć.

– No tak, to jasne.

– Wydaje mi się, że albo to w sobie masz, albo tego nie masz. Ale czytanie i nauka też są ważne, tyle że nie decydują o wszystkim.

– Racja. – Jon Olav wypił łyk kawy, spojrzął na biurko i moją skromną biblioteczkę.

– Dużo myślałem o tym, żeby napisać o brzydocie i postarać się znaleźć w niej piękno. Mam nadzieję, że rozumiesz, o co mi chodzi. Nie jest tak, że to, co piękne, jest naprawdę piękne, a to, co brzydkie, naprawdę brzydkie. To rzecz o wiele bardziej względna. Słuchałeś Propagandy?

Spojrzałem na niego, pokręcił głową. Puściłem płytę.

– Tutaj wszystko się składa, jest mroczne i piękne, ale nagle rozlega się coś atonalnego, brzydkiego, co niszczy całe piękno. Ale to i tak jest dobre, rozu-

miesz?

Kiwnął głową.

– Posłuchaj teraz. W tym momencie zaczyna się brzydkie.

Obaj słuchaliśmy w milczeniu. Po zakończeniu tego fragmentu przyciszyłem.

– Kiedy mówiłeś o brzydocie, zabrzmiało to świetnie, ale nie tak to sobie wyobrażałem – powiedział Jon Olav. – To nie było aż t a k i e brzydkie.

– Może i nie – przyznałem. – Ale kiedy się pisze, wygląda to inaczej.

– No tak.

– Napisałem dzisiaj wiersz. Zamierzam go przeczytać jutro w akademii. Chociaż mam pewne wątpliwości, bo jest dość radykalny. Chcesz zobaczyć?

Kiwnął głową.

Sięgnąłem na biurko po kartkę z wierszem, podałem mu.

Nie oczekiwał żadnej niespodzianki, w skupieniu skierował wzrok na kartkę i zobaczyłem, jak na policzki wypełza mu lekki rumieniec, potem nagle twarz mu się zmieniła i roześmiał się, głośno i serdecznie.

– Chyba nie przeczytasz tego na głos? – spytał.

– Właśnie tak, taki mam zamiar.

– Wybij to sobie z głowy, Karl Ove. Wygłupisz się.

– To prowokacja.

Znów zaczął się śmiać.

– No tak, widzę, ale nie czytaj tego. Mówiłeś, że masz wątpliwości, więc tego nie rób.

– Zobaczę – oświadczyłem, zabrałem mu kartkę i z powrotem położyłem ją na biurku. – Chcesz jeszcze kawy?

– Niedługo muszę lecieć.

– W sobotę Yngve robi imprezę. Masz ochotę przyjść? Mówił, żebym cię zaprosił.

– Fajnie by było.

– Pomyślałem, że urządzę przygrywkę u siebie, a potem możemy pojechać do niego taksówką.

– Świetnie!

– Na pewno możesz przyprowadzić jakichś swoich kumpli, jeśli chcesz.

Wstał.

– To o której zaczynamy?

– Nie wiem. O siódmej?

– No to się widzimy.

Włożył buty, kurtkę i wyszedł. Odprowadziłem go na schody. Odwrócił się jeszcze.

– Nie czytaj tego – powiedział i zniknął za rogiem w ciemności i deszczu.

Wkrótce po tym, jak się położyłem, koło drugiej, usłyszałem, że ktoś zatrzymuje się przed domem, otworzyły się drzwi wejściowe i zaraz zatrzasnęły z hukiem. Po krokach na korytarzu i na schodach prowadzących w dół poznałem, że to Morten. Potem na dole rozległa się muzyka, tak głośna jak nigdy dotąd. Pohałasowała jakieś pięć minut i nagle się urwała.

Kiedy się obudziłem nazajutrz, ciągle jeszcze nie zdecydowałem, co zrobię, więc wziąłem wiersz ze sobą, żeby podjąć decyzję w ostatniej minucie. Okazało się, że to wcale nie jest trudne. W momencie gdy wszedłem do sali i zobaczyłem wszystkich na swoich miejscach, rozluźnionych, z filiżanką kawy albo herbaty przed sobą, z torbami, plecakami lub reklamówkami przy nogach od stolików bądź ustawionymi pod ścianą, z mokrymi parasolami, które leżały rozłożone na podłodze w pomieszczeniu z kopiarką albo między stolikami a kącikiem kuchennym i miały schnąć, do chwili gdy znów będą potrzebne, więc kiedy zobaczyłem to wszystko i wyczułem atmosferę życzliwości, zrozumiałem, że nie mogę przeczytać tego wiersza. Ział nienawiścią, jego miejsce było u mnie w mieszkaniu, tam gdzie znajdowałem się całkiem sam, a nie tutaj, gdzie przebywałem z innymi. Oczywiście mogłem naruszyć granicę między tymi dwiema przestrzeniami, ale to, co je rozdzielało i mówiło, że nie należy ich mieszać, było bardzo mocne.

Mówiąc, że nie przyniosłem żadnego wiersza, znów doznałem upokorzenia, wszyscy przecież zrozumieli, że nie napisałem nic z powodu omówienia, którego poprzedniego dnia dokonał Fosse, i w pewnym sensie przyznałem się do braku kręgosłupa, wytrzymałości, do przewrażliwienia i dziecinności, niesamodzielności i słabości.

Aby zatrzeć to wrażenie, podczas omawiania wierszy napisanych przez innych starałem się pokazać jako osoba uważna, zainteresowana i pełna zapału.

Poszło mi całkiem nieźle, bo już zacząłem sobie przyswajać sposób, w jaki należało komentować poezję. Wiedziałem, czego należy szukać, co jest uważane za dobre, a co za złe, potrafiłem też wyartykułować opinie w sposób wyraźny i zrozumiały, co nie wszystkim się udawało. Jak na ludzi mających władzę nad słowami, było tu zdumiewająco dużo błędzenia po omacku i wahania, odwracania wzroku i argumentów wycofywanych w momencie ich przedstawiania, niekiedy wręcz nieznośnie niezdarnych i nic niewnoszących, więc czasami zabierałem głos wyłącznie po to, by zaprowadzić jasność i porządek w dyskusji.

W powrotnej drodze do domu zajrzałem do Mekki i zrobiłem zapasy za ponad siedemset koron, ze sklepu wyszedłem z sześcioma pełnymi torbami, ale perspektywa dźwigania ich tak daleko była przygnębiająca, więc zamachałem na taksówkę, która zaraz podjechała, a ja włożyłem torby do bagażnika i usiadłem z tyłu, żeby, wyrwanego nagle z mozołu codzienności, przewiozła mnie po królewsku mokrymi ulicami, i chociaż drogo to wyszło, a poza tym straciłem w ten sposób pieniądze zaoszczędzone na zakupach w taniej Mekce, to jednak było warto.

W domu pochowałem produkty do szafek, potem wybrałem się na jakiś czas do piwnicy z albumem ze zdjęciami, zjadłem obiad i próbowałem trochę popisać, tym razem nie wiersz, z wierszami już skończyłem, byłem prozaikiem, a gdy poczułem, że zdania płyną mi równie łatwo jak dawniej, że wystarczy tylko je zapisać, bardzo mi ulżyło, bo w pewnym sensie obawiałem się, że skrytykowanie przez Fossego tamtego katastrofального wiersza wpłynie na moją wiarę w siebie również w odniesieniu do prozy, tak się jednak nie stało, słowa płynęły jak wcześniej i napisałem aż cztery strony, nim wreszcie się poddałem i wyszedłem zadzwonić do Ingvild.

Tym razem aż tak się nie denerwowałem, bo po pierwsze, to ona poprosiła, żebym zadzwonił, a po drugie, zamierzałem ją tylko zaprosić na imprezę, i nawet gdyby mi odmówiła, nie oznaczałoby to wcale, że mnie odrzuca.

Stałem pod niewielką kopułą z przezroczystego plastiku ze słuchawką przyciśniętą do ucha i czekałem, aż ktoś na drugim końcu odbierze telefon. Krople deszczu spływały po plastiku długimi, rozciągniętymi torami, zbierały się pod wystającym rantem w większe grona, które regularnie się odrywały i z pluskiem skapywały na asfalt. W świetle ulicznej latarni nad moją głową powietrze było prądkowane od deszczu.

- Halo?
 - Dzień dobry, chciałem rozmawiać z Ingvild...
 - To ja. Cześć!
 - Cześć. Co u ciebie? Chyba dobrze?
 - Tak, całkiem nieźle. Siedzę sama u siebie w pokoju i się uczę.
 - Fajnie to brzmi.
 - A co u ciebie?
 - Też wszystko w porządku. Pomyślałem, że spytam, czy nie miałabyś ochoty przyjść w sobotę na imprezę. To znaczy jutro. Urządza ją mój brat.
 - Fajnie.
 - Najpierw przygrywka u mnie, a potem pojedziemy do niego taksówką. On mieszka na Solheimsviken. Może być przyszła koło siódmej?
 - Dobrze.
 - W każdym razie Jon Olav zamierza się stawić, a to znaczy, że będziesz kogoś znała.
 - Czy ten twój kuzyn bywa wszędzie?
 - Tak, chyba można tak powiedzieć...
- Zaśmiała się i umilkła.
- Czyli jak, umawiamy się? – spytałem. – Jutro o siódmej u mnie?
 - Okej. Zjawię się ze swoim zwykłym dobrym humorem i pozytywnym nastawieniem do życia!
 - Cieszę się – powiedziałem. – Wobec tego do zobaczenia. Trzymaj się.
 - Ty też się trzymaj.

Następnego dnia przed południem posprzątałem mieszkanie, zmieniłem pościel, zrobiłem pranie i rozwiesiłem je na suszarce w piwnicy, chciałem, żeby wszystko wyglądało idealnie, gdyby Ingvild zdecydowała się przyjść do mnie po imprezie. Coś musiało się wydarzyć, to było oczywiste. Moja pasywność i nieudolność za pierwszym razem dawała się jakoś wytłumaczyć i nie miała decydującego znaczenia, drugie spotkanie było już inne, odbyło się w ciągu dnia i miało na celu lepsze poznanie się nawzajem, ale podczas trzeciego spotkania w Bergen zdecydowanie powinienem wyjawić swoje zamiary, zaatak-

wać, bałem się, że inaczej Ingvild wyslizgnie mi się z rąk. Nie mogłem stale tylko z nią rozmawiać, pojawiła się już we mnie potrzeba jakiegoś działania, pocałunku, objęcia, a później, może kiedy wieczorem wyjdziemy przejść się ulicami koło mieszkania Yngvego – zaproponowania, żeby do mnie przyszła.

Świadomość, że muszę podjąć jakieś kroki, budziła grozę, ale musiałem działać, nie było wyjścia, w innym wypadku istniało ryzyko, że wszystko przypadnie. Oczywiście nie mogłem niewolniczo trzymać się planu, musiałem improwizować w trakcie, rozpoznawać sytuację, dowiedzieć się, czego ona chce, nawet gdyby mnie odrzuciła, nie miała ochoty na nic więcej lub uważała, że jest jeszcze za wcześnie.

Gdyby jednak zechciała do mnie przyjść, wiedziałem, że m u s z ę jej powiedzieć, jak ze mną jest. N i e m o g ł e m znów narażać się na upokorzenie, jakim byłoby ukrywanie, że u mnie tak szybko jest po wszystkim, a starałem się to robić już tyle razy. Musiałem po prostu o t y m p o w i e d z i e ć, sprowadzić to do zwyczajnego, niewielkiego problemu, z którym łatwo sobie poradzić. Wtedy gdy naprawdę byłem z dziewczyną, ten jedyny raz, latem w namiocie w Roskilde, za każdym razem szło mi coraz lepiej, więc przynajmniej wiedziałem, że m o g ę. Ale tamta dziewczyna mnie nie obchodziła, miała dla mnie znaczenie wyłącznie w t y m sensie, w przeciwieństwie do Ingvild – z nią ryzykowałem wszystko, tylko z nią chciałem być i nie mogło mi się nie udać jedynie z t e g o powodu.

Wiedziałem, że alkohol trochę pomaga, ale jednocześnie nie mogłem być zbyt pijany, bo Ingvild gotowa pomyśleć, że chodzi mi wyłącznie o jedno. A przecież to nieprawda!

Pierwsi przyszli Jon Olav i jego dwaj kumple, Idar i Terje. Wypiłem wcześniej trzy półlitrowe piwa i nabrałem pewności siebie we wszystkim, co mówiłem i co robiłem. Wystawiłem miskę chipsów i miseczkę orzeszków, opowiadałem im o Akademii Sztuki Pisania. Czytali Ragnara Hovlanda, słyszeli o Janie Kjærstadsie, no i oczywiście o Kjartanie Fløgstadzie. Widziałem, że im zaimponowałem, mówiąc, że właśnie ci pisarze mają przyjechać do nas z wykładami.

– Pewnie będą mówić o swojej twórczości – stwierdziłem. – Ale najważniejsze, że będą czytać nasze teksty i je omawiać. A tak w ogóle, to lubicie Kjærstada?

W tej samej chwili rozległ się dzwonek i poszedłem otworzyć. To była Anne. Ubrana na czarno, w czarnym kapelusiku, na czoło opadał jej długi kosmyk włosów. Nachyliłem się, żeby ją uściskać, położyła mi dłoń na plecach i trzymała ją w tym samym miejscu jeszcze chwilę po tym, jak się wyprostowałem.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała ze śmiechem.

– Ja też się cieszę. Wejdz.

Odstawiła niewielki plecak na podłogę przy drzwiach i zdejmując kurtkę, przywitała się z pozostałymi. Emanująca z niej radość wydawała mi się kiedyś nie do połączenia z czernią i gotykiem dominującymi w jej zainteresowaniach i stylu życia. Z Anne kojarzyli się The Cult i The Cure, Jesus and Mary Chain, a także zespoły związane z belgijską wytwórnią płytową Crammed Discs, This Mortal Coil i Cocteau Twins, mgła, mrok i romantyka śmierci, lecz również szeroki uśmiech i podskoki. Była ode mnie starsza, ale kiedy razem pracowaliśmy, ona przy pulpicie w pokoju kontrolnym po drugiej stronie szyby, ja przy mikrofonie, przez pewien czas wydawało mi się, że trochę się mną interesuje, chociaż nie mogłem tego stwierdzić z całą pewnością, bo takich rzeczy z całą pewnością nigdy się nie wiedziało, ale i tak do niczego nie doszło, zostaliśmy przyjaciółmi, oboje zainteresowani muzyką, ja odrobinę bardziej skłaniający się ku popowi niż ona. Teraz była studentką, mieszkała sama w mieście, podobnie jak ja, a już miała wielu przyjaciół, jak się zorientowałem na podstawie tego, co mówiła chłopakom, siedząc na krześle z rękami na podłokietnikach. Nie było w tym nic dziwnego, Anne, tak otwarta na innych, i tego wieczoru szybko znalazła się w centrum zainteresowania niewielkiego kręgu studentów, którzy spotkali się w moim mieszkaniu.

Piłem szybko, żeby osiągnąć poziom, na którym przestawałem się zastanawiać, co mówię i co robię, tylko po prostu byłem – swobodny, bez żadnego przymusu – więc kiedy tuż przed ósmą rozległ się dzwonek do drzwi i poszedłem otworzyć, nie byłem ani trochę zdenerwowany czy spięty, po prostu ucieszyłem się na widok Ingvild, która z torebką na ramieniu stała na schodach w deszczu i się do mnie uśmiechała.

Uściskałem ją, weszła za mną do środka. Przywitała się ze wszystkimi, odrobinę onieśmielona, może też zdenerwowana, i wyjęła z torebki butelkę białego wina. Pospieszyłem do kuchni po korkociąg i kieliszek. Ingvild usiadła na kanapie między Jonem Olavem i Idarem, wkręciła korkociąg, przytrzymała

butelkę między kolanami i wyciągnęła korek z głośnym cmoknięciem.

– A więc tutaj mieszkasz – powiedziała, nalewając sobie wina do kieliszka.

– Owszem. Cały dzień dzisiaj sprzątałem, żeby było ładnie, kiedy przyjdziecie.

– Wyobrażam sobie.

Oczy jej się zwęziły, jakby wypełnił je śmiech.

– Na zdrowie – powiedziałem.

– Zdrowie! – zawtórowali mi chłopcy i stuknęliśmy się szyjkami butelek.

– Co ty właściwie piszesz? – spytał Idar.

– Powieść – wyjaśniłem. – Współczesną powieść. Staram się, żeby była jednocześnie rozrywkowa i głęboka. To nie jest wcale łatwe. Interesują mnie paradoksy. To, co zarazem brzydkie i piękne, wysokie i niskie. Właściwie trochę jak u Fløgstada.

Zerknąłem na Ingvild, która na mnie spojrzała. Nie mogłem pokazać innym, jak śmiesznie jestem zakochany i że właściwie chciałbym wyłącznie siedzieć i na nią patrzeć. Przed Ingvild też nie mogłem się zdradzić, dlatego starałem się poświęcać jej jak najmniej uwagi.

– Ale chciałbym, żeby ktoś mi to wydał – dodałem. – Nie chcę, żeby to, co piszę, czytało jedynie kilka osób, to by nie miało sensu, równie dobrze mógłbym zająć się czymś innym. Rozumiecie?

– Pewnie – powiedział Idar.

– Przeczytałeś na głos ten swój wiersz? – spytał ze śmiechem Jon Olav.

– Nie – odparłem, patrząc na niego. Nie podobało mi się, że się śmieje. Czułem się tak, jakby w ten sposób zdradzał coś innym.

– Co to za wiersz? – spytała Anne.

– Nic ciekawego, coś, co napisałem na zajęcia. Takie ćwiczenie – odpowiedziałem, podszedłem do gramofonu i puściłem The Joshua Tree.

– Nietrudno go zacytować z pamięci – znów roześmiał się Jon Olav.

Błyskawicznie się do niego odwróciłem.

– Jeśli chcesz się ze mnie nabijać, to proszę bardzo – warknąłem.

Przestał się śmiać, tak jak się spodziewałem, i w pierwszej chwili popatrzył na mnie zdumiony.

- Taki jesteś wrażliwy?
- Poważnie podchodzę do tego, co robię – wyjaśniłem, siadając.
- Zdrowie – powiedział Jon Olav.

Wypiliśmy, ów krótki przebłysk złej atmosfery minął, rozmowa potoczyła się dalej. Ingvild niewiele się odzywała, od czasu do czasu rzucała jakiś ironiczny komentarz, ożywiła się, kiedy zaczęliśmy mówić o sporcie. A mnie bardzo się to podobało, choć jednocześnie uświadomiłem sobie, że w ogóle jej nie znam. Siedząc na stołku naprzeciwko niej po drugiej stronie stołu, z butelką zimnego piwa z bergeńskiego browaru Hansa i dymiącym papierosem w ustach, zastanawiałem się, jak mogłem aż tak się w niej zakochać, ale przecież doskonale znałem odpowiedź, dyskusja z uczuciami nie ma sensu i nie powinno się jej nawet zaczynać, one zawsze wiedzą najlepiej. Patrzyłem na nią, była tutaj, a to, co z niej emanowało, to, co składało się na nią, żyło własnym życiem, niezależnie od tego, co mówiła.

Momentami moje wnętrze oślacała myśl, że siedzę tutaj w s w o i m wynajętym mieszkaniu, otoczony s w o i m i przyjaciółmi, w odległości zaledwie metra od dziewczyny, którą kocham najbardziej na świecie.

Nie mogło mnie spotkać nic lepszego.

– Ktoś ma ochotę na jeszcze jedno piwo? – spytałem, wstając. Idar, Terje i Anne kiwnęli głowami, więc przyniosłem z lodówki cztery butelki, rozdałem je i zobaczyłem, że na kanapie między Jonem Olavem a Ingvild znalazłoby się miejsce, gdyby się odrobinę rozsunęli, i tam właśnie usiadłem. Kiedy otworzyłem piwo, piana się przelała, więc czym prędzej odsunąłem od siebie butelkę, piwo wylało się na stół, zakląłem, niech to szlag trafi, odstawiłem butelkę, przyniosłem z kuchni ścierkę i je wytarłem. W ścianę między oknami tuż nad kanapą był wbity gwóźdź, z jakiegoś powodu odwiesiłem ścierkę właśnie tam.

– Rozdzieliła nas mokra ścierka – powiedziałem do Ingvild, opadając na kanapę. Spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem, a ja roześmiałem się głuchym śmiechem, wydobywającym się z głębi brzucha.

Z budki telefonicznej po drugiej stronie ulicy zadzwoniłem po dwie taksówki, reszta gości stała na schodach, gadała i piła. Patrzyłem na nich i znów myślałem: to u m n i e była przygrywka. Deszcz ustał, ale niebo wciąż było za-

chmurzone. Ulice spowił blady mrok, przez który wkrótce zaczęliśmy się przemieszczać, rozproszył się nagle, gdy dotarliśmy do Puddefjorden i otwartego nad nim jasnego, wysokiego nieba, dalej znów ciemniejszego, gdy jechaliśmy pod górę na Solheimsviken, między rzędami domów dla robotników.

Było już wpół do dziesiątej, dość późno jak na początek imprezy, Yngve mówił o ósmej, ósmej trzydzieści, gdy spytałem, o której mamy przyjść, ale z drugiej strony, tak było gorzej dla nas, nie dla nich, przyjaciół i znajomych Yngvego, bo przecież dla nich nasza obecność nie miała żadnego znaczenia.

Zapłaciłem za jedną taksówkę, Jon Olav za drugą, a potem ruszyłem krótkim podjazdem z resztą depczącą mi po piętach i zadzwoniłem do drzwi.

Otworzył Yngve. Był w białej koszuli w szare paski i czarnych spodniach. Włosy miał zaczesane do tyłu, z wyjątkiem kosmyka, który zwieszał mu się z boku na czoło.

– Trochę się spóźniliśmy – powiedziałem. – Ale mam nadzieję, że to nie szkodzi.

– Pewnie, że nie – odparł. – Impreza i tak się nie udała. Nikt nie przyszedł.

Spojrzałem na niego. Co on wygaduje?

Przywitał się z pozostałymi, na szczęście nie zrobił wielkiego halo na widok Ingvild, bo nie chciałem, żeby się domyśliła, ile mu o niej opowiadałem. Zdjęliśmy buty i kurtki w korytarzu i weszliśmy do dużego pokoju, w którym rzeczywiście nikogo nie było, z wyjątkiem Oli, wpatzonego w telewizor.

Nie wierzyłem własnym oczom.

– Oglądacie telewizję? – zdumiałem się.

– Tak, a co? Nie ma sensu zaczynać imprezy bez ludzi.

– A gdzie się wszyscy podziali?

Yngve wzruszył ramionami, leciutko się uśmiechając.

– Trochę za późno ich zaprosiłem. Za to was jest sporo!

– To prawda – przyznałem i usiadłem na kanapie pod plakatem *Dawno temu w Ameryce*. Byłem wstrząśnięty, to spadło na mnie zupełnie nieoczekiwanie, wyobrazałem sobie pokoje pełne ludzi, wyrafinowanych chłopaków i dziewczyny, śmiechy i gwar rozmów, powietrze gęste od dymu, a tymczasem coś takiego? Yngve i Ola oglądający sobotni film, nadawany przez publiczną telewizję? I to akurat wtedy, kiedy przyprowadziłem Ingvild? Tak chciałem, żeby po-

znała Yngvego i jego środowisko, ludzi, którzy studiowali już od kilku lat i znali miasto, znali uniwersytet, znali świat, aby w ten sposób samemu pokazać się w tym świetle – oto mój brat, zaprasza mnie na swoje imprezy – a tymczasem co ona zobaczyła? Dwóch chłopaków gapiących się w telewizor, żądanych gości, bo nikt nie przyszedł, wszyscy mieli w sobotni wieczór inne zajęcia, ciekawsze niż impreza u Yngvego.

Czy Yngve był przegrany? Czy Yngve był jakimś cholernym przegranym?

Wyłączył telewizor, przystawił dwa krzesła do stołu, przyniósł piwo, usiadł i zaczął konwersować z Anne, Ingvild, Idarem i Terjem, zaczynając od kilku grzecznościowych pytań, żeby ich zachęcić do rozmowy. Pytał, co studiują i gdzie mieszkają, a atmosfera, w pierwszej chwili przesycona niepewnością, mimo że wcześniej ponad dwie godziny piliśmy, wyraźnie zaczęła się poprawiać. Ogólna rozmowa, w której początkowo uczestniczyli wszyscy siedzący przy stole, zaczęła się toczyć w podgrupach. Pogadałem trochę z Anne, której usta się nie zamykały, nagle miała tyle do powiedzenia, że poczułem, iż ogarnia mnie klaustrofobia, więc oświadczyłem, że muszę wyjść do toalety. Stamtąd przeszedłem do kuchni, gdzie Terje na stojąco rozmawiał z Ingvild. Uśmiechnąłem się do nich i skierowałem do Oli i Yngvego, zadzwonił dzwonek, przyszedł Asbjørn, a chwilę później zjawił się Arvid i nagle mieszkanie się zapełniło, można było odnieść wrażenie, że ludzie są wszędzie, wszędzie twarze, głosy i ciała w ruchu, kręciłem się wśród nich, piłem i gadałem, gadałem i piłem, byłem coraz bardziej pijany. Straciłem poczucie czasu, wszystko stało przede mną otworem, nie więziły mnie już własne ograniczenia, wesoły i swobodny krążyłem po mieszkaniu, przejęty wyłącznie trwającą chwilą i Ingvild, którą kochałem. Trzymałem się od niej z daleka, bo z tego, co wiedziałem o dziewczynach, nie zależało im na kimś, kogo łatwo dostać, kto się do nich przystawia, więc zamiast z nią rozmawiałem z innymi, na których moje odurzenie alkoholem zdawało się rzucać blask, wyciągało ich z mroku, jakbym świecił na nich latarką. Wszyscy byli interesujący, wszyscy mieli do powiedzenia coś, czego mogłem posłuchać i czym mogłem się wzruszać do momentu odejścia od nich, bo w tej samej chwili zapadali się z powrotem w mrok.

Usiadłem na kanapie między Olą a Asbjørnem, naprzeciwko, po drugiej stronie stołu, miałem Anne, spytała, czy może wziąć ode mnie tytoń, kiwnąłem głową, moment później w skupieniu, ze spuszczoną głową, zaczęła skręcać papierosa.

– Za-zastanawiałem się nad jedną rzeczą – powiedział Ola. – George V. Higgins, czytałeś go?

– Nie – odparłem.

– No to mu-musisz przeczytać. Dobry jest. Naprawdę dobry. Prawie same dialogi. Bardzo a-amerykańskie. Twarde. *Eddie Coyles venner*^[13].

– No i jest jeszcze Bret Easton Ellis – wtrącił się Asbjørn. – *Less Than Zero*. To czytałeś?

Pokręciłem głową.

– To dwudziestokilkuletni Amerykanin. Książka jest o grupie młodzieży z Los Angeles, mają bogatych rodziców i robią, co chcą. Tylko piją, ćpają i imprezują. Ale wszystko jest kompletnie puste i lodowate. To naprawdę świetna powieść. Niemal hiperrealistyczna.

– Brzmi fajnie. Jak on się nazywa?

– Bret Easton Ellis. Tylko pamiętaj, kto ci pierwszy o nim powiedział.

Roześmiał się i odwrócił głowę. Zerknąłem na Yngvego, który rozmawiał z Jonem Olavem i Ingvild, rozemocjonowany, niemal rozpalony, jak zwykle wtedy, kiedy chciał kogoś do czegoś przekonać.

– Ostatni John Irving też jest świetny – zauważył Asbjørn.

– Wygłupiasz się? – spytałem. – John Irving to pieprzony pisarz rozrywki.

– Co nie stoi na przeszkodzie, żeby książka była dobra – stwierdził Asbjørn.

– Za cholerę.

– Przecież nie czytałeś!

– Nie. Ale wiem, że jest zła.

– Cha, cha, cha! Nie możesz tak mówić.

– Przecież sam piszę, do jasnej cholery! I czytałem Johna Irvinga. Wiem, że jego ostatnia powieść jest zła.

– O Boże, Karl Ove! – westchnął Asbjørn.

– Anne, pomyśl tylko, że siedzimy teraz tutaj, tak daleko od pieprzonego Kristiansand.

– Rzeczywiście – przyznała. – Ale sama nie wiem, co tu robię. Ty wiesz. Chcesz zostać pisarzem, a ja nie mam pojęcia, kim chcę być.

– J e s t e m pisarzem – poprawiłem ją.

– Wiesz co?

– Nie.

– Chciałabym jedynie być legendą. Prawdziwą legendą. Zawsze tak sobie myślałam. I nigdy nie wątpiłam, że tak będzie.

Asbjørn i Ola popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

– Rozumiesz? Zawsze byłam tego pewna.

– Legendą w jakiej dziedzinie? – spytał Asbjørn.

– W jakiegokolwiek – odparła Anne.

– No a co robisz? Śpiewasz? Pisziesz?

– Nie.

Po policzkach popłynęły jej łzy. Patrzyłem na nią, nie rozumiejąc, co się dzieje. Płakała?

– Nigdy nie będę legendą – oświadczyła głośno.

Teraz już wszyscy jej się przyglądali.

– Już za późno! – krzyknęła i zasłoniła twarz rękami. Ramiona jej drżały. Ola i Asbjørn głośno się śmiali, Yngve, Jon Olav i Ingvild patrzyli na nas pytająco.

– Nigdy nie będę legendą – powtórzyła Anne. – Nigdy nie będę kimś!

– Masz dopiero dwadzieścia lat – powiedziałem. – Jasne, że nie jest za późno.

– Jest – upierała się Anne.

– No i co z tego? – spytał Jon Olav. – Po co chciałabyś być legendą? Naprawdę warto za tym tęsknić?

Anne wstała i ruszyła do wyjścia.

– Dokąd się wybierasz? – zatrzymał ją Yngve. – Chyba nie chcesz już iść?

– Idę – odparła.

– Daj spokój, zostań jeszcze trochę – poprosił. – Na pewno nie staniesz się legendą, jeśli teraz wyjdiesz i położysz się spać o dwunastej. Daj spokój. Mam cały gąsior wina. Napijesz się? To legendarny rocznik.

Uśmiechnęła się leciutko.

– Może kieliszek – powiedziała.

Dostała go i impreza trwała dalej. Ingvild opierała się o ścianę z kieliszkiem w ręku, przesyłał mnie dreszcz, była taka piękna. Uznałem, że muszę z nią porozmawiać, więc podszedłem.

– Prawdziwa studencka impreza – stwierdziłem.

– Tak.

– Czytałaś Ragnara Hovlanda? Wydaje mi się, że on dużo o tym pisze.

Pokręciła głową.

– To jeden z wykładowców w akademii. Pochodzi z zachodniej Norwegii, tak jak ty. Sam zresztą jestem trochę z zachodu kraju, bo przecież mama urodziła się w Sørbøvåg. Więc jestem z zachodu przynajmniej w połowie.

Spojrzała na mnie i się uśmiechnęła. Stuknąłem kieliszkiem o jej kieliszek.

– Na zdrowie – powiedziałem.

– Na zdrowie – powtórzyła.

Napotkałem spojrzenie Anne, siedzącej na kanapie. Również w jej stronę uniosłem kieliszek, ona uniosła swój. Jon Olav stał na środku pokoju, chwytając się na nogach. Ręką szukał czegoś, o co mógłby się oprzeć, ale nic nie znalazł i zatoczył się na bok.

– Ależ on ma słabą głowę – roześmiałem się.

Odzyskał równowagę i ze sztywną miną, z twarzą bez wyrazu, przeszedł przez pokój do sypialni.

Gdzie się podziali Idar i Terje?

Zrobiłem rundkę, żeby ich odszukać. Siedzieli w kuchni i rozmawiali, pochylając głowy nad stołem, w rękach ściskali butelki piwa. Kiedy wróciłem do pokoju, Ingvild siedziała na kanapie obok Anne. Anne miała zamglone oczy, jakby kompletnie oderwane od jej uśmiechu.

Odwróciła się do Ingvild i coś powiedziała. Ingvild wyraźnie zatkało, wyprostowała się. Zrozumiałem, że Anne musiała powiedzieć coś, co ją zaszokowało. Odpowiedziała, lecz Anne tylko się roześmiała i pokręciła głową. Podszedłem do nich.

– Znam ciebie i takie jak ty – stwierdziła Anne, wstając.

– Nie będę wysłuchiwać takich rzeczy – oświadczyła Ingvild. – Nie znasz mnie.

– Znam – nie ustępowała Anne.

Ingvild zaśmiała się ironicznie. Anne mnie wyminęła, zająłem jej miejsce.

– Co ci powiedziała? – spytałem.

– Że jestem z tych, które odbijają facetów innym dziewczynom.

– Naprawdę?

– Chodziliście wcześniej ze sobą? – spytała Ingvild.

– My? Skąd! Oszalałaś?

– Nie będę wysłuchiwać takich rzeczy – powtórzyła Ingvild, wstając.

– Oczywiście, że nie. Ale nie wychodź z tego powodu. Jeszcze nie jest późno! No i mimo wszystko to fajna impreza, prawda?

Uśmiechnęła się.

– Nie wychodzę – powiedziała. – Idę tylko do toalety.

Przeszedłem do sypialni. Leżał tam Jon Olav, na brzuchu, z głową wbity w kołdrę, ręka zwisała mu bezwładnie poza krawędź łóżka. Chrapał. W drzwiach na korytarz zatrzymał mnie Arvid.

– Cześć, mały Knausgård!

– Już wychodzisz? – spytałem, nagle wystraszony, bo chciałem, żeby wszyscy zostali i żeby impreza nigdy się nie skończyła.

– Nie, nie. Idę się tylko przelecieć, przewietrzyć głowę.

– To dobrze – stwierdziłem i wróciłem do pokoju. Ingvild tam nie było, czyżby jednak wyszła? A może jeszcze siedziała w toalecie?

– Yngve zaraz nastawi Queenów – odezwał się do mnie Asbjørn, podnosząc się od gramofonu. – Zawsze przychodzi ta chwila. Jest wtedy tak pijany, że wieczór w zasadzie można uznać za zakończony. Przynajmniej jeśli chodzi o niego.

– Ja też lubię Queenów.

– Co z wami? – roześmiał się. – To jakaś wada genetyczna? Czy może na Tromøi wychowywaliście się w niewłaściwym środowisku? Queeni! Dlaczego nie Genesis? Pink Floyd? Albo Rush?

– Rush są niezli – odezwał się Yngve gdzieś z tyłu. – Nawet mam ich płytę.

– No, a co z Bobem Dylanem? Ma przecież takie świetne teksty! Cha, cha, cha. To skandal, że nie dostaje Nobla.

– Jediną rzeczą, która łączy Rush i Boba Dylana, jest to, że ich nie lubisz.

W Rush jest dużo dobrego, na przykład gitara, no ale ty tego nie słyszysz.

– Rozczarowujesz mnie, Yngve – stwierdził Asbjørn. – Jak mogłeś upaść tak nisko, żeby bronić Rush? Pogodziłem się z tym, że lubisz Queen. Ale Rush... A co z ELO? Z Jeffem Lynne'em? Niezły skład, co nie?

– Ale śmieszne – powiedział Yngve.

Wyszedłem do kuchni. Ingvild siedziała tam razem z Idarem i Terjem. Doli-
nę spowijał mrok. Światło latarni wzdłuż drogi nasiąkło deszczem. Ingvild
spojrzała na mnie i uśmiechnęła się odrobinę pytająco, jakby chciała się do-
wiedzieć, co się teraz wydarzy.

Odwzajemniłem uśmiech, ale nie miałem nic do powiedzenia, więc znów
zwróciła się ku tamtym dwóm. W pokoju ucichła muzyka, przez kilka sekund
rozbrzmiewał gwar głosów, dopóki z głośników nie popłynął trzask igły dra-
piącej zewnętrzny rowek i muzyka nie zagrała od nowa. Rozbrzmiały pierwsze
dźwięki *Scoundrel Days* zespołu a-ha. Lubiłem tę płytę, wiązało się z nią wie-
le wspomnień, więc wróciłem do pokoju.

W tej samej chwili z sąsiedniego pomieszczenia wyszedł Asbjørn. Zdecy-
dowanym krokiem przemaszerował przez pokój, kierując się ku wieży stereo,
nachylił się, podniósł ramię gramofonu i zdjął płytę z talerza. Wszystkie jego
ruchy były przesadnie wyraziste, jakby był nauczycielem i demonstrował coś
klasie.

Uniósł płytę przed sobą i zaczął ją wyginać.

Zapadła kompletna cisza.

Wolno zginał płytę coraz mocniej, aż w końcu pękła.

Arvid wybuchnął głośnym śmiechem.

Yngve już wcześniej wstał i obserwował Asbjørna. Teraz odwrócił się do
Arvida, wylał mu wino na głowę i wyszedł.

– Co jest, do cholery? – Arvid się poderwał. – Przecież ja nic nie zrobiłem!

– Może jeszcze spa-spalisz kilka książ-książek? – spytał Ola Asbjørna. – Ta-
kie ma-małe o-ognisko?

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytałem.

– O rany – powiedział Asbjørn. – Chyba nie musicie aż tak brać sobie tego
do serca. Wyświadczyłem mu tylko przysługę. Yngve mnie zna. Wie, że kupię
mu nową płytę. Może nie a-ha, ale coś nowego. On o tym wie. To gra pod pu-

bliczkę.

– Wcale nie jest pewne, że chodzi mu o materialną wartość tej płyty – zauważyła Anne. – Może zraniłeś jego uczucia?

– Uczucia? Uczucia? – zaśmiał się Asbjørn. – To gra pod publiczność!

Usiadł na kanapie i zapalił papierosa. Udawał, że nic się nie stało, albo był tak pijany, że w ogóle nic go nie obchodziło, ale jednocześnie momentami pojawiały się u niego mina albo gest wskazujące na wyrzuty sumienia, które w końcu wzięły górę i dla wszystkich stało się jasne, że jest mu przykro z powodu tego, co zrobił. Ale muzyka znów zaczęła grać, impreza trwała, po półgodzinie wrócił Yngve, Asbjørn powiedział, że odkupi mu płytę, i wkrótce między nimi znów zapanowała przyjaźń.

Ja natomiast, kiedy skończyło się piwo, zacząłem wlewać w siebie wino. Było jak sok, a źródło pozostawało niewyczerpane, teraz nie tylko czas przestał istnieć, ale również miejsce. Nie wiedziałem już, gdzie jestem, jakby mrok wcisnął się między twarze, z którymi rozmawiałem. One z kolei świeciły. Znajdowałem się bardzo blisko własnych uczuć, w takim znaczeniu, że kompletnie bez żadnych hamulców mówiłem rzeczy, których w innych okolicznościach nigdy nie wypowiadałem, co do których prawie nie miałem świadomości, że w ogóle chodzą mi po głowie, tak jak wtedy gdy usiadłem przy Yngvem i Asbjørnie i oświadczyłem, że ogromnie się cieszę z tego, że są takimi dobrymi przyjaciółmi, lub gdy podszedłem do Oli i usiłowałem mu tłumaczyć, jak się początkowo odnosiłem do jego jękania. Jednocześnie myśli o Ingvild wywoływały we mnie coraz większą falę uczucia bliskiego triumfu, i kiedy w łazience przy myciu rąk przejrzałem się w lustrze, a potem lekko zwilżyłem włosy, żeby bardziej stały, nie przestając się uśmiechać i cały czas mając w głowie urywane, szarpane myśli: o cholera, ale fajnie, fajnie, do kurwy nędzy, kurewsko fajnie, kurewsko, postanowiłem się do niej zbliżyć, pocałować ją, uwieść. Ale zrezygnowałem już z planu zapraszania jej do siebie, bo przypomniało mi się, że na drugim piętrze jest jeszcze jeden pokój, dawna służbówka, w której nikt już nie mieszkał, prawdopodobnie używano jej jako pokoju gościnnego i do moich celów nadawała się idealnie.

Przeszedłem do dużego pokoju, Ingvild na stojąco rozmawiała z Olą, ktoś tańczył wokół nich przy głośno grającej muzyce, na granicy deformacji dźwięków, stanąłem obok i patrzyłem na Ingvild, dopóki na mnie nie spojrzała. Wtedy się uśmiechnąłem, a ona odwzajemniła uśmiech.

– Możemy chwilę porozmawiać? – spytałem.

– Tak.

– Muzyka wszystko zagłusza, może wyjdziemy na korytarz?

Kiwnęła głową, wyszliśmy.

– Jesteś taka cudowna – powiedziałem.

– To mi miałaś do powiedzenia? – roześmiała się.

– Na drugim piętrze jest pokój. Pójdiesz tam ze mną? Chyba dawna służbówka.

Ruszyłem w stronę schodów i po chwili usłyszałem, że Ingvild idzie za mną. Na górze zaczekałem, wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem do pokoju, który wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem.

Objąłem ją i pocałowałem. Cofnęła się o krok, przysiadła na łóżku.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – oświadczyłem. – Jestem... czymś w rodzaju potwora, jeśli chodzi o seks. Trochę trudno to wyjaśnić, ale... A zresztą, do diabła, wszystko jedno.

Usiadłem przy niej, objąłem ją, pocałowałem, ułożyłem na łóżku, sam się na niej położyłem i znów ją pocałowałem. Była onieśmielona i pełna rezerwy. Zacząłem całować ją w szyję, przesunąłem palcami przez jej włosy, powoli uniosłem bluzę i pocałowałem ją w pierś. Wtedy usiadła, obciągnęła bluzę i popatrzyła na mnie.

– Czuję, że nie powinniśmy tego robić, Karl Ove – powiedziała. – To się dzieje za szybko.

– No tak. – Ja też usiadłem. – Masz rację. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Nigdy nie przepraszaj. To najgorsze, co może być.

Wstała.

– Mimo to zostaniemy przyjaciółmi? – spytałem. – Bardzo cię lubię, wiesz?

– A ja ciebie. Wracamy?

Wróciliśmy na dół, a ponieważ przez to, że mnie odrzuciła, trochę otrzeźwiałem, nagle zobaczyłem wszystko całkiem wyraźnie.

Tam prawie nie było ludzi. Oprócz nas osiem osób, ot i wszystko. To, co przez tyle godzin wydawało mi się olbrzymią dekadencją parady, wielką studencką imprezą, ze sprzeczkami i przyjaźnią, z miłością i zwierzeniami, z tańcami i piciem w uniesieniu, na fali szczęścia, w jednej chwili się rozsypało

i obnażyło całą prawdę. To byli tylko Idar, Terje, Jon Olav, Anne, Asbjørn, Ola, Arvid i Yngve, wszyscy mieli niewyraźne, zamglone oczy i nieskoordynowane ruchy.

Tak bardzo chciałem, żeby tamto wrażenie wróciło, pragnąłem znów znaleźć się w wirze zabawy, więc nalałem sobie wina i wypilem dwa kieliszki jeden po drugim, potem jeszcze jeden. Pomogło. Powoli wrażenie małości zaczęło mijać. Wtedy usiadłem koło Asbjørna na kanapie.

Z sypialni wyłonił się Jon Olav. Zatrzymał się w drzwiach. Ludzie zaczęli klaskać.

– Ho, ho! – zawołał Ola. – Zmartwychwstanie.

Jon Olav uśmiechnął się i usiadł obok mnie w fotelu. Dalej rozmawiałem z Asbjørnem, próbowałem mu tłumaczyć, że ja także piszę o młodych ludziach, którzy piją i ćpają, i usiłuję przekazać lodowatą pustkę, tak jak ten amerykański pisarz, o którym Asbjørn mówił wcześniej. Jon Olav spojrział na nas i chwycił jedną z nieopróżnionych jeszcze butelek piwa, które stały na stole.

– Niech żyje Karl Ove i Akademia Sztuki Pisania! – powiedział głośno. Potem się roześmiał i wypił łyk. Wkurzyłem się tak, że wstałem i nachyliłem się nad nim.

– O co ci, kurwa, chodzi?! – krzyknąłem. – Co ty, kurwa, w ogóle wiesz? Ja podchodzę p o w a ż n i e do tego, co robię, rozumiesz? Wiesz, co to znaczy? Nie pozwalaj sobie za dużo i przestań się ze mnie nabijać! Wydaje ci się, że jesteś taki świetny?! Ale ty studiujesz prawo! Pamiętaj o tym! Prawo!

Patrzył na mnie zdziwiony i może również wystraszony.

– Nie pozwalaj sobie za dużo! – krzyknąłem jeszcze raz i opuściłem pokój. Włożyłem buty, otworzyłem drzwi i wyszedłem. Serce waliło mi w piersi, nogi drżały. Zapaliłem papierosa i przysiadłem na mokrych betonowych schodach. Deszcz płynął przez ciemność nade mną i z szelestem lądował na ziemi w maleńkim ogródku od frontu.

Gdyby tylko Ingvild teraz przyszła.

Zaciągnąłem się mocno, żeby zrobić coś powoli, w sposób wyważony. Zatrzymałem dym naprawdę głęboko w płucach i wolno go wydmuchałem. Czułem potrzebę zniszczenia czegoś, wzięcia do ręki kamienia i ciśnięcia nim w szybę w drzwiach. Mieliby się nad czym zastanawiać. Pieprzeni idioci. Pierdolone gnojki.

Dlaczego nie przychodziła?

Przyjdź, Ingvild, przyjdź!

Siedziałem coraz bardziej przemoknięty, aż w końcu wstałem, rzuciłem niedopałek do ogródka i wróciłem do mieszkania. Ingvild stała w drzwiach na korytarz i gadała z Yngvem, nie zauważyli mnie, zatrzymałem się, żeby się zorientować, o czym rozmawiają, może wypytywała go o mnie, ale okazało się, że wcale nie. Pytała, jak najprościej dotrzeć stąd do domu. Yngve zaproponował, że jeśli chce, może jej wezwać taksówkę, chciała, więc kiedy przyciszył muzykę i podniósł słuchawkę, przemknąłem do sypialni, żeby uniknąć rozmowy z nią, a przede wszystkim nie przypominać jej tego, co zaszło. Kiedy zaczęła się ubierać, przeszedłem do pokoju, usiadłem na kanapie i nie ruszając się stamtąd, tylko uniosłem rękę, gdy już wsunęła głowę przez drzwi, żeby się pożegnać. Wiedziałem, że to właściwe posunięcie, bo dzięki temu byłem jedynym ze wszystkich, a nie tym, kto usiłował się z nią przespać na poddaszu.

Wkrótce Yngve zamówił jeszcze dwie taksówki i zostaliśmy tylko we czterech, Ola, Asbjørn, Yngve i ja. Słuchaliśmy płyt i gadaliśmy o nich, przez długie chwile jedynie gapiliśmy się przed siebie, potem któryś się ruszał i puszczał jakiś nowy dobry utwór. W końcu podniósł się Ola, też zamierzał wracać taksówką, Asbjørn się do niego przyłączył, a ja spytałem Yngvego, czy mogę spać u niego na kanapie, oczywiście nie miał nic przeciwko temu.

Pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślałem po przebudzeniu, była scena w służówce na drugim piętrze.

Czy to zdarzyło się naprawdę? Rzeczywiście zabrałem tam Ingvild, przewróciłem ją na łóżko i podciągnąłem jej bluzę nad piersi?

Ingvild? Takiej kruchej i delikatnej? Tej, którą kochałem całym sercem?

Jak mogłem? Co ja sobie myślałem?

O, do kurwy nędzy, ależ ze mnie idiota!

Zepsułem wszystko.

Wszystko.

Usiadłem, odsunąłem na bok koc, przeczesalem palcami włosy.

O Boże.

Wyjątkowo żaden szczegół ubiegłej nocy nie zniknął z mojej pamięci, przy-

pominałem sobie wszystko, co zaszło, i nie tylko, pamiętałem twarz Ingvild, jej spojrzenie, którego wtedy nie zrozumiałem, ale teraz w pełni pojąłem jego znaczenie. Te obrazy mnie nie opuszczały, utrzymywały się w mojej świadomości, zwłaszcza tamta chwila, gdy podciągałem jej bluzę, jej wzrok w tamtym momencie, bo ona tego nie chciała, ale mimo wszystko pozwoliła, żebym to zrobił, i dopiero gdy zamknąłem wargi na jej sutku, usiadła i zaprotestowała.

Co sobie wtedy myślała? Nie chcę tego, ale on tak bardzo chce, więc mu pozwolę?

Wstałem i poszedłem do okna. Yngve najpewniej spał, w każdym razie w mieszkaniu panowała całkowita cisza. Miałem ciężką głowę, ale nie było aż tak źle, zważywszy na to, ile wypilem. Podobno nie wolno mieszać trunków, a jeśli już, to należy zaczynać od najsłabszego. Najpierw piłem wino, a dopiero potem piwo, to dlatego.

Do cholery!

Do jasnej cholery!

Jaki ze mnie idiota!

Ona była taka cudowna, taka pełna życia.

Poszedłem do kuchni i wypilem szklanekę wody. Nad miasto nasunęła się pokrywa chmur, gęsta, szarobiała, światło między domami wydawało się wręcz mleczne.

W sypialni rozległy się kroki. Odwróciłem się, Yngve w samych slipach przeszedł do łazienki, nie patrząc na mnie. Twarz miał bladą, oczy półprzytomne. Nastawiłem kawę, wyjąłem z lodówki coś do kanapek i słuchając, jak Yngve bierze prysznic, ukroiłem kilka kromek chleba.

– No i jak? – spytał po wyjściu z łazienki, ubrany w jasnoniebieską koszulę i dzinsy. – Fajna impreza?

– Fajna – powiedziałem. – Tylko że okropnie się wygłupiłem z Ingvild, i tyle.

– Tak? – zdziwił się. – Nie zauważyłem. A co się stało?

Nalał kawy do kubka, dodał odrobinę mleka i usiadł.

Zaczerwieniłem się i wyjrzałem przez okno.

– Zabrałem ją do tego pokoiku na drugim piętrze i próbowałem się do niej

dobierać.

– I?

– Nie chciała.

– Takie rzeczy się zdarzają. – Sięgnął po chleb i zaczął go smarować maśłem. – To jeszcze nie musi nic oznaczać. Oczywiście oprócz tego, że akurat w tamtej chwili nie chciała. Prawdopodobnie byłeś o wiele bardziej pijany niż ona, o to mogło chodzić. No i mogło być za wcześnie, w zasadzie niezbyt dobrze się znacie, prawda?

– No tak.

– Jeśli ona podchodzi do tego poważnie, naprawdę poważnie, to możliwe, że nie chce, aby to się stało w taki sposób, na imprezie.

– Nie wiem – przyznałem. – Wiem jedynie, że się nieźle wygłupiłem. W dodatku ją wystraszyłem, tego jestem pewien.

Yngve położył na chlebie kawałek szynki, na to ukroił plasterk ogórka i podniósł kanapkę do ust. Nalałem kawy do kubka i wypilem kilka łyków, ciągle na stojąco.

– I co masz zamiar z tym zrobić?

Wzruszyłem ramionami.

– Nic już się nie poradzi.

– Mleko się wylało, śmietanka została. Nie, to było poniżej mojego poziomu, przepraszam. Ale latem wymyśliłem coś fajnego. Podano nam krewetki...

– Daj spokój! – przerwałem mu.

– Musisz znów się z nią zobaczyć, i to jak najszybciej. Zwyczajnie ją przeproś. Powiedz, że nie byłeś sobą, że za dużo wypiełeś, wszystko jedno co, bylebyś tylko powiedział, że żałujesz i że to nie w twoim stylu.

– No tak.

– A może zaprosiłbyś ją tutaj? Ola i Kjersti zajrzą koło drugiej. Mam zamiar zrobić gofry. To idealna okazja.

– Myślisz, że zechce tutaj przyjść tak dzień po dniu? Nie wierzę.

– Możemy po nią podjechać. Zapukasz i ją zaprosisz. Powiesz, że czekam w samochodzie. Nawet jeśli odmówi, to chyba nie stanie się nic strasznego.

– A chce ci się ruszyć?

– Pewnie. To żaden problem.

Godzinę później wsiedliśmy do jego samochodu, zjechaliśmy na Danmarksplass, tam na skrzyżowaniu skręciliśmy w prawo i ruszyliśmy w stronę miasteczka studenckiego w Fantoft. Była niedziela, ruch niewielki, na rzędach zielonych wzgórz po obu stronach doliny już pojawiły się niewielkie żółte plamy. Jesień przysła, pomyślałem, wybijając takt o udo.

– A tak w ogóle to napisałem dla ciebie tekst.

– Tak? No to świetnie.

– Owszem. Ale wydaje mi się, że nie jest za dobry. Dlatego ci go nie pokazałem. Był gotowy już ponad tydzień temu.

– Jaki ma tytuł?

– *Kołyszysz się tak cudnie.*

Yngve się roześmiał.

– Moim zdaniem zapowiada się na niezły popowy tekst.

– Może i tak. A skoro już ci powiedziałem, że istnieje, to pewnie będziesz go musiał zobaczyć.

– Jeśli okaże się niedobry, to chyba będziesz mógł napisać jakiś inny?

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Jesteś pisarzem czy nie? Mnie potrzeba jedynie kilku linijek i refrenu, żebym miał piosenkę. Dasz sobie radę.

– No dobrze, postaram się.

Wrzucił lewy kierunkowskaz i zjechaliśmy na duży plac przed kilkoma wysokimi blokami.

– To tutaj? – spytałem.

– A nie byłeś tu wcześniej?

– Nie.

– Tata mieszkał tu przez rok, wiesz o tym?

– Wiem. Zaparkuj samochód, a ja pójdę do niej.

Adres znałem na pamięć, więc zaledwie po chwili błądzenia odnalazłem właściwy blok, wjechałem windą na jej piętro, korytarzem przeszedłem do drzwi z odpowiednim numerem, kilka sekund stałem, koncentrując się, aż

w końcu zadzwoniłem.

Usłyszałem jej kroki za drzwiami. Otworzyła, a kiedy mnie ujrzała, prawie odskoczyła z przerażeniem.

– To ty?

– Chciałem jedynie przeprosić za wczoraj – zacząłem. – Zwykle tak się nie zachowuję. Bardzo mi z tego powodu przykro.

– Nie przepraszaj – powiedziała, a mnie przypomniało się, że dokładnie to samo mówiła zeszłej nocy.

– Masz ochotę pojechać do Yngvego? Będzie piekł gofry. Ola, no wiesz, ten, który był tam wczoraj, też przyjdzie, razem z Kjersti.

– No nie wiem...

– Daj spokój, będzie fajnie. Yngve czeka przed domem. A później cię odwiedzie.

– No dobrze – zgodziła się. – Tylko się przebiorę w jakiś bardziej odpowiedni strój. Zaczekaj chwilę.

Na parkingu Yngve stał oparty o samochód i palił papierosa.

– Dzięki za wczorajszy wieczór – powiedział z uśmiechem.

– To ja dziękuję.

– Usiądę z tyłu – zdecydowałem. – Ty siadaj z przodu.

Ingvild zajęła miejsce obok Yngvego, przeciągnęła pas przez pierś, zapięła go, a ja w tym czasie przyglądałem się jej dłoniom, były takie ładne.

W drodze do miasta niewiele się odzywaliśmy. Yngve spytał Ingvild o jej studia i o Kaupanger, odpowiedziała, spytała o jego studia i o Arendal, a ja siedziałem z tyłu, uradowany, że nie na mnie spoczywa odpowiedzialność za tę rozmowę.

W każdy wtorkowy wieczór przez całe dzieciństwo ja albo Yngve piekliśmy gofry. Naprawdę to umieliśmy, niemal mieliśmy to we krwi, więc dla mnie całe to popołudnie, kiedy siedzieliśmy w pokoju, pałaszowaliśmy gofry i popijaliśmy kawę, nie było takie dziwne i niestudenckie, jak dla pozostałych, przeciwnie, gofrownica była jednym z nielicznych sprzętów, które zabrałem z domu, gdy się wyprowadzałem rok wcześniej.

Tak jak w samochodzie, pozwoliłem, aby rozmowa toczyła się beze mnie.

Siedziałem przy stole z Yngvem, Olą, Kjersti i Ingvild, a po tym, co się wydarzyło poprzedniej nocy, miałem bardzo wiele do stracenia. Pozostała trójka była bardziej doświadczona niż ja, więc gdybym się odezwał, mogło się zdarzyć, że powiem coś głupiego. Mój brak doświadczenia objawiłby się w pełnej krasie na oczach Ingvild. Dlatego starałem się mówić jak najmniej, parę razy mruknąłem coś tylko na zgodę, trochę pokiwałem głową, no i się uśmiechałem. Chociaż udało mi się też zadać Ingvild kilka pytań, tylko po to, by pokazać, że o niej myślę i że ważna jest dla mnie jej obecność.

– Puścisz jakąś nową płytę? – spytał Yngve. – W tym czasie dopiekę kilka gofrów.

Wyszedł do kuchni, a ja klęknąłem przy jego kolekcji płyt. Wbiłem sobie do głowy, że to jakiś test, że rodzaj muzyki, którą wybiorę, będzie miał decydujące znaczenie, i w końcu zdecydowałem się na R.E.M., album *Document*. Przez pomyłkę zacząłem od drugiej strony. Zrozumiałem, jakie głupstwo popełniłem, dopiero kiedy z powrotem usiadłem, w dodatku tuż obok Ingvild.

This one goes out to the one I love.

Zaczerwieniłem się.

Ingvild gotowa pomyśleć, że wybrałem tę piosenkę specjalnie, żeby coś jej przekazać. Zupełnie bezpośrednio. To jest dla tej, którą kocham.

Musi mnie mieć za kompletnego idiotę, pomyślałem, patrząc w okno, aby się nie zorientowała, jaki jestem czerwony.

This one goes out to the one I've left behind.

Och, nie! Ależ mi było głupio!

Zerknąłem na nią, żeby sprawdzić, czy zareaguje.

Nie reagowała. Ale jeśli to uchwyciła i uznała, że chcę jej w ten sposób przekazać sekretną wiadomość, to czy wyraźnie pokazałaby to po sobie?

Nie.

Wypiłem łyk kawy, ostatnim kawałkiem gofra wytarłem talerz, zbierając z niego dżem malinowy z widocznymi ciemnymi pesteczkami, wetknąłem go do ust, lekko przeżułem i przełknąłem.

– Naprawdę pyszne gofry – powiedziałem do Yngvego, który akurat przyszedł.

– Dałem dużo jajek.

– Ależ wy ro-rozmawiacie – zdumiał się Ola. – Można by pomyśleć, że spotkały się dwie stare babki.

This one goes out to the one I love.

Wstałem i wyszedłem do łazienki, zimną wodą opłukałem twarz, starając się na siebie nie patrzeć, wytarłem twarz i ręce w ręcznik, który tam wisiał, lekko pachnący Yngvem.

Kiedy wróciłem, piosenka się skończyła. Posiedzieliśmy jeszcze pół godziny, Ola i Kjersti zaczęli zbierać się do wyjścia, stwierdziłem, że może nie byłoby głupio, gdybyśmy i my poszli, bo mam jeszcze sporo do zrobienia na jutro. Ingvild to podchwyciła, powiedziała, że ona też ma dużo roboty, i pięć minut później znów siedzieliśmy w samochodzie Yngvego, mknącym w kierunku Fantoft.

Ingvild wysiadła, pomachała nam, Yngve zawrócił i znów skierował się w stronę centrum.

– Chyba nieźle wypadło? – spytał.

– Tak myślisz? Sądzisz, że dobrze się czuła?

– Taak, chyba tak.

– W każdym razie gofry były smaczne.

– No tak, to prawda.

Niewiele więcej rozmawialiśmy, wkrótce Yngve zatrzymał się na chodniku przed moim domem. Wysiadłem, podziękowałem mu, trzasnąłem drzwiczkami i pokonałem trzy schodki do drzwi wejściowych, a on zniknął za rogiem.

Sądziłem, że przyjemnie będzie wrócić do domu, ale zapach świeżo umytej podłogi i upranej pościeli, który wciąż się tu unosił, przypomniał mi o planach, jakie snułem, zanim zaczął się tamten wieczór, o moich wyobrażeniach, że rano obudzę się tu razem z Ingvild. Poczulem do siebie niechęć, a do tego dołączyły jeszcze wszystkie emocje związane z akademią. Maszyna do pisania, książki, reklamówka z notatnikiem, długopisy, ba, nawet ubrania, w których tam chodziłem, wszystko to mnie przygnębiło i wypełniło poczuciem beznadziejności.

Ola mówił o paleniu książek – doskonale rozumiałem taką potrzebę. Sam miałem ochotę zebrać wszystko, czego nie lubiłem i nie chciałem, wrzucić do ogniska wszystkie brudy życia i zacząć od nowa.

Co za fantastyczny pomysł! Wywlec wszystkie ubrania, wszystkie książki i wszystkie płyty do parku, rzucić je na trawnik, do kompletu dodać łóżko, biurko, maszynę do pisania, dzienniki i wszystkie te cholerne listy, które dostałem, tak, wszystko to, z czym łączy się bodaj cień wspomnień: do ognia z tym! Ach, płomienie liżące pociemniałe nocne niebo! Wszyscy sąsiedzi tłoczący się w oknach, co się dzieje, a, to tylko nasz młody sąsiad robi porządki w życiu. Chce zacząć od nowa, i słusznie, ja też pójdę za jego przykładem.

I nagle płoną kolejne ogniska, całe Bergen staje w ogniu nocą, helikoptery z kamerami telewizyjnymi krążą nad miastem, reporterzy dramatycznymi głosami powtarzają, że Bergen stanęło w płomieniach, co tu się dzieje, czy naprawdę ludzie sami wszystko podpalają?

Usiadłem na krześle przy biurku, kanapę i łóżko uznałem za zbyt miękkie i zbyt rozleniwiające, chciałem, żeby mi było niewygodnie. Skręciłem sobie papierosa i zapaliłem, ale skręt był zbyt krzywy i nierówny, zaciągnąłem się kilkakrotnie i zgasilem, przypomniało mi się, że w kieszeni kurtki powinienem mieć paczkę papierosów, rzeczywiście, miałem, były o wiele lepsze, a potem, siedząc wpatrzony w blat, usiłowałem przeprowadzić badanie rzeczywistości, spojrzeć na sytuację tak racjonalnie i obiektywnie, jak tylko potrafiłem. Akademia Sztuki Pisania była porażką, ale po pierwsze, czy to naprawdę aż takie straszne, że nie umiem pisać wierszy? Nie. Po drugie, czy to pewne, że zawsze tak będzie? Czy należy wykluczyć, że się tego nauczę? Że się rozwinę w ciągu tego roku? No nie, oczywiście. A jeśli mam się rozwinąć, to muszę być otwarty, przede wszystkim nie bać się, że coś mi nie wyjdzie. Ingvild... Z nią się wygłupiłem, raz pokazując się jako nudziarz i milczek, drugi raz – atakując ją za szybko i zbyt natarczywie. Okazałem się zatem mało wrażliwy, nie wziąłem pod uwagę jej pragnień. Okej. Nie myślałem o niej, tylko o własnych uczuciach. Ale po pierwsze, byłem wtedy pijany, a takie rzeczy się zdarzają, i to wszystkim. Po drugie, jeśli ona coś do mnie czuje, to raczej nie mogłem popsuć wszystkiego swoim zachowaniem? Jeśli coś do mnie czuje, powinna chyba umieć postawić się w mojej sytuacji i zrozumieć, dlaczego stało się tak, jak się stało? Na szczęście mogliśmy jeszcze budować na dwóch innych spotkaniach, mianowicie na tamym pierwszym, w Førde, które poszło gładko jak po maśle, i na tamym drugim, w bufecie, kiedy przynajmniej normalnie ze sobą rozmawialiśmy. Do tego dochodziły jeszcze listy. Były zabawne, wiedziałem o tym, a już na pewno nie nudne. No i uczyłem się w Akademii Sztuki Pisania,

więc różniłem się od innych studentów, zamierzałem zostać pisarzem, powszechnie uważano to za ciekawe i emocjonujące, więc może Ingvild również tak myśli, chociaż nie wspomniała o tym wprost. I jeszcze to dzisiejsze spotkanie u Yngvego, które z pewnością w znacznym stopniu zatarło wrażenia z ostatniej nocy. W każdym razie Ingvild mogła się przekonać, jaki fajny jest Yngve, a ponieważ jesteśmy braćmi, musiało jej przyjść do głowy, że ja również jestem fajny.

Koło siódmej wybrałem się do Jona Olava.

– Fajnie było! – uśmiechnął się. – Wejdz. Musimy sobie zrobić leciutki debriefing.

Poszedłem za nim, przyniósł herbatę, usiedliśmy.

– Przykro mi, że na ciebie nakrzyczałem – oświadczyłem. – Ale nie zamierzam cię przeproszać.

– Dlaczego? – roześmiał się. – Jesteś na to zbyt dumny?

– Wkurzyło mnie to, co powiedziałaś. Dlatego nie mogę przeprosić.

– Wiem. Posunąłem się za daleko. Ale cały czas mówiłaś o sobie, jakbyś wpadł w manię.

– Po prostu się upiłem.

– Ja też.

– *No hard feelings?* – spytałem.

– *No hard feelings.* Ale naprawdę uważasz, że prawo jest nic niewarte?

– Oczywiście, że nie. Ale musiałem coś powiedzieć.

– Sam nie mam wielkiej sympatii do środowiska prawniczego – stwierdził. – Prawo uważam przede wszystkim za narzędzie. – Spojrzał na mnie. – Teraz powinieneś powiedzieć, że ty za narzędzie uważasz pisanie!

– Znowu zaczynasz?

Zaśmiał się.

Po powrocie do domu położyłem się na łóżku i gapiłem w sufit. Z Jonem Olavem mogłem wszystko wyjaśnić. To było łatwe i proste. Ale nie z Ingvild. Z nią sprawa była zupełnie inna, o wiele bardziej skomplikowana. Zadawałem sobie pytanie, co mam robić. Miałem świadomość, że to, co się stało, już się

nie odstanie. Ale co mam robić w przyszłości? Co byłoby najlepsze?

Ostatnio to ja dwukrotnie podejmowałem inicjatywę, zaprosiłem ją i wczoraj, i dzisiaj. Gdyby naprawdę była mną zainteresowana, powinna się teraz ze mną skontaktować, zajrzeć do mnie, przecież wie, gdzie mieszkam, albo napisać list. Następny ruch należał do niej. Nie mogłem wystąpić z kolejnym zaproszeniem, bo po pierwsze, wyszedłbym na natręta, a po drugie, nie miałem już pewności, czy ona naprawdę się mną interesuje. Potrzebowałem jakiegoś znaku.

Takim znakiem byłoby jej przyjście.

Postanowiłem czekać.

W poniedziałek po imprezie u Yngvego niczego się raczej nie spodziewałem, było jeszcze za wcześnie, wiedziałem, że tego dnia wieczorem Ingvild się ze mną nie skontaktuje, a mimo to czekałem z nadzieją: gdy na ulicy rozlegały się kroki, wychylałem się i wyglądałem przez okno. Kiedy ktoś zatrzymywał się przy schodach, zamierałem. Ale to oczywiście nie była ona, więc poszedłem spać, otworzył się przede mną nowy dzień, wypełniony deszczem i mgłą, i jeszcze jeden wieczór upłynął mi na czekaniu i nadziei. Pojawienie się Ingvild we wtorek byłoby bardziej realne, bo miałyby odpowiednio dużo czasu do namysłu, do zdystansowania się wobec ostatnich wydarzeń i dopuszczenia do głosu prawdziwych uczuć. Kroki na ulicy: podchodzę do okna. Ktoś zatrzymał się na schodach: zamieram. Ale ona nie przyszła, było jeszcze za wcześnie, więc może jutro?

Nie.

No a w czwartek?

Nie.

W piątek. Może zjawi się z butelką wina, którą razem wypijemy?

Nie.

W sobotę napisałem do niej list, chociaż wiedziałem, że go nie wyślę, to ona musiała wystąpić z inicjatywą, ona musiała się do mnie zbliżyć.

Wieczorem usłyszałem muzykę u Mortena, więc chociaż nie rozmawialiśmy ze sobą od tamtego spotkania na Wzgórzu, kiedy był taki zrozpaczony, uznałem, że mogę trochę u niego posiedzieć, bo przez cały dzień nie zamieniłem z nikim ani słowa i byłem bardzo spragniony towarzystwa. Zszedłem na dół i zapuka-

łem, nikt mi nie odpowiedział, ale ponieważ wiedziałem, że jest w domu, otworzyłem drzwi.

Morten klęczał na podłodze ze złożonymi rękami. Na krześle przed nim siedziała dziewczyna, odchyłona do tyłu, z jedną nogą opartą o kolano drugiej. Morten odwrócił głowę w moją stronę, w oczach miał szaleństwo, więc czym prędzej zamknąłem drzwi i wróciłem do siebie.

Przyszedł do mnie nazajutrz przed południem, powiedział, że wczoraj przypuścił ostatni desperacki atak, ale i tak nic z tego nie wyszło, bo ona go po prostu nie chce. Mimo to nie tracił otuchy, jego sztywne gesty i formalne wyrażenia, których używał, tchnęły serdecznością, a nie rozpaczą.

Pomyślałem, że mógłby być pierwowzorem postaci jednej z wielu czytanych przeze mnie w dzieciństwie książek o Stompie^[14], młodym Norwegu mieszkającym w internacie w latach pięćdziesiątych.

Zwierzyłem mu się z sytuacji z Ingvild. Radził mi, żebym do niej pojechał, usiadł z nią i powiedział jej wszystko wprost.

– Powiedz jej, jak jest! – przekonywał. – Co masz do stracenia? Jeśli cię kocha, to się oczywiście ucieszy.

– Przecież już powiedziałem.

– Owszem, ale po pijaku! Powiedz to na trzeźwo. To wymaga odwagi, mój chłopcze. Z pewnością jej tym zaimponujesz.

– Wiódł ślepy kulawego – powiedziałem. – Widziałem już ciebie w akcji.

– Ale ja nie widziałem ciebie. – Roześmiał się. – To, co działa na jedne, nie działa na inne. Może któregoś dnia wybierzemy się we dwóch do knajpy. Moglibyśmy wziąć ze sobą jeszcze Runego. Wszyscy chłopcy z tego domu razem. Co ty na to?

– Nie mam telefonu – zauważyłem. – Więc jeśli Ingvild będzie chciała się ze mną skontaktować, najprawdopodobniej tu przyjdzie. Muszę być wtedy w domu.

Morten wstał.

– No jasne. Chociaż nie sądzę, żeby świat się zawalił, nawet jeśli cię nie będzie.

– Pewnie masz rację. Ale jednak chciałbym tu wtedy być.

– Dobra, wobec tego zaczekamy, aż coś się wyjaśni. Dobranoc, mój synu.

– I ja tobie życzę dobrej nocy.

Wyszedłem zadzwonić do Yngvego, nie zastałem go, wtedy uświadomiłem sobie, że jest niedziela i na pewno pracuje w hotelu. Zatelefonowałem więc do mamy. Najpierw omówiliśmy wydarzenia w moim życiu, czyli to, co się działo w akademii, a następnie wydarzenia w jej życiu. Powiedziała, że szuka nowego mieszkania, a poza tym dużo pracuje przy przygotowywaniu kursów doszkalających w swojej szkole.

– Musimy się niedługo spotkać – stwierdziła. – Może w któryś weekend przyjechalibyście z Yngvem do Sørbovåg? Dawno nie byliście u dziadków. Moglibyśmy się tam spotkać wszyscy.

– To dobry pomysł – uznałem.

– W przyszły weekend jestem zajęta, ale może w następny?

– Zobaczę, co się da zrobić. Yngvemu też musi pasować.

– Dobrze, ale przyjmijmy wstępnie ten termin. Sprawdźmy, co z tego wyjdzie.

To był naprawdę dobry pomysł. Gospodarstwo babci i dziadka stanowiło zupełnie inny świat, przesycony wspomnieniami z dzieciństwa, w pewnym sensie nietknięty, gdyż rzadko tam bywałem, a ponadto położone było na niewielkim wzgórzu z widokiem na fiord i na górę po jego drugiej stronie, niemal nad samym morzem, z dala od wszystkiego. Cudownie byłoby spędzić tam kilka dni, w miejscu, w którym nikogo nie obchodziło, czym jestem, a czym nie jestem, ważne było jedynie to, kim jestem, tam zawsze to wystarczało.

W tym tygodniu w akademii zajmowaliśmy się prozą minimalistyczną, tak zwaną krótką prozą. Nową ważną jakością była „powieść punktowa”, forma, której norweska historia zaczęła się, jak nam mówiono, od *Anne Paala-Helgego Haugena*; zarówno ta, jak i pozostałe powieści punktowe umiejscawiały się gdzieś pomiędzy prozą, czyli linią, a poezją, czyli punktem. Czytałem ją, była fantastyczna, przesycona mrokiem, podobnie jak *Fuga śmierci* Paula Celana, ale ja tak nie umiałem pisać, nie było szans, nie wiedziałem, skąd owo przesyconie mrokiem się bierze. Chociaż analizowałem zdanie po zdaniu, nie potrafiłem tego ustalić, mrok nie wypływał z żadnego konkretnego miejsca, nie wy czarowywało go żadne konkretne słowo, po prostu był wszędzie, jak nastrój,

który ogarnia duszę. Nie wynika z żadnej konkretnej myśli, nie tkwi w określonej części mózgu, ani też w danej części ciała, na przykład w stopie czy w uchu, nastrój jest wszędzie, ale nie jest niczym sam w sobie, jest bardziej jak kolor, w którym rodzą się myśli, kolor, przez który ogląda się świat. W moich tekstach nie było takiego koloru, hipnotycznego, sugestywnego nastroju, ba, właściwie nie było żadnego nastroju, i podejrzewałem, że właśnie na tym polega problem, że to jest powodem, dla którego piszę tak źle i niedojrzale. Pozostawało pytanie, czy taki kolor bądź nastrój można z d o b y ć, czy mogę o niego zawalczyć, czy też jest to coś, co się umie albo czego się nie umie.

W domu, kiedy pisałem, wydawało mi się, że moje teksty są dobre, po czym w akademii następowała runda krytyki i za każdym razem powtarzało się to samo: kilka grzecznościowych pochwał dla pozorów, na przykład, że opowieść toczy się żywo, a potem padały opinie, że mój tekst jest pełen klisz, stereotypowy, a nawet nieciekawy. Najbardziej jednak bolało mnie, gdy słyszałem, że jest niedojrzały. Kiedy zaczął się kurs prozy, wyznaczono nam proste zadanie – mieliśmy stworzyć tekst o jednym dniu albo o początku nowego dnia; napisałem wtedy o młodym człowieku, który budzi się w wynajętym mieszkaniu, bo przyniesiono pocztę, spał po drugiej stronie ściany, na której wisiały skrzynki, i ze snu wyrwał go hałas. Po śniadaniu wyszedł, po drodze zobaczył dziewczynę i postanowił za nią iść. Kiedy czytałem ten tekst na głos, nastrój zrobił się trochę niewyraźny, jak zwykle usłyszałem mało konkretne pochwały, mówili, że to fajne, że łatwo to sobie wyobrazić, zaproponowali, żebym skreślił to i tamto... Dopiero gdy przyszła kolej na Trude, padło to, co do tej pory wisiało w powietrzu. Powiedziała: To takie niedojrzałe! Posłuchajcie tylko: „Popatrzył na jej kształtny tyłek opięty 501”. No, naprawdę! Kształtny tyłek opięty 501? Przecież ona jest jedynie przedmiotem, a on na dodatek za nią idzie. Gdyby to miało być studium niedojrzałości i uprzedmiotowienia kobiety, w ogóle bym tego nie komentowała, ale w tym tekście nic na to nie wskazuje, wręcz nieprzyjemnie się go czyta. Tak powiedziała. Usiłowałem się bronić, mówiłem, że w paru miejscach przyznaję jej rację, ale że c h o d z i właśnie o to, o czym ona mówi, o d y s t a n s. Oczywiście, mogłem włączyć do tekstu metapoziom, na przykład tak, jak robi Kundera, ale nie chciałem, starałem się zostawić to na tym samym poziomie, na którym znajduje się bohater.

– W każdym razie nie wynikało to z tego, co czytałam – stwierdziła Trude.

– No tak. Możliwe, że to nie jest dostatecznie widoczne – przyznałem.

– A moim zdaniem było zabawne – włączyła się Petra, która z jakiegoś powodu podczas tych rund krytyki często mnie broniła. Prawdopodobnie dlatego, że również pisała prozę. Kiedy temperatura dyskusji o tekstach rosła, grupa coraz częściej dzieliła się na dwie części, z jednej strony byliśmy my, zajmujący się głównie prozą, z drugiej ci, którzy pisali wiersze, a Nina pośrodku, bo ona znakomicie panowała nad obydwoma gatunkami. Sama odzywała się niewiele. Była chyba tą spośród nas, której najtrudniej przychodziło wypowiadanie się ustnie, prawie nie dawało się zrozumieć, co tak naprawdę uważa i czy w ogóle uważa cokolwiek. Sądząc po tym, co mówiła, w ogóle mogła nie mieć żadnej opinii, każda jej wypowiedź była niejasna, nieukierunkowana, równie dobrze pasowała do dyskusji o płaszczach, jak o literaturze, ale to, co Nina pisała, było przejrzyste jak kryształ, chociaż nie w kwestii wyraźnie przedstawionych opinii i poglądów, chodziło raczej o język, o budowane przez nią zdania, klarowne i piękne jak szkło. Była z nas najlepsza, Trude – druga z kolei, Knut był trzeci. Petra ze swoimi zdaniem przypominającymi żuki na dnie wiadra pozostawała w ogóle poza konkurencją, tak to oceniałem, nieukształtowana, w przeciwieństwie do tamtych trojga, ale pewnego dnia miała ich całkowicie przyćmić, jej talent był oczywisty, a przejawiał się w nieprzewidywalności: w jej tekstach mogło się zdarzyć wszystko, niczego nie dało się przewidzieć na podstawie tego, kim była, czy też tego, o czym miała pisać, co w wypadku innych często bywało możliwe, ale u Petry zawsze działo się coś dziwnego i nieoczekiwanego. Na samym dnie znajdowałem się ja razem z Kjetilem. Else Karin i Bjørg zajmowały miejsca wyższe niż my, obie już wydały powieści, były w pewnym sensie zdefiniowanymi pisarkami, a oddawane przez nie teksty również cechowały się skończonością i spójnością. Nigdy nie strzelały z nich iskry, które potrafiły strzelać z prac Niny i Petry, obie przypominały raczej dwa konie wożące drewno z lasu zimą, poruszały się ciężko, szły wolno, ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

Skoro znalazłem się na dnie, musiałem się stamtąd wygrzebać. Gdybym pogodził się z tym, że moje miejsce jest na samym dole, w straszliwej głębi niedojrzałości i beztalencia, oznaczałoby to, że przegrałem. Nie mogłem przegrać. Po jakimś dniu w akademii zdarzało się, że się poddawałem i mówiłem sobie: to prawda, żaden ze mnie pisarz, nie ma tam dla mnie miejsca. Nigdy jednak nie trwało to długo, najwyżej jeden wieczór, a potem nagle myśli wy-

konywały gwałtowny zwrot, protestowały: nie, to nieprawda, możliwe, że teraz mi nie wyszło, ale to wyłącznie tymczasowe, coś, co należy przezwyciężyć, a kiedy budziłem się rano, brałem prysznic i pakowałem rzeczy przed wyjściem na zajęcia, robiłem to z nową wiarą w siebie.

Weszło nam w zwyczaj kończyć tydzień albo w Wesselstuen, albo w piwiarni U Henrika. W dwa ostatnie piątki nie poszedłem ze wszystkimi, ale tego popołudnia uznałem, że nie mogę w każdy weekend siedzieć w domu i czekać; jeśli nawet Ingvild przyszłaby akurat tego wieczoru, to najprawdopodobniej zostawiłaby mi kartkę, że była.

W ciągu tego miesiąca w akademii zdążyliśmy lepiej poznać wykładowców, którzy nie byli już tacy sztywni i nie czuli się tak niekomfortowo, jak na początku, chociaż przypuszczałem, że ta sztywność nigdy ich do końca nie opuści, ponieważ tkwi w ich charakterze, w naturze, szczególnie w wypadku Fossego, który miał w sobie mniej otwartości, jaką okazywał Hovland, zwłaszcza swoimi celnymi ripostami i zawsze obecnym, chociaż nieco skrywanym błyskiem w oku. Fosse nie umiał tak celnie ripostować, błysku w oczach też był pozbawiony. Ale i tak się do nas zbliżył, wygłaszał opinie na różne tematy, zwykle zaczynał z powagą, ale często w końcu się śmiał, takim prychającym śmiechem, przypominającym nieco chichot; zdarzało się również, że opowiadał historyjki o swoich przeżyciach i doświadczeniach, które w efekcie składały się na obraz jego osoby, wprawdzie niepełny, bo bardzo dbał o prywatność, podobnie jak Hovland, który prawie nigdy nie mówił o swoim życiu osobistym, ale w trakcie zajęć odsłaniali się na tyle, że wystarczyło mi to do wyrobienia sobie zdania na ich temat. Fosse był nieśmiały, lecz jednocześnie wręcz ekstremalnie pewny siebie, dobrze znał swoją wartość i wiedział, co potrafi, a jego nieśmiałość przypominała raczej płaszcz, którym się owinął. Z Hovlandem, moim zdaniem, było odwrotnie, on właśnie nieśmiałość chciał osłaniać swoją bystrością i ironicznym poczuciem humoru. Wyraźnie było widać, że Hovland i Fosse zarówno się lubią, jak i szanują, chociaż twórczość jednego i drugiego różniła się od siebie jak dzień od nocy. Dwa wieczory zakończyły się wspólnym odśpiewaniem przez nich dziecięcej piosenki o koziołeczku.

Wspięliśmy się na łagodne zbocze, ciągnące się od Nøstet, otrzepaliśmy i złożyliśmy parasole, weszliśmy na piętro do Henrika, znaleźliśmy stolik, zamówiliśmy piwo, rozmawialiśmy. Minęło już kilka dni od komentarza dotyczą-

cego mojej niedojrzałości; w tym czasie wpadłem na pomysł nowej powieści – trochę zainspirowało mnie kilka opowiadań Borgesa i Cortáзара, które przeczytałem w tym tygodniu; poza tym napięcie w akademii przesłoniło mi myśli o Ingvild, więc byłem w całkiem niezłym humorze. Po mniej więcej godzinie większość wypłała już tyle, że granice swobody wypowiedzi, które każde z nas w jakimś stopniu sobie wyznaczyło, przestały obowiązywać. Jon Fosse, opowiadając o swoim dzieciństwie, zwierzył się, że w pewnym okresie mało brakowało, a zostałby ulicznikiem. Petra roześmiała się drwiąco: Nie mogłeś! Po prostu mitologizujesz swoją historię. Ulicznik! Cha, cha, cha! Ale Fosse, ze wzrokiem wbitym w stół, tym swoim ściszym głosem potwierdził, że właśnie tak było, o mało nie został ulicznikiem. Kto słyszał o ulicznikach na wsi? – spytała Petra. Nie, nie, to było w Bergen, wyjaśnił Fosse. Wszyscy przysłuchujący się tej wymianie zdań poczuli się niekomfortowo, ale na szczęście Petra nie drążyła tematu. Wieczór trwał, opróżniano kolejne szklanki i atmosfera była całkiem miła, dopóki Jon Fosse nie wstał, żeby iść do baru. Ulicznikowi zachciało się piwa, skomentowała Petra. Fosse się nie odezwał, przyniósł sobie do stolika następną szklankę, usiadł, ale Petra chwilę później podjęła jeszcze jedną próbę i znów nazwała go ulicznikiem. Wtedy wstał.

– Nie zamierzam tego dłużej wysłuchiwać – oświadczył, włożył kurtkę i zniknął na schodach.

Petra śmiała się ze wzrokiem utkwionym w stół.

– Dlaczego to zrobiłaś? Przez ciebie wyszedł – powiedziała Trude.

– Taki jest nadęty i zadufany w sobie. Ulicznik...

– Nie musiałaś mu z tego powodu dokuczać. Co ci z tego przyszło? – spytałem. – M y chcielibyśmy, żeby tu z nami był. N a m się podoba picie razem z nim.

– Od kiedy to reprezentujesz wszystkich?

– Daj spokój! Paskudnie się zachowałeś – włączył się Knut.

– Jon to przecież taki miły i życzliwy człowiek. Nie ma powodu, żeby go tak traktować – dodała Else Karin.

– Przestańcie! – warknęła Petra. – Banda hipokrytów. Wszyscy uważaliście za idiotyczne to, co powiedział o sobie jako o uliczniku.

– Ja nie – zaprotestowałem.

– Ty nie, bo pewnie też miałbyś na to ochotę. Ulicznik! Co za głupota!

– Zostawmy to już – poprosił Knut. – W poniedziałek go przeprosisz, jeśli wystarczy ci odwagi.

– Oczywiście, że nie – oświadczyła Petra. – Ale zostawić to możemy. Zgadzam się. To przecież nic poważnego.

Po wyjściu Fossego nastrój się zmienił i wkrótce wszyscy zaczęli się zbierać, a kiedy zostaliśmy z Petrą sami, poszliśmy do Opery. Spytała, czy może u mnie przenocować, odparłem, że jasne, oczywiście, znaleźliśmy wolny stolik i dalej piliśmy. Opowiedziałem jej o swoim nowym pomysle na powieść. Jej początek miał się składać z różnych dialogów, rozmów ludzi w rozmaitych okolicznościach, w kawiarniach, autobusach i parkach, a wszystkie miały dotyczyć bardzo ważnych wydarzeń w życiu rozmawiających, ktoś na przykład właśnie się dowiedział, że ma raka, czyjś syna aresztowano, być może podejrzewano o zabójstwo. No, a potem – tłumaczyłem Petrze, która słuchała, nie patrząc na mnie, jedynie od czasu do czasu zerkając z charakterystycznym przelotnym uśmiechem – no a potem stopniowo miało się ujawniać, skąd wzięły się te rozmowy. Pewien mężczyzna nagrywał je na taśmę. Ale dlaczego to robił? – spytałem Petrę. No, nie wiem, odparła, uśmiechnąłem się, ona też się uśmiechnęła. Właśnie nad tym pracuję, wyjaśniłem. Istnieje bowiem organizacja, której jest członkiem lub został przez nią zatrudniony. We wszystkich miastach odpowiedniej wielkości są ludzie zaangażowani w pracę tej organizacji, to oni nagrywają rozmowy, które potem są spisywane i trafiają do archiwum, przy czym nie zaczęło się to dopiero w tym roku, lecz trwa od niepamiętnych czasów. Istnieją zapisy rozmów ze średniowiecza i z antyku, tysiące tysięcy dialogów, wszystkie w jakiś sposób dotyczą spraw niezwykle istotnych dla ludzi, którzy w nich uczestniczyli.

– I co dalej? – spytała Petra.

– Dalej? Dalej już nic. To tyle. Myślisz, że to dobre?

– Sam pomysł wydaje mi się fajny. Ale dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego zbierają te rozmowy? Na co im to?

– Nie bardzo wiem. Chyba po prostu je dokumentują.

– Już wiem, co mi to przypomina. *Niebo nad Berlinem* Wima Wendersa. Widziałeś ten film? Tam anioły krążą między ludźmi i słuchają ich myśli.

– Ale u mnie są rozmowy. I nie ma aniołów.

– Wiem, wiem, ale czy to widziałeś?

– Dawno temu. I w ogóle o tym nie myślałem. Ani trochę.

Mówiłem prawdę, myśl o tym filmie nawet mi nie przeleciała przez głowę, ale rozumiałem, o co chodzi Petrze, rzeczywiście istniało pewne podobieństwo.

– Chcesz jeszcze piwo? – spytałem.

– Chętnie.

Stojąc w kolejce, rozejrzałem się po lokalu, żeby się zorientować, czy przypadkiem nie przyszła Ingvild, tak jak się rozglądałem od momentu wejścia do Opery, ale oczywiście jej nie było. Podniosłem dwa palce i nie bez pewnej dumy spostrzegłem ledwie widoczne drgnienie powiek barmana, które powiedziało mi, że zauważył moje zamówienie, znałem już reguły tej gry.

A gdyby oni naprawdę byli aniołami?

To by wszystko rozwiązywało! Anioły zbierały materiał do napisania odwrotności Biblii, traktującej o ludziach, których nie rozumiały. Niezrozumiałe było dla nich to, co ludzkie! Dlatego zajmowały się badaniem tych rozmów.

Postawiłem dwie półlitrowe szklanki na stoliku i usiadłem.

– Słyszałem, że nie należy mówić o tym, co zamierza się napisać.

– Dlaczego? – spytała Petra, nie za bardzo zainteresowana tą kwestią, bo patrzyła gdzieś przed siebie; rozsunęła wargi, odsłaniając zęby, jak zazwyczaj wtedy, gdy myślała o czymś innym, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Bo pomysł może spalić na panewce.

– E tam, to tylko takie gadanie. Możesz robić, co chcesz. Jeśli chcesz o tym mówić, to, do diabła, po prostu mów.

– Pewnie masz rację.

W jej towarzystwie zawsze czułem się taki czysty i niewinny, jakbym był nieskazitelnym synem z mieszczańskiego domu, klasowym prymusem, który świetnie sobie radzi z nauką, ale nie ma kompletnie żadnego doświadczenia życiowego. Petra opowiedziała mi, że w ostatnich tygodniach prawie każdy wieczór spędzała sama w barze w Wesselstuen i zawsze pojawiali się mężczyźni, którzy jej stawiali. Przez cały taki wieczór nie wydawała ani jednej korony i nigdy nie zrobiła nic ponad to, że ich wysłuchiwała, a czasami nawet tyle nie. Twierdziła, że znajduje w tym rozrywkę, bo ci mężczyźni są zabawni,

a w innych okolicznościach nigdy by ich nie poznała. Nie bardzo rozumiałem, jaką przyjemność może z tego czerpać, ale szanowałem to, żeby nie powiedzieć – podziwiałem, przecież czytałem Bukowskiego, Kerouaca i wszystkie inne książki opisujące ludzi przesiadujących i pijących w barach, a życie w takim półmroku pociągało mnie już od liceum, chociaż go nie znałem i sam nigdy nie zamierzałem w nim uczestniczyć, bo samotne przesiadywanie w barze i gadanie z obcymi ludźmi w moim wypadku w ogóle nie wchodziło w grę, znacznie bliższe mojej naturze było pieczenie gofrów w samotności mieszkania. Opowieść Petry wzbudziła we mnie poczucie, że jestem właśnie kimś takim, radosnym, wesołym i płytkim chłopakiem, który wydzwania do mamy i trochę się boi taty. Siedząc ze mną, Petra zniżała się do mojego poziomu, nie rozumiałem, z jakiego powodu, ale się z tego cieszyłem i dlatego godziłem się na jej prześmiewcze i pogardliwe uwagi na mój temat. Zresztą tak się zachowywała w stosunku do wszystkich.

Omiotłem wzrokiem małe pagórki będące czubkami głów.

Ingvild?

Nie.

Jacyś inni znajomi?

Nie.

Zerknąłem na zegarek. Wpół do dwunastej.

Aniołowie studiujący odwrotność Biblii!!

Zdołam to jakoś doprowadzić do końca?

– A ja piszę opowiadanie o salonie fryzjerskim – wypaliła nagle Petra. – W koszyku leżą tam dwa psy. Taki mam pomysł.

– Na pewno będzie cholernie fajne.

– W każdym razie nie czuję, żeby mówienie o tym było groźne. – Uśmiechnęła się, mrużąc oczy w nagłym przypływie agresji.

– Halo? – odezwał się znajomy głos za moimi plecami.

To był Yngve.

– Cześć – powiedziałem. – Miałem nadzieję, że będziesz dzisiaj na mieście.

– Robię tylko małą rundkę. Właśnie wyszedłem z pracy. Pomyślałem, że poszukam znajomych.

– Weź sobie piwo i siadaj z nami. Tak w ogóle, to jest Petra, z akademii.

A to mój brat, Yngve.

– Domyśliłam się – stwierdziła Petra.

Gdy kilka minut później Yngve przysiadł się do nas, trochę się obawiałem, że Petra go zaatakuje, bo w jej oczach musiał być arcymieszczkański, ale tak się nie stało, przeciwnie, zaczęli normalnie rozmawiać, a ja, odchylony na krzesło, popijałem piwo i rozluźniony słuchałem tylko jednym uchem. Petra wypytowała Yngvego o studia i już samo to było dziwne. Może to incydent z Fossem trochę ją otrzeźwił. Yngve zaczął mówić o książce Baudrillarda o Ameryce, Petre to zainteresowało, z czego się ucieszyłem. Kiedy poszła do toalety, Yngve przyznał, że ona mu się podoba, że to fajna dziewczyna. Potwierdziłem, ale powiedziałem, że czasami potrafi być strasznie ostra.

Stanęliśmy w kolejce do taksówek przed Wesselstuen, czekaliśmy ze dwadzieścia minut, wreszcie jednak usiedliśmy na tylnym siedzeniu czarnego mercedesa, który z cichą elegancją pomknął przez ulice lśniące od deszczu w stronę mojego mieszkania. Zapłaciłem, stwierdziłem, że ani przy głównych drzwiach, ani przy moich nie ma żadnej kartki, i przekręciłem klucz w zamku, nie przejmując się wcale tym, co Petra sobie pomyśli po wejściu, choć z pewnością przejąłbym się, gdybym przyprowadził tu jakąkolwiek inną osobę. Zrobiłem herbatę, puściłem Velvet Underground, z jakiegoś powodu kojarzący mi się z Petrą, może z uwagi na jej cyniczność i wielkowiejskość, powiedziała mi, że Yngve jest fajny, i spytała, jakie między nami panują układy, odparłem, że dobre, ale być może tu, w Bergen, jestem od niego trochę za bardzo uzależniony – w każdym razie czasami właśnie taka myśl przychodziła mi do głowy, bo własnych przyjaciół nie miałem, jedynie znajomych z akademii, i dlatego czepiałem się Yngvego. Petra podsumowała, że kiedy już raz zostało się młodszym bratem, to jest się nim na zawsze. Wypaliliśmy po papierosie, oświadczyłem, że nie mam dodatkowej kołdry, ale mogę jej odstąpić swoją, prychnęła, że wystarczy jej narzuta, bo i tak będzie spała w ubraniu, to żaden problem, często jej się to zdarza. No dobrze, a prześcieradło? – spytałem. Znów prychnęła, więc powiedziałem, że będzie, jak sobie chce, i wstałem.

Czy miałem się rozebrać na jej oczach? A może też powinienem położyć się w ubraniu?

Nie, do diabła, pomyślałem, przecież tu mieszkam, i zacząłem się rozbierać. Petra się odwróciła i czymś zajęła, dopóki nie położyłem się do łóżka i nie

oparłem na łokciu. Wtedy na mnie spojrzała.

– Co tam masz? – spytała. – Fuj, obrzydliwość! Masz trzy sutki?

O czym ona, na miłość boską, mówiła?

Spojrzałem na swoją klatkę piersiową.

Rzeczywiście. Przy jednej brodawce sutkowej wyrosła dodatkowa, tej samej wielkości co pierwotna.

Przerażony, ująłem ją w dwa palce.

Czy to mógł być rak?

– Fuj! – powtórzyła. – Gdybym wiedziała, że jesteś odmieńcem, w życiu bym u ciebie nie nocowała.

– Uspokój się! To tylko pryszcz. Zajął jakieś naczynko, czy jak to się tam nazywa. Zobacz! – Zacisnąłem palce na nowej brodawce i na pierś wypłynęła mi żółta maź.

– Fuj, co ty wyprawiasz?

Wstałem, wyjąłem z szafy ręcznik, wytarłem się. Spojrzałem na sutek, który wyglądał teraz zupełnie zwyczajnie, i wróciłem do łóżka.

– Zgasisz światło? – spytałem.

Kiwnęła głową, podeszła do wyłącznika, nacisnęła go, usiadła na kanapie, podciągnęła nogi i okryła się białą narzutą.

– Dobranoc – powiedziałem.

– Dobranoc.

Obudził mnie odgłos kroków. Usiadłem.

– Wychodzisz? – spytałem.

– Taki miałam zamiar, już dziewiąta. Szkoda, że cię obudziłam.

– Nic się nie stało. Nie zjesz śniadania?

Pokręciła głową.

– W nocy urządziłeś niezłe przedstawienie, pamiętasz?

– Nie, co się stało?

– Zerwałeś się, zrzuciłeś kołdrę na podłogę i zacząłeś po niej deptać, mocno, kilka razy. Spytałam, co wyprawiasz, a ty zawołałeś, że w kołdrze jest wydra! O mało nie umarłam ze śmiechu, ależ to był widok!

– Naprawdę? Nic nie pamiętam.

– Naprawdę. Ale dzięki za udostępnienie kanapy. Do zobaczenia.

Usłyszałem, jak idzie przez korytarz, drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły, kroki okrążyły węgiel domu i ucichły. Jakby z mgły wyłonił się obraz zwierzęcia znajdującego się między kołdrą a poszwą, przypomniałem to sobie teraz i z obrzydzeniem odrzuciłem kołdrę. W ogóle nie pamiętałem, żebym po niej deptał. To było wręcz trochę straszne. Przecież nie wiedziałem, czy podobne sceny nie rozgrywają się co noc.

Dwa wieczory później rozległ się dzwonek do drzwi. Aż podskoczyłem, pewien, że to Ingvild, bo kto inny mógł do mnie przyjść?

Jon Olav.

Spytał, gdzie się podziewałem, a może całymi dniami i nocami piszę?

Rzeczywiście, prawie się nie pomylił.

Zaproponował wspólny wypad na piwo. Niedziela to dobra pora na takie wyjście, wszędzie cisza i spokój.

Odparłem, że raczej nie, bo mam dużo roboty.

– Aha, no tak. – Wstał i włożył kurtkę. – W każdym razie dzięki, że chociaż chwilę ze mną pogadałeś.

– Dzięki, że przyszedłeś. A ty wyjdiesz na miasto?

– Zobaczę. A tak w ogóle, to wczoraj spotkałem Ingvild.

– Naprawdę? Gdzie?

– Była impreza na Møhlenpris. Mnóstwo ludzi.

– Co mówiła?

– Nic specjalnego. Właściwie mało z nią rozmawiałem.

– A byli jacyś inni znajomi?

– Całkiem sporo. Ci, których poznałem na imprezie u Yngvego. Asbjørn i Ola, chyba tak miał na imię. Bardzo fajny chłopak.

– To prawda, Ola rzeczywiście jest fajny. A kto urządzał tę imprezę?

– Nie wiem. Poszedłem ze znajomymi znajomych. Naprawdę wielka impreza. Bawiła się połowa Wzgórza.

– Ja siedziałem w domu.

- Już mówiłeś. Możesz to sobie teraz odbić.
- Mam ochotę, ale nie mogę.
- Okej. Szanuję tych, którzy pracują!

Wyszedł, a ja zasiadłem do pisania. Miałem już gotowe trzy rozmowy i przed snem chciałem jeszcze napisać czwartą, tym razem toczącą się w kawiarni między dwoma przestępcami, którzy zaczynają się denerwować na widok mikrofonu umieszczonego przez kolekcjonera na stoliku, tracą chęć do dalszej rozmowy i wkrótce wychodzą.

Położyłem się wcześniej i jak zwykle od razu zasnąłem. Obudziłem się około siódmej rano, nagle, wyrwany z jakiegoś snu, co się normalnie nie zdarzało.

Śniła mi się impreza, na której byli Yngve i Ingvild. Wszedłem, zatrzymałem się w drzwiach pokoju i zobaczyłem ich stojących w głębi, przy oknie, Ingvild spojrzała na mnie, a potem odchyliła głowę i Yngve ją pocałował.

Położyłem się z powrotem.

Ingvild chodziła z Yngvem.

To dlatego do mnie nie przyszła.

Rozmyślałem o tym całe przedpołudnie. Wierzyłem w sny, wierzyłem, że mówią coś o życiu i że właściwie zawsze są prorocze. W takim razie widok, który ujrzałem we śnie, był jednoznaczny. Stali razem, Ingvild na mnie spojrzała, a potem się pocałowali.

To chyba nie mogło być prawdą?

Dobry Boże, powiedz, że to nieprawda!

Wiedziałem jednak, że tak jest, i świadomość tego dręczyła mnie już do wieczora. Bolało mnie całe ciało, ścisnęło mnie w żołądku, chwilami miałem trudności z oddychaniem, tak mocno waliło mi serce.

Boże, powiedz, że to nieprawda!

Nagle wszystko się odwróciło, uświadomiłem sobie, że to był tylko sen. Taki już ze mnie kompletny idiota? Kto wierzy w sny?

To był tylko sen!

Włożyłem adidas i stary dres, który kiedyś dostałem od Yngvego. Uznałem to za dobry znak, bo on przecież nigdy nie chciał dla mnie źle, i wyszedłem pobiegać. Nie robiłem tego, odkąd opuściłem północną Norwegię, i już po kil-

kuset metrach zacząłem ciężko dyszeć. Musiałem jednak zniszczyć to idiotyczne wyobrażenie, złamać je, a metodą na to miały być zmęczenie, bieganie aż do kompletnego wyczerpania paliwa, następnie gorący prysznic i jakaś neutralna powieść na jakikolwiek temat oprócz miłości. A potem pójście spać, zmęczony jak dziecko po długim dniu, z nadzieją na obudzenie się nazajutrz bez zazdrości i nieuzasadnionych podejrzeń.

Nie poszło mi całkiem zgodnie z planem. Tamten obraz utrzymał się we mnie cały tydzień, ale już mnie nie szarpał z taką samą siłą, bo moje myśli zaprzętały zajęcia w akademii, a kiedy zadzwoniłem do Yngvego, aby ustalić szczegóły wyjazdu do Sørbøvåg, niczego niezwykłego w jego głosie nie wychwyciłem.

To był tylko sen.

W piątek mieliśmy wolne, więc zamierzałem popłynąć promem w czwartek po południu, natomiast Yngve mógł się wyrwać dopiero następnego dnia. Mama jednak też wzięła wolne w piątek, miała mnie odebrać z przystani w Rysjedalsvika.

Lał deszcz, kiedy wyskoczyłem z autobusu tuż przy Targu Rybnym i ruszyłem do terminalu promowego na Strandkaien; prom z zapuszczonym silnikiem już czekał na pasażerów. Poziom wody w zatoce Vågen był wysoki, jej niebieskoszara powierzchnia wolno się kołysała, jakby ta woda miała zupełnie inną gęstość aniżeli rozzłoszczone krople deszczu, które ją siekły. Kupiłem w okienku bilet powrotny, przeszedłem przez teren portu i po trapie dostałem się na pokład. Znalazłem miejsce na samym przodzie, abym do zapadnięcia ciemności mógł obserwować krajobraz przez duże ukośne szyby.

Jednym z zaczarowanych słów mojego dzieciństwa było słowo „wodolot”, tak samo jak „katamaran” i „poduszkowiec”. Nie miałem pewności, ale przypuszczałem, że ten prom z dzielonym kadłubem to właśnie wodolot. Ciągle lubiłem to słowo.

Przez boczne szyby przyglądałem się ludziom z walizkami i torbami, idącym w deszczu z pochylonymi głowami. Chwilę później siadali wokół mnie, a wszyscy wykonywali przy tym ten sam zestaw ruchów. Należało precyzyjnie przycisnąć się między innymi siedzeniami, ubrania przeciwdeszczowe i parasole umieścić

na półce nad głową, a torby ułożyć na podłodze pod siedzeniem, aby wreszcie z głębokim westchnieniem usiąść na swoim miejscu. Kiedy na samym końcu pomieszczenia dla pasażerów otwarto kiosk, wówczas należało się tam udać, kupić gazety i kawę, kielbaski i batony. Wyglądało na to, że większość pasażerów pochodzi z wiosek regionu Sogn og Fjordane, było coś w ich ubiorach, co rzadko widuje się w mieście, ale odróżniali się również sposobem zachowania, jakby w ogóle nie przychodziło im do głowy, że ktoś może się im przyglądać, i chyba także fizjonomią, to znaczy budową ciała i rysami twarzy. W ciągu tych kilku tygodni, kiedy mieszkałem w Bergen, zacząłem rozpoznawać określony typ bergeńskich twarzy, które łączyło jakieś podobieństwo, mogli to być młodzi chłopcy, starsze kobiety czy mężczyźni w średnim wieku, u wszystkich wychwytywałem pewne cechy wspólne, których nie widziałem nigdzie indziej. Między tymi twarzami mogłem mijać setki, ba, pewnie nawet tysiące twarzy niepodobnych do siebie, które znikwały, rozwiewały się już w momencie, gdy mnie minęły, ale twarze typowo bergeńskie zawsze wracały, o, to znów ten typ! Bergen było miastem od wczesnego średniowiecza i z przyjemnością myślałem o tym, że z tamtych czasów zachowały się nie tylko zamek królewski Håkonshallen i kościół Mariacki, oprócz, rzecz jasna, krajobrazu, a z piętnastego stulecia ostały się nie tylko krzywe kupieckie domki na Bryggen, lecz żyły tu ciągle również rozmaite rysy twarzy, ujawniające się w kolejnych pokoleniach i wciąż krążące po mieście. Poniekąd to samo dostrzegałem u ludzi otaczających mnie na promie, tyle że cechy te wiązałem z zagrodami i wioskami w krajobrazie znad fiordów położonych nieco dalej na północ. Mama mówiła, że dawniej, za życia jej dziadków, mieszkańcom poszczególnych zagród przypisywano określone cechy. Mówiono, że ta rodzina jest taka, a tamta owaka, a opinie te przekazywano z pokolenia na pokolenie. Ów sposób myślenia należał do zupełnie innej epoki i w zasadzie był nie do pojęcia dla mnie, nie pochodzącego z żadnego z tych miejsc, w których się wychowywałem, podobnie jak moi współmieszkańcy. Wszędzie wszyscy byli pierwszym pokoleniem, wszystko działało się pierwszy raz, nic – ani ciała, ani twarze, ani obyczaje, ani język – nie wywodziło się z danego miejsca, nie było z nim związane dłuższy czas i dlatego nie mogło być odczytywane w taki sposób.

Pomyślałem, że właściwie istnieją tylko dwie formy egzystencji, ta powiązana z jakimś miejscem i ta z nim niepowiązana. Obie istniały zawsze. Żadnej nie można było sobie wybrać.

Wstałem i poszedłem do kiosku, kupiłem sobie kawę i batonik Dajm; w momencie gdy rozłożyłem stolik i wstawiłem kubek z kawą w niewielkie okrągłe zagłębienie, wrzucono cumy na pokład i podniesiono trap, a silnik przeszedł na wyższe obroty. Kadłub zadrżał i zaraz zatrzęsł się mocno. Prom powoli ruszył do przodu, następnie odbił w lewo i wkrótce jego dziób skierował się ku wyspom otaczającym miasto. Przymknąłem oczy, napawając się szarpnięciami kadłuba, warkotem motoru, to wznoszącym się, to opadającym, i zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, zobaczyłem zarys ogromnego lasu, ciągnącego się w głąb lądu, a za nim w oddali łańcuch gór.

Było już niedaleko.

Wstałem, poszedłem na rufę, schodami wydostałem się na pokład. Był pusty, a gdy zbliżyłem się do relingu, gdzie przestała mnie osłaniać nadbudówka, wiatr okazał się tak silny, że omal mnie nie przewrócił. Przytrzymałem się mocno, w duchu śmiejąc się z radości, bo nie dość, że wiatr niósł krople deszczu siekące w twarz, to również się ściemniło i potężny kilwater, który prom zostawiał za sobą, jaśniał bielą.

Wszedłem do środka, dopiero gdy ukazały się światła przystani, wciąż jeszcze dalekie, widoczne jedynie w postaci niedużych kropek, błyszczących w głębi ciemności, które jednak z uwagi na dużą prędkość promu już wkrótce miały się pojawić tuż za burtą i oświetlić poczekalnię wraz z kasą biletową, dwa oczekujące autobusy, kilka samochodów i grupę ludzi, którzy albo mieli wsiąść, albo też na kogoś czekali.

Wśród tych oczekujących, z rękami przyciśniętymi do ciała i głowami pochylonymi dla ochrony przed deszczem i wiatrem, była mama. Pomachała do mnie, podszedłem, uściskałem ją, a w chwili gdy ruszyliśmy do samochodu, prom już z warkotem odpływał.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała.

– A ja ciebie – odparłem i wsiadłem do auta. – Co słychać?

– Wszystko w porządku. Dużo pracy, ale ciekawej, więc nie narzekam.

Przejechaliśmy przez las i wypadliśmy na zatokę po drugiej stronie, gdzie znajdowała się stocznia, w której pracował Kjartan. W jakiejś hali czy doku widać było olbrzymi kadłub. Praca Kjartana polegała na czołganiu się wąskimi korytarzami lub szybami i montowaniu rur, a opowiadał o niej zawsze

z pewną dumą w głosie, chociaż przyznawał, że prawdopodobnie zalicza się do średnich, żeby nie powiedzieć – złych monterów rur na statku, bo było to zajęcie bardzo mu dalekie i obce od samego początku, kiedy w latach siedemdziesiątych postanowił dołączyć do proletariatusy. Pełnił również funkcję męża zaufania do spraw BHP w stoczni i z tego, co zrozumiałem, zajmowało mu to dużo czasu.

Stromy podjazd pod górę porośniętą lasem, zjazd po jej drugiej stronie do Hyllestad, gminnej wioski położonej na końcu Åfjorden, i dalej drogą nad wodą do Salbu, gdzie na niewielkim wzniesieniu stały domy dziadków i Kjar-tana.

Deszcz wypełnił snopy światła, kiedy mama zatrzymała się na podwórzu; gdy zgasła reflektory, na moment jakby przestało padać, ale kiedy ucichł war-kot silnika, wyraźne stało się bębnienie kropli o dach i maskę samochodu.

Wysiadłem, wziąłem swoją torbę, przeszedłem po mokrym żwirze i otwo-rzyłem drzwi.

Ach, ten zapach.

Powiesiłem kurtkę na haczyku, na którym już wisiał kombinezon dziadka, odsunąłem się parę kroków w bok, żeby ustąpić miejsca mamie, ponieważ chciała powiesić płaszcz, postawiłem torbę u stóp schodów i wszedłem do pokoju.

Babcia siedziała w fotelu przy oknie w głębi pokoju, a dziadek na kanapie pod oknem przy dłuższej ścianie, oboje wpatrzeni w telewizor, którego dźwięk ustawiony był chyba na cały regulator.

– Kogo tu mamy! – powitał mnie dziadek.

– Cześć – powiedziałem.

– Widzę, że naród norweski rośnie!

– Ja już chyba przestałem rosnąć – stwierdziłem i zwróciłem się do babci. Chciałem w jakiś sposób się z nią przywitać, ale nie mogłem jej uściskać, gdy siedziała, jeszcze nigdy tego nie robiłem i teraz też nie zamierzałem. Babcia miała stopy oparte na stołeczku, jedną rękę trzymała na wysokości piersi, jak-by na temblaku, dłoń trzęsła się nieustannie. Głowa również jej drżała. Nie mogłem jej także powitać pytaniem: „Czy wszystko u ciebie w porządku, bab-ciu?”.

Zrobiłem kilka kroków w jej stronę, lekko się uśmiechnąłem.

Spojrzała na mnie i poruszyła wargami.

Podszedłem do niej, nachyliłem się nad jej głową.

Prawie całkiem straciła głos, z jej ust wydobywał się jedynie świszczący szept.

Co powiedziała?

Cześć.

Oczy jej się uśmiechały.

– Przypłynąłem promem – oznajmiłem. – Powiem ci, że strasznie leje.

Tak.

Wyprostowałem się i spojrzałem na drzwi, w których akurat ukazała się mama. Spytała:

– Może przygotujemy jakąś kolację?

Nazajutrz spałem do dwunastej i zszedłem na dół akurat w porze obiadu, który zawsze jadano tutaj o tej godzinie. Mama przygotowała *raspeballer*, okrągłe kluski z tartych ziemniaków, zjedliśmy je w kuchni; za szybą wisiała gęsta mgła, a liście na wielkiej brzozie rosnącej tuż za oknem pożółkły i lśniły od wilgoci.

Po obiedzie dziadkowie i mama odpoczywali, a ja obszedłem dwuhektarowe gospodarstwo. Po drugiej stronie całkiem czarnego jeziora, zarośniętego wzdłuż brzegu liliami wodnymi, wyciągało się ku niebu milczące, mroczne, porośnięte świerkami zbocze. Podszedłem do stodoły, jeszcze bardziej zapadniętej i bliższej ruiny, niż ją zapamiętałem, otworzyłem drzwi do tej części, w której mieściła się obora, trzy krowy poruszyły się w swoich boksach, ta na samym końcu odwróciła łeb i popatrzyła na mnie łagodnymi ślepiami. Wyminałem je i przez niskie drzwi przeszedłem do stodoły, w połowie wypełniała ją siano. Wspiąłem się na belkę i podciągnąłem do góry, zajrzałem do pomieszczenia będącego niegdyś kurnikiem – na podłodze wciąż leżały pióra, choć na pewno minęło z dziesięć lat, odkąd jakaś kura siedziała tu na grzędzie.

Kiedyś przyprowadzę tu Ingvild.

Na myśl o tym, że usiądzie na kanapie i będzie rozmawiać z dziadkiem, z mamą, zobaczy cały ten świat, który dla mnie miał w sobie tyle magii, poczułem się szczęśliwy. Jednocześnie w tej myśli kryło się coś na kształt bluźnier-

stwa, wiążącego się z przekraczaniem zakazanych granic, bo tym właśnie wydawało mi się łączenie dwóch tak różnych światów: wyobrażając sobie Ingvild na kanapie, miałem jednocześnie świadomość, że ona nie należy do tego miejsca.

Wyszedłem ze stodoły i zapaliłem papierosa, osłaniając go dłonią przed mżawką, która zaczęła przechodzić w deszcz. Przed domem ukazała się mama, otworzyła drzwiczki samochodu i wsiadła, podjechała w moją stronę, aby zawrócić. Zbliżyłem się do niej, spytałem, dokąd się wybiera.

- Zajrzę do sklepu. Chcesz jechać ze mną?
- Nie. Chyba trochę popiszę.
- Dobrze. Chciałbyś coś?
- Chętnie gazety.

Kiwnęła głową, zawróciła i odjechała. Chwilę później zobaczyłem jej samochód przejeżdżający drogą w dole.

Wyrzuciłem niedopałek tam, gdzie zwykle palono papiery, i wróciłem do domu. Oboje dziadkowie już wstali. Byli w kuchni. Jak najciszej zamknąłem drzwi wejściowe, bo chciałem przejść do swojego pokoju i próbować coś napisać, gdy nagle w otwartych drzwiach kuchni ujrzałem widok, który kazał mi się zatrzymać. Babcia uniosła drżącą rękę i zamierzyła się nią na dziadka, on się odsunął, robiąc kilka niepewnych starych kroków w bok. Babcia, siedząca w fotelu na kółkach, przesunęła się na nim, poruszając stopami, i znów wymierzyła dziadkowi cios. Usunął się. Wszystko to odbywało się straszliwie powoli i w dodatku w zupełnej ciszy. Dziadek wyszedł drugimi drzwiami do pokoju, a babcia drobnymi ruchami stóp przysunęła się z fotelem do stołu.

W swoim pokoju położyłem się na łóżku. Serce waliło mi z przejęcia po tym, co widziałem. To było niemal jak taniec. Okrutny taniec starych.

Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad związkiem babci i dziadka. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że oni w ogóle żyją w jakimś związku. Ale przecież byli małżeństwem od blisko pięćdziesięciu lat, mieszkali razem w tej maleńkiej zagrodzie, wychowali czworo dzieci, ciężko harowali, żeby jakoś związać koniec z końcem. Kiedyś byli młodzi jak ja teraz i tak jak ja mieli życie przed sobą. O tym też nigdy wcześniej nie myślałem, a już na pewno nie zastanawiałem się nad tym poważnie.

Dlaczego babcia chciała go uderzyć?

Była pod wpływem mocnych leków, stąd brały się jej halucynacje, paranoja, pewnie z tego powodu.

Wiedziałem o tym, ale w niczym mi to nie pomagało. Tamta scena z udziałem ich dwojga była silniejsza.

Przez podłogę przeniknęły odgłosy radia, prognoza pogody i wiadomości. Wiedziałem, że dziadek siedzi tuż przy odbiorniku, z jedną ręką pod uchem, zapatrzony przed siebie, chyba że tym razem w skupieniu zamknął oczy.

Trzęsąca się babcia w kuchni.

Ciśnienie wywołane tym, co zobaczyłem, było tak wielkie, że wstałem i zszedłem na dół, aby je wyrównać, licząc, że moja obecność być może przywróci swego rodzaju normalność. Myślałem o tym, gdy stopnie schodów trzeszczały pod moimi stopami, a widok szarego telefonu na stoliku pod lustrem w sieni przypominał mi stary telefon dziadków, ten, który wisiał na ścianie i miał dwie trąbki, jedną przykładano się do ucha, do drugiej się mówiło, a wszystko było z czarnego bakelitu.

Ale czy to możliwe? Czy kiedy byłem mały, naprawdę mógł tu być taki stary, wręcz dziewiętnastowieczny aparat? A może kiedyś zobaczyłem taki sam na filmie, myślami przeniósłem go tutaj i już pozostał?

Otworzyłem drzwi do pokoju. Dziadek akurat wstawał, jak zwykle skupiając na tej czynności całą uwagę, i wyprostował się, patrząc na mnie.

– Dobrze, że przyjechałeś – stwierdził. – Chciałem postawić nowy płot poniżej stodoły, a skoro już tu jesteś, może mi pomożesz?

– Chętnie. Teraz, od razu?

– Tak.

Ubraliśmy się w milczeniu i zeszliśmy do piwnicy, gdzie leżały już słupki ogrodzeniowe, pozieleniałe od środka impregnującego, i biała siatka. Zaniośłem to wszystko na sam koniec działki, na szczyt niedużego pagórka, gdzie zaczynała się ziemia sąsiadów, i wróciłem po młot, który dziadek wskazał mi chwilę wcześniej.

Tego rodzaju praca fizyczna nie była, łagodnie mówiąc, moją mocną stroną, więc trochę się denerwowałem, wracając z młotem w ręce. Martwiłem się, czy dam radę i czy dziadek będzie zadowolony z tego, co zrobię.

Dziadek wyjął z kieszeni kombinezonu obcęgi i odciął starą siatkę, po czym zaczął przechylać stary słupek raz w jedną, raz w drugą stronę, aby go obluzo-

wać na tyle, żeby dał się wyciągnąć z ziemi. Zrobiłem to samo po drugiej stronie, według jego wskazówek. Kiedy skończyliśmy, dziadek ustawił nowy słupek i kazał mi go wbijać w ziemię młotem. Moje pierwsze uderzenia były ostrożne i nieśmiałe, ale nic nie mówił, a ja po chwili odważyłem się uderzać mocniej i pewniej.

Czarną czapkę z daszkiem, którą zawsze nosił, pokrywały kropelki wody. Niebieski materiał kombinezonu pociemniał od deszczu. Dziadek rozejrzał się i zaczął opowiadać o wypadku lotniczym, do którego doszło na Lihesten w latach pięćdziesiątych. Słyszałem tę historię wiele razy, a jemu przypuszczalnie przypomniały o niej teraz mgła i mżawka. Lubiłem jego opowieści, więc kiedy skończył i nie odzywał się przez kilka minut, tylko stał z pochyloną głową przy słupku, który sam się już trzymał, spytałem go o wojnę. O to, jak tu się żyło w tym czasie, czy istniał jakiś ruch oporu, czy stacjonowali tu Niemcy. Dopiero kiedy przesunęliśmy się w miejsce, w którym miał stanąć następny słupek, dziadek zaczął opowiadać o kwietniowych dniach w 1940 roku. Gdy nadeszła wiadomość o niemieckiej inwazji i ogłoszono mobilizację, razem z kolegą wyruszyli do Voss. Szli piechotą, potem pożyczoną łodzią przeprawili się na drugą stronę Sognefjorden, przeszli przez góry, był kwiecień, zmrożony śnieg i księżycowe noce, tak opowiadał dziadek. Dotarli do bazy wojskowej w Voss, w której mieli się stawić wszyscy z regionu Vestlandet. Dziadek ze śmiechem kręcił głową. Kiedy dobrnęli na miejsce, okazało się, że wszyscy tam są pijani i prawie w ogóle nie ma broni. Brakowało też mundurów. Oficerowie pili w hotelu u Fleischera. Kiedy skończył się alkohol, zarekwirowali bar na statku pasażerskim Stella Polaris. Cumował w porcie w Bergen i trunki przywieziono im do Voss pociągiem.

– I co wtedy zrobiliście? – spytałem.

– Najpierw staraliśmy się zdobyć broń i mundury. Chodziliśmy po Voss i pytaliśmy każdego napotkanego wojskowego, czy może nam pomóc. Nikt nie mógł. Mój kolega powiedział do strażnika: Wiesz, że jesteśmy żołnierzami, chociaż nie mamy mundurów. Nie możesz do kogoś zadzwonić? Nie mogę, odparł strażnik i pokazał nam kabel telefoniczny. Był przecięty. Wróciliśmy więc do domu. Kiedy znów przepływaliśmy przez Sognefjorden, zabraliśmy ze sobą łodzie na północną stronę, żeby Niemcom było trudniej, gdyby przyszli za nami. Ale gdy dotarliśmy do siebie, okazało się, że kraj jest już pod okupacją.

Opowieść zajęła dziadkowi dużo czasu, żaden szczegół nie był zbyt mało

ważny, żeby o nim nie wspomnieć, łącznie ze szczekaniem psów, które się rozlegało, gdy nocą zbliżał się do domostw; kiedy skończył opowiadać, do wbicia został już tylko jeden słupek. Zrobiłem to, dziadek przyniósł siatkę i zaczęliśmy mocować ją do słupków, odbywało się to w ten sposób, że dziadek ją trzymał, a ja przybijałem niedużymi skoblami, gwoździami w kształcie litery U.

– Tak, stacjonowali tu Niemcy – podjął. – Jednego z nich dobrze poznałem. Pochodził z Austrii i w dzieciństwie bywał w Norwegii, bo w latach trzydziestych przysyłali tu na lato biedne dzieci i on był wśród nich. Fajny facet. Robił dużo interesujących rzeczy.

Dziadek opowiedział, że w pobliżu znajdował się obóz jeniecki, mieszkali w nim głównie Jugosłowianie i Rosjanie, którzy pracowali przy budowie drogi. Dziadek miał ciężarówkę, którą Niemcy zarekwirowali, więc często jeździł nią do obozu w Fure. Mówił, że zawsze zabierał żywność dla jeńców, babcia szykowała paczki z jedzeniem, a on ukrywał je pod kamieniami na terenie obozu. Wydawało mu się, że strażnicy o tym wiedzieli, ale patrzyli na to przez palce. Raz widział, jak zastrzelono jeńca.

– Stanął przed niemieckimi żołnierzami i krzyczał: *Schiesst! Schiesst!* Strzelajcie! Strzelajcie! Wtedy któryś go zastrzelił. Ale oficerowie wpadli we wściekłość. W obozie musiała panować dyscyplina. A tego, który strzelił bez rozkazu, wysłali na front wschodni. Dla niemieckich żołnierzy służba w Norwegii była szczytem marzeń w porównaniu z innymi miejscami, do których mogli trafić. Pod koniec wojny Niemcy przysyłali tu głównie starców i młodziutkich chłopczków. Pamiętam, jak raz przyjechał nowy transport; jeden z oficerów spytał wtedy: *Was wollen Sie hier, alte Leute?*

Roześmiał się. Wbiłem kilka gwoździ i rozwinąłem siatkę do następnego słupka. Dziadek dalej opowiadał. Ten Austriak, z którym, jak wynikało z jego słów, niemal się zaprzyjaźnił, na kilka dni przed kapitulacją Niemiec postanowił uciec, wsiadł do łodzi razem z kobietą z wioski i jej dwoma synami i zniknął. Później tych chłopczków znaleziono, leżeli w wodzie po drugiej stronie fiordu, prawdopodobnie zabici kamieniem.

Spojrzałem na niego. Co on, na miłość boską, mówi?

– Nie tak dawno wyszła o tym książka. Mam ją na górze. Bardzo ciekawa. Kto mógł przypuszczać, że ten człowiek jest w stanie zrobić coś tak strasznego? Ale musiał ich zabić, innego wytłumaczenia nie ma. A potem gdzieś prze-

padł. Bez śladu. Niewykluczone, że jeszcze żyje.

Wyprostowałem się, pomogłem dziadkowi rozwinąć siatkę do następnego słupka, tam ją napiąłem z całych sił, przymocowałem na górze i na dole, żeby się choć trochę trzymała, po czym zacząłem przybijać ją staranniej.

– Jaki on był? – spytałem, spoglądając na dziadka, który wpatrywał się w mgłę nad fiordem.

– Był miłym człowiekiem – odparł. – Uprzejmym, kulturalnym i życzliwym. Nie mogę powiedzieć o nim złego słowa. Ale musiał mieć w sobie coś jeszcze.

– No właśnie. Myślisz, że udało mu się uciec czy że zginął?

– Trudno powiedzieć. Raczej zginął podczas ucieczki.

To był już ostatni słupek, dziadek odciął siatkę, a ja wziąłem resztę zwoju i młot, by je zanieść do piwnicy; dziadek szedł obok mnie. Kiedy wróciliśmy do domu, obaj czerwoni na twarzach i mokrzy od deszczu, mama w kuchni smażyła *sveler*. Babcia siedziała w fotelu, na mój widok coś powiedziała. Podszedłem do niej i nachyliłem się bliżej.

Wydało mi się, że mówi coś o zegarku. On zabrał mi zegarek.

– Kto? – spytałem.

– On. – Spojrzała na dziadka, który właśnie siadał na kanapie.

– Zabrał zegarek? – szepnąłem jak najciszej, żeby mnie nie usłyszał.

– Tak – odszepnęła.

– Nie wierzę. Dlaczego miałby go zabierać?

Wyprostowałem się, brzuch mnie rozboleł. Poszedłem do mamy i przymknąłem drzwi, żeby dziadkowie mnie nie słyszeli.

Mama trzymała chochlę nad dużą okrągłą płytą do smażenia i ostrożnie wylewała ciasto – zaskwierczało i zaraz zaczęło się ścinać.

– Babcia mówi, że dziadek zabrał jej zegarek – powiedziałem. – Jeśli do brze rozumiem, twierdzi, że go ukradł.

– Tak, też to od niej słyszałam. To przez te leki. Zdarza się, że popada w paranoję i wyobraża sobie różne rzeczy. Akurat teraz jest w niedobrym stanie. Ale wyjdzie z tego, na pewno.

– Aha.

Z jakiegoś powodu byłem bliski płaczu, więc wyszedłem na korytarz, wło-

żyłem buty i stanąłem pod daszkiem znajdującym się nad drzwiami wejściowymi, żeby zapalić papierosa.

Na drodze koło szkoły zatrzymał się autobus. Kilka minut później ścieżką pod górę nadszedł Kjartan, ciemnooki, o bladej skórze, w jednej ręce niósł torbę, w drugiej kilka listów i gazetę. To była „Klassekampen”, prenumerował ten lewicowy dziennik, odkąd pamiętałem.

– Dzień dobry – przywitał mnie.

– Cześć, Kjartan.

– Przyjechałeś wczoraj?

– Tak.

– Pogadamy później – stwierdził.

– Dobrze. Mama smaży *sveler*. Na pewno będą gotowe za mniej więcej kwadrans.

Ruszył w stronę drzwi do swojego domu, ale zatrzymał się i rzucił okiem na podwórze.

– Tam jest ta jednonoga wrona – powiedział.

Zrobiłem kilka kroków w jego stronę i spojrzałem we wskazanym kierunku, na słup doprowadzający prąd do stodoły. Rzeczywiście, na jego szczycie stała wrona z jedną nogą.

– To Johannes odstrzelił jej tę nogę. Od tamtej pory ptak kręci się w pobliżu.

Zaśmiał się krótko i wszedł do domu. Zgasilem papierosa na mokrym zwierze, a niedopałek zabrałem ze sobą, żeby wyrzucić go do kosza na śmieci pod zlewem.

– Dzwonił Yngve – oznajmiła mama. – Ma dodatkowy dyżur dziś wieczorem, więc dołączy do nas dopiero jutro przed południem. Mówił, że przyjedzie samochodem.

– Głupio się stało. Mam nakryć do stołu?

– Tak, nakryj.

Kiedy zjedliśmy – w pokoju z telewizorem, ponieważ z uwagi na problemy babci z chodzeniem po schodach dziadkowie przenieśli swoją sypialnię do jadalni – Kjartan spytał mnie, czy nie pogadalibyśmy trochę u niego. Zgodziłem

się. Przeszliśmy więc do jego domu, do dużej, jasnej, otwartej przestrzeni na piętrze, Kjartan nastawił kawę, a ja usiadłem na kanapie i zacząłem przeglądać książki, których stos leżał na stole.

Bobrowski. Hölderlin. Finn Alnæs, *Musica*, pierwszy tom ogromnego dzieła *Ildfesten*, które, według mamy, autor kompletnie zarznął, w każdym razie ukazały się zaledwie dwa z pięciu zapowiadanych tomów tej powieści. Kjartan był od lat zapalonym miłośnikiem tych książek. Ze sposobu, w jaki o nich mówił, wywnioskowałem, że pociąga go obecność w nich kosmosu.

– Uczysz się czegoś w tej Akademii Sztuki Pisania? – spytał z kuchni.

– Pewnie.

– Sagena poznałem. Prowadził kilka kursów pisania w Stowarzyszeniu Pisarzy w Sogn.

– Jeszcze nie mieliśmy z nim zajęć. Jedynie z Fossem i Hovlandem.

– Ich nie znam. – Przyniósł dwa kubki. Oba były mokre, dopiero co je opłukał, na dnie mojego pozostał osad z kawy, ledwie naruszony przez wodę.

– Zakończyliśmy już kurs poezji – powiedziałem.

– To znaczy, że pisałeś wiersze?

– Tak, musieliśmy. Ale nic dobrego mi nie wyszło.

– Nie mów tak. Masz dopiero dziewiętnaście lat. Kiedy ja miałem tyle, w ogóle nie wiedziałem, co to jest wiersz. Masz szczęście, że się tam uczysz.

– No tak, a ty napisałeś coś ostatnio?

– Tak, kilka wierszy.

Podszedł do stołu, na którym stała maszyna do pisania. Wziął do ręki plik kartek, przejrzał je i w końcu mi podał.

– Możesz rzucić okiem, jeśli chcesz.

– Bardzo chętnie – odparłem i spuściłem wzrok, nagle wzruszony tym, że traktuje mnie jak równego sobie.

*troć karmi się
zielonym kamieniem
unoszą się w rozkołysanej trawie
cień ją chłodzi*

*siostra słońca
uderza ogonem*

- Co to jest troć? – spytałem, patrząc na niego.
 - Troć? Pstrąg. No i co myślisz?
 - Bardzo dobry. Podoba mi się zwłaszcza zamknięcie, jakby wszystko unosi.
 - To o pstrągach w zakolu strumienia, tu niedaleko.
- Czytałem dalej.

*z ustami pełnymi grubego sitowia
balansuję na drogach jak na linie
piję światło wiary
nad brzegami wieczności
prowadzę ciało dalej
jak bułanego konia o zmierzchu
gdzieś w stronę lasu*

Znów do oczu napłynęły mi łzy, tym razem pod wpływem wiersza, wywołane obrazem ciała prowadzonego pod wieczór do lasu jak konia.

Miałem wrażenie, że już wcześniej wypełniał mnie płacz i tylko czekał na okazję, by się wydobyć.

- Ten wiersz jest znakomity – stwierdziłem.
- Tak uważasz? Który?

Podąłem mu kartkę.

Przyglądał się jej kilka sekund, w końcu prychnął.

– „Nad brzegami wieczności” – wyrecytował. – Jest w tym trochę ironii, rozumiesz?

- Wiem. Ale mimo wszystko.

Poszedł po kawę, nalał do kubków ze szklanego dzbanka, który odstawił na gazetę.

Na dole otworzyły się drzwi, a po sposobie, w jaki się zamknęły, poznałem, że idzie mama.

– Tutaj siedzicie?

– Rozmawiamy o wierszach – powiedział Kjartan. – Też możesz rzucić na nie okiem, jeśli chcesz.

– Owszem, bardzo chętnie.

Wstałem i z kubkiem w ręku przeszedłem na drugi koniec pokoju, tam gdzie stały fotel, regał oraz wieża stereo. Wyciągnąłem z półki jakieś książki i zająłem się ich przeglądaniem.

Kiedy zaczęli rozmawiać, stanąłem przy oknie i wyjrzałem na górę Lihesten, ledwie widoczną we mgle czarną ścianę, wznoszącą się tam, gdzie już było morze, i opadającą na drugim końcu, u ujścia fiordu.

Ciekawe, gdzie stoi domek należący do rodziny Ingvild?

Kiedy wszedłem do pokoju, babcia spała w fotelu, głowę miała odchyloną, usta otwarte. Chorowała na parkinsona, odkąd pamiętam, nie zachowałem ani jednego wspomnienia, w którym by się nie trzęsła. Ale za czasów mojego dzieciństwa choroba nie posunęła się jeszcze tak daleko, nie przeszkadzała jej w pracy, we wszystkim, czym się zajmowała w tej niedużej zagrodzie, do której się sprowadziła pod koniec lat trzydziestych, kiedy poślubiła dziadka. Według Borghild zaskoczyło ją to, jak małe jest gospodarstwo i jak mali są tutejsi ludzie. Może dałoby się to całkiem prosto wyjaśnić, może panowały tu warunki o wiele trudniejsze niż w wiosce w głębi lądu, z której pochodziła, mniej było jedzenia, więc i ludzie byli mniejsi. Mama opowiadała, że babcia zawsze się starała, aby jej dzieciom nie dało się nic zarzucić, aby nieskazitelne były zarówno ich ubrania, jak i zachowanie, i z tego powodu zaczęto uważać, że się wywyższają. Dziadek pracował jako kierowca, jeździł autobusem, dlatego to babcia była odpowiedzialna za wszystkie sprawy związane z gospodarstwem. To się działo w latach pięćdziesiątych, ale to, co mama opowiadała o swoim dzieciństwie, brzmiało raczej jak opowieści z innego stulecia. Przychodził do nich człowiek, który szlachtował bydło, dziadek nigdy nie robił tego własnoręcznie, a wykorzystywano niemal każdą część ubitego zwierzęcia. Wypłukanych przez babcie w strumieniu flaków używano do robienia kielbas, krew gotowano w wielkich garnkach w kuchni. Oprócz tego, co znałem z opowieści

mamy, nie wiedziałem, czym jeszcze zajmowała się babcia. Dzielily nas zaledwie dwa pokolenia, a mimo to nie miałem pojęcia, czemu poświęciła życie. Tak naprawdę nie wiedziałem tego, co najistotniejsze. Nie znałem jej stosunku do rzeczy i zwierząt, do życia i śmierci. Gdy teraz na siebie patrzyliśmy, babcia i ja, spoglądaliśmy jakby z dwóch stron otchłani. Dla niej czymś najważniejszym w życiu była rodzina, to znaczy jej rodzina, ta wywodząca się z gospodarstwa, w którym się wychowała, no i jej dzieci. Rodzina dziadka, która jedno pokolenie wcześniej sprowadziła się z wysp na morzu, nie miała zbyt wielkiego znaczenia, takie przynajmniej odnosiłem wrażenie. Liczyła się jej rodzina i jej ziemia. Kjartan mawiał czasami, że religią babci jest właśnie ziemia, że w Jølster, skąd pochodziła, ludzie czczą ziemię, że to prastare pogańskie wyznanie, które oni przebrali w język i rytuały chrześcijaństwa. Przyjrzyj się obrazom Astrupa, przekonywał mnie, spójrz na te wszystkie ogniska płonące w wieczór świętojański, na mieszkańców Jølster, przecież oni tańczą wokół płomieni, jakby to byli ich bogowie. Kjartan mówił takie rzeczy ze śmiechem i drwiną, a zarazem w jego słowach zawsze kryła się dwuznaczność, bo miał w sobie wiele z babci, owo poważne podejście do życia i głębokie poczucie obowiązku dało się zauważyć również u niego, a jeśli ona czciła ziemię, to Kjartan czcił przyrodę, obecność wszechświata w ptakach, zwierzętach, górach i niebie. Zaprzeczyłby istnieniu takiego powiązania z matką, był przecież komunistą, ateistą, stoczniowym hydraulikiem, ale wystarczyło spojrzeć im w oczy, aby nabrać pewności, że tak jest. Mieli takie same oczy, piwne, takie samo czujne spojrzenie.

A teraz z jej życia nic już nie zostało, zniszczyła je choroba, która pożarła ciało, utrzymywały się jedynie drżenie i skurcze. Gdy patrzyło się na nią, jak śpi z otwartymi ustami, trudno było pojąć, że jej silna wola, której teraz nie pozwolono panować nawet nad własnym ciałem, i surowa moralność, której nie potrafiła już dać wyrazu, mogły mieć taki wpływ na jej dzieci. Ale tak właśnie było.

Mama pomogła babci położyć się do łóżka, rozebrała ją, wyszczotkowała jej włosy, przebrała ją w nocną koszulę, a ja w tym czasie czytałem *Seremonier*^[15], moją nową ulubioną książkę, i starałem się nie patrzeć w ich stronę. Nie zawstydzalo mnie, że babcia jest rozebrana, ale to, że mama się nią zajmuje, wydawało mi się niezwykle intymną sytuacją, córka obsługująca starą mat-

kę to nie był obraz przeznaczony dla moich oczu, dlatego siedziałem ze wzrokiem wbitym w książkę i starałem się całkowicie oddać lekturze.

Nie było to trudne, wszystkie przestrzenie w niej były takie otwarte i stale wiązały się ze sobą na rozmaite, najbardziej zdumiewające sposoby, zresztą nie tylko przestrzenie, również bohaterowie, zwykle zamknięci, skupieni na sobie, potrafili się nagle otworzyć i wręcz przeniknąć jeden w drugiego. Mężczyzna wpatrujący się w aksolotla w akwarium w zagadkowy sposób staje się aksolotlem, który z akwarium wpatruje się w mężczyznę. Starożytny pożar staje się pożarem współczesnym. No i różne inne dziwactwa. Ktoś nagle zaczyna rzygać królikami i wkrótce powstaje problem, w zasadzie nawet pojawia się groźba katastrofy, kiedy mieszkanie, z którego korzystał, wypełnia się białymi zwierzątkami.

Mama powiedziała dziadkom dobranoc, wyszła i zamknęła zasuwane drzwi.

– Napijesz się kawy? – spytała. – Czy to dla ciebie za późno?

– Chętnie się napiję.

Bardzo mi się podobały te opowiadania, ja tak pisać nie potrafiłem, nie miałem wystarczającej wyobraźni. Prawdę mówiąc, w ogóle nie miałem wyobraźni, wszystko, co pisałem, było związane z rzeczywistością i moimi przeżyciami.

No, z wyjątkiem ostatniej powieści.

Poczułem ukłucie radości.

Przecież to było fantastyczne. Jakieś tajemnicze istoty, może anioły, zbierają prowadzone przez ludzi rozmowy i je analizują.

Ale ta radość nie napłynęła sama, towarzyszyła jej desperacja, bo wiedziałem, że sobie z tym nie poradzę. Nie umiałem napisać tej historii, byłem przekonany, że nigdy mi się to nie uda.

Mama przyniosła dzbanek i dwie filiżanki, postawiła to wszystko na stole wraz z paterą pokrojonych na wąskie kawałki *lefse*.

– Borghild upiekła – oznajmiła. – Masz ochotę?

– Owszem.

Borghild była siostrą babci, władczą, pełną życia kobietą, mieszkała sama w niedużym domku ponad zagrodą, z której ona i babcia pochodziły. Zwykle pomagała przy szykowaniu jedzenia na wioskowe wesela, znała wszystkie sta-

re przepisy i wiedziała wszystko o rodzinie, zarówno o jej członkach żyjących dawniej, jak i o tych żyjących współcześnie. Mama zawsze była z nią bardzo mocno związana, a teraz, gdy mieszkały tak blisko siebie, przywiązała się do niej jeszcze bardziej.

– Jak się miewasz, Karl Ove? Tak mało się ostatnio odzywasz. To zupełnie do ciebie niepodobne.

– Może i tak – przyznałem. – Ale u mnie wszystko w porządku. Trochę mi trudno w akademii. Może to dlatego.

– A co jest takie trudne?

– Mam wrażenie, że nie jestem dostatecznie dobry, żeby się tam uczyć. Po prostu nie piszę na odpowiednim poziomie.

– Nie zapominaj, że masz dopiero dwadzieścia lat.

Sięgnąłem po kawałek *lefse* i zjadłem go w dwóch kęsach.

– Dziewiętnaście – poprawiłem ją. – Ale to teraz chodzę tam na zajęcia i co mi po tym, że będzie mi szło lepiej, kiedy będę miał dwadzieścia pięć lat?

Mama naląła kawy do filiżanek.

– A poza tym jestem zakochany – dodałem. – Może dlatego tak mało się odzywam.

– Poznałeś tę dziewczynę teraz, tej jesieni? – Podniosła filiżankę do ust i piła, patrząc na mnie.

– Poznałem ją w Wielkanoc, kiedy mieszkałem u ciebie. Spotkałem się z nią tylko raz, potem pisaliśmy do siebie, no i spotkaliśmy się w Bergen. Studiuje psychologię. Pochodzi z Kaupanger. Ma tyle lat co ja.

– Ale nie chodźcie ze sobą?

Pokręciłem głową.

– No właśnie nie. Nie wiem, czy ona w ogóle tego chce. Trochę się wygłupiłem, no i... nic się nie dzieje.

Z drugiego pokoju dobiegło chrapnięcie, przypominające niemal warkot, potem ktoś zakasłał.

– Na pewno się ułoży – stwierdziła mama.

– Możliwe. Zobaczymy. Ale poza tym wszystko w porządku. Dobrze mi w tym mieszkaniu i w ogóle w Bergen.

– Może za kilka tygodni przyjadę do was w odwiedziny – zapowiedziała

mama. – Chciałabym się też zobaczyć z kilkoma przyjaciółkami ze studiów. Z Gerd, pamiętasz ją?

– Tak, jasne.

– Widzisz, sama się trochę zastanawiam nad dalszymi studiami. Ale to również kwestia finansowa, musiałabym wziąć urlop bezpłatny.

– No tak – przyświadczyłem i wziąłem jeszcze kawałek *lefse*.

Przed zaśnięciem długo leżałem w ciemności sypialni. Ciemność wiązała ten mały pokój z ogromną przestrzenią na zewnątrz. Miałem wrażenie, że stare drewniane łóżko jest jak łódka. Od czasu do czasu szumiało drzewo za oknem, wtedy krople wody spadające z liści uderzały w szybę z leciutkim chrzęstem. Gdy ten szum cichł, niekiedy rozlegał się inny, innych drzew, jakby wiatr tego wieczoru podzielił się i najechał okolicę kilkoma oddziałami.

Po przyjeździe do dziadków ogarnęło mnie poczucie, że życie tutaj już się skończyło. Nie chodziło mi o cień śmierci, który zawisł nad domem, lecz raczej o to, że co miało się tu zdarzyć, już się zdarzyło.

Obróciłem się na drugi bok, podłożyłem rękę pod głowę. Odgłos bicia serca przypomniał mi, co powiedział kiedyś dziadek: że jeśli chce się zasnąć, nie wolno wsłuchiwać się w uderzenia własnego serca. To było dziwne stwierdzenie, nie pamiętam już, co je sprowokowało, ale za każdym razem, kiedy kładłem się w tej pozycji i czułem pulsowanie przy uchu, zawsze o tym myślałem.

Zaledwie kilka miesięcy temu mama powiedziała mi, że dziadek na początku lat sześćdziesiątych przez dłuższy czas zmagał się z lękiem tak silnym, iż nie mógł pracować, jedynie leżał na kanapie i bał się, że umrze. Spośród jej rodzeństwa z rodzicami mieszkał wtedy tylko Kjartan, był jeszcze mały i niewiele z tego rozumiał.

Te informacje były dla mnie na swój sposób niepokojące, głównie dlatego, że wcześniej w ogóle nic o tym nie wiedziałem, a poza tym nie mógłbym się tego domyślić. Czy w życiu moich najbliższych istniało więcej takich kieszeni, pełnych zaskakujących wydarzeń? A poza tym ta informacja o dziadku nie zgadzała mi się z jego obrazem, bo z dziadkiem kojarzyłem wyłącznie radość życia. Ale też nigdy nie myślałem o nim jak o samodzielnym człowieku, który ma samodzielne życie, zawsze był po prostu dziadkiem, podobnie jak babcia za-

wsze była babcią.

Znów zaszumiała stara brzoza. Niewielka kaskada kropli uderzyła o ścianę, drzewo otrząsało się z wody jak pies.

Ciemno, cicho. Rytm pulsu. Du-dum. Du-dum. Du-dum.

Inaczej niż dla dziadka, dla mnie był to przejaw życia, nie śmierci, miałem młode, silne serce, które, bijąc, najpewniej przeprowadzi mnie przez lata dwudzieste mojego życia, przez lata trzydzieste, czterdzieste i pięćdziesiąte. Jeśli dożyję takiego wieku jak dziadek, czyli osiemdziesiątki, to znaczy, że teraz mam za sobą dopiero jedną czwartą życia, prawie wszystko jeszcze przede mną, otoczone pełnym nadziei światłem niewiedzy i otwartości, a serce, ten wierny mięsień, ma mnie przez to przeprowadzić cało i zdrowo, coraz silniejszego, coraz mądrzejszego, coraz bogatszego w przeżyte życie.

Du-dum. Du-dum. Du-dum.

Du-dum. Du-dum. Du-dum.

*

Z okna pokoju dostrzegłem samochód Yngvego, wycieraczki przesuwające się raz w jedną, raz w drugą stronę, cień na siedzeniu kierowcy, i powiedziałem mamie, która masowała babci stopy, trzymając je na kolanach, że Yngve przyjechał. Mama delikatnie zdjęła nogi babci z kolan i postawiła je na podłodze. Dziadkowie zjedli obiad o dwunastej, my czekaliśmy do tej pory, więc teraz mama od razu poszła do kuchni szykować posiłek.

Samochód zatrzymał się przed domem, zaraz potem otworzyły się drzwi wejściowe, usłyszałem, że Yngve kręci się w sieni, więc odwróciłem się do niego, kiedy wszedł do pokoju.

– Cześć – rzucił.

– Widzę, że naród norweski rośnie! – odezwał się dziadek.

Yngve się uśmiechnął. Jego spojrzenie padło na mnie.

– Cześć – powiedziałem. – Dobrze się jechało?

– W porządku. – Wręczył mi plik gazet. – To ci przywiozłem.

Weszła mama.

– Jest jedzenie, jeżeli jesteś głodny.

Usiedliśmy w kuchni. Mama przygotowała *lapskaus* w dużym garnku. Domyślałem się, że część będzie chciała zamrozić, żeby dziadek mógł go odgrzać, kiedy znów zostanie sam z babcią.

– Dobrą miałeś drogę? – Postawiła garnek na stole, na którym leżały już chrupki chleb i masło, a oprócz tego stał dzbanek wody.

– Dobrą – odparł Yngve.

Otoczała go jakby błona, uniemożliwiająca mi nawiązanie z nim prawdziwego kontaktu. To jednak nie musiało oznaczać nic szczególnego, czasami tak bywało, a tym razem tyle godzin spędził samotnie w samochodzie, rozmyślając o swoich sprawach. Zapewne wejście do tego domu, w którym byliśmy już cały dzień, w oczywisty sposób tworząc między sobą zupełnie inną intymność, musiało być dla niego kłopotliwe.

Yngve wypełnił głęboki talerz *lapskausem*, po czym przesunął chochlę w garnku w moją stronę, więc też sobie nałożyłem. Z talerza buchała para, wziąłem do ręki kawałek chrupkiego chleba, odgryzłem kęs, nalałem wody do szklanki, podniosłem pełną łyżkę do ust i podmuchałem na nią.

– Mam wam przekazać pozdrowienia od Ann Kristin – odezwał się Yngve. – Spotkałem się z nią wczoraj i wspomniałem jej, że się tu wybieram.

– Dziękuję – powiedziała mama.

– Gdzie ją spotkałeś? – spytałem możliwie najobojętniej. Mówił przecież, że zostaje w Bergen, bo musi pracować, nie włączyć się po knajpach. A jeśli był na mieście i tam spotkał Ann Kristin, to by znaczyło, że skłamał. Ale dlaczego miałby kłamać?

– W bufecie na Sydneshaugen.

– Aha – mruknąłem.

Po obiedzie piliśmy kawę w pokoju, dziadek opowiadał, my słuchaliśmy. Przyszedł Kjartan w tym samym ubraniu, które nosił od dwóch dni, rozczochrany, zza okularów strzelały mu z oczu błyskawice. Yngve nie starał się uciąć jego monologów, co zwykle robił. Były w nim pewna słabość i wycofanie, jakby spoglądał w głąb siebie, a nie na zewnątrz. Uznałem, że powody tego mogą być rozmaite, po prostu trochę przycichł.

Na dworze lało.

Kjartan wrócił do siebie, ja czytałem gazety, mama zmywała w kuchni. Yngve zaniósł swoje rzeczy do pokoju i zniknął na pewien czas. Kiedy z powrotem zszedł na dół, usiadł z książką w fotelu przy kominku.

Opuściłem gazetę i spojrzałem w okno. Zmierzchało. Światło lampy przy domu sąsiadów, odległego o rzut kamieniem, było prążkowane od deszczu.

Babcia spała w fotelu. Również dziadek zasnął na siedząco. Mama czytała coś obok niego na kanapie. Yngve też czytał. Spojrzałem na niego. Wiedziałem, że to wyczuł, bo człowiek wyczuwa, kiedy ktoś na niego patrzy w pograżonym w ciszy pomieszczeniu. Mimo to nie podniósł głowy, dalej siedział ze wzrokiem sztywno wbitym w książkę.

Coś naprawdę było nie tak.

A może to paranoja?

Przecież on, do diabła, czytał. Nie mogłem tego uznać za znak, że dzieje się

coś złego.

Wróciłem do gazety. Wtedy na mnie spojrział. Skoncentrowałem się na utrzymaniu wzroku na artykule.

Dlaczego na mnie patrzył?

Wstał i wyszedł. Odgłos zamykanych drzwi obudził dziadka, który kilka razy zamrugał, a w końcu się podniósł i podreptał do pieca. Otworzył drzwiczki i dorzucił dwa polana. Na górze trzeszczały deski w podłodze.

Zapadła cisza.

Czyżby Yngve już się położył?

O tej porze?

Dlatego że wczoraj zabalował na mieście i wcale nie pracował w hotelu, chociaż tak powiedział?

Zabrałem kubek do kuchni, żeby nalać sobie kawy. Fiord rozciągał się jako nieco jaśniejsza płaszczyzna wśród niemal idealnej czerni. Deszcz bębnił w dach i w ścianę. Wróciłem do pokoju, sięgnąłem po opakowanie tytoniu i skręciłem sobie papierosa. Dziadek czyścił fajkę, kilka razy postukał nią o szklaną popielniczkę, białym wyciorem wyciągnął z niej kilka czarnych grudek. Babcia się obudziła, próbowała się podnieść, przesunęła górną połowę ciała do przodu, ale z powrotem opadła. Wtedy przeniosła rękę na dwa guziki na podłokietniku, udało jej się wcisnąć jeden i fotel z lekkim szumem ruszył do góry, a ona została jakby uniesiona, czy raczej wypchnięta, i chwilę później mogła już chwycić w ręce chodzik. Plecy jednak miała zbyt mocno zgięte, żeby stawiać kroki, więc mama wstała, złapała ją za ramię, odsunęła chodzik na bok, nachyliła się i spytała, dokąd się wybiera. Nie usłyszałem odpowiedzi, która wydobyła się z drżących warg, ale musiało chodzić o kuchnię, bo tam się skierowały. W tym czasie dziadek siedział pochłonięty fajką.

Na górze zaskrzypiały deski w podłodze, chwilę później schody, drzwi się otworzyły i Yngve spojrział na mnie.

– Wyjdiesz ze mną na chwilę, Karl Ove? – spytał. – Musimy porozmawiać.

Nadzieja, której do tej pory się trzymałem, w jednej chwili się rozwiła. Załamałem się. Wszystko się rozsypało.

Yngve związał się z Ingvild.

Wstałem i wyszedłem na korytarz. Stał obrócony do mnie plecami i wkładał

kurtkę. Nie odzywał się. Wsunąłem stopy w buty, nachyliłem się, żeby zawiązać sznurowadła, potem się wyprostowałem i sięgnąłem po kurtkę. Yngve stał nieruchomo i czekał. Kiedy podciągnąłem suwak, otworzył drzwi. Do sieni wpadło świeże powietrze. Nasunąłem na głowę kaptur i zawiązałem go pod brodą. Yngve poszedł do samochodu, otworzył go, wyjął parasol. Krople deszczu bębniły równo, kiedy uderzały o żwir i dach domu, ale z ogromnej ciemności, w której padały na trawę i mech, na drzewa i krzewy, dochodził bardziej miękki odgłos, przypominający niemal szuranie kroków.

Yngve rozłożył parasol, zamknąłem za sobą drzwi do domu i ruszyliśmy w dół zbocza. Patrzyłem na niego, a on przed siebie. Szedłem na miękkich, drżących nogach, wewnątrznie całkowicie się rozpadłem, ale miałem też w sobie coś twardego, nie zamierzałem mu niczego ułatwiać, postanowiłem, że nic ode mnie nie dostanie.

Przeszliśmy przez furtkę, minęliśmy dom sąsiada i dotarliśmy do asfaltu.

– Idziemy dalej? – spytał Yngve.

– Możemy.

Skrzyżowanie, na którym zbiegały się trzy drogi, oświetlały latarnie, ale gdy tylko je minęliśmy i weszliśmy na drogę biegnącą w głąb doliny, dookoła nas zapadła ciemność. Po obu stronach drzewa tworzyły ściany, lekko szumiały rzeka i deszcz. Oprócz tego słychać było jedynie nasze kroki. Wpatrywałem się w Yngvego, który zerkał na mnie przelotnie.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwał się w końcu.

– Już wspominałeś. Coś się stało?

Znów spojrzał przed siebie.

– Ingvild i ja zaczęliśmy ze sobą chodzić.

Milczałem i tylko na niego patrzyłem.

– To było po prostu... – zaczął.

– Nie chcę o tym słyszeć – oświadczyłem.

Yngve umilkł, szliśmy dalej.

Padający deszcz, nasze kroki, ściana drzew w ciemności. Zapach mokrego świerku, zapach mokrego mchu, zapach mokrego asfaltu.

– Muszę ci wyjaśnić, co się wydarzyło – podjął.

– Nie.

– Ale, Karl Ove...

– Powiedziałem ci już, że nie chcę o tym słyszeć.

Dotarliśmy do strzelnicy, za drewnianą budką po prawej stronie drogi ciągnął się wąski, długi plac.

Z daleka dobiegł warkot samochodu, zjeżdżającego z góry zamykającej dolinę.

– Nie planowałem tego – zaczął znów Yngve.

– Nie chcę o n i c z y m słyszeć, rozumiesz? O niczym!

Przez chwilę szliśmy dalej w milczeniu. Yngve spojrzał na mnie, chciał coś powiedzieć, zmienił zdanie, spuścił wzrok i stanął.

– Wracam – oświadczył.

– To wracaj – powiedziałem i ruszyłem dalej przed siebie, słuchając, jak cichną jego kroki za moimi plecami. Chwilę później zza zakrętu wyłonił się samochód i zmienił ciemność w istne piekło światła. Pozostało na siatkówce dobrych kilka sekund po tym, jak mnie minął, i jakiś czas szedłem niemal na ślepo, dopóki oczy na nowo nie przywykły do ciemności i nie wyłowiły z niej drzew i drogi.

Postanowiłem, że już nigdy nie odezwę się do Yngvego. Wyjechać stąd mogłem dopiero jutro, więc musiałem na niego patrzeć, poza tym nie da się uniknąć widywania go w Bergen, wiedziałem, że na pewno prędzej czy później się na niego natknę, miasto nie jest aż tak duże, ale wtedy nie odezwę się ani słowem, tutaj też nie, nic już ode mnie nie usłyszy, nigdy w życiu.

Szedłem dalej, aż do krańca doliny, tam gdzie wodospad z hukiem spadał ze skalnej ściany i gdzie rzeka przepływała pod drogą, długą chwilę przyglądałem się lekkiemu migotaniu wody uderzającej o kamienie, gdy wpadała do kotła, i wydało mi się to wręcz obsceniczne, woda wpadająca do wody, a na dobitkę jeszcze strugi deszczu. W końcu ruszyłem z powrotem. Spodnie mi przemokły, zmarzłem, w domu też nie czekało mnie nic dobrego.

Czy oni ze sobą spali?

Wszystko się we mnie spięło. Zatrzymałem się.

Yngve się z nią przespał.

A kiedy stąd wyjedzie, wróci do siebie i znów będzie z nią spał.

Będzie dotykał jej piersi, całował jej usta, zdejmował majtki, wchodził

w nią.

Serce waliło mi w piersi dziko jak po biegu.

Ona będzie wołać jego imię, wymawiać je szeptem, całować go, rozsuwać dla niego nogi.

Znów ruszyłem.

Zapyta go, jak poszło, co powiedziałem. Yngve jej odpowie. Będę dla nich „nim”, tym, o kim będą rozmawiać. Młodszym bratem. Naiwnym młodszym bratem, który nie ruszał się z mieszkania, bo czekał na nią, wierzył, że ona go pragnie, a ona w tym czasie balowała z Yngvem, pieprzyła się z nim w jego domu. Nie mieściło mi się w głowie, że nocowała u niego, rano brała prysznic w jego łazience, a potem jadła śniadanie z rosnącą oczywistością i czuła się do tego coraz bardziej uprawniona.

Pieściła go, na pewno, patrzyła mu w oczy, na pewno, mówiła, że go kocha, na pewno, to nie były żadne paranoidalne myśli, to się działo naprawdę. I powtarzało się codziennie.

Przede mną zajaśniał dom na niewielkim wzgórzu, ze wszystkich stron otoczony głęboką, prawie nieprzeniknioną ciemnością.

Nigdy więcej nie będę częścią jego życia. Nigdy więcej go nie odwiedzę. Będę go olewał tak, jak nigdy dotąd nikogo nie olewałem. Jeśli sądził, że między nami wszystko będzie jak dawniej, że kiedykolwiek się z tym pogodzę, to przekona się, jak bardzo się mylił.

Teraz chodziło głównie o to, żeby jakoś przetrwać ten wieczór. Yngve tu jest, nie zdołam go uniknąć, ale trudno, będę go ignorował, i dobrze, bo pomyśli, że to przejściowe, z czasem wszystko się unormuje. Dopiero później zrozumie, że nigdy więcej się do niego nie odezwę.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do sieni, powiesiłem kurtkę, w sypialni zmieniłem spodnie, w łazience wytarłem twarz ręcznikiem i zszedłem do pokoju, w którym grał telewizor.

Yngwego nie było. Spojrzałem na mamę.

– Gdzie Yngve? – spytałem.

– Poszedł do Kjartana.

Usiadłem.

– Co się dzieje? – spytała mama.

- Nic.
- Przecież widzę, że coś się stało.
- Pamiętasz, mówiłem ci, że się zakochałem.
- Tak, oczywiście.
- Yngve zaczął z nią chodzić. Przed chwilą mi o tym powiedział. Mamie zapało dech w piersi, w końcu westchnęła, patrząc na mnie.
- Wiem, to nie m o j a wina – stwierdziłem.
- Nie możecie się kłócić – powiedziała. – To minie, Karl Ove. Teraz jest źle, ale to na pewno minie.

– Możliwe. Ale na razie nie chcę go widzieć na oczy.

– Przygotuję jakąś kolację. – Mama wstała. – Możesz nakryć do stołu?

– Dobrze.

Przyniosłem filiżanki i talerze, masło, chleb, łososia, jajecznicę, kiełbasę i ser, dzbanek herbaty i mleko. Kiedy skończyłem to wszystko rozstawiać, mama spytała, czy mógłbym pójść po Yngvego.

– Dobrze – zgodziłem się, patrząc na nią, włożyłem buty i przeszedłem kilka metrów przez podwórze do drzwi sąsiedniego domu. Może Yngve uzna, że wszystko jest jak dawniej, kiedy po niego przyjdę, i niech tak sobie myśli.

Otworzyłem drzwi, wszedłem do sieni, zdjąłem buty i zbliżyłem się do schodów. Na górze głośno grała muzyka, pokonałem kilka stopni, żeby mieć widok na pokój. Yngve siedział w fotelu, zapatrzony przed siebie. Nie usłyszał mnie. Mogłem go zawołać, ale tego nie zrobiłem, bo ku swojemu przerażeniu zobaczyłem, że po policzkach płyną mu łzy.

Płakał?

Ostrożnie zszedłem na dół, poza zasięg jego wzroku. Przez chwilę nieruchomo stałem w sieni. Pierwszy raz od dzieciństwa widziałem go płaczącego.

Ale dlaczego płakał?

Włożyłem buty, ostrożnie zamknąłem drzwi wejściowe i ruszyłem przez podwórze.

– Niedługo przyjdzie – oznajmiłem, wchodząc do pokoju. – Mamy zacząć bez niego.

Nazajutrz wcześniej rano mama odwiozła mnie na przystań w Rysjedalsvika. Prom był prawie pusty, kiedy przyплыł, więc zająłem to samo miejsce, na którym siedziałem w drodze do dziadków. W nocy pogoda trochę się poprawiła, niebo wciąż było zachmurzone, ale pokrywa chmur jaśniejsza i już nie padało. Prom ciął ciężką, szarą wodę, poruszał się zadziwiająco szybko wśród wysokich, nieruchomych gór, między którymi ciągnął się fiord.

Poprzedniego wieczoru poszedłem się położyć, zanim Yngve wrócił, i wstałem, zanim się obudził, więc nie widziałem go od tamtej krótkiej chwili u Kjartana, ale go słyszałem, zarówno jego głos dobiegający z dołu, kiedy usiłowałem zasnąć, jak i jego kroki na schodach, a potem odgłosy w pokoju, kiedy się kładł. Czułem się wtedy tak, jakby coś się we mnie paliło, przebywanie z nim pod jednym dachem było nie do wytrzymania, myślałem wyłącznie o tym, że pożaluje tego, co zrobił.

Teraz, w otoczeniu świateł na promie płynącym środkiem fiordu, w drodze do domu, wszystko wyglądało inaczej. Teraz myślałem o niej. Dała mu się omamić, zaślepił ją jego wdzięk i otworzyła się na niego. Nie rozumiała, że jestem od niego lepszy, nie miała o tym pojęcia. Ale kiedyś to odkryje. Co wtedy? Miałem ją przyjąć? Czy może zostawić?

Czy potrafiłbym z nią być po tym, jak była z Yngvem?

O, tak.

Gdyby tylko chciała, chciałbym i ja.

Nie było nic, co kazałoby mi zostać w Bergen po upływie tego roku, i nic, co kazałoby zostać jej, gdyby z nim zerwała.

Poszedłem do kiosku, kupiłem kawę, zabrałem ją na pokład i usiadłem na ławce przy nadbudówce, skąd mogłem widzieć las, który po drodze w tamtą stronę był jedynie wielkim, głębokim cieniem pod górami, za to teraz rysował się wyraźnie na tle białego nieba. Ciemnozielone, niemal czarne świerki, zrosnięte w gęste, postrzępione połacie, tu i ówdzie przetykane drzewami liściastymi, które jaśniały żółtymi odcieniami jesieni.

Z przystani promowej pojechałem do domu taksówką, zasłużyłem na to po tym wszystkim, co przeżyłem. Ale przebywanie w swoim mieszkaniu wśród własnych rzeczy nie sprawiło mi aż takiej przyjemności, jaką sobie wyobrażałem, bo przecież właśnie tutaj wyczekiwałem na nią przez kolejne wieczory,

a teraz, wiedząc to, co już wiedziałem, a mianowicie, że nigdy nawet nie przeknęła jej przez głowę myśl, żeby do mnie przyjść, bo była z Yngvem, z pełną jasnością uświadomiłem sobie, jak głupio się zachowywałem. Wszystkie te piękne myśli na jej temat, całe to marzenie, którym się mamiłem, wydały mi się bezgranicznie naiwne, gdy już poznałem prawdę.

Yngve wiedział, co czułem. Wiedział, że siedziałem tu i czekałem, pełen nadziei, a jednak się z nią spotykał i zaczął z nią chodzić. A może to, że siedziałem tu jak idiota i gapiłem się w okno, jeszcze bardziej go podniecało?

W mieszkaniu nie mogłem zostać, więc włożyłem kurtkę i wyszedłem, ale dokąd miałem iść? Była niedziela, wszystkie sklepy zamknięte, a w tych kawiarniach, które otwarto, nie miałem ochoty siedzieć sam.

Zatrzymałem się przed kamienicą Jona Olava i zadzwoniłem do drzwi. Nikt mi nie otworzył, więc poszedłem dalej, pod górę i w dół przez Støletorget, wkrótce przeciąłem Torgallmenningen, a cały czas szarpało mną przekonanie, że jestem durniem; nie miałem dokąd pójść, nie miałem kogo odwiedzić, toteż po prostu szedłem przed siebie, paląc się ze wstydu. Ruszyłem wzdłuż Nygårdsgaten, przeszedłem na drugą stronę przy budynku Wydziału Nauk Ścisłych i dotarłem do parku, planowałem, że usiądę na ławce i zapalę. Była niedziela, wyszedłem na niedzielny spacer, ale przecież właśnie w tym parku trzymałem Ingvild za rękę, a o tym nie chciałem myśleć, ona pewnie już wtedy wiedziała, że mnie odrzuci, że jestem dla niej nikim; na Danmarks plass nie miałem zamiaru iść, bo tam mieszkał Yngve, nie wiedziałem, czy nie wzięła od niego kluczy na weekend i czy nie ma jej teraz w jego mieszkaniu. W drugą stronę też się nie wybierałem, bo tam była dawna szkoła na Sydneshaugen, gdzie piliśmy kawę, a w bramie rozmawialiśmy, kiedy zjawił się Morten. Ruszyłem więc najbliższą ulicą w dół, wyszedłem przy Grieghallen, minąłem bibliotekę i dworzec kolejowy, skręciłem w prawo, w stronę starej rogatki, i zacząłem wspinać się pod górę, aby wrócić drogami biegnącymi wysoko na zabudowanym zboczu Fjellsiden.

Yngve już pewnie jedzie do domu. Jeśli Ingvild nie ma w jego mieszkaniu, to z pewnością skieruje się prosto do Fantoft, gdzie ona już na niego czeka.

Otworzy drzwi, spojrzy na niego z czułością i oddaniem.

Obejmą się.

Będą się całować coraz namiętniej.

I prędko do pokoju, rozbierając się po drodze.

Potem papieros.

No i co powiedział twój młodszy brat?

Rozzłościł się. Ale przejdzie mu. Szkoda, że go nie widziałaś. Cha, cha, cha!

Cha, cha, cha.

Wzbierały we mnie kolejne fale gorąca, uderzały mi do głowy, którą spuściłem, kryjąc twarz. Miąłem starą remizę strażacką, zbudowaną z drewna i pomalowaną na biało. W dole miasto drżało kolorami, a ja szedłem wzdłuż górnej granicy zabudowy, w końcu powoli zacząłem schodzić w dół, aż wreszcie stanąłem pod drzwiami własnego mieszkania.

On mieszka tutaj, pomyślałem. Ten brat, któremu wydaje się, że jest pisarzem. A kiedy otworzyłem drzwi i wszedłem do środka, czułem się tak, jakbym ciągle stał na ulicy i obserwował się z zewnątrz, tego zadufanego w sobie idiotę, który zaciąga zasłony, odcinając się od świata.

*

Przez następne dwa tygodnie mieliśmy zajęcia z Rolfem Sagenem. Jego wykłady nie dotyczyły gatunków literackich, prozy, poezji, dramatu czy eseistyki, tylko samego pisania, to znaczy procesu pisania i związanych z tym rozmaitych technik. Sagen dawał nam sporo praktycznych rad, mówił na przykład, że dla prozaików i dramatopisarzy przydatne może być stworzenie „świata za kulisami”, w którym zapisuje się wszystko na temat postaci i relacji między nimi, gdyż dzięki temu wie się o wiele lepiej, dlaczego postępują właśnie tak, a nie inaczej, niż wynika z gotowego tekstu – świat za kulisami powinien być pełnym światem, a w opowieści ukazywać jedynie przebłyski. Mówił też o przyczynach czy uwarunkowaniach pisania. Był z wykształcenia psychologiem i dużo rozprawiał o konieczności przeniknięcia w trakcie pisania w głębsze pokłady świadomości. Polecił nam wykonywanie pewnych ćwiczeń. Jedno, coś w rodzaju medytacji, polegało na opróżnieniu świadomości z myśli, mieliśmy próbować je wyprzedzać, odmawiać im przestrzeni, pędzić coraz dalej w pustkę myślową, a potem na jego sygnał zapisać pierwszą myśl, jaka przyjdzie nam do głowy.

– No to zaczynamy – powiedział, więc wszyscy spuściliśmy głowy i zamknęliśmy oczy. W moim wypadku nic z tego nie wyszło, myślałem tylko o tej sytuacji, o tym, że mam opróżnić świadomość, ale mi się to nie udaje. Minęły dwie minuty, trzy, może cztery.

– Teraz piszcie – polecił.

Pierwszą rzeczą, która przyszła mi na myśl, była nazwa miasta, Darmstadt. Napisałem o tym krótkie opowiadanie. Kiedy wszyscy skończyli pisać, zrobiliśmy przerwę, a potem odczytywaliśmy swoje prace.

Sagen w skupieniu ścisnął dwoma palcami bródkę, kiwał głową i mówił, że to interesujące, niezwykle, godne zauważenia, udane. Kiedy przyszła moja kolej, strumień superlatyw ustał. Wysłuchał tego, co przeczytałem, i spojrzał na mnie.

– Podczas pisania wykorzystujesz jedynie powierzchnię świadomości –

stwierdził. – A skoro tak, to również twój tekst nie ma głębi. Jakie pierwsze słowo przyszło ci do głowy?

– Darmstadt.

– To przecież miasto w Niemczech. Byłeś tam?

– Nie.

– Nie byłeś. Obawiam się, że nie mam więcej do powiedzenia na temat tego tekstu. Musisz spróbować przeniknąć głębiej w świadomość.

– Aha.

Tak naprawdę powiedział, że wszystko to, co piszę, jest powierzchowne. Miał rację, tyle zrozumiałem, moje teksty od tekstów pozostałych studentów dzieliła przepaść. Napisałem na przykład o młodym mężczyźnie chodzącym po ulicach Kristiansand. Ani jego, ani ulic, po których krążył, nie wyciągnąłem z nieświadomości. Sagen potwierdził to, co przeczuwałem, wyraził to słowami. Musiałem sięgnąć do głębi świadomości, do mroku własnej duszy, ale jak, do diabła, miałem tego dokonać? To nie było w moim stylu! Czytałem *Fugę śmierci*. Do głębszych pokładów świadomości niż Celan nie sięgnął żaden inny pisarz, ale w czym ta wiedza mogła pomóc mnie?

Następnego dnia było kolejne ćwiczenie. Tym razem dostaliśmy kilka nonsensownych słów, które mieliśmy powtarzać w duchu, dopóki Sagen nie powie, że mamy zanotować pierwszą myśl, jaka przyjdzie nam do głowy.

I znów całą ósemką siedzieliśmy przy stole z pochylonymi głowami i zamkniętymi oczami. W pewnej chwili Sagen zdecydował, że już możemy pisać, więc zapisałem pierwsze skojarzenia.

*Dwa skórzane fotele
na wietrze*

Tylko tyle.

Sagen podrapał się w brodę.

– Interesujące – ocenił. – Dwa fotele na wietrze. To znaczy, że stoją na zewnątrz? Tak, musi tak być.

– Bardzo ciekawy początek – stwierdził Knut.

– Powinieneś pracować nad tym dalej, Karl Ove – dołączyła do niego Trude. – Może wyjść z tego wiersz.

– To obraz, który tak od razu nie mija – dodał Sagen. – Jest w nim napięcie, nie ma nic przemyślanego. W sumie to interesujące. Wydaje mi się, że jesteś na dobrej drodze.

A ja pomyślałem wtedy o dwóch skórzanych fotelach, które stały u nas w domu, gdy byłem dzieckiem. Wyobraziłem je sobie na zielonym wzgórzu, na wietrze wiejącym od morza. Ale to przecież była jakaś bzdura, wiedziałem, że tak jest, chociaż jednocześnie miałem w głowie komentarze, że to może być początek czegoś, początek wiersza.

Po powrocie do domu próbowałem coś napisać.

*Dwa skórzane fotele
na wietrze*

żółty buldożer – bo to była następna rzecz, która wpadła mi do głowy –

*hałas miasta
które już porzuciłeś*

W momencie gdy to napisałem, już wiedziałem, jakie komentarze bym usłyszał. Skreśli „żółty buldożer”. Usun „już” w ostatnim wersie, to zbędne słowo. Zrobiłem to więc i wiersz był gotowy.

*Dwa skórzane fotele
na wietrze
hałas miasta
które porzuciłeś*

W każdym razie wyglądało to jak wiersz. Wiedziałem, skąd wziął się obraz skórzanych foteli. Od dzieciństwa fascynowała mnie rozdzielność tego, co przynależy do wnętrza, i tego, co na zewnątrz, a zwłaszcza przemieszanie tych dwóch światów, kiedy to, co powinno być wewnątrz, znajdowało się na zewnątrz, i odwrotnie. Raz z Geirem natrafiliśmy na niedokończony dom z piwnicą zalaną wodą, w dodatku w tej piwnicy nie było żadnej podłogi, więc nagle stanęliśmy na szczycie skały otoczonej wodą w e w n ę t r z u! To było jedno z moich najbardziej hipnotycznych wspomnień. Epizod z wysypiska śmieci pojawiający się w jednym z tekstów, na których podstawie zostałem przyjęty do akademii, opowiadał o tym, jak Gordon i Gabriel ustawiają w lesie fotele, stół i lampy. Te dwa skórzane fotele na wietrze były ekstraktem tego wszystkiego, magią dzieciństwa, zawartą w pięciu słowach. „Hałas miasta / które porzuciłeś” to co innego, coś, co widziałem w wielu czytanych przeze mnie wierszach, w których coś się pojawia i jednocześnie przestaje istnieć. Zdarzało się jednak odwrotnie, jakaś rzecz przenikała w samą siebie, na przykład wrona zanurzała się we wronie, ale sam dotychczas nie wpadłem na żaden taki obraz.

Aż do tej chwili!

Ach.

Z wściekłą prędkością dopisałem dwa wersy:

*Dwa skórzane fotele
na wietrze
hałas miasta
które porzuciłeś.
Dziewczyna znika
w dziewczynie.*

To było to. Cały gotowy wiersz.

Aby to uczcić, wetknąłem album z fotografiami kobiet za pasek spodni, obciągnąłem koszulę na wierzchu i poszedłem do piwnicy się onanizować. W lewej ręce ścisnąłem rozłożoną książkę, którą w ten sposób mogłem trzymać i przeglądać jednocześnie, prawą zacisnąłem na fiucie, i wpatrywałem się

w kolejne zdjęcia. Dziewczyna z misą prania wciąż pozostawała moją ulubioną, ale przepadła gdzieś czystość, bo każdą sytuację, jaką sobie wyobrażałem, przenikała myśl o Yngvem i Ingvild, o tym, że Ingvild, jedyne w moim życiu, co naprawdę miało dla mnie jakieś znaczenie, już dla mnie nie istnieje. Prędko przerzucałem kartki raz w jedną, raz w drugą stronę, aby od tego uciec – uświadomiłem sobie, że postępuję trochę tak, jak radził nam Sagen – i na szczęście udało mi się wreszcie skoncentrować na cudownych ciałach dziewczyn na fotografiach dostatecznie długo, by się spuścić.

Przynajmniej tyle.

Po powrocie na górę chodziło mi głównie o zabicie czasu do momentu, w którym mogłem pójść spać. Na szczęście przespanie dwunastu godzin bez przerwy nie było dla mnie najmniejszym problemem. Zajęcia w akademii nie stanowiły radosnej perspektywy, bo nie było dnia, żeby ominął mnie jakiś uwłaczający komentarz, to znaczy uwłaczający moim tekstom. Nikt swoich słów za takie nie uważał, nazywano je krytyką, miały być pomocne, ale w moim wypadku sprawa była beznadziejna, ponieważ w moich tekstach nie znajdowało się n i c, co mogłoby zrównoważyć tę krytykę. Naprawdę były niedojrzałe, naprawdę pełne klisz, a ja naprawdę nie potrafiłem przeniknąć głębiej w swoją świadomość, czyli tam, gdzie znajdowało się to, co istotne dla pisarza. We wszystkich dyskusjach, które prowadziliśmy, przypominano mi o tym, na tym polegała moja rola, i gdybym nawet napisał coś dobrego, na przykład ten wiersz o dwóch skórzanych fotelach, i tak wciąż byłoby to oceniane przez pryzmat moich poprzednich dokonań i uznano by to niemal za wypadek przy pracy, a mnie traktowano by jak małpę, która napisała *Hamleta*.

W tych dniach jedyną dobrą stroną zajęć w akademii było to, iż tyle się tam działo i do tylu rzeczy należało się odnosić, że gdy tam przebywałem, myśli o Yngvem i Ingvild odsuwały się na dalszy plan. Siedzenie w mieszkaniu było nieznośne, nie znajdowałem tam bowiem nic, co mogłoby mnie oderwać od Ingvild, więc jeśli nie dostawaliśmy zadań pisemnych, wychodziłem z domu, głównie po to, żeby z niego wyjść – jednego wieczoru do Jona Olava, u którego mogłem wypić kawę, ale nie mogłem zbyt prędko do niego wracać, aby mój brak przyjaciół za bardzo nie rzucał się w oczy, sam sobie nakazałem taką kwarantannę; następnego dnia do Anne, w której wypadku obowiązywały te same reguły – po wypiciu kubka herbaty i godzinnej rozmowie mogłem się u niej pokazać nie wcześniej niż po czterech czy pięciu dniach, a lepiej jeszcze

później – więcej znajomych, których mógłbym odwiedzać, nie miałem. Do kina sam nie mogłem iść, nazaczyłbym się zbyt wyraźnym stygmatem, a już z całą pewnością nie mogłem się pokazywać w Café Opera. Nie chciałem się narażać na samotne wystawanie przy barze w poczuciu wstydu, że nikogo nie znam. Poza tym istniała dość spora szansa, że natknę się tam na Yngvego z Ingvild albo na ich przyjaciół. Już na myśl o przebywaniu w tym samym pomieszczeniu co oni i obserwowaniu, jak na siebie patrzą, a być może się dotyczą, dostawałem dreszczy. Ratunkiem był Morten, bo chociaż nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, to zawsze mogliśmy z godzinę pogadać. Przynajmniej moje wizyty u niego nie wyglądały dziwnie. Byliśmy przecież sąsiadami.

Któregoś dnia zadzwonił dzwonek do drzwi. Pomyślałem, że to Jon Olav, i poszedłem otworzyć.

Na schodkach stała Ingvild.

– Cześć – rzuciła, zerkając na mnie.

W momencie gdy nasze spojrzenia się spotkały, miałem wrażenie, że nic złego się nie wydarzyło. Serce waliło mi tak samo zakochane.

– Przyszłaś? – spytałem.

– Tak. Uznałam, że musimy porozmawiać.

Mówiąc to, spuściła wzrok i odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

– Wejdz – powiedziałem.

Poszła za mną, usiadła na kanapie.

– Napijesz się herbaty?

Pokręciła głową.

– Nie zostanę długo.

– I tak nastawię wodę.

Poszedłem do kuchni i postawiłem na kuchence garnek z wodą. Ostatnia rzecz, jakiej bym się spodziewał, to jej wizyta. Nie było u mnie ani porządku, ani czysto. Wrzuciłem parę szczypt herbacianych listków do dzbanka i wróciłem do Ingvild. Zapaliła papierosa. Z popielniczki się przesypywało, więc ją zabrałem i wyrzuciłem pety do śmieci w kuchni.

– Nie musisz nic dla mnie szykować. Zaraz idę. Chciałam ci tylko coś powiedzieć. – Mówiąc to, roześmiała się. Szybko spuściła wzrok, szybko znów

go podniosła.

– Herbata już prawie gotowa – oznajmiłem. – Wiesz, zajmujemy się teraz w akademii poezją i dostałem kilka naprawdę fantastycznych wierszy. Zwłaszcza jeden, chcesz posłuchać?

Pokręciła głową.

– Nie teraz, Karl Ove – zaprotestowała, wiercąc się na kanapie.

– Nie jest długi. Zaczekaj chwilę, zaraz go znajdę.

– Nie, nie szukaj. Nie bardzo mi to teraz pasuje.

– To tylko chwila. – Zacząłem wertować stos skserowanych wierszy, znalazłem ten, którego szukałem, i odwróciłem się do niej. – Już mam. To nie zajmie dużo czasu.

Stałem na środku pokoju z kartką w ręku i zacząłem czytać:

FUGA ŚMIERCI

Czarne mleko poranku pijemy je wieczór

Pijemy w południe o świcie pijemy je nocą

Pijemy pijemy

Grób kopujemy w powietrzu tam się nie leży ciasno

Człowiek mieszka w tym domu który się bawi z węzami ten pisze

Pisze gdy zmierzcha do Niemiec złoto twoich włosów Małgorzato

Tak pisze wychodzi przed dom i gwiazdy migocą przyzywa gwizdem swe psy

Gwizdem wywleka swych Żydów każe im kopać grób w ziemi

Nam rozkazuje teraz zagrajcie do tańca

Czarne mleko poranku pijemy cię nocą

Pijemy o świcie w południe pijemy cię wieczór

Pijemy pijemy

Człowiek mieszka w tym domu który się bawi z węzami ten pisze

Pisze gdy zmierzcha do Niemiec złoto twoich włosów Małgorzato

Popiół twoich włosów Sulamit kopujemy w powietrzu grób tam się nie leży ciasno

*Krzyczy głębiej wrzynajcie się w glebę wy tutaj a wy tam śpiewajcie
i grajcie*

*Chwyta za broń u pasa i wymachuje oczy jego niebieskie
Głębiej wryjcie łopaty wy tutaj a wy tam dalej grajcie do tańca*

*Czarne mleko poranku pijemy cię nocą
Pijemy w południe o świcie pijemy cię wieczór
Pijemy pijemy
Człowiek mieszka w tym domu złoto twoich włosów Małgorzato
Popiół twoich włosów Sulamit ten człowiek się bawi z węzami*

*Krzyczy słodziej zagrajcie śmierć ta śmierć jest mistrzem z Niemiec
Krzyczy ciemniej ciągnijcie po skrzypkach a z dymem wzlecicie w po-
wietrze
Grób wtedy macie w chmurach tam się nie leży ciasno*

*Czarne mleko poranku pijemy cię nocą
Pijemy w południe śmierć jest mistrzem z Niemiec
Pijemy cię wieczór o świcie pijemy pijemy
Śmierć jest mistrzem z Niemiec niebieskie ma oko
Trafi cię kulą z ołowiu trafi celnie głęboko*

*Człowiek mieszka w tym domu złoto twoich włosów Małgorzato
Psy swoje na nas poszczuje grobem obdarzy w powietrzu
Z węzami się bawi i marzy śmierć jest mistrzem z Niemiec*

*Złoto twoich włosów Małgorzato
Popiół twoich włosów Sulamit^[16]*

Czytałem tak, jak się nauczyłem, równo i rytmicznie, bez podkreślania poszczególnych słów, bez akcentowania czegokolwiek, bo właśnie to miało znaczenie, nadrzędny tutaj był rytm, rytm był wszystkim.

W tym czasie Ingvild paliła papierosa i wpatrywała się w podłogę przed sobą.

– Prawda, że świetny? – spytałem.

– Tak.

– Uważam, że jest fantastyczny. Zupełnie wyjątkowy. Nigdy wcześniej się z czymś podobnym nie zetknąłem.

Usiadłem na drugim końcu kanapy.

– Yngve powiedział ci, co się stało, prawda? – spytała.

– Woda na herbatę. – Wstałem. – Zaczekaj chwilę!

Wyszedłem do kuchni, zalałem wrzątkiem suche herbaciane listki, które w ciągu kilku sekund miały nabrznieć i zmięknąć, te największe jak kleksy, a wszystkie zawarte w nich substancje – uwolnić się, przesączyć w wodę i ją zabarwić, najpierw na złoto, a później na coraz ciemniejszy kolor.

Przyniosłem dzbanek z dwoma kubkami, postawiłem na stole.

– Powinna jeszcze chwilę naciągnąć.

– Niedługo muszę iść – oświadczyła Ingvild. – Chciałam tylko porozmawiać z tobą o tym, co się stało.

– Nie możesz wypić chociaż kubka herbaty?

Nalałem jej, herbata okazała się za słaba, więc wlałem ją z powrotem do dzbanka, po chwili nalałem ponownie. Tym razem okazała się o wiele ciemniejsza, nawet jeśli nie była idealna, to przynajmniej nadawała się do picia.

– Chcesz mleka?

Pokręciła głową i chwyciła kubek obiema rękami. Wypiła łyk, odstawiła kubek z powrotem na stół.

– To nie miało żadnego związku z tobą – powiedziała. – To, co się stało.

– Wiem. – Nalałem herbaty do swojego kubka.

– Mam nadzieję, że mimo wszystko dalej będziemy przyjaciółmi. Bardzo bym chciała.

– Oczywiście, że możemy nadal być przyjaciółmi. Dlaczego mielibyśmy nie być?

Uśmiechnęła się, nie patrząc na mnie, wypila kolejny łyk.

– A co u ciebie? – spytałem.

– W porządku.

– Jesteś zadowolona ze studiów?

– Nie bardzo wiem – odparła, kręcąc głową.

– To tak jak ja. Ale akademia to tylko rok, a nie sześć lat, jak psychologia. Zastanowię się, co będę robił później. Może pójdę na literaturoznawstwo. Ale i tak zamierzam dalej pisać.

Zapadła cisza. Sprawiało mi ból, że ona tu siedzi.

– Ciągłe mieszkasz w akademiku w Fantoft? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Właśnie się przenoszę do mieszkania studenckiego.

– Tak?

– Owszem. Naprawdę muszę już iść. – Podniosła się. – Dziękuję za herbatę. Do zobaczenia.

Odprowadziłem ją do wyjścia, uśmiechnąłem się do niej, powiedziałem: „trzymaj się”, patrzyłem, jak znika za rogiem, potem wróciłem do siebie, umyłem kubki, opróżniłem popielniczkę, aby nic nie przypominało mi, że tu była, położyłem się na łóżku na plecach i zacząłem się gapić w sufit. Była ósma. Dwie godziny do momentu, w którym będę mógł zasnąć.

Dopóki trwały zajęcia w akademii, całkiem nieźle udawało mi się jakoś przeżyć kolejne dni. Szedłem tam w deszczu rano, bo cenilem przynajmniej możliwość spotkania się z innymi studentami – spędzaliśmy ze sobą tyle czasu, że czułem się z nimi stosunkowo swobodnie – po południu wracałem do domu, znów w deszczu, pod prędko ciemniejącym niebem, jadłem obiad, czytałem, dopóki nie narósł we mnie na tyle duży niepokój, że znów musiałem wyjść, najczęściej w wielką nicość, to znaczy z nikim się nie spotykając. Nie miałem dokąd chodzić, a w mieszkaniu nie byłem w stanie wysiedzieć, więc co mogłem robić? Setka dzikich koni nie zaciągnęłaby mnie samego do kina ani do Opery. Jakoś to się toczyło przez pewien czas, właściwie trudno było się w tym dopatrzeć czegoś złego, sytuację dawało się wytłumaczyć, studiowałem w akademii, w której studentów było niewiele, wszyscy ode mnie starsi, więc z nikim nie mogłem się naprawdę zaprzyjaźnić, w przeciwieństwie do zwyczajnych studentów, których otaczały setki, jeśli nie tysiące im podobnych. Tak, to się dało wyjaśnić, uczyłem się w Akademii Sztuki Pisania, a po jej ukończeniu mogłem wziąć kredyt studencki, wyjechać do Stambułu i tam dalej pisać, w mieście, w którym nikt nie oczekiwałby ode mnie żadnych znajomości, równie egzotycznym i obcym jak baśń. Do diabła, mieć własną przestrzeń

w Stambule!

Pisałem listy i opowiadałem o swoich planach. Czytałem powieści, o których usłyszałem w akademii – Øysteina Lønna, Olego Roberta Sundego, Claude'a Simona, Alaina Robbe-Grilleta, Nathalie Sarraute – chociaż były dla mnie za trudne, to jednak starałem się przez nie przebrnąć, w nadziei, że coś z nich we mnie zostanie. Chodziłem do miasta, kupowałem płyty, piłem kawę w cukierniach, do których przychodzili staruszkowie, ale tam nie myślałem o tym, jak i na kogo wyglądam, ani nie martwiłem się, że kogoś może dziwić, iż jestem sam. Staruszków olewałem, olewałem też samego siebie. Przesiadywałem tam, oglądając płyty, czytając książki, pijąc kawę i paląc. Potem wracałem do domu, w taki czy inny sposób zabijałem czas, kładłem się spać. Zaczynał się nowy dzień. Powszednie dni jakoś mijały, trudniejsze były weekendy, około drugiej, trzeciej po południu pojawiała się chęć, aby wyjść i zabawić się tak jak inni studenci, która około szóstej, siódmej nabierała mocy, bo wtedy w całej okolicy zaczynały się przygrywki do imprez, a ja siedziałem sam. Około ósmej, dziewiątej było już lepiej, bo wkrótce mogłem się położyć. Czasami zdarzało się, że coś mnie wciągnęło, jakaś książka czy tekst, który akurat pisałem, i zapominałem o całej tej sytuacji, a gdy następnym razem spoglądałem na zegarek, okazywało się na przykład, że jest już dwunasta, pierwsza czy nawet druga. To miało duży plus, bo wtedy następnego dnia dłużej spałem, co z kolei skracało ów dzień. W niektóre soboty wychodziłem wieczorem, bo już naprawdę nie mogłem znieść siedzenia u siebie, ciągnęło mnie ku centrum, czasami pod Operę, w której przez okna widziałem roześmiane, rozgadane głowy i szklanki złocistego piwa, ale chociaż żeby wejść, wystarczyło jedynie pchnąć drzwi, bo przecież nie były zamknięte, to jednak z jakiegoś powodu nie mogłem się na to zdecydować. Raz mimo wszystko to zrobiłem i tak jak przypuszczałem – przeżyłem koszmar. Paliłem się ze wstydu, stojąc przy barze i udając, że to najbardziej naturalna rzecz na świecie, piłem, spokojnie się rozglądając, czy nie ma przypadkiem jakichś znajomych... Nie, doprawdy, nie ma nikogo, jakie to dziwne! No cóż, trudno, po prostu postoję sobie, wypiję jedno piwo, zanim pójdę do domu i położę się spać... Jutro tyle roboty, więc może i lepiej mieć jeden spokojny wieczór... Pospiesznie wracałem do domu, wściekły na siebie i własną głupotę, nie miałem tam czego szukać, to było idiotyczne posunięcie, po co się tak afiszowałem z własnym nieudacznictwem?

W następny weekend zadzwoniłem do Yngvego. Miał telewizor, chciałem spytać, czy zamierza oglądać mecz ligowy, a jeśli tak, to czy mogę do niego przyjść. Nie zapomniałem o Ingvild, wiedziałem, że nigdy mu tego nie wybaczę, ale byliśmy braćmi o wiele dłużej, niż kochałem się w Ingvild, więc musiała istnieć możliwość rozdzielenia tych dwóch relacji, tego myślenia dwoma torami.

- Halo? – odezwał się.
- Cześć, tu Karl Ove.
- Dawno się nie słyszeliśmy. Co u ciebie?
- W porządku. Chciałem tylko spytać, czy będziesz dziś oglądał mecz.
- Owszem, taki miałem zamiar.
- A pasowałoby ci, gdybym wpadł?
- Pewnie. Przychodź.
- Będzie Ingvild? Bo jeśli tak, to nie przyjdę.
- Nie, w ten weekend pojechała do domu. Po prostu przyjdź.
- No to będę. Na razie.
- Na razie.
- A obstawiłeś coś?
- Tak.
- Za ile?
- Za dwie dychy.
- Okej. Do zobaczenia.

Kupiłem torbę piw w sklepie po sąsiedzku, wziąłem prysznic, przebrałem się, potem wdrapałem się w deszczu pod górkę do kiosku i obstawiłem zakłady, chwilę czekałem na autobus, wsiadłem i w trakcie jazdy przyglądałem się wszystkim światłom i wszystkim ruchom wypełniającym miasto, wielości kolorów i kształtów, wszystkim światłom odbijającym się w wodzie i poruszającym się w niej, wszystkim parasolom i rozbieganym wycieraczkom, wszystkim pochylonym głowom i zasznurowanym kapturom, wszystkim kaloszom i kurtkom przeciwdeszczowym, całej wodzie płynącej po chodnikach i walącej z rynien, mewom, które nad tym wszystkim krążyły i zmoknięte przysiadły na czubku masztu flagowego albo na śmiesznie wielkim pomniku na Festplassen,

posągu mężczyzny naturalnych rozmiarów umieszczonym na szczycie kolumny. Ile mogła mieć wysokości? Dwadzieścia metrów? Trzydzieści? Christian Michelsen, burmistrz Bergen i premier, czym sobie zasłużył na taki los?

Bergen, miasto świszczących wycieraczek.

Bergen, miasto wiatru i wynajmowanych mieszkań bez łazienek.

Bergen, miasto ludzi ryb. Spójrzcie tylko, jak rozdziawiają pyski!

To tutaj dotarł dziadek, gdy wyprzedawał swoją niewielką biblioteczkę, chodził po wioskach, od domu do domu, i proponował ludziom książki, żeby za te pieniądze sprawić sobie nowy garnitur. To tutaj kupił obrączki, kiedy miał się żenić z babcią. Bergen to było dla nich m i a s t o. Stroił się, gdy się tu wybierał, wkładał najlepsze ubranie i najlepszy kapelusz, przypuszczalnie od zawsze.

Przejsć przez Danmarksplass, skręcić w prawo pod sztyldami przy niewielkiej drewnianej budce, w której sprzedawano opony, zaraz potem w lewo i pod górę, wśród robotniczych domów.

Wszystko jest jak zwykle, pomyślałem, kiedy zadzwoniłem do drzwi i czekałem, aż Yngve otworzy. Wszystko jest jak dawniej.

I rzeczywiście tak było.

Kupił toffi w czekoladzie, które w dzieciństwie tata zwykle nam dawał podczas meczu, i przygotował dzbanek kawy, wypiliśmy ją, zanim przeszliśmy na piwo i chipsy po rozpoczęciu drugiej połowy. Zanotowaliśmy wyniki pozostałych jedenastu meczów, przez chwilę Yngvemu zapowiadało się dziesięć trafień, ale pod koniec mu nie poszło, ja miałem siedem, mniej więcej tyle, co zwykle, kiedy obstawiałem.

Po meczu zjawili się Asbjørn z Olą, jakiś czas piliśmy i gadaliśmy, potem taksówką pojechaliśmy do miasta i poszliśmy do Café Opera. Żaden ani słowem nie wspomniał o Ingvild. W pierwszych godzinach wieczoru starałem się zanadto nie wychylać, nie miałem nic do powiedzenia, nic do dorzucenia, ale coraz bardziej się upijałem, aż w końcu zmieniłem się w pępek świata i zacząłem bredzić o wszystkim, co mi wpadło do głowy. Mówiłem, że w przyszłym roku przenoszę się do Stambułu i tam będę pisał, twierdziłem, że piszę lepiej niż Bret Easton Ellis, który w przeciwieństwie do mnie ma w sercu lód, powtarzałem, że Jan Kjørstad czytał moje teksty i że mu się podobały. Nie może-

my iść do domu, oświadczyłem, kiedy w knajpie zamrugały światła, na szczęście nikt nie miał takiego zamiaru, prawie wszyscy, którzy wcześniej byli w Operze, stali i gadali na ulicy przed lokalem, czekając, aż padnie propozycja dokończenia gdzieś tego pijaństwa. Erling i Arvid, którzy razem z kilkoma innymi osobami zajmowali duży dom przy Villaveien, na tyłach Centrum Studenckiego, zaproponowali, żebyśmy się tam przenieśli, co prawda, nie mieliśmy co pić, ale to też nie stanowiło problemu, bo zaraz ktoś pobiegł po takśówkę, żeby pojechać do siebie po alkohol, a my wolnym krokiem ruszyliśmy w tamtą stronę. Arvid i Erling przodem, reszta ciągnęła się za nimi jak warokocz komety.

Zarówno Erling, jak i Arvid pochodzili z Tromøi. Erlinga zapamiętałem jako bramkarza drużyny chłopaków starszych od tych, z którymi sam grałem. Zawsze pogodny, zawsze uśmiechnięty, chociaż nie stronił od wbijania szpil. Nie był szczególnie wysoki, ale miał w sobie pewną tyczkowatość, z którą wiązała się wręcz niezborność ruchów, zwróciłem na to uwagę już wtedy, gdy grał na bramce. Arvid był wielki, potężny i wszędzie, gdzie się znalazł, zajmował dużo miejsca. Ci dwaj razem stanowili jądro grupy. Liczyło się, czy podniosą kciuk do góry, czy go odwróca. Ale ja jako brat Yngvego najwyraźniej miałem swoją odporność, w każdym razie tak było, kiedy przyjechałem do Bergen.

Wędrowałem po dużych pokojach starej drewnianej willi, prawie pozbawionych mebli, pojawił się mocniejszy alkohol, piłem, ktoś się we mnie wpatrywał, podszedłem do niego, spytałem, na co się gapi, odparł, że nigdy wcześniej mnie nie widział i po prostu się zastanawia, kim jestem, wtedy wziąłem go za rękę i odgiałem mu palce do tyłu tak mocno, że aż zaczął krzyczeć, dopiero wówczas go puściłem. Co ty wyczyniasz? – syknął. Zwariowałaś? Zostawiłem go i przeszedłem do sąsiedniego pokoju, w którym cała banda rozsiadła się na podłodze, między innymi był tam kolega Yngvego ze studiów, ten, który siedział z nimi przy stoliku, gdy za pierwszym razem przyszliśmy do Opery. Wyglądasz identycznie jak Jan Kjærstad! – zawołałem. Jakbym go widział! Wcale nie, zaprotestował. Nie jestem ani trochę do niego podobny. Rzeczywiście, wcale go nie przypomina, Karl Ove, stwierdził Asbjørn, który również był w tej grupie. A ty przypominasz Tarjeia Vesaasa! – wskazałem na Arvida. Roześmiał się: to ma być komplement? Właściwie to nie, odparłem i odwróciłem się, bo stanął za mną Yngve. Uspokój się, powiedział. Podobno

usiłowałeś złamać komuś palce. Nie możesz robić takich rzeczy. Tu każdy każdego zna, prawda? Więc się uspokój. Okej, uspokoję się, obiecałem. Bardzo mi tu dobrze. Rozmawiamy o literaturze. O Kjærstadiem i Vesaasie. Z tymi słowami go zostawiłem i poszedłem do kuchni, otworzyłem lodówkę, od mocnego alkoholu zrobiłem się cholernie głodny, w środku leżała połówka kurczaka, więc ją sobie wziąłem i zacząłem ogryzać, siedząc na blacie, a potem popiłem whisky. Ten moment, taki wspaniały, siedzenie na blacie w studenckim mieszkaniu, jedzenie kurczaka i picie whisky, był ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem. Potem otoczyła mnie czerń, w pamięci pozostał mi jeszcze tylko jeden obraz: wnoszę do środka kamienie i układam je na podłodze w salonie, wbiegam i wybiegam, dopóki ktoś mnie nie powstrzyma, a później już wszystko przepadło.

Końcówka jesieni wyglądała właśnie tak, uczepliłem się Yngvego i jego przyjaciół, byłem milczący i zawstydzony, ale uprzejmy i życzliwy w pierwszych godzinach, dopóki alkohol nie zadziałał na dobre, wtedy z moich ust mogło wydobyć się wszystko, moje dłonie także mogły zrobić wszystko, i nazajutrz budziłem się otoczony płynącym z mojego wnętrza mrokiem, w którym raz po raz waliły mnie w twarz kolejne obrazy moich zachowań i słów; jedynie największym wysiłkiem woli zaczynałem działać normalnie, dosłownie zaciągałem samego siebie w zwyczajność, która powoli zwyciężała. W miarę upływu semestru coraz wyraźniej sobie uświadamiałem, że przynależę do tego, co zwyczajne, jestem pozbawiony głębi i oryginalności, niezbędnych, aby zostać pisarzem, ale z drugiej strony nie chciałem też tylko siedzieć z innymi i w ogóle się nie odzywać, hamować się i milczeć, bo to przecież też nie było moje prawdziwe oblicze, a w takiej sytuacji jedyną rzeczą, jaka mi pomagała, jedyną, jaka mogła mnie z tego wyciągnąć i przeprowadzić w stan o wiele większej swobody, znacznie bliższy mojemu ja, był alkohol. Czasami nic złego się nie działo, czasami wieczór kończył się w porę, bez żadnych specjalnych ekscesów, byłem po prostu wesoły i dobrze się bawiłem, ale kiedy indziej nie szło tak gładko, bo rozpadałem się na kawałki, tak jak rok wcześniej w północnej Norwegii, całkowicie traciłem kontrolę nad sobą. Miałem zwyczaj sprawdzać drzwiczki zaparkowanych samochodów mijanych po drodze, zdarzało się niekiedy, że któryś był otwarty. Siadałem wtedy za kierownicą i próbowałem odpalić auto, wiedziałem, że należy połączyć ze sobą jakieś kable,

ale nie miałem pojęcia które, i nigdy w ten sposób nie udało mi się uruchomić żadnego samochodu, ale już samo podjęcie takiej próby następnego dnia wydawało mi się straszne. W pewnym samochodzie zaparkowanym na górze w pobliżu mojego mieszkania zwoźniłem hamulec ręczny, więc stoczył się o metr albo dwa i wpadł na inne auto, które stało przed nim. Uciekłem stamtąd, przepełniony radością. Poza tym wielokrotnie próbowałem zabierać rowery, zaglądałem na tylne podwórza i szukałem nieprzyjętych, a gdy jakiś znalazłem, wracałem na nim do domu. Raz, kiedy się obudziłem, zobaczyłem rower stojący przy łóżku, musiałem zaczekać, aż się ściemni, dopiero wtedy wyprowadziłem go na sąsiednią ulicę, cały czas pełen obaw, że ktoś mnie zobaczy i przyjedzie policja. Kiedy indziej w jakimś domu zauważyłem ludzi za oknem na drugim piętrze, pognałem na górę po schodach, zapukałem i wpadłem do nich, zaczęli kręcić głowami, więc odwróciłem się na pięcie i wyszedłem. Nie było we mnie zła, niszczyć chciałem jedynie rzeczy, nigdy ludzi, lecz przy tak obniżonej zdolności do oceny sytuacji mogło się zdarzyć wszystko, rozumiałem to i prawdopodobnie dlatego w następnych dniach odczuwałem tak silny lęk. Yngve, z którym włączyłem się tyle samo co wcześniej, powtarzał mi, że nie powinienem pić, i proponował, żebym zamiast alkoholu zaczął palić haszysz, sugerował, że to może być dla mnie lepsze. Powiedział, że zaczynam mieć złą opinię, a to się odbija również na nim. Nie przestał mnie jednak zapraszać, może dlatego, że mimo wszystko częściej widział mnie takiego, jaki byłem zawsze, niż takiego, jaki potrafiłem się stać, kiedy wychodziliśmy na miasto.

W połowie listopada skończyły mi się pieniądze, ale w zasadzie nawet mi to odpowiadało, bo mieliśmy miesięczny okres pisania, pojechałem wtedy do mamy, do jej maleńkiego wynajętego mieszkania, pisałem nocami, podczas gdy ona spała w tym samym pokoju, w ciągu dnia spałem w przedpokoju, a ona wychodziła do pracy. Potem jedliśmy razem obiad, wieczorami rozmawialiśmy albo oglądaliśmy telewizję, później mama kładła się spać, a ja zaczynałem pracę. Po dwóch tygodniach odwiozła mnie do Sørbøvåg, tam było więcej miejsca, i zanurzyłem się w tamto życie, tak nieskończenie dalekie od tego, które wiodłem w Bergen, ale nie bez wyrzutów sumienia, bo w otoczeniu słabości i choroby, lecz również woli życia i panującego tam ciepła, wyraźnie widziałem, jak niegodne jest to, co robię.

Po świętach Bożego Narodzenia Yngve przeprowadził się do wspólnego mieszkania studenckiego na Fjellsiden, bo to, które zajmował do tej pory, miało zostać sprzedane. Studenci wynajmowali razem dużą, okazałą willę, często tam bywałem, było to jedno z nielicznych miejsc, do których mogłem pójść. Yngve mieszkał razem z trzema innymi chłopakami, z jednym z nich, Perem Rogerem, trochę gadałem, interesowałem się literaturą i sam pisałem, ponieważ jednak należałem do sfery Yngvego, czułem się od niego o wiele gorszy i odpowiadałem ledwie półsłówkami, kiedy mnie o coś pytał, więc i z tej znajomości nic nie wyszło.

W akademii zaczął się kurs eseistyki, pisałem o *Władcy pierścieni* Tolkiena, jednej z tych książek, takich jak *Drakula* Brama Stokera, które naprawdę uwielbiałem, i chociaż ta pozycja nie należała do literatury faworyzowanej przez wykładowców, z którymi mieliśmy zajęcia, to jednak dostałem pochwałę od Fossego – stwierdził, że piszę zwięzłym, precyzyjnym językiem, a moje wnioski są słuszne i ciekawe, więc najwyraźniej mam talent raczej do prozy bliższej literaturze niebeletrystycznej. Ta pochwała była jak obosieczny miecz, bo czy nie oznaczała, że moja przyszłość leży w literaturze o literaturze, a nie w samej literaturze?

Kilkakrotnie odwiedzał nas Øystein Lønn, mieliśmy oddawać mu teksty, ale ja nie chciałem, nie miałem siły na kolejne upokarzające seanse, więc zamiast tego poszedłem do niego prywatnie, do hotelu, z maszynopisem w ręku. Na początku kursu zapowiedział, że jest do naszej dyspozycji od rana do wieczora i że mamy się do niego zgłaszać, jeśli będziemy chcieli o czymś porozmawiać. Dlatego któregoś wieczoru około siódmej ruszyłem przez wzgórza, nade mną latarnie kołysały się na wietrze, wokół mnie deszcz bębnił o ściany i dachy, niebo nie miało dna, od początku września padało codziennie, z paroma godzinnymi wyjątkami od blisko ośmiu miesięcy nie widziałem słońca. Ulice opustoszały, a ci, którzy się po nich poruszali, szli szybkim krokiem, trzymając się blisko ścian domów, chodziło o jak najszybsze dotarcie z punktu A do punktu B. Woda w zatoce Vågen migotała w blasku świateł budynków stojących wzdłuż nabrzeża, wolno podpływał któryś z ekspresowych promów. Kiedy mijiałem terminal, opuszczono trap i ludzie zaczęli wysiadać, większość kierowała się do oczekujących taksówek.

Pisarz mieszkał w hotelu Neptun za rogiem, w recepcji podano mi numer pokoju, poszedłem na górę i zapukałem.

Lønn, potężny mężczyzna o wielkich dłoniach i szerokiej twarzy, spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Powiedziałeś, że możemy przyjść, kiedy będziemy chcieli o czymś porozmawiać. Przyniosłem tekst i zastanawiam się, czy mógłbyś na niego spojrzeć.

– Tak, tak, pewnie, że mogę. Proszę, wejdź!

W pokoju było ciemno, paliły się jedynie dwa kinkiety nad łóżkiem, a czerwony dywan, rozciągający się od ściany do ściany, jakby chłonał światło.

– Siadaj – powiedział Lønn. – Na co mam spojrzeć? Przeczytam na jutro, dobrze?

– To krótkie – wyjaśniłem. – Strona z kawałkiem.

– No to rzucę okiem.

Podąłem mu tekst, włożył na nos okulary i zaczął czytać.

To była historia o kilku chłopcach, którzy wspinają się na przęsło mostu, pada gęsty śnieg, chłopcy znikają we mgle, jeden z nich skacze w wodę. Okazuje się, że to się dzieje regularnie, za każdym razem jeden z nich musi wykonać skok śmierci. Owo opowiadanie, czy też raczej krótki tekst prozatorski, powstało z inspiracji twórczością Julia Cortáзара.

– Taak – odezwał się w końcu Lønn, zdjął okulary, złożył je i wsunął do kieszeni koszuli. – Ładna historyjka. Krótko i precyzyjnie opowiedziana. Wiele więcej nie da się o niej powiedzieć, prawda?

– No tak. Podobała ci się?

– Owszem, nawet bardzo.

Wstał. Ja też się podniosłem. Podał mi tekst.

– Powodzenia – rzucił.

– Dziękuję.

Zamknąłem za mną drzwi, ruszyłem korytarzem, mając ochotę głośno krzyknąć z powodu własnej głupoty. Co chciałem osiągnąć? Czego się spodziewałem? Że usłyszę, iż właściwie jestem geniuszem? Że powie o mnie swojemu wydawcy?

Nie. Nie że jestem geniuszem. Tak mi się wcale nie wydawało, ale nie wykluczałem możliwości, że go zaciekawię i może napomknie o mnie komuś w wydawnictwie. Wydawnictwa czasami interesowały się uczniami ze szkół pisania, to było powszechnie wiadome. Dlaczego więc nie mną?

Lønn zakończył swój kurs kilkoma starannie dobranymi zdaniami na temat każdego ze studentów i ich rozmaitych projektów literackich, których fragmenty otrzymał. Pochwalił wszystkich, z wyjątkiem mnie, o mnie nie wspomniał ani słowem.

Wyszedłem stamtąd wściekły i rozgoryczony.

Rzeczywiście, w przeciwieństwie do innych nie oddałem mu żadnej pracy, ale przecież c z y t a ł jeden z moich tekstów. Dlaczego postanowił to ukryć? Jeśli uważał, że to takie cholernie słabe, mógł chyba przynajmniej o tym napomknąć.

Od tej pory przez kilka tygodni trzymałem się z dala od akademii. Wagarować zacząłem już jesienią, a po świętach Bożego Narodzenia jeszcze się to nasiliło, nie mieliśmy obowiązku uczestniczyć w zajęciach, dano nam pod tym względem pełną swobodę, i dopóki czułem się tak, jakby ktoś wpychał mi głowę do kibla za każdym razem, gdy się pojawiłem, nie znajdowałem powodu, żeby stawiać się tam codziennie, uznałem, że już lepiej siedzieć w domu i pisać, przecież kiedy starałem się o przyjęcie, twierdziłem, że ta uczelnia umożliwi mi pisanie na cały etat przez rok.

Wiosną więc częściej bywałem w domu niż w akademii, a po aferze z Lønnem prawie w ogóle przestałem się tam pojawiać. Ale też nie pisałem, wszystko wydawało mi się bez sensu, z wyjątkiem wychodzenia na miasto – to wciąż kojarzyło mi się z tym, kim pragnąłem być, z wyobrażeniem dekadencejczy, wielkomijskiego życia bohemy, pisarza, który zmierza ku upadkowi z otwartymi oczami i butelką na stole. Złamałem jedną ze swoich zasad, któregoś wieczoru wyszedłem pić sam, usiadłem w Fekterloftet przy karafce białego wina. Ów pub charakteryzował się tym, że pracowały w nim wyłącznie śliczne dziewczyny. Właśnie dlatego, kiedy już wyszedłem sam, wybrałem akurat to miejsce, liczyłem, że uda mi się nawiązać z którąś rozmowę, tak się jednak nie stało, były zajęte wyłącznie podawaniem do stołu, więc po wypiciu drugiej karafki wstałem i poszedłem do Opery, tam przesiedziałem w barze aż do zamknięcia, a że nie pojawiła się przez ten czas żadna znajoma twarz, wyruszyłem w końcu w drogę do domu. Obudziłem się, bo ktoś mnie szarpał. Otworzyłem oczy, zorientowałem się, że leżę w jakimś korytarzu na podłodze, usiadłem i zobaczyłem Jona Olava. Zgasłem pod jego drzwiami. Kieszenie kurtki przeciwdeszczowej miałem wypchane drobnymi kamyczkami. Zrozumiałem, że

musiałem ich nazbierać, by rzucać nimi w jego okno. Być może jednak zjawił się ktoś, kto tam mieszka, i wszedłem za nim na klatkę. Jon Olav śmiał się ze mnie, a ja, nękany dziką potrzebą snu, wróciłem do domu. Parę dni później poszedłem do Café Opera przed południem. Nie miałem siły iść do akademii, nie miałem też siły siedzieć w domu, więc postanowiłem wybrać się tam, kupić butelkę wina i zobaczyć, co się wydarzy. Upicie się w środku dnia okazało się całkiem przyjemne, towarzyszyło temu wielkie poczucie wolności, teraz gdy nic mnie nie obchodziło, dzień nagle się otworzył i zaoferował zupełnie inne możliwości. Po pijaku samo przejście ulicą po gazety do kiosku stało się przeżyciem. Trochę jakby w świecie wybito dziurę; wszystko, co zwyczajne – choćby półki z gumą do żucia, pastylkami na gardło i batonami – zabarwiło się czymś strasznym, gdy patrzyłem na to, będąc na rauszu w środku dnia. Nie mówiąc już o artykułach, które kilka minut później czytałem przy stoliku pod oknem. Wszystko wydawało mi się oblepione jakąś zgnilizną, jednocześnie towarzyszyły temu gwałtowne odczucia, bliskie triumfowi. Do diabła, byłem kimś, dostrzegałem coś, czego nie widział nikt inny, zaglądałem wprost w dziurę w świecie.

Siedziałem tam i piłem przez kilka godzin, około piątej zjadłem obiad, potem zajrzałem do księgarni i kupiłem powieść Jayne Anne Phillips, którą usiłowałem czytać w następnych godzinach, ale niezbyt dobrze mi to szło, nie potrafiłem się skoncentrować dłużej niż kilka minut. Każde zdanie wywoływało we mnie kolejny przypływ uczuć. Ja też tak potrafię, myślałem. A nawet lepiej. O wiele, wiele lepiej.

Zacząłem przysypiać, oczy same mi się zamykały i odpływałem na moment, budziłem się ze wzdrygnięciem, nie wiedząc, jak długo spałem, dookoła robiło się coraz tłoczniej. Nagle stanął przede mną Per Roger.

– Cześć, Karl Ove – powiedział. – Przyszedłeś do knajpy sam?

Nie widziałem powodu, żeby zaprzeczać, więc kiwnąłem głową.

– No to przysiadź się do nas – zachęcił. – Siedzimy po drugiej stronie.

Długo na niego patrzyłem. Co on mówi?

– Ile właściwie wypiełeś? – spytał ze śmiechem. – Przyjdiesz? Są też z nami dziewczyny!

Wstałem, poszedłem za nim do stolika, usiadłem na krześle i kiwnąłem głową pozostałym. Było ich pięcioro. Chłopak najbliżej mnie miał półdługie ja-

sne włosy i okulary, bokobrody i T-shirt z nadrukiem przedstawiającym czaszkę, węża i sztylet, a na nim szarobiałą kurtkę z koźłej skóry. Siedzący obok niego miał długie ciemne włosy i zamglone oczy. Dalej była dziewczyna, o jakieś dwa lata starsza ode mnie, od której nie odrywał spojrzenia ostatni chłopak, krótkowłosa, przystojny brunet z przebiegłą miną.

– To jest Karl Ove – przedstawił mnie Per Roger.

– Skądś cię znam – powiedział blondyn. – Studiujesz?

– Uczę się w Akademii Sztuki Pisania – odparłem.

– Naprawdę? No to rozmawiasz z niewłaściwą osobą. Jeżeli czegoś mi brakuje, to właśnie kultury. A tak w ogóle, to na imię mi Gaute.

Pochodził z Bergen, podobnie jak jego kumpel, natomiast ten przebiegły brunet był z Oddy. Dziewczyna pochodziła z południa kraju. Gaute i Per Roger dużo mówili i śmiali się, pozostali niewiele się odzywali, czasami trochę podśmiewali się z czegoś, co powiedział Gaute, lecz zdawali się przebywać w innym miejscu. Piłem i wyglądałem przez okno. Patrzyłem na suchy asfalt, oświetlony światłem latarni. Do stolika przysiadł się jakiś niewysoki facet, na oko dwudziestopięcioletni, ubrany w białą koszulę. Oczy miał niebieskie i zimne, niewykazujące zainteresowania.

Gaute spojrział na mnie.

– Wiesz, jak się nazywa skóra wokół pizdy? – spytał.

– Nie wiem.

– Kobieta.

Roześmiał się, ja także, wznieśliśmy toast. Powoli ogarniało mnie coraz głębsze odurzenie, czułem się cudownie, przestałem się czymkolwiek przejmować. Trochę się śmiałem, coś mówiłem, kiedy szklanki się opróżniały, chodziłem do baru po kolejne piwa.

Nie trzeba było długo przebywać z Gautem, by zrozumieć, że z całego serca potępia wszystko, co ma jakikolwiek posmak władzy i ustalonego porządku, że wręcz tego nienawidzi. Poznałem wiele osób nastawionych antymieszczańsko, jednak byli to studenci i stanowili część systemu, on natomiast zdawał się ponosić wszelkie konsekwencje swoich poglądów, pozostawał całkowicie poza nawiasem, a jednocześnie żartował i naśmiewał się ze wszystkiego, sypał dowcipami o Żydach i Murzynach, a ja śmiałem się z nich tak, że nie mogłem przestać. Po zamknięciu Opery zaproponował, żebyśmy poszli do niego, posłu-

chali płyt i trochę popalili, więc wytoczyliśmy się na zewnątrz, złapaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do jego mieszkania, które, jak się okazało, znajdowało się na Nordnes.

Kiedy wysiedliśmy z taksówki i weszliśmy na klatkę schodową, Per Roger powiedział, że piją już od pół roku i mają zamiar dalej to robić; oświadczyłem, że też bym tak chciał, na co stwierdził, że wystarczy po prostu do nich dołączyć, i weszliśmy do mieszkania Gautego.

– To mieszkanie mojej matki – wyjaśnił. – Dlatego tak tu ładnie. Przepraszam, cha, cha, cha. Tylko nie życzę sobie żadnych krzyków, bo mam sąsiadów.

– Daj spokój, Gaute – ofuknął go Per Roger. – Jeśli zechcę krzyczeć, to będę krzyczał.

Gaute nie odpowiedział, tylko wyjął płytę, a ja usiadłem przy stole. Rozległa się mroczna, hałaśliwa muzyka. Tamten drugi długowłosy chłopak, którego imienia nie zapamiętałem, wyjął z lodówki ogromną marchewkę i zaczął w niej dłubać. Siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę i pochłonięty swoim przedsięwzięciem.

– Co robisz? – spytałem.

Nie odpowiedział.

– Rzeźbi fajkę – wyjaśnił Gaute. – Pochodzi z Åsane. Tam mieszkają same niedojdy i właśnie takimi rzeczami się zajmują. Ale ty nie jesteś wyznawcą Lords of the New Church?

Pokręciłem głową.

– Pop i indie.

– Pop i indie – powtórzył, kręcąc głową. – No, nie doczekamy się tej fajki. Masz tytoń, prawda?

– Owszem.

– A co byście powiedzieli, gdyby na stole pojawił się *horse*? – spytał ten z zimnymi oczami.

– Koń na stole? – zaśmiał się Gaute. – A jaki to ma sens?

– Nie masz nic do picia? – spytałem.

– Gdzieś może został łyk czegoś. Nie wiem. Sprawdź tam, jeśli ci się chce. – Ruchem głowy wskazał kuchnię. – Ja bym sobie chętnie zapalił. – Popatrzył na chłopaka z Oddy. – Mówiłeś, że coś przyniosłeś?

Ten z Oddy potwierdził, wyjął grudkę haszyszu, owiniętą w sreberko, oraz opakowanie dużych bibułek Rizla i podał to wszystko Gautemu, który ogrzał grudkę, ja ułożyłem tytoń na bibułce, wyskubałem najdłuższe włókna i kilka razy przesunąłem nad nim zapalniczką, bo widziałem, że tak robili inni, po czym podałem go Gautemu, on zaś dodał do niego haszyszu, polizał bibułkę, skleił i podał mi gotowego skręta.

Wypaliliśmy połowę. Wstałem, żeby pójść do kibla, i poczułem się tak, jakby ktoś spuścił mi bombę na głowę, myśli się rozpierzchły, jeden fragment tu, drugi tam, sikając, mamrotałem do siebie urywki zdań.

Kiedy wróciłem do pokoju, Gaute i Per Roger głośno rozmawiali, prawie się przekrzykiwali, dowcipy o Żydach mieszały się z zabawami słownymi i wyzwiskami. Tego z zimnymi oczami nigdzie nie było widać. Facet z Oddy obmacywał dziewczynę, która siedziała mu na kolanach. Długowłosey niedojda napychał tytoniem fajkę z marchewki. Osunąłem się na podłogę przy ścianie. Przy stole zaczęła się rozmowa o najbardziej brutalnych sposobach na popełnienie samobójstwa. Gaute się nachylił i podał mi skręta, zaciągnąłem się głęboko.

– Oddawaj. – Gaute zachichotał.

Podąłem mu go, zaciągnął się i długo siedział z wydętymi policzkami, nim w końcu wypuścił powietrze i posłał skręta do Pera Rogera.

– Wpadłeś w samobójcze gniazdo os – roześmiał się. – Zamierzamy pić, dopóki damy radę, a potem ze sobą skończyć. Taki mamy plan. A Per Roger mówi, że chcesz się do nas przyłączyć.

– Owszem – przyznałem. – Przynajmniej do tej części z pić.

– Jedno jest powiązane z drugim. – Gaute znów się roześmiał. – Ale musimy to robić po kolei, żeby ci, którzy zostaną, mogli sprzedać włosy i złote plomby i mieć na przetrwanie jeszcze kilku dni. Cha, cha, cha!

Per Roger, śmiejąc się, patrzył na mnie. Nagle zaczął deklamować:

*poruszać się wraz z wężem
płynnymi ruchami
gdzie wąż podąży*

– Co to było? – spytałem. – *Pieśń Najwyższego z Eddy* czy coś takiego?

– Nie, mój własny wiersz.

– Naprawdę? Świetny.

– Wszyscy wiemy, o czym wężu myślisz! – zarechotał Gaute. – I wiemy, dokąd on zmierza. Płynne ruchy, no, no!

Per Roger śmiał się z komentarza Gautego, ale jednocześnie wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi, poważnymi oczami. Spuściłem wzrok.

Facet z Oddy wstał i zniknął gdzieś z dziewczyną, ale nie chciało mi się nawet spojrzeć, dokąd poszli. Odpłynąłem. A kiedy znów otworzyłem oczy, w pokoju było pusto, nie licząc faceta z marchewką, który spał na podłodze. Wstałem i wyszedłem. Ciemność była gęsta, ulice puste. Nie miałem pojęcia, która może być godzina, po prostu szedłem w stronę miasta, prawie nieobecny. Za mną z szumem nadjeżdżał samochód, okazało się, że to taksówka, uniosłem rękę, zatrzymała się, wybełkotałem adres, a gdy przyspieszyła na wybrukowanej ulicy, miałem wrażenie, że się wznoszę, że płynę w powietrzu jak balon pod sufitem, musiałem zapanować nad tym uczuciem, nie mogłem fruwać w taksówce, ale się nie dało, unosiłem się pod sufitem jak balon przez całą drogę do domu. Tam się rozebrałem, położyłem do łóżka i zasnąłem jak kamień. Kiedy się obudziłem, na dworze było zupełnie ciemno. Spojrzałem na zegarek. Piąta.

Piąta po południu czy piąta rano?

Najpewniej po południu.

Wychyliłem się i wyjrzałem przez okno. Dwoje dzieciaków w przeciwdeszczowych strojach kopało piłkę po drugiej stronie ulicy. A więc popołudnie. Zszedłem do piwnicy, wziąłem prysznic, a potem, głodny jak wilk, usmażyłem sobie wszystkie jajka, jakie miałem, ułożyłem je na sześciu kromkach chleba i pochłonałem wraz z litrem mleka z czekoladą w proszku Nesquik.

Miałem wrażenie, jakbym ujrzał otwierające się bramy piekła.

Pisałem całą noc, przy wtórze deszczu siekącego w okno za moimi plecami i od czasu do czasu kroków jakiegoś pijanego nocnego wędrowca, sunącego pustą ulicą. Rano, kiedy dom wypełnił się odgłosami ludzi rozpoczynających dzień, znów położyłem się spać i obudziłem się około pierwszej, wyrwany ze snu, w którym umarłem. Coraz częściej coś mi się śniło, a w tych snach bałem

się bardziej niż kiedykolwiek na trzeźwo. Zwykle spadałem z dużej wysokości, czasami również tonąłem. Wydawało mi się, że to się dzieje naprawdę, że sytuacja jest rzeczywista i mam pełną świadomość. W myślach powtarzałem: umieram.

Ubrałem się, zjadłem kilka kanapek i poszedłem do Yngvego.

Zadzwoiłem do drzwi, otworzyła mi jakaś dziewczyna.

– Cześć – powiedziała. – Yngve wyszedł. Wejdiesz i zaczekasz?

– Owszem, mogę. A może zastałem Pera Rogera?

– Nie, nie ma go już od kilku dni. Chyba poszedł w tango.

Nie przyznałem się, że piłem z nim poprzedniej nocy, nie miałem ochoty na żadne rozmowy.

– Dasz sobie radę sam, prawda? – spytała, a kiedy potwierdziłem, poszła do swojego pokoju. Usiadłem na kanapie, wziąłem jakiś magazyn spośród tych, które leżały na stole, i zacząłem go przeglądać.

Po pewnym czasie stanąłem przy oknie i zapatrzyłem się na szare morze zlewające się z niebem, na czerwone dachy i białe ściany domów, wznoszące się gęsto jedno przy drugim i opadające ku centrum miasta. Z tego, co wiedziałem, Yngve mógł się zjawić dopiero następnego dnia.

Ta sama dziewczyna znów zeszła na dół, przemknęła do kuchni, z której zaraz wystawiła głowę, i spytała, czy napiłbym się herbaty.

– Nie, dziękuję – powiedziałem. – Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Yngve?

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że wybierał się do Ingvild.

– Aha. No to może długo zabawić.

Naturalną konsekwencją tej informacji byłoby moje szybkie wyjście. Ale nie chciałem wychodzić. Pomyślałem, że dam mu jeszcze pół godziny, i wszedłem do jego pokoju. Stanowił część wspólnego mieszkania, więc nie był równie prywatnym pomieszczeniem, jak zwyczajna sypialnia, ale mimo wszystko, kiedy tam przebywałem, czułem się dość nieswojo. Pachniało tu tak samo jak w mieszkaniu na Solheimsviken, rzeczy też były te same, łącznie z białym pledem z Ikei na łóżku. Przejrzałem kolekcję płyt i zacząłem rozważać, czy którejś nie nastawić, ale doszedłem do wniosku, że gdyby zastał mnie siedzącego u niego w pokoju i puszczającego płyty, mógłby to uznać za zbyt

swobodne zachowanie. Tak robić nie wypadało.

Mogłem równie dobrze wrócić do domu.

Wyszedłem do przedpokoju. W chwili gdy się nachyliłem, żeby zawiązać sznurowadła, drzwi się otworzyły i stanął przede mną Yngve, z ociekającym wodą parasolem w jednej ręce i torbą z Mekki w drugiej.

– Wychodzisz? – spytał.

– Już nie. Myślałem, że jeszcze długo cię nie będzie.

Zaniósł zakupy do kuchni, a ja usiadłem w salonie.

– Smażę sobie omlet – zawołał. – Zjesz?

– Mogę zjeść! – odkrzyknąłem.

Zjedliśmy, nie odzywając się do siebie. Yngve trzymał przed sobą pilota i przeglądał wiadomości sportowe w telegazecie. Później zaparzył kawę, dziewczyna zeszła na dół, Yngve z niej zazartował, roześmiała się, zapaliłem papierosa i pomyślałem, że chyba powinienem już iść, chociaż tutaj mimo wszystko jest lepiej niż w domu.

– Skończyłem pisać muzykę do twojego tekstu – powiedział nagle. – Chcesz posłuchać?

Poszedłem z nim do jego pokoju. Przerzucił pas od gitary przez ramię, włączył wzmacniacz, ustawił mikser z echem, zagrał na próbę kilka akordów.

– Gotowy? – spytał.

Kiwnąłem głową, a on zaczął grać, odrobinę zawstydzony. Nie śpiewał za dobrze, ale nie o to chodziło, miałem tylko usłyszeć melodię, a jednak nie byłem w stanie na niego patrzeć, kiedy tak stał z lekko pochyloną głową, z gitarą na wysokości bioder i śpiewał. Ale melodia była chwytliwa, prosta, napisał fajną popową piosenkę.

Powiedziałem mu to. Uniósł gitarę nad głowę i ustawił ją na stojaku.

– Potrzebuję więcej tekstów – oznajmił. – Nie mógłbyś napisać czegoś na szybko?

– Postaram się.

Wróciliśmy do salonu. Powiedział, że jutro wybiera się na imprezę organizowaną za miastem przez kogoś z jego wydziału.

– Miałbyś ochotę pójść?

– Mogę. Będzie Ingvild?

– Wydaje mi się, że tak.

Spotkałem ich razem dwu- albo trzykrotnie. Czuję się dziwnie, ale poszło gładko, wszyscy troje udawaliśmy, że nic się nie dzieje, a ponieważ przestałem wierzyć w jakąkolwiek możliwość związania się z Ingvild, dużo łatwiej mi się z nią rozmawiało. Raz siedzieliśmy sami przy stoliku w Operze, rozmowa toczyła się lekko i swobodnie, ona mówiła o ojcu i swoim stosunku do niego, ja słuchałem, ona opowiadała o swoich czasach licealnych, ja trochę o swoich, ona śmiała się w ten swój fantastyczny sposób, aż oczy niemal wybuchały jej śmiechem. W moich uczuciach dla tej dziewczyny nic się nie zmieniło, ciągle jej pragnąłem, ciągle za nią tęskniłem, ale skoro zdobycie jej było niemożliwe, skoro istniały ku temu tak konkretne przeszkody, przestałem się już bać rozmowy z nią. I choć na początku tego związku unikałem ich jak ognia, w ogóle nie chciałem ich widzieć i dopiero później zacząłem spotykać się z Yngvem, ale ciągle nie widywałem się z Ingvild, nagle wszystko się odwróciło: teraz chciałem, żeby uczestniczyła w moich spotkaniach z Yngvem. Chciałem po prostu na nią patrzeć, przebywać z nią w tym samym pomieszczeniu, chłonąć jej obecność.

Całą noc przesiedziałem nad tekstem dla Yngvego. Bawiło mnie to, było czymś zupełnie innym niż pisanie na zajęcia w akademii, należało tylko wpaść na kilka fraz, które będą dobrze brzmiały, a potem znaleźć do nich jakieś rymy. Nie chodziło o nic szczególnego, o żaden temat, do niczego nie miało to prowadzić i dlatego dawało poczucie swobody. Było jak rozwiązywanie krzyżówki.

Około trzeciej nad ranem miałem już gotowy tekst.

W GŁOWIE SIĘ NIE MIEŚCI

Umieram we śnie

Błękitne noce

Nie mogę zapomnieć

Serce łopoce

Wyję do księżycy

*Dławi mnie żal
Nie znam żadnych granic
Odpływam w dal*

*Wiem, że się da
Jest jak w powieści
Wiem, że się da
Ale w głowie się nie mieści*

*Ty idziesz dalej
Weź mnie na ten bal
Nie znam żadnych granic
Odpływam w dal*

*Umieram we śnie
Błękitne noce
Nie rozumiem, że jestem
w innej epoce*

*Wiem, że się da
Jest jak w powieści
Wiem, że się da
Ale w głowie się nie mieści*

Kiedy przyszedłem do Yngvego wieczorem następnego dnia, zastałem u niego Ingvild, więc zatrzymałem tekst w wewnętrznej kieszeni marynarki, usiadłem z piwem w ręku i spytałem obojętnym tonem, co u niej. Była w tym samym białym swetrze w niebieskie pasy i w dzinsach. Otoczenie, w którym się znalazła, wydawało się zarazem znajome jej i obce. Zacząłem się zastanawiać, czy zawsze taka jest, jakby podzielona, nieustannie jednym okiem spoglądająca na siebie, czy też zachowuje się tak tylko tutaj, u Yngvego. Siedzieli obok siebie na kanapie, ale niezbyt blisko. Od mojego przyjścia ani razu się nie dotknęli. Czyżby ze względu na mnie? Przez delikatność? Czy po prostu tak się do siebie odnosili?

Odpowiedziała, że u niej wszystko w porządku, dobrze jej się mieszka przy

Nygårdsgaten, a historia tego studenckiego lokum sięga lat sześćdziesiątych, kiedyś nawet jednym z lokatorów był Kjartan Fløgstad. Teraz to mieszkanie zajmują znajomi Yngvego, Frank z Arendal, według niej niezły dziwak, i Atle z Kristiansand, a oprócz nich jeszcze dwie dziewczyny.

Po jakimś czasie Ingvild poszła wziąć prysznic, dopiero wtedy wyjąłem kartkę dla Yngvego. Zerknął na tekst. Dobry, ocenił i wetknął go do tylnej kieszeni spodni.

Ingvild przeszła przez pokój, owinięta w wielki ręcznik.

Odwróciłem wzrok.

– Niedługo musimy się zbierać – rzucił do niej Yngve. – Pospiesz się.

– Dobrze, dobrze.

Wypiliśmy jeszcze po piwie, Yngve zaczął się szykować. Otworzył drzwi do pokoju, w którym Ingvild suszyła włosy suszarką.

– Wychodzimy – oznajmił. – Chodź już!

– Muszę jeszcze dosuszyć! – zawołała.

– Nie mogłaś tego zrobić trochę wcześniej? – spytał Yngve. – Przecież wiedziałaś, że niedługo wychodzimy.

Zamknął drzwi.

– Dobrze przynajmniej, że nie zamówiłem taksówki – stwierdził, nie patrząc na mnie.

– No.

Zapadła cisza. Na szczęście w końcu zjawiała się współlokatorka Yngvego i włączyła telewizor.

Na imprezie, na którą przyszli głównie studenci medioznawstwa, a oprócz nich grupa studentów muzyki, jak zwykle byłem młodszym bratem Yngvego i nikim więcej. Dziewczyny bawiło nasze zewnętrzne podobieństwo. Prawie się nie odzywałem, włączyłem się dopiero wtedy, kiedy ktoś puścił płytę z muzyką klasyczną i spytał, co to jest, a żaden ze studentów medioznawstwa nie potrafił odpowiedzieć. Wówczas, z lekko odwróconą głową, zawstydzony, powiedziałem, że to Czajkowski. Bo tak było. Yngve spojrzał na mnie ze zdumieniem, spytał, skąd wiem, odparłem, że to czysty fart, i nie skłamałem, bo w swojej kolekcji miałem jedną jedyną płytę Czajkowskiego, właśnie tę.

Ingvild wcześniej pojechała do domu taksówką, Yngve został. Przykro było patrzeć, że nie ceni jej wyżej, że tak z niej rezygnuje. Ja na jego miejscu nosiłbym ją na rękach. Wielbiłbym ją. Oddałbym jej wszystko, co mam. Yngve tego nie robił. Czy ona w ogóle go obchodziła?

Na pewno. Ale był starszy, bardziej doświadczony, nie miał w sobie mojej głupoty i naiwności. Widziałem też, że zostawia Ingvild przestrzeń, pozwalającą na większą swobodę, czego ja nie potrafiłbym jej dać za nic w świecie, bo ona i ja znajdowaliśmy się wewnątrz tego samego, tej samej niepewności i wahania, poruszania się po omacku i na oślep. Potrzebowała go, tak samo jak potrzebowałem go ja.

W akademii, po omówieniu rozmaitych dramatopisarzy i tradycji dramatu, jak zwykle mieliśmy sami napisać coś z tego gatunku. Odłożyłem pisanie na wieczór poprzedzający dzień oddania prac. Wtedy poszedłem do Stoczni z zamiarem spędzenia tam całej nocy. Już na początku roku akademickiego dano nam możliwość korzystania z lokali akademii, gdybyśmy potrzebowali miejsca, w którym bez przeszkód moglibyśmy pisać po południu i wieczorem, parę razy pożyczałem więc klucze i siedziałem tam, bo było coś wyjątkowego w samotnym przebywaniu w sali zwykle dzielonej z innymi, podobało mi się to, może dlatego, że nic tam nie przypominało mi o mnie samym. Nie wiedziałem, o co konkretnie chodzi, po prostu lubiłem tam siedzieć. Tak samo było również tego wieczoru, kiedy otworzyłem kluczem drzwi, przemierzyłem pusty korytarz i po pustych schodach wszedłem do pustych sal na górze.

Pozostali już oddali prace, pliki skserowanych tekstów leżały na biurku w sąsiednim pokoju. Przesunąłem maszynę do pisania, nastawiłem kawę i zapatrzyłem się w odbicie sali w czarnej szybie, jakby wyciągnięte z rozmigotanej wody. Była dziewiąta, zamierzałem siedzieć kamieniem, aż skończę, nawet gdyby to miało potrwać całą noc.

Kompletnie brakowało mi pomysłu.

Kawa się zaparzyła, wypilem filiżankę i wypaliłem papierosa, wpatrzony we własne odbicie w oknie. Odwróciłem się i spojrzałem na regał z książkami. Pewnie nie ma szans, żeby znalazł się wśród nich album ze zdjęciami lekko ubranych czy całkiem rozebranych kobiet...

Ale była pozycja z historii sztuki. Wyjąłem ją z półki i zacząłem przeglądać.

Na kilku obrazach z siedemnastego i osiemnastego wieku były nagie kobiety. Może do czegoś mi się to przyda?

Książka była za duża, żebym mógł ją wetknąć za pasek spodni, a pod pachą nie chciałem jej nieść, bo chociaż ryzyko, że ktoś tu przyjdzie o tej porze, było niewielkie, nie dało się tego całkiem wykluczyć, a jak bym wtedy wytłuma-
czył, po co taszczyć do kibla pozycję z historii sztuki?

Włożyłem więc książkę do reklamówki i po kręconych schodach zszedłem do toalety. Tam ją otworzyłem i natychmiast rzucił mi się w oczy obraz Rafaela, dwie kobiety przy studni, jedna naga, druga ubrana, ta naga, uderzająco piękna, tajemniczo patrzyła w bok, jej drobne piersi sterczały, kawałek materiału zasłaniał łono, ale uda miała odsłonięte, od razu mi stanął. Przerzuciłem kartki, na pewien czas zatrzymałem się na obrazie Rubensa *Porwanie córek Leukippa* (1616), jedna z dwóch namalowanych na nim nagich kobiet była z rodzaju tych rudowłosych, bladych i piegowatych, miała ostry podbródek i obfite kształty; dalej były *Narodziny Wenus* Botticellego (1485) z jedną nagą piersią i *Wenus z Urbino* Tycjana (1538), na którym kobieta na pierwszym planie trzymała rękę między nogami, patrząc na widza wyzywającym, pewnym siebie spojrzeniem. Długo wpatrywałem się w jej nagie piersi, w rozłożyste biodra i drobne stopy, ale w książce było chyba więcej kobiet, więc przerzuciłem kolejne kartki i trafiłem na *Wulkana i Maję* Bartholomeusa Sprangera (1585), na którym kobieta trzymana przez potężnego brodatego mężczyznę wypychała biodra w przód, a z jej oczu biło pożądanie. Miała zupełnie białą skórę, piersi jędrne, twarz niemal dziecinna. Była odpowiednia. Następnie obejrzałem *Śmierć Sardanapala* Delacroix (1827), na którym kobieta na pierwszym planie stała odwrócona plecami, ale widoczne były tyłek idealnego kształtu i jedna pierś, mocno wysunięta do przodu, bo miała nóż przyłożony do szyi. Przez cały czas, przerzucając kartki w przód i w tył i usiłując się zdecydować, przy którym obrazie się spuścić, lekko poruszałem palcami, ale się wstrzymywałem. Może przy Delacroix? Nie, do diabła, Ingres jest lepszy! *Odaliska z niewolnicą* (1842), na którym kobieta leży wyciągnięta z rękami nad głową i składa się z samych cudownych kształtów, czy może raczej... Tak, oczywiście, *Łażnia turecka* (1862). Na tym obrazie były same kobiety, wszystkie nagie, stały i siedziały we wszelkich możliwych pozach i były wszelkich możliwych typów, chłodne, namiętne, na poły zasłonięte, w pełni obnażone. Skóra, ciało i kobiece kształty, do wyboru, do koloru, no ale która z nich, która? Ta z pulchną twa-

rzą i rozchylonymi wargami? Uwielbiałem twarze, na których wargi do końca się nie zamykały, lekko odsłaniały zęby. Czy może ta blondynka tuż za nią, o aroganckim spojrzeniu? A może ta z drobnymi piersiami, wpatrzona we własną dłoń? Albo tamta, o, tak, ta oparta na rękach wysuniętych do tyłu, przymykająca oczy z rozkoszy, to będzie ta!

Później chwilę stałem nieruchomo, by się upewnić, czy w korytarzu za drzwiami nikogo nie ma, i wróciłem na górę. Odłożyłem książkę na miejsce w regale, nalałem sobie kawy, zapaliłem papierosa i usiadłem, wpatrzony w czystą kartkę.

Nic mi nie przychodziło do głowy. Nie miałem pojęcia, o czym pisać.

Zrobiłem rundę po sali, pozaglądałem do książek, wszedłem do pomieszczenia z kopiarką i zacząłem czytać to, co przynieśli inni. Jak można się było spodziewać, każdy napisał coś dokładnie w swoim stylu. Na większość prac tylko zerknąłem, ale tekst Petry zabrałem do sali i przeczytałem starannie. Było to coś w rodzaju absurda, wręcz surrealistycznej komedii, w której bohaterowie robią kompletnie nieumotywowane i dość śmiałe rzeczy. Było w tym dużo napięcia, sensu w zasadzie w ogóle brakowało, wszystko sprawiało wrażenie chaosu i przypadkowości.

Coś takiego chyba i ja bym wymyślił.

Zacząłem. Pisałem szybko, rzucałem na papier jedną scenę po drugiej, poniekąd kontynuując to, co przeczytałem wcześniej. Moi bohaterowie trochę może przypominali tamtych, a ich działania również nie miały motywów i były nieco oderwane od siebie, ale mimo wszystko mój tekst nie był identyczny z tekstem Petry, przecież oni robili coś i n n e g o. Poczuję satysfakcję, kiedy koło trzeciej skończyłem pierwszy szkic. Trochę go poprawiłem, przepisałem jeszcze raz i mniej więcej o ósmej rano tekst był gotowy – mogłem go skserować w dziesięciu egzemplarzach i ułożyć w stosiku obok innych. Kiedy kwadrans przed dziesiątą zjawił się pierwszy student, spałem na krześle.

Cały dzień upłynął na omawianiu tekstów. Usłyszałem pochwałę za swój, chociaż Hovland miał parę uwag krytycznych odnoszących się do dramaturgii, do związku bohaterów z poszczególnymi scenami. Broniałem się, twierdząc, że związku w ogóle ma nie być, że właśnie o to chodzi, a on kiwał głową i mówił, że owszem, lecz nawet to, co ma być nielogiczne, wymaga logiki, bo podstawowa zasada wszelkiego pisania brzmi: można pisać o nudzie, ale nawet o nudzie nie można pisać nudno.

Petra obserwowała mnie w trakcie omawiania tekstu, ale się nie odzywała, nawet gdy Hovland zwrócił się bezpośrednio do niej z pytaniem o opinię. Stwierdziła, że nie ma nic do powiedzenia na ten temat. Dopiero po skończonych zajęciach, kiedy zaczęliśmy się ubierać i sprzątać, usłyszałem:

– Splagiatowałeś mój tekst.

– Skąd!

– Przyszedłeś tu w nocy, przeczytałeś mój tekst i napisałeś swój. To przecież prawie żywcem zerżnięte!

– Wcale nie – odparłem. – W ogóle nie czytałem twojego tekstu, więc jak mogłem go splagiatować, skoro nie widziałem go wcześniej na oczy?

– Masz mnie za głupią? Siedziałeś tu i napisałeś wariant tego, co przeczytałeś. Przyznaj się!

– Oczywiście, że bym się przyznał, gdyby to była prawda – oświadczyłem. – Ale nie jest. N i e c z y t a ł e m twojego tekstu. Wcale go od ciebie nie ściągnąłem. Jeśli są do siebie w jakikolwiek sposób podobne, to czysty przypadek.

– Ha! – Wstała i zaczęła wrzucać papiery i książki do swojej czarnej torby. – Mnie to w niczym nie przeszkadza, zrzynaj sobie ode mnie, ile chcesz, ale nie możesz, do jasnej cholery, kłamać!

– Nie kłamię. Nie znałem twojego tekstu, dopóki sama nie przeczytałaś go na głos.

Przewróciła oczami, włożyła kurtkę i ruszyła do wyjścia. Odczekałem kilka minut, żeby gorąco wyparowało mi z głowy, a Petra oddaliła się na tyle, bym nie mógł jej dogonić, dopiero wtedy wyszedłem do domu. Rozpoznawałem tę sytuację, podobna rzecz wydarzyła się w podstawówce, gdy sam na siebie głosowałem podczas wyborów do samorządu szkolnego, dostałem tylko jeden głos i ktoś to sprawdził, bo wypytał wszystkich w klasie, na kogo głosowali. Zaparłem się wtedy, nikt nie był w stanie niczego mi udowodnić, a ja cały czas powtarzałem, że to nieprawda. W tym wypadku zarzut też był nie do udowodnienia, nikt oprócz mnie nie wiedział, że przeczytałem jej sztukę, więc wystarczyło zaprzeczać, powtarzać, że to ona się wygłupiła. Ale wielkiej ochoty, aby pokazać się znów w akademii, nie miałem, bo nawet jeśli nikt inny nie wiedział o tym z całą pewnością, wiedziałem ja. W nocy wydawało mi się to zupełnie oczywiste i naturalne, po prostu troszeczkę sobie od niej pożyczyłem,

chyba nic w tym złego, ale zarówno podczas omawiania tekstów, jak i w trakcie późniejszej rozmowy z Petrą zaczęło to wyglądać inaczej, popełniłem plagiat i na kogo wyszedłem? Jak mogłem wpaść w taką desperację, że nie tylko ściągnąłem od koleżanki z uczelni, ale na dodatek jeszcze oszukiwałem się, że wszystko sam wymyśliłem?

Kiedyś zanotowałem w dzienniku wiersz i udawałem, że jestem jego autorem. Miałem wtedy dwanaście lat i chociaż było dziwne, że tak otwarcie potrafiłem się oszukiwać, ty to napisałeś, Karl Ove, chociaż przepisałem słowo w słowo z książki, to jednak mój wiek stanowił okoliczność łagodzącą. Teraz jednak miałem już dwadzieścia lat, byłem dorosły, więc jak to możliwe, że z premedytacją popełniłem taką nikczemność?

W następnych tygodniach siedziałem w domu. Pisałem powieść, która była beznadziejna, ale zbliżała się już do końca, chodziło przecież o to, żebym miał coś konkretnego, namacalnego, czym mógłbym sobie tłumaczyć ten rok.

Wysłałem swój tekst – ten, który czytał Øystein Lønn – do *Signaler*, antologii debiutanckich utworów, publikowanej co roku przez wydawnictwo Cappelen. Któregoś dnia dostałem odpowiedź. Kiedy otwierałem kopertę, miałem szaloną nadzieję, że opowiadanie zostanie przyjęte, ale właściwie wiedziałem, co mnie czeka, więc nie było dla mnie żadną niespodzianką, kiedy przeczytałem:

Drogi Karlu Ove Knausgårdzie!

Dziękuję za nadesłany tekst, który przeczytałem z zainteresowaniem, ale niestety, nie mogę go wykorzystać w SIGNALER '89.

Z poważaniem

Lars Saabye Christensen

Podpis Saabye Christensena był pewną pociechą, bo oznaczał, że pisarz osobiście przeczytał mój tekst. Przynajmniej na kilka minut wypełniłem jego głowę tym, co wyszło z mojej!

XTC wydali płytę *Oranges and Lemons*, puszczałem ją nieustannie, dopóki deLillos nie wypuścili swojego *Hjernen er alene*, wtedy to ten krążek obracał

się całymi dniami i wieczorami na moim gramofonie. Na zewnątrz pojaśniało i deszcz padał rzadziej. Znów wypełniło mnie przecucie nadchodzącej wiosny, tak silne w dzieciństwie, gdy poruszało wszystkie zmysły, wyciągało ciało i duszę z ciężkiego mroku zimy. Pisałem dalej swoją powieść, wiedziałem, że się z nią nie uporam przed zakończeniem semestru, ale i tak planowałem ją oddać jako pracę końcową w akademii. Była to ta sama powieść, dzięki której mnie przyjęto, lecz nie dało się w niej zaobserwować mojego rozwoju, pisałem w taki sam sposób jak wtedy, cały rok poszedł na marne, jedyna różnica polegała na tym, że kiedy zaczynałem naukę, wierzyłem, że jestem pisarzem, natomiast teraz, pod koniec – już wiedziałem, że nim nie jestem.

Któregoś wieczoru na schodach prowadzących do mojego domu pojawili się Yngve i Asbjørn.

– Wyjdiesz z nami? – spytał Asbjørn.

– Chęci są, ale forsy brak.

– Mogę ci pożyczyć – stwierdził Asbjørn. – Yngve przeżył zawód miłosny, musimy utopić jego smutki.

– Zerwałem z Ingvild – uśmiechnął się Yngve.

– Okej – powiedziałem. – Zaraz przyjdę, zaczekajcie.

Chwyciłem kurtkę i tytoń, ruszyliśmy w miasto. Przez trzy kolejne doby wszystko się mieszało, piliśmy w dzień i w nocy, spaliśmy u Asbjørna, upijaliśmy się przed południem, jedliśmy na mieście, dalej piliśmy u niego, wieczorem znów wychodziliśmy, zaglądaliśmy do wszystkich niemodnych miejsc, takich jak Uglen czy bar w hotelu Rica, było cudownie, nic nie mogło się równać z uczuciem wywołanym upojeniem narastającym przed południem, nic nie mogło się mierzyć z przejściem po pijaku przez Torgallmenningen i Targ Rybny w środku dnia, czułem się tak, jakbym tylko ja miał rację, a wszyscy inni się mylili, jakbym był wolny, a wszyscy inni zniewoleni w codzienności, będąc zaś w towarzystwie Yngvego i Asbjørna, nie dostrzegałem w tym nic groźnego, żadnego przekraczania granic, jedynie zabawę. Ostatniego wieczoru, o którym nie wiedzieliśmy jeszcze, że będzie ostatni, wzięliśmy ze sobą puszki z farbą w spreju. W Hulen, gdzie w końcu trafiliśmy, było mało ludzi, wszedłem do toalety i w kabinie wymalowałem sprejem hasło; wkrótce pojawił się ktoś z personelu z wiadrem i ścierką, żeby je zmyć, ale po jego odejściu powtórzyłem swój wyczyn, śmialiśmy się z tego i postanowiliśmy rozwinąć dzia-

łałość, wymalować kilka budynków w mieście, więc wyszliśmy stamtąd i ruszyliśmy w głąb dzielnicy Møhlenpris, na ścianie dużego murowanego gmachu ogromnymi literami wielkości człowieka napisałem: „U2 STOPS ROCK’N’ROLL”, bo oni niedawno grali na jakiejś budowli, co nie było dobre, a Bono wymalował hasło: „ROCK’N’ROLL STOPS THE TRAFFIC”, co było jeszcze gorsze; Asbjørn napisał: „RICKY NELSON RULES OK”, na ścianie zajezdni tramwajowej, a Yngve fragment tekstu Prince’a, „CAT, WE NEED YOU TO RAP”, na innym murze, i tak szliśmy, kierując się w stronę jego mieszkania, dokąd zmierzaliśmy, żeby dalej pić. Godzinę później wszyscy zasnęliśmy. Kiedy się obudziliśmy, powitał nas lęk wywołany tym, co zrobiliśmy, bo wszystkie ślady wskazywały na nas, hasła zaczynające się tuż koło Hulen ciągnęły się całą drogę aż tutaj, do niewielkiego murku przy drzwiach wejściowych, na którym widniał napis: „YNGVE TO PIEPRZONY...”. Nie trzeba było szeroko zakrojonego śledztwa, aby ustalić, gdzie mieszkają wandale, którzy wymazali farbą całą dzielnicę Møhlenpris. Trząśł się zwłaszcza Asbjørn, ale ja też się bałem, co mogło trochę dziwić, bo przecież pragnąłem jedynie pić dalej, wieść takie właśnie życie, olewać wszystko, a jednocześnie za każdym razem, gdy tak się działo, natykałem się na jakąś granicę, coś w rodzaju muru drobnomieszczczeństwa i klasy średniej, którego nie dawało się sforsować bez ogromnych wyrzutów sumienia i lęku. Chciałem, ale nie potrafiłem. W głębi ducha byłem prymusem, zwykłym, porządnym chłopakiem, i może właśnie dlatego nie umiałem pisać. Nie miałem w sobie dostatecznej dzikości, dostatecznego artyzmu, krótko mówiąc, byłem zbyt zwyczajny, aby mogło mi się udać. Co mnie skłoniło do tego, by sądzić, że jest inaczej? To było wielkie życiowe oszustwo.

W ciągu tego roku w Akademii Sztuki Pisania nauczyłem się, że istnieje literatura będąca literaturą właściwą, prawdziwą i wysoką, począwszy od eposów Homera i dramatów greckich, a skończywszy na współczesności, na twórczości takich pisarzy norweskich, jak Ole Robert Sunde, Tor Ulven, Eldrid Lunden, Kjartan Fløgstad, Georg Johannesen, Liv Lundberg, Anne Bøe, Ellen Einan, Steinar Løding, Jon Fosse, Terje Dragseth, Hans Herbjørnsrud, Jan Kjærstad, Øystein Lønn, Svein Jarvoll, Finn Øglænd, Duńczyków – Sorena Ulrika Thomsena i Michaela Strungego, czy Szwedów – Katariny Frostenson i Stiga Larssona. Wiedziałem, że wielkimi skandynawskimi poetami w tym stuleciu byli Gunnar Ekelöf i fińsko-szwedzki modernista Gunnar Björling, że

nasz rodzimy Rolf Jacobsen nie dorasta im do pięt, a Olav H. Hauge jest o wiele bardziej niż oni zakorzeniony w tradycji. Wiedziałem, że ostatnia wielka odnowa powieści nastąpiła we Francji w latach sześćdziesiątych i wciąż trwa, zwłaszcza dzięki powieściom Claude'a Simona. Wiedziałem również, że ja powieści nie odnowię, że nie umiałbym nawet naśladować tych, którzy ją odnawiają, ponieważ nie rozumiem, w czym tkwi istota tej odnowy. Byłem ślepy, nie umiałem czytać; gdy na przykład czytałem *Introduktion* Stiga Larssona, nie potrafiłem stwierdzić, na czym polega jej nowatorstwo, co jest w niej istotne, wszystkie powieści czytałem tak, jak kiedyś kryminały i thrillery, niekończący się szereg książek, które pochłaniałem jako trzynasto-, czternasto-, o organizacji Czarny Wrzesień i o Szakalu, o szpiegach działających podczas drugiej wojny światowej i o rozochoconych myśliwych polujących na słonie w Afryce. W ciągu tego roku zrozumiałem przynajmniej, że istnieją różnice w literaturze. Ale w moim własnym pisarstwie nie znajdowało to żadnego odbicia. Aby się wydobyć z tej niemocy, przyswoiłem sobie poniekąd jeden z podgatunków nowoczesnej powieści i reklamowałem go jako swój ideał, a mianowicie powieści i opowiadania amerykańskie autorstwa Breta Eastona Ellisa, Jayne Anne Phillips, Jaya McInerneya, Barry'ego Gifforda. Tak się tłumaczyłem ze swojej twórczości.

Zdobyłem pewną wiedzę, drogo okupioną, ale prawdziwą i ważną: nie byłem żadnym pisarzem. Tego, co mieli pisarze, ja nie miałem. Walczyłem z tą wiedzą, wmawiałem sobie, że być może zdołam to zdobyć, że to się da uzyskać, jeśli tylko będę nad tym dostatecznie długo pracował, a jednocześnie wiedziałem, że tylko się pocieszam. Prawdopodobnie Jon Fosse się nie mylił, prawdopodobnie miałem talent do pisania o literaturze, ale nie do pisania literatury.

Tak właśnie wyglądała moja sytuacja, gdy kilka dni po imprezowaniu z Yngvem i Asbjørnem wracałem z akademii do domu po złożeniu maszynopisu. Powieści nie dokończyłem, zdecydowałem, że poświęcę na nią dalszą część wiosny i lato. Po dobrnięciu do końca zamierzałem ją wysłać do jakiegoś wydawnictwa. Mój wybór padł na Cappelena, bo poczuwałem się do lojalności wobec nich po tamtej osobistej odmowie Larsa Saabye Christensena. Liczyłem się z tym, że znów mnie odrzucą, ale całkowitej pewności nie miałem, możliwe przecież, że dostrzegą w moich tekstach coś, czego nie zauważyli Jon Fosse i Ragnar Hovland, chociaż oni mimo wszystko też w tym coś znaleźli, skoro

mnie przyjęli – nadzieja, choć niewielka, istniała i miała istnieć, dopóki nie wyjmę ze skrzynki pocztowej koperty z wydawnictwa. Do tego czasu niczego nie uznawałem za wykluczone.

*

Wiosną światło w mieście zmieniło charakter. Rozmycie kolorów jesiennozimową wilgocią zniknęło, teraz barwy były suche i lekkie, a wraz z kredową bielą domów, odbijającą światło nawet wtedy, gdy słońce kryło się za chmurami, ostre i połyskujące, całe miasto nagle jakby się unosiło. Jesienią i zimą Bergen przypominało nieckę, tkwiło nieruchomo i przyjmowało w siebie to, co się pojawiało, wiosną i latem góry jakby rozchylały się na boki niczym płatki kwiatu i miasto, pełne szumu, drżące, wylaniało się w pełnej krasie.

Wieczorami nie dawało się wysiedzieć w domu.

Zapukałem do Mortena, spytałem, czy nie poszedłby ze mną do Christiana, a przynajmniej czy nie mógłby mi pożyczyć trochę pieniędzy, owszem, zgodził się wyjść, usiedliśmy obok siebie przy stoliku i gapiliśmy się na śliczne dziewczyny, które się tam kręciły, nie na te ubrane na czarno, w typie intelektualistek, tylko na te wystrojone, jasne i zwyczajne, rozmawialiśmy o trudach życia, powoli się upijając, i wieczór rozpuścił się w znajomym mroku. Ocknąłem się pod krzakiem nad jeziorem Lille Lungegårdsvannet, bo ktoś mną potrząsał, policjant, oświadczył, że nie mogę tam spać, więc wstałem półprzytomny i powlokłem się do domu.

Zapukałem do Ingvild, do drzwi jej nowego studenckiego mieszkania, zdziwiła się na mój widok, lecz również ucieszyła, tak mi się wydawało, i też się ucieszyłem. Mieszkanie było duże, narożne okno wychodziło na Nygårdsgaten i Grieghallen, poznałem jej współlokatorów, te twarze już widywałem, ale z żadną z tych osób nie rozmawiałem, wszystkie były w taki czy inny sposób związane z Yngvem. Ingvild idealnie wpasowała się w życie studenckie, miło się na to patrzyło, ale jednocześnie przez to trudniej było do niej dotrzeć, bo ja znajdowałem się poza jego obrzeżami, w dodatku dwa razy powtórzyła, że chce mieć we mnie przyjaciela, co w zasadzie oznaczało chyba, że nie chce, abym został jej chłopakiem.

Siedzieliśmy na wielkiej kanapie, Ingvild przyniosła herbatę, wydawała się szczęśliwa, wpatrywałem się w nią, starając się nie okazywać, jak bardzo je-

stem przygnębiony, jak mi przykro, że nie jesteśmy i nigdy nie będziemy razem, więc uśmiechałem się, mówiłem o przyjemnych rzeczach, a gdy stamtąd wychodziłem, musiała uwierzyć, że całkiem już mi przeszło i rzeczywiście możemy być przyjaciółmi.

Przed wyjściem spytałem, czy nie mogłaby mi pożyczyć stówy, bo jestem kompletnie spłukany, nie mam pieniędzy nawet na tytoń.

– Oczywiście, że mogę ci pożyczyć – powiedziała. – Ale chcę dostać tę forszę z powrotem.

– Jasne – zapewniłem. – A masz dwie stówy?

Yngvemu i Asbjørnowi byłem już winien tyle, że więcej nie mogłem od nich pożyczać. U Mortena też miałem spory dług, podobnie jak u Jona Olava i Anne. Poza tym wypraszałem stówę tu, stówę tam od kumpli Yngvego, kiedy byliśmy na mieście, po pijaku nikt za bardzo tego nie pilnował i nie wszystkim musiałem oddawać.

Ingvild miała dwie stówy. Schowałem pieniądze do kieszeni i zszedłem na dół, a ona wróciła do siebie.

Dziwne, pomyślałem, kiedy na zewnątrz poczułem na twarzy ciepłe powietrze i zobaczyłem przy Grieghallen rząd drzew, które zaczynały się zielenić. W momencie gdy Ingvild zniknęła mi z oczu, zatęskniłem za nią. Widziałem ją zaledwie kilka minut wcześniej, siedziała w odległości metra ode mnie, ze złączonymi kolanami, nachylona nad stołem, a teraz rozpałała mnie, a zarazem wypełniła smutkiem myśl, że siedzi w swoim pokoju, sama świadomość, że istnieje.

Pod koniec maja Yngve miał egzaminy. Tego wieczoru, kiedy wyszedł z kolegami uczcić koniec roku, znów się do nich przyczepiłem. Miasto kipiało, wszędzie byli ludzie, w powietrzu czuło się ciepło, drzewa eksplodowały zielenią, a kiedy szedłem pod jasnym niebem spowitymi zmiernymi ulicami, na których już o żadnej porze doby nie zapadała prawdziwa ciemność, wszystko to dodawało mi siłę, unosiło mnie i tak mocno czułem, że żyję, a przede wszystkim, że jeszcze bardziej chcę żyć.

Rok dobiegł końca, nazajutrz zaplanowano pożegnalny obiad w akademii, mieliśmy dostać dyplomy, czy jak to się nazywało, w każdym razie zaświadczenie, że do niej uczęszczaliśmy, zamierzałem się tam wybrać, pożegnać ze

wszystkimi, a potem odwrócić się plecami i nigdy więcej nie wracać do tego czasu nawet myślą.

Wśród kolegów ze studiów Yngvego panował niesamowity nastrój, do naszego stolika przynoszono kolejne piwa, i chociaż niewiele się odzywałem, bo na razie milcząca strona mojej natury brała górę, to jednak w tym uczestniczyłem, piłem, uśmiechałem się, patrzyłem na innych, którzy gadali raz o jednym, raz o drugim. Ola był tu jedyną osobą, którą poznałem wcześniej, całą resztę znałem jedynie z widzenia, dlatego usiadłem przy nim, on zawsze trochę się mną zajmował, słuchał tego, co mówiłem, i przyjmował to poważnie, jakby znajdował w tym coś rozsądnego albo ciekawego, chociaż poziomem przewyższał mnie o całe niebo. I nawet śmiał się z moich dowcipów. Nie chciałem go jednak anektować w pełni, podobnie jak Yngvego, który siedział z podniesioną głową, raz po raz wznosił szklanekę i gadał.

Gdy światła w knajpie zamrugały, dopiliśmy piwo i wyszliśmy na zewnątrz, gdzie jak zwykle czekaliśmy, aż wszyscy się zbiorą. Byłem już tak pijany, że miałem wrażenie, iż znajduję się w głębi jakiegoś tunelu, ciemność otaczała mnie ze wszystkich stron, jedynie z przodu, tam gdzie spoglądałem lub sięgałem myślą, widziałem światło. Byłem wolny.

– Ho, ho, jest z nami i Kjærstad – zachichotałem.

– Przestań – obruszył się zaczepiony chłopak. – To nie jest ani trochę zabawne, choć może tak ci się wydaje.

– To jest d o ś ć zabawne. Idziemy czy nie? Dlaczego tak się guzdrzemy?

Podszedł do mnie Yngve.

– Uspokój się – powiedział.

– Dobrze, dobrze, ale idziemy już?

– Czekamy na kogoś.

– Nie cieszysz się, że wszystko dobrze poszło?

– Cieszę.

Odwrócił się do pozostałych. Zacząłem grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów, znalazłem, ale nie zdołałem poradzić sobie z zapalniczką, więc rzuciłem ją na asfalt.

– Masz ogień?

Zwróciłem się do chłopaka podobnego do Kjærstada, kiwnął głową, wyjął

zapalniczkę i przypalił mi papierosa, dłonią osłaniając płomień.

Splunąłem i zaciągnąłem się, jednocześnie się rozglądając. Dziewczyny, które się do nas przyłączyły, były o cztery czy pięć lat starsze ode mnie, ale ja się nieźle prezentowałem, a poza tym chyba już wcześniej się zdarzało, że dwudziestolatek posuwał dwudziestopięciolatkę.

Nie miałem im jednak nic do powiedzenia, nawet gdy byłem tak pijany jak teraz, więc nic by z tego nie wyszło. Trzeba najpierw trochę pogadać, tyle już się nauczyłem.

Nagle towarzystwo ruszyło spod knajpy, więc ja też. Cały czas trzymałem się w środku grupy, widziałem głowę Yngvego kołyszącą się kilka metrów przede mną, a jasna majowa noc, ze wszystkimi swoimi zapachami, podnieconymi głosami i ludźmi chodzącymi po ulicach, sprawiła, że pomyślałem: jak mi dobrze. Byłem studentem w Bergen, otoczonym innymi studentami, szliśmy na poprawiny imprezy ulicami Wzgórza w stronę Nygårdsparken, który oddychał cicho, nieruchomy między ulicami i budynkami, był rok 1989, miałem dwadzieścia lat i przepełniały mnie siła i radość życia. Patrząc na ludzi, z którymi szedłem, myślałem sobie, że oni nie są tacy, że tylko ja taki jestem, że będę się wznosił coraz wyżej i wyżej, coraz dalej i dalej, a oni będą stali w miejscu. Pieprzeni studenci medioznawstwa. Pieprzeni idioci od mediów. Pieprzeni teoretycy mediów. Co oni wiedzą o życiu? Czy rozumieją, co jest naprawdę ważne?

Posłuchajcie bicia mojego serca.

Posłuchajcie bicia mojego serca, pierdoleni imbecyle, głupie gnoje! Posłuchajcie, jak bije!

Spójrzcie na mnie. Zobaczcie siłę, którą w sobie mam!

Zamierzałem pokonać każdego z nich i nie był to żaden problem. To mogło trwać, trwać i trwać. Mogli mnie gnoić, upokarzać jak zwykle, ale ja się nigdy nie poddam, to nie leży w mojej naturze, natomiast ci wszyscy idioci, którzy się uważają za takich świetnych, nie mają w sobie kompletnie nic, są zupełnie puści.

Park.

Jasny gwint, brama do parku! Cholera, ale fajnie. Zielone, gęste liście, o zmierzchu prawie czarne, dalej sadzawka. Żwir i ławki.

Chłonałem to. Park wszedł we mnie, poniosłem go w sobie.

Przystanęli, któryś wyciągnął z kieszeni spodni pęk kluczy i otworzył drzwi jednej z willi stojących po drugiej stronie ulicy za parkiem.

Po starych, zniszczonych drewnianych schodach weszliśmy do starego, zniszczonego mieszkania. Wysokie pokoje, w rogu kominek, szmaciane chodniczki na drewnianej podłodze. Meble z lat pięćdziesiątych, kupione na pchlim targu albo we Freteksie, sklepie Armii Zbawienia. Plakat Madonny, plakat Elvisa z rewolwerem zrobiony przez Warhola i jeszcze plakat z pierwszego *Ojca chrzestnego*. Usiedliśmy. Na stole stanął alkohol i pojawiły się szklanki. Yngve zajął krzesło przy krótszym boku stołu, ja – dokładnie po przeciwnej stronie. Nie chciałem, żeby ktokolwiek siedział przy mnie tak blisko, jak by było, gdybym usiadł na kanapie.

Piłem. Ściemniło się. Oni dyskutowali, ja się wtrącałem, Yngve spoglądał na mnie od czasu do czasu, widziałem, że nie podoba mu się to, co mówię, ani sposób, w jaki to robię. Uważał, że przynoszę mu wstyd. Mógł sobie tak myśleć, to nie był mój problem.

Poszedłem do kibla. Nasikałem do umywalki i wybuchnąłem śmiechem, kiedy sobie wyobraziłem, że jutro ktoś zatka odpływ korkiem i naleje wody, żeby umyć twarz.

Wróciłem, dolałem sobie whisky, prawie wszystko już otaczała ciemność.

– Spójrzcie na park – powiedziałem.

– A co w nim dziwnego? – spytał ktoś.

– Hej, psycholu, uspokój się! – zawołał Yngve.

Podniosłem się, chwyciłem szklankę i cisnąłem w niego z całej siły. Uderzyła go prosto w twarz. Pochylił się, ludzie się poderwali, zaczęli krzyczeć, rzucili się ku niemu. Przez chwilę stałem nieruchomo, patrząc, jak to się rozwinię, w końcu ruszyłem do przedpokoju, włożyłem buty i kurtkę, zataczając się, pokonałem schody i wyszedłem na ulicę do parku. Całym sobą czułem, że nareszcie zacząłem działać. Spojrzałem w niebo, jasne, lekkie i piękne, potem w głąb zielonego parkowego mroku, a chwilę później sam sobie zniknąłem, jakby mnie ktoś wyłączył.

Obudziłem się na podłodze w jakimś korytarzu.

Było jasno, słońce wpadało przez okna.

Usiadłem. W głębi zobaczyłem kilkoro drzwi. Przyglądał mi się jakiś staru-

szek, za nim stała młodsza, może czterdziestoletnia kobieta, ona również na mnie patrzyła. Nie odzywali się, ale wyglądali na wystraszonych.

Udało mi się stanąć na nogi. Ciągle byłem pijany, ciało miałem ciężkie jak z ołowiu, nic nie pojmowałem, to wszystko przypominało sen, ale wiedziałem, że nie śpię, więc ruszyłem do przodu, od czasu do czasu podpierając się ręką o ścianę.

Był jakiś samochód strażacki. Pożar. Strażacy. Ale czy na pewno?

Na końcu korytarza schody prowadziły do drzwi z mleczną szybą w górnej części. Popchnąłem je i przystanąłem na zewnątrz, mrużąc oczy przed słońcem.

Przed sobą miałem koniec budynku Wydziału Nauk Ścisłych, na lewo jezioro Lungegårdsvannet.

Odwróciłem się, żeby spojrzeć na dom, w którym spałem. Był biały, mury wany.

Drogą nadjechał duży radiowóz policyjny, skręcił na placyk przede mną, a w tym czasie z drzwi za moimi plecami wyszły dwie kobiety.

Dwaj policjanci zatrzymali się tuż obok mnie.

– Wydaje mi się, że się pali – powiedziałem. – Wóz strażacki jechał tamtędy – pokazałem palcem. – Nie tutaj, kawałek dalej. Pewnie chodzi o ten pożar.

– To on – odezwała się jedna ze stojących za mną kobiet.

– Co tu robisz? – spytał policjant.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Po prostu się tu obudziłem. Ale chyba powinniście się pośpieszyć.

– Jak się nazywasz?

Spojrzałem na niego. Zatoczyłem się w bok, chwycił mnie za ramię, ratując przed upadkiem.

– A jakie to ma znaczenie? – spytałem. – Czym jest nazwisko?

– Pojedziesz z nami – powiedział.

– Samochodem?

– Tak, chodź.

Położył mi rękę na ramieniu i podprowadził mnie do auta, otworzył drzwi, usiadłem z tyłu. Miałem wielką przestrzeń tylko dla siebie.

A więc przeżyłem również to. Jazdę radiowozem ulicami Bergen.

Aresztowali mnie?

Ale przecież dzisiaj jest pożegnalny obiad!

Nie włączyli sygnału ani nic takiego. Jechali spokojnie i grzecznie, zatrzymując się na wszystkich światłach. Po dotarciu do komendy znów złapali mnie za ramię i wprowadzili do budynku.

– Muszę zadzwonić – oświadczyłem. – To ważne. Powinienem być na spotkaniu. Ci ludzie muszą wiedzieć, że nie przyjdę. Mam prawo do telefonu, wiem o tym.

W duchu się śmiałem, bo to było jak na filmie. Oflankowany przez dwóch policjantów, prosiłem o możliwość rozmowy telefonicznej!

Nawet mi pozwolili, zatrzymali się przy aparacie na końcu korytarza.

Nie znałem numeru do Akademii Sztuki Pisania, zobaczyłem jednak książkę telefoniczną, więc próbowałem go znaleźć, ale bez powodzenia.

Odwrociłem się do nich.

– Poddaję się – powiedziałem.

– Okej.

Zabrali mnie do okienka, przy którym musiałem opróżnić kieszenie i oddać pasek. A potem sprowadzili mnie do piwnicy, czy gdzie to było, w każdym razie po obu stronach korytarza widziałem metalowe drzwi, przez jedne musiałem przejść. Cella była zupełnie pusta, znajdował się w niej jedynie duży niebieski materac.

– Wyśpisz się tutaj, a jak się obudzisz, ktoś przyjdzie i weźmie cię na przesłuchanie.

– *Yes, sir* – powiedziałem. Stałem na środku, dopóki nie zamknęli za sobą drzwi, a potem położyłem się na niebieskim materacu i długo śmiałem się do siebie, aż wreszcie zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, nadal byłem pijany i wszystko, co się wydarzyło, miało w sobie dziwną barwę snu, ale metalowe drzwi i betonowa podłoga były bardzo realne.

Zapukałem w drzwi.

Powinienem kogoś wezwać, ale nie bardzo wiedziałem jak. Straż?

Tak.

– Straż! Obudziłem się! – zawołałem. – Straż! Straż!

– Zamknij się! – krzyknął ktoś.

Trochę się wystraszyłem i usiadłem na materacu. Chwilę później drzwi się otworzyły, stanął w nich policjant.

– Wyrzeźwiałeś?

– Tak, chyba tak. Może nie całkiem, ale przynajmniej trochę. W każdym razie czuję się lepiej niż przedtem.

– No to pójdziesz ze mną.

Wyszliśmy z piwnicy, on przodem, ja za nim. Wsiadliśmy do windy i pojechaliśmy na górę. Zapukał do drzwi, weszliśmy do jakiegoś gabinetu. Spojrzał na mnie starszy mężczyzna, pięćdziesięcio-, może pięćdziesięciopięcioletni, bez munduru.

– Siadaj – polecił.

Usiadłem na krześle przy jego biurku.

– Znalaziono cię śpiącego w korytarzu domu opieki. Co tam robiłeś?

– Nie wiem. Byłem pijany. Nic nie pamiętam. Tylko tyle, że się tam obudziłem.

– Mieszkasz tu, w mieście?

– Tak.

– Jak się nazywasz?

– Karl Ove Knausgård.

– Masz na koncie jakieś wyroki?

– Wyroki?

– Byłeś za coś skazany? Za narkotyki? Włamania?

– Nie. Nie, nie.

Spojrzał na mężczyznę, który stał w drzwiach.

– Sprawdzisz to?

Tamten wszedł do pokoju obok. W czasie gdy tam przebywał, przesłuchujący mnie siedział z pochyloną głową i w milczeniu wypełniał jakiś formularz. Okna zasłaniały żaluzje, między listewkami prześwitywało niebieskie niebo.

Wrócił ten drugi.

– Nic nie ma – oznajmił.

– Nic nie pamiętasz – powiedział przesłuchujący. – Ale może jednak coś zapamiętałeś z tego, co było wcześniej, wieczorem? Wiesz, gdzie byłeś?

– Na imprezie. Tuż koło parku.

– Z kim?

– Między innymi z moim bratem. I jego przyjaciółmi.

Spojrzał na mnie.

– No to będziemy musieli go wezwać.

– Kogo?

– Twojego brata.

– A co on ma z tym wspólnego? I o co właściwie chodzi? Spałem w korytarzu domu opieki, wiem, że nie powinienem, może uznacie to za włamanie, ale przecież nic nie zrobiłem.

– Mówiłeś, że nic nie pamiętasz. Dziś w nocy było tam włamanie, a w pobliżu zniszczono samochód, więc różne rzeczy się działy. Potem w tym samym domu opieki znaleźliśmy na korytarzu ciebie. Więc właśnie o to chodzi. Jak się nazywa twój brat?

– Yngve Knausgård.

– Jego adres i twój.

Podał mi mu.

– Odezwiemy się do ciebie. Teraz możesz iść.

Odprowadzono mnie na parter, dostałem z powrotem swoje rzeczy i wyszedłem na plac przed budynkiem. Byłem tak zmęczony, że ledwie powłóczyłem nogami, po drodze musiałem robić przerwy, a zanim dotarłem do Steinkjeller-gaten, usiadłem na schodach, bo kompletnie opadłem z sił. Podejście pod górę wydawało mi się niemożliwe. Ale dziesięć minut później, po tym, jak wszyscy bez wyjątku przechodnie, którzy mnie mijali, gapili się na mnie, podniosłem się wreszcie na nogi i zacząłem się wspinać pod górę. Przeprowadzenie z komendy policji do domu zajęła mi blisko godzinę. Gdy dotarłem do mieszkania, położyłem się i zasnąłem, po raz trzeci tej doby. Nie spałem długo. Kiedy otworzyłem oczy, ciągle było wczesne popołudnie. Ciało już mi tak nie ciążyło, czułem się normalnie, tylko w żołądku okropnie ścisnęło mnie z głodu. Zjadłem dziesięć kromek chleba z serem, wypiliśmy litr mleka z nesquikiem i poszedłem zadzwonić do akademii. Na szczęście zastałem Sagena. Poinformowałem go, że

zostałem aresztowany i nie mogę przyjść na obiad. Aresztowany? – powtórzył. Żartujesz? Nie, powiedziałem. Spędziłem tę noc w celi, niestety, ciągle jestem w kieszonkowej formie. Możecie przesłać mi świadectwo pocztą? Oczywiście, odparł, szkoda, że nie możesz być na zakończeniu. Mówisz, że cię aresztowano? Tak, potwierdziłem, ale dziękuję za ten rok. Na pewno jeszcze kiedyś się spotkamy.

Odłożyłem słuchawkę i za ostatnie grosze pojechałem autobusem do miasta. Niebo było ciemnoniebieskie, czerwonawe słońce wisiało nad wyspą Askøy, chmury na wschodzie wyglądały tak, jakby stały w ogniu. Minąłem Centrum Studenckie i zszedłem na Møhlenpris, zmierzałem do Yngvego, bo może on mógł mi wyjaśnić, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru.

Drzwi do budynku były otwarte, wszedłem po schodach na piętro, na którym mieściło się ich mieszkanie, i zadzwoniłem.

Otworzyła mi Line, śliczna blondynka z Østlandet, o kilka lat ode mnie starsza.

Popatrzyła na mnie niemal przerażona.

– Zastałem Yngvego? – spytałem.

Kiwnęła głową.

– Tak, wejdz. Jest w swoim pokoju.

Wszedłem, zdjąłem buty, ale zostałem w kurtce. Delikatnie zapukałem do pokoju Yngvego i zaraz otworzyłem drzwi.

Stał przy wieży stereo i odwrócił się, kiedy mnie usłyszał.

Wpatrywałem się w niego szeroko otwartymi oczami.

Pół twarzy miał obandażowane.

Przypomniałem sobie, co się stało.

Z całej siły rzuciłem w niego szklanką.

Prosto w oko.

Nie odezwał się, tylko na mnie patrzył.

– Ja to zrobiłem? – spytałem.

– Tak. Nie pamiętasz?

– Teraz sobie przypomniałem. Trafiłem cię w oko? Nie widzisz na nie?

Usiadł na krześle.

– Nie, oko jakoś się uratowało. Trafiłeś tuż obok. Musieli mnie szyc. Będę miał blizny na całe życie.

Rozpłakałem się.

– Nie chciałem! Naprawdę nie chciałem. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Nie chciałem! Wybaczysz mi, Yngve? Powiedz, wybaczysz?

Siedział na krześle jak cesarz, plecy miał proste, nogi rozsunęte, trzymał rękę na kolanie i wpatrywał się we mnie.

Nie mogłem spojrzeć mu w oczy. W ogóle nie mogłem na niego patrzeć.

Spuściłem głowę i zaniósłem się głośnym szlochem.

Część 7

Trzy i pół roku później, w 1992, w okresie między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem, stałem w głębi Centrum Studenckiego, tuż przy schodach prowadzących do części, w której miały siedzibę organizacje studenckie, i czekałem na redaktora Radia Studenckiego. Jako osoba odmawiająca służby wojskowej ze względu na przekonania, miałem właśnie tam odrabiać wojsko w cywilu i niedawno wróciłem z kilkumiesięcznego obozu w Hustad, na wybrzeżu koło Molde, gdzie przebywałem razem z innymi chłopakami z Vestlandet odbywającymi alternatywną służbę cywilną; mieliśmy tam zajęcia dotyczące rozmaitych aspektów pracy na rzecz pokoju i odmowy służby wojskowej. Cały ten obóz był jednym wielkim żartem, prawie nikogo nie obchodziły idealistyczne pobudki obowiązkowej służby zastępczej. Owszem, zapewne większość z nas sprzeciwiała się wojnie, ale głębiej nie odbiło się to na nikim, czułem się tam tak, jakbym znów trafił na obóz przed konfirmacją, na który pojechałem w ósmej klasie i wszyscy cieszyli się, że jest bardzo fajnie, byliśmy sami, bez rodziców, daleko od domu, ale nikogo nie obchodził powód, dla którego nas tam wysłano – nasz stosunek do Boga i Chrystusa – dlatego głównie bojkotowaliśmy zajęcia, a przygotowane dla nas propozycje na czas wolny wykorzystywaliśmy do własnych celów. Różnice dotyczyły właściwie tylko wieku – na obozie w Hustad większość osób miała dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat – czasu trwania pobytu – przyjechaliśmy nie na dwa dni, tylko na dwa miesiące – i udogodnień. W Hustad były dobrze wyposażona sala muzyczna i biblioteka, ciemnia i urządzenia wideo, kajaki, a nawet sprzęt pozwalający zrobić kurs nurkowania. Organizowano wycieczki po regionie, przyjeżdżał wtedy po nas autokar, a któregoś dnia zawieziono nas do Kristiansund, gdzie mogliśmy ruszyć w miasto i się upić. Ale najważniejsze miały być kursy. Ktoś się ciężko napracował, aby osoby odmawiające służby wojskowej traktowano poważnie, ale to było dawniej, gdy młodzi ludzie, których serca płonęły dla idei, angażowali się w takie sprawy. My to olewaliśmy. Mieliśmy obowiązek stawiać się na zajęcia, ale ci, którzy nie zdołali się wykręcić złym samopoczuciem lub bólem głowy, i tak nie słuchali tego, co mówią wykładowcy, czasami aż przykro było patrzeć, taka przepaść dzieliła idealizm nauczycie-

li i ich zapął do odmowy służby wojskowej od naszej ignorancji.

Oprócz zajęć wspólnych dla wszystkich mieliśmy również coś na kształt przedmiotów fakultatywnych, mogliśmy się zajmować na przykład filmem czy muzyką lub zgłębiać rozmaite zagadnienia teoretyczne, toteż gdy umożliwiono nam zgłaszanie własnych propozycji, podniosłem rękę i spytałem, czy nie mogliby nam zorganizować kursu pisania. Kurs twórczego pisania? Propozycja spotkała się z wielkim aplauzem – skoro było zainteresowanie, oczywiście należało to zorganizować. Zostałem kimś w rodzaju przewodniczącego niedużej grupy piszących i natychmiast wystąpiłem z wnioskiem, abyśmy nie wstawali o siódmej, tak jak wszyscy, ponieważ gdy się tworzy literaturę, człowiekowi zdarza się siedzieć długo w nocy, bo często właśnie wtedy przyływ natchnienia jest największy. Najbardziej idiotyczne było to, że wykładowca odpowiedzialny za naszą grupę zwyczajnie to kupił, powiedział, że oczywiście, istotnie, nie można w takiej sytuacji wstawać o siódmej, i obiecał, że sprawdzi, czy da się coś z tym zrobić. Dało się. Grupa literacka mogła się wylegiwać dłużej. Miałem wyrzuty sumienia, bo to był miły facet, chciał dobrze i pozwalał się wykorzystywać, ale z drugiej strony nie prosiłem się o wysłanie na ten obóz i nie mogłem obarczać się winą za jego pozytywne nastawienie do nas.

Załatwił nam nawet wizytę pisarza. Któregoś dnia przetransportowano samolotem z Oslo Arilda Nyquista, który miał poprowadzić z nami zajęcia. Rozzejrzał się tymi swoimi smutnymi oczami i spytał, ilu z nas pisze na serio, ilu pragnie zostać pisarzami. Nikt nie podniósł ręki. Ktoś wypalił, że jesteśmy w tej grupie, żeby się nam upiekło. Nyquist pokiwał głową i stwierdził, że chociaż to może nie najlepszy punkt wyjścia, i tak postaramy się, żeby obróciło się to na coś w miarę dobrego. Poczuję wtedy jeszcze większe wyrzuty sumienia, ponieważ z tego, co wiedziałem, zostawił rodzinę, żeby tu przyjechać i nauczyć czegoś młodych zapaleńców z obozu w Hustad, gdyż sam był kiedyś identycznym zapaleńcem, a tymczasem spotkał się z takim lekceważeniem. Ale przypuszczalnie dobrze mu zapłacili, więc może nie było czym się tak martwić.

Któregoś dnia w sali gimnastycznej zorganizowano nam grę fabularną. Dostaliśmy do odegrania rozmaite role osób ze społeczności światowej, ktoś reprezentował USA, ktoś inny Rosję, Chiny, państwa Unii Europejskiej, kraje skandynawskie, Afrykę, a następnie rozdano nam opisy sytuacji, na których podstawie mieliśmy działać. Prowadząca zaproponowała, abym wcielił się

w rolę sekretarza generalnego ONZ i w związku z tym pokierował całą tą ogólnoswiatową konferencją. Nie miałem pojęcia, dlaczego jej wybór padł akurat na mnie, ale takie rzeczy się zdarzały, ludzie czasami mnie wskazywali, przypisując mi konkretne cechy. Na przykład w trakcie studiów literaturoznawczych jeden z wykładowców upatrzył mnie sobie i podczas zajęć pytał: A co myśli o tym Karl Ove?

Siedziałem więc w sali gimnastycznej i miałem nie dopuścić do wybuchu wojny światowej, organizować spotkania rozmaitych frakcji, negocjować i proponować kompromisy. Jedyną osobą spośród uczestników gry, którą znałem wcześniej, był Johs., w grze reprezentował Rosję. Miał tęgą głowę, jak powiedziałby dziadek, ojciec mamy, studiował socjologię i uzyskał najlepsze oceny na przestrzeni wielu lat, może w ogóle w historii uczelni, tak się przynajmniej mówiło, studiował też w Paryżu i osiągnął poziom, o jakim inni moi znajomi studenci mogli jedynie marzyć. W ogóle jednak nie dawał tego po sobie poznać, był skromnym chłopakiem, unikającym rozgłosu, szczerze dobrym i życzliwym, nikt nie mógł o nim powiedzieć złego słowa, bo był troskliwy i empatyczny, ale przez to również bardzo wrażliwy, więc łatwo go było zranić, co wielokrotnie sobie uświadamiałem; otaczał go krąg bliskich przyjaciół, którzy w pewnym sensie go chronili, pełnili funkcję jego strażników. Jego rodzice, wieśniacy z Jølster, mieli gospodarstwo zaledwie kilka kilometrów od miejscowości, w której mieszkała mama. Był potężnej budowy, ale prawie się tego nie zauważało. Natomiast od razu wyczuwało się jego wrażliwość. Możliwe, że sam uważał się za kogoś zupełnie zwyczajnego, ale ja miałem inne zdanie, bo nigdy dotychczas nie spotkałem nikogo mającego taką kombinację cech jak on.

W naszej grze przypadła mu rola reprezentanta Rosji i w części taktycznej wystrychnął na dudka wszystkich, łącznie ze mną; w efekcie pod koniec zajęć Rosja zdobyła wielkie obszary Europy i Azji i stała się jedynym dominującym mocarstwem, bliskim totalnego panowania nad światem.

Nieźle go to ubawiło.

Wieczorem we wspólnej sali z kominkiem, przypominającej świetlicę, w której dudniła muzyka i pełno ludzi grało w różne gry, czytało tygodniki, paliło i piło piwo, podszedł do mnie jeden z bergeńskich żuli – akurat opierałem się o balustradę, za którą rozciągała się pusta przestrzeń, otwarta na niższą kondygnację – i stanął tak blisko mnie, że poczułem się wręcz zagrożony.

– Tobie się wydaje, że jesteś kimś – prychnął. – Sekretarz generalny ONZ, no nieźle! Z nosem w książkach. Ale jesteś nikim!

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem kimś – odparłem.

– Zamknij się! – rzucił i odszedł.

Krążyły o nim przeróżne historie, na przykład, że wparował do gabinetu kierownika obozu i wrzasnął: *Fuck you and your family!*, a wszystkich najbardziej rozbawiło to, że wciągnął w tę sprawę Bogu ducha winną rodzinę kierownika. Na obóz przyjechało jeszcze dwóch czy trzech gości tego typu, twardej dzieli, którzy mogliby mi spuścić niezłe manto, ale byli kompletnymi idiotami i o niczym nie mieli pojęcia, charakteryzował ich powalający brak wiedzy, który potrafił się objawić w najprzedziwniejszy sposób podczas zajęć, jeśli w ogóle raczyli na nie przyjść.

Obecność tego rodzaju skłonnych do przemocy osobników na obozie, na którym wysoko wznoszono sztandary pokoju i pacyfizmu, była oczywiście pewną ironią losu, lecz również rzeczą typową, ponieważ w taki czy inny sposób należeli oni do „alternatywy”, żyli poniekąd poza nawiasem społeczeństwa, a właśnie tam uplasowała się najważniejsza część ruchów alternatywnych wywodzących się z lat siedemdziesiątych, z których po obraniu z ideologii zostawały tylko owa pozanawiasowość i narkotyki.

Inną grupę z Bergen stanowili muzycy. Pochodzili z dzielnic położonych poza centrum, z Loddefjord, Fyllingsdalen, Åsane, cały czas trzymali się razem, niemrawi przesiadywali na kanapach, czytając komiksy albo oglądając telewizję, ale kiedy urządzali *jam session*, dokonywała się w nich totalna przemiana, nagle stawali się diabłami wyczarowującymi z niczego skomplikowane obrazy dźwiękowe, idealnie panowali nad instrumentami, a potem, po tych eksplozjach, znów się gdzieś zapadali, żeby przeżuwać jak krowy. Wyjątek stanowił Calle, jedna z bergeńskich gwiazdek, jego zespoły wydawały płyty i jeździły na tournée; w tym czasie grał z Lasse Myrvoldem, legendą z *The Aller Værste!*, oraz w zespole, który nazwali Kong Klang. Był innym typem niż pozostali muzycy, jego ciekawość świata wykraczała daleko poza muzykę, był zwyczajnie otwartym człowiekiem, i w zasadzie samodzielnym, ale kiedy poruszał tematy, o których i ja coś wiedziałem, na przykład zaczynał mówić o literaturze, okazywał się również naiwny, co mnie w pewnym sensie wzruszało, tak jak wzruszały mnie zawsze wszelkie przejawy słabości w sile.

Trzymałem się możliwie najbardziej na uboczu, dużo przesiadywałem sam,

sporo czytałem, przede wszystkim *Czarodziejską górę* Tomasza Manna, którą kupiłem w wersji duńskiej, ponieważ norweska została skrócona. Z lepszą powieścią nie miałem do czynienia od wielu lat, intrygowała mnie zwłaszcza relacja między zdrowiem a chorobą, która pierwszy raz objawiła się, kiedy Hans Castorp wyszedł z sanatorium na samotny spacer w przepiękne góry i nagle dostał krwotoku z nosa; miała ona kontynuację w jego uczuciach do kobiet, w których pociągała go właśnie choroba, oczy błyszczące od gorączki, kaszel, przygarbione plecy i krzywa postawa, a wszystko to na tle zieleni dolin i lśniących w słońcu alpejskich szczytów. Poruszały mnie również wielkie dyskusje jezuity z humanistą, należało je uznać wręcz za pojedynki na śmierć i życie, w których na szalę kładło się naprawdę wszystko. Domyślałem się, że wiązały się z życiem w sanatorium, stanowiły jego odzwierciedlenie, ale nie potrafiłem tego uchwycić, brakowało mi wiedzy o odniesieniach, do których nawiązywały.

Doktora Faustusa czytałem, kiedy miałem osiemnaście lat. Z tej książki zapamiętałem jedynie załamanie Adriana Leverkühna, kiedy jego najważniejsze osiągnięcie w dziedzinie sztuki zbiega się z chorobą, w której wyniku na powrót staje się on jak dziecko, a także wspaniały początek, gdy Zeitblom i Leverkühn są dziećmi i ojciec kompozytora pokazuje im kilka prostych eksperymentów, tak manipulując nieożywioną materią, aby zachowywała się jak żywa. No i czytałem też *Śmierć w Wenecji*, opowieść o starcu, który stojąc już nad grobem, maluje się i farbuje włosy, żeby wywrzeć wrażenie na pięknym młodym chłopcu.

Wszystko w tych książkach rozgrywało się w bliskości śmierci, chociaż wypełniały je myśli i teorie dotyczące sztuki i filozofii, były to powieści mocno zakorzenione w wielkiej tradycji europejskiej, ale nie zaliczały się do eksperymentalnych, jak dzieła Joyce'a czy Musila, w pewnym sensie brakowało im samodzielności formy; zastanawiałem się, dlaczego tak jest, czy Mann nie potrafił pisać inaczej? Rozprawiał o awangardzie, ale słowa na ten temat wkładał w usta takiego tradycjonalisty jak Zeitblom. Espen, mój najlepszy przyjaciel, nie miał nic dobrego do powiedzenia na temat Tomasza Manna, może z uwagi na tradycjonalizm i mieszczańskość jego utworów, niemieszczących się w sferze zainteresowań Espena, poety, który w kwestii literatury właściwie był wszystkożerny, wiecznie ciekawy i żądny wiedzy, najczęściej jednak jego wzrok przyciągało to, co najbardziej nowatorskie, a to zdecydowanie nie

obejmowało powieści realistycznej. Espen miał swoich francuskich i amerykańskich poetów, ja miałem swoje mainstreamowe powieści, a spotykaliśmy się gdzieś pośrodku, przy pisarzach takich jak Thomas Bernhard, Tor Ulven, Claude Simon, Walter Benjamin, Gilles Deleuze, James Joyce, Samuel Beckett, Marguerite Duras, Stig Larsson czy Tomas Tranströmer. Mogłem rozprawić o Tomaszu Mannie, a Espen mnie słuchał, ale nigdy nie zdołałbym go nakłonić do tego, aby poświęcił czas na przeczytanie którejś z jego powieści, nie miałem zresztą odwagi tego robić, bo mógł uznać książkę wręcz za marną, co odbiłoby się na mnie, bo skrytykowany zostałby mój gust. Naszą relację postrzegałem jako zbliżoną do relacji Leverkühna i Zeitbloma w *Doktorze Faustusie* – Espen był artystą, pochylonym nad apokryfami w swojej pracowni, poetą, geniuszem, a ja – zwyczajnym, przeciętnym człowiekiem, zupełnie przypadkowo jego przyjacielem, który obserwował go przy pracy i znał się na niej akurat na tyle, aby zrozumieć, że jest wyjątkowa, lecz niewystarczająco – nigdy w życiu! – aby samemu stworzyć coś podobnego; mogłem pisać o literaturze, tak jak Zeitblom pisał o muzyce, ale nie mogłem tworzyć jej sam. Wiedziałem, że gdybym powiedział o tym Espenowi, szczerze by protestował, bo sam wcale tak siebie nie oceniał, ale różnica między nami była naprawdę ogromna; on czytał Ekelöfa, Celana, Achmatową, Montalego, Ashbery’ego, Mandelsztama, poetów, o których ledwie słyszałem, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie, a w jego wyborze lektur nie kryła się żadna poza, istniejąca, niestety, u mnie, wymachiwałem nazwiskami pisarzy jak średnio-wieczni rycerze proporcami i chorągwiami, ale nie on, nie Espen, on był szczery.

Jesienią 1989 i wiosną 1990 roku studiowaliśmy razem literaturoznawstwo na poziomie podstawowym^[17]. Początkowo nikogo na uczelni nie znałem, z nikim też nie nawiązałem kontaktu, więc czułem się tak, jakbym znów chodził do liceum, przesiadywałem sam w bufecie, piłem kawę i udawałem, że coś czytam, podczas przerw stałem przed salą wykładową i paliłem, popołudnia i wieczory spędzałem w czytelnicy, cały czas spięty, z rozchyłonymi ustami, w powoli narastającej panice, ponieważ miałem świadomość, że udaję, iż wszystko jest w porządku. Kiedy wieczorem zamykałem książki, czasami szedłem do Yngvego, który zamieszkał razem z Asbjørnem przy Hans Tanks gate, tuż przy budynku Wydziału Nauk Ścisłych, siedziałem z nimi, oglądałem telewizję albo po prostu piłem kawę w ich salonie. Sobie załatwiłem mieszkanie

w tym samym domu, w którym wcześniej mieszkał Yngve, duże, kosztowało tyle, że właściwie nie było mnie na nie stać, ale postanowiłem je wynająć, bo uznałem, że pod koniec semestru uda mi się jakoś zdobyć forszę, nawet jeśli wydam już cały kredyt studencki. Kiedy poprzedniej wiosny kompletnie się splukałem, a jeszcze chodziłem na zajęcia w Akademii Sztuki Pisania, pojechałem do Sørbøvåg i tam kilka tygodni pracowałem u Kjartana. Pomalowałem jedną ścianę stodoły; w pewnym momencie Kjartan stanął pod drabiną, spojrział na mnie i stwierdził, że nie ma nic przyjemniejszego niż patrzeć, jak inni pracują dla ciebie. Wywoził traktorem obornik i usypywał z niego przyzmy, które rozrzucałem widłami po polu. To była ciężka praca, ręce i plecy mnie bolały, kiedy kładłem się wieczorem, ale również satysfakcjonująca dzięki tej jej konkretności, wbijanie trzech zębów wideł w nawóz, częściowo zakrzepły w twarde grudy, a częściowo ciągle wilgotny, odrywanie kawału i odrzucanie go. Sprawiało mi to przyjemność, wyraźnie widziałem, jak praca posuwa się naprzód, jak znikają kolejne przyzmy, a po południu tak cudownie było odstawić widły i iść na podwieczorek z babcią i dziadkiem. Wstawałem o siódmej, jadłem śniadanie, pracowałem do dwunastej, jadłem obiad, pracowałem do czwartej, to przypominało oczyszczenie, pokutę, nie było w tym nic z mojego straszego życia w Bergen, stawałem się innym człowiekiem, kimś, komu nikt nie mógł niczego zarzucić. Szykowałem posiłki, chodziłem z babcią na krótkie spacerki, czasami nawet masowałem jej nogi, co podpatrzyłem u mamy i Kjartana, dotrzymywałem towarzystwa dziadkowi i Kjartanowi, który wracał z pracy około piątej i dzięki mojej obecności miał przypuszczalnie trochę więcej czasu dla siebie niż zwykle. Choroba babci bardzo się rozwinęła i kiedy opuszczałem dziadków, bo szedłem pracować, jej drzenie i skurcze zdawały się żyć we mnie nadal, musiałem je przyhamowywać, tłumić, ale pozostawały poza moją kontrolą. Z babcią ledwie dało się rozmawiać, prawie straciła głos, tylko mamrotała szeptem, niemal nie dawało się rozróżnić poszczególnych słów. Pewnego popołudnia dziadek mówił o Hamsunie, którego książki dały mu tyle radości, i nagle babcia zaczęła coś szeptać w swoim fotelu, nachyliłem się do niej, w ogóle nie mogłem zrozumieć, o co jej chodzi, gdy nagle kawałek układanki wpadł na swoje miejsce: Duun!^[18] Babcia powtarzała: Duun! Innego popołudnia zobaczyłem, że jest podniecona, usiłowała nawiązać ze mną kontakt, podszedłem do niej, nachyliłem się, wskazała na dziadka, szepcząc coś, ale sensu nie rozumiałem. Powiedziałem: Powtórz, babciu, bo nie słyszę, co

mówisz, jeszcze raz...

Wydało mi się, że mówi, iż dziadek kogoś zabił.

– Dziadek kogoś zabił? – spytałem.

Wtedy się roześmiała! Cichym, szepczącym śmiechem, ledwie słyszalnym, ale klatka piersiowa jej drgała, a oczy rozbłysły.

Uznałem, że jednak nie o to chodzi, i też się roześmiałem. W zasadzie nie było nic dziwnego w tym, że usłyszałem od niej takie właśnie słowa, bo niekiedy od świata odgradzał ją cień paranoi, więc skoro czasami twierdziła, że dziadek jest złodziejem, mogła powiedzieć również, że kogoś zabił, prawda?

Wspaniale było widzieć, jak się śmieje. Normalnie jej jednostajne dni wypełniało tylko cierpienie, aż bolało, gdy się na to patrzyło. Pewnej nocy obudził mnie głos dziadka, który wołał Kjartana, więc czym prędzej zbiegłem na dół, oboje czekali w małżeńskim łóżku wstawionym do jadalni, babcia leżała roztrzęsiona, z szeroko otwartymi oczami, dziadek przysiadł na brzegu łóżka.

– Kjartan musi jej pomóc dojść do łazienki – wyjaśnił. – Przyrowadź go.

– Ja to mogę zrobić – zaproponowałem.

Sądziłem, że na noc babcia ma zakładaną pieluchę, ale od tej części opieki nad nią, związanej ze sferą intymną, z ubieraniem i rozbieraniem, trzymałem się z dala, byłem jej wnukiem, uznałem, że tym powinni się zajmować dziadek albo Kjartan. Ale teraz musiałem wziąć to na siebie.

Podparłem jej plecy, drugą ręką ująłem ją pod pachę i zacząłem podnosić. Była tak sztywna, że trwało to długo, lecz w końcu siedziała na brzegu łóżka. Szepiała coś. Szczęki jej drżały, ale patrzyła wprost na mnie przytomnymi niebieskimi oczami. Nachyliłem się.

– Kjartan – wyszeptała.

– Ja cię zaprowadzę – oświadczyłem. – Nie musimy go budzić. Przecież i tak już nie śpię.

Wziąłem ją za rękę i podciągnąłem, żeby stanęła. Ale zrobiłem to za szybko, babcia jeszcze nie zdążyła się rozruszać i z powrotem upadła na łóżko. Powtórzyłem więc tę czynność, tym razem wolniej, jednocześnie przyciągając chodzik. Postawiłem go przed nią i śledziłem, jak powoli, w sposób wręcz trudny do zauważenia, przesuwając dłonie ku uchwytom.

W końcu chwyciła się go obiema rękami i złapała równowagę na tyle, że

mogła ruszyć z miejsca. Była jedynie w białej, cienkiej koszuli nocnej, przedramiona i łydki miała gołe, siwe włosy rozpuszczone. Nie podobała mi się sytuacja, w którą się wplątałem, za bardzo zbliżyłem się do babci w niewłaściwy sposób. Uświadomiłem sobie, że po dojściu do łazienki będę musiał jej pomóc usiąść na sedesie. O, nie, o, nie. Ale byliśmy na dobrej drodze, babcia sunęła krok za krokiem najpierw przez jadalnię, w której spali dziadkowie, potem przez salon z telewizorem. Trzęsły jej się ręce i głowa, lecz powoli, z wielką ostrożnością stawiała jedną stopę przed drugą, chociaż nogi też jej drżały. W pokoju było ciemno, paliła się tylko lampka w kącie. Zrobiłem kilka kroków do przodu i otworzyłem drzwi na korytarz, łazienka znajdowała się trochę dalej, w głębi.

– Już niedaleko – powiedziałem.

Przesunęła trzęsącą się stopę do przodu i w tym momencie po udzie popłynął jej mocz. Za chwilę strumień się zwiększył i z pluskiem chlapnął na podłogę. Babcia znieruchomiała. Nachylona do przodu, zastygła w bezruchu i sikała, a ten widok sprawił, że skojarzyła mi się ze zwierzęciem. Stałem przed nią i na sekundę nasze spojrzenia się spotkały. W jej oczach była udręka.

– Nic nie szkodzi, babciu. Takie rzeczy się zdarzają. Stój tutaj, pójdę po Kjartana.

Wybiegłem, szybko zadzwoniłem dwa razy do drzwi jego domu, potem je otworzyłem i zacząłem go wołać. Zbiegł kilka sekund później, przygotowany na najgorsze.

– Musisz pomóc babci – wyjaśniłem. – To nic poważnego. Potrzebuje tylko pójść do ubikacji.

Nie odezwał się, ruszył za mną, podtrzymał mocno babcię i zdecydowanymi ruchami zaprowadził ją do łazienki. Zamknąłem za nimi drzwi. Nalałem wody do wiadra, zmoczyłem ścierkę i zmyłem podłogę.

Pojechałem do Bergen z gotówką, która pozwoliła mi przetrwać do końca semestru. Nikomu nie mówiłem, co przeżyłem u dziadków. Wszedłem z powrotem w ponure bergeńskie życie; traktowałem teraz Sørbøvåg jak zamknięty pokój, przypieczętowane doświadczenie, podobnie jak inne doświadczenia, których nie dało się połączyć z moim obecnym życiem lub nic do niego niewnoszących. Zwłaszcza po tym, jak rzuciłem szklanką w głowę Yngvego, wydawało mi się niemożliwe połączenie tego, kim byłem wtedy – człowieka, któ-

ry usiłował skrzywdzić, zniszczyć, oślepić rodzzonego brata – i tego, kim byłem w obecności dziadków albo mamy, którzy zresztą nie wiedzieli o tamtym zdarzeniu. Stale jednak o tym myślałem, jakaś potężna siła ciągnęła mnie ku temu miejscu we mnie, którego wcześniej nie znałem i o którym nie wiedziałem, bo skoro potrafiłem rzucić szklanką w twarz Yngvego, do czego jeszcze byłem zdolny? Istniało we mnie coś, nad czym nie miałem kontroli, i to mnie przerażało, bo jeśli nie mogłem ufać sobie, to komu?

Również o tym nie mogłem z nikim rozmawiać. Tamtego popołudnia w studenckim mieszkaniu Yngvego, kiedy zrozumiałem, co zrobiłem, rozplakałem się, prosząc o wybaczenie, tak mocno tym poruszony, że nie byłem w stanie iść do domu, więc tam nocowałem, spałem na kanapie, otoczony ludźmi, którzy nie bardzo wiedzieli, gdzie mają skierować wzrok w mojej obecności. Jednego chłopaka nigdy wcześniej nie widziałem, wszedł, kiedy siedziałem na kanapie ze spuszczoną głową, i spytał: A więc to ty jesteś Karl Ove? To ty zajmujesz mieszkanie nad Mortenem, prawda? Owszem, potwierdziłem. No to zajrzę do ciebie któregoś dnia. Mieszkam na sąsiedniej ulicy. Podniosłem oczy i spojrzałem na niego, uśmiechał się tak szeroko, że twarz o mało nie pękła mu na pół. Powiedział jeszcze: mam na imię Geir.

Dwa dni później zapukał do moich drzwi. Właśnie pisałem, ale zawołałem „proszę”, sądząc, że to Morten, bo nie było dzwonka domofonu.

– Piszesz? – spytał. – Nie chcę ci przeszkadzać.

– Nie, nie, wejdź, nie przeszkadzasz.

Usiadł, porozmawialiśmy dość ostrożnie o wspólnych znajomych, okazało się też, że jesteśmy równoletkami. Geir dorastał na Hisøi i chodził do liceum razem z wieloma moimi kolegami z podstawówki i gimnazjum, których od tamtej pory nie widziałem. Poszedł do szkoły podoficerskiej, ale z niej zrezygnował, przeniósł się do Bergen i zaczął studiować antropologię społeczną. Początkowo mówił wyłącznie o tym, jaki jest szczęśliwy i jak fantastycznie żyje się w Bergen. Miał własne pieniądze, własne mieszkanie, a na uniwersytecie aż roiło się od dziewczyn. Czy mogło być lepiej?

Odpowiedziałem, że może i nie.

Roześmiał się i stwierdził, że w życiu nie widział takiego ponuraka jak ja. Można by pomyśleć, że to Hiob przeprowadził się do Bergen! Daj spokój, wyjdźmy na miasto, a myśli od razu ci się rozjaśnią.

Dlaczego nie, powiedziałem, i ruszyliśmy w dół, w stronę centrum. Stanęliśmy przy barze w Fekterloftet i zamówiliśmy karafkę białego wina; w ogóle nie odczuwałem zażenowania, które zawsze towarzyszyło mi w obecności nieznamomych, nie myślałem o tym, że jestem nudny i nieciekawym, a przez to nikt tak naprawdę nie chce ze mną przebywać. Coś w tym chłopaku budziło moje zaufanie. Z nikim innym poznanym w Bergen, ani nawet z Yngvem, nie mógłbym rozmawiać o tym, o czym tego wieczoru rozmawiałem z Geirem. Uważałem, że to, co najgłębsze i najdelikatniejsze, człowiek zatrzymuje dla siebie, dzieli się tym najwyżej z ukochaną albo z ukochanym, ale z pewnością nie wyrzuca tego z siebie podczas wieczoru na mieście, bo to mogło wszystko popsuć, każdy raczej tego unikał. Przecież chodziło głównie o to, żeby było fajnie, o opowiadanie rozmaitych dykteryjek albo dyskusowanie, nawet ze skakaniem sobie do oczu, ale jedynie o tym, co znajdowało się poza czymś wewnętrznym, co mieściło się wśród ludzi, co było dla nich wspólne. O zespołach, filmach, książkach, innych studentach, wykładowcach, dziewczynach, o rozmaitych sytuacjach przerobionych na zabawne historyjki.

Tego wieczoru było zupełnie inaczej.

Opowiedziałem Geirowi o roku spędzonym na północy Norwegii, o tym, że trochę się podkochiwałem w jednej trzynastolatce, a całowałem się z drugą, że zupełnie oszalałem na punkcie szesnastolatki i prawie zacząłem z nią chodzić, że się tam obijałem i piłem, kompletnie tracąc nad sobą kontrolę, i że to nadal trwa, przyznałem też, że boję się siebie, i mówię to nie dla picu, żeby kogoś kokietować, tylko naprawdę, boję się, co mogę jeszcze wymyślić, bo skoro usiłowałem skrzywdzić brata, wszystko jest możliwe. Czy jeślibym miał nóż, to wbiłbym go w niego? Opowiedziałem mu też o babci, o tym, jaką zachowała godność wśród całej tej niedoli, która na nią spadła. Ale przede wszystkim mówiłem o Ingvild. Zrelacjonowałem mu wszystkie nasze spotkania, opisałem, jaka to fantastyczna dziewczyna, i przyznałem, że popełniłem błąd już na samym początku. Powiedziałem, że jestem jak porucznik Glahn, też byłem gotów strzelić sobie w stopę, byle tylko na mnie spojrzeła i choć raz o mnie pomyślała. Powiedziałem, że już mam jedną bliznę na nodze, i oparłem stopę o poprzeczkę barowego stołka, zobacz, pokaleczyło mnie, kiedy próbowałem odrzucić nogą petardę, popisując się przed Hanne. A kim, na miłość boską, jest Hanne? – spytał. Wyjaśniłem, że to inna dziewczyna, w której się kochałem. Aha, jeszcze jedna, roześmiał się.

Z jego historii, którą mi opowiedział, wynikało, że nie tylko różnimy się od siebie, lecz jesteście wręcz swoim diametralnym przeciwieństwem.

Był właściwie militarystą i uwielbiał życie w szkole podoficerskiej, dźwięk pobudki rano, zapach skóry i smaru do czyszczenia broni, mundury, karabiny i dyscyplinę. Marzył o tym całe życie, był członkiem Młodzieżowej Ligi Obrony Cywilnej w Arendal, a kiedy skończył liceum, nawet przez chwilę nie miał wątpliwości co do wyboru drogi życiowej.

– No i dlaczego rzuciłeś tę szkołę, skoro tak ci się tam podobało?

– Nie wiem. Może po prostu odkryłem, że to wszystko potrafię, że już to wiem. Chciałem zająć się czymś, czego nie umiałem. No i jeszcze ten brak indywidualności. Rozmawiałem o tym ze swoim przełożonym. Tłumaczyłem, że nie chcę być owcą z dzwonkiem, przewodniczką stada, a on wtedy odpowiedział, że problemem jest nie to, że jest się prowadzonym, tylko dokąd. Miał trochę racji. Ale decydujący okazał się dla mnie moment, w którym zobaczyłem regulamin. Wtedy zrozumiałem, że ktoś zawsze będzie wiedział, gdzie jestem. Z tym się nie mogłem pogodzić. Dlatego rzuciłem szkołę i odmówiłem pójścia do wojska.

– Ty odmówiłeś pójścia do wojska?

– Mhm. Ale i tak uwielbiam odgłos maszerujących butów.

Mnie nawet przez myśl nie przeszło, że można lubić wojsko, które reprezentowało sobą wszystko, czemu byłem przeciwny. Wojnę, przemoc, autorytety, władzę. Byłem pacyfistą, ale nieszczęśliwym. On był militarystą, ale szczęśliwym. Nie dało się stwierdzić, który z nas ma rację. Opowiedział mi też o pewnym poranku, kiedy szedł do domu z dziewczyną, którą interesował się od dawna, wschodziło słońce, miasto było puste, a oni szli przez park, trzymając się za ręce, do jego wynajętego mieszkania i ogromnego wodnego łóżka, które tam na nich czekało, mówił, jak idealne pod każdym względem były te chwile. Opowiadał o wszystkim, czego się uczył na antropologii społecznej, śmiał się z niektórych dziwacznych rytuałów odprawianych przez ludzi. Śmiał się też ze mnie, ale w sposób, który nie był dla mnie przykry, przeciwnie, sam nagle zaczynałem się z siebie śmiać. Pomyślałem, że mam nowego przyjaciela. I rzeczywiście go miałem, ale jak się okazało, nie na długo, bo chwilę później oznajmił mi, że jesienią przenosi się do Uppsali. Zrobiło mi się smutno, ale się do tego nie przyznałem. Fekterloftet już zamykano, więc pijani wykonaliśmy rundę po nocnych klubach, skończyliśmy w Slakteriet, będącej, jak zawsze,

ostatnim przystankiem podczas bergeńskich nocy, i wtedy, podniecony jasnym niebem i widokiem tylu szczęśliwych ludzi krążących po ulicach w białą czerwcową noc, zaproponowałem, żebyśmy poszli do Ingvild, aby Geir zobaczył ją na własne oczy, ja zaś przy okazji mógłbym jej wyznać przynajmniej część swoich uczuć. Zgodził się, ruszyliśmy Nygårdsgaten, przypomniało mi się, że z wizytą nie należy iść z pustymi rękami, więc pobiegłem na rabaty przy Grieghallen i zacząłem ciągnąć za krzew rododendronu, świeżo rozkwitły, śliczny. Udało mi się go wyrwać, poczekałem, aż Geir wyrwie swój, a potem przeszliśmy na drugą stronę ulicy, pozbierałem z ziemi kilka drobnych kamyczków i zacząłem nimi rzucać w jej okno. Mogła być czwarta, wpół do piątej. W końcu Ingvild wyjrzała, początkowo nie chciała nas wpuścić, ale ponieważ błagałem, powiedziała wreszcie, że zjeździe. Akurat w momencie, gdy otworzyła drzwi wejściowe, ulicą nadjechał radiowóz i zatrzymał się przy nas. Policjant wysiadł, Ingvild zamknęła drzwi i zniknęła, funkcjonariusz spytał, co wyprawiamy, więc wyjaśniłem, że chcieliśmy dać dziewczynie kwiaty, ale rozumiejąc, że zachowaliśmy się niewłaściwie, bo zerwaliśmy je przy Grieghallen, no ale proszę zobaczyć, korzenie są całe, możemy je zaraz z powrotem posadzić i wszystko będzie w porządku. Policjant się zgodził, a kiedy sadziliśmy krzewy, on i jego kolega obserwowali nas z ulicy, odjechali dopiero, kiedy skończyliśmy.

– Mieliśmy szczęście – stwierdziłem.

– Szczęście? Przecież przyjechały gliny.

– No tak, ale równie dobrze mogli nam wlepić mandat albo nas zabrać do izby wytrzeźwień. Chodź już.

– Powoli wszystko zaczyna mi się składać – powiedział Geir. – Chcesz wrócić do Ingvild?

– Tak, chodź.

Pokręcił głową, ale poszedł ze mną. Znowu rzucałem kamyczkami w okno, tym razem jednak nie otworzyła. Geir zaczął mnie stamtąd odciągać, postanowił wracać do domu. Powiedziałem, że może iść sam, ja nie mam jeszcze zamiaru się kłaść. Po jego odejściu ruszyłem przez wzgórze na Møhlenpris, po drodze sprawdziłem drzwiczki w paru samochodach, zajrzałem na kilka podwórek, szukając nieprzypiętych rowerów, przysiadłem na jakichś schodach i zapaliłem papierosa, słońce wyłaniało się już zza horyzontu. Z budki telefonicznej koło boiska zadzwoniłem do mieszkania Ingvild. Odebrał któryś z chłopaków.

Powiedziałem, że chcę z nią rozmawiać, na co spytał, czy wiem, która jest godzina. Ingvild śpi, wszyscy śpią, nie mogę wydzwaniać w środku nocy. Rozłączył się. Kilka razy uderzyłem słuchawką o aparat, ale się nie rozwaliła. Wtedy wyszedłem i zacząłem kopać w ścianę czerwonej budki.

Jasna cholera, przyjechał kolejny patrol!

Radiowóz zatrzymał się przy mnie, policjant opuścił szybę i spytał, co wyprawiam. Wyjaśniłem, że jest mi bardzo smutno, bo właśnie zerwała ze mną dziewczyna, i dlatego kopałem w budkę. Bardzo przepraszam, to się więcej nie powtórzy.

– Wracaj do domu i idź spać.

– Dobrze.

– Już! Niech zobaczą, że idziesz.

Ruszyłem więc w stronę Hulen, a policjanci obserwowali mnie z samochodu. Skręciłem, pojechali za mną, zniknęli dopiero, kiedy wszedłem do parku.

Kiedy się obudziłem, lęk i wstyd opadły mnie z tak ogromną siłą, że o mało mnie nie rozerwały. Miałem ochotę stanąć na środku pokoju i wrzeszczeć, bo niczego się nie nauczyłem, znów zanurzyłem się w stan kompletnego braku kontroli i jakichkolwiek granic, w którym mogło się zdarzyć wszystko. Coś we mnie krzyczało, więc musiałem albo to przetrzymać, albo z kimś się spotkać. Wiedziałem, że to złagodzi i wyciszy wstyd. Zszedłem do Mortena, rozparł się na kanapie i słuchał mnie, zewnątrznie całkiem odmieniony, bo przestał nosić buty żeglarskie i czerwone skórzane kurtki, nie studiował już prawa, wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i został studentem humanistyki, z czym wiązały się czarne spodnie, czarne T-shirty, czarne buty, kolczyk w uchu i Raga Rockers z wieży stereo. Już zdążył się w to wciągnąć i nawiązując do piosenki tej grupy, często kończył swoje monologi stwierdzeniem, że jesteśmy maszynami, które osiągnęły stan nirwany, Karl Ove, jesteśmy maszynami w stanie nirwany.

Następnego dnia przyszła koperta z wydawnictwa Cappelen. W pierwszej chwili postanowiłem jej nie otwierać, uznałem, że będzie tak jak z kotem Schrödingera: do momentu otwarcia koperty i przeczytania listu równie dobrze mogłem zostać przyjęty, jak i odrzucony. Przeleżała na stole całe przedpołudnie, regularnie na nią spoglądałem, a będąc w sklepie, nie myślałem o niczym innym, w końcu około czwartej nie wytrzymałem dłużej i otworzyłem.

Oczywiście. Odmowa.

Spodziewałem się tego, lecz mimo wszystko poczułem rozczarowanie, i to tak głębokie, że nie mogłem być sam. Zszedłem do Mortena, lecz go nie zastałem, pomyślałem o Jonie Olavie, ale jemu nie chciałem wymachiwać przed nosem swoją porażką. Yngvemu też nie. Przyszedł mi do głowy Geir, mieszkał zaledwie kilka minut piechotą ode mnie, więc poszedłem do niego. Już się pakował, na podłodze stało kilka pudeł, ale wyczarował skądś dwa kubki i kawę rozpuszczalną. Siedząc na podłodze, zacytowałem mu treść listu: „Oceniliśmy materiał z zainteresowaniem, ale niestety, nie możemy się podjąć jego wydania. Powieść jest momentami zabawna, świeża, ale uważamy, że ogólnie ma Pan za mało do przekazania, a poza tym jest zbyt długa. Dlatego dziękujemy za możliwość przeczytania maszynopisu i w załączeniu go zwracamy”.

Geir zaczął się śmiać.

– Zaimponowałeś mi po pierwsze tym, że już umiesz ten list na pamięć. A po drugie, że w ogóle napisałeś powieść. Nie znam nikogo, kto wpadłby na taki pomysł.

– Marna pociecha – stwierdziłem.

Prychnął.

– No to napisz nową!

– Łatwo ci powiedzieć.

– Rzeczywiście, bo jestem w zasadzie dyslektykiem. Przed przyjazdem tutaj nie przeczytałem w całości żadnej powieści. A tak w ogóle, co byś mi polecił, gdyby naszła mnie ochota na czytanie?

– Może *Dødt løp* Erlinga Gjelsvika?

– To najlepsza powieść, jaką czytałeś?

– Nie, nie. Ale dobra na początek.

– Chyba mnie nie doceniasz. Dalej, mów, co jest według ciebie najlepsze.

– Może *Lasso rundt fru Luna* Myklego? Albo *Pan* Hamsuna? A może *Romans z kokainą* Agiejewa?

– No to przeczytam Myklego, skoro wymieniłeś go na początku. *Pana* już mi całego streściłeś.

– Oprócz tego, że na końcu bohater popełnia samobójstwo. O tym nie mówiłem.

- Ale śmieszne.
 - Naprawdę!
 - Chcesz mi popsuć całą radość z lektury? – spytał.
 - Przecież wszyscy wiedzą, że to się tak kończy.
 - Ja nie.
 - Teraz już wiesz.
 - Czy zdaniem eksperta coś jeszcze powinienem wiedzieć?
 - Owszem. Odkryłem coś dwa tygodnie temu. Leżałem w łóżku i wpatrywałem się w półkę z książkami. Kilka nazwisk pisarzy przeczytałem wspan.
 - I co?
 - Wiesz, co wychodzi z T. Eliota?
 - Nie.
 - *Toilet*. Szkoda, że jest jeszcze to S. Gdyby stało p r z e d T, wyszłoby *Toilets*.
 - I ty masz zamiar studiować literaturoznawstwo?
 - Owszem.
- Zapadła cisza.
- Szkoda, że się przeprowadzasz – powiedziałem.
 - Już byłem w Bergen. Wiem, o co tu chodzi. Muszę teraz spróbować czegoś innego.
 - Przez jakiś czas planowałem wyjechać jesienią do Stambułu. Po prostu wynająć sobie tam pokój i przez rok tylko pisać.
 - To dlaczego tego nie zrobisz?
- Wzruszyłem ramionami.
- Mam wrażenie, że powinienem wyprostować tutaj parę spraw. No i nie wiem, o czym miałbym pisać. Wszystko, co ma związek z pisaniem, tylko mnie przygnębia. Muszę się uczyć. A to równie dobrze mogę robić tutaj.
 - No to przyjeźdź do Uppsali!
 - A po co? Czego, do cholery, miałbym tam szukać?
 - A czego j a, do cholery, będę tam szukał? Właśnie o to chodzi. Żeby pojechać w jakieś miejsce, o którym kompletnie nic się nie wie, i zobaczyć, co się będzie działo.

– Ale ja nie chcę, żeby się coś działo – zaprotestowałem. – Mówię poważnie.

Odstawiłem kubek na jedno z pudeł i wstałem. Z okna widać było park i dom, w którym mieszkałem, dalej fiord i wyspy. Słońce wisiało nad wodą, ciemnopomarańczowe na tle głębokiego błękitu nieba, a drzewa w parku rzucały wydłużone, smukłe cienie.

– No to trzymaj się. Napiszesz pierwszy, a ja odpiszę, okej?

– Okej.

Uścisnęliśmy sobie ręce i pomaszerowałem ulicą w dół do siebie. Oczywiście kiedy otwierałem drzwi do swojego mieszkania, nie wiedziałem, że upływie czternaście lat, zanim znów go zobaczę. Wspomnienie jego osoby pochodziło zaledwie sprzed kilku minut i liczyłem, że po roku w Uppsali Geir wróci do Bergen. Myślą, że można porzucić coś na zawsze, jedynie od czasu do czasu się bawiłem, nigdy nie traktowałem poważnie takiej możliwości, sam postanowiłem zostać w Bergen jeszcze rok, a dopiero potem zacząć coś innego, przenieść się w jakieś inne miejsce.

Jeszcze raz przeczytałem odmowny list z wydawnictwa. Potem usiadłem przy piecu, zgmiotłem kilka kartek maszynopisu, podpaliłem je, a w powstałe płomienie zacząłem wkładać kolejne kartki. Miałem trzy egzemplarze powieści, spaliłem dwa. Ten trzeci zamierzałem podarować Ingvild. Była to ostatnia rzecz, jaką planowałem zrobić w związku z nią. Żadnych wizyt więcej, żadnych rozmów telefonicznych, żadnych wygłupów, nic. Moja powieść miała być pożegnaniem.

W tym samym ogniu spaliłem swoje dzienniki, potem włożyłem maszynopis do reklamówki i ruszyłem do miasta.

Drzwi wejściowe do budynku były otwarte, wszedłem na piętro i zadzwoniłem. Otworzyła mi Ingvild.

– Cześć – powiedziała. – Fajnie cię widzieć.

– Ja też się cieszę.

– Właśnie jemy obiad... Wejdiesz mimo to?

– Chętnie.

Zdjąłem buty, reklamówkę zostawiłem w przedpokoju i ruszyłem za Ingvild do salonu. Przy stole siedziało osiem osób, współmieszkańcy Ingvild i ich znajomi. Znałem wszystkich. Ale oni zostali zaproszeni, a ja zjawiłem się znie-

nacka i czułem, że uśmiechają się do mnie z pewnym przymusem.

– Zjesz z nami? – spytała Ingvild.

Pokręciłem głową.

To by było upokarzające, dodatkowy talerzyk w rogu dla nieproszonego gościa.

– Nie. Chciałem tylko zamienić z tobą kilka słów. Ale właściwie możemy porozmawiać później.

– To dobrze.

Zaczerwieniłem się, wszystko było nie tak. Przyszedłem, zrobiłem wielkie wejście, a teraz chciałem wyjść, niczego nie zdołałwszy.

– No to trzymajcie się – powiedziałem, słysząc, jak idiotycznie to brzmi.

– Cześć – usłyszałem w odpowiedzi.

Ingvild wyszła za mną do przedpokoju.

– Chciałbym tylko skorzystać z toalety. – Od razu skierowałem się w stronę odpowiednich drzwi. Kiedy Ingvild zniknęła w kuchni, wymknąłem się po torbę z maszynopisem, szybko wszedłem do jej pokoju, położyłem torbę na łóżku, wyszedłem, a kiedy Ingvild znów się pojawiła, akurat wkładałem buty.

Przynajmniej będzie miała niespodziankę, pomyślałem, zbiegając po schodach i wychodząc w ciepły letni wieczór na ulice nasycone słońcem. Przecież właśnie o to chodziło.

Uniwersytet dał mi nowy początek. A przede wszystkim coś, czego można się było ucześcić. Punktem zaczepienia były wykłady, punktem zaczepienia była czytelnia, punktem zaczepienia były książki. Bez względu na to, co się działo, bez względu na to, jak fatalnie się czułem, zawsze mogłem iść do czytelni, znaleźć sobie miejsce, siedzieć tam i czytać tak długo, jak chciałem. Nikt wtedy nie mógł mi niczego zarzucić, nikogo również nie mogło to dziwić, przecież w tym tkwi sedno uniwersyteckiego życia. Kupiłem sobie dwutomowy przegląd literatury światowej i usiłowałem przez to wszystko przebrnąć, przez kolejnych pisarzy, od Homera po lata sześćdziesiąte, o każdym starałem się zapamiętać linijkę czy dwie, żeby wiedzieć, czym się zajmowali. Chodziłem na wykłady, Kittanga o poezji antycznej, Buvika o eposie antycznym, Linneberga o dramacie antycznym. Wśród tych wszystkich nazwisk i dat dokonałem kilku

poruszających odkryć. Odkryłem Odyseusza, który oszukał Cyklopa, mówiąc, że jego imię brzmi Nikt. Stracił siebie, ale zyskał życie. Odkryłem, że ci, którzy słuchali śpiewu syren, również tracili siebie, bo wabieni przez te istoty, gotowi byli zrobić wszystko, co w ich mocy, byle się do nich zbliżyć, lecz umierali. Syreny to jednocześnie Eros i Tanatos, miłość i śmierć, to, co najbardziej pożądane, i to, co najgroźniejsze. Odkryłem Orfeusza, który śpiewał tak pięknie, że wszyscy, którzy go usłyszeli, oczarowani jego śpiewem, zapominali o sobie. Orfeusz wszedł do królestwa śmierci, aby zabrać stamtąd Eurydykę, i nawet by mu się to udało, gdyby się nie odwrócił, żeby na nią spojrzeć. Zrobił to jednak, i stracił ją na zawsze. Pisał o tym francuski filozof o nazwisku Blanchot, czytałem jego esej o Orfeuszu, o tym, że sztuka jest potęgą, dzięki której otwiera się noc, lecz Orfeusz pragnie Eurydyki, uważa ją za skrajność, którą mogłaby osiągnąć sztuka. Według Blanchota Eurydyka jest inną nocą.

Te myśli były dla mnie zbyt wielkie, ale mnie pociągały, więc usiłowałem się przez nie przedrzeć, ujarzmić je, przyswoić sobie, ale mi się nie udawało, przyglądałem się im z zewnątrz ze świadomością, że ich pełne znaczenie mnie omija. Oddać świętość świętości? Noc w nocy? Główną figurę rozpoznawałem: powstawanie czegoś, co w tym samym momencie się zatracza, jednoczesna obecność dwóch elementów, z których drugi niweczy ten pierwszy, widziałem to w wielu współczesnych wierszach i mnie samego również porывała myśl o nocy, o tej innej nocy, i o śmierci, ale gdy tylko usiłowałem zastanawiać się nad tym samodzielnie, czyli wyjść poza formę, w jakiej zetknąłem się z tymi myślami, wszystko stawało się banalne i głupie. Było tak jak ze wspinaczką górską: stopę należało postawić konkretnie tu i tu, dłonią chwycić się dokładnie w tym i w tym miejscu, bo inaczej nie wejdzie się wyżej albo straci się chwyt i spadnie.

Najważniejszą wartość ma więc to, co znika, kiedy zostanie zobaczone lub wyrażone. Takie było sedno mitu o Orfeuszu. Ale czym było owo t o?

Kiedy popołudniami siedziałem w starej czytelnicy, przesyconej dziwną, mroczną atmosferą, i czytałem Blanchota, rodziło się we mnie zupełnie nowe uczucie, którego nie doświadczyłem nigdy wcześniej, coś w rodzaju ogromnego podniecenia, jakbym znajdował się tuż obok czegoś wyjątkowego, a podniecenie to przesycała równie ogromna niecierpliwość, m u s i a ł e m do tego dotrzeć, te dwa uczucia zaś wielce się sobie sprzeciwiały: z podniecenia chciałem wstać, biegać i krzyczeć, a jednocześnie z niecierpliwością pragną-

łem czytać dalej. Najdziwniejsze było to, że ów niepokój dopadał mnie wtedy, gdy przeczytałem coś fascynującego, co zrozumiałem i przyswoiłem, trochę tak, jakbym nie mógł tego wytrzymać. Często wówczas wstawałem i robiłem sobie przerwę, a kiedy podniecony i niecierpliwy szedłem korytarzami i wspinałem się po schodach na piętro do bufetu, nie opuszczała mnie świadomość, że w takim stanie, z rozdziawioną gębą i nie wiadomo dlaczego tak dziko poruszonym wnętrzem, idę sam. Brałem wtedy kawę, siadałem przy stoliku i starałem się jak najlepiej odgrywać osobę, która czuje się zupełnie swobodnie.

Chęci przyswojenia sobie wiedzy towarzyszyła również swego rodzaju panika. W nagłych przyływach strasznej prawdy uświadamiałem sobie, że właściwie nic nie umiem, więc muszę się spieszyć, nie mam nawet sekundy do stracenia. Dopasowanie tego pędu do powolności, jakiej wymagało czytanie, było prawie niemożliwe.

W połowie września wybrałem się z Yngvem do Florencji. Pojechaliśmy pociągiem i na cztery dni zatrzymaliśmy się w położonym w pobliżu katedry Pensione Palmer, gdzie mieszkałem ubiegłego lata w trakcie autostopowej wyprawy z Larsem. Nie rozmawialiśmy o tym, co między nami zaszło, po prostu przeszliśmy nad tym do porządku dziennego, byliśmy braćmi i ta więź okazała się najsilniejsza, ale coś się jednak zmieniło, może głównie we mnie, zniknęły resztki naturalności, i kiedy przebywaliśmy razem, byłem świadomy każdego gestu i słowa. Chwile milczenia sprawiały mi ból, przecież jako bracia powinniśmy rozmawiać ze sobą lekko, swobodnie, a tymczasem zapadała cisza, w której usiłowałem wykombinować jakiś naturalny temat, żeby ją przerwać. Może coś o jakimś zespole? O Asbjørnie albo innym kumplu Yngvego? O piłce nożnej? O naszym otoczeniu, o mieście, przez które przejeżdżał pociąg, o scenie rozgrywającej się na ulicy za oknem pensjonatu, o pięknej kobiecie wchodzącej do baru, w którym siedzieliśmy? Niekiedy gadało nam się nawet całkiem niezłe, na przykład o różnicach między dziewczynami w kraju a tymi, które obserwowaliśmy tutaj, tak niebywale eleganckimi, nie tylko pod względem stroju – w obcisłych kurtkach i wąskich płaszczach, w wysokich kozakach i szykownych apaszkach – lecz również w ruchach, wystudiowanych i harmonijnych, tak niebywale różnych od ruchów naszych dziewczyn, których istotą było wyłącznie przemieszczanie się, kiedy maszerowały z plecakami lekko pochylone, jakby zawsze szykowały się na oberwanie chmury, kiedy truchtały

zgarbione, nic więcej te ruchy nie zawierały, ich celem było wyłącznie parcie do przodu. Jednocześnie widok włoskich kobiet, bo określenie „dziewczyny” wydawało się w stosunku do nich błędne, działał na nas również przygnębiająco – grały w innej lidze, pozostawały poza naszym zasięgiem, ponieważ mieliśmy w sobie ten sam brak wyrafinowania co norweskie dziewczyny. Wystarczyło rzucić okiem na młodych Włochów, równie eleganckich jak kobiety, znających świetnie wszystkie sztuczki z podręcznika i flirtujących z takim obyciem, jakiego nie bylibyśmy w stanie się wyuczyć, nawet gdybyśmy ćwiczyli codziennie przez cały najbliższy rok, ba, nawet gdybyśmy studiowali elegancję i obycie na uniwersytecie przez sześć lat, i tak nie zbliżylibyśmy się do nich nawet o krok.

– Miałem dwadzieścia dwa lata, kiedy pierwszy raz w życiu jadłem befsztyk – oznajmił Yngve, gdy siedzieliśmy w kawiarnianym ogródku przy espresso, które, jak wiedzieliśmy, należy pić na stojąco, ale i tak usiedliśmy. Skoro byliśmy Norwegami, równie dobrze mogliśmy pić kawę, stojąc na głowie, zamiast opierając się o bar. – Myślałem, że befsztyk i kotlet to to samo – ciągnął.

– A nie jest? – spytałem.

Roześmiał się. Myślał, że się wygłupiam.

– Jeśli nie, to znaczy, że nigdy nie jadłem befsztyka. No ale mam dopiero dwadzieścia lat.

– Naprawdę nie jadłeś? To idziemy dzisiaj na befsztyki. Postanowione.

W Bergen nadeszła już jesień, ale we Florencji ciągle było ciepłe lato. W południe słońce przypiekało nawet zza chmur, a żółty kolor niektórych roślin wynikał jedynie z suszy.

Poszliśmy do Galerii Uffizi, wędrowaliśmy ciągnącymi się w nieskończoność korytarzami i oglądaliśmy obrazy, wszystkie identyczne, nie do odróżnienia, obejrzelśmy posąg Dawida wyrzeźbiony przez Michała Anioła i kilka jego niedokończonych prac, w których postacie jakby usiłowały wyskoczyć z przytrzymujących je marmurowych bloków. Zwiedziliśmy wielką katedrę, po schodach weszliśmy pod sam dach i idąc dalej wąskim korytarzem, wydostaliśmy się na zewnątrz, całą Florencję mieliśmy wtedy u stóp, piliśmy kawę w małych kawiarenkach, jedliśmy lody i robiliśmy sobie nawzajem zdjęcia, zwłaszcza Yngve wykazywał zapał w tym kierunku, więc stawałem przy naj-

przeróżniejszych murach i pozowałem w czarnych ray-banach, ubrany w czarne spodnie typu baggy i koszule w rozmaite wzory, bo przecież moda szła teraz z Manchesteru, i chociaż we Włoszech nikt tego nie zauważył, w Bergen było inaczej. Najpierw przeczytałem o Stone Roses, potem poszedłem ich posłuchać w sklepie płytowym, ale brzmienie wydało mi się dość dziwne, nie miałem pewności, czy to rzeczywiście dobre, no ale Yngve kupił płytę, twierdził, że jest wielka, więc w końcu poszedłem w jego ślady i przyznałem mu rację. Z każdym kolejnym odtworzeniem stawała się coraz lepsza. Co ciekawe, dokładnie tak samo było z The Smiths, wysłuchałem ich debiutanckiej płyty w Kristiansand po przeczytaniu o nich w magazynie „NME” i uznałem, że to zbyt kuriozalne, ale potem do Norwegii przyszedł na nich szal i już nie brzmie-li kuriozalnie, tylko tak jak trzeba.

Wędrowaliśmy po mieście, pięknym, pełnym życia, ludzi i rozgrywających się między nimi scenek, skuterów i pałaców. Wieczorem wróciliśmy do domu, przebraliśmy się i poszliśmy do restauracji. To była elegancka restauracja, czułem się niekomfortowo, nie podobała mi się rozmowa z kelnerami, nie podobało mi się, że jestem obsługiwany, nie podobało mi się, że na mnie patrzą, nie wiedziałem, jak się zachować w rozmaitych sytuacjach, jak należy próbować wina i co tak naprawdę zrobić z serwetką leżącą na talerzu, ale na szczęście Yngve miał o tym pojęcie i wkrótce jedliśmy befsztyki, popijając je czerwonym winem.

Później zapaliliśmy, podano nam grappę, która miała smak marnego bimbrowa, i rozmawialiśmy o tacie. Często o nim mówiliśmy, wspominaliśmy drobne epizody z dzieciństwa, omawialiśmy to, co się z nim teraz działo, jego życie na północy Norwegii, które wcale nie wydawało nam się dalekie; chociaż spotykaliśmy się z nim zaledwie parę razy w roku, a przez telefon rozmawialiśmy najwyżej raz w miesiącu, ciągle dominował w naszej świadomości. Yngve prawie go nienawidził, w każdym razie był w swojej opinii o nim nieprzejednany, nie chciał słyszeć, że tata się zmienił i pragnie być dla nas inny, Yngve uważał, że to nieprawda, że cały czas jest taki sam, nie kiwnąłby dla nas palcem, w ogóle się nami nie interesuje, a jeśli nawet demonstruje co innego, to dlatego, że tak sobie postanowił, a prawda jest zupełnie inna. Zgadzałem się z Yngvem, ale byłem o wiele słabszy, rozmawiałem z tatą przez telefon, próbowałem wkraść się w jego łaski i wysyłałem do niego listy ze zdjęciami z Akademii Sztuki Pisania, chociaż w zasadzie chciałem, żeby nie istniał, żeby

umarł.

Słaby – to było właściwe określenie.

Słaby byłem również w relacjach z Yngvem. Jeśli zapadało milczenie, uznawałem, że to moja wina, że jestem za to odpowiedzialny. Wiedziałem, że Yngve w ogóle tak nie myśli i nie przeszkadzają mu te milczące przerwy, nie musiał ich wypełniać za wszelką cenę, był pewny siebie. Właśnie dlatego miał przyjaciół, a ja nie. Zachowywał się swobodnie, nie wkładał całego siebie w to, co mówił czy robił, więc nic nie ryzykował, kiedy na przykład w sobotnie przedpołudnie wychodził z Asbjørnem powłóczyć się po mieście czy posiedzieć kilka godzin w kawiarni, natomiast dla mnie tego rodzaju sytuacje miały cały czas ogromne znaczenie i każdy najmniejszy błąd, najdrobniejszy dysonans mógł być brzemienny w skutki, dlatego byłem zmuszony, czy też raczej sam się zmuszałem do czegoś w rodzaju niemoty. To ona w końcu zaczynała dominować, a kto chciałby mieć do czynienia z takim stanem? Kto chciałby obcować z taką sztywnością i brakiem naturalności? Nie życzyłem ludziom źle, dlatego uważałem, że lepiej będzie, jeśli oszczędzę im swojego towarzystwa albo poszukam schronienia u Yngvego, pod płaszczem jego bezpośredniości.

Taka sama nienaturalność charakteryzowała mnie w relacji z nim, choć istniała pewna decydująca różnica, a mianowicie nasz związek nie był uzależniony od sytuacji: bez względu na to, jak głupio się zachowałem, pozostawałem jego bratem, nigdy nie mógł o tym zapomnieć, może też wcale nie chciał. To, że rzuciłem w niego szklanką, dało mu przewagę, sprawiło, że już zawsze miałem stać niżej od niego, co w zasadzie uznawałem za słuszne i zasłużone.

Zapłaciliśmy i wyszliśmy we włoską noc, byłem lekko wstawiony i zadowolony, zaczęliśmy szukać odpowiedniego lokalu, w końcu go znaleźliśmy, niedawno go otworzyli i był całkiem pusty, puszczała tam dobrą muzykę, a my przecież i tak nikogo nie znaleźliśmy w tym mieście. Zamierzaliśmy wypić po drinku, ale obsługa zalała nas serdecznością, chciała rozmawiać, słuchać o Norwegii i o Bergen, wypytywała, jaką muzykę lubimy, wkrótce w lokalu zagrzmieni Stone Roses. Siedzieliśmy więc coraz bardziej pijani, a we mnie puściły wszystkie hamulce, wszystkie bariery, cała ta niemota i przymus. Po prostu bawiłem się z moim bratem i gadaliśmy o wszystkim, co tylko przyszło nam do głowy, śmialiśmy się, byliśmy szczęśliwi.

– Żaden z twoich znajomych niczego nie robi samodzielnie – stwierdzi-

łem. – Ale ty możesz. Przecież grasz na gitarze i komponujesz. Nie rozumiem, dlaczego nie założysz zespołu i nie zaczniesz grać na poważnie. Przecież piszesz dobre piosenki.

– Naprawdę tak uważasz?

– Oczywiście. Inni tylko g a d a j ą o muzyce i kapelach. Tobie to chyba nie wystarczy?

– No nie, jasne, że chciałbym grać. Ale trzeba by znaleźć kogoś jeszcze, z kim dałoby się stworzyć zespół.

– Pål chyba nieźle sobie radzi?

– Tak. No to jest nas dwóch. Gdybyś ty zagrał na perkusji, byłoby trzech. Potrzebny jeszcze wokalista.

– W Bergen jest dwadzieścia tysięcy studentów. Chyba znajdzie się ktoś, kto umie śpiewać?

Nie musieliśmy już podchodzić do baru, żeby złożyć zamówienie. Obsługa przynosiła nam kolejne drinki, gdy tylko skończyliśmy poprzednie. Żartowała z nas i pytała, jaki jeszcze zespół nam puścić. Kiedy zaczęliśmy się szykować do wyjścia, z trudem trzymaliśmy się na nogach, ale zdołaliśmy jakoś dotrzeć do pensjonatu, pogadaliśmy trochę o tym nowym zespole, zgasiłmy światło, a nazajutrz długo spaliśmy.

Wieczorem wróciliśmy do tego fantastycznego lokalu. Ale tym razem było tam pełno ludzi, a obsługa nas nie poznała. Nie mogliśmy uwierzyć, że barmani naprawdę nas nie pamiętają, przecież poprzedniego wieczoru nikogo innego tam nie było, więc musieli udawać. Ale dlaczego? Zamówiliśmy po piwie, wypiliśmy i wyszliśmy stamtąd. Wybieraliśmy się do polecanej w przewodniku dyskoteki, położonej nad rzeką, więc ruszyliśmy jej brzegiem, szeroką aleją, na której było coraz mniej ludzi. Zaczął padać deszcz, ulice błyszczały w świetle latarni, obok nas wolno płynęła rzeka, spowita ciemnością. Nigdzie nie było widać żywej duszy. W końcu Yngve stwierdził, że już dawno powinniśmy byli dotrzeć na miejsce, powiedziałem, że może przeoczyliśmy tę dyskotekę. Po mniej więcej trzech kwadransach postanowiliśmy zawrócić. Alkohol dawno z nas wyparował. Deszcz padał równo, gęsto. Światła na wzgórzu po drugiej stronie rzeki wydawały się unosić w powietrzu. Przestaliśmy ze sobą rozmawiać, wystarczyło nam to, że idziemy. Pół godziny później Yngve się zatrzymał. Na brzegu dostrzegaliśmy coś w rodzaju estrady, nad którą wisiały ka-

ble z lekko kołyszącymi się, ale ciemnymi żarówkami, obok stały stosy krzesel, powstawianych jedno w drugie. Może to tutaj, powiedział Yngve. Tu? – zdziwiłem się. Tak, przecież sezon już się skończył. Trudno, wracamy do domu i idziemy spać.

Dwa dni później, kiedy wczesnym wieczorem wysiedliśmy na dworcu w Bergen, tym mieście lejku, poczułem, jak dobrze znów się tu znaleźć, wszystko wydawało się po domowemu znajome, to było moje miejsce na ziemi. Wiedziałem, że po tygodniu spędzonym w towarzystwie niezbyt przyjemnie będzie wrócić do pustego mieszkania, więc poszedłem do Yngvego i Asbjørna, otworzyliśmy przywiezioną z Florencji butelkę whisky. Asbjørn zaczął od tego, że ma nam, niestety, do przekazania przykrą wiadomość. Zdziwiliśmy się. Wasza babcia nie żyje. Babcia? Nie żyje? Tak, wasza mama dzwoniła, kiedy byliście w drodze do Włoch. Mówiła, kiedy pogrzeb? Już się odbył. Powiedziała, że nie sposób się z wami skontaktować.

Podpici, poszliśmy do Hulen, był powszedni dzień, więc siedziało tam niewiele ludzi. Piliśmy przy barze, a po zamknięciu wróciliśmy do domu i dalej piliśmy. Nastrój był świetny, miałem wrażenie, że znalazłem się w gąszczu ludzi i zdarzeń. W pewnym momencie przebrałem się w strój Supermana, w czerwonej pelerynie piłem whisky i podskakiwałem w rytm muzyki. Była zabawa, wydawało mi się, że całe mieszkanie wypełnia tłum, krążyłem wśród ludzi, przypuściłem atak na lodówkę, zmieniłem muzykę, śpiewałem, gadałem z Yngvem i Asbjørnem, cały czas w tym niesamowitym kostiumie Supermana, i nagle to wszystko się cofnęło, gwałtownie, niczym mocna fala odpływowa, która pozostawiła po sobie jedynie proste fakty: byliśmy tylko we trzech, Yngve, Asbjørn i ja. Zupełnie sami. Impreza trwała wyłącznie w mojej głowie. No a babcia, babcia umarła.

Muzyka grała dalej, lecz nagle jakby wszystko ucichło.

Zakryłem twarz rękami.

Ooooch.

– Co się stało, Karl Ove?

– Nic – odparłem, ale ramiona mi się trzęsły, a łzy płynęły po twarzy, mocząc palce.

Wyłączyli muzykę.

– Co się stało? – spytali jeszcze raz.

– Nie wiem. – Nie mogłem powstrzymać płaczu. – Nic się nie stało – wyszlochałem.

– Chcesz tu nocować? – zaproponował Asbjørn. – Tak chyba będzie najlepiej.

Kiwnąłem głową.

– No to kładź się na kanapie. I tak już późno.

Zrobiłem, jak kazał. Położyłem się na kanapie i zamknąłem oczy. Któryś okrył mnie kocem, zasnąłem.

Rano wszystko wróciło do normy, poza tym, że było mi głupio z powodu tego, co się stało, to znaczy, że płakałem na ich oczach. Gdyby tylko przy Yngvem, jakoś dałoby się to znieść, chociaż i wtedy nie przeszłoby lekko, ale przy Asbjørnie?

I jeszcze ten idiotyczny kostium Supermana!

Ściągnąłem go z siebie, wypiliśmy razem z nimi kawę, Asbjørn zaczął strofować Yngvego, że nigdy nie wstawia mleka do lodówki, niech sobie wyobrazi, jak cudownie jest wrócić do domu, sięgnąć po szklankę mleka i zorientować się, że jest ciepłe jak szczyzny.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem, że przypominają stare małżeństwo. Niezbyt im się to spodobało. Poszedłem ze swoją starą walizką do siebie na Møhlenpris, wziąłem prysznic. Z mokrymi włosami, w koszuli lepiącej się do ramion i pleców, usiadłem i zacząłem czytać. Dotarłem do końca siedemnastego wieku, w którym roiło się od angielskich poetów i powieściopisarzy, a także od francuskich dramaturgów, z których, jak wiedziałem, najważniejszy był Racine, pojawiło się też kilku filozofów i epistolografów. Zamknąłem oczy, usiłując zapamiętać nazwiska i po jednym dziele każdego. Potem przeszedłem do osiemnastego wieku. Odłożyłem książkę, wyjąłem kartki z planem wykładów, zobaczyłem, że po południu jest coś o nowoczesnej teorii literatury. Postanowiłem się wybrać, a przed wyjściem sięgnąłem po antologię tekstów i przeczytałem jeszcze coś na chybił trafił. Stanley Fish! Co za nazwisko? I Harold Bloom. Nazywam się Ryba. Doprawdy? A ja Kwiat. A tam idzie Paul the Man? Zna go pan? Tak, jestem fanem Paula the Mana.

To przecież gotowy tekst!

„Jestem fanem Paula the Mana”.

Po napisaniu tekstu do końca spakowałem do torby kilka książek oraz notatnik i poszedłem na uniwersytet. Ziemia w parku była sucha, niebo szare, liście na drzewach bladozielone i żółte. Pod jednym z drzew siedziała banda narkomanów, obszedłem ich szerokim łukiem, żeby na nich nie patrzeć i nie narażać się na zaczepki, wszystko w nich napełniało mnie grozą, poczynając od podniesionych głosów i agresywnych gestów, kiedy nie byli naćpani, po całkowitej, wręcz nieludzkiej bezruchu, kiedy siedzieli albo leżeli kompletnie pozbawieni kontaktu ze światem, a mimo to z otwartymi oczami, z których nie dało się nic wyczytać. Dookoła wałały się strzykawki, rzemienie, kartony z milkshake'ami albo mlekiem czekoladowym, bułki i foliowe torebki, no i te ich ubrania, brudne, wystrzępione, wyglądali tak, jakby przez lata nie mieli kontaktu z ludźmi, jakby zimowali gdzieś głęboko w lesie, na przykład po wypadku lotniczym, i nie mieli się w co przebrać. Unosili się na powierzchni, nie żyli naprawdę. Ale właśnie tego chcieli, unosić się, a nie żyć.

Przejsz obok nich, wyjść przez furtkę, minąć Centrum Studenckie, potem pod górę do żwirowej alejki biegnącej wzdłuż ogrodu botanicznego, następnie do przejścia między Muzeum Morskim a Biblioteką Uniwersytecką, obok budynku Wydziału Nauk Humanistycznych i do bramy dawnej szkoły na Sydneshaugen, tam się zatrzymałem, torbę z książkami położyłem na ziemi między nogami i zapaliłem papierosa.

Kawałek dalej, przy schodach, stał chłopak z mojego kierunku i też palił. Spojrzał na mnie, ale zaraz przeniósł wzrok dalej. Wiedziałem, że ma na imię Espen, że poszedł na studia bezpośrednio po skończeniu liceum, i chociaż w sytuacjach, w których znajdowaliśmy się blisko siebie, niewiele się odzywał, zorientowałem się, że jest wręcz przerażająco odczytany. Raz z Olem, innym chłopakiem z naszego kierunku, rozmawiał o Beckettzie, ogromnie mi to zaimponowało, chociaż byłem o dwa lata starszy. Espen miał długie ciemne włosy, które czasami wiązał w kucyk, piwne oczy, okulary, był chudy, nosił brązową skórzaną kurtkę, pod którą zazwyczaj wkładał swetry robione na drutach, czasami przyjeżdżał na zajęcia rowerem i często przesiadywał długo w czytelnicy. Wydawał się nieśmiały, czujny, ale nie podejrzliwy, przypominał raczej zwierzę, które miało się na baczności.

Podniosłem torbę i podeszedłem do niego.

– Idziesz na wykład? – spytałem.

Uśmiechnął się, trochę jakby do siebie.

– Taki miałem zamiar. A ty?

– Też tak planowałem. Ale kiedy tu przyszedłem, straciłem ochotę. Chyba raczej pójdę coś poczytać.

– A co czytasz?

– Trochę to, trochę tamto. Nic szczególnego. Ostatnio Stanleya Fisha.

– O.

– A ty?

– Dantego. Czytałeś?

– Jeszcze nie. Ale przeczytam. Dobry jest?

– Jasne.

– No tak.

– Mandelsztam napisał cholernie ciekawy esej o *Boskiej komedii*.

– Tak?

– Tak.

– Może powinienem rzucić na to okiem. Mandelsztam?

– Tak. Przeczytaj. Trochę trudno go zdobyć, ale mogę ci skserować, jeśli chcesz.

– Chętnie. Fajnie by było.

Uśmiechnąłem się, przydeptując niedopałek.

– No to na razie – rzuciłem, wchodząc do budynku starej szkoły.

W drodze powrotnej z czytelnicy zadzwoniłem do mamy. Na szczęście była w domu. Spytałem, jak się czuje, powiedziała, że dobrze, ale nie mieści jej się w głowie, że babci już nie ma. To się stało tak szybko. Zachorowała na zapalenie płuc i zaledwie po kilku dniach odeszła. Umarła w domu starców, do którego została przeniesiona u schyłku lata, kiedy nie mogła dłużej mieszkać w domu, bo tam nie dało się jej zapewnić takiej opieki, jakiej wymagała ze względu na swój stan. Pewnie stało się to tak szybko, ponieważ nie mieszkała w domu, nic jej już nie trzymało, tak jak musiało ją trzymać znajome otoczenie, w którym przeżyła ponad czterdzieści lat. Ale Kjartan był przy niej, kiedy umierała, więc się nie bała.

Słyszałem, że mamie jest bardzo smutno, nie wiedziałem jednak, jak mam zareagować. Chciała rozmawiać o naszym wyjeździe, ale powiedziałem tylko, że było fajnie, nie mogłem się w to zagłębiać, przecież kiedy babcia umierała, pijani wałęsaliśmy się po mieście, było to niestosowne samo w sobie, a już na pewno mama nie musiała o tym wiedzieć. Umówiliśmy się, że za kilka tygodni przyjadę i pójdę na grób, babcia leżała na starym cmentarzu nad fiordem, mama powiedziała, że tak tam ładnie, że aż miło o tym myśleć.

Rozłączyliśmy się, o zmierzchu wróciłem do domu, a potem, leżąc na łóżku, czytałem Marka Twaina, o którym mówił nam Ragnar Hovland; od czasu do czasu powracałem do rzeczywistości, to znaczy do ciemności otaczającej wątle światło lampki do czytania, do jasnoniebieskiej tkaniny, z której uszyta była poszewka na poduszkę, do myśli o babci, pierwszej zmarłej osobie z najbliższego kręgu. To było nie do pojęcia. Ale babcia znalazła spokój. Przechodziła udrękę, a teraz znalazła spokój. Czytałem dalej, myśl o babci cały czas czaiła się w zakamarkach świadomości, od czasu do czasu dochodząc do głosu, babcia umarła, już jej nie ma, babcia, kochana babcia. Nie znałem jej, ale co to znaczy kogoś znać? Wiedziałem, kim była, kim była dla mnie, zdawałem sobie z tego sprawę od maleńkości. Teraz też wypełniała mnie jej łagodna bliskość, wspomnienie jej oczu. Jak straszne musiało być dla niej oddalenie się od świata tylko dlatego, że ciało przestało jej słuchać, odmawiało jej tego, co elementarne.

Musiałem o tym napisać, musiałem napisać o babci.

Wstałem, siadłem przy biurku w samych slipach i napisałem wiersz.

ROŚNIE DZIKO

*Wzrokiem omijając dni
powoli przygasasz
Z myślami jak lustro
tracę kontrolę
Czuję cię w sobie*

*Miękkie noce osuwają się na mnie
Ciemność wpada w oczy*

*Chcę fruwać
Chcę wierzyć w cud
Czuję cię w sobie*

*Unikam światła i ciemności
Kto wie, co widzisz
Kto wie, co się stanie
Cisza, cisza
rośnie dziko*

*Dni się kurczą, znikają
Nie pozostaje ślad
Stale czuwam, czekam
Czuję cię w sobie
czuję cię w sobie*

*Unikam światła i ciemności
Kto wie, co widzisz
Kto wie, co się stanie
Cisza, cisza
rośnie dziko*

Następnego dnia Espen przyniósł mi do czytelnicy esej Mandelsztama. Poszliśmy na kawę, pogadaliśmy o studiach, o tekstach, które zrobiły na nas wrażenie, wypytywałem go trochę, skąd jest i czym się zajmuje. Powiedziałem mu, że studiowałem w Akademii Sztuki Pisania. Przyznał, że o tym wie. Filiżankę trzymał obiema dłońmi, ale nie tak, jakby ją obejmował, jego gest był raczej konstatacją dłoni: oto mamy filiżankę, głowę miał przy tym lekko spuszczoną i trochę ukosem wpatrywał się w stół. Kiedy tak siedział, sprawiał wrażenie, jakby ta sytuacja w ogóle dla niego nie istniała. Miał w sobie wielką siłę, ingerującą bezpośrednio w moje wnętrze. Czy wyrwało mi się coś nieciekawego? Nudnego? Głupiego?

W końcu zerknął na zegar i z uśmiechem powiedział, że ma nadzieję, że spodoba mi się ten esej, i już się cieszy, że będziemy mogli o nim porozmawiać.

Wróciliśmy do czytelnicy, zacząłem czytać książkę Olofa Lagercrantza o Dan-tem i siedziałem nad nią aż do popołudnia, potem poszedłem do stołówki coś zjeść. Był piątek, a w piątki zawsze serwowali ryż na słodko.

Przy stoliku na piętrze zobaczyłem Ann Kristin. Uśmiechnęła się na mój widok, więc podszedłem do niej z tacą, na której miałem talerz z ryżem, sok i kawę.

– Cześć, Karl Ove – powitała mnie. – Dawno się nie widzieliśmy. Siadaj. To jest Rolf. – Wskazała faceta siedzącego przy tym samym stoliku.

– A więc to ty jesteś Karl Ove – powiedział. – Twój ojciec uczył mnie w li-ceum. To najlepszy nauczyciel, jakiego miałem. Był fantastyczny.

– Naprawdę? A gdzie to było?

– W Vennesli.

– Aha. – Usiadłem, przestawiłem naczynia z tacy na stół i zacząłem jeść.

– Co on teraz robi?

– Pracuje w północnej Norwegii. Ożenił się drugi raz i ma małe dziecko.

– Klasyczny kryzys czterdziestolatka – dodała Ann Kristin. – Słyszałam, że byłeś z Yngvem we Włoszech?

Przełknąłem i pokiwałem głową.

– We Florencji.

– Szkoda, że nie mogliście być na pogrzebie.

– To prawda. Jak było?

– Bardzo pięknie i dostojnie.

Ann Kristin była najstarszą córką Kjellaug, siostry mojej mamy, i siostrą Jona Olava. W dzieciństwie i okresie dorastania zawsze trzymała się z Yngvem, a ja z Jonem Olavem. Podobnie układało się podczas studiów, przynaj-mniej w pierwszym okresie Yngve i Ann Kristin spędzali razem dużo czasu. Potem jednak się od siebie oddalili, może kryło się za tym jakieś konkretne zdarzenie, ale nic o tym nie wiedziałem, dotarło do mnie jedynie, że poza spo-tkaniem rodzinnymi już się nie widują.

Miała w sobie władczość i niekiedy bywała opryskliwa, zwłaszcza wobec Jona Olava, ale i do mnie mówiła otwartym tekstem, jednak w ogóle się tego nie bałem, bo ta jej surowość miała jedynie zewnętrzny charakter, w głębi ser-ca Ann Kristin była bardzo dobrą i ponadprzeciętnie troskliwą osobą. Zawsze

ją lubiłem.

Ten Rolf – czy to jej chłopak?

– Ty też studiujesz rosyjski?

Kiwnął głową.

– Tak się poznaliśmy – powiedział.

– Rolf to *wonderboy* naszego kierunku – wyjaśniła Ann Kristin.

– Czy to nie ty miałeś w gimnazjum same szóstki? Tata przez jakiś czas dużo o tym mówił.

– Niestety, tak – uśmiechnął się Rolf.

– Rzeczywiście byłeś jego ulubionym uczniem.

– A czego innego się spodziewałeś? – wtrąciła Ann Kristin. – To oczywiste, że nauczyciel lubi ucznia, który dostaje same szóstki.

– Ale nie tata – stwierdziłem, żeby mu pochlebić.

– Musisz go serdecznie ode mnie pozdrowić – powiedział Rolf.

– Jasne, na pewno to zrobię.

– A co u Yngvego? – spytała Ann Kristin. – Dawno go nie widziałam. Ciągle chodzi z tą...? Nie pamiętam, jak jej na imię.

– Z Ingvild?

– Tak.

– Nie, zerwali ze sobą na wiosnę.

– Była bardzo podobna do waszej matki.

– Naprawdę?

– Nie zauważyłeś tego?

– Nie. W ogóle mi się ze sobą nie kojarzyły.

– Oczy, Karl Ove. Miały identyczne oczy.

Uśmiechnęła się i odwróciła do Rolfa, który uniósł brwi i zdjął kurtkę z oparcia krzesła.

– Dasz sobie radę sam? – spytała Ann Kristin. – Czy mamy tu siedzieć i cię pilnować?

– Jakoś sobie poradzę – odparłem. – Ale miło było się z wami spotkać. Do zobaczenia.

Wyszli ze stołówki drzwiami na piętrze, za którymi rozgałęziały się korytarze do innych części budynku, a ja zostałem i dalej już w samotności jadłem swój ryż.

W następną niedzielę poznałem Gunvor. To był przypadek, Yngve po pracy zabrał mnie na piwo, spotkał jakichś swoich znajomych, poszliśmy do domu jednego z nich, ktoś zapalił świece, podał herbatę, puścił jakieś spokojne płyty. Siedziałem na czymś w rodzaju pufy i marzyłem tylko o tym, aby stamtąd wyjść, gdy nagle obok mnie usiadła dziewczyna. Była niska, miała jasne włosy, mały, zadarty nosek i piękne, łagodne oczy. Rozsadzała ją energia i wydawała się bardzo sympatyczna.

– Kim jesteś? – spytała.

– Bratem Yngvego.

– To mi rzeczywiście bardzo dużo powiedziało. Kto to jest Yngve?

– Stoi tam i flirtuje.

– Aha. Nigdy wcześniej go nie widziałam, ale nietrudno się zorientować, że jesteście braćmi.

– Wiem.

– Co robisz w Bergen?

– Studiuję literaturoznawstwo.

– Lubisz Ragnara Hovlanda? To mój absolutnie ulubiony pisarz. *Sjølvmod i Skilpaddekafeen*^[19]. Już sam ten tytuł...!

– Rzeczywiście, zabawny. A ty co studiujesz?

– Administrację i zarządzanie. Ale po Nowym Roku przenoszę się na historię.

– Na historię? Też mógłbym to studiować.

Była otwarta, ale nie naiwna. Nie wdawała się w dyskusję o rzeczach, na których się nie znała, po prostu wiedziała, na co ją stać.

Towarzystwo zaczęło się rozchodzić, a my dalej rozmawialiśmy. To była taka noc, kiedy można powiedzieć sobie nawzajem wszystko i ma to sens, ponieważ zostanie się wysłuchanym. Gunvor pochodziła z wioski w zachodniej Norwegii, miała dwóch braci i siostrę, uwielbiała jeździć konno, zwłaszcza na kucach islandzkich, rok przepracowała w gospodarstwie na Islandii i płynnie

mówiła po islandzku. Poprosiłem, żeby powiedziała coś w tym języku, i usłyszałem: *Það er ekki gott að vita hver Karl Ove er!* Trudno powiedzieć, co to za jeden, ten Karl Ove! Roześmiałem się, bo to zrozumiałem. Wyjaśniła mi też, że koniki islandzkie umieją się poruszać dwoma dodatkowymi rodzajami chodu, a ja znów się roześmiałem, trudno mi było pojąć, że można tak mocno związać się ze zwierzętami. Odparowała: spróbuj pojeździć kiedyś konno, to zrozumiesz.

Siedzieliśmy tam, dopóki właściciel mieszkania nie postanowił iść spać. Gunvor odprowadziła mnie do domu, cały czas rozmawialiśmy, a później pewnie jeszcze z pół godziny staliśmy pod drzwiami, aż w końcu spytała, czy jeszcze się spotkamy, na co ja odpowiedziałem, że chętnie.

– Jutro?

– Dobrze.

– Pójdziemy do kina?

– Możemy iść.

Odeszła, a ja położyłem się spać, zaskakująco beztroski.

Dwa tygodnie później odwróciła się na schodach prowadzących do jej domu.

– Jesteśmy parą, prawda, Karl Ove?

– Owszem – potwierdziłem. – Ja w każdym razie tak uważam.

Od chwili gdy się poznaliśmy, prawie wszystkie wieczory spędzaliśmy razem. Jej mieszkanie, moje mieszkanie, Opera, Fekterloftet, długie spacery ulicami Bergen. Nie mogliśmy się nagadać. Któregoś wieczoru się pocałowaliśmy i nocowaliśmy razem, ale nic z tego nie wyniknęło, chciała zaczekać, nabrać pewności co do mnie. Możesz być mnie pewna, powiedziałem, bo dosłownie skręcało mnie z pożądania, chodziłem przy niej prawie zgięty wpół, ale nie, czas nam sprzyja, mówiła, czas jest naszym przyjacielem. Złym przyjacielem, stwierdziłem. Daj spokój, co może być w tym złego? Nie, złego nic. Chciała się z tym wstrzymać, bo mnie nie znała. Przecież już wszystko ci pokazałem! Nie ma nic więcej do oglądania! Jestem taki mały! Śmiała się, kręciła głową, musiałem czekać. Obok jej gorącego nagiego ciała!

To było straszliwie trudne, a wszystko razem przypominało gorączkę i sen. Liczyło się tylko, kiedy przyjdzie Gunvor, całą resztę przysłaniała mgła, nic

nie było ważne, to ona decydowała o kształcie i ciężarze świata, ona, Gunvor, moja dziewczyna.

Jon Olav przeprowadził się do dużego mieszkania tuż koło kina, a ponieważ już dawno ich sobie przedstawiłem, któregoś razu, kiedy wyjeżdżał na kilka dni, zaproponował, że jeśli chcemy, możemy z tego mieszkania skorzystać. Chcieliśmy. Spędziliśmy tam dwie doby, wychodziliśmy jedynie kupić coś do jedzenia, nie mogliśmy się ze sobą rozstać, ale ona ciągle nie chciała, ciągle twierdziła, że za mało mnie zna.

Jej młodsza siostra ze swoim chłopakiem zaprosili nas do siebie, do wielkiego starego domu w regionie Hardanger. Pojechaliśmy tam autobusem, panowała ciemność, krajobraz na zewnątrz był biały, przysypany śniegiem jaśniejącym w blasku księżyca, a nad nami na niebie rozciągały się miriady gwiazd. Dwadzieścia stopni mrozu, śnieg chrzęścił, kiedy podchodziliśmy pod górę, zimne powietrze piekło w płucach, skóra twarzy zdawała się sztywnieć, a dookoła panowała absolutna cisza.

Napalili w kominku, przygotowali obiad, rozmawialiśmy, jedliśmy i piliśmy czerwone wino, czułem się szczęśliwy. Mieliśmy nocować w pokoju na poddaszu, było lodowato nawet pod kołdrą, a moje pożądanie tak się wzmogło, że nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Wpiłem się w nią, całowałem jej piękne piersi, piękny brzuch, piękne stopy, ale nie, musiałem czekać, ciągle za mało mnie znała, ciągle nie wiedziała, kim jestem.

– Jestem Karl Ove Knausgård i tak bardzo cię pragnę!

Ze śmiechem wtuliła się we mnie, miękka i sprężysta, miała takie dobre oczy i była moja.

Ale nie całkiem, nie w pełni, na razie byliśmy tylko ona i ja, a nie my.

W ciągu tych tygodni niewiele czytałem. Wydawało mi się to nieważne, ale ponieważ Gunvor codziennie chodziła na uniwersytet, szedłem i ja, głównie dla zachowania pozorów. Zdania, które czytałem, niewiele mi dawały, bo wszystko zdawało się unosić w powietrzu, otwarte i niezdefiniowane, dopiero gdy znów ją widziałem, świat z powrotem stawał się wyraźny i konkretny. Gunvor, moja dziewczyna.

Podczas którejś przerwy podszedł do mnie Espen i spytał, czy przeczytałem już ten esej Mandelsztama, ale odparłem, że nie, bo najpierw mam zamiar do-

kończyć *Boską komedię*. Przyznał mi rację.

– Jakie wydanie czytasz? To w nynorsku? Ja też je zacząłem, ale jest takie archaiczne, że wręcz nie daje się czytać, dlatego kupiłem szwedzkie, okazało się świetne.

– Ja kupiłem to w nynorsku – przyznałem. – Zobaczą, jak będzie.

Jego spojrzenie, do tej pory otwarte i szczere, nagle nabrało surowości i skierowało się gdzieś w głąb niego. Wbił oczy w ziemię.

Błyskawicznie powtórzyłem w myślach całą tę rozmowę, a on dopiero po dłuższej chwili milczenia zerknął na mnie.

– Może przyszedłbyś któregoś popołudnia do mnie do akademika? – spytał. – Moglibyśmy na przykład zagrać w szachy. Grasz?

– Znam zasady, ale nie mogę powiedzieć, że umiem grać.

– Możesz sobie odświeżyć.

– Pewnie. Poza tym w ogóle mogę przyjść.

Umówiliśmy się na następne popołudnie. W czytelni wyciągnąłem przekład *La Divina Commedia* i zacząłem czytać, nie robiąc notatek, bo uznałem, że jeśli coś ma mi zostać w głowie, to i tak zostanie. Wiedziałem trochę, o co tam chodzi, bo przeczytałem już jedną trzecią monografii Lagercrantz'a o Dancie, i miałem jasne wyobrażenie o tym poemacie. A jednak nie byłem przygotowany na wrażenie, jakie ten tekst wywarł na mnie już po pierwszych stronach, uświadomiłem sobie, że to nie jest utwór traktujący o czternastym wieku, tylko p o c h o d z ą c y z tego okresu, stanowiący element tamtych czasów, w których dane mi było uczestniczyć t e r a z.

„Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...”^[20]

Bramy piekła, Wielkanoc roku 1300. Dante, który w połowie życia zabłądził i który może dostąpić wybawienia dopiero wtedy, gdy zobaczy wszystko.

Zobaczy wszystko i dzięki temu zostanie wybawiony.

Ale na początku pierwszej pieśni wcale nie w życiu się zabłąkał, tylko w lesie, i atakowały go nie grzechy czy zdrada, lecz drapieżniki z krwi i kości, które warczały, odsłaniając zęby. Piekło nie było stanem wewnętrznym, wejście do niego znajdowało się właśnie tam, pośrodku świata, na dnie urwiska, pośród lasu i pustkowia.

Rozumiałem, że umieszczone w przypisach wyjaśnienia, tłumaczące, co

symbolizują poszczególne zwierzęta, miejsca i zdarzenia, są potrzebne, ale dla mnie wyjątkowość tego początku, który przeżywałem każdą komórką ciała, jak pragnienie i głód, polegała na konkretności, cielesności i materialności, a nie na cieniach rzucanych w świat idei. Gdy natrafiłem na porównanie do budowy statku w weneckim Arsenalu, z niesamowitą siłą dotarło do mnie, że Dante musiał gdzieś siedzieć, pisząc te słowa, może spoglądać przed siebie i zastanawiać się, z czym daną rzecz porównać. I nagle przypomniał sobie Arsenal, stocznię, którą kiedyś widział w Wenecji, i s t n i e j ą c ą j u ż, k i e d y t w o r z y ł p o e m a t.

Po południu miałem się spotkać z Gunvor, więc się spakowałem i pokonawszy korytarze z reklamówką majtającą się w ręku, wyszedłem na dziedziniec między budynkami, zatrzymałem się na papierosa i zobaczyłem, że ona już do mnie idzie. Uśmiechała się całą sobą, podeszła, stanęła na palcach i pocałowała mnie w usta. Trzymając się za ręce, poszliśmy stamtąd, ruszyliśmy w dół zbocza na Nøstet, do jej mieszkania. Zajmowała je razem z koleżanką o imieniu Arnhild. Jej najlepsza przyjaciółka natomiast miała na imię Karoline. Ze względu na ciężkie, staroświeckie imiona Gunvor, Arnhild i Karoline na papierze zdawały się tworzyć wprost przerażające trio, ale w rzeczywistości były pogodnymi, wesołymi i cudownie zwyczajnymi dziewczynami. Arnhild, która uczyła się w Wyższej Szkole Handlowej, potrafiła się ubrać w sweterek z jagnięcej wełny, a do niego założyć naszyjnik z perełek, Karoline studiowała na uniwersytecie i była o kilka stopni twardsza, bardziej przypominała Gunvor, wszystkie miały takie samo poczucie humoru i w pewnym sensie podążały tą samą drogą, jak, zdaje się, przystoi przyjaciółkom. Kiedyś opowiedziała mi, jak pewien facet próbował ją poderwać, zagadnął, czy nie poszłaby z nim do domu, a kiedy spytała po co, oświadczył, że posuwałby ją, aż straciłaby rozum. Ależ się z tego śmiały! Były obowiązkowe i rozsądne, za nic w świecie nie zmarnowałyby sobie życia, spokój i pewność, które w sobie nosiły, sprawiały, że wszystko dookoła nas na nie po prostu nie działało. Na przykład w wyjściu wieczorem na miasto dostrzegały jedynie przyjemność, całkowicie pozbawioną pierwiastka demonizmu.

Mimo że zajmowałem sam stosunkowo duże mieszkanie, woleliśmy spędzać czas u Gunvor; u mnie było ciemno i ponuro, prawie nie miałem mebli, u niej jasno, wysoki standard, a poza tym coś dziewczynskiego czy kobiecego w wyposażeniu wnętrza, wśród czego lubiłem przebywać, bo wówczas tak wyraźne

się stawało, że ona jest moją dziewczyną, z całą swą łagodną, skomplikowaną obcością. Budzenie się tam, najczęściej wśród odgłosów deszczu lejącego za oknem, na tyle wcześnie, że jeszcze się nie rozwidniło, śniadanie z dziewczynami, a potem wspólne wyjście na zajęcia – to było coś, czego nigdy wcześniej nie przeżyłem, a co polubiłem całym swoim czarnym sercem.

Przedstawiłem Gunvor Yngvemu, Asbjørnowi i innym jego przyjaciółom, którzy w pewnym sensie stali się również moimi przyjaciółmi, czy też może raczej ludźmi, z którymi w Bergen spędzałem czas jako młodszy brat Yngvego, korzystając z jego ochrony, i bardzo im się spodobała. Nie było w tym nic dziwnego, Gunvor nie dało się nie lubić, prawie cały czas śmiała się z tego, co mówili inni, była sympatyczna i towarzyska, nie traktowała siebie śmiertelnie serio, ale nie dało jej się zarzucić trzpiotowatości, wkładała wiele ciężkiej pracy w to, czym się zajmowała, i nieobca jej była wielka powaga, miała też w sobie coś z pietystów: trzeba pracować, trzeba chodzić na wykłady, trzeba się uczyć, dopiero tym można sobie zasłużyć na czas wolny. Ale ta moralność obowiązku, którą również znałem i którą uważałem za wroga, za coś, co muszę zwalczać i co stanowi przeciwieństwo wszystkiego, czego pragnę w życiu, u niej nie była brzemieniem, nie miała wpływu na jej istotę, przypominała raczej coś w rodzaju sznurka wyznaczającego drogę, cienkiego, prostego i mocnego, niczym ścięgno w duszy, niewidoczne, ale ważne, dawała jej siłę i pewność, dzięki niej nigdy nie wątpiła w to, czy znajduje się we właściwym miejscu i czy postępuje słusznie.

Kiedy się z nią związałem, coś jakby ze mnie wyssano. Ciemność pojaśniała, to, co kalekie, wyprostowało się, a najdziwniejsze było to, że stało się tak wcale nie pod wpływem działania z zewnątrz, to nie Gunvor rozjaśniła mój mrok, to się działo we mnie, ponieważ patrzyłem na siebie jej oczami, a nie tylko własnymi, no a w jej oczach nie było we mnie nic złego, przeciwnie. Takie nastąpiło przesunięcie. Kiedy byłem razem z Gunvor, nie chciałem już dla siebie źle.

Następnego dnia, zgodnie z umową, pomaszerowałem do Espena, pod górę za dworcem kolejowym i dalej już po względnie płaskim terenie, do Alreku, akademika, gdzie dotąd byłem zaledwie raz, przed czterema laty, gdy jako szesnastolatek przyjechałem odwiedzić Yngvego.

Kiedy się zjawiłem, Espen przygotowywał obiad we wspólnej kuchni. Po-

trawka z kurczaka w pomidorach, objaśnił. Czy zjem?

Była mocno przyprawiona, ale smaczna. Rozpromienił się, kiedy to powiedziałem.

Później przygotował kawę w dziwnym niedużym błyszczącym dzbanku, przypominającym niemal rzeźbę. Był na nim rysunek człowieczka w kapeluszu. Espen najpierw zdemontował dzbanek, nalał wody do jednej połówki, potem wsypał jakąś specjalną, drobno mieloną kawę do ustrojstwa przypominającego lejek, nałożył je na część z wodą, po czym dokręcił górę z pokrywką zwieńczoną czarną kulką i postawił dzbanek na płycie. Nie zamierzałem pytać, co to za kawa, tylko z miną obytego w świecie przyjął wszystko, co mi zaproponuje.

Z filiżankami w rękach poszliśmy do jego pokoju.

Kawa była mocna, smakowała prawie jak espresso. Espen zaczął przeglądać swoje płyty.

– Lubisz jazz? – spytał.

– Taak – odparłem. – Mało tego słucham, ale w porządku.

– No to może w takim razie puścimy klasykę, *Kind of Blue*, dobrze?

– Może być – zgodziłem się, jednocześnie usiłując odczytać z okładki, kto to nagrał. Miles Davis.

Espen usiadł na łóżku.

– Byłem na jego koncercie w Oslo. Nie miałem biletu, więc musiałem się zakraść.

– Zakraść? Jak ci się to udało?

– Wszedłem do piwnicy w sąsiednim budynku, znalazłem tam kilka krzeseł, wziąłem je, żeby wyglądało, że jestem z obsługi, otworzyłem jakieś drzwi i po prostu znalazłem się w samym środku lokalu, w którym był koncert.

Śmiał się.

– Naprawdę?

– Tak. Koncert był fantastyczny.

W pokoju zaczęła się sączyć blada, melancholijna muzyka. Espen wyciągnął szachownicę, rozłożył ją między nami, wziął dwa piony, czarny i biały, wymieszał je za plecami i wyciągnął do mnie dłonie zaciśnięte w pięści.

– Ta – wskazałem.

Otworzył dłoń. Czarne.

– Nie jestem pewien, jak się ustawia figury – przyznałem. – Ale piony stoją z przodu, prawda?

– Tak – odparł i błyskawicznie ustawił swoje bierki.

Ja też ustawiłem swoje.

Nienawidziłem szachów. Żyłem w przekonaniu, że przegrana w szachy ma o wiele większe znaczenie, o wiele więcej ujawnia i jest o wiele bardziej upokarzająca niż na przykład przegrany mecz w tenisa. Nie byłem dostatecznie inteligentny, dostatecznie bystry, nawet gdy myślałem tak, że aż trzeszczało, nigdy nie mogłem przewidzieć, co będzie, nie umiałem ułożyć planu na więcej niż dwa ruchy do przodu, w każdym razie kiedy w dzieciństwie grałem z tatą albo z Yngvem, którzy pokonywali mnie absolutnie za każdym razem. Nie grałem od tamtej pory, ale doszedłem do wniosku, że przecież teraz jestem już dorosły, może zdobyte w życiu doświadczenia w jakiś sposób przydadzą mi się podczas gry, przecież koniec końców chodziło w niej o rozwiązywanie problemów.

– Nie korzystamy z zegara? – spytał.

– Nie.

Zaczęliśmy i trzy minuty później dostałem mata.

– Chcesz się zrewanżować?

– Chętnie.

Trzy minuty później znów mnie pokonał.

– Do trzech razy sztuka? Będiesz miał szansę, żeby odwrócić złą passę.

– Możemy spróbować.

Zniszczył mnie po raz trzeci. Ale nie zauważyłem u niego żadnych oznak triumfu, kiedy pakował szachy i w milczeniu skręcał sobie papierosa.

– Grałeś profesjonalnie? – spytałem.

– Słucham? Nie, nie. Po prostu to lubię.

– Czytasz artykuły w kącikach szachowych?

– Owszem, zdarza się. Czasami cholernie ciekawe jest rozegranie jakiejś starej partii według opisu.

– Aha.

– Ale jest kilka standardowych elementów, których łatwo można się na-

uczyć, na przykład kilku ruchów na otwarcie. Jeśli chcesz, mogę ci pokazać.

Kiwnąłem głową.

– To co, następnym razem?

– Dobrze.

Na zewnątrz słońce przeświecało przez chmury. W miejscach, na które trafiały padające ukośnie promienie, barwy zdawały się krzyczeć w kontraście z matowoszarym otoczeniem.

– Co właściwie lubisz czytać? – spytał Espen. – Chodzi mi o współczesną literaturę norweską.

– Różne rzeczy. Kjærstada, Fløgstada, Fossego. Właściwie wszystko, co się da. A ty?

– Ja też czytam różne rzeczy. Ale uważam, że Øyvind Berg jest świetny. Tor Ulven fantastyczny. No i Ole Robert Sunde, czytałeś go? Cała powieść o człowieku, który idzie do kiosku i wraca. Odyseusz, prawda? Jego styl rozchodzi się w rozmaitych kierunkach, jest ogromnie dygresyjny, prawie eseistyczny. Powinieneś przeczytać.

– Słyszałem o nim. Chyba pisali o nim kiedyś w „Vinduet”.

– No i oczywiście Ekelöf. I Jan Erik Vold! *Entusiastiske essays*. To chyba moja ulubiona książka. Niewiarygodnie bogata. Widziałeś ją?

Pokręciłem głową. Espen się poderwał, przerzucił stosy tomów na biurku i podał mi grubą niebieską książkę ze zdjęciem płynącego Volda na okładce.

– Masz – powiedział. – On pisze o przeróżnych rzeczach. Nie tylko o literaturze. Mnóstwo o jazzie i... no tak.

– Fajnie. – Od razu zacząłem ją kartkować.

Płyta się skończyła. Espen zdjął krążek z gramofonu.

– Czego teraz posłuchamy? – spytał.

– Nie wiem.

– A nie mógłbyś sam zobaczyć? Może znajdziesz coś, co lubisz?

– Dobrze. – Klęknąłem przy płytach.

Cholera, miał *Heaven Up Here*.

– Lubisz Echo and the Bunnymen? – spytałem.

– O rany, no pewnie. Ian McCulloch ma wspaniały głos. I jest fantastycznie

arogancki.

– Możemy ją puścić? To pewnie lekkie tchórzostwo z mojej strony, bo sam ją mam, ale jest świetna.

– Jasne, puść. Dawno jej nie słuchałem.

Kiedy wyszedłem od niego godzinę później i schodziłem ze wzgórz jaśniejących w chorym listopadowym świetle, czułem w sobie napięcie. Espen był osobą, którą się zauważało, silnie czuło się jego obecność, a ja, ponieważ byłem taki słaby, wychwytywałem wszelkie jego nastroje, z których najpewniej sam nie zdawał sobie sprawy. Często też zanurzał się w siebie, czasami mogło się wydawać, że jego spojrzenie nie wydobywa się na wierzch, tylko pozostaje w środku, robiło to wrażenie twardości, nieustępliwości, ale kiedy taka chwila mijała, objawiał się jako uosobienie otwartości i życzliwości, z czego chyba też nie zdawał sobie sprawy, bo nagle jakby brał nad nim górę zachwyt, a on po prostu ulegał prądom płynącym w swoim wnętrzu.

Zaimponował mi, zwłaszcza że był ode mnie o dwa lata młodszy. Nie mogłem jednak pojąć, dlaczego zaprosił do siebie akurat mnie. Na naszym kierunku było mnóstwo interesujących, czytanych osób, a on zwrócił się ku temu jednemu, który nie miał w sobie żadnej głębi i nie posiadał żadnej wiedzy o literaturze.

Ale bardzo się z tego cieszyłem. Może w tej chwili nie potrafiłem sprostać jego wymaganiom, z czasem jednak mogło mi się to przecież udać.

W domu zastałem list wetknięty w drzwi. Otworzyłem go, to było wypowiedzenie najmu. Z powodu remontu miałem się wyprowadzić do połowy grudnia.

Czy tak można robić?

O, niech to szlag trafi. Ale i tak płaciłem więcej, niż było mnie stać, więc może wyjdzie mi to na dobre. Chociaż oznaczało, że znów muszę szukać mieszkania.

Zasnąłem wcześnie, lecz po paru godzinach obudziło mnie pukanie w szybę. Podszedłem do okna. To była Gunvor. Uśmiechnięta, wskazywała na drzwi, kiwnąłem głową i poszedłem otworzyć.

Już pięć minut później wsuwała się do wąskiego łóżka obok mnie; czując ciężar jej piersi w dłoniach, eksplodowałem pożądaniem.

– Jeszcze nie – powiedziała. – Ale już niedługo.

Z mieszkaniem niesamowicie mi się poszczęściło. Okazało się, że Ben, kumpel Jona Olava, właśnie się wyprowadził z dużego czteropokojowego lokalu tuż przy Danmarksplass i na razie nikt inny go nie zajął. Wcześniej mieszkanie należało do stoczni w Solheimsviken i mieściło się w dawnej części biurowej, a jego właścicielem był obecnie bank. Zadzwoiłem tam, owszem, wciąż pozostawało wolne, więc mogłem je wynająć, ale powinienem mieć świadomość, że budynek jest przeznaczony do wyburzenia, więc muszę być przygotowany na ponowną przeprowadzkę z miesięcznym terminem wypowiedzenia. Kiedy miało to nastąpić? Tego kobieta, z którą rozmawiałem, nie wiedziała, ale zapewniła, że nie tak od razu. Zdecydowałem się i któregoś wieczoru poszedłem tam razem z Gunvor, Ben już na nas czekał i oprowadził nas po wszystkich czterech pokojach. Wcześniej mieszkali tam całą gromadą, ale tak niski czynsz udźwignęłyby dwie osoby. Właściwie były to dwa mieszkania, dwupokojowe za kuchnią i dwupokojowe za łazienką. Na podłogach leżała wykładzina, którą dało się usunąć, a pod spodem prawdopodobnie znajdowały się ładne deski. Okna były proste, brudne od spalin, z dużego ronda wyraźnie dochodził szum samochodów, ale do tego, zdaniem Bena, łatwo się przyzwyczaić. Standard był niezbyt wysoki, kuchenka w starej kuchni pochodziła chyba jeszcze z lat sześćdziesiątych, ale w łazience znajdowała się kabina prysznicowa, a czynsz, jak mówił Ben, był niski.

Dał mi klucze i poszedł sobie.

Razem z Gunvor jeszcze raz obszedłem pokoje. Dobrze się tu czułem. Objęliśmy się na środku tego pomieszczenia, które, jak zdecydowałem, miało być salonem w mojej części.

– Nie chcesz ze mną zamieszkać? – spytałem.

– Nie – odpowiedziała. – Oczywiście, że nie. Ale może któregoś dnia... Nie wiadomo, co się wydarzy.

– No to będę musiał sobie kogoś znaleźć. Nie znasz nikogo, kto szuka mieszkania?

– Nie, ale popytam. Tylko żadnych dziewczyn. Tak ryzykować nie zamierzam.

– Ty? Ty nie masz się czego obawiać. Naprawdę tak myślisz?

Podeszła do okna. Stałem za nią, pocałowałem ją w kark, delikatnie musnąłem dłońmi jej piersi.

- Co uważasz za najlepsze na świecie? – spytała.
- Nie rozumiem.
- Co najbardziej lubisz jeść?
- Chyba krewetki. A co?
- Tak tylko pytam.

Zerwałem wykładzinę w jednym pokoju, zeszlifowałem resztki kleju i nierówności, a potem pomalowałem podłogę na zielono, jak pokład statku. Nieliczne meble, jakie posiadałem, Yngve przewiózł wynajętym dostawczakiem, resztę potrzebnych rzeczy zamierzałem dokupić w Ikei po odebraniu kredytu studenckiego. Yngve powiedział mi, że załatwił salę do prób, mieści się w Stoczni i będziemy mogli z niej korzystać przez dwa wieczory w tygodniu. Z zapalem rozmawialiśmy o utworach, tekstach i o tym, że musimy znaleźć wokalistę. Następnego dnia spotkaliśmy się w kawiarni w Stoczni. Stawiłem się z parą pałeczek, Yngve przyszedł z pudłem z gitarą, a Pål z basem w futerale. Denerwowałem się, nie grałem na perkusji od wczesnych lat licealnych, a wtedy też znałem jedynie podstawy. Yngve wiedział, jak wygląda sytuacja, gorzej było z Pål'em, który być może oczekiwał porządnego *jam session* z udziałem trzech muzyków.

– Ja właściwie nie umiem grać – oświadczyłem. – Yngve ci mówił? Grałem tylko trochę w liceum. Zupełnie beznadziejnie. Ale mogę się nauczyć.

– Spokojnie, mały Yngve – powiedział Pål. – Będzie dobrze.

Pål był wysoki, chudy, blady i ciemnowłosy. Miał dość dziecinne nastawienie do życia. Nie bał się pokazywać swoich drobnych dziwactw, raczej je pielęgnował, był ekscentrykiem, a w Bergen zasłynął czytaniem wierszy podczas demonstracji studenckich, z dzwonekami we włosach. Trochę czytał, potem kręcił głową i dzwoneki dzwoniły, i znów trochę czytał. Zebrał ogłuszające okłaski. Grał w eksperymentalnej grupie, która wyrosła ze środowiska wytwórni płytowej Shit Tape w Arendal, nazywała się Coalmine Five, przypuszczalnie od nazwiska norweskiej polityk Kullmann Five. Uwielbiał wszystko, co dziwne, niezwykle, wyszukane. Z Yngvem chodzili w podstawówce do jednej klasy, ciągle o nim słyszałem, ale dopiero w ostatnim roku poznałem go osobi-

ście. Wydał własnym sumptem dwa tomiki wierszy, a studiował biologię morsa. Kiedy był nastolatkiem, grał w zespole Armii Zbawienia; Yngve twierdził, że jako basista nie gra mocno, prosto, tylko melodyjnie, improwizuje, ma mnóstwo pomysłów. To, że zna się na rzeczy, stało się jasne od pierwszej chwili, od razu, kiedy zaczęliśmy grać. To znaczy, kiedy oni zaczęli. Ja się nie odważyłem. Siedziałem na stołku z pałeczkami w ręku, za zestawem bębnow i talerzy, oni grali po moich obu stronach, a ja nie miałem odwagi w nic uderzyć, bałem się, że się wygłupię.

Zagrali *Kołyszysz się tak cudnie*. Pål próbował raz tak, raz inaczej, szukał czegoś, a gdy to znalazł, zatrzymywał się i znów wyruszał w pościg, wracał, dołączał coś nowego i znów się gdzieś wypuszczał, aż w końcu zrobił zadowoloną minę i utwór rzeczywiście brzmiał fajnie.

Yngve przestał grać i spojrzał na mnie.

– No, dalej – powiedział.

– Pograjcie jeszcze trochę – poprosiłem. – Żebym mógł zobaczyć, jak to idzie.

Grali więc dalej, przyłączyłem się mniej więcej w połowie utworu, ostrożnie i niepewnie, uznałem, że przynajmniej rytm powinienem utrzymać, bo nic innego nie umiałem.

– Dobrze było, Karl Ove – pochwalił mnie Pål. – Tylko postaraj się, żeby bęben basowy nadążał za moją gitarą. Mogę ci pokazywać. DUM-dum-DUM-DUM-dum. Okej?

– I uderzaj trochę mocniej – dodał Yngve. – Prawie w ogóle cię nie słychać.

Siedziałem czerwony jak burak i grałem z nadzieją, że to się niedługo skończy. Pål patrzył na mnie, a jego tułów jakby się unosił za każdym razem, gdy miał zabrznieć bęben basowy. Po chwili odwracał się i tylko grał, ale zaraz znów spoglądał na mnie i zaczynał wykonywać ruchy górną połową ciała.

Ćwiczyliśmy dwie godziny, cały czas ten sam utwór, powtarzany raz za razem. Chodziło o wciągnięcie mnie, bo oni przecież umieli go grać. Kiedy zakończyliśmy próbę i zaczęło się zwijanie kabli, pakowanie pudeł i pasów, koszulę mogłem wyzymać.

– Musicie znaleźć kogoś innego – oświadczyłem.

– E tam – zaprotestował Yngve. – Będzie dobrze.

– Przecież poszło znakomicie – orzekł Pål. – W ogóle nie rozumiem, o czym ty mówisz. Brakuje nam jedynie wokalisty, no i nazwy. Proponuję V – od varia, zawsze będziemy mieć osobne przegródki w sklepach z płytami.

– Mnie wpadło do głowy Odd & Bent^[21] – powiedział Yngve. – Dobrze brzmi i po norwesku, i po angielsku.

– Mnie to się kojarzy z opisem czyjegoś fiuta – zachichotałem.

– Mów za siebie! – prychnął Yngve.

– On mówi o własnym chorym fiucie! – zaśmiał się Pål.

– A może Mao^[22]? – zaproponowałem. – Ja myślałem o czymś takim. Krótkim i popowym.

– Ferwor – podsunął Pål. – Też niezła nazwa. W ferworze walki. Ktoś właściwie wie, co to jest ferwor?

– Nie. Ale obok mnie w czytelni ma wyznaczone miejsce ktoś, kto się świetnie nazywa. Finn Iunkers. Trochę się nad tym zastanawiałem. Chyba moglibyśmy wykorzystać nazwisko faceta, którego nie znamy? Finn Iunkers i coś tam. Na przykład Finn Iunkers i Wodoloty?

– Niegłupie – pochwalił Yngve. – Mnie jeszcze chodziło po głowie Barry Szerokie.

– A może Etniczny Krem Oczyszczający? – rzucił Pål.

Yngve zaczął się strasznie śmiać, aż musiał zrobić rundę po sali, żeby się opanować.

– Albo Soda Holokaustyczna – podrzuciłem.

– A może coś z Kafką. – Pål poruszył barkami, poprawiając pas, na którym trzymała się gitara basowa. – Ekspres do Kafki. Zaparzacze do Kafki. Kafka-trakterne!

– Dobra – zdecydował Yngve. – No to tak się nazywamy.

– Kafkatrakterne – powtórzyłem. – Nieźle!

*

Moje dwa ostatnie mieszkania znajdowały się na poziomie ulicy i mogłem z nich zobaczyć jedynie mijające mnie głowy i parasole. To nowe było zupełnie inne. Mieściło się na samej górze starego murowanego budynku, okna pokoju wychodziły na wielkie skrzyżowanie przy Danmarksplass, stojące dalej biurowce, duże stare kino, nowy supermarket Rema 1000, a po drugiej stronie ulicy – na księgarnię, w której, wiedziony niezrozumiałą naiwnością i niedojrzałością, kupiłem kiedyś *Głód*. Na ławkach przy niedużym parkingu przed supermarketem przesiadywała zwykle grupa pijaczków, był tam też postój taksówek – minęło parę nocy, nim zrozumiałem, że rozlegające się prawie nieustannie ciche dzwonienie dochodzi właśnie stamtąd – a z ulicy przed moim domem korzystali wszyscy mieszkańcy okolicy, którzy chcieli dotrzeć do centrum i z powrotem, więc zawsze coś się na niej działo. Poza tym w pobliżu był szpital, więc dniem i nocą przejeżdżały również karetki, zarówno na sygnale, z migającymi światłami, jak i po cichu. Tylko się z tego cieszyłem, często stałem w oknie i wyglądałem, trochę jak krowa ze swojego boksu, bo nic mnie wtedy nie gnębiło, po prostu rejestrowałem ruchy i obserwowałem ulicę. Pick-up z długą deską sterczącą z paki, z kawałkiem białej szmaty przywiązanej na końcu, no proszę! Ciężarówka wyładowana beczącymi owcami, co to znaczy, do diabła, czyżbym nagle znalazł się w Jugosławii? Paniusia w kołnierzu z lisa z całym łbem, najwyraźniej wariatka, sądząc po jej sztywnych, spiętych ruchach, nie było mowy o pomyłce, przeszła najpierw jedną, potem drugą stroną ulicy. Grupa składająca się początkowo z trzech, potem z czterech, a w końcu z pięciu mężczyzn, którzy zebrali się u podnóża zbocza, przy wylocie przejścia podziemnego, o wpół do czwartej w nocy, ciekawe, jakie sprawy mieli na sumieniu? Kobieta krzyczy na mężczyznę, mężczyzna krzyczy na kobietę, niezliczone wariacje na ten sam temat. Widywałem też wiele osób chwiejących się na nogach, czasami przybierało to przedziwne formy, aż nie wierzyłem własnym oczom, zdarzało się, że ktoś, zataczając się, wychodził na sam środek trzypasmowej ulicy albo tracił równowagę i zaczynał sunąć bokiem, a kiedy ją pozornie odzyskał, zaczynał sunąć w drugą stronę, tak jak my

w dzieciństwie, kiedy się bawiliśmy w pijaków, oglądanych wcześniej na niemych filmach, które puszczano nam przy okazji rozmaitych uroczystości.

Kolejnym plusem mojego nowego lokum była linia telefoniczna. Poprosiłem o podłączenie telefonu i pierwszy raz w życiu miałem własny numer.

Gunvor zadzwoniła jako pierwsza.

– Jesteś w domu jutro rano? – spytała, kiedy już chwilę porozmawialiśmy.

– Jeżeli przyjdiesz, to będę.

Umówiliśmy się, że zajrzy o dwunastej. Zadzwoniła do drzwi punktualnie, z wybiciem godziny. W ręku trzymała reklamówkę.

– Kupiłam krewetki – powiedziała. – Niestety, nie było świeżych, tylko mrożone.

Wyjęła z torby paczkę zamrożonych krewetek z Grenlandii. Położyłem je na półmisku, żeby szybciej rozmarzły. Przyniosła też masło, majonez, białą bułkę i cytrynę.

– To jakaś specjalna okazja? – zdziwiłem się.

Uśmiechnęła się i spuściła wzrok, a ja nagle zrozumiałem. To miało się stać dzisiaj. Objęliśmy się, weszliśmy do sypialni, powoli ją rozbierałem, położyliśmy się na materacu pod ścianą. Cały czas drżała mi noga. Pokój wypełniało światło zachmurzonego nieba, padało na nasze białe ciała, na jej twarz, na oczy, których nie odrywała ode mnie.

Później wzięliśmy razem prysznic i sprawdziliśmy, co się dzieje z krewetkami, dziwnie wobec siebie zawstyżeni, jakbyśmy nagle stali się sobie obcy. Ale nie trwało to długo. Przepaść między nami szybko się zasklepiła i już wkrótce rozmawialiśmy, jakby nic się nie wydarzyło, dopóki nasze oczy znów się nie spotkały i atmosfera z powrotem nie stała się poważna. Było trochę tak, jakbyśmy patrzyli na siebie pierwszy raz. Pozostaliśmy tymi samymi osobami, ale to, co niezobowiązujące, zaczęło zobowiązywać i w pewnym sensie zmieniło wszystko. Spoglądaliśmy na siebie z powagą, intensywnie, ale w końcu twarz Gunvor rozjaśnił uśmiech i spytała: zjemy wreszcie te twoje krewetki?

Po raz pierwszy w naszym związku ukazał się przebłysk przyszłości. Teraz naprawdę byliśmy razem, ale co to oznaczało?

Miałem dwadzieścia lat, ona dwadzieścia dwa, więc raczej oczywiste było,

że nic się nie zmieni. Nie musieliśmy nawet nic planować, wszystko przychodziło samo. Do tej pory prawie cały czas spędzaliśmy razem, odkrywaliśmy się nawzajem, tyle mieliśmy sobie do powiedzenia o naszym życiu i o wszystkim, co się działo wokół nas, a poza tym robiliśmy razem różne rzeczy. Do tego, co robiliśmy i dlaczego, nie odnosiliśmy się świadomie, przynajmniej ja, ani raczej nikt z moich znajomych. Wszyscy od czasu do czasu chodzili do kina, do klubu filmowego, wszyscy przesiadywali w Café Opera albo w Hulen, wszyscy stale się odwiedzali, kupowali płyty, bawili się na koncertach. Wszyscy ze sobą sypiali lub chcieli ze sobą sypiać, jednorazowo, po wieczorze na mieście, albo stale, regularnie, jako para. Niekiedy rodziło się jakieś dziecko, ale to bezwzględnie należało do rzadkości, uważane było wręcz za rzecz niezwykłą, nikt za skarby świata nie chciał zostać ojcem czy matką w wieku dwudziestu lat, co przecież było tak częste w pokoleniu naszych rodziców. Wiele osób w weekendy chodziło w góry, na Fløyen albo na Ulriken, ja nie, tu stawiałem wyraźną granicę, rekreacji na świeżym powietrzu nigdy nie chciałem uprawiać, więc Gunvor nawet tego nie proponowała i ograniczała tę część swojego życia do minimum. Dużo więcej ponad to się nie działo, a jednak uważałem, że wiodę życie bogate i wypełnione sensem, bo nigdy nie kwestionowałem swoich wyborów, nie miałem żadnej alternatywy, mniej więcej tak, jak ludzie nie kwestionowali używania konnego wozu przez stulecia przed wynalezieniem samochodu. I w pewnym sensie rzeczywiście było to życie bogate i pełne sensu, bo każda ze wszystkich małych sfer zawierała nieskończoność niuansów, na przykład zespół muzyczny był nie tylko po prostu zespołem, łączyło się z nim także mnóstwo innych znaczeń, a przecież zespołów istniały tysiące. Student literatury był nie tylko studentem literatury, chociaż z daleka tak właśnie na pewno wyglądał; kiedy się do niego podchodziło bliżej, tak jak ja zbliżyłem się do Espena, każdy okazywał się osobnym bogatym światem, a studentów literatury istniały setki, studentów zaś w ogóle – tysiące. No i jeszcze były książki, miliony książek istniejących na świecie, ich wzajemne relacje i cała wiedza, jaką zawierały. Do tego lejka, którym było Bergen, wlewał się nie tylko deszcz, na dno tego miasta, po którym chodziliśmy, trafiały również myśli i wydarzenia z pozostałej części świata. 808 State wydali *808:90*, Pixies – *Doolittle*, Neneh Cherry – *Raw Like Sushi*, Golden Palominos – *A Dead Horse*, Raga Rockers – *Blaff*. Ludzie zaczęli kupować komputery. Mówiono o nowym norweskim komercyjnym kanale telewizyjnym, który być może będzie miał siedzibę w Bergen. Raga Rockers grali w Maxime,

a kiedy jakiś facet wybiegł na scenę i rzucił się z niej w publiczność z rozłożonymi rękami, Arvid krzyknął: to przecież Yngve! Było to tak do Yngvego niepodobne, że wszyscy wybuchnęli śmiechem. Przeczytałem *Boską komedię* w przekładzie na nynorsk, napisałem o niej pracę i złożyłem ją na kursie prowadzonym przez Buvika, miałem też czterdziestopięciominutowy wykład, bałem się tego kilka tygodni, ale w końcu wypadłem niezłe, przynajmniej w ocenie Espena. Buvik stwierdził, że w dużej mierze opieram się na Lagercrantz, ale nie ma w tym nic złego, i od tej pory zaczął mnie od czasu do czasu wywoływać podczas zajęć, jakby chciał usłyszeć, co konkretnie myślę na ten czy tamten temat. Czerwieniłem się, mamrotałem pod nosem i dosłownie musiała ze mnie bić niechęć do takiej roli, ale byłem też dumny z tego, że pyta właśnie mnie. Lubiłem Buvika, lubiłem jego styl, te jego zachwyty, o które było tak łatwo, chociaż wykladał od tylu lat, a my znajdowaliśmy się na najniższym poziomie w hierarchii. Miał krótkie jasne włosy, okrągłe okulary, zawsze ubierał się elegancko, był przystojnym mężczyzną, a jego gesty i ruchy były nieco kobiece, lecz jeśli dobrze rozumiałem, doktoryzował się we Francji, więc ta kobiecość miała zapewne być przede wszystkim przejawem wyrafinowania, kultury tak idealnej, że znajdowała wyraz również w mowie ciała. Linneberg był pod wieloma względami jego przeciwieństwem, mówił czymś w rodzaju skonstruowanego przez siebie robotniczego dialektu z Oslo i przywiązywał do niego wielką

wagę; nosił kolczyk w uchu, miał dużą, ciężką głowę, często uśmiechał się sardonicznie i lubił się zgrywać, raz prowadził wykład z nałożonym na twarz czerwonym nosem klauna, a doktoratu bronił w masce małpy. O Brechcie mówił, paląc grube cygaro. Obaj mieli nad nami wielką władzę, byli ważnymi postaciami i gdyby przyszli na którąś z imprez studentów poziomu podstawowego, mogliby wyrwać każdą dziewczynę, często tak sobie myślałem, podczas ich wykładów sala zawsze była naładowana energią, wyzwalaną nie tylko przez intelektualną ciekawość i głód wiedzy studentów. Mieli tak wysoką pozycję, że gdyby usiedli razem z nami w stołówce, uznalibyśmy, że bogowie zstąpili do nas z Olimpu. Oczywiście nigdy się do nas nie przysiedli. Jeśli Buvik dwukrotnie zadał mi pytanie podczas jednego wykładu, czułem się tak, jakbym dostąpił łaski Króla Słońce. Nie wiedziałem, co o tym myślą moi koledzy ze studiów, bo wyjąwszy Espena i Olego, mało z nimi rozmawiałem. Ale zaczynałem załapywać, o co chodzi w tych studiach, napisałem jeszcze jedną pracę, na temat estetyki Fløgstada, przekonany, że udało mi się złamać szyfr.

Pisanie prac polegało w zasadzie na ukrywaniu tego, czego się nie umiało. Liczyły się język i technika, a ja nad nimi panowałem. Język mógł przesłonić wszelkie luki, czy wręcz przepaście, jeśli tylko się wiedziało, jak to zrobić. Nigdy na przykład nie czytałem Adorna, w zasadzie nic nie wiedziałem o szkole frankfurckiej, miałem w głowie jedynie jakieś drobiny uchwycone tu i tam, ale w pracy pisemnej potrafiłem tak zapanować nad tą małą ilością wiedzy, że wydawała się o wiele głębsza i bardziej rozległa. Pozytywnie oceniano też wyciąganie wiedzy z jednej dziedziny i przenoszenie jej do innej, najlepiej z zaskoczenia, co również było proste, należało jedynie zbudować most między nimi i już tekst pozornie zyskiwał świeżość i oryginalność, chociaż w zasadzie nie było w nim nic nowego ani oryginalnego. Nie musiało to być klarowne ani nawet zbyt mądre, miało świadczyć jedynie o samodzielnym myśleniu, pojmowaniu czegoś na swój sposób, oprócz tego, że oczywiście należało wykazać się pewną wiedzą na dany temat.

Prace pisemne na temat Dantego i Fløgstada nazywałem esejami, kiedy o nich mówiłem. Wiesz, niedawno napisałem esej o Fløgstadzie, a w tym eseju o Dantem, no wiesz, pisałem o...

Któregoś dnia, kiedy paliłem z Espenem pod daszkiem budynku Wydziału Nauk Humanistycznych, bo z ołowianoszarego nieba lał się deszcz, zauważyłem u niego coś na kształt wzmożonej czujności i już miałem spytać, o co chodzi, gdy nagle zerknął na mnie i zaraz odwrócił wzrok.

– Mam zamiar starać się o przyjęcie do Akademii Sztuki Pisania – oznajmił.

– Tak? To świetnie. Nie wiedziałem, że piszesz. Chociaż miałem podejrzenia, cha, cha.

– Chciałem cię spytać, czy nie mógłbyś rzucić okiem na coś, co napisałem. Nie jestem pewien, co im posłać. I czy to w ogóle ma jakiś sens.

– Pewnie, oczywiście.

– Nawet przyniosłem ze sobą dzisiaj kilka tekstów. Dam ci je później, jeśli chcesz zobaczyć.

Przekazał mi je w absolutnej dyskrecji, jakbyśmy byli szpiegami, a owe teksty – tajnymi dokumentami dotyczącymi bezpieczeństwa nie tylko naszego kraju, lecz całego NATO. Plastikowa teczka pospiesznie wyjęta z torby, przekazanie jej z rąk do rąk pod osłoną naszych ciał, teczka równie szybko wsunięta do

mojej reklamówki. W momencie gdy ją schowałem, zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym.

Pisanie nie było rzeczą wstydliwą, na studiach z literaturoznawstwa uważano je raczej za najwyższy stopień wtajemniczenia, ale afiszowanie się z tym przynosiło wstyd, bo przecież prawie wszyscy coś tworzyli, więc dopóki tekst nie został opublikowany w jakimś czasopiśmie albo – pełnia szczęścia! – nie ukazał się w książce, był w zasadzie niczym, nie istniał, i jeśli pokazało się go zawczasu, człowiek tracił twarz, bo tym samym ujawniał, że w zasadzie wcale nie chce być tutaj, tylko zupełnie gdzie indziej, że ma marzenia, które – i właśnie to stanowiło najczulszy punkt – prawdopodobnie nigdy się nie ziszczą. Dopóki nie udowodniono inaczej, twórczość studentów literaturoznawstwa miała się skrywać w mroku szuflady. Moja sytuacja trochę się różniła, bo studiowałem w Akademii Sztuki Pisania i miałem „prawo” pisać, ale gdybym ujawnił swoją twórczość i okazałaby się słaba, straciłbym wszelką wiarygodność.

Należało więc działać ostrożnie. To, co Espen przekazał mi w najgłębszej tajemnicy, było z jednej strony „niczym”, a więc rzeczą niewidzialną, która winna być traktowana jako taka, a z drugiej strony – dla Espena bardzo ważną, o w i e l e ważniejszą niż dokument dotyczący bezpieczeństwa NATO.

Potraktowałem ją wobec tego z należytyym szacunkiem. Teczkę otworzyłem dopiero po przyjeździe do domu, kiedy byłem sam. Czytając teksty, które okazały się wierszami, żałowałem, że nie przyznałem się Espenowi, iż w zasadzie w ogóle się na tym nie znam – chociaż skończyłem roczny kurs w akademii, tak naprawdę jestem pozerem – bo od razu spostrzegłem, że to świetna poezja, od pierwszego wersu rozpoznałem cechy dobrego wiersza, ale nie byłem w stanie nic o nich powiedzieć. Nie wiedziałem, dlaczego są dobre ani co zrobić, żeby były jeszcze lepsze. Po prostu czułem, że są świetne.

Ale on tego nie zauważył, niczego więcej nie żądał, cieszył się, że mi się podobały.

W jeden z weekendów zabrałem Gunvor do mamy, która przeprowadziła się do Jølster, piętnaście kilometrów od Førde. Dom był stary, ładny, stał na niewielkiej równinie, poniżej kilku dużych gospodarstw na łagodnych zboczach, z których wyrastały wysokie góry. Za drogą płynęła rzeka, Jølstra. Pojechalismy do mamy autobusem. Zatrzymał się w odległości zaledwie kilkuset me-

trów od domu, rzeka parowała na mrozie, kiedy szliśmy wzdłuż niej, mama czekała z gorącym jedzeniem, wyszła do nas, gdy zaczęliśmy tupać w sieni, podały sobie z Gunvor ręce, uśmiechając się do siebie, a ja byłem trochę spięty, ale nie tak jak Gunvor, która od dawna bała się tego spotkania i dużo o nim mówiła po drodze. Była pierwszą dziewczyną, którą przedstawiłem mamie, odkąd skończyłem szesnaście lat, właściwie pierwszą, z jaką się związałem w dorosłym wieku, niewykluczone, że ostatnią. Dla nas obojga było ważne, aby mama ją polubiła.

Oczywiście tak się stało. Gunvor nie dała po sobie poznać, że jest spięta czy zdenerwowana, jak zawsze była sobą i natychmiast się z mamą polubiły. Wyczułem ich wzajemną sympatię i bardzo się z niej cieszyłem, podobnie jak z tego, że mogę pokazać Gunvor tę wspólną przestrzeń, w której od zawsze spotykałem się z mamą, że dała się wciągnąć w nasze długie rozmowy i dzięki nim mogła mnie zobaczyć z innej strony, ja też bardziej się do niej zbliżyłem, taki jaki byłem naprawdę, bardziej spójny, mający w sobie mniej sprzeczności.

W kominku trzaskał ogień, siedzieliśmy przy stole i rozmawialiśmy. W odłali samochody przejeżdżały z szumem przez lodowaty nadrzeczny pejzaż.

- Masz fantastyczną matkę – powiedziała Gunvor, kiedy już się położyliśmy.
- Polubiła cię.
- Tak myślisz?
- Tak, to łatwo zauważyć.

Nazajutrz wybraliśmy się wszyscy do Borghild, siostry babci. Była tęga, miała potężne ramiona i siwe kręcone włosy, nosiła grube okulary, za którymi jej oczy wydawały się przerażająco wielkie. Już dawno owdowiała. Umysł wciąż miała niesłychanie bystry, chłoneła najdziwniejsze sprawy ze świata, zawsze skora do potępienia tego, co jej się nie podobało.

Kiedy witała się z Gunvor, przez kilka sekund otwarcie ją oceniała.

- A więc odwiedzili mnie studenci! – powiedziała.

Usiedliśmy w maleńkim saloniku, na stole leżały stosy tygodników, a na wierzchu wielka lupa. Borghild wyszła do kuchni po *lefse* i kawę, przyniosła je pięć minut później, tłumacząc się i przepraszając, że tak skromnie nas podejmuje.

- Borghild zwykle szykuje potrawy na wesela w wiosce – wyjaśniła mama

Gunvor.

– Tak było dawniej – sprostowała Borghild.

– Chyba nie dawniej niż pół roku temu? – uśmiechnęła się mama.

– O, to była drobnostka. W dzisiejszych czasach wesela nie są takie jak kiedyś. Dawniej trwały trzy dni!

Mama zaczęła ją wypytywać o różne osoby w rodzinie, Borghild odpowiadała.

– Babcia pochodziła z tej zagrody położonej w dole – tłumaczyłem Gunvor, która zaraz się podniosła, żeby wyjrzeć przez okno. Stałem za nią. Zapano- wałem nad odruchem dotknięcia jej piersi, który zawsze się we mnie budził, gdy stawałem za jej plecami, i tylko położyłem jej rękę na ramieniu.

– W czasach mojego dzieciństwa stały tam jeszcze budynki z szesnastego wieku – powiedziała Borghild.

Spojrzałem na nią i ciarki przeszły mi po plecach.

Szesnasty wiek! To przecież niedługo po Dantem.

– Ale wszystkie zburzono.

– Cały czas mieszkała w tej zagrodzie ta sama rodzina? – spytałem.

– Tak, jestem przekonana, że tak było.

Nieczęsto tam bywałem i nawet nie znałem imion całego rodzeństwa babci, nie wiedziałem nic o ich rodzicach, oprócz tego, że ich ojciec, czyli mój pradiadek, zachłannie czytał Biblię i nie dość, że pracował dużo i ciężko, to na dodatek jeszcze to lubił. O mojej prababci, czyli o matce Borghild, a babci mamy, w ogóle nie miałem pojęcia. Urodziła jedenaścioro dzieci i mieszkała w tej zagrodzie, to wszystko. Poczulem wyrzuty sumienia, że wiem tak mało. Uświadomiłem sobie nagle, że powinienem się tym zainteresować – jakbym nie miał prawa przynależeć do tej rodziny, żyjąc w takiej niewiedzy. Postanowiłem, że kiedyś przyjadę do Borghild sam i spiszę wszystko, co wie. Nie tylko dla siebie, nie po to, żebym to ja dowiedział się więcej o rodzinie, tylko dlatego, że cała posiadana przez nią wiedza była interesująca sama w sobie.

Wyruszyliśmy do domu wzdłuż wielkiego i głębokiego jeziora; Borghild opowiadała, że dawniej do szukania w nim topielców wykorzystywano koguty; bosaki zanurzano w wodzie w miejscach, gdzie piałły. Zrobiło się całkiem ciemno, oprócz drzew, drogi i brzegu ciągnącej się wzdłuż niej nieruchomej

wody, w której odbijały się żółte światła latarni, widać było jedynie szczyty gór, pokryte śniegiem. Noc była pogodna, na niebie pojawiły się gwiazdy, wszystko wydawało się otwarte i rozległe.

Autobus do Bergen odchodził około czwartej nad ranem, więc Gunvor i ja w ogóle się nie położyliśmy, i przed czwartą staliśmy na przystanku, przytupując dla rozgrzewki, kiedy z hałasem pokonywał zakręty wysoko nad nami. Przez cztery i pół godziny podróży spaliśmy wtuleni w siebie, otoczeni szumem ogrzewania i warkotem silnika; od czasu do czasu któryś z pasażerów zakasłał, drzwi autobusu otwierały się i zamykały gdzieś daleko, jakby we śnie, albo rozlegał się ów szczególny odgłos pojazdu wjeżdżającego na prom, a później znów był spokój, gdy zwyciężała monotonia jazdy po szosie.

Z dworca autobusowego poszliśmy prosto na uniwersytet, tam się rozstaliśmy, kilka godzin spędziłem w czytelni, a potem zjawił się Yngve i zaproponował, żebym poszedł z nim do bufetu, bo ma dobre wieści. Na weekend wybrał się do domku za miastem z paroma osobami z Radia Studenckiego, był wśród nich również ktoś, kto śpiewał i grał na gitarze, Yngve uznał, że chłopak ma dobry głos, i po prostu spytał go, czy nie chciałby śpiewać w naszym zespole. Zgodził się. Ustalili, że któregoś wieczoru wyjdziemy na miasto we czterech, żeby się lepiej poznać. Chłopak miał na imię Hans, pochodził z Geiranger, studiował historię i lubił Neila Younga, nic więcej Yngve o nim nie wiedział.

Spotkaliśmy się z nim w klubie rockowym Garage, niedawno otwartym, była tam niewielka sala z długim barem na parterze i duża, ciemna piwnica ze sceną. Już zapowiadano koncerty kilku niezłych angielskich i amerykańskich zespołów, a oprócz tego miało występować wiele bergeńskich kapeli, których powstawało coraz więcej, z Mona Lisa Overdrive jako bezsprzecznie najlepszą i Pogo Pops jako dobrym numerem dwa.

Po krótkim opisie Yngvego spodziewałem się faceta o wyglądzie twardziela, we flanelowej koszuli drwala, w dziurawych dżinsach i mocnych kowbojkach, z nastroszonymi włosami i dzikością w oczach, zapewne do takiego obrazu przyczyniła się wzmianka o Neilu Youngu, ale chłopak z ociekającym wodą, przed chwilą złożonym parasolem w rękę, który stanął w drzwiach i natychmiast zaczął szukać spojrzenia Yngvego, nie miał kompletnie nic wspólnego z tym fantomem, który sobie stworzyłem i który rozwiął się w momencie, gdy nowy członek zespołu podszedł do naszego stolika.

– Hans – przedstawił się i wyciągnął do mnie rękę. – A ty jesteś młodszym

bratem, perkusistą, tak?

– Zgadza się – potwierdziłem.

Zdjął okulary i wytarł zaparowane szkła.

– Czekamy jeszcze na Påla – powiedział Yngve.

– No to na razie przyniosę sobie piwo. – Hans poszedł do baru.

Ktoś włączył w szafie grającej *London Calling* Clashów, a mnie ciarki przeszły po plecach. To był dobry znak.

– Oto potencjalnie legendarna chwila – oświadczył Yngve po powrocie Hansa. – Wieczór, kiedy wokalista po raz pierwszy spotyka się z pozostałymi muzykami z Kafkatrakterne.

– Spotkaliśmy się już wcześniej w pewnej szkole artystycznej, ale się nie polubiliśmy – uzupełnił Hans. – Może nawet z raz się pobiliśmy, no ale w końcu gitarzysta usłyszał, jak śpiewam, i doznał wizji, która miała już na zawsze przedefiniować historię muzyki rockowej.

– Podczas gdy perkusista się nie odzywał, a basista się spóźniał – dodał Yngve.

– Perkusiści mają się nie odzywać – stwierdził Hans. – To ich najważniejsza funkcja w zespole, mają milczeć i być twardzi. Dużo pić, mało mówić i posuwać wiele dziewczyn.

– W zasadzie jestem milczący, ale miękki – powiedziałem. – Mam nadzieję, że mimo to wam się przydam.

– Wcale nie wyglądasz na mięczaka – ocenił Hans. – No, ale skoro twierdzisz, że tak jest... Wariacje na ten temat mogą się zdarzyć, takie drobne, nieoczekiwane szczegóły dodają pieprzyku. No bo przecież z drugiej strony mamy typ Charliego Watta, dżentelmena, który nie zdradza żony, a w wolnym czasie gra jazz i zajmuje się ogródkiem.

– Grać też nie umiem – wyznałem. – Yngve na pewno ci tego nie powiedział, ale taka jest prawda.

– No to rzeczywiście może być ciekawie – stwierdził Hans.

– Zdrowie Kafkatrakterne! – Yngve uniósł szklanę.

Wypiliśmy, zesłaliśmy na dół i przez pewien czas słuchaliśmy grającego tam zespołu. Pål wreszcie się zjawił, wróciliśmy do baru i gadaliśmy. Nie odzywałem się, to oni mówili, ale i tak uczestniczyłem w tej rozmowie, wcale nie

czułem, by toczyła się poza mną.

Z tego, co zrozumiałem, Hans przez cały okres dorastania grał w zespole. Pisał do studenckiej gazety „Studvest”, przygotowywał programy dla Radia Studenckiego, interesował się polityką, był przeciwnikiem przystąpienia Norwegii do wspólnoty europejskiej, pisał w nynorsku i miał wysoką samoocenę, ale się nie wywyższał, to było całkowicie sprzeczne z jego naturą. Potrafił ironizować, z łatwością sypał żartami, często ostrymi, lecz ogólnie biła od niego życzliwość, neutralizująca w pewnym sensie jego ostrość. Bardzo go polubiłem, był dobrym człowiekiem. Zupełnie inna sprawa, czy on mnie polubił, bo niewielka liczba słów, które wypowiedziałem, wydobyła się jakby z głębi mrocznej studni i brzmiała jak skrzek.

Kiedy zamknięto Garage i wieczór się skończył, nie poszedłem do domu, tylko do Gunvor. Przeniosła się do kamienicy w pobliżu centrum handlowego Bystasjonen, wynajmowała tam mieszkanie na poddaszu. Otworzyłem drzwi kluczem, który od niej dostałem. Gunvor jedynie lekko uniosła głowę, uśmiechnęła się zza włosów częściowo zasłaniających jej twarz i spytała, czy było fajnie. Przytaknąłem i położyłem się przy niej. Natychmiast znów zasnęła, a ja leżałem, nie śpiąc, wpatrzony w sufit, wsłuchiwałem się w przejeżdżające od czasu do czasu samochody i w deszcz bębniący w dach i ukośne okna. Mało co lubiłem bardziej, niż przychodzić tutaj po zabawie na mieście, do miejsca, które nie było moje, lecz w którym mimo wszystko byłem mile widziany, lubiłem to, że mogłem się do niej przytulić i poczuć jej nagą skórę przy swojej. Niekiedy zastanawiałem się, czy ona czuje podobnie, czy zdarza jej się, że nie śpi, a dotyk mojej nagiej skóry przynosi jej spokój ducha. Ta myśl była trochę straszna, bo wówczas widziałem siebie jej oczami, jednocześnie mając świadomość tego, kim naprawdę jestem.

Włączył się radiobudzik. Zaspany, otworzyłem oczy, Gunvor wstała i wyszła do łazienki, opuściłem powieki, słyszałem lekki szum prysznica, hałas samochodów przejeżdżających obok Bystasjonen, zasnąłem, obudziłem się i zobaczyłem, że Gunvor ubiera się na środku pokoju, wkłada najpierw biustonosz, potem koszulę i spodnie.

– Będziesz jadł śniadanie? – spytała.

– Nie. Jeszcze trochę pośpię.

Później – wydawało mi się, że zaledwie za moment – nachyliła się nade mną i pocałowała mnie w policzek, ubrana w spodnie przeciwdeszczowe i kurtkę.

- Lecę. Widzimy się po południu?
- Tak, możemy. Przyjdiesz do mnie?
- Dobrze. Do zobaczenia.

Zniknęła jak we śnie, gdzieś na mokrych ulicach Bergen, pod szarym niebem. Ja gniłem w łóżku do jedenastej. Zamiast iść do czytelnicy, urządziłem sobie dzień na mieście. Zajrzałem do wszystkich antykwariatów i księgarni, kupiłem kilka płyt i starych książek w kieszonkowym wydaniu, a oprócz tego nowiusieńką powieść, którą właśnie wydała Else Karin, znajoma z akademii. Nosiła tytuł *Ut*, miała białą okładkę z rysunkiem klęczącej kobiety, w połowie nagiej, w połowie przebranej w kostium Arlekina. Niczego nie oczekiwałem od tej książki, kupiłem ją po prostu dlatego, że znałem autorkę i ciekaw byłem jej poziomu w porównaniu z tym, co sam pisałem.

Z tyłu widniał napis: „ZAZDROŚĆ – CHOROBA – SZALEŃSTWO?”.

Ojojoi!

Poszedłem do cukierni, w której przesiadywali emeryci, i zacząłem czytać. Niespodzianka czekała mnie już na drugiej stronie. To było o mnie!

*Nigdy się nie zbliżyłeś, Karl Ove.
Ława przysięgłych przyznaje mi rację.
Naszym zdaniem twoich palców nie było.
Nie chwyciłeś moich soków.
Nie kłam.*

Czytałem dalej, przeorywałem wzrokiem kolejne strony w poszukiwaniu swojego imienia.

Ojej.

Karl Ove, przyjdź i mnie kochaj.

Karl Ove, nie byłeś blisko.

*Popełniłeś katastrofalny błąd, Karl Ove –
a ja już wcześniej tak schudłam.*

Mnóstwo o penisie i macicy. O krzyku i nastrzykiwanych jajeczkach. O chłóście i pożarach. Prawdziwy gabinet strachu. „Któregoś dnia może zrozumiesz, Karl Ove”, przeczytałem. „Do diabła, Karl Ove”, przeczytałem. I nagle, małymi literami: „dlaczego, karl ove, dlaczego musiałeś mnie kochać”.

Odłożyłem książkę i wyrząłem na Torgallmenningen. Doskonale wiedziałem, że to nie o mnie, ale mimo wszystko przeżyłem szok. Czytając własne imię, nie potrafiłem zachować neutralności, zresztą to wcale nie było neutralne, przecież ona wybrała właśnie moje imię, imię człowieka, z którym cały poprzedni rok chodziła na zajęcia, a nie jakieś inne, co nie powinno stanowić problemu, mogła wybierać wśród tylu rozmaitych imion. Z drugiej strony uznałem, że to niezła historia, będę miał o czym opowiadać. Studiowałem w Akademii Sztuki Pisania i chociaż nie wydałem później debiutanckiej książki, to przynajmniej stałem się bohaterem innej. „Karl Ove leżał niespokojnie i się bał. Tam jest tak pięknie – Karl Ove o tym wie – i chwyta za drążek, obraca żaluzje, listewki układają się gęsto, jedna przy drugiej, słońce i świerki znikają. Dziś nie weźmie do ust ani kropli alkoholu”.

Tego wieczoru mieliśmy pierwszą próbę z Hansem. Od razu na samym początku przetłumaczył moje teksty na nynorsk, brzmiało to dobrze, o wiele lepiej niż poprzednio. Przyniósł też własne piosenki, jedną, *Dom Ojciec Naród*, zaraz zaczęliśmy ćwiczyć. Później przeszliśmy do hali w głębi budynku fabrycznego, gdzie była scena, na której miało wystąpić parę miejscowych zespołów. Kiedy zgaszono światła i szykowała się pierwsza grupa, ku swemu zdziwieniu zobaczyłem Mortena idącego przez scenę i sięgającego po mikrofon.

Morten!

Chudy, ubrany na czarno, zaciskał obie ręce na statywie i śpiewał. Nie widziałem własnym oczom. Kiedy ostatnio go widziałem, zaledwie pół roku wcześniej, gdy jeszcze mieszkaliśmy w tym samym domu, był zwyczajnym,

choć może niezwykle otwartym i wrażliwym chłopakiem ze wschodu kraju, a teraz stał tam i śpiewał, z ruchów przypominał trochę Michaela Krohna i był pełen diabelnej pewności siebie. Śpiewał też trochę jak Krohn, a zespół grał jak Raga Rockers, więc nie wypadło to najlepiej, kompletny brak oryginalności, ale to się w tej chwili dla mnie nie liczyło, istotna była przemiana, która dokonała się w Mortenie.

Kiedy rozmawiałem z nim później, powiedział, że studiuje historię. Ale przede wszystkim ćwiczy z zespołem. A ty? – spytał. – Debiutowałeś już? Nie, nie, wszystko poszło w diabły. Ale też gram w zespole, w Kafkatrakterne.

Śmiał się z tego, ale zaraz zniknął, zapadł się w tej ogromnej przestrzeni, która nas rozdzieliła, gdy przestaliśmy być sąsiadami.

*

Na początku stycznia nareszcie udało mi się znaleźć chętnego do zajęcia tego drugiego mieszkania, za które do tej pory płaciłem sam. Miał na imię Jone, pochodził ze Stavanger i był ekschłopakiem Kari, nowej dziewczyny Asbjørna. Pracował w spółce zajmującej się wydobywaniem ropy, oprócz tego prowadził własną niedużą wytwórnię płytową, organizował giełdy płyt, a teraz dostał urlop bezpłatny na studia w Wyższej Szkole Handlowej i bardzo chciał ze mną zamieszkać. Cieszyłem się z tego, w ogóle nie myśląc o niskim standardzie naszego mieszkania, aż do tego wieczoru, kiedy zaparkował przed domem białą ciężarówkę, a ja zszedłem pomóc mu wnosić graty.

– Cześć, Karl Ove – powiedział, chociaż wcześniej się nie widzieliśmy, więc zrozumiałem, że jest otwartym gościem.

Rude włosy, blada skóra, dość powolne ruchy.

– Cześć – wymamrotałem. Nawet mi się nie śniło użycie jego imienia, dopóki się porządnie nie poznamy.

– Co to właściwie za nora? – spytał, patrząc na brudną, zdewastowaną fasadę.

– Tania – odparłem.

– Żartowałem – zaśmiał się. – Pomożesz mi z najcięższymi rzeczami?

Otworzył drzwi, włożył rękawiczki i wskoczył do ładowni ciężarówki. Natychmiast się zorientowałem, że wszystkie sprzęty ma pierwszej klasy. Porządne łóżko wodne, porządny stolik-ławę, porządną kanapę, wielki telewizor i fantastyczny sprzęt stereo. Zaczęliśmy od łóżka. Kiedy wreszcie je zataszczyliśmy i postawiliśmy w mieszkaniu, opadły mnie takie wyrzuty sumienia, że w ogóle nie byłem w stanie na niego patrzeć. Dwa pokoje, po których hulały przeciągi, ze starą kuchnią i starą łazienką, nie mogły się dla niego nadawać. Powiniennem go wyraźnie uprzedzić, jakie to mieszkanie, ale teraz było już za późno, teraz on już tu stał i się rozglądał. Niczego jednak nie skomentował, wnosiliśmy mebel po meblu, karton po kartonie, on cały czas żartował i śmiał się, co – jak się później okazało – miał w zwyczaju. Wyglądało na to, że nic

sobie nie robi z niskiego standardu, o którym nie mogłem przestać myśleć. Następnego dnia rozpakował i rozmieścił wszystkie swoje rzeczy, ale po wejściu do jego mieszkania natychmiast rzucała się w oczy jakaś niespójność, jakiś zgrzyt, jak na widok starego mężczyzny w nowiutkiej dyskotece, staruszki umalowanej i ubranej jak młoda dziewczyna, spróchniałego zęba pokrytego świeżą białą emalią.

Ale on dobrze się tu czuł. Polubiłem go. Miło było myśleć, że jest obok, po drugiej stronie korytarza, miło było natykać się na niego rano i wieczorem, w pewnym sensie już nigdy nie pozostawałem zupełnie sam, mimo że tak naprawdę nie mieliśmy ze sobą zbyt wiele wspólnego.

Kilka tygodni później zorientowałem się, że mieszkanie pode mną jest wolne. Powiedziałem o tym Espenowi, z którym tej zimy spędzałem coraz więcej czasu, i zaproponowałem, żeby zadzwonił do właściciela, czyli do banku, i spytał, czy nie mógłby go wynająć. W banku wyrażono zgodę i zaledwie kilka dni później zostaliśmy sąsiadami. Espen był skromnym typem, chodził po mieście i przeszukiwał kontenery ze starymi meblami, a tym, co znalazł, urządził całe mieszkanie, identyczne jak moje, z tym wyjątkiem, że całkowicie oddzielone od tego za ścianą i że jego toaleta znajdowała się na korytarzu, ale była równie zimna i pełna przeciągów, jak wszystkie studenckie toalety w tym mieście, w którym od początku lat czterdziestych nie przeprowadzono generalnego remontu chyba ani jednego mieszkania. Stolik zrobił z pustaków, na których położył kawałek sklejk, reszta mebli była stara, ale w pełni funkcjonalna, i mieszkanie robiło po wejściu całkiem fajne wrażenie, do czego przyczyniały się głównie książki, które zaczął gromadzić.

Tak to wyglądało. Miałem dwadzieścia jeden lat, studiowałem literaturoznawstwo na poziomie podstawowym, miałem nieznanego współlokatora za ścianą, pod podłogą przyjaciela, którego jeszcze niezbyt dobrze znałem, i dziewczynę. Nic nie umiałem, ale coraz lepiej szło mi udawanie, że umiem. Miałem brata, który pozwalał mi wchodzić w swój świat. No i byli jeszcze Jon Olav i Ann Kristin, z nimi też spotykałem się od czasu do czasu, oraz Kjar-tan, który po śmierci babci przeprowadził się do Bergen i zaczął studia. Wpadaliśmy niekiedy na siebie w stołówce w Centrum Studenckim, gdzie się wyróżniał, siwowłosa czterdziestolatek, sam przy stoliku, ze wszystkich stron otoczony młodymi ludźmi. Widywałem go też w bufecie na Sydneshaugen, zdarzało się, że siedział z ludźmi z wydziału, oczywiście również młodymi, i za-

uważyłem, że ogień, który płonął mu w oczach, gdy rozprawiał o filozofach w domu w Sørbøvåg, że ten ogień zgasł. Ciągłe liczyli się Heidegger i Nietzsche, przedsokratycy i Hölderlin, przynajmniej podczas rozmów ze mną, ale nie wiązała się już z nimi przyszłość, tak jak wtedy, gdy życie Kjartana koncentrowało się wokół tego jednego rozpalającego go punktu.

Ja też nie miałem żadnej przyszłości. Nie dlatego, by nie istniała, po prostu nie umiałem jej sobie wyobrazić. Sterowanie przyszłością, kształtowanie jej według własnej woli w ogóle pozostawało poza horyzontem moich myśli. Liczyła się wyłącznie trwająca akurat chwila, przyjmowałem to, co przychodziło, i działałem, kierując się przesłankami, których sam nie znałem, ani trochę nie zdając sobie sprawy, że tak jest. Próbowałem pisać, ale mi nie szło, wszystko się rozsypywało już po paru zdaniach, nie miałem w sobie tego, co potrzebne. Espen natomiast był poetą całym umysłem i całą duszą. Oczywiście dostał się do Akademii Sztuki Pisania, i to w pełni zasłużenie, bo w tym, co robił, nie było żadnego fałszu, nie dostrzegałem u niego żadnych brudnych motywów, kierowała nim szczerłość, chodziło mu wyłącznie o literaturę.

Odkąd zamieszkał pode mną, spędzaliśmy razem dużo czasu. Jeśli miał ochotę na towarzystwo albo ugotował coś, czego, jego zdaniem, powinienem spróbować, a zdarzało się to często, bo w kuchni był równie skłonny do eksperymentów i miał taką samą świadomość składników jak w poezji, stukał w sufit kijem od szczotki, wtedy schodziłem do niego. Graliśmy w szachy, słuchaliśmy trochę jego płyt jazzowych, a trochę zespołów, które ja proponowałem, bo jeśli chodziło o pop i rock, mieliśmy mniej więcej podobne preferencje i po nas obu było znać, że dorastaliśmy w połowie lat osiemdziesiątych. Sporo słuchaliśmy postpunku, lecz również bardziej rytmicznych bandów, takich jak Happy Mondays, Talking Heads, Beastie Boys; Espen lubił tańczyć, w co być może trudno było uwierzyć na pierwszy rzut oka, i mało co rozpałało go bardziej niż porywająca muzyka. Ale przede wszystkim rozmawialiśmy. Obaj dużo czytaliśmy, różnych autorów, i gadaliśmy głównie o tym, czy też raczej od tego wychodziliśmy, bo również nasze własne doświadczenia wplatały się w rozmowy, które niekiedy nie miały końca, potrafiliśmy przegadać noc i kontynuować tego samego dnia po południu, bez żadnego przymusu czy sztuczności, obaj byliśmy żądni wiedzy, u obu głód uczenia się dosłownie pulsował w ciele, obaj czerpaliśmy radość z posuwania się do przodu, bo właśnie to się działo, popychaliśmy się nawzajem, jedno prowadziło do drugiego,

i nagle słyszałem, jak zaczynam mówić o czymś, o czym nigdy wcześniej nie pomyślałem, skąd się to brało?

Byliśmy nikiem, dwoma młodymi chłopakami, studentami literaturoznawstwa, którzy prowadzili rozmowy w rozsypującym się domu w niewielkim mieście na obrzeżach świata, w miejscu, gdzie nic znaczącego nigdy się nie zdarzyło i przypuszczalnie nigdy nie miało się zdarzyć, ledwie zaczęliśmy żyć i nie wiedzieliśmy nic o niczym, ale nasze lektury dotyczyły najistotniejszych rzeczy i zostały napisane przez najbardziej znaczących myślicieli i pisarzy zachodniej kultury, więc w zasadzie należało uznać za prawdziwy cud, że wystarczyło wypełnić rewers w bibliotece i uzyskiwało się dostęp do tego, co Platon, Sofoklesa, Owidiusza, Lukrecjusza czy do Dantego, Vasariego, Leonarda da Vinci, Montaigne'a, Szekspira, Cervantesa albo do Kanta, Hegla, Kierkegarda, Nietzschego, Heideggera, Lukácsa, Arendt, lub też do tych tworzących w naszych czasach: Foucaulta, Barthes'a, Lévi-Straussa, Deleuze'a, Serres'a. Nie mówiąc już o milionach powieści, dramatów i tomów wierszy. Wystarczył jeden rewers i kilka dni. Żadnej z tych książek nie czytaliśmy po to, aby móc zaprezentować jej treść, tak jak było z pozycjami z listy lektur szkolnych, czytaliśmy je dlatego, że coś nam dawały.

Czym było to coś?

W moim wypadku chodziło o to, że coś się przede mną otwierało. Cały mój świat składał się z wielkości, które uznawałem za oczywiste i niepodważalne, za coś w rodzaju gór i skał umysłu. Taką wielkością była eksterminacja Żydów, inną na przykład epoka oświecenia. Potrafiłem je opisać, miałem ich wyraźny obraz, podobnie jak wszyscy, ale nigdy o nich nie myślałem, nigdy nie zadałem sobie pytania, jaki kontekst umożliwił ich zaistnienie, dlaczego pojawiły się akurat wtedy, a nie kiedy indziej, a już na pewno nie pytałem, czy istnieje między nimi jakiś związek. Gdy tylko zacząłem czytać książkę Horkheimer'a i Adorna *Dialektyka oświecenia*, z której, co prawda, niewiele rozumiałem, coś przede mną otworzyła: dotarło do mnie, że jeśli coś mogło wyglądać w dany sposób, to mogło również wyglądać inaczej, słowa traciły wagę, nie istniało nic takiego jak „eksterminacja Żydów”, bo to, co owo pojęcie obejmowało, było aż do zawrotu głowy skomplikowane, od grzebienia w kieszeni zakietu leżącego na stosie w magazynie – ten grzebień należał do małej dziewczynki, w jej wypadku w wyrażeniu „eksterminacja Żydów” zawiera się

całe jej życie – aż po wielkie pojęcia, takie jak zło, obojętność, wina, wina zbiorowa, odpowiedzialność jednostki, człowiek masowy, produkcja masowa, zagłada masowa. W ten sposób następowała relatywizacja świata, lecz stawał się on również prawdziwszy: kłamstwa, nieporozumienia czy brak wiarygodności tkwiły w wyobrażeniach o rzeczywistości, nie w samej rzeczywistości, która była nieosiągalna dla języka.

Espen potrafił na głos przeczytać napisany przez Leonarda da Vinci fragment o ruchach dłoni i rzecz najprostsza z prostych, najbardziej oczywista z oczywistych, przestawała być prosta i oczywista, ukazywała się jako misterium, którym w istocie była.

Tak, czytaliśmy sobie na głos. Głównie Espen – potrafił się poderwać w trakcie rozmowy, wrócić z książką i zacząć ją czytać – ale także ja, gdy z rzadka znalazłem coś, co uznałem za wartościowe również dla niego. W naszej relacji brakowało pełnej równowagi, Espen prowadził, szedł na czele, ja za nim, i zawsze mnie cieszyło jego zadowolenie z czegoś, co powiedziałem, lub wyraźne zainteresowanie. To mnie podkręcało, dalsza część rozmowy wypadła wtedy lepiej, bo czułem się swobodniejszy, natomiast kiedy nie reagowałem, co również się zdarzało, wycofywałem się, wstrzymywałem, stale kierowany jego nastrojami, chociaż on nigdy nie przykładął takiej wagi do moich myśli i opinii; jeśli się ze mną nie zgadzał, mówił o tym wprost, przyjmował to jako wyzwanie, ale nie wiązał tego z własnymi możliwościami, nie wąpił w swoje zdolności tak jak ja.

Nie mogliśmy rozmawiać jedynie o tym, co się dzieje między nami. Nigdy nie usłyszał ode mnie, że nie mogę nic więcej dodać na dany temat, ponieważ jego brak reakcji wprawiał mnie w niepewność co do siebie samego, nie usłyszał, że jestem tylko Zeitblomem, on natomiast – Leverkühnem, że jestem skazany na rolę literaturoznawcy, czy też literata piszącego o kulturze, on zaś na bycie tym, kim już się stał: poetą, lirykiem, pisarzem.

Nie było w Bergen dwojga ludzi bardziej sobie dalekich niż Espen i Gunvor. Mnie w każdym razie nikt taki nie przychodził do głowy. Ich przebywanie w jednym pomieszczeniu kompletnie nie miało sensu, nigdy nie wyszli poza poziom kurtuazyjnych pozdrowień, nie mieli sobie nic do powiedzenia, ani trochę się sobą nie interesowali. Wiodłem więc życie na dwóch ścieżkach, które nigdy się ze sobą nie zbiegały, jedna to była Gunvor, z nią łączyły się bli-

skość, przebywanie ze sobą i wspólne robienie różnych rzeczy, kochanie się, jedzenie śniadania, odwiedzanie jej przyjaciół, oglądanie filmów, spacer, gadanie o tym, co w danej chwili przyszło nam do głowy, a wszystko to mocno związane z naszymi ciałami, na przykład z zapachem jej włosów, smakiem skóry, uczuciem, które ogarniało nas, gdy leżeliśmy w łóżku, dotykając się biodrami, i paliliśmy, innymi słowy – wspólne życie. Rozmawialiśmy o braciach i siostrach, o rodzicach i przyjaciółach, nigdy o teorykach czy teoriach, a gdy poruszaliśmy temat związany z uniwersytetem, była to na przykład opowieść o kimś, kto zasnął w czytelni, czego raz Gunvor była świadkiem, chłopak obudził się gwałtownie, a kiedy się zerwał, żeby wyjść, upadł. Zaczął krzyczeć: Jestem sparaliżowany! Jestem sparaliżowany! – ale zaraz odzyskał władzę w nogach, które mu tylko zdrętwiały, i wstał z baranią miną, bo wszyscy wokół się śmiali, również Gunvor, sądząc po tym, jak się zaśmiewała, opowiadając mi tę historię.

Także Yngve i Espen nie mieli sobie nic do powiedzenia, więc również niechętnie widziałem ich wspólne spotkania, a ten rozdzźwięk był już trudniejszy, bo różnice między Espenem a Gunvor dawało się wytłumaczyć pierwiastkiem męsko-damskim – ona była moją dziewczyną, on przyjacielem – a zatem rzeczą w miarę naturalną, z którą można się pogodzić, natomiast różnice między Yngvem a Espenem polegały na czymś innym. Zdarzało mi się oczami Yngvego patrzeć na to, co robimy z Espenem, przeobrażaliśmy się wtedy w dwóch nerdów, którzy stroną od ludzi, czytają sobie na głos, grają w szachy i słuchają jazzu, tak dalecy od życia społecznego, od towarzystwa, od zespołów, dziewczyn i wieczorów na mieście, jak to tylko możliwe. Yngve widział, że jeśli o mnie chodzi, to nie jest prawda, i to jego spojrzenie mnie nie opuszczało, przecież byłem zupełnie zwykłym chłopakiem, który lubił piłkę nożną i muzykę popową, więc po co się tak kreować na intelektualistę i epatować całą tą modernistyczną literaturą dla elit? Ale istniała również druga strona medalu: słowa Yngvego nie zawsze już brzmiały w moich uszach równie przekonująco, były to jednak myśli tak przykre, że zaraz od nich uciekałem.

Tej wiosny parę razy spotkałem się z Kjartanem i zauważyłem, że coś się z nim dzieje. Chociaż mówił tyle co kiedyś, gdzieś jednak przepadł jego dawny żar, a w spojrzeniu dostrzegałem zniechęcenie, którego nie widziałem u niego wcześniej. Pewnego wieczoru zadzwoniła mama i powiedziała, że Kjartana

zabrali na oddział psychiatryczny, popadł w psychozę, sytuacja była poważna, zdemolował całe mieszkanie, zniszczył wszystkie sprzęty, telewizor wyrzucił przez okno, więc ktoś wezwał karetkę. Teraz był w Førde, w tamtejszym szpitalu, a mama, Ingunn i Kjellaug, jego trzy siostry, usiłowały poruszyć niebo i ziemię, aby zajęto się nim jak najlepiej. Mama szalała z niepokoju. Stan psychozy mógł być długotrwały, do Kjartana wciąż nie dało się dotrzeć.

Kiedy na egzaminie w maju podano tematy, okazało się, że wśród nich znalazł się Dante. Kilka osób odwróciło się wtedy do mnie, bo reklamowałem się jako fanatyk Dantego, stałem się wręcz ekspertem od Dantego, więc o większym szczęściu nie mogłem marzyć.

Ale o pieśni, której analizy mieliśmy dokonać, nigdzie nie czytałem, więc zamiast pisać konkretnie o tym fragmencie, mówiącym o dwojgu kochanków, którzy nigdy się do siebie nie zbliżą, bo unoszą się w powietrzu, w miotanej wichrem niczym stado ptaków gromadzie grzeszników, najlepiej, jak umiałem, odtworzyłem swoją poprzednią pracę o Dantem, niemal słowo w słowo, a jedynie na początku i na końcu umieściłem dość mgliste nawiązanie do tej konkretnej pieśni. Espen również wybrał Dantego, uważał, że nie poszło mu najlepiej, ale też nie bał się katastrofy.

Gdy na tablicy przed uniwersytetem wywieszono wyniki, okazało się, że dostałem zaledwie 2,4^[23]. To była dobra ocena, całkiem do zaakceptowania, ale daleka od tej, której się spodziewałem i na którą miałem nadzieję. Chciałem być co najmniej najlepszy na roku. Espen natomiast dostał 2,2, jedną z najwyższych ocen wystawionych w tym semestrze na wydziale. Rozumiałem dlaczego: pisał o tym konkretnym tekście, przeczytał go i odniósł się do niego osobiście, ja natomiast nawlokłem na ów tekst gotowca, całkowicie go przy tym przesłaniając.

Dostałem, na co zasłużyłem, ale trudno mi było to przełknąć; w moim przekonaniu jedynym usprawiedliwieniem wyboru tych studiów miało być to, że okażę się najlepszy. Jaki jest sens być przeciętnym literaturoznawcą? Po prostu żaden.

Zdecydowałem, że obowiązkowy kurs filozofii odłożę na później i od razu przejdę na studia na poziomie średnio zaawansowanym, żeby bezpośrednio wziąć rewanż, Espen zamierzał przecież uczyć się w Akademii Sztuki Pisania,

nie mógł mi zatem zagrozić, z czego bardzo się cieszyłem. Wygrał ten konkurs, chociaż wcale nie brał w nim udziału, więc nie dało się przygotować odpowiedniej obrony.

Miałem przed sobą lato i jak zwykle nie wiedziałem, co robić ani gdzie się podziąć. Byłem pewien tylko jednego, a mianowicie, że muszę zarobić jakieś pieniądze. Gunvor, która zamierzała całe wakacje pracować w domu starców, zaproponowała, żebym spróbował się zatrudnić w zakładzie dla upośledzonych umysłowo, znajdującym się między Haugesund a jej rodzinną miejscowością, znanym wśród studentów jako miejsce, w którym zawsze potrzebne są ręce do pracy. Wiedziała, że dwie osoby z jej kierunku miały tam być zaangażowane na całe lato, a też nie pochodziły z tego regionu, i zapewniono im mieszkania w pokojach przy miejscowej szkole, którymi dysponowała gmina.

Zadzwoiłem tam, powiedziałem, że już wcześniej pracowałem w podobnym zakładzie opiekuńczym, a oprócz tego przez rok jako nauczyciel, i kobieta, z którą rozmawiałem, zdecydowała, że przyjmą mnie na sześć tygodni. W połowie czerwca spakowałem więc torbę i wsiałem do autobusu jadącego na południe. Kiedy kilka godzin później wysiadłem w gminnej wiosce, zobaczyłem uśmiechniętą Gunvor opartą o samochód swojego ojca. Zdjęła ciemne okulary, uściskaliśmy się.

– Stęskniłam się za tobą. – Stanęła na palcach, żeby mnie pocałować.

– A ja za tobą.

Domy wokół nas były pomalowane na biało, morze za nimi niebieskie, las ze wszystkich stron zielony, zalany blaskiem słońca. Wsiedliśmy do samochodu, pierwszy raz jechałem z Gunvor jako kierowcą i na moment ogarnęło mnie poczucie niższości – ona umiała prowadzić, ja nie. Wieczny pasażer, teraz również w samochodzie swojej dziewczyny.

– To daleko? – spytałem, przesuwając siedzenie do tyłu, żeby mieć więcej miejsca na nogi.

– Trzy kilometry. Rodzice czekają na nas z obiadem. Denerwujesz się?

– Nie – odpowiedziałem. – Nie powinno być źle.

Uśmiechnęła się do mnie i dalej patrzyła przed siebie. Miała w sobie tyle radości, widocznej nie tylko w uśmiechu i spojrzeniu, całe jej ciało wydawało się nią przepełnione. Nawet w trakcie prowadzenia samochodu dosłownie

promieniała z radości.

Po drodze objaśniała mi, co widać dookoła. Tam jest szkoła, tam mieszka jej najlepsza przyjaciółka, tam jest stok narciarski, a tam pierwszy raz się całowała... Po kilku minutach zwolniła i skręciła na szutrową drogę, minęliśmy pola, kilka pomalowanych na biało dużych, starych domów, a u stóp łagodnego wzgórza, koło lasu, tuż nad fiordem stał dom jej rodziców.

– To tutaj – oznajmiła. – Prawda, że ładnie?

– Przepięknie.

Gunvor zaparkowała, wysiedliśmy i ruszyłem za nią do drzwi, które właśnie otworzyła jakaś kobieta, najpewniej jej matka.

– Dzień dobry, zapraszam – uśmiechnęła się.

Uścisnąłem jej wyciągniętą rękę.

– Dzień dobry, dziękuję – powiedziałem.

– Jak miło, że wreszcie nas odwiedziłeś.

– Ja też się cieszę, że tu jestem. Tyle słyszałem o tym miejscu.

– Taty nie ma? – spytała Gunvor.

– Nie, nie ma – odparła matka. – Myślę, że siądziemy do stołu, kiedy wróci.

– No to pokażę ci, gdzie będziesz nocował. – Gunvor wzięła mnie za rękę. – Chodź!

Korytarzem przeszliśmy przez dom, ciemny i chłodny, do pokoju na samym końcu, w którym odstawiłem torbę i popatrzyłem na Gunvor. Usiadła na nieskazitelnie zaścielonym łóżku i przyciągnęła mnie do siebie. Przed przyjazdem ostrzegła mnie, że nie ma mowy o spaniu w jednym pokoju.

– Nie możesz przyjść do mnie w nocy? – spytałem. – Przekraść się po cichu?

Pokręciła głową.

– Nie wtedy, kiedy rodzice będą w domu. Ale jutro rano wychodzą. Wtedy przyjdę.

Kiedy usiedliśmy do stołu, ojciec Gunvor złożył ręce i odmówił krótką modlitwę. Matka i Gunvor modliły się razem z nim. Zażenowany, położyłem ręce na kolanach, aby nikt nie mógł zobaczyć, czy są złożone, czy nie, i tak jak oni spuściłem wzrok.

– Amen – powiedzieli chórem i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki sytuacja kompletnie się odmieniła. Ręce sięgały po półmiski, padały pytania, na które udzielano odpowiedzi, przeżuwano i przełykano jedzenie, rozlegały się śmiechy, zapanowała wesołość. Jak zawsze, gdy byłem z ludźmi, których nie znałem, starałem się być na nich otwarty. Na matkę, która miała pogodne usposobienie, ale nieustająco taksowała mnie wzrokiem, na ojca, nieco mroczniejszego, mocnego i solidnego, na Gunvor, która znalazła się między nimi a mną, pełna obaw zarówno o to, co sobie o nich pomyśle, jak i o to, co oni pomyślą o mnie. Odpowiadałem na pytania, które mi zadawali, usiłowałem okazywać uprzejmość i życzliwość, jakby przelewać w nich to, co, jak sądziłem, chcieli dostać. Kiedy pojawiała się coś sygnalizującego pewien niedostatek, na przykład nagła chwila milczenia czy mina, w której dopatrywałem się potępienia, dolewałem jeszcze większą porcję poprawności.

Po obiedzie zeszliśmy we dwoje nad fiord, żeby się wykapać.

– No i jak? – spytała Gunvor, łapiąc mnie za rękę. – Przeżyłeś szok, kiedy usłyszałeś modlitwę przy stole?

– Nie, skąd, ale trochę się zdziwiłem. Miałem wrażenie, że twoi rodzice są o jedno pokolenie starsi od moich.

– Bo prawie tak jest. Co o nich myślisz?

– Są okej. Chyba mają zupełnie inny temperament niż moi, ale mimo wszystko utrzymują się w obrębie tych samych granic, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Chyba tak. – Spojrzała na mnie. – Dziwnie się czuję, kiedy tu jesteś.

– Ja trochę też.

Razem umyliśmy zęby w łazience, pocałowaliśmy się na dobranoc i rozeszliśmy do swoich sypialni. Zaczęło padać. Leżałem, wsłuchując się w lekki szmer deszczu, który chwilami ginął w szumie wiatru przelatującego przez las. Z salonu dobiegało tykanie zegara, o każdej pełnej godzinie uruchamiał się mechanizm wahadła i rozlegało się delikatne bicie. To był dom, w którym wszystko funkcjonowało jak należy, w którym żyło się przyzwoicie, tak to odbierałem. Lepiej zrozumiałem Gunvor, gdy to zobaczyłem. Była studentką, miała swoje życie w Bergen, lecz uczestniczyła również w tym, w którym się wychowała, lojalna wobec rodziców, zarazem bliska im i daleka. Kiedy tu

przyjechałem, wyraźnie odczułem, że jestem fałszywy i zły, bo ich oszukuję. Jej było to kompletnie obce.

Zegar wybił dwunastą. Ktoś się kręcił po korytarzu, otworzyły się i zamknęły jakieś drzwi, zaszumiała woda w klozecie. Uświadomiłem sobie, że bardzo lubię przebywać w cudzych domach, zawsze to lubiłem, chociaż jednocześnie to, co w nich widziałem, potrafiło mi się wydać nie do zniesienia, może dlatego, że widywałem rzeczy nieprzeznaczone dla moich oczu. Intymność, gesty charakterystyczne wyłącznie dla gospodarzy tych miejsc. Miłość i bezradność w zwyczajnych czynnościach, na ogół ukrywanych przed wzrokiem innych, drobiazgi, nic nieznaczące detale, rodzinne nawyki, porozumiewawcze spojrzenia. Wielka była delikatność tej materii. Nie dla nich, bo oni wśród tego żyli, więc nie wydawało im się to wcale delikatne, stawało się takie dopiero w momencie, gdy patrzył na nich ktoś obcy. Obserwując ich, czułem się jak intruz, nie miałem prawa tego widzieć, a jednocześnie przepęłniała mnie czułość.

Zegar szykował się do nowego uderzenia. Otworzyłem oczy. Nie zanosilo się na to, że prędko zasnę. Drzewa za oknem były czarne, ciemność między nimi blada, przestało padać, ale w lesie stale hulał wiatr, rozchodził się w powietrzu jak fale.

Pierwsza.

Przypomniał mi się tamten jeden jedyny raz, kiedy byłem w szpitalu jako dziecko. Złamałem obojczyk, aż płakałem z bólu, ale nie rozumiałem, że stało się coś złego, i dopiero wieczorem poskarżyłem się mamie, a ona zawiozła mnie do lekarza w Kokkeplassen, gdzie pracowała, do rudego, piegowatego młodego mężczyzny, który stwierdził, że kość najprawdopodobniej jest złamana, i wysłał nas do szpitala na prześwietlenie. Kiedy już miałem za sobą rentgen, tamtejszy lekarz powiedział, że mogę przenocować w szpitalu. O niczym innym nie marzyłem, to byłaby prawdziwa przygoda, coś, czym mógłbym się pochwalić przed kolegami. Ale gdybym się zgodził, mama gotowa byłaby pomyśleć, że wolę spać w szpitalu niż w domu, i pewnie zrobiłbym jej przykrość, więc pokręciłem głową i oświadczyłem, że wolę wracać. Przyznał, że oczywiście świetnie to rozumie, mocno obandażował mi barki w ósemkę i życzył szybkiego powrotu do zdrowia, kiedy stamtąd wychodziliśmy.

Nawet wtedy czułem się jak oszust, byłem kimś, kto snuje myśli, które nie przychodzą do głowy nikomu innemu i o których nikt inny nie może się dowie-

dzieć. Wtedy uświadomiłem sobie istnienie swojej odrębności, tego czegoś we mnie, co wiedziało o czymś, czego nie wiedzieli inni i czym nigdy nie mógłbym się z nikim podzielić. Owo poczucie osamotnienia wciąż w sobie nosiłem i od tamtej pory chwytałem się go zawsze, ponieważ było jedyną rzeczą, jaką naprawdę miałem. Dopóki tak czułem, nikt nie mógł mnie skrzywdzić, bo to nie mnie prawdziwego krzywdzono, tylko kogoś innego. Tej samotności nikt nie mógł mi odebrać. Świat był przestrzenią, w której się poruszałem, mogło w niej dochodzić do przeróżnych wydarzeń, ale w przestrzeni, którą skrywałem w sobie, tej, która była mną, zawsze wszystko pozostawało niezmiennie. W tym tkwiła cała moja siła. Jedyną osobą, która potrafiła odnaleźć do niej drogę, był tata. I odnajdywał, bo śniło mi się, że stoi w środku mojej duszy i na mnie krzyczy.

Dla innych pozostawałem nieosiągalny. Owszem, w myślach do mnie docierali, moje myśli każdy był w stanie złamać, ale ile warte są myśli? Czym jest świadomość, jeśli nie powierzchnią morza duszy albo małymi kolorowymi łódkami unoszącymi się na wodzie, plastikowymi butelkami, kawałkami drewna, falami i prądami, czy co tam w świetle dnia wypłynie na samą górę głębi, mierzącej kilka tysięcy metrów?

Chociaż głębia to złe porównanie.

Czym jest świadomość, jeśli nie snopem światła kieszonkowej latarki w ciemnym lesie?

Zamknąłem oczy i przewróciłem się na bok. Za sześć czy siedem godzin przyjdzie Gunvor, tak się stęskniłem za jej ciałem, za możliwością dotknięcia jej skóry. Już tak dawno się nie kochaliśmy, że niczego bardziej nie pragnąłem. Bylebym tylko teraz zasnął, powtarzałem w myślach, to następną rzeczą, jaką poczuję, będzie jej bliskość. Ale nie mogłem zasnąć. Zapadłem w drzemkę pełną żądz i wyczekiwania, to było nieznośne, pragnąłem jej, spałem, jednocześnie rejestrując uderzenia zegara. Ach, dopiero druga, dopiero trzecia, dopiero czwarta... Kiedy drzwi wreszcie się uchyliły i Gunvor wsunęła się do łóżka obok mnie, z typowym dla siebie zapachem pomieszanym z nieśmiałością, musiałem wynurzyć się ze snu tak głębokiego, że wszystko, co działo się później, przypominało raczej fantazje.

Zjedliśmy śniadanie, a gdy Gunvor – tak jak jej matka – wzięła się do zmywania zaraz po posiłku, wyszedłem na podwórze z filiżanką kawy w rękę i za-

pałłem papierosa. Przyszła też ona i usiadła na schodach, mrużąc oczy przed słońcem, które stało już wysoko na niebie.

– Jeszcze nie widziałeś, jak jeżdżę na koniu – powiedziała. – Moim zdaniem to skandal.

– A nie widziałem czegoś takiego przed chwilą? – zażartowałem.

Zaczerwieniła się leciutko i spuściła wzrok, ale zaraz spojrzała na mnie z uśmiechem.

– To był słaby dowcip, Karl Ove.

– Nie mogłem się powstrzymać.

– Mówiłam poważnie. Pójdiesz ze mną? Jeśli chcesz, sam też możesz pojechać.

– Nigdy w życiu. Za to na ciebie chętnie popatrzę.

Pół godziny później szliśmy pod górę, Gunvor niosła siodło. Zatrzymaliśmy się przy ogrodzeniu, wolno przyczłapał do nas fiording, konik islandzki, Gunvor wyciągnęła rękę i coś do niego powiedziała, dotknął pyskiem jej dłoni, pogłaskała go, zarzuciła mu siodło, podciągnęła się i go dosiadła. Wkrótce jeździła po zielonej łące zalanej słonecznym światłem, a ja robiłem jej zdjęcia. Od czasu do czasu klaskałem, żeby ją rozśmieszyć; ta sytuacja miała w sobie coś wymuszonego, Gunvor naprawdę chciała mi pokazać, jak jeździ konno, chociaż jednocześnie się tego wstydziła, nie lubiła wystawiać się na pokaz, ale poszło dobrze, to były szczęśliwe chwile. Kiedy w końcu zeskoczyła przy mnie na ziemię, cała aż promieniała.

– Powinnaś pracować w cyrku – stwierdziłem i zrobiłem jej zdjęcie, kiedy stała, trzymając w jednej ręce cugle, a w drugiej marchewkę.

– Kiedyś musisz się ze mną wybrać na pokaz ujeżdżania islandzkich koni – powiedziała. – Najlepiej na Islandii.

– Chyba ci się przewróciło w głowie. Ciesz się, że przyciągnęłaś mnie tutaj.

– To dopiero początek. Kiedy się z tobą uporam, będziesz prawdziwym *hestamaður*!

– Koniarzem?

– Mniej więcej. W każdym razie na Islandii to zaszczytne określenie.

– Nie wątpię.

– Niedawno wpadłam na pewien pomysł. Pomyślałam, żeby średni poziom

studiów zaliczyć na uniwersytecie w Rejkiawiku. Pojedziesz ze mną, jeśli się na to zdecyduję?

– Tak.

– Naprawdę? Mówisz serio?

– Tak.

Wieczorem odwiozła mnie do miasteczka, w którym miałem spędzić następnych sześć tygodni. Najpierw poszliśmy do zakładu opieki, położonego nieco poza centrum, i odebraliśmy klucz od mojego pokoju, a potem pojechaliśmy do internatu, czy co to było, stojącego na zboczu kilkaset metrów od przystani. Pokój z gołymi wygipsowanymi ścianami, błyszczące linoleum na podłodze, łóżko, szafa, sosnowy stolik, kącik kuchenny, nieduża toaleta z prysznicem.

– Właściwie muszę od razu wracać – oświadczyła Gunvor, stojąc w drzwiach, z kluczykami od samochodu w ręku.

– No to jedź – powiedziałem. – Widzimy się w przyszły weekend.

Pocałowaliśmy się pospiesznie i zaraz jej samochód ruszył, warkot uderzył o ścianę i zaczął cichnąć, aż w końcu ucichł całkiem.

Oblokłem w poszwę kołdrę, którą tu pożyczyłem, rozciągnąłem na łóżku prześcieradło, ułożyłem ubrania w szafie, a książki na biurku, i wyszedłem się przejść. Dotarłem na przystań w dole, gdzie oprócz kilku samochodów miejscowej młodzieży, zaparkowanych przy ulicznym barku, i niewielkiej grupy ludzi siedzących przy drewnianych stołach było zupełnie pusto. Ci młodzi mieli długie włosy, dżinsowe kurtki i kamizelki; jeden był w drewniakach. Gapili się na mnie, kiedy podszedłem bliżej. Zatrzymałem się na skraju nabrzeża i spojrzałem w wodę, zimną i przy murze zupełnie czarną. Z jednego z samochodów dochodziła muzyka, zobaczyłem, że ma otwarte drzwiczki. *Forever Young*. Jeszcze raz ominąłem tę grupę i poczłapałem do niewielkiego centrum, w którym oprócz sporego sklepu spółdzielczego i kiosku sieci Narvesen znajdowały się również mała galeria handlowa, chińska restauracja i garstka sklepików wzdłuż głównej ulicy. Nigdzie nie było żywej duszy, ale to akurat nie powinno dziwić w niedzielę o dziesiątej wieczorem.

Na drodze prowadzącej do internatu odwróciłem się i popatrzyłem na swoje nowe miejsce pracy, stąd widoczne jedynie w postaci kilku punktów świetlnych w lesie pod wznoszącym się stromo zboczem. Poczułem, że się trochę

boję. Nie tyle samej pracy, ile tych wszystkich ludzi, których będę musiał poznać, tych wszystkich sytuacji, kiedy będę musiał zaczynać od zera i robić dobre wrażenie.

Następnego dnia rano, świeżo wykąpany, zszedłem do centrum i przedostałem się na drugą stronę miasteczka, za rzekę, do lasu, tam gdzie wśród drzew stało osiem czy dziesięć budynków. Niebo było zachmurzone, powietrze ciepłe, stojące. Minął mnie autobus i zatrzymał się przy placyku do zawracania na końcu drogi, wysiadła z niego grupa ludzi, która ruszyła w stronę budynków. Poszedłem za nimi. Obserwowało nas dwóch pensjonariuszy, wyraźnie opóźnionych w rozwoju, odniosłem wrażenie, że stoją tu codziennie. Nikt nic nie mówił, tylko odgłos kroków niósł się powoli coraz dalej, otoczony ciszą lasu po obu stronach.

Najbliżej stał duży murowany budynek, w którym mieściła się administracja, wieczorem poprzedniego dnia odebrałem tu klucz. Nikt się przy nim nie zatrzymał, ludzie rozeszli się do innych budynków, otaczających wianuszkami ten główny. Wokół wąskich wyasfaltowanych ścieżek założono trawniki, teraz blade i wyschnięte. W zagłębieniu terenu zobaczyłem boisko do piłki ręcznej, otoczone jakby wałami z ziemi. Tu i ówdzie niczym wyspy rosły kępy drzew, kiedyś powiązane z lasem, który zaczynał się kilka metrów za budynkami.

Nie miałem pojęcia, co mnie tu czeka, dlatego się denerwowałem. Miałem się stawić na oddziale E, w budynku po lewej stronie. Tak jak inne był podłużny, pomalowany na biało, murowany i piętrowy. Miałem pracować na piętrze. Wejście znajdowało się z tyłu, przed nim, na asfaltowym placyku, parkowało kilka samochodów. Otworzyłem drzwi i wszedłem na korytarz, na którego końcu dostrzegłem schody. Rozpoznałem unoszący się tu zapach, taki sam jak w Szpitalu Psychiatrycznym w Eg, gdzie pracowałem trzy lata wcześniej, i taki sam jak w naszej podstawówce w latach siedemdziesiątych – mieszanek woni szarego mydła, piwnicy i kanalizacji – mroczny, wilgotny i podziemny, i to w miejscu, gdzie starannie utrzymywano czystość.

Pod ścianą stała ławka, nad nią na rzędki haczyków wisiały kurtki i nieprzemakalne spodnie. Pod drugą ścianą parkowały dwa wózki inwalidzkie, nad nimi znajdowały się wąskie okienka, umieszczone, w stylu lat pięćdziesiątych, na samej górze.

Wszedłem na piętro i znalazłem się w długim korytarzu z kilkorgiem drzwi

po obu stronach. Pod ścianą siedział mężczyzna i wpatrywał się we mnie z dzikością w oczach. Miał tylko kikuty nóg, chyba obciętych pod kolanami, poza tym wyglądał zupełnie normalnie. Wysokie czoło, rude włosy, blada skóra, pokryta piegami, potężna klatka piersiowa. Był ubrany w czerwone spodnie od dresu i biały T-shirt z logo bananów Dole.

– Cześć – przywitałem się.

Obrzucił mnie spojrzeniem pełnym pogardy, oparł się dłońmi o podłogę, przesunął między nimi dolną połowę ciała, uniósł ręce, przestawił je, jakby skakał, znów przesunął dolną połowę ciała i w ten niezwykły sposób zaczął sprawnie przemieszczać się korytarzem.

Z najbliższych drzwi wystawiła głowę jakaś kobieta, mniej więcej trzydziestopięcioletnia, miała ciemne kręcone włosy i lekko wysuniętą szczękę.

– Karl Ove? – spytała.

– Tak. Dzień dobry – powiedziałem.

– Jestem Marianne. Wejdz, siedzimy tutaj.

Wszedłem do niewielkiego pokoiku, w którym przy filiżance kawy siedział wąsaty mężczyzna ze śladami trwałej na włosach, w spodniach spadochronach i podkoszulku bez rękawów, a obok niego przygarbiona tęga kobieta w okularach, z żółtymi, trochę wystrzępionymi włosami, w dzinsowych spodniach i kurtce, może dwudziestopięcioletnia. Również przed nią stała filiżanka z kawą.

– Cześć – odezwał się mężczyzna. – Mam na imię Ove. To jest Ellen, a to Marianne. Marianne właśnie schodzi z dyżuru, więc będziesz tu dzisiaj z nami.

Kobieta o imieniu Ellen zapaliła papierosa.

Zdjąłem kurtkę, wyciągnąłem paczkę z tytoniem i usiadłem na kanapie.

– Pracowałeś tu już kiedyś? – spytał Ove.

Pokręciłem głową.

– Musisz po prostu robić to, co my, szybko się wciągniesz. Prawda, Marianne?

Spojrzał na nią i puścił do niej oko, a ona, wkładając kurtkę, uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Życzę wam miłego dnia – rzuciła i wyszła.

– Zapal sobie i zaczynamy – powiedział Ove.

Do pokoju wsunął się mężczyzna bez nóg i usiadł przy niskim stoliku jak pies, wpatrzony w Ovego.

– To jest Ørnulf – przedstawił mi go Ove. – Napijesz się kawy, Ørnulf?

Ten nie odpowiedział, tylko z sykiem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Oczy mu pałały. Cuchnął. Zapaliłem papierosa i usiadłem wygodniej. Ove podstawił filiżankę pod termos, napełnił ją dwoma długimi przyciśnięciami pompki, dolał mleka i podał Ørnulfowi, który chwycił ją w obie ręce i opróżnił trzema łykami. Odstawił filiżankę na stolik, przeciągle beknął, a potem znów po nią sięgnął i błagalnym gestem podsunął ją Ovemu.

– Nie, nie, dostałeś już dwie – zaprotestował Ove. – Musisz poczekać do śniadania.

Ørnulf odstawił naczynie i wysunął się z pokoju na korytarz, zajął miejsce pod ścianą po drugiej stronie, podłożył dłonie pod kikuty nóg i zaczął się w nas wpatrywać.

Nie umiał mówić? Czy nie chciał?

– Śniadanie jemy o ósmej – wyjaśnił Ove. – Potem czterech mieszkańców idzie na zajęcia, do swojej pracy, trzech zostaje tutaj. Jeden z nich, Are, wymaga obsługi, dwaj pozostali dają sobie radę sami, ale trzeba ich trochę pilnować. Ci z zajęć wracają tu na lunch. Inne rzeczy, które powinieneś wiedzieć, będziemy omawiać, w miarę jak będą się pojawiać, okej?

– Chyba rzeczywiście tak będzie najlepiej.

Sięgnął po książkę w zielonych okładkach, która leżała obok niego, otworzył ją. Widząc poliniowane, gęsto zapisane strony, domyśliłem się, że wpisuje się w nią raporty.

– Możesz też zajrzeć do tego – powiedział, patrząc na mnie.

Kiwnąłem głową.

Nie lubił mnie. Wyczułem to natychmiast. Wypowiadał przyjazne słowa, ale życzliwość w jego głosie wydawała się wymuszona, poza tym coś w jego postawie, a może w spojrzeniu czy w ogólnej aurze, mówiło mi, że już wyrobił sobie zdanie na mój temat i nie wypadłem korzystnie.

Ellen natomiast zachowywała kompletną obojętność.

Może była lesbijką?

– No dobrze. – Ove wstał. – Trzeba ich budzić. Chodź ze mną, poznasz tu-

tejszych mieszkańców.

Ruszyłem za nim korytarzem, w głębi po lewej stronie znajdowała się kuchnia, po prawej niewielka jadalnia, a jeszcze dalej były drzwi do biura z częściowo przeszkloną ścianą.

Ørnulf, który przemieszczał się za nami, zatrzymał się przy bramce do kuchni.

– On zawsze w tym miejscu czeka na jedzenie – wyjaśnił Ove. – Prawda, Ørnulf?

Ørnulf skrzywił się i odsłonił zęby, a jednocześnie głęboko wciągnął powietrze, wydając nieprzyjemny, świszczący syk.

Czyżby miało to oznaczać potwierdzenie?

– Kiedy wychodzimy na dwór, Ørnulf jeździ na wózku, ale w środku świetnie sobie radzi bez niego, prawda? – powiedział Ove, nie patrząc na Ørnulfa. – Zauważyłeś, że mamy zamykaną bramkę do kuchni? To ważne, żeby była zamknięta, kiedy nikogo z nas tam nie ma. Rozumiesz?

– Pewnie, oczywiście.

– No to możemy zacząć od Hansa Olava. Ma tu własne nieduże mieszkanie. – Otworzył drzwi na końcu korytarza. – Czasami bywa dość nieposkromiony, że się tak wyrażę, i właśnie dlatego mieszka sam. Rozumiesz? Ale to dobry chłopak.

Za drzwiami był niewielki przedpokój, w którym stał stół, i korytarzyk z trojgiem drzwi. Te najbliższe, otwarte, prowadziły do pokoju, gdzie w głębi leżał na łóżku i onanizował się mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna. Fiuta miał grubego i całkiem obwisłego. Ove zatrzymał się w drzwiach.

– Cześć, Hans Olav.

– Czepie ptaka! – wybełkotał Hans Olav.

– Nie, teraz nie – zaprotestował Ove. – Musisz wstać i się ubrać, bo będziemy jeść śniadanie.

– Ptaka! – powtórzył Hans Olav.

Miał okrągłą głowę, piwne oczy, duży, nieco spłaszczony nos, głębokie bruzdy na policzkach i był prawie łyсы. Na jego widok przeniknął mnie dreszcz, bo wyglądał identycznie jak stary Picasso na zdjęciach, które widziałem.

- To jest Karl Ove – przedstawił mnie Ove. – Będzie u nas pracował latem.
- Cześć – przywitałem się.
- Pomóc ci wstać? – spytał Ove.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do Hansa Olava, obiema rękami złapał go za ramię i podniósł do pozycji siedzącej. Hans Olav, lekko zirytowany, odtrącił go, ale bez agresji, tak jak się strąca muchę, powoli wstał, chwycił spodnie i je wciągnął. Był ode mnie wyższy, a więc mierzył blisko dwa metry, ale wydawał się słaby i chyba z trudem łapał równowagę.

– Hans Olav je śniadanie tutaj, razem z kimś z personelu – tłumaczył Ove. – Dzisiaj ja z nim zostanę. Ale jutro ty będziesz mógł się tym zająć.

- Dobrze – powiedziałem.

Poszliśmy na oddział, Hans Olav, zgarbiony, szedł szybko chwiejnym krokiem, bezustannie poruszał palcami tuż pod brodą, a trzykrotnie zauważyłem, jak nagle wyciąga rękę i uderza nią w ścianę, cały czas śmiejąc się cicho do siebie. Ørnulfa wyminął szerokim łukiem, jakby się go bał, i wszedł do jednego z pomieszczeń.

Ove otworzył najbliższe drzwi; siedzący na łóżku starszy mężczyzna właśnie się ubierał. Miał okulary, pełne wargi i łysinę na czubku głowy, trochę zakrytą zaczesanymi z boku włosami, wyglądem przypominał młodszego księgowego albo ekspedienta w magazynie z materiałami budowlanymi, lub może – czemu nie? – nauczyciela prac ręcznych.

- Już wstałeś! – powiedział Ove. – Świetnie, Håkon!

Håkon skromnie, po dziewczęcemu spuścił wzrok. Na pomarszczonych policzkach ukazał się delikatny rumieniec.

- Dziękuję – wymamrotał.

W następnym pokoju siedział na łóżku starszy mężczyzna i wrywał zdjęcia z tygodników. Mógł mieć sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć lat, wianuszek siwych włosów otaczał łysą poza tym czaszkę. Na plecach miał wielki garb, szeroki i tak spłaszczony na górze, że dałoby się na nim postawić tacę.

- Jak się masz, Kåre? – spytał Ove.
- Hou, hou! – Kåre wskazał na drzwi.
- Tak, niedługo śniadanie. Zawołam cię, jak będzie gotowe.

Pokoje wyglądały mniej więcej tak jak w domu starców, niektóre rzeczy, na

przykład koce czy obrusy, były typowe dla zakładów opieki, na ścianach wisiły zdjęcia z Ikei, można było dostrzec nieliczne osobiste drobiazgi – fotografie w ramkach na stoliku, jakieś ozdóbki, czasem sztuczną roślinę na parapecie.

Szliśmy korytarzem, dopóki nie zbudziliśmy wszystkich. Niektórzy spali, inni już nie, jeden z pensjonariuszy, Egil, nakrzyczał na nas za to, że go budzimy. Byli to sami mężczyźni, w wieku od czterdziestu do sześćdziesięciu kilku lat, z wyjątkiem tego, który wymagał opieki, a którym zajmowała się Ellen, on nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć. Wyróżniał się także pod innymi względami, był całkowicie sparaliżowany, pótleżał na ogromnym wózku inwalidzkim, nosił pieluchę i musiał być karmiony, a oczy miał zupełnie puste, nie było w nich śladu osobowości, były tylko organami wzroku. Kiedy go zobaczyłem, aż przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz. Rysy miał regularne i mógłby być całkiem ładny, gdyby nie stale otwarte usta i ślina ciekąca z kącików. Niekiedy wydawał z siebie głuchoe dźwięki, lecz o ile mogłem się zorientować, nie miały one żadnego związku z sytuacją, a przynajmniej ja takiego związku nie zauważyłem.

Ostatni był pokój Ørnulfa. Chociaż jego mieszkanię siedział w korytarzu, a więc nie spał, Ove mnie tam zaprowadził. Pokój był mniejszy od pozostałych i całkiem pusty. Oprócz niebieskiego materaca, podobnego do tych, których używaliśmy na gimnastyce w szkole, nie było w nim nic – żadnych mebli, żadnych ozdób, żadnego obrazka, nawet prześcieradła czy kołdry.

– Dlaczego u niego w pokoju nic nie ma?

Ove spojrzał na mnie jak na głupka.

– A jak myślisz? Rozwala wszystko, co mu się nawinie pod rękę, jeśli akurat ma na to ochotę. Albo drze na strzępy. Rozumiesz? Coś może stać kilka dni i w ogóle go nie interesować, a potem nagle w głowie mu się lasuje.

– Aha – powiedziałem.

– A tak w ogóle, to mamy tu taką zasadę: nigdy nie mówimy o pensjonariuszach w ich obecności. Bez względu na to, jak mało naszym zdaniem rozumieją. Mamy być ich kolegami, rozumiesz? No tak, oczywiście, to my decydujemy, ale musimy być mili i się z nimi kumplować.

– Rozumiem. – Wyszedłem za nim z powrotem na korytarz.

– Pomogę im teraz przy prysznicu i ubieraniu. Może w tym czasie przygoto-

wałbyś śniadanie?

– Dobrze – zgodziłem się. – A co będą jedli?

– Tylko kanapki. No i kawę. Lubią kawę, jak być może już się zorientowałeś.

– Okej. – Od razu poszedłem do kuchni. Możliwość zrobienia czegoś konkretnego i mechanicznego, bez udziału pensjonariuszy, sprawiła mi prawdziwą ulgę. Po tym, co zobaczyłem, wszystko, co wiązało się bezpośrednio z nimi, napawało mnie obrzydzeniem.

Otworzyłem lodówkę i wyjąłem to, co nadawało się do kanapek. Pokroiłem parę pomidorów, kilka plasterków ogórka i papryki, ułożyłem to na jednym talerzu, na drugim salami i szynkę, na trzecim żółty i brązowy ser. Postarałem się, chciałem zrobić dobre wrażenie na personelu. Nastawiłem kawę w ekspresie, wyjąłem mleko i sok, nakryłem na dwóch stołach. Jeden z pensjonariuszy wyszedł ze swojego pokoju w samych slipach, był atletycznie zbudowany i miał poważną, bardzo męską twarz. Na pierwszy rzut oka wyglądał na wzorowy egzemplarz ludzkiego gatunku, ale chodził jakoś dziwnie, jakby balansował na samych poduszkach stóp, dlatego od razu było widać, że coś jest z nim nie tak. Zatrzymał się przy progu łazienki, zrobił krok do przodu i krok w tył, krok do przodu i krok w tył, domyśliłem się, że mógłby tak chodzić do wieczora, ale zjawił się Ove, objął go za ramiona i wciągnął do środka. Håkon, ten skromny, człapał korytarzem, krzywiąc plecy. Egil aż do samego stołu siedł z głową odgiętą do tyłu i wzrokiem wbitym w sufit. Hans Olav stał nieruchomo pod ścianą, z palcami uformowanymi w kształt piłki, szybko poruszającej się pod brodą. Ørnulf siedział tak, jak przesiedział ostatnie pół godziny, z rękami pod kikutami nóg. Cały czas mocno wciągał powietrze przez zęby. Może hiperwentylacja dawała mu kopa.

Przelałem kawę do termosu z pompką i postawiłem go na stole. Pokroiłem chleb, poszukałem tostera, ale wyglądało na to, że go nie mają. Wyjrzałem przez okno, po szarym asfalcie kroczył pochód upośledzonych umysłowo, większość wyglądała na czterdziestolatków, wśród nich szło dwóch opiekunów, zajętych rozmową, jeden z papierosem w ręku. Niebo nad nimi było szare, ale jasne.

Ove zabrał tacę z jedzeniem do pokoju Hansa Olava, Ellen zawołała, że śniadanie gotowe, usiedliśmy przy różnych stołach, a korytarzem zaczęli nadciągać pensjonariusze. Ten atletycznej budowy, Alf, siedł, poruszając się dzi-

wacznymi szarpnięciami, trochę jak robot. Tuż za nim maszerował Håkon, ten stary, z dziewczęcymi cechami, uśmiechał się przepaszająco, nieco zalęknioty. Kåre, ten z wianuszkami włosów i tygodnikami, lekko pochylał się w przód, dźwigając garb jak plecak, i cały czas wywijał ręką w powietrzu tuż przy twarzy.

– Skąd jesteś? – spytał Egil, nachylając się do mnie i patrząc mi prosto w twarz.

– Z Arendal.

– A ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden.

– Jaki masz samochód?

– Niestety, nie mam samochodu.

– Dlaczego nie masz? Dlaczego nie masz samochodu, co?

– Daj mu spokój, Egil! – włączyła się Ellen.

Egil natychmiast usiadł.

– Nie – powiedział. – No nie. Nie, nie, nie.

Chwilę patrzył w sufit, w końcu zaczął jeść. Cały czas ciężko dyszał, a kiedy miał w ustach jedzenie, można się było poczuć tak, jakby się siedziało obok niedużej maszyny parowej. Koszula mu wyszła ze spodni, wciągnięty na nią czerwony pulower był trochę poplamiony, a włosy, gęste i kręcone, sterczały mu do tyłu. Miał zaczerwienione policzki, może z powodu popękanych naczynek, oczy też lekko przekrwione, sprawiał wrażenie zagubionego i roztargnionego, kojarzył mi się z jakimś profesorem nauk ścisłych czy nauczycielem, który trochę zbyt długo żył w samotności i który być może nie odnosił takich sukcesów, na jakie w swoim mniemaniu zasłużył, ale w zasadzie lubił uczyć i z tego powodu uważał, że nie musi dbać o wygląd. Taki właśnie wydawał się Egil. Ale do tego dochodziły nagłe, nieopanowane ruchy kończyn, na przykład zaczynał machać ręką w powietrzu, jakby zobaczył kolegę na korytarzu, albo wychylał się w przód tak gwałtownie, że wszyscy dookoła wzdrygali się, przestraszeni. No i jeszcze ten wzrok wlepiony w sufit.

Od czasu do czasu wybuchał też śmiechem bez powodu.

– Tak, tak, tak, tak! – powtarzał wtedy, jakby przed chwilą usłyszał dowcip i chciał pochwalić tego, kto go opowiedział.

- Masz dziewczynę? – spytał.
- Mam.
- Jak jej na imię?
- Gunvor.
- Ładna jest?
- Egil! – skarciła go Ellen.
- Będziesz się dzisiaj kąpać? – spytał, patrząc na nią.
- Nie – odpowiedziała.
- Dlaczego? – chciał wiedzieć.
- Pogoda dzisiaj niezbyt ładna.
- Dlaczego? – westchnął ciężko i opadł na krzesło.

Wszystkie jego pytania padały mechanicznie, a w głosie nie było śladu zdziwienia ani zainteresowania, przypominał dziecko, które nauczyło się czegoś na pamięć, ale samo nie rozumie, co mówi.

– Smakowało ci, Håkon? – spytała Ellen.

– Tak – mruknął Håkon ze spuszczoną głową. – Bardzo dziękuję. Bardzo dziękuję.

Ellen karmiła Arego. Póležał na wózku z otwartymi ustami, z kącików ust spływała mu owsianka. Kåre wydawał z siebie jakieś ściszone dźwięki, najwyraźniej nie umiał mówić, ale komunikował się odgłosami, gestami dłoni i spojrzeniami. Ørnulf kołysał się na krześle, odsłaniając zęby i patrząc na mnie.

– Jesteśmy kumplami? – spytał Egil. – My dwaj, jesteśmy kumplami?

Co miałem odpowiedzieć? Nie byliśmy kumplami, ale gdybym zaprzeczył, mógłbym wywołać u niego wielki niepokój.

– Chyba tak – odparłem.

– Musisz przyjść i obejrzeć moje zdjęcia króla.

– Bardzo chętnie.

– No to dobrze. No to jesteśmy umówieni.

Na korytarzu otworzyły się jakieś drzwi i wybiegł z nich Hans Olav. Ze śmiechem oglądał się za siebie, ręce trzymał pod brodą, usta nieustannie mu się poruszały. Popędził chwiejnie przez korytarz, na nogach jakby uginających

się pod ciężarem ciała. Ove wyszedł za nim z tacą w rękach. Podobieństwo Hansa Olava do Picassa było niepokojące. Pomyślałem, że całkowicie zakłóca równowagę na świecie. Ale nikt inny tutaj się tym nie przejmował, więc najprawdopodobniej ja też miałem z czasem do tego przywyknąć.

– Jeśli sprzątniesz po śniadaniu, Karl Ove, to zabiorę chłopaków do pracowni.

Kiwnąłem głową.

Ci czterej, którzy mieli pracować, wstali i rozeszli się do siebie. Ørnulf zsunął się z krzesła i zajął swoją pozycję wyjściową na korytarzu. Ellen wytarła Aremu usta i zawiozła go do pokoju, ja wstawiłem jedzenie do lodówki, talerze i szklanki do zmywarki, przetarłem ścierką stoły i szczotką zmiotłem okruchy na szufelkę.

Kiedy skończyłem, poszedłem za Ellen. Myła Arego. Leżał nagi na łóżku, biały i sztywny, a ona wodziła myjką po jego ciele, cicho do niego przemawiając. O, tak, mówiła, teraz pod spodem, trzeba się myć, to ważne, zaraz nabiorę więcej wody, będzie ci ciepło i przyjemnie.

Gapił się w sufit pustymi oczami.

– Mogę jakoś pomóc? – spytałem.

Popatrzyła na mnie zza grubych szkieł.

– Nie. Na razie sobie usiądź i napij się kawy. Are od kilku dni ma kłopoty z wypróżnieniem, więc pomyślałam, że później zrobię mu lewatywę. Może przy tym będziesz mógł mi pomóc.

– Dobrze – powiedziałem.

– No i możesz przed południem zabrać Ørnulfa na spacer. Tylko po okolicy.

Kiwnąłem głową, Ellen wyżeła myjkę i dalej myła Arego.

Na udzie i pośladku miał duży bliznowaty ślad.

– Co to jest? – spytałem. – Znamię?

Pokręciła głową.

– Blizna po oparzeniu. Wiele lat temu ktoś go zostawił samego przy grzejniku.

– Naprawdę?

– Niestety. No, a wiesz, że sam się nie poruszy. I nic nie mówi. Więc po prostu leżał.

– Okropne.

– To prawda. Ale to było już dawno temu. Jego oddział zamknięto. Przyznano mu własne mieszkanie, no wiesz, zgodnie z reformą opieki nad osobami niepełnosprawnymi intelektualnie. Ale dopóki nie będzie gotowe, zostanie u nas. Prawda, Are?

W czasie gdy Ellen mówiła, wyraz twarzy Arego nie zmienił się nawet na jotę. Postąpiłem jeszcze chwilę, żeby nie wyjść na gburę, a potem poszedłem do dyżurki i nalałem sobie kawy do filiżanki. Z korytarza dobiegł odgłos dłoni plaskających o podłogę i szurania. To był Ørnulf, zatrzymał się przy stole i popatrzył na mnie prosząco. Musiał go zwabić dźwięk pompki przy termosie.

– Chcesz kawy? – spytałem.

Z kamienną twarzą sięgnął po filiżankę i podsunął mi ją.

– Piłeś już kawę na śniadanie – przypomniałem. – To wystarczy.

Zacząłem zwijać papierosa. Ørnulf długo pozostawał w tej samej pozycji, z ręką wyciągniętą w moją stronę. Potem nagle jakby czar prysł, jakby sen, w który zapadł cały zamek, nagle został przerwany, Ørnulf odstawił filiżankę i zaczął się hiperwentylować.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli usiądziesz w korytarzu – powiedziałem. – Potem pójdziemy na spacer.

Czy w jego spojrzeniu naprawdę była pogarda?

W każdym razie się nie ruszył.

Przeciagnałem językiem po pasku z klejem, zlepiłem bibułkę, włożyłem papierosa do ust i zapaliłem. Wystające skrawki tytoniu natychmiast chwyciły ogień, żarząc się, upadły na podłogę, inne przypaliły się moment później. Wciągnąłem chmurę dymu w płuca, patrząc przez szybę w drzwiach balkonowych. Pojawiło się trzech opiekunów, wszyscy pchali wózki inwalidzkie. Przed budynkiem administracji zaparkował jakiś samochód. Z parteru dochodziło przeciągłe wycie, odgłos, który trudno było powiązać z jakimkolwiek dźwiękiem wydawanym przez człowieka. Ørnulf cały czas sapał i dyszał w odległości zaledwie pół metra ode mnie.

Odwróciłem głowę w jego stronę.

Natychmiast sięgnął po filiżankę i podsunął mi ją błagalnym gestem.

– Nie – oświadczyłem.

Dalej trzymał ją wyciągniętą. Zamek znowu zapadł w sen.

W drzwiach stanęła Ellen.

– Masz ochotę na kawę, Ørnulf? Zaraz dostaniesz.

Wzięła od niego filiżankę, nalała w równych częściach mleka i kawy, Ørnulf pochłonął napój i wypełził z pokoju na korytarz. Ellen westchnęła, usiadła na kanapie po drugiej stronie stolika, zapaliła papierosa i przymknęła oczy.

W myślach zacząłem sortować pensjonariuszy. Na oddziale było ich siedmiu. Czterech wyglądało mniej więcej normalnie, dwóch z nich umiało mówić. Dwaj byli kalekami, ale mogli się poruszać, jeden był warzywem. Osoby upośledzone umysłowo częściowo kojarzyły mi się z mongołami, a częściowo z tymi, którzy są jak warzywa. Nie wiedziałem, że istnieją przeróżne odmiany niepełnosprawności umysłowej, ale to było przecież oczywiste i właściwie mnie nie zaskoczyło, gdy się z tym zetknąłem.

Alejką przed budynkiem szli Hans Olav z Ovem.

– Gdzie jest teraz Are? – spytałem.

– Leży w łóżku w swoim pokoju – odparła Ellen. – Zaraz go podniosę i pójdziemy na spacer.

– Śpi?

– Nie, nie. Leży i odpoczywa.

Z dołu znów dobiegło wycie. Z korytarza słyszałem syczenie Ørnulfa. Poza tym panowała cisza. Bałem się tego spaceru z Ørnulfem, pierwszy raz miałem zostać sam z jednym z nich i nie wiedziałem, jak należy się zachować, co mówić, co się może przytrafić. Co zrobię, jeśli będzie chciał iść do ubikacji? Potrafi załatwić się sam czy będzie potrzebował pomocy? Mam go wsadzić na wózek czy sam da radę na nim usiąść? Umie się ubrać? Czy mam ten wózek prowadzić? Dokąd pójdziemy? Przecież on nie mówi, co będzie, jeśli nie zrozumie, czego chce?

Poza tym się go bałem. Z jego spojrzenia, gdy na mnie patrzył, biła nienawiść. No i przecież mieszkał w pokoju pozbawionym mebli i innych rzeczy, miał tylko materac, bo albo rozwaliał wszystko, co mu stało na drodze, albo rwał na strzępy, jak mówił Ove.

Co zrobię, jeśli zacznie się tak zachowywać, kiedy będziemy na dworze? Zdołam go powstrzymać? A jeśli się na mnie rzuci? Nie ma wprawdzie nóg, ale mięśnie ramion wyglądają na mocne.

Jedne z drzwi na korytarzu otworzyły się z hałasem. Po chwili korytarzem przemknął Hans Olav, pochylony do przodu, z rękami szybko poruszającymi się pod brodą. Ove, który wyszedł za nim, na moment zatrzymał się w drzwiach.

– Pobędę z nim chwilę, może zaśnie.

Wstałem, uznałem, że chyba powinienem zająć się Ørnulfem. Patrzyłem na Ovego idącego korytarzem, niewysokiego, ale tak umięśnionego, że ramiona nie przylegały mu do ciała, zawsze lekko odstawały, przez co, idąc, trochę kręcił tyłkiem. Musiał sporo trenować.

Ørnulf siedział na podłodze w swoim pokoju twarzą do ściany.

– Cześć, Ørnulf – powiedziałem. – Wyjdziemy się przejść?

Nie patrząc na mnie, odwrócił się i wypadł z pokoju. Pognał do drzwi na końcu korytarza i otworzył je, wyciągając się do góry. Schody pokonywał, opierając się na kolejnych stopniach tylko na jednej ręce, przypominał wielkiego owada, poruszał się szybko i zręcznie. Kiedy zszedłem na dół, już siedział przy wózku, obejmując nogi rękami.

Nienawidziłem tej pracy.

Poszukałem jego imienia nad wieszakami, znalazłem je i zdjąłem wiszącą tam kurtkę.

– Musisz się ubrać – oświadczyłem. – Pomóc ci?

Siedział nieruchomy jak kamień, nawet miną nie zdradził, co myśli.

Nachyliłem się i lekko ująłem go za rękę, żeby wsunąć ją w rękaw kurtki, ale wyrwał mi ją szarpnięciem i przyciągnął do siebie.

– Jeśli mamy iść na spacer, to musisz włożyć kurtkę – powiedziałem. – Inaczej ze spaceru nic nie będzie.

Dalej siedział nieruchomo.

– Okej, no to wracamy na górę.

Odszedłem kilka kroków, odwróciłem się, zobaczyłem, że zastygł w tej samej pozycji. Ruszyłem na górę po schodach, przystanąłem, żeby się zorientować, czy idzie za mną, ale nic nie było słychać.

Ellen spojrzała na mnie z kanapy.

– Nie mogę mu włożyć kurtki – przyznałem. – Nie chce się ubrać.

– A potrzebna mu kurtka? Na dworze jest dość ciepło.

– Okej – powiedziałem. – Coś jeszcze powinienem wiedzieć?

Pokręciła głową, więc szybko zszedłem na dół, bo nie wiedziałem, czy przypadkiem nie wykorzystał mojej krótkiej nieobecności na ucieczkę.

Ale nie, siedział przy wózku, rękami obejmując nogi, z brodą opartą na piersi.

– To co, idziemy? – spytałem.

Wdrapał się na wózek, sprawnie zaczął kręcić kołami i szybko podjechał pod drzwi, dopiero tam na mnie spojrział. W momencie gdy otworzyłem, ruszył jak błyskawica, musiałem dobrze wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć. Wpadł w rytm, toczył wózek szybkimi, równomiernymi pchnięciami, opierał dłonie o koła, unosił je, opierał, unosił. Minęliśmy budynek administracji, kawałek dalej szła kiluosobowa gromadka, natychmiast się zorientowałem, że to dwóch opiekunów i czterech pensjonariuszy, ich ruchy nie budziły żadnych wątpliwości.

Opiekunowie obrzucili mnie wzrokiem.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć – odpowiedzieli. – Cześć, Ørnulf.

W ogóle się nimi nie zainteresowałem i już wkrótce zostawiliśmy w tyle zarówno ich, jak i budynki. Twarz Ørnulfa zastygła w grymasie z odsłoniętymi zębami. Poczzerwieniała z wysiłku. Wzdłuż drogi rosły gęsto drzewa liściaste, między nimi tu i ówdzie wyciągały się w górę grubsze i ciemniejsze świerki. Przed nami biegła szosa, wzdłuż niej prowadziła ścieżka rowerowa, którą zamierzałem iść.

Ørnulf nie chciał. Wskazał na lewo, tam gdzie droga zataczała pętlę wokół niedużego osiedla. Uznałem, że nie mogę pozwolić, by całkowicie mną rządził, więc złapałem uchwyty wózka i skierowałem go na ścieżkę. Usiłowałem hamować rękami. W jego oczach pojawiła się panika. Ależ to głupek!

– Nic ci nie przyjdzie z protestów – powiedziałem. – Pojedziemy t e d y.

Zeskoczył z wózka i o własnych siłach ruszył w stronę tamtej drogi. To było śmiertelnie niebezpieczne, przemieszczał się po szosie, nie wyższy od psa, gdyby nadszedł samochód, mogło się to naprawdę źle skończyć, więc pobiegłem za nim z wózkiem, wołając, żeby z powrotem wsiadł.

Zatrzymał się po drugiej stronie szosy i patrzył na mnie. Najwyraźniej nie

przeszkadzało mu, że kiedy się przesuwał, ciągnął nogi po asfalcie.

Postawiłem wózek przed nim. Wdrapał się na niego. Nie zamierzałem się poddać i znów poprowadziłem go w stronę ścieżki rowerowej. Ørnulf kolejny raz zeskoczył i zaczął uciekać w drugą stronę. Dłonie na asfalcie, ciało przesuwanające się między rękami. Poszedłem za nim, ale nie chciał już wsiąść na wózek. Postanowił przemieszczać się po swojemu i tak dotarliśmy na osiedle, on, sunąc bezpośrednio po asfalcie, gdzieniegdzie posypanym piaskiem i żwirem, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym przed siebie, ja za nim, pchając wózek inwalidzki. Tak nie mogło być. Gdyby ktoś nas teraz zobaczył, wyrzuciliby mnie. Aż się zagotowałem z wściekłości. Czy on nie mógł po prostu siedzieć na tym wózku i robić tego, co mu każe? Co na tej drodze mogło być dla niego aż tak atrakcyjne? To przecież idiotyzm. Byłem jego opiekunem, wyszliśmy na przedpołudniowy spacer, ta droga była równie dobra jak inna, a nawet jeśli nie, to z całą pewnością niewarta rezygnacji z wygodnego wózka.

Podbiegłem kilka kroków, wyprzedziłem go i zatarasowałem mu wózkiem drogę, skręcił, usiłując go wyminąć, ale przesunąłem wózek. Złapał za koło i próbował go przewrócić.

– Pojedziemy twoją drogą – zapewniłem. – Obiecuję. Pojedziemy tędy. Usiądź na wózku, to pojedziemy.

Podciągnął się i ledwie usiadł, znów zaczął kręcić kołami ze wściekłą prędkością. Szedłem obok niego przez osiedle, składające się ze stosunkowo nowych domów, przy których jeszcze nie założono ogródków. Przy drodze zatrzymał się autobus. Wsiadły z niego dwie osoby, ruszyły w głąb osiedla. Dotarliśmy do skrzyżowania i Ørnulf, który do tej pory gorączkowo wywijiał rękami, nagle przestał nimi poruszać.

– Mam cię wieść? – spytałem.

Nie zareagował, ale kiedy chwyciłem za rączki wózka i zacząłem go popychać, przynajmniej nie protestował. Starłem się iść jak najszybciej i wkrótce znów mieliśmy przed sobą teren zakładu.

Kiedy mijaliśmy budynek administracji, nagle i nieoczekiwanie zeskoczył z wózka i usiadł na ziemi w odległości kilku metrów od schodów głównego wejścia.

– Nie możesz tu siedzieć – powiedziałem. – Chodź. Na oddział już niedaleko!

Nie patrzył na mnie. W ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Siedział z rękami wbitymi w ziemię, znów oddychał głęboko i szybko.

– Nie chcesz wracać na oddział? O to chodzi? – spytałem.

Żadnej reakcji.

Próbowałem go podnieść, ale tak mocno trzymał się wózka, że się nie dało.

– Wolisz tu siedzieć? Kiedy inni będą pili kawę i przyjemnie spędzali czas?

Żadnej reakcji.

– Mnie jest wszystko jedno – stwierdziłem. – I tak zapłacą mi tyle samo. Mogę tutaj stać.

Wszedłem pod daszek i zapaliłem papierosa, ale po paru minutach zrozumiałem, że nie wygląda to najlepiej. Pensjonariusz na środku drogi, a opiekun pali papierosa dziesięć metrów dalej, więc go zgasilem i znów stanąłem przy Ørnulfie.

– Daj spokój! – powiedziałem. – Już pokazałeś, co potrafisz, nie musisz się więcej buntować. Wskakuj na wózek i jedziemy!

Żadnej reakcji.

Ręce wokół kolan, wyszczerzone zęby, syczący oddech.

– No dobrze. Jak sobie chcesz.

Złożyłem ręce na piersi i zacząłem się rozglądać, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Może i Ørnulf jest uparty, ale we mnie spotkał godnego przeciwnika. Mogłem tak stać do wieczora, całą noc i następny dzień, gdyby zaszła taka potrzeba. Należało tylko myśleć o czymś innym, nie o nim i nie o czasie, który płynął tak wolno.

To jednak okazało się trudne, bo w Ørnulfie było coś takiego, ta agresja, którą w nim wyczuwałem, sprawiała, że jego obecność kładła się cieniem na moich myślach. Nie mógł mieć za dużo w głowie, niemal zawsze działał na zasadzie odruchu, na przykład wtedy, gdy słyszał odgłos pompki termosu i mechanicznie podsuwał filiżankę. Nie rozkoszował się kawą, to było po prostu coś, co należało zrobić, co należało przeforsować, co miało się stać. A kiedy się stało, chciał, żeby stało się jeszcze raz. Na zewnątrz liczyła się tylko jedna trasa, nie spacer sam w sobie, bo gdyby tak było, zgodziłby się pójść inną drogą.

Spojrzałem na niego. Czułem do niego ogromną niechęć, do wszystkiego, co

się z nim wiązało, ale głównie do jego psowatości i głupoty. To przecież o n tracił na siedzeniu tutaj, nie ja. Mnie płacono, bez względu na to, czy siedzimy tu, czy na drzewie, byłem gotowy na wszystko.

Nasze spojrzenia na moment się spotkały, a kiedy znów spuścił wzrok, zobaczyłem, że się uśmiecha.

Pierwszy raz widziałem jego uśmiech.

Naprawdę myślał, że mnie ukarał, że to on ma w tej sytuacji przewagę.

Odszedłem kilka kroków na bok i przysiadłem na krawężniku od strony parkingu. Ten jego sposób poruszania się, błyskawiczny, wahadłowy ruch po ziemi czy podłodze, kojarzył mi się z ruchem kraba; w największe pomieszenie wprawiała mnie jego twarz, która – gdyby usunąć resztę ciała – byłaby całkiem normalna. Rudy, piegowaty mężczyzna dobiegający pięćdziesiątki. Gdyby jedynie był kaleką, gdyby miał zdeformowane tylko ciało, nie reagowałbym tak, ale najwyraźniej jego myśli i dusza również były zdeformowane i kalekie. Kimże więc był?

Niech to jasna cholera!

Znajdował się najniżej z tych, co upadli nisko, był najsłabszy ze słabych, a ja czułem do niego pogardę.

To ja byłem nieludzki. Nic jednak nie mogłem na to poradzić. Wściekłość budziła we mnie jego głupota, to, że tam siedzi i nie chce iść, że mu się wydaje, iż mnie ukarał, podczas gdy pot spływa mu z czoła i ciężko dyszy przez zacisnięte żółte zęby.

Chmury powoli, wręcz niezauważalnie się rozstały. Słońce świeciło na nas z bladobłękitnego nieba. Na parkingu otwierano samochody, zapuszczano silniki, odjeżdżały drogą, pojawiały się inne, silniki gasły, trzaskały drzwiczki. Wszyscy widzieli, że tu siedzimy, nikt nie reagował. Nie miałem pojęcia, czy często tak się dzieje, czy chodziło jedynie o mnie, czy też podobne sytuacje zdarzały się opiekunom Ørnulfa codziennie.

– Wstawaj, idziemy – powtarzałem w regularnych odstępach czasu. Nie reagował. Kiedy robiłem kilka kroków w jego stronę, mocno chwycił się wózka, żebym nie mógł go na nim posadzić.

Siedział tak półtorej godziny. Wtedy zjawiała się Ellen; wiozła na wózku Arego, któremu włożyła ciemne okulary. Zatrzymała się przy nas.

– Zbliża się lunch – powiedziała. – Wsiadaj na wózek, Ørnulf!

Posłuchał, wskoczył, ręce położył na kolanach. Czyżbym miał go wieść?

Najwyraźniej tak.

Idąc obok Ellen, pchałem więc wózek. Było gorąco, słońce wręcz paliło. Nienawidziłem siebie z całego serca.

Tego wieczoru sen przyszedł do mnie pusty, nic mi nie przyniósł, długo byłem jedynie ciałem z powoli bijącym sercem i zwolnionym oddechem, który wraz z krążącą krwią utrzymywał to ciało przy życiu, niczym więcej, aż w końcu zaczęły pojawiać się marzenia senne, te przebłyski nastrojów i obrazów rządzące mózgiem, kiedy śpimy, a które dla mnie w końcu okazywały się identyczne: byłem sam, przyparty plecami do muru, wystraszony do obłędu albo upokorzony. Ludzie się ze mnie wyśmiewali, ktoś mnie ścigał, a nad wszystkimi w wielu formach i postaciach górował tata. W najczęściej pojawiających się koszmarach wciąż mieszkaliśmy razem na Tybakken, lecz najgorsze były mimo wszystko te, w których jechałem w odwiedzinach do mamy i okazywało się, że on tam mieszka, bo u mamy pozwalałem sobie na swobodę, robiłem, co chciałem, a jego właśnie to wściekało najbardziej.

Co rano budziłem się z uczuciem upokorzenia, od tego zaczynał się mój dzień, i nawet jeśli powoli się ono rozwiewało, w miarę jak rutynowe czynności przenosiły mnie do innego świata, tego prawdziwego, nie opuszczało mnie uczucie upodlenia i upokorzenia, wystarczył nic nieznaczący drobiazg, błahostka, by znów się rozpałało i płonęło we mnie, ba, spalało całego pieprzonego mnie.

Tego ranka obudziłem się pół godziny przed budzikiem, bo umarłem, a ulga, kiedy się ocknąłem i odkryłem, że to nieprawda, była tak wielka, że aż się rozśmiałem.

Wstałem, zjadłem kanapkę, ubrałem się, zamknąłem drzwi na klucz i poszedłem do domu opieki.

Kiedy otworzyłem drzwi, Ørnulf siedział pod ścianą, rękami obejmując nogi i kołysząc się w tył i w przód. Posłał mi przelotne spojrzenie, po czym spuścił wzrok, kompletnie mną niezainteresowany. W dyżurce była Ellen z dziewczyną w moim wieku, która wstała i podała mi rękę. Miała na imię Irene. Wysoka i szczupła, z jasnymi, krótko ostrzyżonymi włosami, niebieskimi

oczami i mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Była piękna w ten chłodny sposób, który zawsze mnie pociągał. Obecność takiej osoby jak ona wszystko komplikowała, zrozumiałem to w momencie, gdy siadłem i zacząłem pompować kawę do filiżanki. Wiedziałem, że stale będę świadomy jej obecności, a tym samym siebie, bo za wszelką cenę będę chciał dobrze wypaść w jej oczach.

Zaproponowała, że zajmie się Ørnulfem, Ellen miała się opiekować Arem, a ja Hansem Olavem. To oznaczało zjedzenie z nim śniadania, potem chwilę odpoczynku, sprzątnięcie jego „mieszkania”, a następnie – być może – wyprawienie go na oddział aż do lunchu, chyba że będzie chciał spać. Zdaje się, że dużo czasu przesypiał.

Zrobiłem kilka kanapek dla niego, kilka dla siebie, nalałem soku do dwóch szklanek i kawy do dwóch filiżanek, do jednej pół na pół z mlekiem, i wszystko to zaniósłem na tacy do jego lokum, postawiłem na stole, starannie zamknąłem drzwi prowadzące na oddział, zapukałem do drzwi sypialni i wszedłem.

Leżał na łóżku i ciągnął się za fiuta, kompletnie sflaczałego.

– Cześć, Hans Olav – powitałem go. – Pora wstawać. Przyniosłem ci śniadanie.

Spojrzał na mnie, dalej się onanizując.

– Zaczekam chwilę – powiedziałem. – Przyjdź, jak będziesz gotowy.

Zamknąłem drzwi i usiadłem na krześle przy stole, ustawionym tuż przy wyjściu na niewielki balkon, szary, zniszczony i popękany. Pod nim było boisko do piłki ręcznej, a po drugiej stronie wału znajdowały się kolejne budynki, identyczne jak ten, w którym siedziałem. Między nimi rosły sosny i pojedyncze drzewa liściaste.

Alejką szło kilku pensjonariuszy, kawałek dalej dwie kobiety prowadziły wózki inwalidzkie. Wstałem, żeby się trochę rozejrzeć. W salonie wisiała reprodukcja obrazu Moneta w gotowej oprawie, taka, jakie kupuje się w sklepach dużych sieci meblowych. Sosnowe meble, duża kanapa obita materiałem w czerwony wzór, niski stolik, ława z toczonymi nóżkami i regał z pustymi półkami – stały na nich jedynie figurka psa, nieduży lichterz i szklany świecznik na tealighty. Miało to wyglądać jak dom, lecz oczywiście niczym takim nie było.

Znów otworzyłem drzwi do sypialni, uprzednio zapukawszy. Leżał tak jak

wcześniej.

– Musisz już przyjść. Śniadanie. Kawa wystygnie. – Stałem przy nim. – No chodź, Hans Olav. To możesz robić później.

Odgonił mnie machnięciem ręki.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

Wydał z siebie krzyk, syczący, ale głośny. Przerazony, cofnąłem się o krok.

Ale nie mogłem się poddać. Musiałem pokazać, kto tu rządzi, bo inaczej mógłbym później mieć problemy, więc złapałem go za ramię i próbowałem podciągnąć. Jedną ręką usiłowałem go odepchnąć, drugą nie przestawałem się masturbować.

– Okej – powiedziałem. – Mam zabrać śniadanie? Tego chcesz?

Znow krzyknął, tak samo świszcząco i ochryple, ale spuścił nogi z łóżka i opierając się rękami o materac, powoli, sztywno się podniósł. Kiedy wstał, spodnie opadły mu do kostek. Podciągnął je i wyszedł z pokoju, przytrzymując je jedną ręką. Usiadł przy stole i jednym łykiem wypił kawę. Zacząłem jeść kanapkę, udając, że nic się nie dzieje, ale serce mocno waliło mi w piersi i wszystkie zmysły miałem wyostrome.

Nagle szybkim ruchem ręki strącił na podłogę szklankę z sokiem, pustą filiżankę i talerz z kanapkami. Wszystko było z plastiku, Irene o to zadbała, więc się nie stłukło.

– Co ty wyprawiasz? Tak nie wolno!

Wstał, chwycił stół za dwie nogi, uniósł go i przewrócił.

Nie wiedziałem, co robić. Śmiertelnie się go bałem, może to wyczuł. Na szczęście zaraz wyszedł do toalety, więc ustawiłem stół z powrotem i zacząłem zbierać jedzenie, gdy otworzyły się drzwi prowadzące na oddział i do środka zajrzała Irene.

– Coś się stało?

– Wywrócił stół.

– Chcesz, żebym cię zastąpiła?

– Nie, nie – zaprzeczyłem, chociaż niczego bardziej w tej chwili nie pragnąłem. – Dam sobie radę, musimy tylko do siebie przywyknąć. To z pewnością zajmie trochę czasu.

– Okej. Jakby co, to jesteśmy obok. On nie jest groźny, pamiętaj. Myśl

o tym, że właściwie jest jak roczne dziecko.

Zamknęła drzwi, a ja położyłem ostatnią kanapkę na talerzu i poszedłem do łazienki po coś do wytarcia kałuży żółtego soku.

Stał tam przy okienku i wyglądał.

– Szukam jakiejś ścierki – wyjaśniłem. W ogóle nie zwrócił na mnie uwagi, ale tylko mnie to ucieszyło. Ponieważ i tak przed południem miałem umyć podłogi w jego mieszkaniu, więc uznałem, że równie dobrze mogę to zrobić już teraz. Nalałem wody do czerwonego wiadra, dodałem odrobinę płynu, wziąłem szczotkę ze ścierką i zabrałem się do roboty – najpierw podłoga w pokoju za sypialnią, potem w korytarzyku, sypialni i kąciku jadalnym. W tym czasie Hans Olav przyszedł, stanął kilka metrów ode mnie i się przyglądał. Po chwili podszedł bliżej i lekko trącił nogą wiadro, jakby postanowił mi pokazać, że gdyby chciał, mógłby je przewrócić. Zachichotał i nagle ogarnął go zapał, szybko wypadł z pokoju, głośno się śmiejąc i przebierając palcami pod brodą. Kiedy wszedłem do niego z wiadrem i szczotką, leżał i znów się masturbował, z tak samo opadniętym fiutem.

– Czepie ptaka! Ptaka! – powtarzał.

Nie zwracając na niego uwagi, dokończyłem sprzątanie, powiesiłem ścierkę na brzegu wiadra i usiadłem w pokoju. Byłem śpiący, więc na chwilę zamknąłem oczy, gotów poderwać się na odgłos otwieranych drzwi lub jakiś ruch Hansa Olava.

Spałem tam na siedząco pół godziny. Kiedy się obudziłem, jedzenie zniknęło, a Hans Olav znów leżał na łóżku. Stanąłem przy oknie i wyrzałem. Zobaczyłem nieduży pagórek, w kilku miejscach prześwitywała naga skała, gdzie indziej rosły krzewy, zarośla i trawa. Wyżej ciągnął się las.

Usłyszałem trzeszczenie łóżka, a potem mamrotanie Hansa Olava, więc odwróciłem się od okna i spojrzałem na niego. Stał na podłodze, spodnie ciągle podtrzymywał ręką, tak jak przez cały ranek.

– Pójdziemy na spacer, Hans Olav? – zaproponowałem. – Trochę świeżego powietrza dobrze by ci zrobiło, prawda?

Popatrzył na mnie.

– Mam ci zapiąć spodnie?

Żadnej reakcji.

Podszedłem do niego, nachyliłem się, chwyciłem pasek do spodni, a wtedy

on skierował dwa palce w moje oczy, w jedno trafił. Oko przeszył ból.

– Przestań! – krzyknąłem.

W pierwszej chwili widziałem jedynie ciemność wypełnioną świecącymi punkcikami, ale po kilku sekundach oko znów zaczęło funkcjonować, wstałem, mrugając, a Hans Olav wyszedł do przedpokoju i zaczął walić pięściami w drzwi prowadzące na oddział.

Wyraźnie mnie nie lubił, chciał dołączyć do innych, wezwać innego opiekuna zamiast mnie. Ale nie zamierzałem na to pozwolić.

– Przestań! – powtórzyłem. – Wychodzimy. Włóż kurtkę, to wyjdziemy.

Nie przestawał walić. Potem się do mnie odwrócił, ale zamiast się na mnie rzucić, czego się spodziewałem, i może znów próbować wykłuć mi oczy, omiął mnie i wrócił do pokoju.

– Chodź tutaj! – zawołałem. – Słyszysz, masz tu przyjść!

Położył się na łóżku, ale w oczach miał lęk. Podszedłem, złapałem go za rękę i z całej siły zacząłem za nią ciągnąć, by postawić go na nogi. Chociaż się nie opierał, tylko próbował poddać się szarpaniu, zsunął się z łóżka i upadł na podłogę, powoli, jak statek przewrócony na burzę.

Co za piekło.

Leżał na boku ze łzami w oczach. Usiłował podeprzeć się dłonią, a ja nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko na niego patrzeć, mając nadzieję, że nikt nie wybierze sobie akurat tej chwili, by do nas zajrzeć. Kiedy wreszcie udało mu się usiąść, znów chwyciłem go za ręce, a on, nie opierając się już, odepchnął się nogami i wreszcie się wyprostował.

Patrzył na mnie i syczał, trochę jak kot, a potem poczłapał do przedpokoju. Usiadłem na krześle. Słuchałem, jak chodzi w kółko.

Była za dziesięć dziewiąta.

Coś spadło na podłogę, szybko tam skoczyłem, okazało się, że to talerz i kubek. Hans Olav stał w kącie i sikał.

Nic nie powiedziałem, przyniosłem wiadro i ścierkę, włożyłem rękawiczki i wytarłem kałużę. Kiedy sprzątałem, obchodził mnie w kółko i sprawiał wrażenie spokojniejszego.

– Idziemy na spacer? – spytałem.

Włożył kurtkę, wsunął stopy w wielkie buty, suwaka nie dał rady zapiąć,

więc podszedłem mu pomóc, ale się wykręcił, otworzył drzwi na oddział i małymi, ostrożnymi kroczkami, wręcz drepcząc, zszedł po schodach i zatrzymał się przy drzwiach wejściowych. Otworzyłem je, wyszliśmy na zewnątrz. Cały czas trzymał się w odległości dziesięciu kroków przede mną. Po kilku minutach zawrócił, próbowałem go namówić, abyśmy szli dalej, ale powiedział: ne! ne! – więc wróciliśmy do jego mieszkania, gdzie natychmiast położył się na łóżku i zaraz zaczął się onanizować. Usiadłem na krześle. Nie minęła jeszcze nawet jedna trzecia dnia.

Nie tylko życie w zakładzie różniło się od tego poza zakładem, lecz również czas. Kiedy stałem przy oknie i patrzyłem na las, wiedziałem, że gdybym tam był, gdybym siedział pod drzewem i patrzył na te murowane budynki, ledwie zwracałbym uwagę na upływ czasu i sunąłbym przez dzień równie lekko jak chmury na niebie, natomiast gdy wyglądałem przez okno, czas wydawał mi się o wiele cięższy, poruszał się równie wolno jak Ziemia, jak gdyby w tym zakładzie napotykał przeszkody i był nieustannie zmuszony do nadkładania drogi, mniej więcej tak jak rzeka, która przed dotarciem do morza musi pokonać równinę, wijąc się niezliczonymi, wręcz przypominającymi labirynt meandrami.

Koniec dyżuru zawsze mnie zaskakiwał i wyniosłem z tego doświadczenie, po które później sięgałem, kiedy musiałem coś wytrzymać: wszystko mija. Idąc rano do zakładu, bałem się i denerwowałem, ale kiedy dzień pracy się kończył, kiedy znów byłem wolny, miałem wrażenie, jakby czas między jednym punktem a drugim w ogóle nie istniał, jakby go w ogóle nie było, przecież nie można udowodnić, że jest inaczej.

To, że czas płynął tam wolniej, nie powinno wcale dziwić, ten zakład był miejscem, w którym miało się nic nie wydarzać, gdzie nie był możliwy żaden rozwój, czuło się to natychmiast po przekroczeniu progu tej przechowalni, magazynu ludzi niechcianych. Ów obraz był na tyle straszny, że każdy robił, co w jego mocy, by udawać, że jest inaczej. Pensjonariusze mieli własne pokoje z własnymi rzeczami, idealnie przypominające pokoje i rzeczy ludzi mieszkających poza zakładem, jedli posiłki z kolegami z oddziału i z opiekunami, którzy mieli im dawać złudzenie rodziny, i codziennie szli do „pracy”. Ich wytwory nie miały żadnej wartości, oprócz tej, że nadawały ich życiu cień sensu, jaki miało życie na zewnątrz. I tak było ze wszystkim w ich świecie. Każdy

element otoczenia miał być do czegoś podobny i w tym podobieństwie zawierała się jego wartość. Najwyraźniejsze stało się to dla mnie w pierwszy piątek, kiedy miałem popołudniowy dyżur i cały oddział po obiedzie wybierał się na „dysk”. Organizowano go w czymś w rodzaju świetlicy na terenie zakładu, dużym pomieszczeniu ze stolikami i krzesłami ustawionymi w jednej części oraz parkietem do tańca w drugiej. Światło było przytłumione, zasłony w oknach zaciągnięte. Z głośników płynęła popowa muzyka, kilku mongołów poruszało się tam i z powrotem po parkiecie. Wszędzie było pełno wózków inwalidzkich, rozdziawionych ust, wywróconych oczu. Mieszkańcy mojego oddziału siedzieli wokół stołu pod oknami, przed każdym stała cola. Zająłem miejsce obok Ellen, która od czasu do czasu popatrywała na mnie, ze zmęczeniem w oczach. Egil był w białej koszuli, z plamami keczupu na piersi, włosy sterczały mu na wszystkie strony. Gapił się w sufit, poruszając przy tym ustami. Håkon ostrożnie popijał swój napój. Alf z ponurą miną wbił wzrok w stół. Siedzący obok nas opiekun wstał i wytoczył jakiegoś pensjonariusza na wózku na parkiet, a potem zaczął wywijać tym wózkiem w rytm muzyki. Mężczyzna szeroko otworzył usta i wydawał z siebie głuchoe odgłosy, wyrażające szczęście, ślina ciekła mu z ust. Pozostali opiekunowie siedzieli przy stołach, palili papierosy i wyglądali tak, jakby rozmawiali o swoich sprawach. Od czasu do czasu wołali: „Nie, nie rób tego” albo „Siedź spokojnie!” lub „Wiesz, co my o tym myślimy?”. Hans Olav o twarzy Picassa stał w kącie i na przemian gasił i zapalał kinkiet. To było straszne. Wszystkie te zdeformowane ciała i kalekie dusze przywiezione na dyskotekę, w tę najważniejszą przestrzeń kultury młodzieżowej, stworzoną do snucia marzeń o romantycznej miłości, nasyconą przyszłością i możliwościami, to było naprawdę straszne, bo oni nie znali marzeń, tęsknot, perspektyw, widzieli jedynie kiełbaski i coca-colę. A muzyka, która miała wypełnić ich ciała przyjemnością i radością, była jedynie dźwiękami. W ich tańcu liczyły się tylko ruchy. Uśmiechali się, ponieważ robili coś podobnego do tego, co robią normalni ludzie. Wszystko tutaj było podobne do świata na zewnątrz, ale do świata, z którego usunięto sens i zostały jedynie parodia, trawestacja, coś groteskowego i złego.

– Tam jest kawa, jeśli masz ochotę – powiedziała Ellen.

– Może i się napiję – stwierdziłem i podeszedłem do stołu, na którym stał termos z pompką. Nalałem sobie filiżankę i patrzyłem na zadowolonych mongołów, którzy mogli mieć po czterdzieści lat. Trudno było określić ich wiek,

ich twarze pozostawały młode, jakby w ogóle się nie starzały, pojawiały się na nich tylko zmarszczki, które nadawały im wygląd dzieciostarców.

Wróciłem do pensjonariuszy z mojego oddziału, zapaliłem papierosa i spojrzałem na Hansa Olava, który zaczął zrywać zasłony.

Alf podniósł głowę i popatrzył mi prosto w oczy. Ciarki przeszły mi po plecach. Wydało mi się, że wie o mnie wszystko, że przenika moje najgłębsze myśli i z całego serca mnie nienawidzi.

– Hans Olav! – Ellen wstała.

Alf znów wbił wzrok w stół, Ellen zatrzymała się przy Hansie Olavie, spuścił głowę, kiedy do niego mówiła. Nagle spojrzał w bok i tam się skierował, jakby w ogóle nie zauważył Ellen ani całej tej sytuacji. Kåre, zgięty pod ciężarem garbu, który wydawał się nie stanowić jego części, ruszył w stronę innego stolika. Siedzący tam opiekunowie przywitali go, ale nie zwrócił na nich uwagi, tylko spuścił głowę i zaczął machać dłonią tuż przy uchu, tak jak się macha puszką, żeby sprawdzić, czy coś jest w środku. Na salę weszła Irene z Ørnulfem. Na jej widok poczułem ulgę, bo w jakiś sposób mnie obchodziła, w ostatnich dniach rozmawialiśmy trochę podczas przerw, spytała, co mnie skłoniło do podjęcia tej pracy, skoro ani stąd nie pochodzę, ani tu nie mieszkam. Wyjaśniłem, że jestem związany z dziewczyną, która mieszka niedaleko, wtedy spytała o jej imię. Gunvor! – powtórzyła po mnie. Chodziłyśmy razem do liceum! Tę informację odebrałem jako upokorzenie, przecież przyglądałem się Irene i sporo o niej myślałem, chociaż miałem nadzieję, że się nie zorientowała, ale w takich sprawach nigdy nic nie wiadomo. Czułem się tak, jakbym zdradził Gunvor. Jednym spojrzeniem rzuconym na Irene, kiedy zmieniała u kogoś pościel, a na podłodze w korytarzu leżała sterta brudnej bielizny. Mojemu spojrzeniu nie można było nic zarzucić, przecież pracowaliśmy na tym samym oddziale, ale towarzyszyły mu myśli, a Irene podobała mi się trochę za bardzo. Raz, kiedy podjechała wózkem kuchennym do stołów i zaczęła nakrywać, zerknęła na mnie i posłała mi zwykły zawodowy uśmiech, w ogóle mną niezainteresowana, traktowała mnie wyłącznie jak kolegę z pracy. To również było dla mnie upokarzające. Poniżenie osaczyło mnie więc z dwóch stron: z jednej – lubiłem ją trochę za bardzo, zważywszy, że byłem związany z Gunvor, a z drugiej – Irene w ogóle nie interesowała się ani mną, ani tym, kim jestem. Oczywiście wszystko to starałem się od siebie odpychać, w żaden sposób nie reagowałem, nic nie mówiłem, pod każdym względem zachowywałem się po-

prawnie, raczej odpychająco niż natarczywie. To, co się między nami rozgrywało, pozostawało ukryte przed wszystkimi, więc chyba można uznać, że nie istniało?

Przyniosła oranżadę i kiełbasę Ørnulfowi, który natychmiast się nachylił i zaczął ssać napój przez żółtą słomkę, ale najwyraźniej uznał, że płyn cieknie za wolno, bo wyrwał słomkę i rzucił ją na podłogę, a potem przyłożył butelkę do ust i opróżnił ją jednym potężnym haustem.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się uprzejmie.

– Co będziesz robił w weekend? – spytała.

– Wybieram się do Gunvor. Przyjedzie po mnie po dyżurze.

– Koniecznie ją ode mnie pozdrów.

– Jasne. A ty?

– Może pojedę do Stavanger. Albo zostanę tutaj. Trochę to zależy od pogody.

– Nie zapowiada się najlepiej. Przecież pada, i to od rana.

– To prawda.

Rozległy się dźwięki *Good Vibrations* Beach Boys. Mongoły kołysały się z boku na bok, niektóre uśmiechnięte, inne głęboko skupione. Słysząc było ryki i stękanie. Ellen wytarła usta Aremu, który z rozdziawionymi ustami gapił się w sufit.

– Cudowna letnia muzyka – powiedziała Irene.

– Mhm.

Mgła wisiała nad drzewami, gęsty deszcz mocno bębnił o ziemię, lśniąca w świetle z okien i latarni. Czekałem przed budynkiem administracji na Gunvor, która miała po mnie przyjechać. Wieczne niebo, szare, nisko zawieszony, niemal dotykało krajobrazu. Było pięknie. Wilgotny asfalt, wilgotna trawa, wilgotne drzewa, ich zieleń przytłumiona szarością, a mimo to mocna i wyraźna. Las powykręcanych kończyn i powyginanych dusz. Wśród rozświetlonych okien i ciszy panującej między drzewami miejsce to było równie straszne, jak pociągające. Wszystko wzbudzało ambiwalentne uczucia, wszystko miało swoje różne strony: nawet jeśli wszelkie rutynowe czynności i ich powolny rytm niekiedy wpędzały mnie w nudę bliską apatii, to jednocześnie przebywa-

nie tu zawsze głęboko mnie poruszało. Czułem się, jakbym biegł, a jednocześnie siedział w bezruchu, z trudem łapałem oddech, a serce waliło mi jak szalone, podczas gdy reszta ciała pozostawała nieruchoma. Chciałem być dobrym człowiekiem, pełnym empatii dla tych, którzy znaleźli się w gorszej sytuacji, lecz gdy się do nich zbliżałem, czułem pogardę i gniew, jakby ich niedoskonałości dotykały czegoś we mnie najgłębszego.

Kiedy razem z Gunvor po długiej podróży samochodem wysiedliśmy na placu przed domem jej rodziców, ciągle czułem w sobie dom opieki, utkwiał we mnie jak zgniła bagienna woda. Zabarwiły się nim wszystkie moje uczucia, wyczuwałem go, nawet gdy wciągałem w płuca świeże, czyste powietrze.

Rodzice Gunvor poszli spać, więc kolację zjedliśmy sami w kuchni, Gunvor zaparzyła herbatę, usiedliśmy w salonie i długo rozmawialiśmy. Pocałowaliśmy się na dobranoc i rozeszliśmy do swoich sypialni, trochę z tego żartując. Czułem się niczym bohater powieści z przełomu wieków – oto młoda para, przepiękna pulsująca radością istnienia, wstrzymywanym pożądaniem, które chwilami przedziera się na powierzchnię, skazana jednak na podporządkowanie się cudzej moralności, otoczona zakazami, odmową, niezyciem. Podobało mi się to uczucie. Nic bardziej romantycznego nie umiałem sobie wyobrazić.

Następnego dnia przed południem, w pożyczonych kaloszach i ubraniu przeciwdeszczowym, poszedłem razem z Gunvor i jej bratem na śliski od wody pomost, wskoczyłem do łodzi, czternasto-, a może szesnastostopowej, i usiadłem na przedniej ławeczce. Brat Gunvor uruchomił silnik i wolno wypłynął tyłem, aż do miejsca, w którym mógł nawrócić i przyspieszyć. Łał deszcz. Las na brzegu wydawał się zieloną ścianą w kontraście z jasnoszarą gładzią wody, którą dziób łodzi ciął, zmieniając ją w wiry białości – tworzyły się w niej przezroczyste tafle, przypominające szkło. Mgliście wyczuwałem głębię, miałem świadomość unoszenia się na jej powierzchni, a to uczucie jeszcze się wzmogło, gdy zatrzymaliśmy się przy sieci i łódź zakołysała się na wytworzonych przez siebie falach. W miarę ściągania sieci daleko w dole zaczął się ukazywać rybi grzbiet. Ryba pływała w koło, coraz wyżej i wyżej, była ogromna, wielkości dziecka, lśniła jak srebro. Unosiła się coraz bliżej powierzchni, a kiedy wreszcie znalazła się na dnie łodzi i brat Gunvor zaczął uderzać w jej łeb drewnianą pałką, stawiała taki opór, że w końcu musiał usiąść na niej okrakiem, a my również staraliśmy się z całej siły ją przytrzymy-

wać. Siła, która kryła się w tym pięknym ciele, była przerażająca.

W drodze do domu, kiedy ryba leżała nieruchomo między naszymi stopami i tylko od czasu do czasu drżała konwulsyjnie, wciąż miałem przed oczami jej obraz, w momencie gdy wynurzała się z wody. Wydawała się pochodzić z zupełnie innej epoki, wyłaniała się z otchłani czasu, bestia, potwór, pradawna siła, a jednocześnie miała w sobie wyrazistość i prostotę. Widziałem tylko wodę, błysk srebra w głębinie i potężną moc, która targała nią aż do śmierci.

Deszcz uderzał w martwe ciało, spływał po skrzelach i zupełnie białym brzuchu.

W tę niedzielę Gunvor miała wieczorny dyżur, więc już wczesnym popołudniem wsiadłem do autobusu i koło piątej wróciłem do swojego mieszkania. Myślałem, że trochę popiszę, zanim pójdę spać, ale poddałem się już po półgodzinie, miałem wrażenie, że wśród takiej obcości nic nowego nie zdołam zacząć, więc wybrałem się na spacer do centrum i wiedziony impulsem, wszedłem do chińskiej restauracji, zjadłem tam obiad, jako jedyny samotny człowiek w lokalu wypełnionym rodzinami, które przyszły na niedzielny posiłek. Potem długo leżałem i czytałem powieść V.S. Naipaula, którą kilka dni wcześniej znalazłem na wyprzedazy w skrzynce przed księgarnią, nosiła tytuł *Ankomsts gâte*^[24]. Podobała mi się, chociaż nie było w niej żadnej akcji, lecz jedynie opis człowieka, który przeprowadził się do domu gdzieś na zapadłej angielskiej wsi, w zupełnie obce otoczenie, ale powoli zaczynał odnosić zwycięstwo nad krajobrazem, czy też krajobraz nad nim. Pomyślałem, że proza jest czymś, w czym można odpocząć, tak jak można odpocząć w jakimś miejscu, pod drzewem albo na leżaku w ogrodzie, i że to jest wartością samo w sobie. Właściwie dlaczego pisać o wydarzeniach? X kocha Y, Z zabija R, S dopuszcza się malwersacji, odkrywa to T... Jego syn, A, straszenie się tego wstydy i przeprowadza się do innego miasta, gdzie poznaje B, zamieszkują razem, rodzą im się dzieci, C i D... Czym jest opis ojca w porównaniu z opisem drzewa na łące? Opis dorastania w porównaniu z opisem lasu widzianego ze wzgórza?

Gdybym tylko potrafił opisać las widziany z lotu ptaka! Otwartość i swobodę drzew liściastych, wspólne falowanie koron widocznych z daleka, zielonych, cudownych i żywych, ale żywych nie na nasz sposób, tylko własny, równie prosty, jak tajemniczy. Strzelistą wysmukłość świerków, ubogą dumę sosen, bladą chciwość brzoź, no i osiki, to drzenie osik, kiedy wiatr hula po zbo-

czu!

Zieleń, szarość, czerń. Leśne bajorka i goła ziemia, wykroty i bagniska, polany i zagajniki, kamienne ogrodzenia ze starości wręcz wrośnięte w krajobraz, jeziora z liliami wodnymi i martwymi drzewami zwalonymi w muł. Łąki i pola, wąwozy i urwiska, porośnięte sosnami piaski i wrzosowiska, rzeki i strumienie, wodospady i zakola. Jesiony, osiki, buki, dęby, jarzębiny, brzozy, wierzby, olchy, wiązy, sosny, świerki. Każde z nich ma szczególną, indywidualną formę, a jednocześnie reprezentuje to samo.

Ale nie potrafiłem o nich pisać, pozostawały całkowicie poza moim zasięgiem, nie wystarczało mi słów, nie znałem sposobu, który by mi pozwolił się do nich zbliżyć, dostatecznie się w nie zagłębić, a poza tym za mało o tym wszystkim wiedziałem. Ostatni raz byłem w lesie, kiedy chodziłem do dziewiętej klasy. Nie byłem w stanie odróżnić olchy od jesionu, nie umiałem nazwać żadnych kwiatów oprócz konwalii i niezapominajek, a także tych, które nazywaliśmy kaczeńcami, chociaż z całą pewnością nosiły inną nazwę.

Nie potrafiłem opisać lasu, ani oglądanego z lotu ptaka, ani z jego głębi.

Czy zdołałbym opisać przybycie w jakiś krajobraz, jak zrobił to Naipaul?

Nie. Nie miałem w sobie spokoju, który on posiadał, a tej pewności i jasności, właściwej wszystkim wielkim prozaikom, nie potrafiłem stworzyć nawet w postaci pastiszu.

Tak więc wyglądało czytanie Naipaula, podobnie zresztą, jak czytanie niemal wszystkich innych dobrych pisarzy, z taką samą dawką przyjemności, jak zazdrości, radości, jak rozpachy.

Ale przynajmniej lektura odciągała moje myśli od domu opieki, a tamtego wieczoru, przed rozpoczęciem nowego tygodnia pracy, właściwie jedynie tego poszukiwałem. Myśl o zakładzie, to znaczy o wszystkich tych dniach, które jeszcze miałem tam spędzić, była gorsza i bardziej nieznośna niż same te dni, bo one przecież zawsze w końcu mijały. Kiedy kręciłem się po oddziale, między kuchnią a dyżurką, między pralnią a jadalnią, miałem wrażenie, że cała reszta zniknęła; oddział ze swoim ostrym światłem, podłogą pokrytą linoleum, z nieprzyjemnymi zapachami, mnóstwem frustracji i natręctw ruchowych, stanowił osobne życie, w które się zapadałem, otaczało mnie ze wszystkich stron, przestąpienie progu korytarza było niczym wejście do ściśle wydzielonej strefy. Nie było pozbawione problemów, lecz te problemy wiązały się z tamtym

życiem, z tamtymi ludźmi, zarówno z opiekunami, jak i z pensjonariuszami. Miało to pewien związek z tym, że byliśmy zamknięci na klucz, że poruszaliśmy się po ograniczonej przestrzeni, w której każde przesunięcie w jedną czy w drugą stronę nabierało wręcz niesłychanej wagi, a jednocześnie powolny upływ czasu i brak czegoś, co pozwalałoby się z niego wyrwać, usypiało trwające tam życie, wprawiało je niemal w bezruch.

Większość weekendów spędzałem u Gunvor, chodziliśmy się kąpać i po prostu odpoczywaliśmy, spacerowaliśmy po lesie, oglądaliśmy telewizję i jeździliśmy samochodem, kiedy miała ochotę zapalić, bo w domu otwarcie nie paliła. Kochałem ją, ale bez życia w Bergen, w którym działo się tyle innych rzeczy, stało się dla mnie jasne, że to mi nie wystarcza, że ona mi nie wystarcza; myślałem o tym z przykrością, zwłaszcza gdy siedzieliśmy przy obiedzie z jej rodzicami, którzy tak ją kochali, lub gdy oglądaliśmy telewizję czy wieczorem graliśmy w Trivial Pursuit, bo nawet jeśli Gunvor tego nie widziała czy nie umiała zobaczyć, dostrzegła to jej matka, co do tego miałem pewność. Kimże więc byłem wtedy, kiedy z nimi siedziałem?

Któregoś wieczoru kąpaliśmy się w pobliżu gładkich skał. Powietrze było nagrzane, pełne owadów, słońce wisiało tuż nad czubkami drzew. Później przez pewien czas siedzieliśmy obok siebie, patrząc w dal. Nagle Gunvor wstała, stanęła za mną i zasłoniła mi rękami oczy.

– Jaki mam kolor oczu? – spytała.

Zmroziło mnie.

– Co to ma znaczyć? Chcesz mnie przetestować?

– Tak. No powiedz, jaki kolor?

– Daj spokój, nie musisz mnie sprawdzać. Oczywiście, że wiem, jakiego koloru masz oczy.

– No to powiedz.

– Nie, nie powiem. Nie chcę, żebyś mnie testowała.

– Bo nie wiesz.

– Oczywiście, że wiem.

– To powiedz. Przecież to takie proste.

– Nie.

Puściła mnie i ruszyła pod górę. Wstałem i poszedłem za nią. Powiedzia-

łem, że ją kocham, ona – żebym przestał, ja – że to prawda i że mówię to ze szczerego serca. Ale taki już ze mnie egoista, nieuważny, daleki i roztargniony, to nie ma z nią nic wspólnego.

W weekendy, które tam spędzałem, robiłem dużo zdjęć; w poniedziałki wywoływałem je w zakładzie fotograficznym. Kilka wysłałem w liście do taty. Napisałem, że to moja nowa dziewczyna, Gunvor, że na zdjęciu stoję obok konia w gospodarstwie jej rodziców. Jak widzisz, za bardzo się nie zmieniłem. Mam zamiar zajrzeć do ciebie latem, ale na pewno zadzwonię i o tym uprzedzę. Wszystkiego dobrego, Karl Ove.

Kiedy sześć tygodni pracy w domu opieki dobiegło końca, popłynąłem promem do Stavanger, a stamtąd pociągiem pojechałem do Kristiansand. Na kilka dni zatrzymałem się u Jana Vidara, który razem ze swoją dziewczyną, Ellen, przeprowadził się do szeregowca na jedno z podmiejskich osiedli. Siedzieliśmy w ogrodzie, piliśmy piwo i wspominaliśmy dawne czasy, gadaliśmy o tym, co kto teraz robi. Jan Vidar skończył kurs nurkowania, o czym tak kiedyś marzyłem, to hobby zajmowało mu sporo czasu, a poza tym głównie pracował. Z nim zawsze tak było. Już od czasów szkoły zawodowej wstawał w środku nocy i zaczynał pracę jako cukiernik i piekarz. Przypomniałem sobie nagle, że był beznadziejnym towarzyszem w kinie, bo zaledwie po kilku minutach w ciemności oczy mu się zamykały, bez względu na to, co się działo na ekranie.

Dom stał na wzgórzu, z ogrodu na tyłach roztaczał się widok na odnogę fiordu, niebo było błękitne, wiatr z lekka poruszał drzewami na zboczu w dole, jak zawsze po południu. Mieli kotkę, Jan Vidar opowiedział, co się stało, kiedy się okociła. Okazało się, że nie dojrzała do macierzyństwa, albo może coś innego było z nią nie tak, w każdym razie któregoś popołudnia Ellen wróciła do domu i zobaczyła, że młoda matka zabiła wszystkie swoje dzieci, urządziła prawdziwą krwawą jatkę. Jan Vidar śmiał się, kiedy o tym opowiadał, ale ja byłem wstrząśnięty, gdy wyobraziłem sobie, jak to musiało wyglądać. Te piski, miauczenie i pełzanie po kocu.

Nazajutrz obudziłem się w pustym domu i pojechałem autobusem do miasta, pełny dawnej paniki, dzień był fantastyczny, na niebie ani jednej chmury, a ja, zamiast wybrać się gdzieś za miasto, chodziłem spocony po ciasnych, rozpalonych ulicach, podczas gdy inni popłynęli łodziami na wyspy, kąpali się, pili

piwo i świetnie się bawili. Mnie się to nigdy nie udało. Nigdy nikt mnie nie zapraszał na takie wypadki, a samotnie nie spędza się czasu w ten sposób. Czym w porównaniu z tym był sklep z płytami w piękny słoneczny dzień w Kristiansand? Czym była biblioteka? Kto tam siedział z nosem w książkach?

Odwiedziłem babcię i dziadka, nie kryli zaskoczenia na mój widok. Opowiedziałem trochę o życiu w Bergen, o tym, że mam dziewczynę, że często widuję się z Yngvem, któremu świetnie się układa. U nich nic się nie zmieniło. Wracając autobusem do Jana Vidara, myślałem o tym, że u dziadków wszystko jest jak dawniej, jakby osiągnęli swój ostateczny wiek i od tej pory nie będą ani o jeden dzień starsi.

W Kristiansand nie miałem nic więcej do roboty, to już nie był „dom”. Bergen również nie było domem. Myśl o powrocie tam i o rozpoczęciu nowego semestru nie napawała mnie radością, ale jaką miałem alternatywę?

Ostatniego dnia moich króciutkich wakacji na południu kraju wybrałem się do taty i Unni. Nawet się cieszyłem na to spotkanie, kiedy szedłem od przystanku autobusowego na E18 uliczkami osiedla, na którym mieszkali. Czułem też jednak cień strachu przed tatą, jak zawsze, gdy się do niego zbliżałem. Kiedy wszedłem, siedział na kanapie, nie wiedziałem, w którą stronę mam patrzeć, tak utył. Wyglądał jak beczka, opalony na ciemny orzech, w szortach i wielkiej, luźnej koszuli. Spojrzenie miał mroczne.

– No to jesteś – powitał mnie. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Dziękujemy za list – powiedziała Unni. – Tak się cieszymy, że jesteś z Gunvor. Mieliśmy nawet nadzieję, że ją przywieziesz.

– Tylko to imię! – odezwał się tata.

– Gunvor całe lato pracuje – wyjaśniłem. – Ale oczywiście też ma ochotę was poznać.

– Co studiuje? Historię? – spytała Unni.

– Tak.

– I jeździ konno? Czy po prostu zrobiliście zdjęcie przypadkowemu koniowi?

– Nie, nie, jeździ, i to jeszcze jak. Spędziła rok na Islandii wyłącznie z powodu tamtejszych koni.

Tata i Unni długo na siebie patrzyli.

– Myślmy nawet o tym, żeby trochę pomieszkać tam razem. Może w przyszłym roku – dodałem.

– Fajnie, Karl Ove.

Usiadłem w fotelu naprzeciwko taty. Wypił łyk piwa, które miał pod ręką. Unni wyszła do kuchni. Nie odzywałem się, on też się nie odzywał.

– Co słyhać na północy? – spytałem po dłuższej chwili i zacząłem skręcać papierosa.

– Wszystko w porządku. – Spojrzał na mnie. – Napijesz się piwa?

– Mogę się napić.

– Znajdziesz w kuchni.

Wstałem, poszedłem tam. Unni siedziała przy stole i czytała gazetę. Otworzyłem lodówkę i wyjąłem piwo, uśmiechnęła się do mnie.

– Ładna ta twoja Gunvor – stwierdziła.

– To prawda. – Też się uśmiechnąłem i wróciłem do taty.

– No dobrze – powiedział.

– Zdrowie!

Nie odpowiedział, ale przynajmniej uniósł butelkę i wypił łyk.

– Co tam z tymi twoimi gryzmołami? – spytał po chwili.

– Na razie głównie studiuję.

– Powinieneś wybrać kierunek, który zapewniłby ci chleb, nie jakieś tam literaturoznawstwo.

– Może z czasem.

– A co studiuje Yngve?

– Media.

– Pewnie niegłupio. Głodny jesteś?

– Trochę.

– Niedługo zrobię obiad. Ale na razie jest strasznie gorąco. Niedobrze jeść w takim upale, traci się apetyt. To dlatego na południu Europy jedzą tak późno.

W tej krótkiej wypowiedzi kryła się poufałość, która mnie ucieszyła. Opróżniłem butelkę, poszedłem po drugą, poczułem chęć, żeby się upić. Już dawno nie byłem na rauszu.

No i się upiłem. Tata usmażył kotlety i ugotował ziemniaki, zjedliśmy, Unni

wcześnie się położyła, a my dalej siedzieliśmy i piliśmy w półmroku. Tacie nie chciało się zapalać lampy, więc i ja tego nie zrobiłem. Powiedział, że on i Unni zawsze są razem, że nie potrafią bez siebie wytrzymać, już po kilku godzinach zaczynają tęsknić, tak jak wtedy, kiedy pracował jako egzaminator w Kristiansand i miał się z nami spotkać w hotelu Caledonien, ale nic z tego nie wyszło. Nie radził sobie bez Unni, więc pił w samotności, aż zasnął. Pamiętasz to, Karl Ove? Dwa dni później hotel spłonął, mogłem tam wtedy być. Tak, tak, pamiętam, potwierdziłem, też o tym myślałem.

Zapadł się w siebie, więc przyniosłem kolejne piwo, poszedłem się wysikać, wróciłem, tata wstał, wyszedł do toalety, wrócił, pił, powiedziałem, że jesienią umarła babcia. No tak, pokiwał głową, przecież chorowała. Dopilem piwo, on dopił swoje, przyniosłem dwa nowe, pomyślałem, że nie ma w tym nic strasznego, że nawet dość fajnie siedzieć tu razem z nim, czułem się silny. Gdyby teraz mnie zaatakował, umiałbym mu oddać. Ale nie zaatakował. Dlaczego miałby to robić? Zapadł się gdzieś głęboko w siebie. W końcu wstał i stanął przede mną w półmroku – gruby, brodaty, pijany facet, który był moim ojcem, kiedyś wzór poprawności, starannie ubrany, szczupły i przystojny, młody, szanowany nauczyciel i polityk. Powiedział: No, idziemy spać, jutro też jest dzień.

Unni pościeliła mi w pokoju na dole. Położyłem się, głowę rozsadały mi myśli i uczucia, chłonałem dotyk chłodnej, czystej pościeli, czerpałem przyjemność z leżenia w obcym pokoju nienależącym do mnie, gdzie mimo wszystko byłem na swoim miejscu, przynajmniej w pewnym sensie. Na zewnątrz wiatr szumiał w drzewach, na górze trzeszczała podłoga, a jasna letnia noc coraz bardziej bladła, aż w końcu ukazały się pierwsze prześwity błękitu i zaczął się nowy dzień.

Ostatnie tygodnie lata spędziłem u mamy. To miejsce było dla mnie niczym schron, tu wszystko, z czym na ogół się zmagalem, przestawało istnieć. Kjar-tan, którego mama odwiedzała niemal codziennie, odkąd zabrano go do szpitala, wreszcie został wypisany. Spotkałem się z nim, wydawał się słaby, zupełnie pozbawiony siły, odrobinę sztywniejszy niż kiedyś, ale poza tym był zdrowy. Pokazał mi kilka swoich nowych wierszy, były fantastyczne. Powiedział, że wraca do Bergen i podejmuje studia. Nie pytałem, co się stało, w takie sprawy nie można wchodzić z butami, ale po jakimś czasie sam mi opowie-

dział. Demolując mieszkanie, krzyczał, że ma czterdzieści lat. Mam czterdzieści lat, krzyczał i niszczył wszystko, co mu się nawinęło pod rękę. W szpitalu w Førde wbił sobie do głowy, że jest w Japonii, a ci, którzy go przyjmowali, to Japończycy, więc skłonił się im głęboko, tak jak nakazuje japoński obyczaj. Zanurzony w psychozie, słyszał też głosy, stale otrzymywał polecenia od Boga, a ja pomyślałem, że może i było coś dobrego w tym, że ktoś się Kjartanem opiekował, chociaż to jednocześnie przerażało, ponieważ ten ktoś również był nim, jego częścią.

*

Po powrocie do Bergen zacząłem pisać nową powieść. Akcja rozgrywała się nad fiordami w latach dwudziestych dwudziestego wieku, w pierwszym rozdziale główny bohater, który wkrótce miał się żenić, grał z powodzeniem w karty w baraku w górach, ale nie chciał wydawać na ślub pieniędzy z hazardu, więc oddał wszystko z powrotem do puli i z satysfakcją obserwował podniecenie kompanów z powodu tak wielkiej sumy do wygrania. Główną postacią drugiego rozdziału był młody człowiek w Bergen w latach osiemdziesiątych; patrzył na swoje książki na półce i czekał na dziewczynę, w kuchni perkotał zaparzaczkę do espresso, a on myślał o swoich starych dziadkach z zagrody nad fiordem, o tym, że babcia jest chora, że ich życie dobiega końca. Zaczął się semestr, a ja nie dotarłem dalej, bo każde zdanie pisałem, skreślałem i bez końca tworzyłem od nowa, wszystko z mozołem przepracowywałem, to był bardzo czasochłonny proces, a ponieważ już za kilka miesięcy miałem oddać pracę dyplomową na zakończenie studiów na poziomie średnio zaawansowanym, odłożyłem tę powieść na bok.

Tytuł roboczy pracy brzmiał: „Intertekstualność w *Ulissesie* Jamesa Joyce’a”. Wiedziałem, że jest ambitny, ale miałem w tym swój cel. Chciałem dostać wyjątkowo dobrą ocenę, więc musiałem się postarać.

Ponieważ to Julia Kristeva pierwsza użyła określenia „intertekstualność”, skoncentrowałem się najpierw na niej i przeczytałem *Revolution in Poetic Language*^[25], ale nie zdołałem sobie tego przyswoić, było to dla mnie zyczajnie za trudne. Dużo pisała o Lacanie, a ponieważ postanowiłem dotrzeć do źródeł, przeczytałem książkę o nim przetłumaczoną na szwedzki – niestety, okazała się równie trudna, zwłaszcza że oboje przyjmowali za coś w rodzaju podstawy strukturalizm, ten zaś był mi zupełnie obcy. Poniekąd czułem dumę, że zajmuję się czymś na tak wysokim poziomie, ale jednocześnie byłem zrozpaczony i wściekły, ponieważ nigdy do końca nie udawało mi się pojąć, o co w tym wszystkim chodzi. Zawsze tylko prawie, nigdy całkiem. Szkopuł ponadto tkwił w tym, że wielu elementów, do których się odwoływali, po prostu nie znałem. Jeśli coś wiedziałem, to tylko mniej więcej, a to nie wystarczało, przy

takim cząsteczkowym rozbiorze literatury dokładność była warunkiem bezwzględnym. Samego *Ulissesa* natomiast wcale nie było trudno zrozumieć. Opowiadał o jednym dniu w życiu trojga ludzi, w rozdziałach napisanych bardzo różnymi stylami. Znalazłem pozycję, w której omówione zostały wszystkie odniesienia do Dantego znajdujące się w *Ulissesie*; wątpiłem, by miał ją któryś z wykładowców, dlatego uznałem, że mogę spokojnie z niej korzystać, licząc, że uda mi się wykazać, iż obecność Dantego u Joyce'a jest głównym przykładem intertekstualności tego dzieła.

Kiedy dostałem kredyt studencki, od koleżanki Yngvego, Borghild – poznałem ją podczas swojej pierwszej bytności w Operze, później została naczelną czasopisma kulturalnego „Syn og Segn”, a przez chwilę kręciła trochę z Asbjørnem – kupiłem używany komputer Olivetti. Chciała za niego pięć tysięcy, jedną czwartą mojego kredytu, ale ponieważ uznałem, że chodzi o moją przyszłość, szarpnąłem się i pierwszy raz w życiu zacząłem pisać na ekranie zamiast na kartce. Zielone futurystyczne litery, napęczniałe od światła, zapisywane na dyskietkach, jak się to nazywało, z których można je było w dowolnej chwili odtworzyć. Na komputerze była też gra, *Yatzy*, potrafiłem całymi godzinami rzucać kośćmi, również zielonymi i nabrzmiałymi światłem. Zdarzało mi się właśnie od tego zaczynać dzień, od godziny *Yatzy* przed śniadaniem. Yngve i Asbjørn też grali, więc zawsze gdy ustanowiłem nowy rekord, chwaliłem się nim, kiedy się spotkaliśmy.

Gunvor także kupiła komputer, czasami zabierałem dyskietki do niej i tam pisałem, kiedy już poszła spać i w odległości zaledwie kilku metrów ode mnie oddychała równo w łóżku i wierciła się, jak robią zwykle śpiący ludzie, przebywając w świecie zupełnie innym niż ja, lub po jej wyjściu do czytelnii. Sam nie pokazywałem się na uniwersytecie, w tym semestrze chodziło głównie o napisanie pracy, więc uznałem, że równie dobrze mogę czytać i pisać w domu. W praktyce kończyło się to tak, że nie robiłem absolutnie nic, dni miały mi na zakupach, jedzeniu śniadania, czytaniu gazety, wyglądaniu przez okno, czasami na wyjściu do miasta, do sklepów z płytami czy antykwariatów, powrocie do domu na obiad, spędzeniu wieczoru z Espenem albo z Gunvor, chyba że wychodziłem się napić za to, co miałem w szybko chudnącem portfelu. Jeśli piłem z Espenem albo z Gunvor i jej przyjaciółmi, zawsze kończyło się dobrze, wracałem do domu, nie tracąc nad sobą kontroli, natomiast zabawa z innymi, to znaczy z Yngvem i jego kumplami, oznaczała dużo większe ryzyko.

Któregoś dnia wróciłem o piątej nad ranem, nie mogłem znaleźć klucza, więc zadzwoniłem do drzwi, bo Gunvor na szczęście nocowała u mnie. Otworzyła, w oczach miała strach, wyminąłem ją, chciałem jedynie spać, nic nie pamiętałem – ani jak się tu dostałem, ani co w ogóle się wydarzyło tego wieczoru, istniała jedynie chwila, kiedy stałem pod drzwiami i szukałem klucza.

– Czyja to kurtka? – spytała Gunvor.

– Moja, oczywiście.

– Wcale nie twoja. Nigdy nie miałeś takiej kurtki. Co to jest? Poplamiona krwią! Co się stało?

Spojrzałem na kurtkę, niebieską, dzinsową. Rzeczywiście, na pole widniała krwawa plama.

– To moja kurtka, mam ją od kilku lat. Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz. Idę się położyć. Jestem strasznie zmęczony.

Kiedy się obudziłem, minęła pierwsza, łóżko było puste. Gunvor jak zwykle o dziewiątej wyszła na zajęcia.

Pamiętałem jedynie, że byłem w Garage, a potem znalazłem się pod drzwiami.

Zdjęty lodowatym strachem, wyszedłem do przedpokoju i popatrzyłem na wiszącą tam kurtkę. Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

To nie musiało nic oznaczać. Pewnie balowałem później na jakiejś imprezie i wziąłem czyjąś kurtkę ze stosu, byłem pijany, więc nic w tym dziwnego.

No, ale ta krew?

W łazience przejrzałem się w lustrze. Nie miałem rozbitego nosa, nawet kropelka mi z niego nie poleciała.

Ta kurtka na pewno była zakrwawiona już wcześniej.

Umyłem twarz zimną wodą i przeszedłem do kuchni. Usłyszałem, że u Jonego gra radio, więc zapukałem do niego i zajrzałem. Siedział w fotelu, w rękę trzymał okładkę jakiejś płyty.

– Chcesz kawy? – spytałem. – Bo nastawiam.

– Jak ty wyglądasz? – Roześmiał się. – Zabalowałeś w nocy?

Kiwnąłem głową.

– Chętnie się napiję – powiedział.

– Nic nie pamiętam.

– I strach cię obleciał?

– Tak.

– Wszystko będzie dobrze. Na pewno nic złego się nie stało. Pachniesz perfumami?

– Nie.

– No to na bank wszystko jest okej. Przecież nikogo nie zabiłeś.

Ale właśnie tego się obawiałem.

Nastawiłem zaparzaczkę do kawy, a w rondelku podgrzałem mleko. Jone przyszedł do kuchni, kiedy ekspres już się wyprychał, sięgnął do szafki po filiżankę, nalał sobie kawy i z nogą opartą o krzesło zaczął dmuchać na parującą powierzchnię.

– Rano przed moim wyjściem zjawiała się policja – oznajmił.

– Ale śmieszne.

– Naprawdę! Schodziłem na dół, no i wiesz, przy tych drzwiach koło skrzynek na listy stało dwóch policjantów. Otwierali je łomem. Nic nie mówili, nie odezwali się ani słowem, nawet na mnie nie spojrzeli, tylko dalej wyważali te pieprzone drzwi. Jakiś absurd!

– Nalot czy coś takiego? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

Na parterze mieszkali imigranci. Zawsze było tam pełno ludzi, Espen podejrzewał, że handlują narkotykami, obecność policji również by na to wskazywała; z drugiej strony, mogli na przykład nie mieć po prostu zezwolenia na pobyt. Jone, który chętnie gadał ze wszystkimi, próbował nawiązać kontakt również z tymi sąsiadami, ale bez powodzenia.

– A co tam słyhać w zespole? W Kafkatrakterne? – Roześmiał się, jego zdaniem, nazwa była za bardzo studencka.

– Wszystko dobrze – odparłem. – Dzisiaj mamy próbę.

– A tak w ogóle, to nieźle mi się tam poszczęściło. Chcesz zobaczyć?

W weekend pojechał w obie strony autobusem aż do Trondheim, wyłącznie po to, żeby być na giełdzie płyt.

Wszystko, co odciągało uwagę od minionej nocy, było dobre, więc poszedłem za nim do pokoju. Wyjął kilka singli, wszystkie w foliowych koszulkach, głównie norweski punk i nową falę.

– Pamiętasz to? – Podał mi *La meg være ung* Blaupunktu.

– Pewnie.

Betong Hysteria, Kjøtt, Wannskrækk, Lumbago, The Cut, kilka singli De-Press.

– To jest coś dla ciebie – stwierdził, wyjmując płytę XTC w idealnie okrągłej obwolucie w kształcie koła pociągu. To był *The Big Express*.

– Ile za to chcesz?

– Niedużo. Sto pięćdziesiąt? Dwieście?

– Dlaczego nie dwieście pięćdziesiąt? – spytałem.

Roześmiał się.

– Rezygnuję. Już ją mam – powiedziałem, ale nagle uderzyłem się ręką w czoło. – To znaczy m i a ł e m. Całkiem zapomniałem o tym idiotycznym stoisku na twojej giełdzie.

Pod koniec ubiegłego semestru tak się splukałem i pożyczyłem tyle forsy, że uległem pokusie i wynająłem kilka metrów kwadratowych placu na giełdzie płyt, którą Jone organizował w Bergen, no i sprzedałem wszystkie swoje krążki. Poszły co do jednego. Dostałem za nie kilka tysięcy, które przepiłem tydzień później. To było akurat w okresie, kiedy w Bergen się gotowało, wszyscy się bawili – i na tym się skończyło. Tworzona sześć lat kolekcja wyrzucona w błoto. W tych płytach była cała moja dusza. I też trochę dlatego to zrobiłem. Chciałem wszystko wyczyścić, pozbyć się tego całego gówna. Oczywiście gównem nie była muzyka, tylko związane z nią wspomnienia.

– Jeśli nie interesuje cię kolekcjonowanie, to teraz i tak liczą się kompaktki – stwierdził Jone. – Mądrze postąpiłeś, że sprzedałeś te płyty. Nie żałuj.

Znów się roześmiał.

– Wróciłem dziś do domu w zakrwawionej kurtce – powiedziałem. – W dodatku nie swojej. I kompletnie nic nie pamiętam. Nic.

– Przecież ty jesteś człowiekiem o gołębim sercu, Karl Ove, więc spokojnie. Na pewno nic złego nie zrobiłeś.

– Mam takie uczucie, jakbym kogoś zabił.

– Zawsze je masz. Z całą pewnością chodziłeś i powtarzałeś, że wszyscy ludzie dookoła są cudowni.

– Może i tak.

- No, muszę iść do szkoły, mam dzisiaj zajęcia po południu.
- Dobrze, ja też wychodzę. Później pogadamy.

Nie ćwiczyliśmy już w Stoczni, Pål załatwił piwnicę w Centrum Wysokorozwiniętych Technologii, znajdującym się po drugiej stronie mostu, na wprost mojego mieszkania, w szarym budynku, poprzecinanym niebieskimi liniami, z niebieskim logo, przypominającym najbardziej butelki z mydłem pod prysznic, te z szarego rowkowanego plastiku, z niebieskim kapturkiem. Mieściło się tam laboratorium Påla, byłem u niego raz i przechodziłem przez kolejne pokoki z różnymi urządzeniami, coraz bardziej wytrzeszczając oczy. Uwielbiałem „naukę”, to znaczy atmosferę otaczającą ten rodzaj działalności, ale nie naukę samą w sobie, którą gardziłem za jej techniczność, instrumentalizm, nie-ludzkość i ograniczającą myślenie racjonalność. Ale w pojęciu „nauka” zawierało się wszystko, począwszy od okrętu podwodnego kapitana Nemo po codzienne zapiski Darwina z podróży na okręcie Beagle, a więc Giordano Bruno spalony na stosie, Galileusz, który przyznał się do popełnienia błędów, jak sobie tego życzył Kościół, straszliwe, jak się później okazało, zmagania madame Curie z promieniowaniem, wreszcie rozszczepienie atomu przez Openheimera i jego zespół, ale mieścił się w tym terminie również człowiek, któremu w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku wbił się w głowę metalowy pręt i spowodował u niego kompletną zmianę osobowości – ten człowiek był najpierw dobry, a później zły, dzięki niemu medycyna zrobiła ogromny krok naprzód, ponieważ okazało się, że konkretne obszary mózgu odpowiadają za konkretne funkcje, i jeden z nich właśnie zlokalizowano, co umożliwiło rozwój teorii dotyczących lobotomii. Czy istniało coś gorszego i straszniejszego niż lobotomia? Jeśli tak, to chyba ludzie, którzy wiązali swoich pacjentów pasami i ładowali w nich ogromne dawki prądu, żeby się otrząsnęli z depresji. A jednak w czymś to pomogło, nauka była na dobrej drodze. Podobało mi się na przykład, że ktoś nauczył się panować nad elektrycznością, oswajając ją i magazynować, bo dzięki temu świat otrzymał coś nowego. Jednocześnie dostrzegałem w tym pewne szaleństwo, w tym pędzie, który nagle został uwolniony, czy w świetle nagle rozjaśniającym całą okolicę. Traktowanie ludzkiego ciała jako pola doświadczeń, jako czegoś, co można na przykład podłączyć do prądu, żeby sprawdzić, jak zareaguje, albo w czym można przecinać połączenia mózgowe, by wyczarować bardziej harmonijny typ osobowo-

ści, należałoby właściwie uznać za nieprawdę, za przedsięwzięcia z czasów przedbiblijnych, ale prawda wyglądała właśnie tak, właśnie takie działania podejmowano, zaś ową aurę kompletnego szaleństwa dawało się wyczuć również tutaj, w tych niewielkich pokoikach z mikroskopami i próbkami wszyskiego, co istnieje pod wodą, upolowanego w głębinach morza przez statek badawczy. Nie wiedziałem dokładnie, czym się zajmują, i w ogóle mnie to nie obchodziło, widziałem jedynie „naukę”, romantyzm niebieskich gumowych rękawiczek.

Pål nigdy mi do tego nie pasował, był najbardziej nienaukowym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem, lecz może właśnie dlatego osiągał w pracy tak dobre wyniki.

Z Yngvem i Hansem spotkałem się na dole w recepcji, Pål jak zawsze się spóźniał, więc pojechaliśmy windą do jego działu. Stał pochylony nad biurkiem, opadające z boku długie włosy zasłaniały mu twarz jak firanka.

– Prawda! – Klepnął się w czoło. – Przecież pora na próbę!

Jego gitara basowa stała w kącie, wziął ją i windą zjechaliśmy do piwnicy, Pål nam otworzył. Pomieszczenie było duże, betonową podłogę pokrywała żółta wykładzina dywanowa. Stały tam perkusja, kilka wzmacniaczy i mikrofony.

Ogarnęło mnie podniecenie na widok tego sprzętu i trzech chłopaków, którzy natychmiast zaczęli otwierać futerały i wypakowywać instrumenty, kable, pasy, kostki, podłączać się, podkręcać wzmacniacze, stroić gitary, ustawiać dźwięk, zawsze o tym marzyłem, o graniu w zespole, o robieniu tego, co robią zespoły. Uderzyłem parę razy w werbel, naciągnąłem go, chociaż w zasadzie nie umiałem go nastroić, nie słyszałem właściwego brzmienia. Postukałem w bęben basowy, podkręciłem śrubę przy talerzach *crash* i przyciągnąłem je bliżej, moim zdaniem całkiem udanie naśladowując prawdziwego perkusistę.

– Rozmawiałem dzisiaj z kimś, kto organizuje wielką imprezę sylwestrową – powiedział Yngve.

Spojrzałem na niego, miał tajemniczą minę, ukrywał sekret prawie jak dziecko, uśmiechając się przy tym.

– Ktoś cię oszukał – stwierdził Pål. – Sylwester to nie dzisiaj.

– Zapłacili ci, żebyś się trzymał z daleka? – spytał Hans.

– Ale śmieszne – powiedział Yngve. – Chcą, żebyśmy zagrali!

- To znaczy, że mamy grać do tańca w sylwestra?
- No właśnie – potwierdził Yngve. – To ma być w Ricks. Przyjdzie mnóstwo ludzi, więc musimy ćwiczyć.
- A co będziemy grać? – spytał Hans.
- Nie bardzo wiem – odparł Yngve. – A nie możemy po prostu zagrać tych kawałków, które już umiemy?

Graliśmy razem od blisko roku i szło nam coraz lepiej, zwłaszcza mnie, bo chociaż ciągle byłem kiepskim perkusistą i zawsze miałem takim pozostać, dzięki pomocy innych udało mi się opracować *beat* do poszczególnych utworów według stałego wzoru, którego mocno się trzymałem. W domu wielokrotnie w ciągu dnia powtarzałem sobie najdrobniejsze szczegóły każdej piosenki, miałem je w palcach aż po najdelikatniejsze uderzenie w talerze, bębniłem ręką o udo, stukałem nogą o podłogę, a wszystko po to, aby uzyskać minimum rytmu i ciągłości potrzebnych zespołowi. Pół jednej próby zeszło na tym, że usiłowali nauczyć mnie synkopy. Godzina. Przez godzinę w kółko ten sam fragment, a ja nie byłem w stanie trafić w to jedno właściwe miejsce, czułem się coraz bardziej głupio, cierpliwość wszystkich wyraźnie się wyczerpywała, okazałem się kompletnym idiotą, przecież to takie p r o s t e, no i nagle mi poszło. Nieustannie się bałem, że mnie wywalą, bo wszyscy trzej, Yngve, Pål i Hans, byli dobrymi muzykami, i gdyby się mnie pozbyli, mogliby grać o wiele lepiej, co często im powtarzałem, ale oni ciągle mówili swoje: daj spokój, przestań się wygłupiać, jasne, że to ty będziesz grał na bębnach.

Po próbie Yngve, Hans i ja ruszyliśmy piechotą w stronę centrum miasta, a Pål autobusem pojechał do domu. Ciągle czułem w sobie pijaństwo ostatniej nocy, najstraszliwsze myśli i obrazy czały się tuż pod powierzchnią, brzuch mnie bolał ze strachu, a lekarstwem na to mogło być tylko jedno, mianowicie wieczór spędzony z Gunvor. Ale kiedy Yngve zaproponował, żebyśmy opili nasz sukces, mimo wszystko nie potrafiłem odmówić.

- Muszę tylko zajrzeć na chwilę do domu – powiedział Hans. – Przyjdę później. Idziecie do Garage?
- Chyba tak, prawda? – Yngve spojrzał na mnie.
- Tak – kiwnąłem głową.

Zaczęło padać, niezbyt mocno, poczułem zaledwie kilka kropel na twarzy, ale niebo nad nami szybko ciemniało, a w stronę gór zmierzała czarna ściana.

– No, chyba muszę przyspieszyć – stwierdził Hans. – Widzimy się później.

Skręcił w lewo i ruszył pod górę, a my poszliśmy w stronę Garage. Hans, razem ze swoją dziewczyną, Tone, mieszkał za Dragefjellet. Wcześniej zajmował niewielkie mieszkanie studenckie w Sandviken, razem z Ingarem i Kjetilem, swoimi dwoma najlepszymi kumplami, tak samo jak on czynnie działającymi w Radiu Studenckim i „Studvest”. Byłem raz u nich na imprezie z Yngvem, tego wieczoru, kiedy zaczął chodzić z Gunnhild, z którą zaledwie kilka tygodni temu zamieszkał na Marken. Gunnhild była piękna w łagodny, nierzucający się w oczy sposób, studiowała biologię, pochodziła z wioski w Hardanger, miała w sobie wszystko, o czym Yngve lub każdy inny młody mężczyzna mógł marzyć. Tamtego wieczoru u Hansa i jego kumpli bawiło się mnóstwo ludzi, kilka dni później poszedłem do nich sam. Wcześniej włóczyłem się po mieście i nie wiedziałem już, co wymyślić, aż w końcu przypomniałem sobie Hansa i wpadło mi do głowy, że mogę zajrzeć do niego. Nie znałem go, ale graliśmy razem w zespole, więc chyba nie byłoby w tym nic dziwnego. Ruszyłem z Bryggen pod górę, wzdłuż głównej drogi prowadzącej na Sandviken, i klucząc zaułkami, dotarłem do starego, krzywego domku, w którym mieszkał razem z Ingarem i Kjetilem. Zadzwoiłem do drzwi, nikt mi nie otworzył. Zadzwoiłem jeszcze raz, ale najwyraźniej nikogo nie zastałem w domu, więc się odwróciłem, żeby odejść. Na końcu wąskiej uliczki zobaczyłem Ingara. Zauważył mnie, bo nasze spojrzenia na moment się spotkały, ale udał, że mnie nie poznaje, i po prostu poszedł dalej.

Dlaczego?

Nie zamierzał wracać do domu?

Doszedłem do wniosku, że pewnie wybrał się po zakupy, i zawróciłem. Jednocześnie obudziło się we mnie nieprzyjemne podejrzenie, że on być może unikał właśnie mnie, nie chciał stwarzać sytuacji, w której musiałby mnie do siebie zaprosić, nie chciał ryzykować. Gdy to sobie uświadomiłem, zamiast skierować się w stronę centrum, przeszedłem na sąsiednią ulicę i zatrzymałem się tam, postanawiając na niego zaczekać.

Pojawił się zaledwie kilka sekund później i zanim podszedł do wejścia, rozejrzał się na boki, po czym wyjął klucze i otworzył drzwi, uprzednio jeszcze raz obejrzawszy się przez ramię.

Wracałem stamtąd z ciężkim sercem. A więc jednak to mnie unikał, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości, ale dlaczego? Co było ze mną nie tak?

Przecież wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Czułem to cały czas. Miałem w sobie coś, co się ludziom nie podobało, czego starali się unikać jak ognia. Było we mnie coś takiego, w sposobie, w jaki się zachowywałem.

Ale co to mogło być?

Tego nie potrafiłem określić.

Oczywiście mogło chodzić o to, że tak niewiele się odzywałem, z pewnością moją mrukowatość zauważano i niezbyt ceniono. Ale może też o poruszanie nieodpowiednich tematów, kiedy już zabierałem głos. Moje wypowiedzi często były bardzo osobiste, zwłaszcza gdy rozmawiałem z kimś w cztery oczy, a tego unikano jak zarazy. Alternatywą było więc nie odzywać się w ogóle. Wyłącznie taką drogę mogłem obrać. Jedyną, na jaką mnie było stać.

Tylko przy Gunvor mogłem zachowywać się inaczej. Ona wiedziała, jaki jestem.

Szliśmy z Yngvem przez Nygårdsgaten, deszcz padał coraz mocniej.

– Powiniennem chyba uprzedzić Gunvor – powiedziałem. – Może na mnie czeka.

– Właściwie dobrze się składa, bo ja muszę uprzedzić Gunnhild.

– Jest tu gdzieś w pobliżu budka telefoniczna?

– Na pewno jest jedna przy Festplassen. Na rogu, zaraz za Garage.

– To idziemy tam?

– Tak. A może byśmy się zamienili? – zaproponował Yngve, kiedy już zatrzymaliśmy się przy budce i zaczęliśmy przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu monet. – Ty zadzwonisz do Gunnhild, a ja do Gunvor. Zobaczmy, czy się zorientują, dobrze?

Byliśmy do siebie podobni, Yngve i ja, ale tylko na pierwszy rzut oka, jakieś ogólne podobieństwo sprawiało, że ludzie niezbyt dobrze znający mojego brata czasami brali mnie za niego. Głosy jednak mieliśmy prawie identyczne. Kiedy dzwoniłem do poprzedniego mieszkania Yngvego, kumple niejednokrotnie byli przekonani, że to Yngve sobie z nich żartuje.

– Możemy. To co, ja pierwszy dzwonię do Gunnhild?

– Tak. Powiedz, że jestem z tobą w Garage i nie wiem, kiedy wrócę do domu.

Podniosłem słuchawkę i wstukałem numer.

– Halo? – odezwała się Gunnhild.

– Cześć, to ja.

– Cześć!

– Wiesz co, wybieram się z Karlem Ovem do Garage. Nie wiem, kiedy wrócę. W każdym razie nie czekaj na mnie, kładź się spać.

– Może rzeczywiście się położę – odpowiedziała. – No to bawcie się dobrze! Pozdrów Karla Ovego.

– Pozdrowię. To na razie, cześć.

– Cześć.

Yngve się śmiał.

– Jesteście ze sobą dopiero od kilku miesięcy – powiedziałem – a my z Gunnvor już ponad rok. Ona się zorientuje.

– Założymy się?

– Nie, nie mam odwagi.

Yngve podniósł słuchawkę, wrzucił monetę i wybrał numer.

– Cześć, tu Karl Ove.

Cisza.

– Idę na miasto z Yngvem i Hansem, ale później do ciebie przyjdę, dobrze? Nie wiem, jak długo zabawimy, ale... Tak... Tak... Ja też cię kocham. No to na razie!

Rozłączył się i odwrócił do mnie uśmiechnięty.

– Powiedziałeś, że ją kochasz? – zdumiałem się.

– Tak, bo ona powiedziała, że kocha mnie.

– Cholera, nie powinieneś być tak mówić.

Yngve tylko się śmiał.

– Nie musimy jej nic tłumaczyć, nigdy się nie dowie.

– Ale ja już wiem!

Prychnął.

- Strasznie jesteś przewrażliwiony. Przecież to był tylko żart!
- Wiem, wiem – mruknąłem i skierowałem się w stronę Garage.

Sześć godzin później siedziałem na poprawinowej imprezce w mieszkaniu przy Fosswinckels gate i w myślach zachwyciałem się swoim talentem, tym, że w ł a ś c i w i e pisanie nie stanowi dla mnie żadnego problemu, że mam w sobie moc i w ł a ś c i w i e jestem panem świata. Wcale na to nie wyglądało, pierwszy gotów byłem to przyznać, no ale w ł a ś c i w i e taka była prawda. Na dole w Garage przyglądały mi się jakieś dziewczyny, słały mi tęskne spojrzenia, ale oczywiście nie reagowałem, bo przecież miałem już dziewczynę, Gunvor, która czekała na mnie w domu. Nie opuszczało mnie jednak wrażenie, że coś tracę, a kiedy Bendik, właściciel mieszkania, puścił Happy Mondays i podnieceni ludzie wokół mnie zaczęli śmiać się i krzyczeć, pomyślałem, gapiąc się w sufit, że może jakoś by się to udało, mógłbym po prostu z nią zerwać, byłbym wolny i nic by mnie już w niczym nie hamowało.

Zbliżało się wpół do piątej, ludzie zaczęli się rozchodzić, zostali tylko najwytrwalsi, twarde jądro, Bendik, Arvid, Erling i Atle, a kiedy rozwiały się wszelkie nadzieje na to, że coś jeszcze się wydarzy, dopiłem drinka, wstałem i wyszedłem bez pożegnania, kierując kroki od razu na sąsiednie tylne podwórze, na którym szarpałem za wszystkie rowery, ale okazały się zamknięte, więc pozostawało mi iść piechotą, no chyba że trafiłby się jakiś luźny na sąsiednim podwórzu.

Nic z tego.

Lał deszcz, a ja wlokłem się w dół zbocza. Przed Garage, pustym i ciemnym, z kroplami deszczu powoli spływającymi nierównymi torami po szybach, zatrzymałem się i patrząc na taksówki wyjeżdżające z tunelu pod Wzgórzem, zacząłem się zastanawiać, co robić dalej. Do domu nie miałem ochoty wracać, to było oczywiste. Powlokłem się w stronę Slakteriet, ale i ten lokal już zamknięto. Zapaliłem papierosa, osłaniając go dłonią przed deszczem, i ruszyłem lekko pod górę w stronę teatru. Miałem ochotę przespać się z jakąś dziewczyną, zupełnie obcą, na przykład jedną z tych dwóch, które tak mi się przyglądały. Dlaczego nie skorzystałem z takiej szansy? Dlaczego okazałem się tak niewiarygodnie głupi? Gunvor nigdy by się o tym nie dowiedziała. Przecież nie zrobiłbym tego przeciwko niej, po prostu mi się chciało, i to na tyle mocno, że przez cały wieczór miałem w myślach tylko jedno: kobiece ciało, spuszc-

czony wzrok, obce piersi, obcy tyłek, ona się dla mnie nadstawia, staje na czworakach jak pies, no a ja, tak, wbijam się w nią. Na niczym więcej mi nie zależało, ale tu i teraz, w tym kompletnie wyludnionym mieście, w którym tak przygnębiał lejący bez przerwy deszcz, gdzie o wpół do piątej nad ranem tylko od czasu do czasu przejechała jakaś taksówka, sprawa przedstawiała się beznadziejnie. Co z tym zrobić?

Wiedziałem, że na Nøstet mieszka dziewczyna, która chyba kiedyś się we mnie podkochiwała, ta z pewnością przyjmie mnie z otwartymi ramionami.

Poszedłem tam. Włosy lepiły mi się do czaszki, kurtka i spodnie przemokły na wylot. Na pustych ulicach słychać było jedynie chlupot towarzyszący moim krokom.

Nacisnąłem klamkę drzwi wejściowych. Zamknięte.

Mieszkała na pierwszym piętrze, więc przyklęknąłem, pozbierałem drobne kamyczki i zacząłem nimi rzucać po kolei w trzy okna jej mieszkania.

Żadnej reakcji.

Przez chwilę namyślałem się, co robić. Wołanie nie miało sensu, bo usłyszałoby mnie całe sąsiedztwo.

Chwyciłem się futryny, podparłem się o nią nogą i podciągnąłem. Na fasadzie budynku było kilka wąskich gzymsów, były też występy w paru miejscach oraz parapety okienne, więc powinno być możliwe sforsowanie jej i wspięcie się na wysokość piętra, a potem albo zapukanie w szybę, albo – gdybym miał tyle szczęścia, że któreś okno okazałoby się otwarte – po prostu wejście do środka i zrobienie jej naprawdę sporej niespodzianki.

Wdrapałem się mniej więcej trzy metry w górę, wtedy jednak ześlizgnęły mi się palce i zacząłem się zsuwać, na szczęście w sposób względnie kontrolowany, więc tak bardzo się nie potłukłem, uderzyłem się tylko w kolano, poczułem mocny, pulsujący ból, ale podjąłem wspinaczkę. Zleciałem kolejny raz, tym razem upadek był dość brutalny, wylądowałem na piersi i całe powietrze uszło mi z płuc. Poczułem się tak, jakbym tonął, nie mogłem oddychać, a jednocześnie ból promieniował do mózgu z tysiąca różnych miejsc, w głowie jakby rozbłysła mi gwiazda.

Ooch, jęknąłem.

Oooch!

Oooch!

Znieruchomiałem, ciężko oddychając. Czułem, jak woda z kałuży, w której wylądowałem, wsiąka w ubranie. Nogi, ręce i pierś miałem zlodowaciałe. Mimo to przyszło mi do głowy, że mógłbym zamknąć powieki i chwilę się przespać. Tylko małą chwileczkę...

W następnym momencie otworzyłem oczy. Cholera, ależ mnie bolało!

Podniosłem się na kolana, zadarłem głowę do nieba, z którego lał się deszcz, w końcu wstałem i zacząłem powoli iść, w pierwszej chwili sztywno, później coraz swobodniej. Z jakiegoś powodu ruszyłem pod górkę w stronę Klosteret, po drodze dogonił mnie radiowóz, zatrzymał się przy mnie i policjant przez opuszczoną szybę spytał, co tu robię.

– Byłem na imprezie – powiedziałem. – Ale kiedy szedłem tamtędy, to widziałem, że jakiś facet próbuje się wspinać po fasadzie. Nie mam pojęcia po co, ale niezbyt mi się to podobało.

Wyglądałem chyba na dostatecznie przytomnego, bo mnie puścili, a w dodatku pojechali we wskazaną przeze mnie stronę.

Cha, cha, cha, śmiałem się, schodząc w kierunku Torgallmenningen.

Cha, cha, cha.

Cha, cha, cha.

Do Gunvor nie mogłem pójść w takim stanie, więc skręciłem w prawo i na postoju wsiadłem do taksówki. Pięć czy sześć minut później wszedłem do domu. Zobaczyłem, że drzwi mieszkania imigrantów są zabite gwoździami i zaklejone plastikową taśmą z pieczętkami. Chwilę odpocząłem, opierając się ramieniem o skrzynki na listy, pokonałem schody, wszedłem do mieszkania i znieruchomiałem.

Z szafki w kuchni dobiegał chrobot.

Czyżbym miał je wreszcie zobaczyć? Sprzykrzyło mi się już oglądanie wyłącznie pozostawionych przez nie śladów, więc szybko i zwinnie jak kot przemknąłem do kuchni i gwałtownym ruchem otworzyłem drzwiczki szafki. Pusta.

Ale na worku ze śmieciami znów były ślady zębów. Wysypały się z niego kawa i skorupki jajek.

To musiały być szczury, nic innego, chyba żadna mysz tak by sobie nie używała. Postanowiłem, że następnego dnia kupię pułapkę albo trutkę. Ściągnąłem z siebie łachy i minutę później już spałem.

Obudził mnie telefon. Pomyślałem, że to Gunvor, więc nie powinienem odbierać, tylko najpierw wymyślić jakieś rozsądne usprawiedliwienie, ale dzwonek nie ustawał, dlatego w końcu podniosłem słuchawkę, czując pulsowanie w całym obolałym ciele.

– Cześć, tu Yngve.

– Cześć.

– Słyszałem, że zaszalałeś po imprezie.

– Słyszałeś? Od kogo? Kto tak mówi?

– Bendik. Widzieli cię przez okno. Najpierw pobiegłeś na tylne podwórze i szukałeś roweru, potem wszedłeś na następne. Bendik stwierdził, że mój brat ma źle w głowie. No i jak ci poszło, zmalowałeś coś jeszcze?

– Nie. Dobrze się skończyło, bo wróciłem do domu. Ale się boję.

– Przecież ty nie możesz pić, w tym problem. Po prostu sobie z tym nie radzisz.

– Wiem.

– No, ale nie będę ci prawil kazań. To twoje życie.

– Pewnie.

– Jak chcesz, to do nas wpadnij. Jesteśmy sami. Możemy pooglądać telewizję, coś porobić.

– Nie, chyba nie. Muszę pracować. Semestr jest krótki.

– Okej. No to się zdzwonimy.

– Tak, na razie.

– Na razie.

Zwykle mijała doba, zanim ustąpił lęk, który ogarniał mnie po wieczorze na mieście, a jeśli wydarzyło się coś specjalnego, to dwie doby, albo nawet trzy. Zawsze jednak w końcu mijał. Nie rozumiałem, dlaczego się pojawiał, dlaczego wstyd i lęk przyjmowały takie rozmiary, właściwie za każdym razem coraz większe, przecież nikogo nie zabiłem, nikomu nie zrobiłem nic złego. Nie zdradziłem też Gunvor. Owszem, miałem ochotę i podjąłem pewne idiotyczne kroki, żeby do tego doprowadzić, ale do niczego nie doszło. Do jasnej cholery, wspiąłem się tylko na fasadę jakiegoś domu, mam trzy dni walczyć z lękiem

z tego powodu? Chodzić po mieszkaniu i drzeć, gdy usłyszę najmniejszy szmer, podrywać się na wycie syreny dobiegające z ulicy, czując ból wnętrza tak dotkliwy, że wręcz nie do wytrzymania? Tyle że jakoś go wytrzymałem, za każdym razem, cały czas.

Byłem kłamcą, byłem oszustem, byłem złym człowiekiem. Potrafiłem sobie z tym radzić bez żadnych problemów, dopóki żyłem sam. Ale ponieważ związałem się z Gunvor, odbijało się to również na niej, bo oznaczało, że żyła z kimś, kto jest kłamcą, oszustem, złym człowiekiem. Ona wcale tak nie myślała, w jej oczach byłem dobry, byłem kimś, kto chce dobrze, kto okazuje jej troskę i miłość, ale właśnie stąd brał się cały ten ból, bo wcale taki nie byłem.

Włączyłem komputer i czekając, aż się rozgrzeje, zacząłem przeglądać to, co napisałem do tej pory. Pracę dyplomową olałem, w tym stanie nie nadawałem się do czytania o rozumieniu języka, więc zająłem się powieścią, która dobiegała już do pięćdziesięciu stron, rozgałęziała się w różne strony, a niektóre zapowiadały się co najmniej obiecująco. Ale lat dwudziestych, o których napisałem całkiem sporo, nie mogłem do końca uchwycić, tylu rzeczy nie wiedziałem o tamtych czasach, ta niewiedza mi przeszkadzała, nie potrafiłem napisać zdania bez lęku, że coś się nie będzie zgadzać. Poza tym ten okres był zbyt odległy, abym mógł w niego przepompować własne życie, to, co akurat płynęło mi w żyłach. Widziałem więc, że tekst jest z tego powodu nieco sztywny i drętwy, ale też była to ostatnia rzecz, jakiej mogłem się złapać, brzytwa, której chwyta się tonący.

Z salonu dobiegło walenie w podłogę. Zasejwowałem tekst na dysku, włożyłem buty i szedłem do Espena. Czekał na mnie w drzwiach z palcem wskazującym na ustach i gestem kazał mi iść za sobą do kuchni. Na środku stał stół, Espen wskazał na sufit, w którym była szczelina, wyraźnie chciał, żebym do niej zajrzał.

Włożyłem na stół i odchyliłem głowę.

W oczy popatrzył mi wielki czarny szczur.

– Widzisz go? Jest tam jeszcze? – spytał Espen cicho.

– Jasny gwint! – zakląłem, schodząc na podłogę. – Ale obrzydlistwo!

– Przynajmniej już wiemy, co to jest.

– Musimy jutro kupić trutkę.

– Albo pułapki. Słyszałem, że otrute mogą gnić w ścianie i nie ma ich jak

usunąć.

– A ja słyszałem, że w trutce jest coś takiego, że potrzebują wody i uciekają z domu. – Zabrzmiało to dziwnie, więc lekko się uśmiechnąłem, wzruszając ramionami. – Z pułapkami problem jest taki, że szczury w nich zostają i trzeba je wyrzucić własnymi rękami. Nie bardzo mi się to uśmiecha.

– Mnie też – przyznał Espen. – No ale jak trzeba, to trzeba.

– Szczur jest szczurem jest szczurem jest szczurem.

– Tak? – Espen spojrzał na mnie. – Kawa?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Słyszałem, że pracujesz. Aż tutaj było słychać, jak walisz w klawisze. Przez chwilę wydawało mi się, że bębnisz palcami, ale nagle sobie uświadomiłem: aha, pisze.

– Mam już pięćdziesiąt stron – pochwaliłem się. – Niedługo będziesz musiał je przeczytać. Jeśli są bezwartościowe, nie zamierzam na to tracić całego roku.

– Chętnie przeczytam od razu.

– Chcesz powiedzieć, że mam ci to teraz przynieść?

– Czemu nie?

– No to najpierw kawa, a potem pójdę wydrukować, okej?

Pokiwał głową, przeszliśmy do pokoju.

– Byłem pewien, że to szczury – stwierdził. – Słyszałem, jak drepczą po belkach w suficie. No i te twoje śmieci. To nie mogło być nic innego.

– W takim razie to jakieś cholernie mądre szczury. Kiedy Gunvor nocowała u mnie kilka dni temu, przygotowała sobie wieczorem drugie śniadanie, żeby nie robić tego rano, bo miała wcześniej wstać...

– I co? – spytał Espen.

Spojrzałem na niego, czyżby się niecierpliwił?

Nie, nie wyglądało na to.

– Schowała paczuszkę do torebki. Kiedy w ciągu dnia po nią sięgnęła, okazało się, że jest pusta. Ale papier był nienaruszony. To znaczy, że one wemknęły się do torebki, rozwinęły papier, zjadły kanapki i uciekły. Zostało kilka kawałeczków, ale mimo wszystko. To wyglądało niemalże na spisek, musiało wymagać planowania. Może w tej dziurze widzieliśmy supermózg?

– Samego demiurga?

– Tak. Kto wie? W każdym razie musimy się ich pozbyć, Gunvor nie zechce tu nocować, jeśli będzie się roiło od szcurów.

– Taka delikatna?

– Cha, cha.

– To twój telefon dzwoni? – spytał.

Kilka sekund nasłuchiwałem. Rzeczywiście.

– Lecę odebrać. Za jednym zamachem wydrukuję – rzuciłem i pobiegłem na górę.

– Halo?

– Cześć, to ja – odezwała się Gunvor. – A więc jednak jesteś w domu? Już miałam się poddać.

– Byłem na dole, u Espena.

– Wydawało mi się, że na noc miałeś przyjść do mnie?

– Tak, ale zrobiło się bardzo późno i byłem tak cholernie pijany, że postanowiłem ci tego oszczędzić.

– Ja zawsze się cieszę, kiedy przychodzisz. Poza tym wcale nie jesteś taki groźny po pijaku.

– Czasami jestem. Lęk mi nie daje żyć. To były dwa wieczory z rzędu. Nie mogłabyś do mnie przyjść? Upieklibyśmy gofry albo coś takiego. Tak się stęskniłem za czymś zwyczajnym i normalnym.

– Mogę przyjść. Teraz?

– Tak, najlepiej teraz. Kupisz po drodze mleko?

– Kupię. Wobec tego do zobaczenia. Przyniosę też trochę rzeczy do prania, dobrze?

– Jasne.

Zamocowałem perforowane brzegi papieru na kółkach drukarki, szybko przeczytałem ostatnio napisany kawałek, bo początek znałem prawie na pamięć, na karteczce przyklejonej do biurka odszukałem odpowiednią kombinację klawiszy i uruchomiłem drukowanie. Już za moment głowica zaczęła biegać tam i z powrotem, a ja, wciąż nieprzyzwyczajony do tego wynalazku, z fa-

scynacją śledziłem własne słowa, zdania i całe strony wyskakujące ze środka, jakby w drukarce kryło się tajemne źródło.

Nie miałem pojęcia, na czym polega łączność między dyskietką a monitorem; coś musiało „mówić” maszynie, że litera „n” na klawiaturze ma być literą „n” na ekranie, ale jak skłonić coś martwego do „powiedzenia” czegoś? Nie wspominając już o tym, co się działo, kiedy litery na ekranie zapisywały się na cienkiej dyskietce i za jednym naciśnięciem klawisza dawały się na nowo obudzić do życia, niczym nasionka, które setki lat tkwiły w lodzie, a w określonych warunkach potrafiły nagle ujawnić to, co cały czas w sobie skrywały, i zakwitnąć. Bo litery, które właśnie sekwowałem, będzie chyba można z taką samą łatwością jak teraz wywołać również za sto lat?

Oderwałem perforowane brzegi, ułożyłem kartki w odpowiedniej kolejności i znów zszedłem do Espena.

– Gunvor ma przyjść – powiedziałem. – Więc dzisiejszy wieczór spędzę na górze. Tu masz wydruk. Jak myślisz, na kiedy zdążysz przeczytać?

– Może na pojutrze? Dam ci znać!

Wróciłem do siebie, a kiedy przyszła Gunvor, wziąłem się do gofrów; przygotowywałem ciasto, a ona obserwowała mnie z krzesła. Upiekłem je, zrobiłem herbatę i wszystko zaniósłem do pokoju. Może to za sprawą zapachu gofrów, wywołującego domowy nastrój, w każdym razie zaczęliśmy rozmawiać o posiadaniu dzieci. Był to temat obcy nam i wszystkim naszym znajomym, ale podczas mojej wizyty w Kristiansand Jan Vidar opowiadał o paru naszych koleżankach z gimnazjum, które urodziły już dzieci, a jedna nie wiedziała nawet, kto jest ojcem.

Myśl, że my również możemy mieć dziecko i w ten sposób zdeterminować naszą przyszłość, na równi podniecała nas i przerażała.

– To by miało ogromne konsekwencje – stwierdziłem. – Wpłynęłoby na resztę naszego życia. Z niczym innym, co robimy, tak nie jest. Na przykład to, co studiujesz, historię czy antropologię społeczną, nie ma większego znaczenia.

– Jak to?

– Spójrz na to jakby z dystansu. Nieważne, czy z egzaminu dostaniemy ocenę bardzo dobrą, czy dobrą, cholera, a my się tak wysilamy dla tych maleńkich różnic. Tak niewiele rzeczy ma r z e c z y w i ś c i e decydujące znaczenie, na-

prawdę robi różnicę.

– Rozumiem.

– Kiedy piszę, podchodzę do tego tak, jakby to była sprawa życia i śmierci. A przecież wcale tak nie jest. Przecież ja po prostu tylko się tym zajmuję.

– No tak. Ale nie wszystko musi być kwestią życia i śmierci. Nie zawsze trzeba stawiać sprawę na ostrzu noża. Czasami musi być po prostu fajnie. – Roześmiała się.

– Mogę w przyszłości cię cytować?

– No, ale przecież chyba właśnie tak jest? Załóżmy, że mielibyśmy teraz dziecko. To by była wielka rzecz, w istocie, tak jak twierdzisz, decydująca o tym, jak będzie wyglądać nasze życie. Ale zasadniczo nic by się raczej nie zmieniło. Musielibyśmy walczyć z pieluchami, spacerować z wózkiem i tak dalej, i pewnie kiedyś będziemy to robić, ale to chyba nie jest aż tak brzemienne w skutki?

– No nie. Masz rację.

Ugryzła kawałek gofra.

– Dobry? – spytałem.

Miała pełne usta, więc tylko pokiwała głową.

Posypałem cukrem swojego gofra, złożyłem go na pół i odgryzłem duży kęs.

– Rzeczywiście niezłe – przyznałem po przełknięciu.

– Pyszne. Masz herbatę?

Nalałem jej do kubka.

– No, ale opowiadaj o wczorajszym wieczorze. Kto był?

Leżałem z głową na jej piersi, gładziła mnie po włosach, a ja słuchałem bicia jej serca. Miała w sobie teraz coś ogromnie dziewczęcego, jakąś wielką niewinność, która mnie wzruszała, natomiast ja w tej pozycji, w której leżałem, podporządkowany jak pies, z czegoś w pewnym sensie rezygnowałem, chociaż nie bez wahania, podobało mi się, że tak leżę, a ona mnie pociesza, a zarazem mi się nie podobało, było to jednocześnie przyjemne i upokarzające.

Po jakimś czasie wstaliśmy i zapaliliśmy w pokoju, Gunvor owinięta kołdrą. Rozmawialiśmy o Robercie, mężu jej siostry, o pięć czy sześć lat starszym ode mnie, silnym i bardzo męskim; na imprezie, na której go poznałem kilka ty-

godni wcześniej, opowiadał mi o pewnym incydencie. Kiedyś zaatakowała go cała banda. Złapał wtedy za jakiś drąg i zaczął wrzeszczeć jak wariat, tamci w końcu uciekli, a on odłożył drąg i poszedł dalej. Powiedział, że jeśli się czegoś chce, po prostu trzeba to robić, nie ma się czego bać. Należy jednak przekroczyć coś w rodzaju progu, za którym nic się nie liczy, przejść do strefy pozbawionej strachu, wtedy człowieka stać na wszystko. Robert dawniej malował, ale to rzucił, bo bał się, że oszaleje.

– Tak ci powiedział? – zdziwiła się Gunvor.

– Tak. Dosłownie. Nie wiem, czy mu wierzę. To zabrzmiało trochę kokieteryjnie. Przystałem malować, bo bałem się, że oszaleję. Ale jednocześnie, jeśli się go lepiej pozna, to przestaje być takie niewiarygodne. Skądś się wzięło.

– Nie rozumiem.

– On nie jest typem studenta. Uniwersytet nie oznacza dla niego początku, tak jak dla nas. Wydaje się raczej zakończeniem czegoś. Trochę jakby ciszą przed burzą.

– To zabawne, że akurat wy, ty i Robert, związałyście się z nami dwiema. Macie ze sobą coś wspólnego. Mam rację?

– Nie.

– Nie?

– Nie. Ja jestem chłopakiem, a on mężczyzną.

– Po prostu jest od ciebie trochę starszy.

– Nie tylko o to chodzi.

Robert był dumny z dziewczyny, z którą się związał, z siostry Gunvor, i wiedział, do czego jej potrzebuje. Zawsze odnosił się do niej z szacunkiem i pielegnował istniejące między nimi różnice. Ja nie byłem dumny z Gunvor, w każdym razie nie tak jak on, nie bardzo wiedziałem, do czego jej potrzebuję, i nie zawsze odnosiłem się do niej z jednakowym szacunkiem. On mówił jasno i wyraźnie, po męsku i wprost, ja niejasno, mgliście i tchórzliwie. Chociaż działało się tak tylko wtedy, gdy przy mnie i Gunvor pojawiał się ktoś trzeci. Wówczas starałem się za wszelką cenę wysondować jego oczekiwania i zgodnie z nimi się zachowywać.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Włączamy pralkę? – spytałem. – Mówiłaś, że przyniesiesz rzeczy do pra-

nia?

Wstała.

– Ja to mogę zrobić – zaproponowałem.

Pokręciła głową.

– Nie, nie, muszę sama.

– Aha, to tak ma być.

Znalezienie sklepu, w którym sprzedawano pułapki na szczury, zajęło mi trochę czasu. Kupiłem kilka, a oprócz tego trutkę, i pomaszerowałem z tym wszystkim do domu, niosąc zakupy w niedużej torebce. Na koncie zostało mi już tylko kilkaset koron, więc trochę się martwiłem, problem powracał każdej jesieni i wiosny, kredyt studencki się kończył, do wypłacenia kolejnej raty pozostawało jeszcze kilka miesięcy, a wiosną nawet sześć. Pierwszej takiej wiosny pracowałem u Kjartana, następnej sprzedałem wszystkie płyty, jesienią natomiast albo pożyczałem od ludzi, albo jechałem do mamy i żyłem na jej koszt. Ale na dłuższą metę tak się nie dało, to był problem strukturalny i zaradzanie mu *ad hoc* jedynie opóźniało jego rozwiązanie. Innymi słowy, musiałem poszukać pracy, a pracę można było znaleźć, mając odpowiednie kontakty albo kwalifikacje. Nie miałem ani jednego, ani drugiego. To znaczy, owszem, pracowałem przez rok jako nauczyciel, więc możliwe, że przyjęto by mnie na zastępstwo do jakiejś podstawówki, ale raczej nie w centrum, co do tego miałem prawie pewność, za dużo było chętnych, więc musiałyby to być szkoła poza miastem. Inną możliwością stanowiła służba zdrowia. Nie miałem na to zbyt wielkiej ochoty, ale skoro musiałem? W mieście były dwa duże zakłady opiekuńcze, jeden dla wariatów, Szpital w Sandviken, a drugi, Vestlandsheimen, dla upośledzonych umysłowo, i z tego, co słyszałem, w obu była wielka fluktuacja niewykwalifikowanych pracowników. Skoro musiałem wybierać spośród tych dwóch, padło na Sandviken, wolałem chorych umysłowo niż upośledzonych.

Po powrocie do domu zacząłem telefonować. Najpierw, korzystając z kilku numerów podanych mi przez kobietę w urzędzie gminy, obdzwoniłem szkoły, w większości nie potrzebowali nikogo na zastępstwo, w jednej powiedzieli mi, że jestem za młody, ale w dwóch zanotowali moje nazwisko i numer telefonu, niczego jednak nie obiecując, bo lista chętnych na zastępstwo była długa.

W Sandviken przypuszczalnie potrzebowali ludzi, ale najpierw chcieli ze mną porozmawiać. Czy mógłbym przyjść w tygodniu i przynieść papiery?

Tak, oczywiście, że mogłem.

Czy odpowiada mi czwartek?

Odpowiadał.

Zanim się położyłem, umieściłem dwie pułapki w szafce pod zlewem, zapukałem do Jonego, który późno chodził spać, i poinformowałem, co zrobiłem, żeby przypadkiem nie zaczął w niej grzebać. Śmiał się w ten swój ciepły sposób i powiedział, że jego zdaniem szczury mieszkają w mojej głowie, nigdzie indziej. Ale obiecał, że od szafki będzie się trzymał z daleka.

Leżałem w łóżku i pulsowało mi w uszach; upominałem się w myślach, że nie jestem odpowiedzialny wobec Jonego za te szczury. Nic jednak nie mogłem poradzić, że tak czułem, że prawie nieustannie gnębiły mnie wyrzuty sumienia.

Szczury. Mieliśmy szczury.

Nazajutrz jak najdłużej odkładałem sprawdzenie pułapek, najpierw zaparzyłem kawę i wypiliśmy ją w pokoju, paląc papierosa i przeglądając kupiony wcześniej zbiór szwedzkich esejów o Lacanie, potem trochę powyglądałem przez okno – korek, który po zapaleniu się czerwonego światła tworzył się błyskawicznie, ruszał, rozładowywał się i zaraz zaczynał się tworzyć od nowa. Samochody stale się zmieniały, podobnie jak siedzący w nich ludzie, ale wzory, których elementy stanowiły, zawsze pozostawały te same. Również martwa materia tworzyła wzory. Krople deszczu spływające po szybach, piasek zdmuchiwany w kopce, fale uderzające o brzeg po to, by zaraz się cofnąć. Gdy z bardzo bliskiej odległości patrzyło się na przykład na ziarno piasku, również odnajdywało się wzory – elektrony poruszające się wokół jąder atomu – a gdy patrzyło się z bardzo daleka – widziało się planety krążące wokół słońc. Wszystko się poruszało, wszystko powstawało i łączyło się ze wszystkim. Pytanie, na które nie znaleźliśmy odpowiedzi i nigdy nie mieliśmy jej poznać, brzmiało: czym właściwie jest wielkość? A jeśli kosmos, to, co uważamy za wszechświat, nieskończoność, jest w rzeczywistości mały? Naprawdę malutki, malusieńki? Jeśli mieści się w ziarnku piasku istniejącym w innym

świecie? A ten świat również jest mały i również mieści się w ziarnku piasku?

Wyjątkowo sam wpadłem na tę myśl. Rzeczywiście mogło tak być, w każdym razie nie dało się udowodnić, że jest inaczej. Lecz jeśli tak było, to wszystko przestawało mieć sens. Zatem sens wszelkich naszych poczynań był całkowicie uzależniony od nieistnienia jakiegokolwiek innego świata, ten nasz musiał być jedyny. Dopiero wtedy zajmowanie się na przykład literaturoznawstwem nabierało ważkości. Lecz jeśli istniał jakiś inny świat, większy kontekst, wówczas całe to literaturoznawstwo było jedną wielką bzdurą, bredzeniem we wszechświecie.

Wszedłem do kuchni, odstawiłem kubek i otworzyłem szafkę. Kucnąłem i w jednej pułapce zobaczyłem przygwożdżonego szczura. Metalowa dźwignia uderzyła go w kręgosłup. Zrobiło mi się niedobrze. Otworzyłem dolną szufladę, wyjąłem z niej reklamówkę i chwytając pułapkę dwoma palcami, ostrożnie przysunąłem do siebie nieduży drewniany klocek. Miałem zamiar wrzucić go do torby i pozbyć się szczura wraz pułapką, zamiast się w tym grzebać.

Nagle tylną łapą zwierzęcia targnął skurcz.

Wypuściłem pułapkę i błyskawicznie zabrałem rękę. Podniosłem się.

Czy on żył?

Nie, to musiał być skurcz pośmiertny. Drgnienie jakiegoś mięśnia.

Znów przykucnąłem i lekko trąciłem pułapkę, żeby odwróciła się w moją stronę.

Szczur zdawał się patrzeć na mnie czarnymi oczkami.

Jedna łapa, prawie zupełnie goła, znów drgnęła.

Żył?

O, nie.

Żył.

Wszedłem z kuchni, trzaskając drzwiami. Zrobiłem kilka kółek po pokoju.

Musiałem działać szybko, mieć to z głowy i więcej do tej sprawy nie wracać.

Otworzyłem drzwi do kuchni, chwyciłem pułapkę, wrzuciłem ją do reklamówki, zbiegłem po schodach, błyskawicznie dopadłem pojemników ze śmieciami, otworzyłem jeden z nich i cisnąłem torbę, biegiem wróciłem na górę, umyłem ręce w łazience, usiadłem w pokoju i zapaliłem papierosa.

Już.

Koło siódmej zadzwoniła mama i przypomniała mi, że w poniedziałek przyjeżdża do miasta dziadek, miał kilka tygodni spędzić w szpitalu. Mama spytała, czy mógłbym wyjść po niego na prom i odwieźć go taksówką do szpitala. Powiedziałem, że oczywiście. Poza tym my, wnuki, mieliśmy ustalić między sobą, jak i kiedy będziemy dziadka odwiedzać, żeby jakoś się to rozłożyło. Sama też zamierzała przyjechać, przynajmniej w ostatni weekend jego pobytu w szpitalu.

Ledwie się odwróciłem, żeby przejść do pokoju, usłyszałem pukanie do drzwi. To był Espen.

– Wejdz – powiedziałem. – Napijesz się kawy?

– Chętnie, jeżeli masz.

– Mam, mam.

Przyniosłem filiżanki, usiedliśmy. Wydawał się trochę nieobecny, jakby zatopiony we własnych myślach.

– Przeczytałem twój maszynopis – oznajmił.

– Świetnie. Masz teraz czas, żeby o tym porozmawiać?

Kiwnął głową.

– Ale może pójdziemy się przejść? – zaproponował. – Łatwiej się wtedy gada. Takie siedzenie w zamknięciu może przyprawić o klaustrofobię.

– Rzeczywiście cały dzień nie wychyliłem nosa, więc to niegłupi pomysł, żeby się trochę przewietrzyć.

– To co, idziemy? – Espen wstał.

– No a kawa?

– Napijemy się później, po powrocie.

Włożyłem kurtkę przeciwdeszczową i buty, w korytarzu piętro niżej chwilę poczekałem na Espena; zaraz się pojawił, ubrany w starą, grubą kurtkę, i odwrócił się, żeby zamknąć drzwi.

– Dziś w nocy znów zniknął papier toaletowy – powiedział, chowając klucze do kieszeni. Jego toaleta znajdowała się na korytarzu i każdy mógł z niej korzystać. – Już wiem, kto to robi. Usłyszałem go i wyjrzałem przez okno. Wiesz, to ten mały gostek z Sunnmøre, który mieszka w budynku obok.

Kręcąc głową, ruszyłem w dół po schodach.

– To na bank on. Biegł chodnikiem, a w każdej ręce trzymał rolkę papieru. Jak można upaść tak nisko, żeby kraść papier toaletowy?

– Rzeczywiście.

– W każdym razie to cholernie irytujące. Jak myślisz, co powinienem zrobić? Iść z nim porozmawiać? Oświadczyć, że wiem, że to on?

– Zwariowałeś? Nic nie rób.

– Ale to przecież okropna bezczelność! – uniósł się Espen.

– To kryminalista. Jeśli z nim zadrzesz, nie wiadomo, co się może wydarzyć.

– Pewnie masz rację. Ale jest obrzydliwy. Wydaje mi się, że to zboczeniec. Wiesz, nie spuszcza wody po sobie. Jego gówno pływa w sedesie, kiedy przychodzę.

– O cholera.

Dotarliśmy do korytarza na samym dole i wyszliśmy na popękane betonowe schody. Padał deszcz, i to od dawna. Oba budynki, zarówno nasz, jak i ten, który wznosił się przed nami w odległości zaledwie trzech metrów, pociemniały od wilgoci i błyszcząły w świetle lampy, kapało ze wszystkich wystających parapetów, gzymsów i rynien. W niewielkim zadaszonym przejściu między budynkami wałało się mnóstwo starych śmieci, ściany porastał mech, przez co przypominało tunel, albo raczej grotę.

Na widok kontenerów na odpadki przed oczami stanął mi szczur, którego do tej pory skutecznie udawało mi się wyprzeć ze świadomości, bo przez cały dzień w ogóle o nim nie pomyślałem.

Może jeszcze żył? Może pełzał po kontenerze i żarł te wszystkie cudowne śmieci? Co mu przeszkadzało, że ciągnie za sobą pułapkę? Wiosłując tylnymi łapami, mógł się zsuwać po wypchanych foliowych workach, wystarczyło trochę popracować zębami, a torby się otwierały i wszelkie pyszności wpadały mu prosto do pyska. Skończyło się? No to trzeba wiosłować dalej.

Ruszyliśmy wzdłuż budynków, w których znajdowały się identyczne mieszkania jak nasze, bo wszystkie budynki były takie same, i skierowaliśmy się do przejścia podziemnego z lewej strony. Tam też kapało i płynęło, na ścianach ktoś nagryzmolił rozmaite hasła i niezrozumiałe symbole, część lamp na suficie była potłuczona, nikt nigdy się tu nie zatrzymywał, chyba że przy kiosku, znaj-

dującym się mniej więcej pośrodku, w którym codziennie przed południem kupowałem gazety. Minęliśmy go i wyszliśmy na drogę prowadzącą w stronę centrum.

– Skręcimy tu w prawo? – spytał Espen. – To dość ładna dzielnica.

– Możemy – zgodziłem się.

Ta droga wychodziła na szpital, który wznosił się jak twierdza, rozświetlony w morzu mgły zalegającej pod górami. Znajdujący się w pobliżu duży miejski cmentarz miał strategiczne położenie, dzięki niemu chorym mogło się dobrze wryć w świadomość, że nie żyją wiecznie.

Szliśmy obok siebie. Espen się nie odzywał, ja się nie odzywałem.

– Nie wiem, jak mam zacząć – powiedział w końcu. – Przede wszystkim muszę spytać, czy ty czasem nie piszesz powieści dla młodzieży.

Serce mi zamarło.

– Powieści dla młodzieży? – powtórzyłem. – Co masz na myśli?

– Coś w tonie tej książki. Dialogi. Sposób, w jaki bohaterowie zwracają się do siebie. Ale powieści młodzieżowe to przecież nic złego!

Nic nie powiedziałem, wpatrywałem się w ziemię przed nami, w światła odbijające się w mokrym asfalcie.

– Sporo tam jest dobrego – podjął Espen. – Niektóre opisy przyrody bardzo mi się podobały.

– Ale?

Zerknął na mnie przelotnie.

– Ale całość moim zdaniem nie wytrzymuje próby. W pewnym sensie jest niewystarczająca. Trudno zrozumieć, dlaczego ktoś chce przekazać akurat tę opowieść. Po prostu nie ma w tym ognia.

– No a język?

– Niestety, trochę zbyt bezbarwny. Za mało osobisty. Przykro mi, że to mówię, bo naprawdę chciałbym powiedzieć co innego, ale nie mogę. Wtedy wszystko by runęło.

– Bardzo się cieszę, że mi to powiedziałaś. Mało kogo byłoby na to stać. Większość ludzi tylko by mi przyklasnęła, udała, że im się podoba. Jesteś cholernie odważny, że nie boisz się mówić. Bardzo ci dziękuję.

– Ale to nie jest z ł e – podsumował Espen. – Nie w tych kategoriach roz-

mawiamy. Uważam po prostu, że za mało wyciągasz z materiału.

– A sądzisz, że mogę wyciągnąć więcej? Że powinienem dalej nad tym pracować, jakoś to poprawić?

– Być może. Ale to będzie ciężka praca. Może lepiej, żebyś zaczął coś nowego.

– Aż tak?

– Niestety. Mówię to niechętnie, uwierz mi. Cały dzień bałem się tej rozmowy jak diabli.

– Ale dobrze, że mówisz. Wręcz mnie to ucieszyło, bo wiem, że masz rację. W głębi duszy cały czas to wiedziałem. Właściwie to cudownie, że ktoś jeszcze to potwierdził. Naprawdę nic się nie stało.

– Cieszę się, że tak to przyjmujesz.

– A co, miałbym zastrzelić posłańca?

– Co innego tak myśleć, a co innego mówić. Większość ludzi od razu bierze taką krytykę do siebie. Uznaje ją za zniewagę. No, ale przecież to wiesz, spędziłeś rok w akademii.

– Owszem, ale my jesteśmy przyjaciółmi. Jeżeli stać cię na taką szczerłość wobec mnie, wiem, że nic innego tobą nie kieruje.

Dalej szliśmy w milczeniu.

Mówiłem prawdę. Był naprawdę odważny i mogłem mu ufać. Ale i tak było mi przykro. Rozwiąła się moja ostatnia nadzieja. Nie umiałem pisać lepiej.

Po powrocie do domu wyrzuciłem do śmieci wydruk, który przeczytał Espen, i usunąłem plik z twardego dysku. Teraz zostawała mi już tylko praca dyplomowa. „O pojęciu intertekstualności, ze szczególnym uwzględnieniem *Ulissesa* Jamesa Joyce’a”. Taki obecnie nosiła tytuł.

Szpital w Sandviken znajdował się niedaleko centrum miasta, wycofany pod góry. Mieścił się w ciężkich, monumentalnych budynkach, jak wszelkie zakłady opiekuńcze w tamtych czasach. Wysiadłem z autobusu i ruszyłem drogą, pnącą się do góry. Nade mną we mgle jaśniały okna. Po kilkuminutowej wędrówce między budynkami znalazłem wreszcie ten właściwy i wszedłem.

Spotkanie najogólniej polegało na tym, że jakaś kobieta wpisała mnie do systemu, sprawdziła, na którym oddziale w tej chwili najbardziej potrzebują

pomocy, zadzwoniła tam, podała moje nazwisko, a gdy odłożyła słuchawkę, spojrzała na mnie i spytała, czy mogę przyjść na dyżur jutro po południu.

– Tak, mogę – odparłem.

– Jeśli wszystko pójdzie gładko, a na pewno tak będzie, dostaniesz kolejne dyżury. Oczywiście, jeżeli będziesz chciał.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem, wstając.

– Nie ma za co – rzuciła i przeniosła wzrok na plik papierów, które leżały przed nią na biurku.

Nazajutrz po południu wysiadłem z autobusu w tym samym miejscu i z bijącym sercem ruszyłem po schodach na oddział, do którego mnie przydzielono. Kiedy wszedłem do dyżurki, przywitała się ze mną i uściśniła mi rękę chuda, rudowłosa kobieta o nieco dziecinnym wyrazie twarzy, może trzydziestopięcioletnia. Miała na imię Eva. Inna, niebieskooka blondynka o miękkich kształtach, z opalenizną z ciepłych krajów, koło trzydziestki, stanęła za nią. Kątem oka oceniłem, że ma fantastyczne piersi. Ciekawa osobowość, prawdopodobnie dość śmiała i bezczelna, zważywszy na odzywkę, którą rzuciła, przyglądając mi się przez wąskie okulary umieszczone na czubku nosa:

– No, no, ale przystojniaczka nam tym razem przysłali!

Zaczerwieniłem się, więc musiałem to jakoś ukryć. Czym prędzej zdjąłem kurtkę przeciwdeszczową, podsunąłem filiżankę pod duży termos, wykonałem kilka trzeszczących przyciśnieć pompki, wypilem łyk kawy, ciągle pokrytej bąbelkami piany, i dopiero wtedy usiadłem, lekko się uśmiechając.

– Zawstydziłam cię? – spytała. – Przepraszam, nie chciałam. Taka już jestem. Bezpośrednia. A tak w ogóle, mam na imię Mary.

Patrzyła na mnie bez uśmiechu.

– Biedak, kompletnie mu pomieszałaś w głowie – odezwała się Eva.

– Nie szkodzi. Jestem przyzwyczajony do różnych rzeczy – powiedziałem.

– To dobrze – stwierdziła. – Potrzebna nam wszelka pomoc. Jestem szefową tego oddziału. Strasznie duży u nas przepływ kadr. Jest kilka osób na stałe, ale ci, którym przypadają dyżury w weekendy, wykazują tendencję do znikania.

– Tak? – Wypilem kolejny łyk kawy.

Do dyżurki wszedł brodaty mężczyzna pod trzydziestkę, z chudymi rękami

i nogami, w okularach, wyglądał na lewicowca. Miał na imię Åge.

– Student? – spytał, siadając obok mnie.

Kiwnąłem głową.

– A co studiujesz?

– Literaturoznawstwo na poziomie średnio zaawansowanym.

– No to tutaj ci się to nie przyda – orzekła Mary. – Mieliśmy już geologów, architektów, historyków, politologów, artystów, socjologów, antropologów społecznych, całą menażerię. Większość odchodzi, kiedy tylko znajdzie sobie coś lepszego. Ale niektórzy zostają, prawda, Åge?

– Pewnie.

– Jak już wypalisz, możesz pójść ze mną. Oprowadzę cię i omówimy procedury – zwróciła się do mnie Eva. – Na razie idę przygotować leki.

Uświadomiłem sobie, że chyba nie najlepiej się stało, iż pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem zaraz po przyjściu, było zapalenie papierosa. No, ale z drugiej strony do rozpoczęcia dyżuru pozostawało jeszcze dziesięć minut.

Mary uzupełniała dziennik, Åge wyszedł. Ruszyłem za nim. Nie miałem odwagi zostać z nią sam na sam. Jej obecność była zbyt elektryzująca.

Dużo z tego, co działo się na oddziale, znałem już ze swojej wakacyjnej pracy, jedyną zasadniczą różnicę stanowili mieszkańcy, których tutaj nazywano pacjentami i którzy pozostawali w bliższych stosunkach z opiekunami niż tam. Ale nastrój był tu bardziej przygnębiający, cisza groźniejsza, ludzie, kołysząc się, godzinami wystawali przy oknach, siedzieli na kanapach, paląc jednego papierosa za drugim, apatyczni leżeli w łózkach. Większość przebywała tu od dawna. Prawie nikt się mną nie interesował, nie zauważali, że przyszedł ktoś nowy, najwyraźniej przywykli do częstych zmian personelu. Starłem się nie wychylać, wykonywałem swoje obowiązki, wystąpiłem nawet z jakąś inicjatywą, ale do pacjentów się nie wtrącałem, miałem nadzieję, że dostrzeżone i docenione zostanie to, że znam swoje miejsce. Już pierwszego dnia umyłem podłogi, wystawiłem jedzenie, nakryłem do stołu i włożyłem naczynia do zmywarki. Stale pytałem, co jeszcze mogę zrobić. Czas płynął nieskończenie wolno, ale płynął. Pod koniec dnia, kiedy Åge i Eva zeszli z dyżuru, a pacjenci byli w swoich pokojach, znalazłem się w dyżurce sam na sam z Mary. Zapaliła papierosa szybkimi, wręcz nerwowymi ruchami, które nie pasowały do jej wcze-

śniejszego zachowania. Ale kiedy wciągnęła dym w płuca, a potem go wydmuchała, jednocześnie odganiając ręką sprzed oczu, jej pewność siebie powróciła.

Spytałem, gdzie mieszka. Wyjaśniła, że ma mieszkanie niedaleko, w pobliżu Wyższej Szkoły Handlowej. Kokieteryjny ton, którym mnie powitała, zupełnie zniknął. Ale było coś w unikaniu przez nią mojego wzroku, w nagłych uśmiechach, kryjących w sobie o wiele większe napięcie, prawdopodobnie dlatego, że tamtego poprzedniego frywolnego tonu używała otwarcie, w związku z czym był bezpieczny, natomiast teraz wszystko, co istniało między nami, pozostawało niedopowiedzeniem, wręcz unikiem.

Powiedziała mi, że jest pielęgniarką psychiatryczną i pracuje tu już od pięciu lat. Mówiła w taki sposób, jakby mi się zwierzała.

– No nic. – W końcu wstała. – Pójdę na obchód. A ty możesz już iść do domu.

– Ale przecież zostało mi jeszcze ponad pół godziny.

– Idź, dam sobie radę sama. Będziesz miał więcej czasu dla swojej dziewczyny.

Odwrociłem się. Wkładałem kurtkę, czując lekki rumieniec na twarzy.

– Skąd wiesz, że mam dziewczynę? – spytałem.

Zatrzymała się w drzwiach.

– Trudno sobie wyobrazić, żeby taki przystojny facet był sam – powiedziała i ruszyła korytarzem.

W autobusie usiadłem z tyłu, założyłem słuchawki i włączyłem w walkmanie płytę Sonic Youth, zespołu, który od dawna usiłowałem polubić, ale nie udawało mi się to aż do tej jesieni, kiedy ukazał się krążek Goo. Któregoś wieczoru usłyszałem tę płytę u Espena, paliliśmy haszysz, a mnie wciągnęła ta muzyka, dosłownie, widziałem ją jako przestrzeń z korytarzami, podłogą i ścianami, wąwozami i zbozami, niewielkimi zagajnikami wśród bloków i torów kolejowych; nie mogłem się z niej wyrwać, dopóki ten kawałek się nie skończył, to było jak zaczerpnięcie oddechu, bo chwilę później zaczął się kolejny numer i znów mnie uwięził. Wyjątek stanowił drugi utwór, *Tunic*, który cały czas poruszał się do przodu, siedziałem z zamkniętymi oczami i pozwalałem się unosić wraz z nim. Gdy teraz rozległ się w słuchawkach, pomyślałem,

że to dziwne, bo tekst, a przynajmniej refren, mówił o czymś absolutnie przeciwnym:

You aren't never going anywhere
You aren't never going anywhere
I ain't never going anywhere
I ain't never going anywhere

Ponieważ Gunvor mieszkała bardzo blisko dworca autobusowego, a następny dyżur zaczynałem o siódmej rano, nocowałem u niej. Opowiedziałem jej trochę, jak było, ale bez przesadnych emocji, głównie mówiłem o panującej tam atmosferze, o rozpaczliwej zamkniętej w ciałach tych ludzi, niemożliwej do przekazania komukolwiek innemu. Gunvor przytuliła się do mnie z nagłą powagą w oczach, utkwiała we mnie i przez kilka minut byliśmy tylko we dwoje w wynajętym mieszkaniu z ukośnymi oknami zalany deszczem, wysoko nad ulicami, po których chodzili ludzie, ale kiedy uwolniliśmy się od siebie i ułożyliśmy już do spania, znów zostałem sam, dopóki nie przyszedł sen i nie wyzwolił mnie od wszystkiego.

Obudziłem się przed budzikiem, prawie rozdarty na strzępy tym, co mi się śniło, a co uleciało, w momencie gdy otworzyłem oczy. Ale nastrój pozostał. Wstałem, zjadłem kanapkę w zimnej kuchni, ubrałem się najciszej, jak umiałem, ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi i wyszedłem w ciemność i deszcz.

– Siadaj, zapal sobie – powiedziała Mary, kiedy się zjawiłem. – W niedzielę godziny i tak się dłużą, nie ma się co wysilać, jeżeli nie musimy.

– Dobrze. Wiesz, wczoraj byłem trochę zagubiony, nie bardzo wiedziałem, co mam robić. Nie mogłabyś mi po prostu wyznaczyć jakichś zadań?

Uśmiechnęła się.

– Zawsze możesz zrobić pranie. Ale najpierw musisz mi trochę opowiedzieć o sobie.

– Nie ma nic do opowiadania. Zwłaszcza o takiej wczesnej porze.

– Wiesz, co Eva wczoraj o tobie powiedziała?

– Nie, a co?

– Cicha woda brzegi rwie.

– To bardzo życzliwe porównanie. – Zaczerwieniłem się.

– Jeśli czegoś się tu uczymy, to znać się na ludziach. – Puściła do mnie oko. – Idź, nastaw pierwszą pralkę. Potem możesz zacząć szykować śniadanie.

Zrobiłem, co mi poleciła. Pierwsi pacjenci już wstali, siedzieli przy stolikach w „światlicy” i palili, trzymając papierosy w palcach pożółkłych od nikotyny. Niektórzy mruczełi coś pod nosem. To byli chroniccy, tak nazwała ich Eva poprzedniego wieczoru, przebywający tu od wielu lat, w zasadzie spokojni, ale gdyby coś się zaczęło dziać i rozległby się alarm, miałem rzucić wszystko, co będę miał w rękach, i pędzić tam, gdzie mnie wezwą. Była to jedyna instrukcja odnośnie do pacjentów, jaką otrzymałem. W poprzednim zakładzie opieki też nikt mi nic nie mówił, ale tutaj bardziej to dziwiło, bo z tymi pacjentami dało się rozmawiać zupełnie inaczej. Co miałem robić, gdyby nawiązali ze mną kontakt i chcieli pomówić o czymś ważnym? Przytakiwać, wypowiadać swoje opinie, wezwać kogoś, kto ma odpowiednie kwalifikacje?

Wyjąłem z lodówki produkty do kanapek, mleko i sok, z szafki stos talerzy, noże do masła, szklanki i filiżanki, wszystko ustawiłem na wózku i zacząłem nakrywać. Ponieważ była niedziela, postanowiłem ugotować kilka jajek i na każdym stole postawić zapaloną świeczkę. Chudy, ciemnowłosy facet o trzęsących się rękach, podobny do Ludwiga Wittgensteina, usiadł przy stole. Głowę miał spuszczoną, prawie jakby się modlił.

Podsunałem mu talerz.

– Nie jestem, do cholery, pedalem! – oświadczył.

Postawiłem na stole tacę z serem oraz kartony z mlekiem i sokiem. Więcej się nie odezwał, wyglądał, jakby w ogóle mnie nie zauważał. Przyszła Mary i podała mu kieliszek z lekami, nalała soku do szklanki, odczekała, aż przełknie, i dopiero wtedy ruszyła dalej. Wyjąłem jajka, przelałem je zimną wodą, nastawiłem ekspres do kawy, zmoczyłem ścierkę, przetrąłem blat i deskę do krojenia chleba. Na parkingu przed budynkiem stał pusty samochód z zapalonymi światłami. Korytarzem nadszedł Åge, uniósł rękę na powitanie, odpowiedziałem tym samym.

– No i jak? – spytał, kiedy już stanął przy mnie, wcześniej zostawiwszy w dyzurce kurtkę i torbę. – Miałeś fajny wieczór?

- Tak – odparłem. – Spokojny. Wcześniej się położyłem.
- Wyglądasz na odpowiedzialnego faceta – stwierdził.
- Możliwe.
- Pomyślałem, że moglibyśmy we dwóch zabrać kilku pacjentów na wycieczkę. Co ty na to?
- Chętnie. Ale nie mam prawa jazdy. A ty?
- Jasne, że mam. Trochę się oderwiemy od tych bab.

To był idiotyczny komentarz, ale nie chciałem, żeby się domyślił mojej oceny i poczuł odrzucony, więc jeszcze chwilę z nim postąłem i dopiero potem poszedłem po jajka i kieliszki do nich.

Po śniadaniu Åge zamówił samochód, zebrał czterech pacjentów, wsiedliśmy i ruszyliśmy w góry po drugiej stronie centrum. W końcu zatrzymał się na dużym placu, wysypanym żwirem, i powiedział, że idziemy zobaczyć jezioro Svartediket^[26]. Pomyślałem, że zasługuje na swoją nazwę, przynajmniej teraz, późną jesienią, bo dookoła nie widać było żadnej żywszej barwy. Wsiedliśmy z samochodu i ruszyliśmy wznoszącym się łagodnie górskim grzbietem. Åge gadał nieprzerwanie, przenikliwym głosem wyrzucał z siebie skargi na stosunki panujące w Sandviken. Niezadowolony był zwłaszcza z atmosfery wśród pielęgniarek na oddziale. Twierdził, że konspirują i obmawiają się nawzajem, a ja kiwałem głową, w duchu powtarzając: ależ to idiota, dlaczego on się nie zamknie, co mnie to, do jasnej cholery, obchodzi?

Zatrzymaliśmy się, rozejrzeliśmy, popatrzyliśmy na położone w oddali jezioro, czarne jak najczarniejszy asfalt, i na szczyt, który wznosił się za nim niemal pionowo, a potem wróciliśmy do samochodu. Åge pojechał dalej prosto, zawrócił przy Nesttun i ruszył z powrotem. Cały czas puszczał Boba Dylana, a ja pomyślałem, że pasują do siebie, obaj są tak samo skwaszeni.

- Pstryk i trzy godziny minęły! – powiedział, kiedy podjeżdżaliśmy pod górę po drugiej stronie miasta.
 - Rzeczywiście.
 - Fajnie się z tobą gada – stwierdził. – Czuję, że rozumiesz, o co chodzi.
 - Dzięki, nawzajem.
- Ależ to idiota.

Pomyślałem, że z Mary to zupełnie co innego, i poczułem łaskotanie w żo-

ładku. Owszem, miała trzydzieści lat, owszem, była pielęgniarką, owszem, powiedziałem do niej najwyżej pięć zdań, ale to było bez znaczenia, bo nic więcej nie miało się zdarzyć. Co w tym złego, że czułem napięcie, gdy przebywałem z nią w jednym pomieszczeniu?

Gdy kilka godzin później wybierałem się już do domu, Eva spytała, czy interesuje mnie dalsza praca. Potwierdziłem, wpisała mnie na wewnętrzną listę zastępstw. Na przystanku, w ulewnym deszczu, obliczałem w głowie miesięczne wynagrodzenie. Zaraz po powrocie do domu poszedłem spać, spałem mocno, obudził mnie telefon, dookoła panowała ciemność, początkowo wydawało mi się, że przespałem całą dobę, ale okazało się, że jest dopiero wpół do szóstej. Telefonował Yngve. Pracował w hotelu, a dzwonił, żeby spytać, czy nie wyjdę z nim na miasto, kiedy skończy. Powiedziałem, że oczywiście, i umówiliśmy się w Operze trochę po dziesiątej.

Wcześniej obiecałem mu tekst, a że był już prawie gotowy, przegryzłem coś, nastawiłem muzykę i wyciągnąłem kartkę. Jone pojechał do Stavanger, Espen, sądząc po ciszy w jego mieszkaniu, musiał dokąś wyjść, więc pozwoliłem, żeby muzyka grała głośno, i świetnie się czułem – kiedy układałem teksty dla Yngvego, nic mnie nie wiązało, wystarczyło je po prostu napisać.

Godzinę później tekst był skończony.

ONA, PIES, ONA

*Zatrzymała samochód,
wysiada,
pies zwiertzył trupa
twoje oczy to widzą
dostrzegają szczegóły
Ruch między dwoma słowami
za każdym razem trochę dalej*

*On leży u jej stóp
udaje, że śpi
pies biega w kółko*

*gdy ona wstaje i ubiera się
wychodzi po cichu.*

*Zatrzymała samochód,
wysiada,
pies zwietrzył trupa
wciąż nietkniętego*

*Pierwsze słowo, szary człowieku
Trochę dalej za każdym razem
Trochę dalej poza twoją kontrolę*

*Pierwsze słowo, szary człowieku
Trochę bliżej za każdym razem
Trochę bliżej, niż sądzisz, że się da*

*On leży u jej stóp
udaje, że śpi
pies biega w kółko
gdy ona wstaje i ubiera się
wychodzi po cichu.*

*Wychodzi, ulicami idzie
to światło, to mrok, idzie
ulicami idzie
światło i mrok, idzie ulicami, idzie
światło i mrok, idzie ulicami, idzie
idzie*

Wziąłem prysznic, a ponieważ wychodziłem na miasto, postanowiłem sobie ulżyć, za wszelką cenę nie chciałem znów trafić w szpony pożądania, a to był sposób na zmniejszenie ryzyka zdrady. Nie miałem do siebie ani krztyny zaufania, mogłem wypić jedno piwo, ale po wypiciu dwóch chciałem jeszcze więcej, gdy zaś wypilem więcej, wszystko mogło się wydarzyć.

Kiedy stałem pod prysznicem, ściskając fiuta w ręku, co chwila pod powie-

kami miałem obraz Hansa Olava masturbującego się na łóżku, poczułem się przez to zbrukany, całe pożądanie odpłynęło. Ale i tak mi się udało. Później nie wychodziłem spod prysznica z pół godziny. Gdyby nie to, że skończyła się ciepła woda, mógłbym tak stać kolejne pół. Nie miałem w sobie siły, żadnej woli, chciałem jedynie całą wieczność tkwić pod strumieniami lejącej się na mnie wody.

Ledwie starczyło mi energii, żeby się wytrzeć, a żeby się ubrać, musiałem naprawdę porządnie wziąć się w garść. Później poczułem się lepiej. Uznałem, że dobrze mi zrobi alkohol, lekki rausz skieruje myśli na inny tor. Ciemność rozciągała się za oknami jak morze, a przy słabym oświetleniu wewnątrz widziałem pokoje tak, jak je odbierałem w dzieciństwie. Wszystko w nich jakby odwracało się ode mnie, a kierowało na siebie. Obce, obce w swej istocie. Wszystko takie jest, pomyślałem, stając przy oknie i podejmując próbę przeniesienia tego obrazu dalej, na zewnątrz, sprawdzenia, czy również tam wszystko jest obce w swojej istocie, odwrócone ode mnie, od nas, od ludzi chodzących po ziemi.

O, to wrażenie było straszne. Otaczała nas martwota, krążyliśmy w martwoście, ale to nam nie przeszkadzało, przeciwnie, obracaliśmy ją na własną korzyść, używaliśmy tej martwoty do własnych celów. Sami stanowiliśmy wyspy życia. Drzewa, rośliny były nam pokrewne, podobnie jak zwierzęta, ale to już wszystko. Cała reszta, jeśli nie żywiła do nas wrogości, to w każdym razie się od nas odwracała.

Ubrałem się, zszedłem po schodach – martwych, do bramy – martwej, drogą pod górkę – martwą, przez przejście podziemne – martwe, ulicą – martwą, wzdłuż fiordu – martwego, i wszedłem do parku, który otoczył mnie żywą, ale uśpioną ciemnością.

Czekając na Yngvego, wypłem parę piw. Dobrze się czułem, po pierwsze dlatego, że było tak mało gości, a wtedy pojawiał się specyficzny nastrój, z ciemnością na zewnątrz, światłem w środku i dużą przestrzenią między ludźmi, a po drugie dlatego, że powoli ogarniało mnie obiecujące odurzenie, zaczynałem się wznosić i przeczuwałem, że kiedy dojdę do krawędzi, może się zdarzyć wszystko.

Poza tym zarobiłem trochę w ostatnich dniach i miałem widoki na dalszy zarobek.

- Cześć – odezwał się za moimi plecami Yngve.
- Cześć. Jak się masz?
- Dobrze. Długo już tu siedzisz?
- Pół godziny. Napawam się poczuciem wolności od pracy.
- Właśnie to jest w pracy najprzyjemniejsze. Człowiek docenia, że nie pracuje.

Odstawił parasol i nieduży plecak, przyniósł sobie piwo i usiadł.

- No i jak tam jest? To znaczy w Sandviken?
- W zasadzie dość strasznie. Ale będą z tego pieniądze.
- Też tam pracowałem jakiś czas. – Wytarł odrobinę piany z górnej wargi.
- Rzeczywiście.
- To się zmieni, kiedy już będziesz miał za sobą kilka dyżurów i trochę przywykniesz.

– Na pewno.

– Myślałeś o Kafkatrakterne od naszego ostatniego spotkania?

– Tak. Napisałem nowy tekst. Nazywa się *Ona, pies, ona*.

– Przyniosłeś?

– Owszem. – Wyjąłem kartkę z tylnej kieszeni spodni.

Yngve rozłożył ją i przeczytał.

– Świetnie – powiedział. – Jeszcze dwa kawałki i mamy cały zestaw na sylwestra.

Rozmawialiśmy o tym chwilę, w końcu zapadło milczenie. Yngve trochę się rozglądał, po jego przyjściu pojawiło się więcej ludzi, ale tłoku nie było.

– A może byśmy poszli do Christiana? – zaproponował. – Może tam będzie więcej życia?

– No to chodźmy.

Po drodze Yngve mi tłumaczył, że niedzielny wieczór polega na tym, że wszyscy pracownicy barów i restauracji sami idą się zabawić, a u Christiana bywa większość z nich. Zapłaciliśmy za wstęp, usiedliśmy przy stoliku w pobliżu parkietu do tańca, Yngve przyniósł nam z baru dzin z tonikiem, a ja piłem tak, jakby to był sok. Jeszcze jeden i jeszcze jeden.

Zaczeliliśmy gadać z dwiema dziewczynami, jedna, koło trzydziestki, była

ładna, miała krzywe zęby i rudawe włosy, powiedziała, że pracuje na poczcie, i śmiała się za każdym razem, kiedy się do niej odzywałem. Stwierdziła, że jestem za młody, a poza tym chodzi z wielkim, silnym i zazdrosnym facetem, ale mnie to wcale nie przestraszyło, pociągał mnie jej śmiech. Dziewczyny jednak szybko wyszły, a Yngve mnie powstrzymał, kiedy chciałem iść za nimi.

Śmierć była również tutaj, cały lokal, w którym siedzieliśmy, był martwy, z wyjątkiem ludzi na parkiecie. Pomyślałem, że tańczą wśród śmierci. Tańczą wśród śmierci, tańczą wśród śmierci.

Wypiliśmy jeszcze więcej, przy kilku piosenkach wypuściliśmy się nawet na parkiet, a poza tym gadaliśmy o naszym zespole, o tym, że zaczyna się dziać coś naprawdę dobrego i że mamy przed sobą wielkie możliwości, tylko musimy się mocno przyłożyć. Powiedziałem, że wolę grać w zespole niż pisać. Yngve spojrzał na mnie zaskoczony, tego się nie spodziewał. Ale to była prawda. Pisanie oznaczało klęskę, upokorzenia, patrzeć sobie samemu w oczy i przyznawanie się do braku talentu. Gra w zespole była czymś zupełnie odmiennym, oddawaniem się czemuś wraz z innymi i tworzeniem w ten sposób czegoś nowego. Byłem marnym perkusistą, ale mimo to kilka razy udało nam się coś stworzyć, nagle znaleźliśmy się w samym środku czegoś, co się samo poruszało, nie sterowaliśmy tym, tylko daliśmy się temu porwać, a to uczucie sprawiało mi niesamowitą przyjemność.

Ciarki przebiegały mi wtedy po plecach, uśmiechałem się. Unosiliśmy się coraz wyżej i wyżej, i nagle się to kończyło. Kolejny utwór był powrotem do miejsca, w którym każdy instrument, każdy riff, każde uderzenie pałeczką słychać było osobno.

– Musimy na to postawić – oświadczyłem Yngvemu tego wieczoru. – Więcej nie trzeba. Żadnej siatki zabezpieczającej. Powinniśmy rzucić studia i grać na full. Ćwiczyć codziennie przez dwa lata. Cholera, bylibyśmy świetni!

– To prawda. Ale Hansa i Påla nigdy na to nie namówimy.

– Wiem. Chociaż właśnie to jest potrzebne, ta jedna rzecz.

W tym momencie byłem już kompletnie pijany, lecz jak zwykle nie dawałem tego po sobie poznać. Nie zataczałem się, nie bełkotałem. Ale wewnątrz już pozbyłem się wszelkich wątpliwości, zacząłem słuchać każdego impulsu, każdego pomysłu, na jaki wpadłem, i drwiłem z dzwonek ostrzegawczych rozlegających się w mózgu, więc kiedy U Christiana zamknęli i przenieśliśmy się

do Slakteriet, żeby wycisnąć ostatnie krople z tego wieczoru, w głowie miałem tylko jedno: znaleźć dziewczynę, która zaprosiłaby mnie do siebie albo zgodziłaby się przyjść do mnie.

Usiedliśmy przy stoliku, ktoś się nam przyglądał, wychwyciłem to kątem oka, więc odwróciłem się w tamtą stronę. Napotkałem wzrok dziewczyny o wydatnych wargach i błyszczących oczach. Uśmiechnęła się, gdy nasze spojrzenia się skrzyżowały, a mnie od razu stanął. Była pulchna i nikt nie nazwałby jej ładną, ale co to szkodziło? Mnie zależało wyłącznie na tym, żeby iść z nią do łóżka.

Zerknąłem na nią kilka razy, zawsze przelotnie, tylko po to, by sprawdzić, czy na mnie patrzy. Patrzyła. Po jakimś czasie podeszła i spytała, czy mogą z koleżanką przysiąść się do naszego stolika. Pozwoliłem, żeby to Yngve odpowiedział, oczywiście się zgodził. Jasne, siadajcie, my wprawdzie wybieramy się już do domu, ale...

– Już idziecie? – spytała.

– Niedługo.

Spojrzała na mnie zaczepnie.

– Ty też?

– To zależy. – Z podniecenia ledwie mogłem mówić.

– Zależy? Od czego?

– No, od tego, czy nie wydarzy się coś specjalnego.

– Specjalnego? – powtórzyła.

Serce waliło mi w piersi jak szalone, bo patrzyła na mnie głodnym wzrokiem. Ona też tego chciała.

– Tak – powiedziałem.

– Na przykład co?

– Na przykład dokończenie imprezy w jakimś innym miejscu. Gdzie mieszkasz?

– Na Nøstet. Ale tam nie będzie żadnej imprezy.

– Aha.

– A ty gdzie mieszkasz?

– Przy Danmarksplass – odpowiedziałem i zapaliłem papierosa.

– Daleko. Mieszkasz sam?

– Tak.

– I coś tam organizujesz?

Yngve spojrzał na mnie.

– Nie, raczej nie.

– Masz jutro odwiedzić dziadka do szpitala, pamiętaj – wtrącił się Yngve.

– Wiem, wiem. Niedługo idę do domu.

Zaraz potem Yngve wstał i poszedł do toalety.

– Wyjdiesz ze mną na chwilę pogadać? – spytałem dziewczynę. – Bo ja już spadam. A chcę ci coś powiedzieć w cztery oczy.

– O co chodzi? – uśmiechnęła się. Spojrzała na koleżankę, która rozmawiała z jakimś facetem kucającym przy jej krześle.

Wstałem, ona też.

– Chodź do mnie do domu. Chcesz?

– Mogłoby być ciekawie.

– Weźmiemy taksówkę, teraz, zaraz.

Zgodziła się, włożyła kurtkę, przewiesiła torebkę przez ramię.

– Ja już lecę – powiedziała do koleżanki. – Widzimy się jutro, okej?

Tamta kiwnęła jej głową, wyszliśmy, nadszedła taksówka, zamachałem na nią i pół minuty później już sunęliśmy przez miasto.

– A co z twoim bratem? – spytała.

– Da sobie radę.

Położyłem jej rękę na kolanie.

O Boże.

Przełknąłem ślinę i zacząłem ją gładzić po udzie, przesuwając rękę najwyżej, jak się dało. Uśmiechnęła się, więc się nachyliłem i ją pocałowałem. Objęła mnie. Pachniała perfumami, a jej ciało ciężko opierało się o moje. Miałem na nią taką ochotę, że nie wiedziałem, jak się opanować w tej taksówce, od mojego mieszkania i stojącego tam łóżka dzieliło nas jeszcze tyle minut.

Wsunąłem jej rękę pod kurtkę, pogładziłem pierś, ona pocałowała mnie w ucho. Ciężko oddychała.

Przejeżdżaliśmy już przez Danmarksplass.

– Tutaj w lewo – powiedziałem. – I zaraz znów w lewo. Druga brama.

Wyjąłem z kieszeni stówę, podałem ją taksówkarzowi, a kiedy się zatrzymał, otworzyłem drzwiczki, złapałem dziewczynę za rękę i pociągnąłem w stronę bramy. Śmiała się. Wchodziliśmy po schodach objęci, wciskałem się w nią najmocniej, jak mogłem, otworzyłem drzwi do mieszkania i w sypialni, w której znaleźliśmy się zaledwie po kilku sekundach, najpierw ściągnąłem jej bluzę, potem rozpiąłem stanik, guzik i suwak w spodniach, po czym je z niej zerwałem. Była w czarnych majtkach, przycisnąłem do nich twarz, obejmując ramionami jej nogi. Ugięły się pod nią, a wtedy zdjąłem jej majtki i znów wciśnąłem w nią twarz, a potem, no tak, potem zrobiliśmy to, co sobie wyobrażałem, kiedy skrzyżowały się nasze spojrzenia.

Już w momencie, gdy się obudziłem, wiedziałem, co zrobiłem, i ogarnęło mnie przerażenie.

Spała spokojnie obok mnie.

Musiałem ratować to, co jeszcze się dało ocalić. O tę dziewczynę nie mogłem się martwić.

Obudziłem ją.

– Musisz już iść – oświadczyłem. – I nie wolno ci nikomu mówić o tym, co się stało. Jeśli jeszcze kiedyś na siebie wpadniemy, musisz udawać, że do niczego między nami nie doszło. Mam dziewczynę. To się nigdy nie powinno było zdarzyć.

Usiadła na łóżku.

– Nic nie mówiłeś – powiedziała i uniosła ręce, żeby zapiąć biustonosz.

– Byłem pijany.

– Stara śpiewka. A mnie się wydawało, że spotkałam księcia z bajki.

Staliśmy obok siebie, ubierając się bez słowa. Kiedy wychodziła, rzuciłem jej „cześć”, ale nie odpowiedziała. Tym jednak nie mogłem się przejmować.

Była już dziesiąta, niedługo promem miał przyplłynąć dziadek. Wrzuciłem pościel do pralki i wziąłem szybki prysznic. Ciągle byłem pijany i tak zmęczony, że musiałem zmobilizować całą swoją wolę, aby stawić czoło temu, co mnie czekało.

Już wychodziłem, kiedy uchyliły się drzwi do mieszkania Jonego.

– Miałeś dziś w nocy towarzystwo? – spytał.

– Nie. A co?

Roześmiał się.

– Słyszeliśmy was, Karl Ove. Twój głos i głos dziewczyny. To nie była Gunvor, prawda?

– Nie. Zachowałem się jak idiota. Nie rozumiem, co we mnie wstąpiło. – Spojrzałem mu w oczy. – Mogę cię prosić, żebyś nie mówił o tym Gunvor? A najlepiej nikomu?

– Oczywiście. Nic nie słyszałem ani nie widziałem. Ty też nic nie słyszałaś, Siren, prawda? – zawołał w głąb mieszkania.

– Siren tu jest?

– Tak, ale to nic nie szkodzi. To zostanie między nami, nie bój się.

– Bardzo ci dziękuję, Jone. Muszę już lecieć.

Z wysiłkiem zszedłem na dół, na zewnątrz trochę przyspieszyłem, czułem mdłości i głowa mnie bolała, ale nie to stanowiło problem, problemem było zmęczenie, właściwie nie miałem sił na nic. Złapałem autobus na przystanku przy kinie Forum, wysiadłem przy Targu Rybnym dziesięć minut później, akurat w chwili, gdy ekspresowy prom z Sogn ukazał się w basenie portowym.

Świeciło słońce, niebo było zupełnie błękitne, kolory wokół mnie lśniły jaszkrawo.

Musiałem udawać, że to się nie zdarzyło. Za każdym razem, gdy będzie mi się to przypominało, muszę sobie wmawiać, że do niczego takiego nie doszło.

Że to się nie zdarzyło naprawdę.

Że tego nie było.

Stałem przy terminalu promowym, czując pulsowanie w głowie, i obserwowałem, jak prom przybija do nabrzeża, cały czas intensywnie powtarzając w myślach, że ta ostatnia noc w ogóle nie istniała.

Zaczęli opuszczać trap, kilku niecierpliwych pasażerów stało już w drzwiach i czekało na sygnał pozwalający zejść z promu.

Trap opadł na nabrzeże.

Ludzie ruszyli.

Nic się nie wydarzyło.

Byłem niewinny.

Nie zdradziłem.

Nic takiego nie zrobiłem.

Po trapie schodzili kolejni pasażerowie, większość niosła walizkę albo dwie. Dziadka nigdzie nie było widać.

Powiał wiatr, załopotały flagi, woda się zmarszczyła. Warkot silnika odbijał się od kamieni nabrzeża, spaliny unosiły się wzdłuż białego kadłuba.

Wreszcie się pojawił. Drobny, w ciemnym garniturze i czarnym kapeluszu, wolniutko przesuwiał się po trapie. W jednej ręce niósł walizkę, drugą przytrzymywał się poręczy i małutkimi kroczkami schodził na ląd. Podeszedłem do niego.

– Cześć, dziadku.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– Jesteś – powiedział. – Myślisz, że znajdzie się dla nas jakieś auto?

– Na pewno. Zaraz spytam, czy mogą nam zamówić.

Podeszedłem do jednego z taksówkarzy, który ładował walizki do bagażnika. Oświadczył, że zaraz przyjedzie więcej taksówek, i trzasnął klapą.

– Musimy trochę poczekać – zwróciłem się do dziadka. – Taksówki niedługo przyjadą.

– No, czasu nam nie brakuje.

W taksówce dziadek się nie odzywał. Było to do niego zupełnie niepodobne, ale uznałem, że ma związek z obcym otoczeniem, w którym się znalazł. Ja też nic nie mówiłem. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Danmarksplass, odwróciłem głowę, żeby nie widzieć swojego domu i nie przypominać sobie tego, co się stało, żeby nie wróciło do mnie wspomnienie, jak tamta taksówka się zatrzymuje, a my wręcz biegiem rzucamy się do drzwi. To się nie zdarzyło. Nie istniało, powtarzałem w myślach, gdy skręciliśmy i ruszyliśmy pod górę, w stronę Szpitala Haukeland, dziadek i ja. Dziadek powolnym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni po portfel i zaczął odliczać banknoty. To ja powinienem zapłacić, ale miałem mało pieniędzy, więc mu na to pozwoliłem.

Wysiedliśmy z taksówki i poszliśmy przez plac do głównego wejścia; promienie słońca odbijały się we wszystkich oknach. Po tak mocnym świetle na

zewnątrz w środku wydawało się całkiem ciemno. W windzie wcisnąłem guzik i ruszyliśmy w górę. Winda się zatrzymała, wsiadła jakaś kobieta; do ręki miała podłączony wężyk, na którego drugim końcu, na statywie z kółkami, wisiało coś w rodzaju torebki. Kiedy drugą ręką chwyciła się poręczy, w dolnej części wężyka pojawiła się krew.

O mało nie zwymiotowałem, więc się odwróciłem. Dziadek wbił wzrok w podłogę.

Czyżby się bał?

Nie dało się tego stwierdzić. Ale stracił cały autorytet. Raz kiedyś byłem już świadkiem czegoś podobnego, gdy wiele, wiele lat temu odwiedził nas na Tybakken. Musiało to mieć związek z tym, że znajdował się w obcym otoczeniu. We własnym domu zachowywał się inaczej, tam emanowały z niego spokój i pewność siebie.

– No, jesteśmy na miejscu – oznajmiłem, kiedy drzwi windy się otworzyły.

Wysiedliśmy. Po napisach na tablicach zorientowałem się, że mamy iść w lewo. Zobaczyłem dzwonek przy drzwiach, nacisnąłem, pojawiła się pielęgniarka.

Podaliśmy nazwisko dziadka, kiwnęła głową, przywitała się z nim, powiedziałem dziadkowi, żeby się trzymał i że postaram się jak najszybciej go odwiedzić, odparł, że dobrze, i poszedł z pielęgniarką, a przede mną drzwi powoli się zamknęły.

Czułem dojmujący wstyd. Moje życie było niegodne, byłem niegodnym człowiekiem, a w zetknięciu z dziadkiem stawało się to takie wyraźne, zwłaszcza w sytuacji, kiedy był chory, w szpitalu, u schyłku życia. Miał ponad osiemdziesiąt lat i w najlepszym razie zostało mu ich jeszcze dziesięć, może piętnaście, lecz możliwe również, że zaledwie dwa albo trzy, tego przecież nikt nie potrafił przewidzieć.

Miał niewielki guzek w gardle, na razie niegroźny, lecz mimo wszystko należało go usunąć, właśnie dlatego się tu teraz znalazł.

Babcia nie żyła, a wkrótce miał umrzeć dziadek. Całe życie ciężko harowali, tak samo jak ich rodzice. Żeby zdobyć pożywienie. Żeby jakoś dać sobie radę. Toczyli ciężką walkę, która już się skończyła albo dobiegała końca. A moje postępowanie, to, co zrobiłem, było niegodne, było złym uczynkiem, żalonym i na wskroś nikczemnym. Miałem dziewczynę, bardzo fajną, fanta-

styczną, a tak ją skrzywdziłem.

Dlaczego?

Bez powodu. Przecież nie chciałem. A już na pewno nie chciałem teraz, mając świadomość, co zrobiłem.

Wyszedłem na placyk przed szpitalem, stanąłem na szarym asfalcie i paląc papierosa, zapatrzyłem się w dal. Nic się nie wydarzyło, to było najistotniejsze, nic, absolutnie nic, wyszedłem do knajpy z Yngvem, wróciłem do domu sam, położyłem się spać, a rano pojechałem po dziadka.

Jeśli miałem znów spotkać się z Gunvor i spojrzeć jej w oczy, to takiej wersji wydarzeń musiałem się trzymać. Nic się nie stało.

Godzinę później siedziałem w cukierni w budynku centrum handlowego Sundt i piłem kawę, obserwując życie toczące się na Torgallmenningen. To tutaj zwykle przesiadywałem, będąc sam na mieście, w otoczeniu starych bergek i bergeńczyków, gdzie nikt niczego ode mnie nie chciał, miałem całkowity spokój i choć w powietrzu dawało się wychwycić nieprzyjemny, mdły zapach, którego nie potrafił stłumić nawet aromat świeżych wypieków, to z jakiegoś dziwnego powodu naprawdę lubiłem to miejsce. Lubiłem tu siedzieć i czytać, zapisywać w notatniku pomysły, które przychodziły mi do głowy, od czasu do czasu podnosić wzrok i patrzeć na ludzi idących ulicą, na gołębie żyjące własnym życiem w cieniu życia ludzi, ale poruszające się w nim podobnie, tyle że w znacznie mniejszej skali, cały czas w poszukiwaniu pożywienia sypiącego się z ludzkich rąk lub wyrzucanego przez nie do śmietnika – resztek lodów, kawałka hot doga, połowy bułki. Czasami, przestraszone przez jakiegoś dziecka, biegały półkolem, charakterystycznym dla siebie szarpanym ruchem, a jeśli to nie wystarczało, rozpościerały skrzydła, wzbijały się w powietrze i lądowały pięć czy sześć metrów dalej, aby znów podjąć pościg za jedzeniem.

Nie chciałem wracać do mieszkania, ale nie mogłem tu siedzieć w nieskończoność, zwłaszcza taki udręczony. Najlepiej byłoby pójść do czytelni, spotkać się z Gunvor, chwycić byka za rogi i mieć to już za sobą. Jeśli pierwsze minuty jakoś miną i ona niczego nie zauważy, to dalej pójdzie już gładko, byłem tego pewien. Po prostu musiałem się z tym zmierzyć.

Wyszedłem, włożyłem ciemne okulary i ruszyłem w trudną drogę na Wzgórze.

Czytała coś; jedną rękę położyła przy książce na blacie, drugą podpierając czoło.

Zatrzymałem się przed nią.

Podniosła głowę, uśmiechnęła się i rozpromieniła.

– Cześć! – powiedziała z radością w głosie.

– Cześć. Pójdiesz ze mną na kawę?

Kiwnęła głową, wstała i ruszyła za mną.

– Może usiadzimy na dworze? – zaproponowała. – Taka piękna pogoda!

– Dobrze. Ale muszę się napić kawy. Przynieść też tobie? Zaczekasz tutaj?

– Tak. – Usiadła na murku i mrużąc oczy, wystawiła twarz do słońca.

– Wczoraj zabalowałem – oznajmiłem po powrocie, podałem jej kawę i zdjąłem ciemne okulary, aby nie pomyślała, że coś przed nią ukrywam.

– Widzę. Wyglądasz na zmęczonego.

– Rzeczywiście, dość długo zabawiliśmy.

– Kto?

– Tylko my dwaj, ja i Yngve.

Usiadłem obok niej. Nienawidziłem siebie za to kłamstwo, ale niebezpieczeństwo minęło, niczego nie podejrzewała.

– Może zrobisz sobie już wolne? – spytałem. – Moglibyśmy się przejść po mieście. Mam taką ochotę na lody!

– Do licha, może i tak, idziemy!

Trzy dni później wybraliśmy się razem z wizytą do dziadka. Wysiedliśmy przy niedużej kwiaciarni, mieszczącej się w budce przy drodze do szpitala i dość makabrycznej, ponieważ sprzedawano w niej zarówno wieńce nagrobne, jak i bukiety, które kupowało przypuszczalnie sporo ludzi odwiedzających chorych. Padał deszcz i wiał wiatr, szliśmy pod górę, trzymając się za ręce. Czułem się brudny w środku, myśl o własnym zakłamaniu była jak otchłań, ale nie miałem wyboru, Gunvor nie mogła się o niczym dowiedzieć, prędzej czy później wspomnienie mojego strasznego postępu zbladnie i tak jak wszystkie inne wspomnienia, stanie się czymś, co wydarzyło się w innym świecie.

Dziadka zastaliśmy w sali telewizyjnej. Rozpromienił się na nasz widok,

wstał i przywitał się z Gunvor. zaproponował, żebyśmy poszli do niego do pokoju, bo tam są krzesła i stół. Sam usiadł na łóżku. To był dwuosobowy pokój, w sąsiednim łóżku leżał wychudzony staruszek o szarej twarzy, miał zamknięte oczy.

Dziadek długo nam się przyglądał.

– Powinniście iść do filmu – powiedział wreszcie. – Jesteście oboje tacy piękni, że powinniście iść do filmu. To jest wasza przyszłość.

Gunvor spojrzała na mnie z uśmiechem. Oczy jej błyszczały.

– Miło, że się tak daleko wybraliście, żeby mnie odwiedzić.

– Nie mogło być inaczej – stwierdziłem.

Staruszek w łóżku obok podniósł się i zaczął kaszleć, najpierw głośno, potem charcząco, w końcu zaczął rzeźzić.

Pomyślałem, że już niewiele mu zostało.

Na tle ciemności i wiatru za oknem przypominał postać z filmu grozy. Wreszcie znów się położył i zamknął oczy.

– Nie daje mi w nocy spać – szepnął dziadek. – Chce rozmawiać. Jest pewien, że umiera. Ale ja sobie nie życzę, żeby mnie w to wciągał.

Zaśmiał się i zaczął opowiadać. Sypał historyjkami jak z rękawa, oboje z Gunvor słuchaliśmy oczarowani. Chyba otoczenie przydawało jego opowieściom szczególnej intensywności, a może po prostu opowiadał ciekawiej niż zwykle, ale było to wręcz hipnotyczne. Mówił o amerykańskich pionierach, którzy zaprzyjaźnili się z Indianami, ale przeżyli również ataki z ich strony. Opowiadał o swojej młodości, kiedy jeździł na tańce po okolicy, i o tym, jak w pewnym gospodarstwie w Dike, niedaleko Sørbøvåg, poznał babcię, która pracowała tam razem ze swoją siostrą Johanną. Pewnej nocy wybrał się do nich z kolegą. Babcia i Johanna spały na stryszku, dziadek zaczął się wspinać po drabinie, ale poczuł szarpanie za nogawkę spodni. To kolega się zdenerwował i postanowił wracać do domu. Następnej nocy dziadek poszedł już sam i wspiął się na górę. Kolega został organistą, chociaż granie niezbyt dobrze mu szło, łagodnie mówiąc, i pozostał starym kawalerem. Dziadek śmiał się na to wspomnienie, aż łzy toczyły mu się po policzkach. Trochę też jakby stracił poczucie sytuacji, jakby nie wiedział, gdzie jest ani z kim rozmawia, tylko całkowicie zanurzył się w swoje opowieści, bo nagle oznajmił, że za pierwszym razem nie dostał tego, czego chciał, odmówiła mu, ale za drugim już tak, więc

chyba nie rozumiał, że opowiada to swojemu wnukowi i jego dziewczynie. A może właśnie miał tego świadomość? Ja w każdym razie nie chciałem tego słuchać i zadałem mu pytanie o coś zupełnie innego, żeby nakierować go na nowy trop. Odpowiedział kolejną opowieścią. Nie tylko on pogubił się w tej sytuacji, ja także, wszystko zaczęło mi się mieszać: to, co zrobiłem kilka nocy wcześniej poza wiedzą Gunvor, z tą Gunvor, która teraz tu siedziała, zasłuchana, wciągnięta w opowieści dziadka, były ciemność i wiatr, był chudy staruszek z dzikością w oczach i tym swoim niemal śmiertelnym rżeniem, i był dziadek opowiadający nam o tym, jak w latach dwudziestych jeździł z ojcem po wsiach i stawiał ludziom domy, ale też o swojej wędrówce z plecakiem pełnym książek, które sprzedawał po wsiach, o łowieniu śledzi w latach trzydziestych, kiedy całą zimę spędzał na archipelagu Bulandet, o budowaniu drogi przez góry w latach czterdziestych, kiedy stał się specjalistą od wysadzania skał, o wojnie, o wypadku lotniczym na Lihesten, o bracie mieszkającym w Ameryce. Wędrował tam i z powrotem po swoim życiu, a nam się wydawało, że uczestniczymy w wielkim, wyjątkowym wydarzeniu. Opuściliśmy szpital weseli i podnieceni, minęliśmy cmentarz, przeszliśmy przez osiedle mieszkaniowe i przez Danmarksplass dotarliśmy do mojego domu; w mieszkaniu cała ta straszna sytuacja powróciła, ale nie dałem nic po sobie poznać, przecież tamtego wieczoru nic się nie wydarzyło, po prostu wyszedłem z Yngvem i sam wróciłem taksówką do domu, a gdybym kiedykolwiek twierdził coś innego, byłoby to kłamstwem.

Kiedy się obudziłem następnego dnia rano, Gunvor już wyszła na wykłady. Zająłem się pracą dyplomową, miałem ją oddać za kilka tygodni, a napisałem zaledwie parę stron. Najgorsze było to, że nie wiedziałem, jak mam to zrobić. Materiał się rozrastał, poszerzał, ale brakowało mu spójności, wątki rozbiegały się w rozmaitych kierunkach, a świadomość, że nie wolno mi żadnego pominąć, bo wszystkie należy powiązać w jedną prostą linię, sprawiła, że wpadłem w panikę. Koło dwunastej odezwał się telefon. Dzwonili z Sandviken, pytali, czy nie wzięłbym dodatkowego nocnego dyżuru, zgodziłem się, bo potrzebowałem pieniędzy, a poza tym oderwanie się od wszystkiego, co miało związek z intertekstualnością, wydawało mi się świetnym pomysłem. Trochę się prześpałem wczesnym wieczorem i około wpół do jedenastej wsiadłem do autobusu. Dyżurować miałem na oddziale innym niż ten, w którym pracowałem

w weekend, lecz chociaż mieścił się w innym budynku, nie różnił się panującą na nim atmosferą. Przyjął mnie mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat i wyjaśnił mi, co mam robić. Dostałem proste zadanie: miałem „kryć” pacjenta o skłonnościach samobójczych, którego należało pilnować na okrągło całą dobę; teraz spał, nafaszerowany lekami, i najprawdopodobniej miał przespać całą noc.

Leżał na wznak na łóżku pod ścianą. Jedyne światło padało z kinkietu po drugiej stronie pokoju. Pielęgniarka zamknęła za sobą drzwi, a ja usiadłem na krześle w odległości paru metrów od łóżka. Pacjent był młody, miał nie więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat. Leżał zupełnie nieruchomo i w ogóle nie było po nim widać udręki, która wywołała w nim chęć odebrania sobie życia. Miał bladą skórę, na podbródku w paru miejscach przedzierał się przez nią zarost.

Nic o nim nie wiedziałem, nawet jak się nazywa.

Ale siedziałem przy nim i byłem jego strażnikiem.

Również ta noc w końcu minęła i w głębokim porannym mroku mogłem zejść do autobusu, usiąść wśród tych, którzy zmierzali do pracy w mieście, wyskoczyć na Danmarksplads, pokonać przejście podziemne, w którym z sufitu kapiała woda, potem, wzdłuż rozsypujących się murowanych budynków, przedostać się do bramy przypominającej grotę i do mieszkania. Miałem wrażenie, że postępuję niewłaściwie, kładąc się teraz, gdy ciemność wreszcie zaczyna blaknąć i wstaje nowy dzień, ale zasnąłem jak kamień i obudziłem się dopiero około czwartej po południu, kiedy światło dzienne już prawie całkiem zniknęło.

Odsmażyłem kotlety rybne, zjadłem je z dodatkiem cebuli i z chlebem. Chwilę wpatrywałem się w rozpoczętą pracę dyplomową; zdecydowałem, że zacznę od opisu *Ulisses* i dopiero potem przejdę do pojęcia intertekstualności i rozpocznę jego omawianie, a nie odwrotnie, jak zamierzałem do tej pory. Zadowolony z tego, że wreszcie uzyskałem jakieś panowanie nad materiałem, ubrałem się i wyruszyłem do szpitala. Dziadek, człowiek tak bardzo towarzyski, był tam przecież całkiem sam, więc moja wizyta powinna go ucieszyć. Kiedy znalazłem się na szczycie wzgórza i zobaczyłem przed sobą szpital, akurat do lądowania podchodził helikopter, który po chwili usiadł na dachu budynku. Wyobraziłem sobie zespół lekarzy oczekujących w pełnej gotowości na

organ w pojemniku, na serce wyjęte przed chwilą ze zwłok innego pacjenta, gdzieś w innym mieście, z kogoś, kto doznał udaru mózgu albo został śmiertelnie ranny w wypadku, a teraz to serce miało trafić do czekającej już na nie piersi.

Na duży hol, tam gdzie znajdowały się kiosk sieci Narvesen oraz bank i salon fryzjerski, nie przenosiło się nic z tej gorączkowości na dachu czy w garażu przy izbie przyjęć, na którą karetki nieustannie przywoziły nowych chorych. Nie znać tu było też tej aktywności, najpewniej trwającej w wielkich salach operacyjnych na wszystkich piętrach, lecz świadomość, że coś takiego się tu dzieje, i tak wywierała wpływ na te pomieszczenia. Tu wszędzie atmosfera miała w sobie osobliwą mroczność.

Windą wjechałem na oddział dziadka, przeszedłem przez lśniący korytarz, minąłem metalowe łóżka, na których leżeli wpatrzeni w sufit pacjenci, częściowo osłonięci prowizorycznie ustawionymi parawanami, a mimo to bezbronni wobec ludzkich spojrzeń, i dotarłem do drzwi, przy których zatrzymałem się i zadzwoniłem. Otworzyła mi pielęgniarka, wyjaśniłem, kogo przyszedłem odwiedzić, zauważyła, że to nie pora wizyt, lecz mimo to pozwoli mi się z nim zobaczyć, skoro już tu jestem.

Siedział w sali telewizyjnej.

– Cześć, dziadku – powiedziałem.

Stan ducha odbijał się na jego twarzy jeszcze chwilę po tym, jak odwrócił się do mnie, toteż gdy zobaczyłem tę twardość, niemal wrogość, pomyślałem, że on właściwie mną gardzi, zaraz się jednak uśmiechnął, więc tę myśl szybko od siebie odepchnąłem.

– Chodźmy do mojego pokoju – zaproponował. – Masz ochotę na kawę? Mogę zamówić. Tutaj wszyscy są dla mnie bardzo mili.

– Nie, nie, dziękuję – odparłem i podążyłem za nim.

Chudy mężczyzna leżał na sąsiednim łóżku tak jak poprzednio i tak jak tamtym razem ciemność cisnęła się do okien, a dziadek miał lekko zaczerwienioną, prawie dziecianną twarz, tak jak wtedy, gdy odwiedziliśmy go z Gunvor dwa dni wcześniej, lecz mimo wszystko nastrój był inny, bo przyszedłem sam, czułem się nieswojo, prawie mechanicznie zadałem kilka pytań, właściwie chcąc jak najszybciej wyjść.

Wytrzymałem pół godziny. Dziadek mówił o tysiącletnim królestwie,

a z jego słów wywnioskowałem, że wierzy, iż kiedyś nastanie czas, gdy człowiek będzie mógł żyć tysiąc lat. W medycynie dokonał się olbrzymi postęp, średnia długość życia stale rośnie, na prawie wszystkie choroby, na jakie w jego młodości ludzie umierali, znaleziono lekarstwa. Jego wiara w przyszłość była ogromna, ale nie bez powodu; raz jechałem z mamą i z nim do Ålesund w odwiedziny do Ingunn, jego najmłodszej córki, i opowiadał nam wtedy o czasach swojej młodości. Bieda była wielka, warunki życia trudne, no ale spójrzcie teraz, mówił, wyciągając ręce, aż trudno pojąć, jaki nastał dobrobyt. Wówczas spojrzałem na świat jego oczami, wszyscy mieli samochody, duże, wręcz ostentacyjnie wielkie domy, wspaniałe ogrody, a półki w centrach handlowych pod miastami i osadami, które mijaliśmy, wprost ugięły się od bogactwa towarów.

Jego wywód o ludziach żyjących tysiąc lat trudno było rozumieć inaczej niż jako wyraz lęku przed śmiercią. Postanowiłem więc, że niedługo znów go odwiedzę, bo ważne, żeby choć na trochę się od tych myśli oderwał. Podziękował mi za wizytę, podniósł się z wysiłkiem i począpał z powrotem do sali telewizyjnej, a ja zjechałem windą na parter. Kupiłem w kiosku gumę do żucia Stimorol, zerknąłem na nagłówki w „VG” i „Dagbladet”, przystanąłem na środku holu, otworzyłem opakowanie i włożyłem do ust dwa kawałki, a ostry, świeży smak gumy przyniósł mi coś w rodzaju ulgi.

Na drugim końcu holu, na krzesłach pod oknami, siedziało kilku mężczyzn w uniformach taksówkarzy. Za kontuarem recepcji migotały ekrany telewizorów. Obok stał słup z drogowskazami. „Laboratorium biochemii klinicznej”, „Oddział neurochirurgii”, „Oddział patologii”. Te nazwy napełniły mnie strachem, wszystko tutaj mnie przerażało. Może z tego prostego powodu, że to, co tu widziałem, przypominało mi o własnym organizmie, o tym, jak małą mam nad nim władzę. Siatka naczyń krwionośnych, tych malusieńkich kanalików, które tak ładnie się we mnie rozgałęziają – czy któregoś dnia ciśnienie przeskakującej się przez nie krwi zbyt mocno się nie podniesie, nie pęknie jakaś ścianka i krew nie zacznie się przesączać do płynu mózgowego? Serce, które we mnie bije – czy któregoś dnia po prostu się nie zatrzyma?

Wyszedłem na parking. W powietrzu pod zadaszonym przejściem wyczuwało się spaliny. Deszcz padał gęsto, w świetle lamp wyglądał jak smużki światła. Czarne drzewa rozczapierały gałęzie, nad nimi zalegała gęsta ciemność. Ruszyłem w dół zbocza, przeciąłem drogę, na której panował duży ruch, miną-

łem cmentarz i znalazłem się w dzielnicy willowej. Krople deszczu cały czas bębniły w mój kaptur i kurtkę przeciwdeszczową.

Szpital to dziwny obiekt. A przede wszystkim dziwna idea: po co gromadzić wszelkie cielesne cierpienie w jednym miejscu? W dodatku nie na kilka lat w ramach eksperymentu, o, nie, tu nie istniały żadne ograniczenia czasowe, zbiorowisko chorych cały czas pozostawało wielkością stałą. Gdy tylko kogoś wyleczono i mógł wrócić do domu albo umierał i trafiał na cmentarz, zaraz wysyłano karetkę po kolejnego. Działalnością tą objęto cały rejon. Dziadka ściągnięto aż znanad ujścia fiordu, przysyłano tu ludzi z wysp i osiedli na lądzie, z wiosek i miast, w systemie, który obowiązywał już od trzech pokoleń. Z punktu widzenia pojedynczego człowieka szpital istniał po to, by leczyć pacjentów, lecz z perspektywy szpitala wyglądało to tak, jakby się on nimi żywił. Świadczyło o tym już choćby przeznaczanie pięter dla poszczególnych organów. Płuca na siódmym, serce na szóstym, głowana piątym, ręce i nogi na czwartym, uszy, nos i gardło na trzecim. Niektórzy krytykowali taki podział, twierdzili, że w wyniku specjalizacji zapominano o człowieku jako całości, a jedynie tak traktowanego można w pełni wyleczyć. Ci ludzie nie rozumieli, że szpital jest zorganizowany według tej samej zasady co organizm. Czy nerki znają swoją sąsiadkę śledzionę? Czy serce wie, w jakiej piersi bije? Czy krew zdaje sobie sprawę, w czyich płynie żyłach? Nie, nie. Dla krwi jesteśmy jedynie systemem kanałów. A dla nas krew jest czymś, co się ukazuje w tych nielicznych sytuacjach, kiedy dzieje się coś złego i ciało otwiera się w postaci rany. Wtedy uruchamia się alarm, wtedy startuje helikopter i klekocząc, leci po ciebie przez miasto, jak drapieżny ptak ląduje przy drodze tuż obok miejsca wypadku, ładują cię i przewożą, kładą na stole i usypiają. Budzisz się kilka godzin później z myślą o tych obleczonech w rękawiczki palcach, które w tobie grzebały. O oczach, które bezwstydnie oglądały twoje lśniące w blasku lamp nagie organy, nawet przez moment nie biorąc pod uwagę, że należą one właśnie do ciebie.

Dla szpitala wszystkie serca są identyczne.

Pod koniec pobytu dziadka w szpitalu do miasta przyjechała mama. Jedną noc spędziła u mnie, drugą u Yngvego, a następnego dnia po jej wyjeździe do mojego mieszkania przyszła Gunvor. Siedzieliśmy na kanapie i rozmawialiśmy o różnych rzeczach, gdy nagle się poderwała i stanęła na środku pokoju.

– Co to jest? – spytała.

– Co?

– Na podłodze leży włos.

Wzięła go w dwa palce i podniosła. Zrobiło mi się gorąco.

– Nie twój – stwierdziła. – I zdecydowanie nie mój. – Spojrzała na mnie. – Czyj to włos? Kto tutaj był?

– Nie mam pojęcia. Insynuujesz, że cię zdradzam?

Nic nie powiedziała, tylko na mnie patrzyła.

– Pokaż! – Wstałem, w nienaturalny sposób świadomy własnych ruchów.

Podąła mi ten włos. Siwy. Oczywiście. Dzięki ci, Boże!

– To mamy – wyjaśniłem najspokojniej, jak potrafiłem. – Siedziała tutaj i szczotkowała włosy. Siwy, widzisz?

– Przepraszam – powiedziała Gunvor. – Myślałam, że jakiejś dziewczyny. Obiecuję, że już nie będę taka podejrzliwa.

– To już drugi raz – przypominałem. – Jesienią otworzyłaś list.

– Mówiłam ci już, że bardzo mi przykro z tego powodu.

Pewnego wieczoru przyszła i wyznała, że przeczytała list od Cecilie, dziewczyny, z którą chodziłem w drugiej klasie liceum. Tłumaczyła, że jest zazdrosna.

Domyślała się, że coś się tu działo, byłem tego pewien. Inaczej nie przyszłoby jej do głowy, że ten włos może być podejrzany. Przecież wiedziała, że mama mnie odwiedziła, i przede wszystkim powinna była pomyśleć o niej, a jednak stało się inaczej.

– Przepraszam, Karl Ove – powtórzyła, obejmując mnie. – Wybaczysz mi? Naprawdę nie chcę być zazdrosna.

– Już dobrze, dobrze. Mam nadzieję, że będziesz o tym pamiętać.

Wieczorem w dniu poprzedzającym termin oddania prac dyplomowych byłem zaledwie nieco poza połową. Cały weekend pracowałem w Sandviken i kiedy usiadłem przy biurku, żeby dalej pisać, miałem ochotę rzucić wszystko w diabły i po prostu iść spać. Poczulem jednak, że łatwo mi idzie, jakby pod presją czasu tekst wyostrzył mi się w głowie, wystarczyło go tylko zapisać, więc nie odchodziłem od komputera całą noc i cały ranek, ale wtedy przypad-

kiem wcisnąłem jakiś klawisz i wszystko, co napisałem przez ostatnie godziny, zniknęło. Pognałem na uniwersytet, wyjaśniłem sytuację Buvikowi, który zaprowadził mnie do działu zajmującego się komputerami, tam zostawiłem dyskietkę, żeby spróbowali odzyskać to, co straciłem. Spytano mnie o hasło, zawahałem się, bo z jakiegoś powodu wymyśliłem sobie „ananas” i ogromnie się wstydziłem, że muszę ujawnić element swojego życia osobistego, i to przed nimi, przypuszczalnie czołowymi ekspertami od informatyki w kraju, w dodatku stojąc u boku jednego z najwybitniejszych badaczy literatury.

- Ananas – powiedziałem w końcu, czując rumieniec na policzkach.
- Ananas? – powtórzył komputerowiec.

Potwierdziłem, otworzył dokument, ale nie odzyskał tych zagubionych stron, więc osłabły z rozpaczy, bo to była moja ostatnia nadzieja, inaczej cały semestr mogłem uznać za zmarnowany, wróciłem z Buvikiem do instytutu, gdzie kazał mi usiąść i powiedział, że omówi tę sprawę z kilkoma kolegami. Po powrocie oznajmił, że uzyskał dla mnie przedłużenie terminu o dobę. Dziękowałem mu z wilgotnymi oczami. Pognałem do domu, przespałem się dwie godziny i zacząłem kolejną piekielną noc z Joyce’em i intertekstualnością. Nadszedł ranek, a ja jeszcze nie skończyłem. Wszystko w tej pracy prowokowało do dalszych dywagacji, które nie następowały. Byłem zmuszony ograniczyć podsumowanie do dwóch linijek, a potem zbiegłem po schodach, zapukałem do Espena, żeby mi pożyczył rower, i pedałując jak szalenciec, popędziłem na uniwersytet, aby złożyć pracę punktualnie z wybiciem dziewiątej.

*

Kilka tygodni później wywieszono wyniki na tablicy przed instytutem i zobaczyłem, że znów dostałem 2,4, ale nie czułem rozczarowania. Spodziewałem się, że będzie gorzej, a poza tym kolejne dwie dziesiąte mogłem ugrać na egzaminie ustnym. To znaczy mógłbym, gdybym się uczył. Ale ja się nie uczyłem, więc musiałem improwizować, w dodatku na oczach profesora Kittanga. Profesor chciał dla mnie dobrze, za każdym razem, gdy wyczuwał, że nie potrafię nic powiedzieć na dany temat, prowadził mnie dalej, ale nawet on nie mógł mnie wyciągnąć z opałów, kiedy padło pytanie, co na ten temat sądzi Kittang. Miałem na liście lektur kilka jego artykułów i żadnego nie przeczytałem, a przecież w jego obecności nie dało się krążyć wokół problemu, wymagana była jasna, konkretna odpowiedź.

Ale to nie było takie straszne. I tak nigdy nie zamierzałem zostać pracownikiem naukowym. Chciałem pisać, o nic innego mi nie chodziło. Nie potrafiłem zrozumieć tych, którzy tego nie pragnęli. Nie pojmowałem, jak mogą poprzestać na zwykłej pracy, bez względu na to, na czym ta zwykła praca polegała, czy ktoś był nauczycielem, kamerzystą, urzędnikiem, naukowcem, rolnikiem, prezenterem telewizyjnym, dziennikarzem, projektantem, twórcą reklam, rybakim, kierowcą ciężarówek, ogrodnikiem, pielęgniarzem czy astronomem. Jak im to mogło wystarczać? Rozumiałem, że tak wygląda norma, większość ludzi wykonuje zwyczajne prace, niektórzy angażują się w nie bez reszty, inni nie, ale mnie i tak wszystko to wydawało się absurdalne. Gdybym sam podjął taką pracę, moje życie straciłoby sens, bez względu na to, jakie bym w niej odnosił sukcesy. Nigdy by mi to nie wystarczyło. Parę razy wspomniałem o tym Gunnor, rozumiała moje odczucia, ale nie potrafiła się z nimi zidentyfikować.

Co to były za odczucia?

Nie wiedziałem. Tego nie dało się przeanalizować, nie dało się wytłumaczyć ani uzasadnić, bo nie miało to w sobie ani krztyny racjonalności, lecz jednocześnie było jasne i oczywiste, a poza tym przesłaniało wszystko: nic oprócz pisania nie miałoby dla mnie sensu. Nic innego by mi nie wystarczało. Nie zaspokajałoby pragnienia.

Ale czego tak pragnąłem?

Skąd się brała aż tak wielka chęć przelewania słów na papier, i to słów nieukładających się w pracę naukową, badawczą, w żaden raport ani inny niższy rodzaj pisemnej wypowiedzi, tylko w literaturę piękną?

To było szaleństwo, bo właśnie tego nie umiałem. Świetnie mi szło pisanie prac, świetnie mi szło pisanie artykułów, recenzji i wywiadów. Ale gdy tylko siadałem do tworzenia literatury pięknej, tej jedynej rzeczy, której pragnąłem poświęcić życie, jedynej, która w mojej opinii miała jakikolwiek sens, nie dawałem rady.

Pisałem listy, słowa spływały mi wtedy spod pióra, zdanie po zdaniu, strona po stronie. Treść często składała się z opowieści o moim życiu, o wydarzeniach i refleksjach. Gdybym tylko zdołał przenieść tę umiejętność, tę płynność na prozę, mogłoby mi się udać. Ale nie potrafiłem. Siadałem przy biurku, pisałem jedną linijkę i stop. Pisałem kolejną linijkę i znów stop.

Przyszło mi do głowy, że gdybym udał się do hipnotyzera, a ten zdołałby wprowadzić mnie w stan, w którym popłynęłyby ze mnie słowa i zdania powieści, tak jak płynęły przy pisaniu listów, z pewnością by mi się udało. Słyszałem o ludziach, którzy po poddaniu się hipnozie rzucali palenie, więc dlaczego nie można by pod wpływem hipnozy pisać lekko i płynnie?

Sprawdziłem w książce telefonicznej, ale nie znalazłem nikogo, kto by nosił tytuł zawodowego hipnotyzera, a nie miałem śmiałości rozpytywać o to wśród kolegów, bo taka wieść rozniosłaby się lotem błyskawicy.

W sylwestra po południu zataszczyliśmy instrumenty i wzmacniacze do lokalu na górnym piętrze Ricks, w którym miała się odbyć impreza. Organizatorzy przygotowywali salę, ozdabiali ją i szykowali, a my w tym czasie przeprowadziliśmy próbę dźwięku. Nie zanosilo się na prawdziwy koncert, brakowało nagłośnienia, bębny nie były omikrofonowane, a poza tym mieliśmy grać na podłodze, nie na scenie, lecz mimo to mdliło mnie ze zdenerwowania.

Hans stanął na drugim końcu sali i słuchał, jak gramy. Stwierdził, że brzmi nieźle, więc rozeszliśmy się do domów, żeby się przebrać.

Gdyby nie to, że grałem w zespole, w życiu nie zaproszono by mnie na tę imprezę. To miała być pięćdziesiątka – to znaczy połączone dwudzieste piąte urodziny dwóch osób – a wszyscy zaproszeni goście mieli powiązania z tymi,

których w myślach nazywałem mafią z Vestlandet, zachodniej Norwegii, ze studentami współpracującymi z czasopismem kulturalnym „Syn og Segn”, tygodnikiem kulturalno-politycznym „Dag og Tid”, stowarzyszeniem Mållaget działającym na rzecz rozpowszechniania nynorsku oraz z organizacją Nie dla EWG. Ci ludzie, chociaż starsi ode mnie zaledwie o kilka lat, już znaleźli się na świączniku. Pojawiły się plotki, że przyjdzie także Ragnar Hovland, co było ostatecznym potwierdzeniem, że jest to miejsce, w którym należało się pokazać, wśród ludzi, których należało znać.

Wróciłem do Ricksa sam. Wspiąłem się po szerokich, majestatycznych schodach i wszedłem do sali wypełnionej już młodymi kobietami w wieczorowych sukniach i młodymi mężczyznami w ciemnych garniturach, światowcami, pewnymi siebie mieszkańcami zachodu Norwegii. Gwar głosów, szum śmiechu, atmosfera pełna radosnego wyczekiwania, z jaką można się zetknąć jedynie przed rozpoczęciem imprezy. Zrobiłem kilka kroków w głąb sali i rozejrzałem się za Yngvem.

Yngve, Yngve, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję?

Nigdzie go nie widziałem, za to zauważyłem Hansa. Ale on również zaliczał się do nich, kulturalny, obyty w świecie i pewny siebie, zawsze z ironicznym komentarzem na końcu języka. Czuję się dumny, że jestem członkiem tego samego zespołu co on. Takiej dumy nie czułem jednak na myśl, że gram w tym samym zespole co Yngve, bo dla wszystkich było jasne, że pozwolono mi grać z nimi tylko ze względu na niego, podobnie jak znaleźć się w tym miejscu.

Wolnym krokiem wszedłem w tłum ludzi. Było wiele znajomych twarzy, widywałem je na Wzgórzu i w Operze, w Garage i w Hulen, ale imiona znałem tylko nielicznych.

Dostrzegłem Ragnara Hovlanda i uznałem, że dobrze będzie go zaatakować. Jeśli ludzie zauważą, że z nim rozmawiam, w cudowny sposób podniesie to moją wartość w ich oczach.

Skierowałem się w jego stronę. Rozmawiał z jakąś kobietą, mniej więcej trzydziestopięcioletnią, zobaczył mnie dopiero, gdy się przy nim zatrzymałem.

– Cześć – powiedział. – To naprawdę ty?

– Tak. Mamy później koncert.

– Grasz w tym zespole? No to cieszę się, że będę mógł posłuchać.

Oczy miał uśmiechnięte, ale jednocześnie jakby starał się na mnie nie pa-

trzeć.

– Co tam słychać w akademii?

– Wszystko dobrze. Po twoim odejściu musieliśmy wprowadzić obowiązek uczestnictwa w zajęciach. Ale studenci zachowują się przyzwoicie.

– Znam Espena – oznajmiłem. – To mój dobry przyjaciel.

– Co ty powiesz?

Cisza. Obaj rozglądaliśmy się po lokalu.

– Piszesz coś nowego? – spytałem w końcu.

– Coś tam sobie skrobię.

Naturalną rzeczą byłoby teraz zapytanie, co z moją twórczością, czy zacząłem jakąś nową książkę, ale on nie spytał. Rozumiałem go, nie miałem do niego pretensji, ale i tak mocno mnie to ukłuło.

– No dobrze – powiedziałem. – Może pogadamy później. Przejdę się.

Uśmiechnął się i znów odwrócił do kobiety. Wyczułem, że przyszedł Yngve, więc spojrzałem w stronę wejścia. Rzeczywiście, stał w drzwiach i się rozglądał. Uniosłem rękę i ruszyłem ku niemu.

– Denerwujesz się? – spytał.

– Strasznie. A ty?

– Nie jest tak źle. Ale może nerwy jeszcze dadzą o sobie znać.

Zapaliłem papierosa i podeszliśmy do Hansa. Pogadaliśmy kilka minut, aż w końcu jakaś dziewczyna zaklaskała w dłonie i zapadła cisza, nagle, jakby odfrunęło stado wystraszonych gołębi. Dziewczyna powitała wszystkich. Miała być kolacja, przemówienia, występy rozrywkowe, a na koniec koncert zespołu Kafkatrakterne.

W żołądku ścisnęło mnie aż do bólu. Podeszliśmy do stołu, przy każdym miejscu była wizytówka z nazwiskiem. Odnalazłem swoją, na nieszczęście daleko od Yngvego i Hansa.

Na każdej wizytówce wypisano jedno zdanie, które miało być charakterystyką danej osoby. Na swojej przeczytałem: „Dwadzieścia lat na zewnątrz, tyśiąc lat w środku”.

A więc tak na mnie patrzyli? Tak mnie postrzegali?

Przez ostatni rok mówiłem coraz mniej, coraz więcej milczałem, zapewne do tego nawiązywała treść wizytówki.

Dziewczyna, która siedziała obok mnie, ubrana w krótką czarną spódniczkę z jakimś tiulowym dołem, ciemne rajstopy i czerwone buty na wysokich obcasach, rozłożyła sobie serwetkę na kolanach. Zrobiłem tak samo.

Popatrzyła na mnie.

– Kogo tutaj znasz? – spytała. – Mam na myśli, spośród organizatorów tej zabawy?

– Nikogo. – Zaczerwieniłem się. – Gram w zespole.

– Aha. A na czym?

– Na perkusji.

– Aha.

Na chwilę odwróciłem głowę w drugą stronę i nie padło już więcej pytań.

Jadłem, nie odzywając się do nikogo; od czasu do czasu spoglądałem na Yngvego albo na Hansa, którym usta się nie zamykały.

Kolacja ciągnęła się w nieskończoność.

Na dworze wiał sztormowy wiatr. Dmuchał tak mocno, że przewracał pojemniki na śmieci na ulicach, z zewnątrz dochodził brzęk metalu, chwilami podzwaniały szyby w oknach.

Gdy tylko kolacja dobiegła końca, przyłączyłem się do Yngvego i Hansa, już ich nie odstępowałem, dopóki nie przyszła pora na nasze granie.

Kiedy nas przedstawiano, ledwie mogłem utrzymać się na nogach. Ludzie zaczęli klaskać, podeszliśmy do instrumentów. Usiadłem na stołeczku perkusyjnym, włożyłem czapkę z daszkiem z logo spółdzielni rolniczej Felleskjøpet, którą wzięłem ze sobą jako mały ukłon w stronę publiczności – ci ludzie z pewnością robili wspaniałe akademickie kariery, ale wszyscy jak jeden mąż wyrosli wśród traktorów, sieczkarni i pojemników z kwasem mrówkowym. Wytarłem dłonie w ręcznik, chwyciłem pałeczki. Wpatrzeni w nas ludzie zniechęceni. To ja miałem odliczać, ale się nie odważyłem, bo bałem się, że Pål albo Yngve jeszcze się nie przygotowali.

– Gotowi jesteście? – spytałem w końcu.

Yngve kiwnął głową.

– A ty, Pål?

– Licz!

Zanuciłem w duchu pierwszy riff *W głowie się nie mieści*.

Okej.

Odliczyłem i zaczęliśmy grać. Ku swojemu przerażeniu zorientowałem się, że bęben basowy po każdym uderzeniu odsuwa się coraz dalej ode mnie. Nie-dużo, lecz na tyle, że pod koniec piosenki siedziałem już z nogą wyciągniętą na całą długość, a ponieważ jednocześnie musiałem uderzać w hi-hat i w werbel, wyglądałem jak monstrualny pajak.

Kiedy publika biła brawo, przyciągnąłem bęben na miejsce, odliczyłem do początku następnego utworu i znów powoli przybierałem postawę pajaka. Ale ludzie zaczęli tańczyć, czyli poszło nam dobrze. Przede wszystkim dzięki Hansowi, który urządził prawdziwy show, odważnie, nie bojąc się krytyki.

Kiedy nad ranem wróciłem do domu, po przejściu bezludnymi ulicami smaganymi wiatrem, rozplakałem się. Zupełnie nie miałem powodu, przecież wszystko się udało, koncert wypalił, przynajmniej w naszej ocenie, ale to w niczym nie pomogło: w chwili gdy położyłem się do łóżka, popłynęły mi łzy.

Po Nowym Roku zaproponowano mi stałe weekendowe dyżury w Sandviken, co przyjąłem z wdzięcznością. Oprócz tego wpisałem się na listę chętnych do przyjmowania innych zastępstw i w ten sposób, tak powoli, że sam prawie tego nie zauważyłem, zacząłem pracować w tym szpitalu praktycznie na cały etat. Studia odłożyłem na bok i przyjmowałem każdy dyżur, kryło się za tym coś w rodzaju pożądania, popędu, chciałem pracować jak najwięcej i spędziłem tak cały następny rok. W niektóre dni brałem podwójne dyżury, zaczynałem na jednym oddziale rano, a po południu przechodziłem na drugi, w ten sposób przepracowywałem szesnaście godzin bez przerwy. Czasami zgłaszałem się na najcięższy oddział, zatrudnieni tam na stałe pełnili w dużej mierze funkcję ochroniarzy, źle się tam czułem, faktem jest, że cały czas się bałem, dwóch pacjentów uważałem za śmiertelne zagrożenie, chociaż ochroniarze tylko się z nich śmiali, potrafili nawet sadzać ich sobie na kolanach i głaskać, jakby byli kotami.

Przerażał mnie zwłaszcza jeden, Knut. Dobijał do czterdziestki, ale miał wygląd i siłę nastolatka, szczupłe, umięśnione ciało i piękną głowę ogoloną na łyso. Głowę golono mu, bo inaczej wyskubywał sobie włosy i je połykał. Zjadał również kłęбки kurzu, gdy na jakieś się natknął, a któregoś popołudnia za-

obserwowałem, jak otwiera lodówkę i wyjmuję z niej cebulę. Ugryzł kawałek, łzy popłynęły mu z oczu, ale wziął następny kęs i w ciągu paru chwil zjadł całą cebulę z łupiną, chociaż z oczu bez przerwy leciały mu łzy. Potrafił być agresywny. Najczęściej tę agresję kierował przeciwko samemu sobie, raz tak mocno uderzył głową w ścianę, że pękła mu czaszka. Najbardziej lubił chodzić. Gdyby nikt go nie powstrzymał, doszedłby na Syberię. Był jak maszyna, chodził, chodził i chodził. Kiedy zbliżał się do mnie z tym swoim mrocznym spojrzeniem, które nie wyrażało nic oprócz mroku, zawsze się bałem. Raz miałem go ogolić, kiedy siedział w wannie, ale najwyraźniej wyczuł mój strach, bo złapał mnie za rękę i nie pozwolił mi nią ruszyć, a potem mnie ugryzł. Musieli mi zrobić zastrzyk przeciwtężcowy. Wysyłali mnie nawet do domu, ale wróciłem na oddział, pewnie, że się bałem, lecz o tym nikt nie mógł się dowiedzieć.

Często też „kryłem” pacjentów ze skłonnościami samobójczymi, wielu z nich było znacznie przytomniejszych niż ci z oddziałów dla przewlekle chorych, sporo miało problemy z narkotykami, niektórzy znajdowali się w stanie ciężkiej psychozy albo paranoi, inni byli w manii, jeszcze inni w depresji, w przeważającej większości ci młodzi.

Na tym oddziale, na którym pracowałem na stałe, szybko poznałem bliżej zatrudnione tam kobiety i z czasem zaczęliśmy razem wychodzić na miasto. Niektóre mieszkały w pobliżu, inne w okolicy centrum handlowego Åsane, i urządziły u siebie przygrywki w piątkowe lub sobotnie wieczory. Chodziłem na te imprezy, upijałem się z nimi, z tymi kobietami w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat, a potem razem z nimi jechałem autobusem do miasta. Podczas gdy studenci najczęściej odwiedzali lokale w południowej części centrum, blisko Wzgórza, pielęgniarki trzymały się raczej północnej strony, okolicy Bryggen, w której nigdy nie postać noga studentów, przynajmniej tych z kierunków humanistycznych, chyba że chcieli z czegoś zakpić. Tam były bary z muzyką na żywo, było wspólne śpiewanie, bergeńczycy i mieszkańcy okolicznych wiosek wszelkiego autoramentu. Koleżanki mnie lubiły, w pracy się nie migałem, a to, że się prawie nie odzywam, wyraźnie, według nich, przemawiało na moją korzyść. Były ciepłe i miłe i ja też stawałem się taki po kilku piwach, wychodziłem im wtedy naprzeciw, raz wniosłem którąś na górę po schodach przy wtórze głośnych krzyków i śmiechów, kiedy indziej prawilem im komplementy, które zresztą płynęły ze szczerego serca, oczy mi błyszczały,

tyle miałem w sobie dla nich sympatii. Z jedną, o imieniu Vibeke, nawiązałem szczególne porozumienie; jeśli na oddziale panował spokój, potrafiłszy przegadać całe przedpołudnie, niekiedy mi się zwierzała, z jakiegoś powodu nabrała do mnie zaufania. Ale były też inne osoby, bardziej kłopotliwe. Męczył mnie zwłaszcza Åge. Należał do tych studentów, którzy na dobre utknęli w Sandviken, i pracował tam już na pełny etat. Usiłował się do mnie zbliżyć, wręcz się do mnie przysysał; wplątany w całą masę konfliktów, chciał, żebym, po pierwsze, wysłuchiwał jego skarg i narzekań, a po drugie, żebym go wspierał. Kiwałem więc głową i mówiłem: tak, tak, masz rację, no jasne, co ty powiesz, aż uwierzył, że naprawdę jest moim przyjacielem. Często wychodziliśmy z pacjentami, nie przestawał wtedy skarżyć się i biadolić, wbijał we mnie te swoje oczy, błyszczące jak u wariata, brodaty i blady, mięczak, nieszczęśnik, przegrany, we własnym mniemaniu był studentem, miał się za kogoś lepszego od opiekunek na oddziale, kojarzących się z gospodyniami domowymi, albo od wyniosłych pielęgniarek psychiatrycznych, które w jego przeświadczeniu stale się go czepiały i stale czegoś od niego chciały. Któregoś dnia nagle zaproponował, żebym do niego przyszedł, to może razem gdzieś wyjdziemy, a wtedy po raz pierwszy od dzieciństwa jasno i wyraźnie odmówiłem drugiemu człowiekowi, który czegoś ode mnie chciał.

– Nie, raczej nie – powiedziałem.

Wycofał się i zaczął mnie unikać.

Potem się ode mnie odwrócił i oskarżył mnie o zdradę.

Ależ z niego gad.

Wieczorem, kiedy wracałem do domu, przez głowę przeleciała mi przerażająca myśl: czy właściwie nie jestem taki jak on? Czy nie upodobię się do niego? Czy nie stanę się byłym studentem, który latami tylko płynął z prądem, brał dyżur za dyżurem, aż zrobiło się za późno, wszelkie możliwości się skończyły, i którego prawdziwe życie wygląda właśnie tak?

Czy jako czterdziestolatek będę opowiadał studentom, którzy przyjdą na zastępstwo, że w zasadzie to miałem być pisarzem? Może masz ochotę przeczytać jakieś moje opowiadanie? Nie przyjęto mi go do druku, ale tylko dlatego, że w wydawnictwach mają takie cholernie tradycyjne podejście i brak im odwagi, żeby postawić na kogoś, kto naprawdę chce coś z siebie dać. Nie rozpoznałiby geniusza, nawet gdyby wetknięto im go w tyłek. Proszę, proszę, przypadkiem mam w torbie egzemplarz. Tak, tak, to trochę o moim życiu, z pewno-

ścią rozpoznasz pewne rzeczy, które opisuję, ale to nie jest opis tego szpitala. Co mówiłeś, że co studiujesz? Filozofię? Tak, tak, też się trochę wokół tego kręciłem. No, ale w końcu stanęło na literaturze. Wiesz, pisałem o Joysie. Trochę o intertekstualności i podobnych sprawach. Mówili, że obiecująco, ale sam nie wiem. Pod pewnymi względami to trochę przestarzałe, z drugiej strony jednak literatura ma w sobie pewną uniwersalność, która... tak, która jest świadectwem epoki. No, ale weź to, a jutro na dyżurze powiesz mi, co o tym myślisz. Okej?

Nie miałem czterdziestu lat, tylko dwadzieścia dwa, ale poza tym ten obraz całkiem niezłe do mnie pasował. Pracowałem, żeby zarobić na życie, a żyłem, żeby pisać. Tylko że nie potrafiłem, jedynie o tym gadałem. Ale nawet jeśli nie umiałem pisać, to przynajmniej umiałem czytać. Z tego powodu brałem sporo nocnych dyżurów, bo mogłem wtedy nie odrywać się od książki do czwartej rano, z reguły bez żadnych zakłóceń, a dopiero przez ostatnie dwie godziny sprzątać oddział, kiedy już tak mi się chciało spać, że trudno mi było się skupić. Przeczytałem *Autisterna* i *Komedin I* Stiga Larssona, podziwiając jego realizm, taki naturalny i bezpośredni, a jednocześnie zawsze kryjący w sobie coś groźnego. Tą groźbą był nagły przypływ poczucia bezsensu. Przeczytałem Flauberta, trzy jego opowieści, i długo uważałem je za najlepszą rzecz, jaka mi w ogóle wpadła w ręce, były według mnie niezwykle trafne, dotyczyły tego, co absolutnie najistotniejsze, zwłaszcza to o żądzę krwi, o myśliwym, który zabija wszystkie zwierzęta, na jakie się natknie, rozumiałem to, wiązało się z czymś, co znałem i co, jak wiedziałem, jest ważne, ale owo opowiadanie nie pozwalało jednak na dywagacje, bo nie istniało nic wokół, ono było samym sednem. Przeczytałem jego powieść historyczną, *Salambo*, kompletnie nieudaną, ale nieudaną w wielkim stylu, Flaubert postawił wszystko na tę powieść, całą swoją wiedzę i cały rozmach swojego talentu, ale mu nie wyszło, powieści brakowało życia, wszystko w niej było martwe, postacie jak drewniane lalki, otoczenie jak scenografia. Ale ta sztuczność również oddziaływała, również coś w sobie niosła, nie tylko dlatego, że opisywany w niej czas umarł na zawsze. Sama powieść, jako artefakt, jako wytwór sztuki, przemawiała własnym głosem. No i przeczytałem też jego powieść o głupocie, *Bouvard i Pécuchet*, genialną, bo autor znalazł głupotę wcale nie najniżej, w samych dołach, tylko pośrodku, w klasie średniej, i przedstawił tę klasę w całej jej egoistycznej okazałości. Czytałem Tora Ulvena i napawałem się każdym napisanym

przez niego zdaniem, ich niesłychaną, wręcz nadludzką precyzją, tym, jak potrafił nadać wszystkiemu taką samą wagę. Dużo rozmawiałem z Espenem o przyczynach, dla których proza Ulvena jest taka świetna, co właściwie się w niej dzieje. Istniało w niej coś w rodzaju równouprawnienia rzeczy materialnych i ludzi, niepozostawiającego miejsca na psychologię, a dzięki temu dramat egzystencjalny trwał nieustannie, nie zaś tylko w okresie kryzysu, kiedy ktoś się rozwodził, tracił matkę czy ojca, zakochiwał się albo rodziło mu się dziecko, ten dramat trwał cały czas, kiedy ktoś pił szklankę wody lub jechał na rowerze z migającym światłem po drodze pogrążonej w ciemności, albo gdy kogoś po prostu nie było, w pustej przestrzeni, którą Ulven tak po mistrzowsku opisał. A przy tym nie zostało to nigdzie powiedziane czy napisane wprost, tego nie było w tekście, tym był sam tekst. Wydobywał to język – tym sformułowaniem chętnie się posługiwaliśmy – za pomocą swoich ruchów i figur, na poziomie nie treści, lecz formy. Przeczytałem Jona Fossego; kiedy ukazała się powieść *Naustet*, to dzięki jej prostocie, dzięki przenikającym ją prądom, jakby otworzyły się przede mną drzwi do jego twórczości. Przeczytałem *Georgiki* Claude’a Simona i razem z Espenem podziwiałem złożoność jego stylu, a także brak jakiegokolwiek nadrzędnej perspektywy, wszystko znajdowało się jakby w głębi i stanowiło chaos, plątaninę, jaką w ł a ś c i w i e jest świat. Ale najlepszą rzeczą, jaką czytałem w tym okresie, były jednak teksty Borgesa, ze względu zarówno na zawartą w nich baśniowość, którą znałem z dzieciństwa i przed lekturą jego książek nie zdawałem sobie sprawy, że za nią tęsknię, jak i na sposób tworzenia przez niego obrazów – chociaż proste, niosły znaczenia o niemal nieskończonej złożoności.

Nie pisałem prawie nic. Trochę grzebałem w historii o mężczyźnie, który siedzi przywiązany do krzesła w mieszkaniu przy Danmarks plass, jest torturowany, a na koniec otrzymuje strzał w głowę – w tym momencie usiłowałem prawie całkiem zatrzymać czas, opisać, jak kula przedziera się przez skórę i kości, przez chrząstkę i płyn, wbija się w mózg, niszcząc jego poszczególne obszary, bo uwielbiałem określenia łacińskie, brzmiały jak nazwy geograficzne, nazwy dolin i równin, ale nic z tego nie wyszło, całość nie miała sensu, więc ją skasowałem. Dwie strony, pół roku pracy.

Z naszym zespołem pojechaliśmy do Gjøvik i nagraliśmy demo, dwa kawałki puszczono nawet w norweskim radiu publicznym, a podczas Festspillene^[27] graliśmy jako support w Hulen. Poszło nam dobrze, „Studvest” napisała, że

nasza kapela, której nazwy nawet nie umieszczono na plakacie, rozkręciła ten wieczór, dzięki temu dostaliśmy nową propozycję, tym razem mieliśmy grać sami. Sala była pełna, trochę za bardzo się denerwowaliśmy, prawie nic się nie zgadzało, na nagraniu słysząc, jak ktoś z publiczności krzyczy: do diabła, ale chała! Ale w „Studvest” znów dobrze o nas napisali. Nie cieszyłem się już tak bardzo z tej pochwały, bo dziennikarz, który to napisał, pochodził z tej samej miejscowości co Hans i nawet grał z nim w kilku zespołach. Kiedy zaczęliśmy mówić o dokooptowaniu jeszcze jednego gitarzysty, ze strony Hansa padła propozycja, żeby zaangażować właśnie tego dziennikarza, a że nikt nie miał żadnych zastrzeżeń, w końcu Knut Olav przyszedł na próbę, nieco speszony, ale nie zawstydzony, i od razu załapał wszystkie nasze utwory. Miał długie rudawe włosy, szczerą twarz i zdecydowany gust muzyczny, jak prawdziwy koneser. Grał na perkusji o wiele lepiej ode mnie, na basie przypuszczalnie lepiej niż Pål i nie zdziwiłoby mnie, gdyby śpiewał lepiej niż Hans. Dzięki temu, że mieliśmy go w zespole, zrobiliśmy kolejny krok naprzód, a ja zyskałem kolejnego znajomego, będącego dla mnie wyzwaniem. Mało mówił o sobie, obce mu były przechwałki, nawet te nieostentacyjne, ale stosowane przez wszystkich w celu podkreślenia swojej wartości. Miał bystre spojrzenie, w sytuacjach towarzyskich nie zamykał się w sobie, a mimo to otaczała go aura pewnej niedostępności i tajemniczości. Należał do osób, które siedzą na imprezach aż do świtu i nigdy nie chcą wracać do domu, jeśli coś się dzieje. Akurat tę jego cechę podzielałem, dlatego nieraz miałem okazję pić z nim kawę w jakimś mieszkaniu w Bergen o ósmej rano i po pijaku gadać o rzeczach, które następnego dnia wylatywały nam z głowy. Jedna z takich rozmów została mi jednak w pamięci. Bredziłem o wszechświecie, o tym, że w przyszłości może się przed nami otworzyć i będziemy wiedzieć coraz więcej o nim, a dzięki temu o sobie samych, bo przecież składamy się z gwiazdnej pyłu, powiedziałem w uniesieniu, popadłem w niemal uroczysty nastrój, w jaki potrafiła mnie wprowadzić kombinacja upojenia alkoholowego i widoku gwiazd na niebie, a on nagle oświadczył, że będzie odwrotnie – odkrycia będą się dokonywały raczej w głębi niż na zewnątrz, a nasza przyszłość tkwi właśnie w głębi. Nanotechnologia. Manipulowanie genami. Moc atomu. Wszelka siła i eksplozywność tkwi w tym, co małe, widziane przez mikroskop, a nie w tym, co duże, oglądane z użyciem teleskopu. Oczywiście miał rację, poruszaliśmy się w głąb, ku wnętrzu. Droga w głąb była nową drogą na zewnątrz.

Napisałem opowiadanie, historię w pierwszej osobie, o mężczyźnie, który umarł, wsadzono go do karetki tuż przy przejściu podziemnym koło Danmarksplass, jego serce się zatrzymało, ale opowieść trwała, kiedy wieziono go do patologa, wkładano do trumny, niesiono na cmentarz i zakopywano w ziemi. Trzy miesiące pracy, dwie i pół strony, bez sensu, skasowane.

Pewnego wieczoru policja urządziła nalot na sąsiednie mieszkanie, to, którego kuchenne okno znajdowało się w odległości dwóch metrów od mojego. Nazajutrz zdarzenie opisała „Bergensavisen”, okazało się, że znaleziono mnóstwo broni palnej i pięćdziesiąt tysięcy koron w gotówce. Poszedłem z gazetą do Espena, śmialiśmy się, zaszokowani, bo zaledwie kilka nocy wcześniej wróciliśmy pijani do domu, poszliśmy do mojej kuchni, żeby napić się kawy, a za zasłonką po drugiej stronie poruszały się jakieś cienie. Otworzyłem okno i rzuciłem w nie puszką pasztetu, z brzękiem uderzyła w szybę. Schowaliśmy się, ale tam jakiś facet jedynie odsunął zasłonkę i wyjrzał. A to byli rabusie, którzy napadli na bank!

Przede wszystkim jednak pracowałem w Sandviken. Chwilami miałem wrażenie, że to tam toczy się prawie całe moje życie. Moim współpracownikom nie zależało na prestiżu, a ja właśnie tego potrzebowałem. Potrzebowałem też pieniędzy, które tam zarabiałem. A może także zajęcia się czymś innym, konkretnym, niezwiązanym z uniwersytetem, bo dzięki temu zyskiwałem inny obraz siebie, który pozwalał mi utrzymać głowę nad powierzchnią: rzeczywistym celem, który mną kierował, było pisanie. Wszystko zbiegało się w tej jednej prawdzie, albo raczej powinno się było zbiegać.

W pewien sobotni wieczór byłem w pracy sam, do przyjścia nocnej zmiany została jeszcze godzina, kiedy zadzwoniła Mary.

– Cześć – przywitałem ją. – Zapomniałaś czegoś?

– Nie. Siedzę sama w domu i pomyślałam, że może miałbyś ochotę zajrzeć do mnie po pracy? Moglibyśmy na przykład napić się wina.

Zrobiło mi się gorąco. Co ona mówi?

– Chyba nie – powiedziałem. – Właściwie muszę wracać do domu.

– Będę z tobą szczerą, Karl Ove. Chcę się z tobą przespać. Wiem, że masz dziewczynę, ale nikt się o tym nie dowie. Będziesz zupełnie bezpieczny. Obiecuję. Raz. I już nigdy więcej.

– Ale ja nie mogę. To niemożliwe. Bardzo mi przykro.

– Jesteś pewien? Definitywnie?

A przecież miałem ochotę krzyknąć: Tak! Tak! Tak! – i natychmiast do niej pobiec.

– Nie, nie mogę. To niemożliwe.

– Rozumiem. Mam tylko nadzieję, że nie uważasz mnie za głupią, bo spytałam wprost. Nie chciałabym, żebyś miał mnie za idiotkę.

– No co ty, zwariowałaś? To ostatnia rzecz, jaką bym sobie pomyślał.

– Słowo?

– Tak.

– No to widzimy się jutro. Na razie.

– Na razie.

Nadszedł ranek, bardzo się denerwowałem przed spotkaniem z Mary, ale zachowywała się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Była wobec mnie taka jak zawsze, może odrobinę bardziej wycofana, nic poza tym.

O jej propozycji myślałem codziennie przez kilka tygodni. Z jednej strony cieszyłem się, że nie uległem pokusie, bo nie chciałem zdradzać Gunvor, a dopóki się nie upiłem, nie było w tym nic trudnego. Z drugiej strony rozpałałem się na samą myśl, bo przecież bardzo tego pragnąłem i gdybym miał całkowitą swobodę wyboru, na pewno bym nie odmówił. Po Nowym Roku przenosiliśmy się z Gunvor na Islandię, ona miała na tamtejszym uniwersytecie studiować historię na poziomie średnio zaawansowanym, ja – pisać na pełny etat. Do tego czasu pracowałem w Sandviken tyle, ile mogłem. Wycierałem ekskrementy ze ścian, przytrzymywałem pacjentów, którzy mieli ataki psychotyczne, kiedyś jeden uderzył mnie w twarz, odbywałem niekończące się spacery po terenie szpitala lub w jego pobliżu, a czasami wycieczki po regionie którymś z należących do szpitala busów.

Hans, który został naczelnym „Studvest”, spytał, czy nie chciałbym recenzować dla nich książek. Chciałem i recenzowałem. Zjechałem z kretesem powieść Atlego Næssa o Dantem i napisałem całą stronę o *American Psycho*, książce również powiązanej z Dantem, ponieważ główny bohater, jadąc przez miasto taksówką, czyta na ścianie graffiti: „Ty, który wchodzisz, żegnaj się

z nadzieją...”. Brama do piekieł tu i teraz. Cholera, ależ to było świetne! Co to za powieść! Co za powieść! Hans zaproponował, żebym napisał opowiadanie bożonarodzeniowe. Chciałem, ale mi nie wyszło. Skończyło się na kilku liniach o facecie, który jedzie autobusem do domu na święta, i tyle. Chodziło mi po głowie coś o porwaniu, o przywiązywaniu i torturowaniu w Wigilię, ale to były jakieś bzdury, tak jak wszystko, co próbowałem pisać. Przeczytałem *Trylogię nowojorską* Paula Austera, pomyślałem, że czegoś podobnego nigdy w życiu nie napiszę. W pewien sobotni wieczór zrobiłem pizzę dla pacjentów i nie mogłem pozbyć się wrażenia, że ich przez to poniżyłem.

Na święta pojechałem do mamy, załatwiłem sobie lokatora, który miał u mnie mieszkać podczas mojej nieobecności – kumpla Yngvego z Arendal – wróciłem do Bergen, spakowałem dwie walizki, pożegnałem się z Espenem, samolotem poleciałem na Fornebu, stamtąd na Kastrup, a później na Keflavik, gdzie samolot wylądował późnym wieczorem. Ciemność była gęsta, nieprzenikniona, w ogóle nie widziałem krajobrazu, kiedy godzinę później jechałem lotniskowym autobusem, a o mieście, do którego wjeżdżałem, czyli o Rejkiawiku, też nie mogłem sobie wyrobić żadnego zdania. Wsiadłem do taksówki, pokazałem kierowcy kartkę z nazwą ulicy, którą dostałem od Gunvor, nazywała się Garðastræti, minęliśmy jakieś jezioro, podjechaliśmy pod górę, domy były tu wielkie i monumentalne. Zatrzymaliśmy się przed jednym z nich.

A więc tutaj mieliśmy mieszkać. W okazałym domu w mieście na środku Oceanu Atlantyckiego.

Zapłaciłem, kierowca wyjął i podał mi walizki, przeszedłem przez furtkę i alejką ruszyłem do domu. Otworzyły się drzwi do mieszkania w suterenie i stanęła w nich uśmiechnięta Gunvor. Objęliśmy się, poczułem, że się za nią stęskniłem. Była tu już od tygodnia. Oprowadziła mnie po naszym mieszkaniu, dużym i bezosobowym, ale naszym, tu mieliśmy spędzić najbliższe pół roku. Kochaliśmy się, później chcieliśmy wziąć razem prysznic, ale woda cuchnęła zgniłymi jajami, nie mogłem tego wytrzymać, Gunvor wyjaśniła, że wszędzie woda tak tu pachnie, bo przepływa przez wulkaniczne podłoże, że ten ohydny smród to woń siarki.

Kilka tygodni później uwielbiałem już ten zapach, tak jak uwielbiałem wszystko, co wiązało się z Rejkiawikiem i naszym tamtejszym życiem. Rano Gunvor wychodziła na uniwersytet, a ja w samotności długo jadłem śniadanie, potem albo szedłem do miasta i siadałem w kawiarni z notatnikiem lub z jakąś

powieścią, codziennie zaskakiwany urodą tamtejszych ludzi – dziewczyny były tak niewiarygodnie piękne, nigdy w życiu takich nie widziałem – albo brałem rzeczy do pływania i szedłem na miejscowy odkryty basen, gdzie przepływałem tysiąc metrów pod gołym niebem, w mżawce, w deszczu albo w śniegu, a potem powoli zanurzałem się w *heiti pottur*, jak nazywały się islandzkie wanny z gorącą wodą. Później wracałem do domu, żeby pisać.

Wieczorami oglądaliśmy telewizję i to również uwielbiałem, bo język był bardzo podobny do norweskiego, zbliżony w tonie i dźwięku, ale kompletnie niezrozumiały. Gunvor znalazła przyjaciół na uniwersytecie, głównie innych studentów cudzoziemców, ale też Islandczyka, Einara, który został naszym przyjacielem domu i nie tylko był do naszych usług na okrągło przez całą dobę, ale też odwiedzał nas wieczorami co najmniej cztery razy w tygodniu. Miał duże, mroczne cienie pod oczami, zaczątki brzucha, za dużo pił i za dużo pracował, ale nie na tyle, by nie mieć czasu do nas zajrzeć i spytać, czy nie trzeba w czymś pomóc. Do końca nie rozumiałem, co nim kierowało, przecież za swoje wysiłki nie otrzymywał nic w zamian, w każdym razie nic takiego, co mógłbym uchwycić, i niezbyt mi się to podobało, był jak giez, ale jednocześnie był też jedyną osobą, z którą mogłem się napić. Mówiłem więc sobie, że trudno, i włączyłem się z nim po islandzkich barach, w milczeniu pijąc mocny alkohol.

Przez jednego z cudzoziemców zaprzyjaźnionych z Gunvor poznałem Amerykanina w moim wieku, interesował się muzyką, mówił, że pisze własne utwory, był pełen naiwnego entuzjazmu, rozmawialiśmy o założeniu zespołu, znał Islandczyka, który umiał grać na gitarze, więc pewnego wieczoru wybraliśmy się do tego gościa. Mieszkał w wilgotnej suterenie, przywodzącej na myśl dziewiętnasty wiek, kaszlał jak górnik i był tak samo chudy; jego żona z papierosem w palcach kołysała w ramionach niemowlę i nakrzyczała na niego, ale on tylko wzruszył ramionami i zaprowadził nas do jeszcze mniejszego pomieszczenia, pełnego najprzeróżniejszych rupieci, tam mieliśmy grać, ale najpierw – powiedział po angielsku – najpierw musimy trochę się najarać. Joint zaczął krążyć między nami, gospodarz wyjął z kąta gitarę, Eric, tak miał na imię ten mój znajomy Amerykanin, chwycił swoją, a mnie przydzielono kubek, który miał służyć za bęben. Był to zwyczajny plastikowy kubek, czerwony z białym uchwytem, odwróciłem go do góry dnem, umieściłem między nogami

i zacząłem w niego walić, tamci dwaj brzdąkali jakieś bluesy na gitarach, a dziecko w pokoju obok głośno krzychało, o mało nie wypluwając z siebie płuc.

Gunvor, gdy jej o tym opowiadałem, zaśmiewała się do łez.

Odwiedziliśmy gospodarstwo, w którym wcześniej pracowała. Gospodarze ciepło ją przyjęli, mnie się trochę wstydziła, twierdzili, że prawie nie mówią po angielsku, ale wieczorem tego dnia, kiedy pojechaliśmy do wioskowej świetlicy, aby wziąć udział w dużym święcie razem z innymi mieszkańcami regionu, wreszcie się rozluźnili. Jadłem baranie jądra, przysmak z rekina, którego zakopuje się w ziemi i on tam gnije, oraz inne dziwactwa, a wszystko popijałem ichnią wódką. Ich milczenie i zakłopotanie, które przyjąłem z ulgą, bo znałem je z autopsji, zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a jednocześnie w całej sali nastrój eksplodował i już wkrótce siedziałem ramie przy ramieniu z tymi, którzy towarzyszyli mi przy stole, i kołysząc się na boki, głośno śpiewałem coś, co przypominało ich piosenkę. Wszyscy byli pijani, wszyscy byli radosni, jak sto wersji mnie, a kiedy nad ranem zabawa się skończyła, po pijaku rozjechali się samochodami do domów. W naszym gospodarstwie należało oporządzić krowy, więc po wypiciu w kuchni jednej whisky z gospodarzem poszedłem z nim do obory. Podczas gdy on krążył z widłami do gnoju, nosił paszę i siano, mnie polecił czyścić krowom zęby i tak go to rozbawiło, że musiał usiąść, bo inaczej przewróciłby się ze śmiechu.

Na zewnątrz wiało. Na Islandii wiało nieustannie. Porywisty wiatr ciągnął znad morza w dzień i w nocy. Któregoś dnia, kiedy szedłem do Nordens Hus, domu kultury skandynawskiej, żeby poczytać norweskie gazety, widziałem, jak wichur przewrócił staruszkę. Napisałem trzy opowiadania i cały notatnik wypełniłem rozważaniami na temat tych nowelek i sensu mojego pisania. Nocami śnił mi się tata, a w tych snach bardziej się go bałem niż kiedykolwiek na jawie. Przyjaciółki Gunvor mnie nudziły, starałem się ich unikać, jak tylko się dało. Pewien student, Szwed, starszy od nas o jakieś dziesięć lat, zaprosił Einara i nas na obiad. Był bardzo życzliwy, skromny, miał wielkie serce, mieszkał w fantastycznym mieszkaniu i zaserwował nam wykwinny posiłek, na którego przygotowanie musiał poświęcić cały dzień. Zaprosiliśmy ich do nas z rewizytą. Znalazłem przepis na jagnięcinę, zapowiadało się delikatne danie, a jagnięcinę mieliśmy, bo od gospodarzy Gunvor dostaliśmy całą torbę

tego mięsa, a oprócz niego torbę koniny. Wyglądały identycznie, zaryzykowałem, ale się pomyliłem i do dania ze zdjęcia, na którym kość z mięsem sterczała elegancko w otoczeniu pieczarek, cebuli i marchwi, nawet się nie zbliżyłem, bo mięso odpadło od kości, więc goście, którzy przyszli do nas w sobotę i usiedli przy stole w naszej małej kuchni, zostali poczęstowani zupą z koniny. Była okropnie słona i paskudna. Ale Szwed, Carl, z uśmiechem kiwał głową i powtarzał, że ugotowałem bardzo dobrą potrawę. Einar, Islandczyk, świetnie wiedział, że to końskie mięso, nic jednak nie mówił, tylko się uśmiechał tym swoim zagadkowym, ale przyjaznym uśmiechem. Zaczynałem rozumieć, o co mu chodzi. On nie miał innych przyjaciół. Tylko my byliśmy jego przyjaciółmi.

Upiliśmy się i wyszliśmy na miasto. Cały wieczór obserwowałem Carla; miał w sobie jakąś delikatność, chociaż wyglądał na wieśniaka, delikatność i pierwiastek kobiecy, a poza tym sposób, w jaki opisywał osobę, z którą mieszkał w Szwecji i pozostawał w związku partnerskim – na przykład nigdy nie wymieniał jej imienia – kazał mi myśleć, że może chodzić o mężczyznę.

Powiedziałem o tym Gunvor i Einarowi, kiedy staliśmy w zatłoczonym barze, gdzie głośno grała muzyka, więc musiałem podnieść głos, żeby mnie usłyszeli.

– Wydaje mi się, że Carl to peda! – krzyknąłem.

Einar spojrzał na mnie z przerażeniem i natychmiast przeniósł wzrok gdzieś dalej.

Odwróciłem się. Tuż za mną stał Carl.

Płakał!

A potem wybiegł.

– Karl Ove – powiedziała Gunvor – natychmiast pędź za nim i go przeproś!

Posłuchałem jej. Wybiegłem na ulicę, na ten przeklęty wiatr, spojrzałem w jedną stronę – nic, w drugą – zobaczyłem Carla zmierzającego w stronę domu.

Dogoniłem go.

– Posłuchaj, Carl. Przykro mi. Ale tak mi przyszło do głowy i po prostu powiedziałem. Jestem pijany, zrozum. Nie chciałem cię zranić. Uważam, że jesteś fantastycznym facetem. Bardzo cię lubię. Gunvor też.

Spojrzał na mnie i pociągnął nosem.

– Chciałem to tutaj utrzymać w tajemnicy – przyznał. – Wolałem, żeby nikt o tym nie wiedział.

– Ale to przecież niczego nie zmienia. Chodź, wracamy! Nigdy więcej nie musimy o tym rozmawiać. No chodź! Napijemy się ginu z tonikiem!

Wytarł łzy i poszedł ze mną. To był pierwszy homoseksualista, jakiego poznałem. Od tej pory zaczął nazywać po imieniu swojego partnera, który zresztą kilka tygodni później przyjechał do niego do Rejkiawiku. Zaprosili nas na obiad i okazało się, że tamten facet wie wszystko o nas i o naszym życiu. Carl dużo mu o nas opowiadał, i to ze sporą przesadą, bo w oczach jego partnera byliśmy ludźmi o wielkim znaczeniu, a mnie, jak zrozumiałem, otaczał nimb tajemnicy. Nigdy nie mówiłem, czym się zajmuję na Islandii, nawet kiedy Einar czy Carl pytali mnie wprost. Obijam się, pływam, czytam, a nocami, jak im kiedyś powiedziałem, nocami siedzę przy piecu i patrzę, jak chleby, które piekę, wyłaczają się i nabierają chrupkości. W moim przekonaniu było odwrotnie, dla mnie to Carl i jego chłopak stanowili tajemnicę, z uwagi na ich podobieństwo. Bo jak można szukać tego, co podobne? Pragnąć tego, co podobne? Kochać to, co podobne?

Niedługo później sam trafiłem do klubu dla gejów. Najpierw piłem wódkę z Einarem i jak wiele razy wcześniej, kiedy się z nim pożegnałem, ruszyłem w miasto. Szukałem miejsc, które byłyby dłużej otwarte, chciałem, żeby coś się działo, właściwie cokolwiek, a tamtej nocy natknąłem się na jakiś klub w piwnicy, więc tam zszedłem. Początkowo nie zauważyłem nic niezwykłego, zamówiłem sobie drinka i rozglądałem się po lokalu, puszczała Bronski Beat, wiele osób tańczyło, poszedłem do toalety, żeby się wysikać, a tam na ścianie kabiny wisiał plakat z ogromnym fiutem. Byłem już tak pijany, że miałem wrażenie, iż znalazłem się w środku jakiegoś snu, dopiero po wyjściu z kibla zorientowałem się, że w klubie są sami mężczyźni. Wyszedłem na zewnątrz, ktoś z głową pochyloną dla ochrony przed wiatrem zaczął mnie wołać i za chwilę podbiegł do mnie mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna.

– Sean! – zawołał. – To naprawdę ty?

– Nie jestem Sean.

– Przestań się wygłupiać, gdzie się podziewałeś? Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę!

– Mam na imię Karl – powiedziałem.

– Dlaczego tak mówisz?

– Zobacz. – Wyjąłem z kieszeni paszport. – Karl, widzisz?

– Jesteś Sean – powtórzył. – Jesteś Sean. Jesteś Sean.

Zrobił kilka kroków w tył, nie spuszczać ze mnie oka, a potem obrócił się na pięcie i zniknął w bocznym zaułku.

Pokręciłem głową i ruszyłem dalej, wietrznymi, martwymi ulicami. Wróciłem do domu, położyłem się przy Gunvor, która już niedługo musiała wstawać, i zasnąłem jakby ktoś mi strzelił w głowę.

Gdy zdecydowaliśmy, że przeniesiemy się na Islandię, od początku zamierałem pisać artykuły o tym kraju i sprzedawać je gazetom. Dlatego kiedy się dowiedziałem, że Einar zna Bragiego, basistę zespołu Sugarcubes, nie wahałem się nawet przez chwilę, tylko umówiłem się z nim na wywiad i pojechałem do niego do domu. Właśnie urodziło mu się dziecko, pokazał mi je. Usiedliśmy przy stole w kuchni. Zadawałem mu przygotowane pytania, on odpowiadał, a ponieważ niedawno wydali nową płytę, która może nie była równie dobra jak debiut, ale i tak lepsza niż następna, z niesłychanie wciągającym początkowym utworem *Hit*, nie musiałem długo namawiać gazety na przyjęcie tekstu. Bragi się uśmiechnął, kiedy mu powiedziałem, jaki ta gazeta ma tytuł. „Klassekampen”^[28]. W uszach cudzoziemca musiało to brzmieć idiotycznie. Już wychodziłem, kiedy wspomniał, że niedługo będą grać w mieście i że koniecznie muszę przyjść na *backstage*, żeby ich wszystkich poznać.

Gunvor była wtedy w tym swoim gospodarstwie, więc poszedłem sam i tak się upiłem wódką, że już przed koncertem zacząłem szarpać jeden z potężnych statywów, na których umieszczono reflektory. To było śmiertelnie niebezpieczne, ale w ogóle o tym nie myślałem. Podbiegł do mnie ochroniarz i kazał mi odejść, więc powiedziałem: *Yes, sir*, i odszedłem. Gdyby to się działo w Norwegii, zostałbym siłą oderwany i powalony na ziemię, ale tu ludzie byli przyzwyczajeni do najprzeróżniejszych rzeczy, bo z powodu zakazu picia piwa prawie wszyscy przeszli na wódkę, a kiedy w końcu piwo z powrotem dopuszczono, zwyczaj picia wódki już tak się utrwalił, że piwo uważano niemal za egzotyczne. Poza tym półlitrowa szklanka kosztowała majątek. Tutaj piło się mocny alkohol i nie tylko ja się zataczałem, krążąc po mieście. Wieczorami wylot głównej ulicy był dosłownie zagrodzony młodzieżą. Kiedy zobaczyłem

to pierwszy raz, zdumiony, dopytywałem się, co się stało. Gunvor wyjaśniła mi, że tak jest tutaj zawsze. Ludzie stali jeden przy drugim, wszyscy pijani. Na Islandii było pełno takich dziwactw, obserwowałem je i rejestrowałem, ale nie potrafiłem ich zrozumieć.

Zespół zaczął grać. Grali dobrze, w dodatku u siebie, koncert był fantastyczny. Kiedy się skończył, poszedłem na *backstage*. Zatrzymano mnie, ale oświadczyłem, że pracuję dla norweskiej gazety „Klassekampen” i jestem umówiony z Bragim. Ochroniarz poszedł to sprawdzić, a kiedy wrócił, powiedział, że w porządku, więc ruszyłem korytarzem i znalazłem się w pomieszczeniu, w którym było mnóstwo ludzi, podnieconych i wesołych, panowała wręcz dzika atmosfera. Bragi, który huśtał się na krześle, gestem przywołał mnie do siebie. Przedstawił mi perkusiście, wyjaśnił mu coś po islandzku, wychwyciłem nazwę „Klassekampen”, a oni zaczęli rechotać.

Nie miałem im nic do powiedzenia, ale i tak byłem zadowolony, Bragi wciśnął mi do ręki piwo, siedziałem, przyglądając się barwnemu, ekstrawagancyjkiemu tłumowi, gapiłem się przede wszystkim na Björk, nie dało się od niej oderwać oczu. The Sugarcubes był wtedy jednym z najlepszych zespołów na świecie, więc znalazłem się w samym sercu rocka. Już się cieszyłem, że opowiem o tym Yngvemu.

Bragi wstał.

– Idziemy na imprezę. Chcesz iść z nami?

Kiwnąłem głową.

– *Just stick to me* – powiedział.

Więc się go trzymałem. Szedłem tuż przy nim w gromadzie muzyków i artystów przez miasto do portu, gdzie miała mieszkanie Björk. Było dwupoziomowe, z szerokimi schodami pośrodku, i wkrótce zapełniło się ludźmi. Sama Björk siedziała na podłodze przy boomboksie, otoczona płytami kompaktowymi, i puszczała jeden utwór po drugim. Byłem już tak zmęczony, że nie dałem rady stać. Usiadłem na schodach, niemal na samym szczycie, głowę oparłem o balustradę i zamknąłem oczy. Ale nie zasnąłem, bo coś we mnie wzbierało od brzucha przez pierś, i wkrótce zaczęło się cisnąć do gardła, więc się poderwałem, pokonałem dwa stopnie na piętro, wbiegłem do łazienki, nachyliłem się nad sedesem i wytrysnęła ze mnie imponująca żółtopomarańczowa kaskada, aż poszły bryzgi.

Kilka tygodni później przyjechała w odwiedziny mama. Jednego dnia wybraliśmy się zobaczyć wodospad Gullfoss, gejzery i dolinę Þingvellir, a kiedy indziej na południowe wybrzeże, tam gdzie były czarne plaże, a z morza gęsto wyrastały ogromne skały.

Poszliśmy razem do muzeum sztuki, ściany i podłoga były tu całkiem białe, a w blasku słońca wpadającym przez wielkie przeszklone otwory w dachu światło w środku niemal paliło w oczy. Okna wychodziły na morze, niebieskie, z białymi grzywaczami, w oddali wznosiła się wielka góra pokryta śniegiem. W tym otoczeniu, w tej białej, jasnej przestrzeni na krawędzi świata, sztuka całkiem nikła.

Czy sztuka była jedynie zjawiskiem wewnętrznym, czymś, co istniało wyłącznie w ludziach i między ludźmi, czy też była wszystkim, czego nie potrafiliśmy zobaczyć, ale co miało na nas wpływ, co było o nami? Czy na tym polegała funkcja pejzaży, portretów, rzeźb, na wciąganiu świata zewnętrznego, tak obcego nam w swej istocie, w nasz świat wewnętrzny?

Kiedy mama miała wracać do domu, odwiozłem ją na lotnisko Keflavik i tam się z nią pożegnałem, a w drodze powrotnej czytałem *Stefana bohatera* Jamesa Joyce'a, jego pierwszą książkę, jaką w ogóle kupiłem, i ewidentnie najslabszą, bo też nie została ukończona i nie była przeznaczona do wydania, ale z niej także można się było czegoś dowiedzieć, tego mianowicie, jak autor powoli przekształcał tak wyraźny tu element autobiograficzny w coś innego w *Ulissesie*. Stefan Dedalus był młodym, silnym bohaterem, którego do powrotu do rodzinnego Dublinu wezwał telegram ojca z informacją, że matka jest umierająca, ale w powieści, to znaczy w *Ulissesie*, ten bystry, arogancki młody mężczyzna stał się chyba przede wszystkim miejscem akcji. W *Stefanie bohaterze* był osobą, pozostawał oddzielony od otaczającego go świata, w *Ulissesie* natomiast świat przez niego przepływał, tak jak historia, święty Augustyn, Tomasz z Akwinu, Dante, Szekspir, wszystko się w nim poruszało; podobnie było z tym małym Żydem Bloomem, tyle przez niego przepływało, nie to, co najwyższe i najwspanialsze, tylko miasto, z ludźmi i zjawiskami, z tekstami reklamowymi i artykułami w gazetach, on myślał o tym, o czym myśleli wszyscy, był *everymanem*. Ale nad nimi istniał jeszcze jeden poziom, czyli miejsce, z którego byli obserwowani, a mianowicie język, cała ta wiedza i przesady, jakie niosły w sobie niemal w tajemnicy różne formy języka.

W *Stefanie bohaterze* niczego takiego nie było, istniała jedynie postać, Stefan, czyli Joyce, oddzielony od opisywanego świata, nigdy z nim niezintegrowany. W ostatniej książce Joyce'a, noszącej tytuł *Finneganów tren*, którą kupiłem, ale jeszcze jej nie przeczytałem, z tego, co słyszałem, następowała kulminacja, ludzie całkiem znikali w języku, który żył własnym życiem.

Wysiadłem z autobusu na przystanku między uniwersytetem a Perlan, restauracją będącą jednocześnie punktem widokowym, i ostatni odcinek drogi do domu przez dzielnicę ambasad pokonałem piechotą. Padał deszcz, było mgliście, czułem się trochę jak nikt, pusty w środku, może sprawiło to pożegnanie. W mieszkaniu Gunvor czytała, zwinięta w fotelu. Obok na stole stał kubek z herbatą.

Powiesiłem kurtkę i podszedłem do niej.

– Co czytasz? – spytałem.

– O wielkim głodzie w Irlandii – odparła. – *The great famine*. Wyleciała?

– Tak.

– Miło, że nas odwiedziła.

– To prawda.

– Co będziesz dzisiaj robił?

Wzruszyłem ramionami.

Była w samej koszuli, nie miała nic pod spodem, i w spodniach od dresu. Poczułem, że mam na nią ochotę, więc się nachyliłem. Dawno się nie kochaliśmy, dokuczało mi to, nie ze względu na mnie, bo chciałem tylko mieć spokój, chodziło mi o nią, żeby nie pomyślała, że dzieje się coś złego, że już jej nie chcę.

Ale to nie była prawda. Pragnąłem jedynie przestrzeni wokół siebie, a tutaj ją miałem – w ciągu dnia chodziłem sam po obcym mieście, pływałem i przesiadywałem w kawiarniach, a nocami pisałem przy biurku, gdy ona spała w sypialni – lecz nawet ta przestrzeń okazywała się za małą, nawet tu Gunvor była za blisko.

Cieszyłem się więc, że pożądanie powróciło z taką siłą i odsunęło na bok całą resztę. W tym momencie nie mieściło mi się w głowie, jak mogłem z tego zrezygnować, niczego bardziej nie pragnąłem, więc za chwilę znów staliśmy się sobie tak bliscy, jak na samym początku naszego związku, kiedy byliśmy tylko my dwoje i nie potrzebowaliśmy żadnych słów, aby to osiągnąć. Wszyst-

ko kryło się we wzajemnym przyciąganiu i w radości, wszystko samo się kręciło. Gdy jednak zaczynało tego brakować, dystans stawał się czymś, co należało łamać albo zwalczać, słowami lub czynami, a kiedy nie miałem na to ochoty bądź brakowało mi siły, która musiała wesprzeć chęć, wówczas byliśmy tylko dwojgiem młodych ludzi, którzy razem mieszkają, a łączą ich jedynie wiek i kultura.

Gunvor nigdy mnie nie skrzywdziła. Zawsze była dla mnie dobra i zawsze chciała dla mnie dobrze. Nie miała żadnych rys, wad ani usterek. Chciała dobrze i robiła to, co dobre. Rysy, wady i usterki miałem ja. Staralem się je przed nią ukrywać najlepiej, jak umiałem, na ogół z powodzeniem, lecz cały czas we mnie tkwiły, sprawiały, że rzucałem cień, który przyparował mnie o wyrzuty sumienia. Chciałem się od niego oderwać, chciałem być sam, wtedy by zniknął, ponieważ nie dotykałby nikogo innego i pozostawał jedynie czymś, co jest tylko moje. Lecz abym mógł zostać sam, musiałbym z nią zerwać, zakończyć związek, w który tak się zaangażowała i w który do pewnego stopnia zaangażowałem się również ja. Często mówiła, że mnie kocha, a ja za nic w świecie nie chciałem jej zranić, nie chciałem się od niej odwracać, od tej dziewczyny, która patrzyła na mnie z takim ciepłem w oczach.

Ale tego wieczoru znów wszystko się naprawiło. Wziąłem prysznic i na bosaka przeszedłem po wykładzinie, co sprawiło mi dużą przyjemność. Gunvor oglądała telewizję, usiadłem przy niej i położyłem jej nogi na kolanach; tłumaczyła mi na bieżąco, kiedy o to prosiłem, ale nie zdarzało się to często, bo prawie wszystkie materiały w islandzkich wiadomościach pokazywały kutry rybackie albo przetwórnice ryb.

Poszła spać, a ja włączyłem komputer i zacząłem pisać. Zadzwoił telefon. Odebrałem, ale na drugim końcu linii panowała cisza.

- Kto to był? – spytała Gunvor z sypialni.
- Nikt. Przecież miałaś spać.
- Spałam. Telefon mnie obudził.

Czasami, gdy podnieśliśmy słuchawkę, słychać było głosy, mimo że nikt nie dzwonił albo nie zdążyliśmy jeszcze wybrać numeru. Dziwiło nas to, ale ze wszystkich stron otaczały nas ambasady, a naprzeciwko, lekko na ukos, znajdowała się ambasada rosyjska, więc uważałem, że linie telefoniczne w okolicy z pewnością są tak intensywnie podsłuchiwane, iż władzom islandzkim kom-

pletnie już się poplątało, która jest która. W tym kraju żyło zaledwie dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi, więc na pewno nie dało się utrzymać wysokiego poziomu we wszystkich obszarach funkcjonowania nowoczesnego państwa.

Zgasilem światło w korytarzu i w pokoju, tak aby biurko z komputerem zmieniło się w jasną wysepkę w ciemności, włożyłem słuchawki i zacząłem pisać.

Było to opowiadanie o mężczyźnie na pływalni, znów pojawiała się proteza, oparta o ścianę w szatni, dalej jednak nie potrafiłem tego pociągnąć, tak aby coś przekazać. Opisy były dobre, poświęciłem na nie kilka tygodni, ale to za mało. Półtorej strony, półtora miesiąca. Popatrzyłem na tekst, odłożyłem go na bok, spojrzałem na następny, o człowieku, który z aparatem fotograficznym chodzi po mieście i robi zdjęcia, później na skraju fotografii dostrzega osobę, którą zna, ale nie widział jej chyba od dziesięciu lat, więc wraca myślą do tamtych letnich tygodni, które razem spędzili, utopiła się wtedy dziewczyna mężczyzny na zdjęciu – odpłynęła kilka metrów od pomostu do miejsca, gdzie na dnie leżały kawałki muru i pręty zbrojeniowe, pozostałe z prac wykonywanych dwa lata wcześniej przy budowie nabrzeża, popłynęła właśnie tam, zanurkowała mniej więcej trzy metry pod powierzchnię i przywiązała sobie rękę do pręta zbrojeniowego. Tak ją znaleziono. Przywiązaną, z falującymi włosami poruszonymi prądem, a wszystko to działo się w czasie, gdy nad wyspę nadciągała burza i niebo gwałtownie pociemniało.

Trzy strony, dwa miesiące pracy.

Problem polegał na tym, że sam w to nie wierzyłem. Nie wierzyłem w kobietę, która się topi. Jak to uwiarygodnić?

Odłożyłem na bok również to opowiadanie i otworzyłem nowy dokument. Wyjąłem notatnik, przejrzałem zapisane w nim pomysły i wybrałem kolejny: „Mężczyzna z walizką w przedziale kolejowym”.

Następnego dnia rano skończyłem. Dziesięć stron. Cieszyłem się, nie dlatego, że tekst był dobry, tylko dlatego, że był gotowy i taki długi. W ciągu ostatnich dwóch lat napisałem w sumie jakieś piętnaście – dwadzieścia stron. Dziesięć stron powstałych w ciągu jednej nocy to była liczba wręcz przytłaczająca. Może jednak do lata uda mi się stworzyć zbiór opowiadań?

W następny weekend wybraliśmy się na wyspy Vestmannaeyjar. Autobusem pojechaliśmy na południowe wybrzeże, a stamtąd promem na otwarty ocean. Wyszliśmy na pokład i robiliśmy sobie zdjęcia, Gunvor w kapturze niebieskiej kurtki przeciwdeszczowej, z kroplami deszczu na szklach okularów, ja z jedną ręką na relingu, a drugą, niczym Leif Eriksson – wskazującą na bezkresne wody.

Wreszcie ujrzeliśmy wyspy, wyłoniły się jakby z nicości, to był naprawdę wspaniały widok, ten kontrast wysokich stromych zboczy – porośniętych trawą lśniąca od wilgoci, gdzie pasły się owce, przypominające chmurki – z pozbawionymi roślinności klifami, prawie pionowo opadającymi w morze, na których wszędzie, na wszystkich półkach i występach skalnych, siedziały ptaki.

Prom powoli wpłynął między dwie skały, dalej zatoka się rozszerzała, tworząc naturalny port, zeszliśmy na ląd, zostawiliśmy bagaże w pensjonacie i ruszyliśmy w głąb niewielkiej wyspy. Domy stały tuż pod wulkanem, te położone najwyżej zalała lava po wybuchu na początku lat siedemdziesiątych. Weszliśmy na szczyt wulkanu, popiół ciągle był ciepły.

– Mógłbym tu zamieszkać – powiedziałem, gdy wyruszyliśmy w drogę powrotną. – Byłoby fantastycznie.

– A co byś tu robił?

Wzruszyłem ramionami.

– Po prostu bym tutaj był. Na wyspie pośrodku morza. O co więcej można prosić?

Roześmiała się.

– Właściwie o całkiem sporo.

Ale naprawdę tak uważałem. Dobrze byłoby wynająć tutaj dom, na środku morza, w otoczeniu jaskrawozielonej trawy, pod wciąż ciepłym wulkanem. Mógłbym tu mieszkać.

Któregoś wieczoru Gunvor zadzwoniła do Einara, znał się na komputerach, a ponieważ mieliśmy jakiś problem z naszym, spytała, czy nie rzuciłby na niego okiem. Nie dał się długo prosić, godzinę później siedział u nas w pokoju i działał. Gunvor przyniosła mu herbatę, spytałem, jak to się zapowiada, odparł, że problem nie jest duży, i rzeczywiście wkrótce go rozwiązał. Został jeszcze trochę, rozmawialiśmy o różnych rzeczach, interesowało go wszystko,

co robimy, ale o sobie mówił niewiele. Wiedziałem jednak, że mieszka sam, dużo pracuje i zna pół Rejkiawiku, przynajmniej sądząc po tym, z iloma osobami zamienia kilka słów w ciągu wieczoru na mieście.

– Kiedy przyjeżdża twój brat? – spytał, kiedy już wkładał kurtkę, szykując się do wyjścia.

– W przyszłym tygodniu. Może wybrałbyś się z nami, żeby pokazać mu miasto?

– Jasne. Z wielką przyjemnością. Po prostu zadzwoń.

Wyszedł.

Yngve przyjechał ze swoim kumplem Bendikiem i jego dziewczyną, Åse. Odebrałem ich z lotniska, po części ucieszony tym, że naprawdę wybrali się mnie odwiedzić i że zatrzymają się u nas, a po części tym samym przerażony – nie miałem im nic do zaoferowania, nic do powiedzenia, a planowali zostać prawie tydzień.

Przygotowałem obiad. Bendik powiedział, że bardzo smaczny, zaczerwieniłem się i spuściłem wzrok. Wszyscy to zauważyli. Wynajęli samochód, pojechaliśmy na obszar gejzerów, Bendik wziął ze sobą jajka i ugotował je w niewielkiej szczelinie, z której wydobywał się wrzątek. Sam Geysir był martwy, już nie tryskał w górę, chociaż wciąż dawało się sprowokować jego wybuch – gdy wlało się odpowiednią ilość mydła w płynię, eksplodował jak za dawnych czasów. Robiono to jednak wyłącznie przy wyjątkowych okazjach, z tego, co rozumiałem, na przykład podczas wizyty jakiejś głowy państwa, więc musieliśmy się zadowolić jego mniejszym bratem, Strokkurem, który tryskał mniej więcej co piętnaście minut. Po wybuchu woda nieruchomiała, wyglądała jak zupełnie zwyczajna kałuża, w gładkiej powierzchni odbijało się szarawe niebo, ale już wkrótce pod ziemią dawał się słyszeć huk i woda zaczynała się podnosić, tworzyła się przezroczysta kopała, która nagle eksplodowała ogromnym słupem wody. W powietrzu unosiły się para i drobne krople, a dookoła na ziemi pełno było wrzących, bulgoczących źródełek. Krajobraz był pusty, całkowicie pozbawiony roślinności.

Mógłbym stać i obserwować Strokkura cały dzień, ale wkrótce pojechaliśmy dalej, w poszukiwaniu gorących źródeł, w których moglibyśmy się wykąpać. Wszystkich pociągała myśl o kąpieli w gorącej, parującej wodzie, i to

w samym środku pustkowia.

Zobaczyliśmy parę unoszącą się z ziemi kilka kilometrów dalej, podjechaliśmy tam, to był basen z gorącą wodą, niczego więcej już nie szukaliśmy; byłem milczący, poważny i świadom tego, że tak jest, a przez to jeszcze bardziej udręczony, zwłaszcza przy Bendiku, który cały czas gadał jak nakręcony i się śmiał, a poza tym jak zawsze nie przebierał w słowach. Strasznie przycichłeś, Karl Ove. Co się stało? Posrałeś się? Szał ich ogarnął, kiedy odkryli, jakie świetne są sklepy w Rejkiawiku, kupowali adidas, dzinsy, stare bluzy od dresów, kurtki i płyty islandzkich zespołów, będących ostatnim wielkim odkryciem. Podobały im się też knajpy, wychodziliśmy co wieczór, w ten pierwszy razem z Einarem, który w obecności Yngvego, Bendika i Åse zachowywał się o wiele bardziej biernie i powściągliwie niż zazwyczaj z nami, gdy na ogół przejmował inicjatywę. W połowie wieczoru, kiedy staliśmy przy jakimś barze, popijając wódkę, oświadczył nagle, że jest umówiony i musi nas opuścić, ale życzy nam dobrej zabawy. Niedługo się widzimy, rzucił na koniec i wyszedł. Zrobiło mi się go trochę żal, bo wyglądało na to, że my z Gunvor jesteśmy dla niego sceną, miejscem, w którym mógł poczuć się ważny, chociaż z drugiej strony trochę mi się to nie zgadzało, bo przecież znał wielu ludzi z różnych miejsc, więc niemożliwe, aby tak bardzo potrzebował właśnie nas. Ale już w kilka minut po jego wyjściu całkiem o nim zapomniałem, coraz bardziej pijany, rozluźniłem się, zacząłem gadać, unosiłem się coraz wyżej. W jakimś momencie wszystko się jednak odwróciło, poczułem potrzebę zniszczenia czegoś, pobicia kogoś, nienawidziłem całego świata, samego siebie i swojego cholernego życia. Ale nic nie mówiłem, nic nie robiłem, tylko piłem dalej, coraz bardziej nieprzytomny, a po powrocie do domu wbiłem sobie do głowy, że wyznam Gunvor wszystkie swoje przemyślenia z ostatniego roku, kompletnie mi odbiło, nie widziałem niczego wokół siebie, liczyło się tylko jedno: nagle i kompletnie bez powodu wyznać jej całą prawdę.

Siedziałem w kuchni sam i jeszcze dopijałem, ona spała, ale obudziłem ją i powiedziałem jej wszystko, jak jest.

– Upiłeś się, Karl Ove – stwierdziła. – Wcale nie myślisz tego, co mówisz. Bardzo cię proszę, powiedz, że wcale tak nie myślisz.

– Myślę. I odchodzę.

Otworzyłem okno i wyskoczyłem. Wyszedłem na drogę pod jasnym majowym niebem i ruszyłem na miasto. Krążyłem ulicami, wszystko było martwe

i ciche, aż w końcu zrobiłem się taki senny, że zacząłem szukać jakiegoś miejsca, w którym mógłbym się przespać. Kilka kwartałów dalej trafiłem na garaż z ukośnym dachem, dobudowany do domu mieszkalnego, wdrapałem się na niego i zasnąłem.

Obudziłem się przemarznięty na kość, padał deszcz, przemokłem do suchej nitki. Mgliście pamiętałem, co się wydarzyło. Ale nie przypominałem sobie w ogóle, co powiedziałem.

Czy to już koniec? Zniszczyłem wszystko?

Siedziałem na tym dachu oszołomiony. Po chwili zląłem na ziemię, żeby przypadkiem nikt mnie tam nie zobaczył, i zmordowany ruszyłem do domu.

Kiedy przyszedłem, jedli śniadanie. Bendik się uśmiechał, Yngve był poważny, Gunvor nie patrzyła mi w oczy, Åse udawała, że nic się nie dzieje.

– Przepraszam – powiedziałem. – Za bardzo się wczoraj schlałem.

– Rzeczywiście, można to tak określić – stwierdził Bendik.

– Gdzie byłeś? – spytała Gunvor.

– Spałem na jakimś dachu.

– Musisz przestać pić, Karl Ove – odezwał się Yngve. – Prawdę mówiąc, baliśmy się o ciebie. Rozumiesz to?

– Tak, rozumiem. Ale teraz muszę się położyć. Padam z nóg.

Kiedy się obudziłem, wyszliśmy z Gunvor porozmawiać. Powiedziałem, że naprawdę wcale nie myślałem tego, co mówiłem, i w ogóle nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale że są we mnie dwie osoby, jedna – kiedy piję, a druga – kiedy jestem trzeźwy, powiedziała, że o tym wie, no ale kocham cię, przecież cię kocham, powtarzałem, i jeśli nawet moje słowa, których dokładnie nie pamiętałem, nie zniknęły, tylko dalej pozostawały między nami, nie zerwaliśmy ze sobą, bo to, co nas łączyło, było zbyt cenne, również dla mnie. Postanowiłem, że muszę skończyć z piciem, ponieważ w tym tkwi cały problem, ale nazajutrz znów zabalowałem, to był mój ostatni wieczór na Islandii, następnego dnia wracałem do Norwegii razem z Yngvem, Bendikiem i Åse, Gunvor miała zostać jeszcze kilka tygodni, ustaliliśmy to ze sobą już dawno, cieszyłem się, że wyjeżdżam, bo wykorzystałem już życie tutaj, to, co dawniej tak uwielbiałem, ogromne niebo, wietrzne ulice, po których chodziłem sam, baseny i kawiarnie, pisanie nocą, weekendowe wycieczki poza Rejkiawik, wszystko to zostało

w pewnym sensie zarazone moim wewnętrznym mrokiem, zaplątane w niedoskonałość mojej duszy, do tego stopnia, że Bergen – wraz z pracą w Sandviken i wiążącym się z nią unikaniem odpowiedzialności za własne życie – stanowiło kuszącą perspektywę.

Tego ostatniego wieczoru Gunvor i Åse wcześniej poszły do domu, potem Yngve i Bendik też już chcieli iść, Yngve prawie mnie ciągnął, ale knajpy wciąż były otwarte, więc powrót do domu wydawał mi się idiotycznym pomysłem. Idźcie, ja niedługo wrócę, oświadczyłem. Co będziesz robił sam? – pytał Yngve. Może spotkam jakichś znajomych, odpowiedziałem. Kto wie, co się wydarzy.

I rzeczywiście spotkałem. Po wejściu do Filmbarin zobaczyłem przy barze Einara. Pomachał do mnie i uśmiechnął się na mój widok, więc podszedłem do niego. Piliśmy i gadaliśmy aż do zamknięcia baru godzinę później. Znał kogoś, kto organizował imprezę, i już wkrótce siedzieliśmy w jakimś mieszkaniu na poddaszu razem z pięcioma czy sześcioma innymi osobami, w rękach trzymając szklanki pełne whisky.

Zapaliłem papierosa, Einar nachylił się do mnie z lekkim uśmieszkiem.

– Niezłe opowiadania napisałeś – powiedział.

Patrzyłem na niego ze zdziwieniem.

– O czym ty mówisz?

– O twoich opowiadaniach. Są naprawdę dobre. Masz talent.

– Skąd, u diabła, wiesz? – Poderwałem się. – Czytałeś? Jak...

– Przegrałem je sobie, kiedy naprawiałem wasz komputer. Nigdy nie chciałeś powiedzieć, czym się zajmujesz, a ja byłem ciekawy. Zobaczyłem twój folder i zrobiłem sobie kopię.

– Kurwa! Ty gnoju!

Odwróciłem się i z papierosem w jednej ręce oraz ze szklanką w drugiej wyszedłem stamtąd na podwórze; miałem ochotę rzucić szklanką o mur, ale się opanowałem, aż tak się nie upiłem, więc tylko odstawiłem ją na skrzynkę z transformatorem, czy co to było, w każdym razie na jakąś szafkę, która wisiała na ścianie. Wyszedłem na ulicę, ruszyłem w stronę małego budynku parlamentu i pod górę do naszego mieszkania, w którym wszyscy już mocno spali.

Po sześciu miesiącach spędzonych na bezdrzewnej, czarnej i niemal całkowicie pustej wyspie na środku Atlantyku widok drzew, na które patrzyłem z samolotu, wydał mi się nierzeczywisty, a gdy kilka godzin później chodziliśmy po ulicach Kopenhagi, ciepłych, pełnych ludzi, wśród nabrzmiałych zielenią parków i alej, miały one w sobie coś rajskiego, to wszystko było jakby zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Nie mogłem uwierzyć, że świat potrafi być również taki. Opowiedziałem Yngvemu tę dziwną historię z Einarem, pokręcił głową i powiedział, że niewiele miał z nim do czynienia, ale nawet ten krótki kontakt wzbudził w nim nieufność. W zasadzie nic złego się nie stało, że przeczytał moje teksty, i już gdy wychodziłem z tamtego mieszkania, żałowałem trochę swojej gwałtownej reakcji, powinienem może raczej go wypytać i poprosić o bardziej szczegółową ocenę tych opowiadań. Chodziło jednak przede wszystkim o sposób, w jaki je zdobył, i dlaczego w ogóle to zrobił. Kto kopiuje czyjeś prywatne pliki? I po co mi o tym powiedział?

Czego on od nas chciał?

Niektóre problemy mają podstawy geograficzne i to był właśnie jeden z nich. Kiedy później tego wieczoru przechodziliśmy przez obrotowe drzwi na bergeńskim lotnisku Flesland, kierując się na plac, na którym czekały autobusy, w moich myślach nie było już ani Einara, ani Islandii. Koniec maja w Bergen to zieleniące się zbocza, jasne wieczory, rozweseleni ludzie, życie, które aż wrze. Nie mogliśmy tak po prostu wrócić do domu i iść spać, musieliśmy wyjść na miasto, powietrze było ciepłe i przejrzyste, w restauracjach i kawiarniach pełno ludzi, a na lekko ciemniejącym niebie powoli ukazywały się pierwsze gwiazdy.

Następnego dnia po południu zapukałem do Espena. Nie widziałem go pół roku, czułem, że to długo, bo wcześniej rozmawialiśmy niemal codziennie.

Opowiedziałem mu trochę o Islandii, on mi o tym, co się działo tutaj – studiował w tym roku filozofię, no i oczywiście pisał.

– A co z maszynopisem? – spytałem.

– Gotowy.

– To świetnie. Wysłałeś?

Kiwnął głową.

– Został przyjęty.

– Przyjęty? Debiutujesz?

Zielony z zazdrości, patrzyłem na niego, zmuszając się do uśmiechu.

Znów kiwnął głową.

– No to super. Świetnie – powiedziałem.

Uśmiechnął się i zaczął przesuwac zapalniczkę po płycie, której używał jako stołu.

– W jakim wydawnictwie?

– Oktober. Mam świetnego redaktora. Nazywa się Torleiv Grue.

– A tytuł, jaki będzie?

– Myślałem o *Sakte dans ut av brennende hus*^[29].

– Dobry tytuł. Kiedy się ukaze? Jesienią?

– Prawdopodobnie. Jeszcze trochę trzeba nad tym popracować.

– Właściwie to nawet nie jestem zaskoczony.

W kuchni ekspres do kawy przestał parskać. Espen przyniósł dwie parujące filiżanki.

– No a ty? Udało ci się coś napisać na Islandii?

– Co nieco. Kilka opowiadań. Nie są najlepsze, ale... przynajmniej trochę pracowałem.

– „Vinduet” wydaje tej jesieni numer z tekstami debiutantów. Kiedy się dowiedziałem, pomyślałem o tobie. Może mógłbyś coś wysłać? Ja już to zrobiłem.

– Na pewno nie zaszkodzi – stwierdziłem. – Lepsza odmowa w garści niż publikacja na dachu.

– Cha, cha.

Zazdrość żyła we mnie godzinę. Przez ten czas nie życzyłem Espenowi niczego dobrego, ale w końcu mi przeszło, przecież zawsze był na wyższym poziomie niż ja, odkąd go poznałem, pisał niesamowite rzeczy, i jeśli w ogóle ktoś z moich znajomych zasługiwał na wydanie książki, to właśnie on.

Miał dwadzieścia jeden lat i już miał zadebiutować. Przecież to fantastyczne. To on otworzył przede mną literaturę, wykazując przy tym całkowity brak egoizmu, nigdy nie zatrzymywał nic dla siebie, nigdy nie chciał zawłaszczyc żadnej twórczości, żadną wiedzą nie chciał cieszyć się sam, taki był Espen,

zawsze wszystkim się dzielił i nie robił tego, aby uchodzić za wielkodusznego, nie dlatego, że tak wypadło, było dobrym uczynkiem, po prostu taki był – kiedy rozsadzał go podziw, chciał się nim ze mną podzielić.

I ja miałbym zazdrościć mu debiutu?

Życzyłem mu go z całego serca, a jeśli nawet prawda ciągle mnie trochę kłuła, to dlatego, że jego życie nabierało kształtu, jak relief, a moje pozostawało jedynie tłem.

– Jakie masz plany na lato? – spytał.

– Będę pracował w Sandviken. Potem może wybiorę się do Kristiansand odwiedzić ojca. Pewnie też kilka tygodni spędzę w Jølster. A ty?

– Z całą pewnością pojedę do Oslo. No i muszę poszukać sobie jakiegoś mieszkania.

– A to dlaczego?

– Nie słyszałeś? Dali nam wypowiedzenie. Będą burzyć.

– Co?!

– Tak. Musimy się wyprowadzić w ciągu lata.

– Niech to szlag! To rzeczywiście złe wiadomości.

– Może byśmy poszukali razem jakiegoś miejsca?

– Masz na myśli wspólne mieszkanie?

– Tak.

– Czemu nie?

Dostałem miesięczne zastępstwo w Sandviken, na oddziale chyba ucieszyli się na mój widok, to znaczy pracownicy, bo pacjenci jak zawsze pozostawali obojętni, i od razu wciągnąłem się w tamtejsze życie, jakbym w ogóle nie miał żadnej przerwy. Wydrukowałem opowiadanie o człowieku z walizką i bez większych nadziei wysłałem je do „Vinduet”. Nic nowego nie pisałem, bo praca kosztowała mnie sporo sił, poza tym nie miałem ochoty. Gunvor znalazła zajęcie w swojej rodzinnej wiosce, więc wolne wieczory głównie spędzałem w domu na czytaniu. Ze dwa razy wyszedłem gdzieś z Yngvem, zrobiliśmy też parę prób z zespołem, ale jakoś nie potrafiliśmy wkładać w to wszystko serca. W ciągu dwóch lat wspólnego grania dwa razy mieliśmy koncert w Hulen, raz w Garage, nagraliśmy demo i jeden kawałek w porządnym studiu, dołączono

go do zbiorczej płyty zespołów z Bergen. I tak nam się udało, ale jeśli chcieliśmy zajść dalej, musieliśmy bardziej się przyłożyć, to znaczy starać się naprawdę, a wyglądało na to, że nikomu właściwie się nie chce.

Któregoś wieczoru nie miałem już siły kusić się w domu, lato było zbyt natrętne i wręcz chore wydawało się siedzenie w fotelu i czytanie, więc poszedłem przez park do Opery. Siedział tam kumpel Yngvego, Geir, którego nie znałem, ale to właśnie on wynajmował moje mieszkanie, gdy byłem na Islandii; wziąłem piwo i dołączyłem do niego i jego przyjaciół. Był powszedni dzień, niezbyt dużo ludzi, ale zajrzały dwie dziewczyny, które trochę znałem z pierwszego roku studiów, zacząłem z nimi gadać, jedna, blondynka, była śliczna, już dawniej miałem na nią oko, zawsze się cieszyłem, widząc ją w czytelnicy, wyłącznie z powodu jej urody, więc po zamknięciu Opery, kiedy już osiągnąłem swój najlepszy humor, zabrałem prawie wszystkich, którzy tam byli, do siebie do domu, ciągle miałem wódkę ze sklepu bezcłowego. Zaprosiłem więc Geira, jego kumpla, te dwie dziewczyny i sześciu Afrykańczyków. Nie znałem tych sześciu, ale trochę rozmawiałem z nimi w Operze i pomyślałem, że może nie znają zbyt wielu Norwegów, pewnie jeszcze się nie wciągnęli w tutejsze życie, dlatego spytałem, czy nie poszliby z nami, żeby pogadać i trochę się napić. Ten, z którym rozmawiałem, pokiwał głową z uśmiechem i powiedział, że chętnie, że będzie im bardzo miło. Kiedy jechaliśmy przez ciepłą, jasną noc, mimo wszystko to nie oni zajmowali moje myśli, tylko ta blondynka, a gdy weszliśmy do mieszkania, po tym jak zapłaciłem za trzy takśówki, i usiedliśmy, żeby się napić – grupa, która w Operze wydawała się niewielka, w moim mieszkaniu przytłaczała, kiedy ostatnio było tu jedenaście osób? – popatrzyła na mnie i zaczęła wypytywać, jak się miewam, co robię i co właściwie myślę o pierwszym roku studiów i o nich.

– O was?

– Taak. Sprawiałeś wrażenie takiego aroganckiego.

– Aroganckiego? Ja?

– Owszem, byłeś tym od Dantego, tym, który ukończył Akademię Sztuki Pisania. Jednym z tych, którzy mają pojęcie, o co chodzi.

– Pojęcie? Przecież kompletnie nic nie umiałem.

Roześmiała się i ja się roześmiałem, poszliśmy do kuchni, stanęła oparta o ścianę, ja oparłem się o blat. Rozmawialiśmy dalej, ale prawie nie słucha-

łem, co mówi, chwilę później nachyliłem się i ją pocałowałem. Przysunąłem się do niej, objąłem ją, przycisnąłem do siebie, była taka miękka, przyjemna i chętna. Szepnąłem, że możemy iść do sąsiedniego pokoju. Był to wprawdzie pokój Jonego, ale on akurat wyjechał do Stavanger, więc mogliśmy się zapaść w jego cudowne wodne łóżko. Dziewczyna była fantastyczna, leżałem na niej, objęła mnie, nagle jednak wyczułem jakiś ruch z tyłu, więc się obejrzałem.

To był jeden z Afrykańczyków. Stał w ciemności i patrzył na nas.

– Musisz stąd wyjść – powiedziałem. – Chcemy być sami.

Nie ruszał się.

– Nie możesz tu być, słyszysz? *Will you please leave the room?*

Dalej stał.

– Nie przejmuj się nim – włączyła się dziewczyna. – Chodź do mnie.

Więc to zrobiłem i wkrótce było po wszystkim. Kiedy się przetoczyłem na plecy, on właśnie wychodził z pokoju.

– Szybko poszło – powiedziała.

Czyżby ta uwaga była ironiczna?

Nie, uśmiechnęła się i pogłaskała mnie po policzku.

– Od dawna miałam na to ochotę – przyznała. – Szkoda, że tak krótko. No, ale już spadam. Pogadamy kiedy indziej.

Poszła sobie, zasnąłem, a kiedy się obudziłem z pulsującym bólem głowy, mieszkanie było całkiem puste. Zniknęły dwie butelki wódki i portfel, który położyłem na półce na kapelusze.

Były w nim wszystkie moje pieniądze.

Usiadłem i oparłem głowę na rękach.

Dlaczego to zrobiłem? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Moje poczucie winy nie miało dna. Wstyd palił mnie od momentu, kiedy się obudziłem, aż do chwili, w której zasnąłem. Nie opuszczała mnie myśl o tym, co zrobiłem. Dręczyła mnie nieprzerwanie.

A więc tak wygląda piekło. Rozszarpywanie na strzępy przez uczucia, na tym właśnie polegało. W dodatku sam byłem temu winien, sam do tego doprowadziłem.

Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Przecież tego nie chciałem. Pragnąłem wieść spokojne, ciche życie z Gunvor, pełne ciepła i bliskości. To powinno być proste, nie wymagało żadnych czarodziejskich sztuczek. Wszyscy sobie z tym radzili, od zawsze. Czy Gunvor mnie zdradzała? Czy kiedykolwiek zrobiła coś takiego?

Nie, oczywiście, że nie.

Czy kiedykolwiek myślała o tym, żeby to zrobić?

Nie, oczywiście, że nie.

Była prosta, szczerą, uczciwą, miłą i dobrą.

Nie mogła się dowiedzieć, co się wydarzyło.

Blondynka mówiła, że tego lata pracuje w hotelu w Hardanger, zadzwoniłem tam następnego dnia i udało mi się poprosić ją do telefonu. Okropnie się bałem, bo ta rozmowa była poniżająca i upokarzająca, ale musiałem przez to przejść. Nie miałem innego wyjścia.

Ucieszyła się, gdy mnie usłyszała.

– Cześć – przywitała mnie. – Dzięki za miły wieczór!

– Właśnie z tego powodu dzwonię. Otóż mam dziewczynę. Ona nie może się o tym dowiedzieć. Obiecasz mi, że nikomu nie powiesz? Że to zostanie między nami?

Przez chwilę milczała.

– Oczywiście – odezwała się w końcu. – Dzwonisz do mnie tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

– Tak.

– Okej.

– Okej?

– No to cześć.

– Cześć.

Minęło wiele godzin, nim zadzwoniłem do Gunvor, chciałem, żeby rozmowa z nią była możliwie najczystsza i nieskażona tym, co się stało.

Oczywiście mój telefon ją ucieszył. Oczywiście cieszyła się, że znów się zobaczymy.

Udowodniłem, że nie jestem jej wart. Ale dalej się jej czepiałem. Kłamałem, przez co dzielący nas dystans jeszcze się powiększał, a ona nie miała o tym pojęcia. Nienawidziłem siebie, powinienem z nią zerwać, nie ze względu na siebie, tylko na nią. Zasługiwała na coś lepszego.

Dlaczego tego nie zrobiłem?

Mało brakowało, ale nie potrafiłem.

Następnego dnia pojechałem autobusem do Sandviken i to mi przyniosło pociechę. Nawet w zapachu szpitala, nawet w widoku ludzi przechowywanych tu jak w magazynie znajdowałem pociechę. To było życie, więc to, co zrobiłem, również było życiem. Nie mogłem od tego uciec, musiałem to zaakceptować. Owszem, szarpało mnie w środku i miałem się tak czuć przez wiele tygodni, ale z upływem czasu wszystko matowieje, nawet to, co najstraszniejsze, bo czas wciska się między to, co było, a to, co jest teraz, minuta po minucie, godzina po godzinie, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, jest tak potężny, że w końcu zdarzenia całkiem się w nim rozwiewają i znikają, istnieją, lecz oddzielone taką ilością czasu, tyloma minutami, godzinami, dniami i miesiącami, że w ogóle już się ich nie czuje. A liczą się uczucia, nie zaś myśli czy wspomnienia. Powoli więc się z tego wydobywałem, czepiając się jednej myśli, ostatniej deski ratunku: ona o tym nie wie, a zatem to nie istnieje.

Nie istniało. Dopiero gdy Gunvor wróciła do miasta, rozgorzało od nowa – byłem kłamcą, oszustem, na wskroś złym człowiekiem, przez kilka tygodni właśnie tak myślałem, będąc z nią, lecz później znów przycichło, przytłumiło się i pozostało już jako stałe, ale znośne wrażenie, nieco oddalone od świadomości.

Bolało mnie, kiedy się uśmiechała. Bolało, kiedy mówiła, że mnie kocha i że nic lepszego niż ja jej się nie przydarzyło.

A potem przestało boleć.

Espen i ja przez kilka tygodni szukaliśmy wspólnego mieszkania, ale na pół gwizdka, że dwa poszliśmy obejrzyć, żadne nam jednak nie odpowiadało, więc przeprowadziliśmy się każdy do swojego – Espen do mieszkania pod miastem, ja do dawnego lokum Asbjørna na Nøstet.

Któregoś dnia przyszła koperta z „Vinduet”. Otworzyłem ją i przeczytałem list na stojąco przy skrzynkach na klatce schodowej. Z nadesłanych tysiąca

pięciuset tekstów wybrano trzydzieści i z przyjemnością informowano, że wśród nich znalazł się również mój.

Coś mi się nie zgadzało, więc przeczytałem jeszcze raz.

Ale naprawdę tak napisali. Moje opowiadanie miało zostać wydrukowane w numerze z tekstami debiutantów.

Wszedłem po schodach do swojego nowego mieszkania, usiadłem w fotelu z kartką w rękę i przeczytałem list kolejny raz.

Musieli się pomylić. Albo poziom nadesłanych tekstów był wyjątkowo niski. Ale tysiąc pięćset tekstów? Od tysiąca pięciuset autorów? Czy to możliwe, żeby były aż tak złe?

Niemożliwe.

Wobec tego musieli mnie pomylić z kimś innym, z jakimś Kramsgårdem czy Knutsgårdem.

Roześmiałem się.

Przyjęli mój tekst!

Kilka dni później zostałem wezwany do odbycia obowiązkowej służby zastępczej. Pod koniec jesieni miałem jechać do Hustad, a później zostać gdzieś oddelegowany na szesnaście miesięcy. W zasadzie mi to odpowiadało, bo ponad dwa lata w Sandviken to było już chyba dość, a studiować nie chciałem.

Dalej pracowałem w szpitalu, poza tym pisałem recenzje książek dla „Stu-dvest”, a oprócz tego przygotowywałem wywiady, co mi zaproponował Hans, głównie z pisarzami, ponieważ to była jakby moja dziedzina, lecz również z pracownikami naukowymi i innymi osobami, których prezentacją mogła być zainteresowana studencka gazeta. Z innymi jej działami nie miałem nic wspólnego. Zaglądałem do redakcji, pożyczałem nieduży magnetofon, przeprowadzałem wywiad, w domu go spisywałem, zanosilem, i tyle. Hans uważał, że dobrze mi to wychodzi, mówił, że wiele innych osób podziela jego zdanie.

Tuż przed moim wyjazdem do Hustad pocztą przysły dwa egzemplarze numeru z tekstami debiutantów. Otworzyłem na swoim opowiadaniu, nosiło tytuł *Déjà vu*, obok tytułu była moja fotografia, zwykłe zdjęcie paszportowe, tylko powiększone, a w zamieszczonej poniżej notce o autorze widniały jedynie moje nazwisko, rok urodzenia i zawód – podałem „bezrobotny”. Wyglądało to nieźle, żadnego pozerstwa, żadnych przechwałek, mniej nie można już podać

przy prezentacji autora.

Numer debiutantów recenzowały wszystkie duże gazety, przede wszystkim dlatego, że ten poprzedni, który ukazał się w roku 1966, zawierał teksty uznanych później pisarzy, takich jak Øystein Lønn, Espen Haavardsholm, Knut Faldbakken, Kjersti Ericsson, Olav Angell i Tor Obrestad. Kiedy więc „Vinduet” zdecydowało się na podobny krok dwadzieścia sześć lat później, wszyscy upatrywali w tym możliwości pojawienia się równie mocnego pokolenia pisarzy. W większości artykułów stwierdzano jednak, że tym razem tak nie będzie. We wszystkich recenzjach wymieniano nazwiska zapowiadające się lepiej niż inne, swojego wśród nich nie znalazłem. Było to zrozumiałe, moje opowiadanie zaliczało się do najsłabszych i może w ogóle nie powinno było zostać zamieszczone. Kiedy leciałem samolotem do Molde, a stamtąd dalejjechałem autobusem do Hustadvika, odepchnąłem to wszystko od siebie. Wkrótce miałem skończyć dwadzieścia cztery lata, a w ostatnim czasie moje życie stanęło w miejscu. Nie rozwijałem się w żadnym kierunku, nie robiłem nic nowego, poruszałem się jedynie według wzoru, który mi się ułożył w pierwszych miesiącach spędzonych w Bergen. Kiedy się teraz za czymś rozglądałem, nigdzie nie widziałem żadnego otwarcia, z każdej strony otaczało mnie mniej więcej to samo. Dlatego służba zastępcza spadła mi jak z nieba, dawała odroczenie o szesnaście miesięcy. Przez ponad rok ktoś będzie wszystko za mnie załatwiał, nie będę odpowiedzialny za własne życie, a przynajmniej za jego część związaną ze studiami, pracą i karierą zawodową.

Któregoś dnia wcześnie rano obudził mnie jeden z pracowników w Hustad, mówiąc, że jest do mnie telefon. Była dopiero szósta, więc zrozumiałem, że coś musiało się stać, dlatego czym prędzej pobiegłem do małej budki telefonicznej na końcu korytarza i przyłożyłem słuchawkę do ucha.

– Halo? – powiedziałem.

– Cześć, tu mama.

– Cześć.

– Obawiam się, że mam złe wiadomości, Karl Ove. Dziadek zmarł dziś w nocy.

– Och, nie.

– Zmarł w drodze do szpitala. Wieczorem zadzwonił do Kjellaug, wezwała

karetkę, a Jon Olav zaraz tam pojechał. Był przy nim, kiedy umierał. Wydaje mi się, że nie cierpiał. To się stało bardzo szybko.

- Przynajmniej tyle dobrze.
- To prawda.
- Był już stary – dodałem.
- Tak.

Pogrzeb miał się odbyć za tydzień, poprosiłem o przepustkę, dostałem ją i kilka dni później poleciałem do Bergen, a stamtąd razem z Gunvor popłynęliśmy promem do Rysjedalsvika, mama po nas wyjechała i powiozła nas przez deszczowy listopadowy krajobraz, przez nieduże góry, nad Åfjorden, nad którym dziadek spędził całe swoje życie. Urodził się w 1908 roku, w niezamożnej rodzinie, jak zresztą wszystkie tutejsze rodziny. Jego matka zmarła, kiedy był jeszcze mały, ojciec budował domy i wypływał na połów, później ożenił się po raz drugi, urodziła mu się córka, a gdy na początku lat trzydziestych podczas zimowych połowów zachorował i wkrótce potem umarł w szpitalu we Florø, dziadek zażądał domu, który zajmowała nowa żona jego ojca z małą córeczką. Ruszył proces sądowy, sprawa oparła się o Sąd Najwyższy, ale dziadek w końcu wygrał, druga żona ojca z przyrodnią siostrą dziadka musiały się wyprowadzić, a dziadek przejął dom, w którym mieszkał aż do teraz. Ożenił się w 1940 roku z Kirsti Årdal, między rokiem 1942 a 1954 urodziło im się czworo dzieci, wspólnie prowadzili razem niewielkie gospodarstwo, dziadek pracował jako kierowca, hodował norki, pszczoły i porzeczki, miał kilka krów, kilka kur. Wszystkie dzieci oprócz najmłodszego wyprowadziły się z domu, dziadek przeszedł na emeryturę, jego najstarsza córka została nauczycielką w gimnazjum, druga z kolei uczyła w szkole pielęgniarstwa, najmłodsza była psychologiem, a jedyny syn pracował jako hydraulik stoczniowy i pisał wiersze. Tak było, tak to wyglądało, a teraz się skończyło.

Podjechaliśmy pod dom i wysiedliśmy z auta. Padał deszcz, obcasy moich butów zapadły się w miękki żwir, kiedy otworzyłem bagażnik, żeby wyjąć torbę z garniturem i małą walizkę.

Niebieski kombinezon dziadka ciągle wisiał na wieszaku w sieni, razem z czarną czapką z małym daszkiem. Na podłodze stały jego buty.

Z pokoju dobiegały głosy, więc odstawiłem bagaż i poszedłem tam. Zobaczyłem Kjellaug, Ingunn, Mårda i Kjartana. Przywitali się z nami, spytali, jak

mnie i Gunvor wiedzie się w Bergen. Ingunn od razu się zainteresowała, czy jesteście głodni. W pokoju wyczuwało się radość, jak zawsze, kiedy się spotykali. Pomyślałem, kogo po sobie zostawił: Kjellaug, Sissel, Ingunn i Kjartana, zięciów: Magnego, Kaia Ågego i Mårda. Wnuki: Ann Kristin, Jona Olava, Ingrid, Yngvego, Karla Ovego, Yngvild, Odina i Sølvego. Jutro mieliśmy go pochować. A teraz coś zjeść i porozmawiać.

Wielkie kłęby mgły unosiły się nad gęstymi, ciemnozielonymi, niemal czarnymi świerkami na zboczu po drugiej stronie jeziora. Była dziewiąta. Mama poprosiła, żebym na drodze przy bramie ułożył świerkowe gałęzie, tak nakazywał stary obyczaj. Poszedłem tam w deszczu, ułożyłem gałęzie na żwirze i spojrzałem na dom, na okna jaśniejące o szarym poranku. Płakałem. Nie nad śmiercią i zimnem, tylko nad życiem i ciepłem. Płakałem nad dobrocią istniejącą na świecie. Płakałem nad światłem we mgle, nad żywymi w domu zmarłego i pomyślałem, że nie mogę zmarnować życia.

Jon Olav miał przemawiać w kościele, lecz tak płakał, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Próbował, ale nie dał rady. Przy każdym otwarciu ust, kiedy usiłował coś powiedzieć, wyrwał mu się kolejny szloch. Po nabożeństwie wynieśliśmy trumnę z kościoła do oczekującego karawanu, wsiedliśmy do samochodu mamy i wolno przejechaliśmy przez wioskę, obok domu dziadków, na cmentarz, położony na wzgórzu nad fiordem, gdzie czekał otwarty grób. Zanieśliśmy tam trumnę. Śpiewaliśmy, w tej ogromnej przestrzeni brzmiało to niewiarygodnie słabo. W dole rozciągał się szary, ciężki fiord, po drugiej stronie skalne zbocze pionowo opadało do wody, jakby opakowane w chmury i mgłę. Pastor rzucił garść ziemi na trumnę. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Przez chwilę mama stała sama przy niezasypanym grobie. Spuściła głowę, a mną wstrząsnęła kolejna fala płaczu, ostatnia, bo kiedy pojechaliśmy stamtąd do wiejskiej świetlicy, gdzie podano gorącą zupę z mięsem, atmosfera się rozluźniła, było już po wszystkim, teraz życie toczyło się dalej, bez dziadka.

Po powrocie do Hustad zacząłem obdzwaniać różne miejsca w Bergen, które przyjmowały osoby odbywające służbę zastępczą, i od razu wypaliło w Radiu Studenckim, ponieważ miałem dwuletnie doświadczenie w pracy w lokal-

nej rozgłośni. Tak więc po kilku dniach ferii świątecznych u mamy w Jølster poszedłem do Centrum Studenckiego, aby rozpocząć pierwszy dzień pracy w alternatywnej służbie zastępczej. Drzwi prowadzące do otwartej przestrzeni biurowej na piętrze, wykorzystywanej przez radio, „Studvest” i wiele innych organizacji studenckich, były zamknięte na klucz, więc czekałem na dole, aż zejdzie po mnie redaktor naczelny, trochę chodziłem w kółko, czytałem ogłoszenia, oglądałem książki wystawione w księgarni Studia, w końcu usiadłem i zapaliłem papierosa, minęła już prawie godzina, nie wiedziałem, o co chodzi, czyżbym pomylił dni?

Półtorej godziny po umówionym czasie wreszcie przyszedł.

To naprawdę on?

Zbliżał się do mnie tusty, długowłosy facet w okularach. Był ubrany w dżinsową kurtkę i dżinsowe spodnie, a na nogach miał żółtoszare buty do piłki nożnej z gumowymi wypustkami, sięgające do kostek; takie buty nosiliśmy jako dzieci, zanim treningi przybrały formę zorganizowaną i dostaliśmy porządne korki. Pewnej nocy przed trzema laty piłem i paliłem haszysz u niego w mieszkaniu. Teraz miałem wrażenie, że otworzyły się przede mną bramy piekieł. Jak to możliwe, że to on jest naczelnym?

– Cześć, cześć – przywitał mnie.

– Cześć. To naprawdę ty kierujesz Radiem Studenckim?

– Owszem, owszem.

– Byłem kiedyś u ciebie na nocnej balandze, pamiętasz? Dawno temu.

– Jasne. Nieźle wtedy przesadziłeś, prawda?

– Nie, wcale nie. To ty przesadziłeś.

Zaśmiał się cicho, radośnie. Śmiech wydawał się jego częścią, jakby się wokół niego unosił. Śmiał się niemal z każdego słowa, jakie padło.

Zaraz jednak spoważniał.

– Wtedy coś się wydarzyło, dotarło do nas, że posunęliśmy się za daleko. Piliśmy chyba jeszcze ze dwa wieczory i daliśmy spokój. Per Roger wyjechał za granicę, a po powrocie sporządził. A ja, sam widzisz, gdzie teraz jestem. No, ale chodź, oprowadzę cię – zakończył, podzwaniając wielkim pękiem kluczy.

Weszliśmy na górę do wspólnej przestrzeni biurowej. Jej część zajmowana

przez radio mieściła się w głębi. Trzy biurka, kącik z kanapą, jakieś szafki odzielające ten fragment przestrzeni od następnego.

– To jest twoje. – Wskazał najbliższe stojące biurko. – Ja siedzę tam. A to ostatnie jest wspólne dla innych pracowników. Ale to, co najważniejsze, dzieje się w studiu. Już je widziałeś?

Pokręciłem głową.

– Tam będziesz spędzał najwięcej czasu. Twoje główne zadanie będzie polegało na wklepywaniu do komputera archiwum płytowego.

– Serio? – spytałem.

Roześmiał się.

– Jest jeszcze archiwizacja formularzy emisji. Formularzy dla TONO^[30]. Archiwizacja szpul. Może przegrywanie ich na DAT, jeśli będziesz miał czas. Parzenie kawy. Kupowanie kawy. Co więcej? Chodzenie na pocztę. Dostajemy niesamowicie dużo korespondencji. Cha, cha. Mamy jeszcze jakieś nudne zajęcia? Może pisanie sprawozdań z zebrań redakcji? Sprzątanie studia. Odkurzenie. Kserowanie ulotek. Kopiowanie dokumentów ze spotkań. Tak się cieszymy, że mamy kogoś ze służby zastępczej, że aż trudno w to uwierzyć. Jesteś na samym dole hierarchii. Masz być jak pies. Tak wygląda twoja instrukcja pracy. Masz być jak pies i robić, co ci każę. Tutaj o wszystkim decyduję ja.

Uśmiechnął się, a ja odpowiedziałem uśmiechem.

– Okej – powiedziałem. – Od czego mam zacząć?

– Wszystko zaczyna się od kawy. Nastawisz ekspres?

Nastawiłem. Wodę przyniosłem z toalety, nasypałem kawy do filtra i włączyłem. Gaute w tym czasie pracował przy komputerze. Oprócz nas dwóch na górze nikogo nie było. Usiadłem przy swoim biurku, zajrzałem do szuflad, żeby sprawdzić, co w nich jest, zrobiłem rundkę po naszej części, żeby zobaczyć, co stoi na półkach, wyjrzałem przez różne okna na park, na czarne gałęzie wyciągające się do nieba. Kiedy kawa była gotowa, nalałem do dwóch kubków i jeden postawiłem przed Gautem.

– Bardzo ci dziękuję.

– Nad czym pracujesz?

– Nad *Wolfensteinem*.

– Nad *Wolfensteinem*?

– Tak. Rozgrywa się w bunkrze Hitlera. Chodzi o przejście na kolejne piętra. Dziadek siedzi na samej górze. Ale to nie jest wcale takie łatwe, bo wszędzie czyhają naziści. A im wyżej się wejdzie, tym są twardsi.

Stanąłem za nim.

Na samym dole ekranu znajdowała się lufa karabinu maszynowego, która sunęła pustym korytarzem. Na jego końcu była winda. Nagle się otworzyła i wysiadło z niej kilku żołnierzy ubranych na biało.

– Ojej! – westchnął Gaute.

Odkryli go, rozpoczęła się wymiana ognia, tamci schowali się za rogiem, paru runęło na ziemię, ale winda przywiozła kolejny transport żołnierzy. Gaute został trafiony i ekran zalał się krwią.

To było straszne, bo na korytarz i żołnierzy patrzyło się jakby oczami człowieka trzymającego karabin, a kiedy pojawiła się krew, pomyślałem, że właśnie tak się umiera. Oczy zalewa krew, *game over*.

– Grałem w to dopiero ze dwa razy – powiedział Gaute. – Na swoim komputerze też to masz. Jest i *Doom*. – Przeciągnął się. – To co, fajrant?

Popatrzyłem na niego.

– Powinienem być w pracy osiem godzin dziennie. Bardzo tego pilnują. Muszę wypełniać formularze i inne rzeczy, które masz podpisywać.

– Jacy oni? Nie widzę tu żadnych onych.

– Mnie wszystko jedno – stwierdziłem. – Ale może chociaż wypijemy tę kawę?

Miało się okazać, że w wypadku Gautego pozory myliły. Sądziłem, że jest leserem, obibokiem i nierobem. Tymczasem w ogóle się to nie potwierdziło. Był ambitny, miał pomysły na rozwój radia pod każdym względem i w czasie gdy tam pracowałem, zreorganizował całą rozgłośnię, zrobił z niej stację bardziej profesjonalną, od pracy redakcyjnej po profil muzyczny, wymienił na nowy cały sprzęt, w efekcie te taśmy, które ciąłem i kleiłem na początku pracy, bo programy były wcześniej redagowane analogowo, kompletnie zniknęły, i kiedy kończyłem szesnaście miesięcy później, wszystko odbywało się już cyfrowo. W *Wolfa* grało się tylko po pracy, za to wtedy zachowywałem się jak opętany, nierzadko wychodziłem z radia o drugiej w nocy, po graniu bez przerwy od czwartej po południu, a zdarzało się, że zastawali mnie przy kompute-

rze ludzie przychodzący nadać poranną audycję. Dostaliśmy też grę w menadżera, chyba jeszcze bardziej uzależniającą, teraz już cały wolny czas poświęcałem na kupowanie i sprzedawanie zawodników, a także na kolejne mecze, dopóki moja drużyna nie zdobyła Pucharu Europy, co mogło zająć nawet kilka tygodni. Po dwunastogodzinnej sesji miałem lód w głowie i całkowitą pustkę w środku. To był usystematyzowany bezsens, ale nie mogłem się powstrzymać, uzależniłem się.

Kolejną rzeczą, do której dostęp miało radio, a ja nigdy wcześniej się z nią nie zetknąłem, był Internet. Również uzależniał. Wchodzenie na kolejne strony, czytanie kanadyjskich gazet, oglądanie danych dotyczących ruchu drogowego na ulicach w Los Angeles albo dziewczyn z rozkładówek „Playboya”, które tak niesłychanie powoli się wyświetlały, najpierw dolna część zdjęcia – jeszcze w ogóle nie wiadomo było, co to jest – potem obrazu powoli przybywało, wypełniał ramkę, przypominało to trochę nalewanie wody do szklanki, no, są uda, a tutaj, tutaj jest... co, do cholery? ona jest w majtkach? – wreszcie na komputerze w biurze Radia Studenckiego, w środku nocy, na pustym piętrze, ukazywały się piersi, barki, szyja i twarz. Rachel i ja. Toni i ja. Susy i ja. Ciekawe, czy „Hustler” też ma stronę internetową? Rilke, czy ktoś coś napisał o jego *Elegiach duinejskich*? A może są jakieś zdjęcia z Tromøi?

Zaraz po Bożym Narodzeniu zjawił się chłopak, który kończył już odbywanie służby zastępczej, i wprowadził mnie we wszystkie obowiązki. Zdumiał się, gdy się okazało, że nie umiem montować, nie potrafię zająć się stroną techniczną podczas emisji programu i właściwie nie umiem nic. Ale w radiu w Kristiansand miałem własnego technika i musiałem jedynie umieć mówić do mikrofonu, czy to na zewnątrz, kiedy przeprowadzałem wywiad, czy w studiu podczas prowadzenia audycji. Całą resztą zajmował się technik. Tutaj było inaczej. Chłopak ze zdumieniem zauważył również, że zapisuję sobie wszystko, co mam powiedzieć, nawet najprostsze rzeczy, takie jak „cześć”, „dzień dobry”, „zapraszamy do słuchania audycji Radia Studenckiego”, a nie plotę, co mi ślina na język przyniesie, tak jak on i wszyscy, którzy tu pracowali. Ale uczyłem się szybko. Podczas ferii to pracownik w służbie zastępczej prowadził audycje, co oznaczało, że musiałem działać solo, czyli ustawiać nadajnik, puszczać dzingiel radia, dzingiel programu, zapowiadać program, jeśli decydowałem się na puszczenie jakiejś powtórki, albo siedzieć w studiu, nastą-

wiać płyty i gadać, czasami dzwonić do kogoś i przeprowadzać wywiad na żywo, co podobało mi się coraz bardziej, czułem niezłego kopa, kiedy sam prowadziłem audycję na żywo, a im bardziej skomplikowany był plan, tym większy był ten kop. Na ogół jednak nie prowadziłem audycji, z wyjątkiem krótkiego biuletynu z wiadomościami studenckimi, nadawanego codziennie, na którego przygotowanie poświęcałem całe przedpołudnie. Czytałem gazety, żeby znaleźć coś związanego ze studentami, pisałem wiadomości, a potem je odczytywałem. Oprócz tego opracowywałem materiał do programów kulturalnych, robiłem wywiady z pisarzami albo nagrywałem recenzje książek, i codziennie dziękowałem losowi za to, że trafiłem tutaj, a nie na przykład do Sandviken czy innego domu opieki. Olav Angell przetłumaczył *Ulissesa* na norweski, więc zadzwoniłem do niego zapytać o pracę nad przekładem. Fredrik Wandrup ostro wystąpił przeciwko Olemu Robertowi Sundemu, więc najpierw zadzwoniłem do Wandrupa, a następnie do Sundego, nagrałem i zmontowałem kilka komentarzy. Do miasta przyjechał Dag Solstad, więc wybrałem się do niego do hotelu, żeby przeprowadzić z nim wywiad. Pierwszy raz w życiu praca naprawdę mi się podobała i nie byłem w tym tutaj odosobniony, w radiu panowała entuzjastyczna, ale jednocześnie luzacka atmosfera, to nie było miejsce dla karierowiczów, przeciwnie, zarówno w studiu, jak i w całej tej części budynku nieustannie kręcili się ludzie, którzy nie robili nic konkretnego, tylko pili kawę, palili, gadali, czasami przeglądali nowe kompaktki, które nam przysłano, albo gazety czy tygodniki. W pierwszych tygodniach w ogóle się nie odzywałem, witałem ich tylko skinieniem głowy, kiedy się pojawiali, i starałem się pracować najlepiej, jak potrafię. Kiedy miałem wolny kwadrans, wklepywałem w komputer tytuły płyt, jeśli musiałem iść na pocztę, biegiem pokonywałem schody i w dół, i w górę. Na zebraniach redakcji milczałem, zapisywałem natomiast wszystko, co mówili inni. Z czasem jednak zacząłem rozpoznawać rozmaite twarze, a nawet zapamiętywać imiona. Ponieważ byłem jedyną osobą, która przesiadywała w biurze niemal bez przerwy, wszyscy wiedzieli, kim jestem, i po jakimś czasie zacząłem z niektórymi trochę rozmawiać, niekiedy potrafiłem nawet zażartować. Podczas jednego z zebrań Gaute nagle spojrzął na mnie i spytał: Co o tym myślisz, Karl Ove? Ku swojemu zdumieniu zauważyłem, że wszyscy patrzą na mnie z wyczekiwaniem, jakby naprawdę się spodziewali, że mam coś do powiedzenia.

Na początku każdego semestru werbowano nowych współpracowników.

Gaute poprosił mnie o przygotowanie ulotki, to była pierwsza porządna robota, jaką mi wyznaczył, i bałem się, że się z niej należycie nie wywiążę, dlatego cały wieczór pracowałem nad samym nagłówkiem, który w końcu brzmiał „Bezpłatne korzystanie ze studia”, i poświęciłem swój ulubiony rysunek z wydania Dantego z ilustracjami Dorégo. Wyciąłem ostatni obrazek, ten, na którym bohaterowie widzą Boga, ostatnie i pierwsze światło, przykleiłem go na kartce, którą skserowałem w dwustu egzemplarzach, i przez cały następny dzień rozdawałem te ulotki w tym miejscu Centrum Studenckiego, gdzie zawsze przewija się najwięcej ludzi i gdzie roiło się od nowych studentów. Na spotkaniu informacyjnym, które odbyło się kilka dni później, sala wypełniła się po brzegi. Większość przybyłych siedziała albo stała w milczeniu, słuchając Gautego, ale niektórzy zadawali również pytania, a wśród nich moją uwagę zwrócił chłopak z ogoloną głową, w okularach à la Adorno, zwłaszcza dlatego, że na stole przed sobą miał egzemplarz powieści Olego Roberta Sundego *Naturaligvis måtte hun ringe*. To było oświadczenie i sygnał, kod dla wtajemniczonych, nielicznych, a zatem wyjątkowo cennych. Czytał Sundego, czyli sam też m u s i a ł p i s a ć.

Kilka dni po spotkaniu zaczęły się rozmowy z kandydatami. Siedziałem razem z Gautem w sali konferencyjnej i po kolei zadawałem ludziom pytania, notując uwagi na ich temat. Dziwnie się czułem w tej roli, bo przecież sam nic nie umiałem, a już na pewno nie więcej od nich, a mimo to musieli, stremowani, grzecznie siedzieć na krzesłach i odpowiadać najlepiej, jak potrafili, czego ode mnie nikt nie wymagał. Później przejrzelismy listy z nazwiskami, omówiliśmy wrażenia, a wtedy zdziwiło mnie również uczucie przyjemności, z jaką wybierałem i przebierałem wśród kandydatów. Trzy dziewczyny wyróżniały się urodą. Jedna, mniej więcej dwudziestolatka, patrzyła na nas zalęknionymi niebieskimi oczami, okolonymi umalowanymi na czarno rzęsami, miała mocno zarysowane kości policzkowe, długie jasne włosy, ta musiała do nas dołączyć. Druga, z ciemnymi włosami splecionymi w długi warkocz, cały czas lekko poruszała wargami, najpiękniejszymi, jakie w życiu widziałem, siedziała wyprostowana, z rękami na kolanach, w każdym calu elegancka, a kiedy jeszcze powiedziała, że gra na perkusji, przypadłem z kretesem, musieliśmy ją przyjąć. Gaute ze śmiechem dodał, że dziewczyna ma też doświadczenie zdobyte w lokalnej rozgłośni radiowej, więc i tak jest oczywistą kandydatką. Do współpracy musieliśmy zaprosić również chłopaka od Sundego oraz tamtego porządne-

go o wyglądzie studenta szkoły handlowej, żebyśmy nie mieli samych humanistów, no i bezwzględnie tę dziewczynę, która miała pojęcie o muzyce klasycznej...

Po kilku tygodniach przyuczania rozmaite redakcje w końcu się poskładały, a jednocześnie i ja zacząłem się tu orientować, już się tak nie denerwowałem za każdym razem, kiedy musiałem wejść na górę do radia, wręcz odwrotnie, cieszyłem się, że idę do pracy. Radio było moim pierwszym własnym środowiskiem w Bergen, do tej pory całe moje życie toczyło się w kręgach Yngvego albo Gunvor. Bardzo się z tej samodzielności cieszyłem, ale stwarzała ona również problemy. Czułem, że w moim życiu zaczęło się coś nowego, chociaż w pewnym sensie nie dotyczyło to związku z Gunvor, on się nie zmienił, żyliśmy ze sobą już prawie cztery lata, byliśmy dla siebie najlepszymi przyjaciółmi, wiedzieliśmy o sobie wszystko, z wyjątkiem tej strasznej rzeczy, którą jej zrobiłem, a która wciąż istniała we mnie, lecz nie w niej. Ona o niczym nie wiedziała, uważała mnie za dobrego człowieka. Ale kiedy przychodziła mnie odwiedzić w radiu, coś zgrzytało, czułem pewien dyskomfort, trochę jakbym ją zdradzał już samym przebywaniem w tej pracy. Rozumiałem, że to już koniec, nie potrafiłem jednak z nią zerwać, nie chciałem jej zranić, sprawić jej zawodu, nie chciałem jej niczego psuć. Poza tym relacje między nami sięgały także na zewnątrz, Gunvor poniekąd przyjęto już do naszej rodziny, zwłaszcza mama bardzo się do niej przywiązała, Yngve też ją polubił, lecz również dalsi krewni ją zaakceptowali, na przykład rodzeństwo mamy, podobnie zresztą wyglądało to po stronie Gunvor. Jakby tego było mało, w zeszłym roku poznała Ingvild i bardzo się zaprzyjaźniły, Gunvor przeprowadziła się do tego samego mieszkania studenckiego, w którym kiedyś mieszkała Ingvild, sięgającego korzeniami bergeńskiej epoki Fløgstada, a w ostatnich latach zdominowanego przez arendalczyków, to znaczy kumpli Yngvego.

Czy mogłem przeciąć te wszystkie więzy?

Nie.

Byłem za słaby.

Dalej więc wiodłem coś w rodzaju podwójnego życia, odgrodziłem murem dwie jego różne ścieżki i karmiłem się nadzieją, że wszystko rozwiąże się samo.

Chłopak, który na spotkanie informacyjne przyniósł powieść Olego Roberta Sundego, miał na imię Tore, pochodził ze Stavanger i na zebraniach redakcyjnych okazał się istną kopalnią pomysłów. Któregoś dnia przed południem siedział w naszej części przestrzeni biurowej i zaczęliśmy rozmawiać. Spytałem, jak mu idzie Sunde, odparł, że sfrustrowany cisnął książką o ścianę i że właśnie pisze o tym esej, który będzie próbował sprzedać jakiemuś czasopismu.

– Czytałeś to? – spytał.

– Tego akurat nie. Przebrnąłem tylko przez pierwszych dwadzieścia stron. Ale czytałem tę o O. No wiesz, tę powieść o Odyseuszu, nie pamiętam, jaki ma tytuł.

– *Kontrapunktisk*.

– Aha, no właśnie. Pracę dyplomową na zakończenie średniego poziomu literaturoznawstwa pisałem o Joysie. Trochę mnie więc interesuje ta tradycja.

– Mnie bardziej odpowiada Beckett.

– Wolisz sekretarza od mistrza?

Uśmiechnął się.

– Nie brzmi to najlepiej, kiedy tak to ujmujesz, ale przecież Beckett jest świetny.

– Owszem, to prawda.

– Sam akurat piszę powieść trochę w stylu beckettowskim. To znaczy, beckettowskim jak beckettowskim, w każdym razie jest w niej nieco absurdu.

– Pisziesz powieść?

– Tak. Pewnie wyślę ją na wiosnę. Potem jak zwykle przyjdą odmowy. Interesujące, bla, bla, bla, ale niestety, bla, bla, bla. Mam ich już szesnaście.

– S z e s n a ś c i e odmów?

– Tak.

– Ile ty właściwie masz lat?

– Dwadzieścia. A ty?

– Dwadzieścia cztery. I tylko j e d n ą odmowę.

– To znaczy, że też piszesz?

– Tak... a właściwie nie.

– To piszesz czy nie piszesz?

- Zależy, jak to rozumiesz...
- Jak to rozumiem? Chyba albo się pisze, albo się nie pisze. Z tego, co wiem, nie ma nic pośredniego.
- W takim razie piszę. Ale to nie jest nic dobrego.
- Wydrukowali ci coś?
- Jedno opowiadanie. W tym numerze „Vinduet” z tekstami debiutantów. A tobie?
- Pokręcił głową.
- Jest szesnaście do jednego dla mnie w odmowach i jeden zero dla ciebie w przyjęciach – podsumował.
- No, no. „Vinduet” może i fajnie brzmi, ale to opowiadanie to naprawdę nic dobrego.
- Rozmawiamy od trzech minut, a ty zdążyłeś już dwa razy powiedzieć, że twoja twórczość to nic dobrego. Dostrzegam schemat. Rys charakteru.
- Mówię prawdę. To nie ma żadnego związku z moim charakterem, to obiektywny fakt.
- Dobrze, dobrze. – Spojrzał na zegarek. – Muszę lecieć na wykłady. Ale może pójdziemy później na piwo? O której kończysz?
- O wpół do piątej.
- To co, o piątej w Operze?
- Czemu nie? – odpowiedziałem i patrzyłem, jak odchodzi korytarzem między ściankami działowymi i znika na schodach.

Kiedy po południu przyszedłem do Opery, siedział przy stoliku na parterze. Wziąłem sobie piwo i się dosiadłem.

- Przeczytałem twoje opowiadanie. *Déjà vu* – uśmiechnął się. – Naprawdę niezłe.
- Przeczytałeś je? Dzisiaj? A skąd je wzięłeś?
- Było w Bibliotece Uniwersyteckiej. W dużym stopniu inspirowane Borge-
sem, prawda?
- Owszem. Albo Cortázarem.

Spojrzałem na niego i się uśmiechnąłem. A więc był jednym z tych, którzy

naprawdę potrafili się przejąć. Czy mnie by się chciało iść do Biblioteki Uniwersyteckiej i czytać opowiadanie nieznanego faceta, zanim się z nim spotkam? Nigdy w życiu. Ale Tore właśnie tak zrobił.

Był niewysoki i obdarzony ogromną energią, z jednej strony miał w sobie otwartość i życzliwość – rozglądał się, kiedy się śmiał, sypał komentarzami na prawo i lewo, w ogóle się nie obawiał, że może zostać źle zrozumiany – a z drugiej strony bywało, że nagle zamykał się w sobie, na przykład po jakiejś gwałtownej wymianie zdań, jakby nie mógł dłużej w tym uczestniczyć, w oczach miał kompletną pustkę i nic do niego nie docierało, trwało to zaledwie kilka sekund i mijało prawie przez nikogo niezauważone, ale ja spostrzegłem to już podczas pierwszych zebrań redakcji i jeszcze bardziej mnie tym zaintrygował.

– Od dawna tu mieszkasz? – spytał, patrząc na mnie sponad szklanki, z której sączył piwo małymi łydkami.

– Cztery i pół roku. A ty?

– Dopiero pół.

– Co studiujesz?

– Literaturoznawstwo. Później myślałem o filozofii. A ty?

– Skończyłem literaturoznawstwo na poziomie średnio zaawansowanym. Ale powoli można zacząć mówić, że to już było dawno. Od trzech lat moje życie stoi w miejscu, nic się nie dzieje.

– Jestem pewien, że jest inaczej.

Jakby nie chciał słuchać, że coś może się źle układać. Nic nie odpowiedziałem, piłem piwo i patrzyłem w okno. Obserwowałem zimne, szare ulice, przechodzących nimi ludzi w płaszczach, od czasu do czasu pojawiała się jakaś nadmuchana puchówka.

Po chwili znów przeniosłem wzrok na Torego. Uśmiechał się, jakby ten uśmiech i często następujący po nim wybuch śmiechu unosiły go w górę i popychały naprzód.

– W Stavanger grałem w zespole – powiedział. – A w tym środowisku wszyscy się znają. Kiedy chodziłem do liceum, poznałem gościa, który prowadzi własną wytwórnię płytową i ma w Stavanger nieduży sklep z płytami. Na imię mu Jone. Pojechał do Bergen na roczne studia, a potem opowiadał, że mieszkał z kompletnym wariatem, który grał na perkusji, czytał książki i chciał

zostać pisarzem. Niczym innym się nie zajmował. Podobno był jak opętany, książki walały się u niego wszędzie. No wiesz, Dostojewski w kuchennej szafce, a dzieła zebrane Sandemosego w kiblu. No i grał w zespole. Studenckim.

– Jak się ten zespół nazywał?

– Kafkatrakterne. Słyszałeś o nich?

Kiwnąłem głową.

– Tak. Grałem z nimi na perkusji.

Aż cofnął się z krzesłem.

– To ty? To ty mieszkałeś z Jonem?

– Tak. Myślałem, że dlatego mi o tym opowiadasz. Że domyśliłeś się, że to ja.

– Nie, nie, skąd. Absolutnie nie.

Zamilkł.

– Jak duże są szanse – odezwał się wreszcie – żeby wpaść właśnie na ciebie?

– Wcale nie takie małe. Bergen to miejscina, niedługo sam się o tym przekonasz. Ale możesz pozdrowić ode mnie Jonego i powiedzieć mu, żeby nie przesadzał. Wszystko było w normie. Rzeczywiście, czytałem książki, ale wcale nie walały się wszędzie. Może tak to wyglądało w oczach Jonego. Nie jest człowiekiem, któremu bliska jest literatura.

– Ale to prawda, że mieliście szczury?

– Owszem.

Roześmiałem się. Jaki mój obraz namalował Jone? Wyobraziłem go sobie w sklepie płytowym, otoczonego wianuszkami licealistów. „W Bergen, chłopaki, tam to się dopiero dzieje!”

A przecież ja nawet dużo nie czytałem. Przeleciałem trochę książek, ale nie zagłębiając się w nie, tak jak na przykład Espen. Na perkusji prawie nie umiałem grać, no a szczury... Rzeczywiście, były dwa, ten jeden złapany w pułapkę i drugi, który zżarł trutkę, utknął w ścianie przy schodach i tam gnił.

– Gracie jeszcze? – spytał Tore.

Pokręciłem głową.

– A ty?

– Nie. W każdym razie nie tutaj.

Siedzieliśmy razem dwie godziny. Okazało się, że lubimy mniej więcej tę samą muzykę, brytyjski pop i indie, z tym wyjątkiem, że on miał ostrzejszy i bardziej kateryczny gust niż ja. Jego ulubionym zespołem byli Kinki. XTC zajmował mocną drugą pozycję. O Smithsach też mówił długo, podobnie o Japan, R.E.M., Stone Roses, Depeche Mode, Costellu, Blur. Za każdym razem, gdy wymieniałem nazwę zespołu, o którym nie słyżałem, widziałem, jak się koncentruje, żeby go zapamiętać. Boo Radleys, powiedziałem, ich musisz koniecznie sprawdzić. I The Aller Værste!, naprawdę nie masz o nich żadnego zdania? To przecież wielka norweska grupa!

Potem rozmawialiśmy o literaturze. Był na bieżąco z nowościami. Ze wszystkimi powieściami, ze wszystkimi tomikami poezji.

– Słyszałeś o Espenie Stuelandzie? – spytałem po chwili.

– *Sakte dans ut av brennende hus?* – spytał Tore.

– To mój najlepszy przyjaciel.

– Serio? Przecież to jest świetne! Jeden z najlepszych debiutanckich zbiorów wierszy od dłuższego czasu! Naprawdę go znasz?

– Tak. Studiowaliśmy razem na pierwszym roku. Potem przez dwa lata mieszkał pode mną.

– Jaki on jest? To cudowne dziecko, tak?

– Prawie. W każdym razie jest niezwykle zaangażowany w literaturę. I ma niesamowite zrozumienie wszystkiego, co czyta.

Tore kilka sekund patrzył w przestrzeń przed sobą i śmiejąc się cicho, powtarzał: „tak, tak”. Nagle gwałtownie się wyprostował.

– A Runego Christiansena czytałeś?

– Słyszałem o nim, ale nic nie czytałem.

– Wobec tego przyniosę ci jego ostatni zbiór. A Øyvinda Berga?

– O tyle, o ile. *Totschweigetaktiken* i *Et foranskutt lyn*. Ale marny ze mnie czytelnik poezji, od razu się przyznam. Espen jest zresztą fanem Berga. I Ulvena, rzecz jasna.

– Cholera, ten to jest dopiero znakomity!

Obaj niemal ze łzami w oczach mówiliśmy o wybitnym talencie Tora Ulvena. Tore zachwycał się również Janem Kjærstadem i powieścią *Kniven på*

strupen Kjartana Fløgstada, ale w przeciwieństwie do mnie nie lubił jego pozostałej twórczości. Domyślałem się, że ma to związek z akademickością. Spośród norweskich poetów najwyżej cenił Eldrid Lunden.

– Nie czytałeś Lunden? No to musisz, do jasnej cholery, Karl Ove! To ważne! *Mammy, blue* to najlepszy norweski zbiór poezji, jaki się kiedykolwiek ukazał. Oczywiście po Obstfelderze. Obstfelder, Lunden, Ulven. Przyniosę ci go. I *Det omvendt avhengige*, też Lunden. M u s i s z to przeczytać!

Następnego dnia, kiedy po obiedzie wróciłem ze stołówki, na swoim biurku zastałem stosik tomików wierszy. A na nich kartkę:

*Karl Ove,
coś do przeczytania,
od Twojego przyjaciela Torego*

Od mojego przyjaciela?

Wziąłem książki do domu i przejrzałem je, jak miałem w zwyczaju, żeby mieć o nich jakieś pojęcie, kiedy Tore będzie o nich mówił, zawsze tak robiłem z Espenem. Tore zjawił się już następnego dnia. Poszliśmy na kawę do bufetu, chciał wiedzieć, co wyniosłem z tych tomików, szczególnie z *Mammy, blue*, który, jak się zorientowałem, był dla niego bardzo ważny. Chciał, aby stał się ważny również dla mnie.

Ileż on miał energii.

Akurat w tej chwili skoncentrował ją na mnie i nawet mi się to dość spodobało, bo w jakiś sposób mi schlebiało, w tym zaangażowaniu zawierał się bowiem element podziwu dla mnie. Byłem od niego o cztery lata starszy, ukończyłem Akademię Sztuki Pisania, moje opowiadanie wydrukowano w „Vinduet” i wkrótce miałem zacząć recenzowanie książek dla tego właśnie czasopiśma. Wyklúło się to zaledwie kilka tygodni wcześniej, przeprowadzałem wywiad z Merete Morken Andersen ze „Studvest”, która miała zostać redaktorką naczelną „Vinduet”, a że studiowała na Uniwersytecie w Bergen, była osobą, z którą bezwzględnie należało przeprowadzić wywiad. Spotkałem się z nią w budynku Wydziału Nauk Humanistycznych, rozmawialiśmy godzinę, a kiedy

po ostatnim pytaniu wyłączyłem magnetofon, powiedziała, że kiedy podejmie pracę jako naczelna, ma zamiar ściągnąć do magazynu nowe nazwiska, bo owszem, łatwo jest sięgać po stare, ale ona planuje naprawdę odnowić czasopiśmo, i spytała, czy nie chciałbym dla niej pisać.

Kiedy patrzyłem oczami Torego, rozumiałem, jak to może wyglądać. Ale mogło tak wyglądać jedynie kilka tygodni, bo tyle czasu zajmie mu poznanie mnie naprawdę i zrozumienie, jak się sprawy mają w rzeczywistości. Że jestem *wannabe*, który właściwie w ogóle nie umie pisać, ponieważ nie ma nic do przekazania, lecz nie stać go na taką szczerłość wobec siebie i poniesienie konsekwencji, dlatego za wszelką cenę usiłuje wcisnąć się w świat literatury. Nie jako ktoś, kto sam tworzy, kto pisze i jest wydawany, tylko jako pasożyt, ktoś, kto powtarza po innych, człowiek wtórny.

Byłem wtórny i dlatego z przykrością przyjmowałem zainteresowanie Torego swoją osobą. Ale co miałem robić? Powiedzieć: nie, trzymaj się ode mnie z daleka, jesteś w błędzie?

Tore dalej od czasu do czasu zaglądał do radia, chodziliśmy do bufetu pogadać, niekiedy się przyłączał, gdy całą grupą wybieraliśmy się gdzieś na miasto po programie, albo w piątki, kiedy chętni zbierali się w przestrzeni biurowej, po czym szli na piwo lub na jedną z wielu prywatek urządzanych przez współpracowników radia. Ale jego serce nie biło dla tego medium, rozumiałem to od razu, a poza tym nie obchodziło go, co się dzieje w tym środowisku, nie dawał się wciągnąć w żadne intrygi, nie miał pojęcia o osobistych animozjach, nie interesowało go, kto z kim sypia, kogo z kim widziano i kto kogo rzucił, o praktycznych stronach produkcji radiowej zaś nie miał zielonego pojęcia ani też ochoty, by się tego nauczyć. Prowadził swoje cotygodniowe programy i robił to dobrze, na przykład wywiad z Jonem Fossem, którym wypełnił całą audycję, pisał też recenzje teatralne i książkowe, ale na tym się kończyło. Należał do tego rodzaju współpracowników, którzy przychodzili do Radia Studenckiego, aby zdobyć doświadczenie, zanim pójdą dalej. Inni potrafili utknąć tu na lata, radio stawało się dla nich czymś w rodzaju klubu, w którym spędza się wolny czas, gdzie się przesiaduje, a pod wieczór zawsze znajduje kogoś, z kim można się napić. Wśród nich było wielu nerdów i przegranych, którzy, gdyby nie radio, nie mieliby żadnego kręgu znajomych, tylko siedzieliby zamknięci w swoich pokojach, razem z kumplem, również nerdem i również przegrany. Ich obecność sprawiała, że radio było o wiele sympatyczniejszym miejscem

niż na przykład „Studvest”, gdzie wszystkim zależało wyłącznie na zdobyciu praktyki i robieniu dalszej kariery, choć jednocześnie budziła we mnie niepokój, bo przecież byłem tak samo uzależniony od radiowego towarzystwa jak oni, miałem tak samo mało innego życia i w rzeczywistości bardzo ich przypominałem, tak o sobie myślałem w najczarniejszych chwilach. Ale tego rodzaju ludzi było w radiu coraz mniej, pracowało w nim też mnóstwo fajnych osób, zwłaszcza w redakcji kultury, na przykład naczelna tego działu, Mathilde, bystra, obdarzona ciętym językiem, bezczelna i pociągająca dziewczyna z północy, albo śmieszka Therese z Arendal, czy też Eirik, wysoki, gruby bergeńczyk, równie bystry, jak gadatliwy, albo Ingrid z Trøndelag, która niewiele się odzywała, a którą obaj z Torem, bo on również zwrócił na nią uwagę, przeżywalismy Garbo. Któregoś wieczoru zostałem jeszcze popracować w studiu po audycji, Ingrid sprzątała, a kiedy przyszła do pokoju, w którym siedziałem, dodałem kilka słów do programu głosowego w naszym komputerze i jedno kliknięcie później odczytał je martwy maszynowy głos:

„Ingrid nie żyje.

Ingrid nie żyje”.

Ingrid zdrętwiała i spojrzała na mnie pociemniałymi, przerażonymi oczyma.

„Ingrid nie żyje”.

W półmroku pomieszczenia, w którym znajdowaliśmy się tylko we dwoje, zabrzmiało to strasznie. Ten głos wydobywał się jakby z grobu.

– Wyłącz to – powiedziała. – To w ogóle nie jest zabawne. Ani trochę.

Śmiałem się. Właśnie że było zabawne. Ale ona się wystraszyła nie na żarty, więc ją przeprosiłem. Wyszła, zostałem sam. Nie miałem ochoty wracać do domu, więc przeniosłem się do biura i do trzeciej grałem w *Wolfensteina*, dopiero wtedy poszedłem na Nygårdsgaten, otworzyłem kluczem drzwi i położyłem się obok Gunvor, która się nie obudziła, ale objęła mnie przez sen, mamrocząc coś niezrozumiałego.

Wieczorem następnego dnia wybrałem się na kolację do Torego. Specjalnie zajrzał do radia, żeby mnie zaprosić, a ja przyjąłem zaproszenie, bardzo się z niego ciesząc, bo przecież z tego, co wiedziałem, Tore miał w Bergen całą gromadę kumpli, więc nie było rzeczą oczywistą, że zechcą mnie widzieć na imprezie w swoim gronie. Po pracy kupiłem butelkę wina, przespałem się godzinę, wziąłem prysznic i ruszyłem przez miasto w stronę Sandviken. Tore

mieszkał w domu na samym szczycie wzgórza. Dotarwszy tam, odwróciłem się i spojrzałem na miasto, które lśniło i migotało w morzu ciemności między górami.

Mieszkanie znajdowało się na piętrze, drzwi na dole zastałem otwarte, więc ruszyłem na górę po schodach, na których było tak zimno, że w ostro oświetlonym wąskim korytarzu, cuchnącym pleśnią, widziałem własny oddech. Na kawałku kartki nad dzwonkiem był napis: „Renberg/Halvorsen”, Tore chyba właśnie tak miał na nazwisko, Renberg?

Nacisnąłem dzwonek.

Otworzył mi, uśmiechnięty.

– Wejdz, Karl Ove!

Zdjąłem buty, powiesiłem kurtkę i wszedłem, jak się okazało, do salonu. Był zupełnie pusty. A nie licząc blasku trzech świec zapalonych na stole – również całkiem ciemny.

– Pierwszy przyszedłem? – spytałem.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się Tore. – Nikogo więcej nie będzie.

– Naprawdę? – Rozejrzałem się, zaniepokojony. Stół był nakryty obrusem, na którym stały dwa talerze i dwa kieliszki do wina, połyskujące w świetle chybotałymi płomieni.

Tore dalej się do mnie uśmiechał.

Miał na sobie czarną koszulę i czarne spodnie.

Czyżby był gejem?

Czy właśnie o to chodziło?

– Jedzenie jest już gotowe – powiedział. – Jeśli chcesz, możemy od razu siadać do stołu.

Kiwnąłem głową.

– Przyniosłem czerwone wino. – Wręczyłem mu je. – Proszę.

– Masz jakieś życzenia co do muzyki? – spytał.

Pokręciłem głową, rozglądając się dyskretnie w poszukiwaniu kolejnych śladów.

– David Sylvian, pasuje? *Secrets of the Beehive*?

– Tak, to jest niezłe. – Podeszedłem do ściany. Wisiał na niej duży plakat

XTC, oprawiony w ramy.

– Widzisz, że jest podpisany? – Stał tuż za mną. – Któregoś lata pojechałem do Swindon i zadzwoniłem do drzwi domu Andy’ego Partridge’a. Otworzył mi, a ja powiedziałem: „Cześć, przyjechałem z Norwegii, mógłbyś mi się podpisać w paru miejscach?”. – Roześmiał się. – Powiedział, że już od lat żaden fan go nie odwiedził. Wydaje mi się, że sprawiłem mu przyjemność.

– A to kto? – spytałem, wskazując zdjęcie ślicznej blondynki.

– To? To jest Inger, moja dziewczyna.

Ulżyło mi tak, że aż się roześmiałem.

– Nieładna? – zdziwił się.

– Bardzo ładna. Gdzie jest teraz?

– Wyszła z koleżankami. Musiałem przecież posprzątać, skoro miałeś mnie odwiedzić. No, siadamy do jedzenia.

Gadaliśmy do późnego wieczora, trochę jakby pokazywaliśmy sobie nawzajem swoje życie, tak jak na ogół się robi, kiedy się kogoś poznaje. Ustaliliśmy, że przygotujemy wspólnie serię programów o dziesięciu najlepszych albumach popowych, jakie kiedykolwiek zostały wydane, każdy poświęcony jednej płycie, cała seria będzie nosiła tytuł Karuzela Popu, w najlepszym duchu lat sześćdziesiątych, a dodatkowo spróbujemy określić dziesięć zasad dobrego popu. Umówiliśmy się też, że założymy zespół. Tore będzie śpiewać i pisać piosenki, zresztą już miał ich sporo, ja zagram na perkusji, namówimy także Yngvego z gitarą, a wtedy będzie nam brakowało tylko basisty.

Tore cały czas krążył między krzesłem a gramofonem, puszczał coraz to nowe single ulubionych zespołów, ponieważ chciał, żebym ja też je usłyszał, zwracał moją uwagę na konkretne szczegóły, na przykład na sposób frazowania linii melodycznej albo na jakąś wyjątkowo dobrą linijkę tekstu. Ależ to jest świetne, mówił. Cholera, posłuchaj, prawda, że fantastyczne? Tu, w tym miejscu, słyszałeś?

Opowiedział mi, że pod nimi mieszka szaleniec, który rano sterczy w oknie i gapi się na nich, jak idą, a nocami wyje i ryczy. Opowiedział mi, że chodził z Inger do liceum i strasznie go wtedy irytowała, bo należała do świętoszek z organizacji ekologicznej Natur og Ungdom, ale później na zabój się w niej zakochał. Opowiedział mi też, że ma starszego brata, że jego rodzice się rozwiedli, że matka jest fantastyczną osobą, a babcię wręcz uwielbia, natomiast

jego ojciec, nauczyciel, jest alkoholikiem i zszedł na złą drogę. Powiedziałem mu na to, że moi rodzice też się rozwiedli, a mój ojciec też jest nauczycielem i alkoholikiem. Długo o nich rozmawialiśmy. Poczuję się tak, jakbyśmy byli braćmi, miałem w sobie dla niego mnóstwo czułości.

Nagle wstał, wyszedł do sypialni i przyniósł stamtąd maszynopis.

– Proszę – powiedział. – To moja powieść. Wczoraj skończyłem. Może byś przeczytał, zanim ją wyślę?

– Z wielką chęcią.

Rzuciłem okiem na stronę tytułową.

Sześcian Dzięka

Powieść

Tore Renberg

Nagle otworzyły się drzwi i do mieszkania weszła dziewczyna ze zdjęcia. Policzki miała zarumienione od mrozu, a może od wspinaczki po stromym zboczcu.

– Cześć – powitała mnie.

– Cześć.

Podeszła do mnie z wyciągniętą ręką, a potem usiadła w fotelu obok Torego i podwinęła nogi.

– Nareszcie mogę poznać słynnego Karla Ovego – powiedziała. – Ale ty jesteś wysoki!

– To my jesteśmy niscy – zaproponował Tore. – Oboje należymy do rodziny karłów.

Roześmiali się.

– No, głodna jestem – stwierdziła. – Zostało coś do jedzenia?

– Tak, weź sobie z kuchni – odparł Tore.

Poszła tam.

– Która właściwie godzina? – spytałem.

– Wpół do pierwszej.

– Wobec tego chyba pora się zbierać. – Podniosłem się. – Dziękuję za wszystko.

– Nie ma za co. – Tore odprowadził mnie na korytarz. – Jak myślisz, ile czasu zajmie ci czytanie?

– Przeczytam w weekend. Zajrzyj w poniedziałek, to pogadamy.

– Świetnie.

Przyszła Inger, pożegnałem się z nimi, zamknąłem za sobą drzwi i ruszyłem do miasta.

Jego powieść, prawie całkowicie pozbawiona akcji, nie miała żadnej intrygi, wszystko skupiało się wokół głównego bohatera, który nazywał się Dzięk, i monotonnego samotnego życia, jakie wiódł w mieszkaniu. Nie była zła, ale pozostawała pod tak wyraźnym wpływem Becketta, że wyglądało to wręcz na brak samodzielności. Nie miała żadnego związku z Torem, nie przeniknęło w nią nic z jego aury i temperamentu. Kiedy się spotkaliśmy, żeby porozmawiać o książce, nie powiedziałem mu tego wprost, nie chciałem go urazić ani zranić, ale coś takiego delikatnie zasugerowałem i okazało się, że jemu również nie jest obca taka ocena. Ale i tak wysłał ją bez wprowadzania jakichkolwiek zmian i w odpowiedzi otrzymał pozytywną opinię konsultanta.

W „Vinduet” ukazała się moja pierwsza recenzja książki, niedługo po tym skontaktowali się ze mną z tygodnika „Morgenbladet” z pytaniem, czy nie mógłbym recenzować dla nich. Zgodziłem się. Nie uznałem tego za zdarzenie wyłącznie pozytywne, wszystko bowiem wskazywało na to, że mam przed sobą drogę krytyka, a nie pisarza, więc właściwie lepiej by było zająć się czymkolwiek innym, bo jako recenzent za każdym razem, pisząc coś, musiałem spoglądać w oczy swojej kłęsce. Potrafiłem pisać o literaturze, dostrzec, czy jest dobra, czy zła i pod jakimi względami, ale nie umiałem wyrwać się ponad to. Czuję się tak, jakby od literatury oddzielała mnie szklana ściana: widziałem ją, ale byłem z nią rozłączony.

Parę razy do radia zajrzał Kjartan, proponował wspólne wyjście na kawę. Miał w ruchach niesamowitą powolność, jakby ledwie był zdolny posuwać się naprzód, aż inne osoby obecne w redakcji pytały później, kto to, na miłość boską, do mnie przyszedł. Wszyscy tutaj byli młodzi, może z wyjątkiem dozor-

ców, więc widok siwego mężczyzny o rozwichrzonych włosach, który poruszał się tak wolno, należał rzeczywiście do niezwykłych. Kjartan przygotowywał się do majowego egzaminu, ale twierdził, że nie ma już siły się uczyć, zastanawiał się, czy nie zrezygnować. Powiedziałem, że nie wolno mu tego zrobić, że musi wytrzymać, a nawet jeśli nie będzie się uczył, to umie już tyle, że na pewno zda. Dodałem, że egzamin to ważna rzecz, więc jeśli do niego nie przystąpi, cały rok pójdzie na marne. Spojrzał na mnie i nie bez wahania przyznał mi rację. Spytał, czy któregoś popołudnia nie odwiedziłbym go w mieszkaniu, bo ma kilka nowych wierszy, które mógłbym przeczytać, gdybym zechciał. Chciałem, oczywiście, więc w sobotę wybraliśmy się tam oboje z Gunvor. Chociaż mieszkał niedaleko mnie, nigdy wcześniej u niego nie byłem. Mieszkanie znajdowało się na parterze, ale miało w sobie coś z piwnicy. Zasłony były zaciągnięte, kawę piliśmy w półmroku, Gunvor starała się podtrzymać rozmowę, a ja widziałem, jak bardzo Kjartan ją lubi i jak się przy niej rozluźnia, chociaż i tak nie do końca, stale wyczuwało się w nim jakiś ciężar. Po wyjściu od niego pomyślałem, że siła grawitacji oddziałuje na niego bardziej niż na innych ludzi, że ziemia mocniej przyciąga go do siebie i stąd biorą się te powolne ruchy, musi odrywać nogę od ziemi, z wysiłkiem dźwigać w górę rękę z filiżanką. Akurat on, który tyle pisał o powietrzu i niebie, o świetle i słońcach, on, który żył w pozbawionym ciężaru królestwie ducha.

Kilka tygodni później znów trafił do szpitala.

Pod koniec kwietnia wyjechałem z Espenem do Pragi. Zebrał dobre recenzje za debiut i dołączył do redakcji „Vaganta” w Oslo. Dyskutował o literaturze z Henningiem Hagerupem i Bjørnem Aagenæsem, z Arvem Kleivą i Pålsem Nordheimem, po spotkaniach szedł z nimi na piwo, poznał też wielu pisarzy, wśród nich autora opowiadań Jonny’ego Berga i poetę Runego Christiansena. Wprawdzie Espen był Espenem, znałem go od ponad trzech lat, ale podczas całego tego wyjazdu nie mogłem sobie poradzić ze swoim kompleksem niższości w stosunku do niego. On był pisarzem, ja nie. Jeśli spojrział w lewo, to i ja spoglądałem w lewo, żeby sprawdzić, co go tak zainteresowało. Do tego stopnia zachowywałem się jak pies, że o mały włos nie zniszczyłem naszej przyjaźni. W Berlinie mieliśmy kilka godzin do odejścia pociągu, Espen kupił gazetę i wyczytał z niej, że w ambasadzie Rumunii organizowane jest spotkanie z pewnym rumuńskim poetą, którego wiersze właśnie przetłumaczono na nie-

miecki. Chociaż nie znałem niemieckiego, więc słuchanie wierszy w tym języku nie miało dla mnie żadnego sensu, nawet nie zasugerowałem, żebyśmy wymyślili coś innego, bo nie chciałem stawać na drodze jego potrzebie obcowania z poezją.

Znaleźliśmy ambasadę i weszliśmy do środka. Kelnerzy w białych rękawiczkach roznosili na tacach aperitify wśród ubranych w garnitury mężczyzn i wystrojonych kobiet. Espen i ja, niezbyt przyjemnie pachnący po nocy spędzonej w pociągu i całym dniu na ulicy, ubrani, łagodnie mówiąc, mało elegancko, ściągaliśmy na siebie uwagę. Ludzie nam się przyglądali, a ja powtarzałem sobie w duchu: dzięki Bogu, że przynajmniej Espen jest poetą, więc możemy o tym powiedzieć, kiedy nas spytają, co tu robimy. Poeta z Norwegii, to tłumaczyło zarówno strój, jak i odrażającą woń.

Stanęliśmy na środku, nie odzywając się do siebie.

– Przynajmniej się zorientuję, jak to brzmi – powiedziałem w końcu. – Uchwycę ton, brzmienie i rytm.

– To prawda – przyznał Espen.

Drzwi się otworzyły i mogliśmy wejść do dużej sali wypełnionej krzesłami, na której końcu znajdowało się podium; stał na nim stół z trzema mikrofonami.

Espen ruszył do pierwszego rzędu, ja za nim. Usiedliśmy pośrodku, na najlepszych miejscach. Publiczności było niewiele, najwyżej dwadzieścia osób. Dwaj mężczyźni i kobieta zajęli miejsca przy stole z mikrofonami. Kobieta dość długo mówiła, publika chichotała, nie rozumiałem z tego ani słowa. Potem jeden z mężczyzn, jak przypuszczałem, poeta, zaczął czytać, natomiast ten drugi siedział z rękami założonymi na piersiach i słuchał z półprzymkniętymi oczami.

Poeta zajrzał do książki leżącej na stole, a potem popatrzył wprost na mnie. Później przyglądał mi się już cały czas. Musiałem więc kiwać głową, jakbym odnosił wielką korzyść z tego, co czytał, a chwilami nawet się uśmiechać. Nie miałem pojęcia, dlaczego upatrzył sobie akurat mnie, możliwe, że ze względu na zajmowane przeze mnie centralne miejsce, a może dlatego, że wyglądałem, podobnie jak Espen, inaczej niż pozostali goście.

Ku swemu przerażeniu usłyszałem nagłe, że Espen chrapie. Zerknąłem na niego. Siedział z rękami założonymi na piersiach, z głową lekko przechyloną w bok i z zamkniętymi oczami. Pierś regularnie unosiła mu się i opadała.

Dyskretnie go szturchnąłem; wyprostował się, przestraszony.

Czytający wiersze patrzył na mnie, z ust spływały mu kolejne niemieckie słowa.

Z uśmiechem pokiwałem głową.

Espen znów zasnął.

Jeszcze raz go szturchnąłem. Tym razem się nie poruszył, tylko otworzył oczy, zamrugał i z powrotem zapadł w sen.

Cała odpowiedzialność spoczywała zatem na mnie. Skoro Espen spał, musiałem przejawiać po dwakroć większe zainteresowanie. Szeroko otwierałem oczy, w zamyśleniu przenosiłem wzrok na sufit, mrużyłem oczy, o, to było interesujące, kiwałem głową i z uznaniem patrzyłem na czytającego.

A wszystko to przy wtórze niezrozumiałych słów i dźwięków.

Poeta nareszcie skończył. Prowadząca podziękowała mu, jak się zorientowałem, i zanim wszyscy wstali, dodała coś jeszcze. Spojrzałem na Espena, bo wreszcie się obudził.

– Co ona powiedziała? – spytałem.

– Że przerwa. Ale my już chyba pójdziemy, co?

– Pewnie.

Wstałem i szybko ruszyłem do wyjścia, bo poeta miał taką minę, jakby liczył na pogawędkę. Jeszcze skinąłem mu głową na pożegnanie. Za drzwiami już czekali kelnerzy ze swoimi tacami, prawie na nich wpadliśmy, wreszcie się stamtąd wydostając.

Straciłem wszelkie wyczucie proporcji, tak właśnie się stało, bo moja uległość jeszcze się nasiliła po naszym przyjeździe do Pragi, kiedy chodziliśmy po jej ślicznych średniowiecznych uliczkach. Nie widzieliśmy tego samego, nawet się nie rozglądaliśmy za tym samym, ja byłem tylko zwyczajnym, głupim chłopakiem, który niczego nie zauważa i którego nic nie interesuje. Espen chciał zwiedzić cmentarz żydowski, ja nie wiedziałem nawet, że taki cmentarz istnieje. Poszliśmy tam, pochodziliśmy między grobami, Espen spytał mnie później, czy widziałem te wszystkie karteczki pozostawione na nagrobkach, pokręciłem głową. Niczego takiego nie zauważyłem. Jak mogłeś tego nie zauważyć? – zdumiał się. Chciał zobaczyć jakieś domy zaprojektowane przez znanych architektów w latach dwudziestych naszego wieku, poszliśmy tam i znów widziałem tylko domy. Weszliśmy do jakiegoś kościoła, Espen patrzył

w lewo, więc i ja patrzyłem w lewo, Espen patrzył w prawo, to i ja patrzyłem w prawo. Usiadł na ławce i spuścił głowę. Dlaczego spuścił głowę, pomyślałem spanikowany. Medytuje? Dlaczego medytuje? Czy to przez panujący tu nastrój? Czuje atmosferę świętości? Czy ten kościół jest jakiś szczególny? A może przychodził tu Kafka? Nie, Kafka był przecież Żydem. Musi jednak chodzić o atmosferę. O świętość. O jakiś egzystencjalny punkt mocy, znajdujący się właśnie tutaj.

Po jakimś czasie Espen wstał i wyszliśmy. Spytałem go możliwie najbardziej obojętnym tonem o to, co robił w środku.

– Medytowałeś?

– Nie, przysnąłem. Chyba za mało ostatnio spaliśmy.

Po powrocie do Norwegii na dwa dni zatrzymałem się u niego w Oslo, oba wieczory spędziliśmy na mieście, tego drugiego zajrzeliśmy do klubu Barbeint, poznałem tam dziewczynę i poszedłem do niej do domu, przespaliśmy się ze sobą, było to wyłącznie smutne doświadczenie, szybko mi poszło, w ogóle nie zabawiłem tam dłużej niż pół godziny. Dzień później nie pamiętałem nawet, jak miała na imię ani jak wyglądała, wiedziałem tylko, że na jej nocnym stoliku leżał tomik wierszy Øyvinda Berga. Następnego dnia po południu, siedząc w pociągu, zdecydowałem, że zrywam z Gunvor. Dłużej tak się nie dało. W ogóle nic już się nie dało. Zadzwoiłem do niej z budki na dworcu i oświadczyłem, że zrobiłem coś, czego nie powinienem był zrobić, więc musimy porozmawiać. Poszedłem do niej. Na szczęście nikogo więcej tam nie było. Gunvor przyniosła herbatę i usiedliśmy w pokoju. Rozpłakałem się, mówiąc, że wyrosliśmy z siebie, że to, co nas łączyło, należy do przeszłości, a nie do przyszłości. Ona też płakała, bo w naszym życiu kończyło się coś, co trwało cztery lata. Potem zaczęliśmy się śmiać. Pierwszy raz od bardzo dawna byliśmy wobec siebie otwarci i gadaliśmy kilka godzin. Miałem wyrzuty sumienia, że się rozpłakałem, ponieważ właściwie ten koniec przyniósł mi ulgę, więc moje łzy były fałszywe. A jednocześnie wcale takie nie były, bo cała ta sytuacja i nasza bliskość nie miały w sobie żadnego fałszu i właśnie z tego powodu płakałem. Gunvor nie wiedziała o tej różnicy, nie wiedziała, że te łzy coś zasłaniają, więc musiała odebrać mój płacz jako przejaw żalu za tym, co minęło.

W środku nocy zacząłem szykować się do wyjścia. Objęliśmy się, długo się

ściskaliśmy w przedpokoju, w końcu, oślepiiony łzami, ruszyłem w dół po schodach. Zdradziłem ją, ale teraz gdy ze sobą zerwaliśmy, łatwiej mi było dźwigać poczucie winy, bo dotyczyło już tylko mnie.

W lecie Radio Studenckie jak zwykle zamknięto, w mieście prawie nie było studentów, a Yngve wyjechał do Arendal, więc ciągle byłem sam, czas spędzałem albo w pustej redakcji, albo w domu, usiłowałem pisać, ale nic mi z tego nie wychodziło, trzystronicowe opowiadanie zatytułowane *Zoom* o mężczyźnie, który spotyka kobietę, ona idzie z nim do domu, on ją fotografuje w coraz bardziej wyuzdanych pozach, no i tyle, ona wraca do domu, a on słucha, jak jej kroki cichną na ulicy za oknem. Nic więcej, taki wymysł, głupotka. Pokazałem opowiadanie Toremu, kiedy wrócił do miasta, stwierdził, że jest dobre, że mam fajnego bohatera, ale powinienem go jakoś rozwinąć, może posunąłby się dalej? Ale nie umiałem tego zrobić, już i tak wysiliłem się do ostateczności, bardziej nie potrafiłem. Każde zdanie starannie skomponowałem, co oznaczało, że liczyło się każde słowo, lecz jedynie w obrębie wewnętrznego systemu opowiadania, natomiast dla tego, kto je czytał, w tym wypadku dla Torego, nie miało żadnego znaczenia, czy napisałem „chroboczące palce, podobne do szponów”, czy „skrobanie palców przypominających ptasie pazury”, czy też jakąś inną frazę, którą tak pieczołowicie wypracowałem.

Jesienią w całostronicowej recenzji w „Morgenbladet” skrytykowałem powieść Stiga Sæterbakkena *Det nye testamentet*, nie spodobały mi się te różne style i pastisze, kiedy główny bohater siedzi w fotelu na imprezie i w duchu wyklina wszystkich obecnych, tak bardzo przypominało to prozę Thomasa Bernharda, że według mnie niczego nie wносиło. To była wielka powieść, dużo lat minęło od czasu, kiedy tak młody pisarz odważył się skoczyć na równie głęboką wodę, ale, niestety, nie wytrzymała próby. Pisałem recenzję całą noc, siedząc w redakcji radia, a kiedy rano przyszedł Tore, przeczytałem mu ją. Napisałem, że ta powieść jest jak wielki fiut, imponujący na pierwszy rzut oka, ale zbyt duży, aby krew zdołała go unieść i uczynić zdatnym do użytku, więc zeszytniał tylko w połowie. Kiedy to czytałem, Tore o mało nie pękł ze śmiechu.

– Chcesz to napisać w „Morgenbladet”? Cha, cha, cha. Nie możesz, Karl Ove! To niemożliwe!

– Ale porównanie jest trafne, właśnie taka jest ta powieść. Wielka i ambit-

na, owszem, ale zbyt wielka i zbyt ambitna.

– Wiem, wiem. Może rzeczywiście jest jak fiut, cha, cha, cha, ale to wcale nie znaczy, że możesz tak napisać, idioto!

– Mam to wykreślić?

– Musisz.

– Ale to przecież idealne porównanie.

– Daj spokój, skreślaj i idziemy na kawę.

Kilka tygodni później zadzwonił Alf van der Hagen z NRK P2, drugiego programu publicznego radia, i spytał, czy nie zrecenzowałbym pierwszego tomu powieści Tomasza Manna *Józef i jego bracia* dla programu literackiego „Kritikertorget”. Ogromnie mi to pochlebiło, jasne, że się zgodziłem. Pojechałem autobusem do dzielnicy Minde, gdzie znajdowała się siedziba NRK, radia i telewizji. Oczekiwano mnie tam, liczyło się już samo to, że zostałem zapisany w księdze w recepcji: Knausgård, godzina 13, „Kritikertorget”, studio 3. „Kritikertorget” był niewątpliwie najważniejszym programem dotyczącym literatury, wszyscy dobrzy krytycy recenzowali tam książki, zarówno Hagerup, jak i Linneberg, a teraz te drzwi uchyliły się przede mną. Zadzwoń znowu, stanę się głosem, który będzie rozbrzmiewać w każde sobotnie popołudnie, z moim nazwiskiem zaczną się liczyć. Knausgård mówi przecież, że ta twórczość jest przeceniana, zgodzisz się z tym? Knausgård uważa twoją powieść za jedno z najważniejszych wydarzeń literackiej jesieni, co ty na to? Oczywiście, że mi to pochlebia, facet wie, co mówi.

Jakaś kobieta poprowadziła mnie korytarzami, mineliśmy redakcję, pracującą w otwartej przestrzeni biurowej, świeciły ekrany komputerów, szumiały głosy, weszliśmy do studia, większego i ładniejszego, jakby bardziej otwarte niż nasze, tam włożyłem słuchawki i mogłem rozmawiać bezpośrednio z Alfem van der Hagenem. Na sam dźwięk jego nazwiska, takiego melodyjnego, szlacheckiego, ciarki przeszły mi po plecach. Przywitał mnie życzliwie, powiedział, że przygotowany przeze mnie maszynopis jest dobry i wystarczy go przeczytać. Zapowiedział, że będzie mi przerywał i prosił o powtórne przeczytanie, ale właśnie tak to się zazwyczaj odbywa. Siedziałem więc, ja, krytyk radiowy van der Knausgård, nowy głos, krytyk nowego pokolenia, i czytałem swój tekst o Tomaszu Mannie. Akurat czytać w radiu umiałem, od blisko roku robiłem to codziennie, ale van der Hagen nie był zadowolony, musiałem ciągle

zaczynać od nowa, a gdy wreszcie się z tym uporałem, miałem wrażenie, że jego zdaniem nie wyszło zbyt dobrze, ale zakończył nagranie, bo nie mogliśmy próbować w nieskończoność.

Recenzję wyemitowano. Powiadomiłem wszystkich znajomych, żeby słuchali, to była wielka rzecz, chodziło o ogólnokrajową stację, a nie małą lokalną rozgłośnię na południu kraju czy studencką w Bergen. Wszyscy mnie chwaili, ale kolejnego telefonu z NRK się nie doczekałem, nie odezwali się więcej, najwyraźniej nie chcieli mieć już ze mną do czynienia, widać nie sprostalem oczekiwaniom.

Moje nazwisko zostało jednak zauważone, bo zwrócił się do mnie magazyn „Kritikkjournalen” z prośbą o zrecenzowanie powieści japońskiego pisarza o nazwisku Murakami. Opowiadała o kimś, kto ściga pewną specjalną owcę. Zjechałem tę książkę, głównie dlatego, że była taka zachodnia. Skrytykowałem też sporo powieści w „Vinduet”, przeprowadziłem kilka wywiadów dla „Studvest”, pracowałem w Radiu Studenckim, odwiedzałem Rice, Garage, Operę, pub Fotball, piłem piwo z kolegami z radia, czasami wracałem do domu sam, a czasami z jakąś dziewczyną, bo w tej kwestii również coś się odmieniło, już mi nie odmawiały, może dlatego, że przestałem się tak nimi przejmować, jak wtedy gdy nie mogłem wydusić z siebie słowa, tylko patrzyłem na nie z dziką desperacją, a może dlatego, że wcześniej o mnie słyszały. Ale z nikim z radia się nie zaprzyjaźniłem, oprócz Torego, który przeprowadził się razem z Inger do dużego mieszkania w pobliżu uniwersytetu. Często ich odwiedzałem. Włókłem się pod górę z torbą piwa – napijemy się, a potem pójdziemy się przejść? – tak często, że musiałem w końcu ograniczyć swoje wizyty, aby nie zaczęli podejrzewać, że faktycznie nie mam dokąd iść.

Inger uważała, że jest mnie trochę za dużo, czułem to, żartem powiedziała, że Toremu zmieniła się osobowość, odkąd mnie poznał, ciągle by teraz wychodził i pił, i coś w tym było, doszedłem do wniosku, że oni oboje są gdzieś umocowani, mają coś stałego, ja natomiast nic takiego nie mam, i zobaczyłem wtedy siebie ich oczami – wysoki nieudacznik bez przyjaciół, który czepia się Torego, o c z t e r y lata młodszego.

Na mieście, kiedy siedzieliśmy przy stoliku w Garage, gadaliśmy i piliśmy, zapominałem o tym wszystkim, a to, co nas łączyło, miało same plusy. W każdą sobotę przed południem spotykaliśmy się i prowadziliśmy audycję z serii Karuzela Popu. Do tej pory przerobiliśmy Kinksów, Beatlesów, Jam, Smiths,

Blur i Police. Poleciałem Torego „Morgenbladet”, zainteresowali się nim, zaczął dla nich recenzować poezję, a jednocześnie sam pisał, teraz zajmował się krótkimi formami prozatorskimi. Pokazał mi kilka tekstów, były dobre, naprawdę dobre. Nagle zaczął używać własnego języka. Czytałem je przy nim zielony z zazdrości, ale nie dałem nic po sobie poznać, powiedziałem: cholera, Tore, to jest naprawdę ś w i e t n e! Rozpromienił się jak słońeczko, odłożył wydruki na niepokojąco duży stos papierów i przyznał, że powoli zaczyna do czegoś dochodzić.

Po takich seansach jak ten wracałem prosto do domu i siadałem przy komputerze. Zacząłem pisać opowiadanie zatytułowane *Pustka*, o mężczyźnie, który budzi się w parku i nie wie, kim jest. Podrywa go jakiś facet, zwraca się do niego imieniem Sean. Sean, czy to ja? – zastanawia się ten człowiek. Napisałem trzy strony, każde zdanie wyszlifowałem jak diament, a mimo to nie błyszczały. Były jak zdania w jakiejś pieprzonej powieści kryminalnej albo, co gorsza, w szkolnym wypracowaniu. Nie było w nich n i c z osobowości, jaką Tore zdołał nagle wyczarować w swoich tekstach, tego niesłychanego zagęszczenia nastrojów, które mu wychodziło, wcale nie w opisach, nie w przestrzeni, w której rozgrywała się akcja, tylko w j ę z y k u. Innymi słowy, Tore pisał jak poeta. Nie mówiąc już o Espenie, który b y ł poetą. U niego najważniejsze były nie nastroje, tylko gwałtowne językowe przewroty, nagłe ujawnienia, obrazy tak nieoczekiwane, że otwierały nowe konteksty.

Espen był taki, odkąd go poznałem, dlatego jego sukcesy nie budziły we mnie zazdrości, ale z Torem rzecz miała się inaczej, zwłaszcza z powodu tego uwłaczającego faktu, że był ode mnie o cztery lata młodszy. Powinienem być dla niego kimś w rodzaju mentora, starszego, doświadczonego studenta, który delikatnie prowadzi go do obranego celu, kimś w rodzaju starszego brata, tymczasem już po pół roku czułem, że mnie wyprzedził.

W naszych relacjach wszystko się mieszało, niedojrzałość z dojrzałością, doświadczenie z niedoświadczeniem, w jednym momencie byłem świadkiem jego wrażliwości, której nie pokazywał nikomu poza mną, stawała się widoczna tylko wówczas, gdy ktoś się do niego bardziej zbliżył, a w drugim przewyższał niezależnością wszystkich, których znałem. To samo dotyczyło Inger. Oboje niekiedy wydawali mi się wręcz dziećmi i czułem się przy nich jak najstarszy dwudziestoczterolatek na świecie, chwilę później to oni nabijali się ze mnie i z moich reklamówek, byli parą samodzielnych, zdolnych studentów

zmierzających ku szczytowi, ja natomiast zarzuciłem naukę i jedynym osiągnięciem, którym mogłem się poszczycić, był marny dyplom ukończenia studiów na poziomie średnio zaawansowanym.

Raz, kiedy do nich przyszedłem, próbowali usmażyć na obiad wędzoną makrełę.

Kiedy indziej siedziałem na kanapie i wyrwało mi się, że powinienem się niedługo ostrzyc, a wtedy Tore, wiedziony jednym ze swoich gwałtownych impulsów, zaproponował, żeby zajęła się tym Inger, i to od razu. Powiedział, że jego też strzyże, a raczej goli maszynką.

– Hej, Inger, nie mogłabyś ostrzyc Karla Ovego?

Wyszła do nas i stanęła z głową lekko przechyloną na bok, nieco onieśmiewiona.

– Owszem, mogę.

– No to zajmijcie się tym. Będziesz miał to z głowy.

Wahałem się, ale Tore się uparł, więc wstałem i poszedłem z Inger do łazienki. Wystawiła dla mnie stółek, usiadłem, narzuciła mi ręcznik na ramiona i kilka razy przeczesła włosy grzebieniem.

Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze.

Uśmiechnęła się i spuściła wzrok.

– Jak ma być? – spytała.

– Obcinaj wszystko.

– Okej.

Położyła mi rękę na głowie, nasze spojrzenia znów się spotkały. Teraz to ja się zaczerwieniłem.

Powoli zaczęła wodzić warczącą maszynką po mojej głowie od karku do samego czoła. Krążyła wokół mnie, zawadziła o mnie udem, wyciągnęła się, żeby dokończyć ruch maszynki, i jedna jej pierś spoczęła na moim barku. Starła się ukryć zawstydzenie tą sytuacją pod obojętną, profesjonalną miną, ale chwilami rumieniec wypełzał jej na policzki i wyczułem jej ogromną ulgę, kiedy wreszcie skończyła i mogła zdjąć mi ręcznik z ramion.

– Już – powiedziała. – Zadowolony?

– Bardzo. Ogromnie ci dziękuję!

– Powinnam przynieść lusterko, żebyś mógł zobaczyć, jak wyglądasz z tyłu,

ale, niestety, nie mam.

– Karku i tak nie widzę – stwierdziłem, przeciągając ręką po jeżu centymetrowej długości.

Domyślałem się, że zaraz po moim wyjściu Inger nakrzyczy na Torego. Jak mógł ją postawić w takiej trudnej sytuacji? Dlaczego, na miłość boską, miała by strzyc jego kolegów?

W połowie września spotkałem Gunvor – pierwszy raz, odkąd ze sobą zerwaliśmy. Natknęliśmy się na siebie na Nøstet, niedaleko mojego mieszkania, szła do Stoczni, umówiła się tam z kimś w kawiarni, była niedziela przed południem, pogoda fantastyczna.

Spytałem, co u niej słychać, odparła, że wszystko w porządku.

– A u ciebie?

– Też w porządku.

– To dobrze. Pewnie jeszcze na siebie wpadniemy. Trzymaj się.

– Cześć – powiedziałem i ruszyłem ulicą w dół, a ona poszła dalej prosto. Kiedy wszedłem do mieszkania, ciemnego prawie jak grób po takiej ilości światła na zewnątrz, rozplakałem się. Położyłem się do łóżka i próbowałem zasnąć, ale mi się nie udało, źródło snu wyschło, lecz nie było w tym nic dziwnego, bo poprzedniej nocy spałem czternaście godzin. Pozostawało mi więc tylko leżeć i czytać, dopóki zaśnięcie znów nie stanie się możliwe.

Kilka tygodni później Tore i ja zaczęliśmy razem grać. Yngve nareszcie skończył studia na poziomie zaawansowanym, był teraz na zasiłku dla bezrobotnych i szukał pracy; z wielką chęcią się do nas przyłączył. Znaleźliśmy pomieszczenie w starym budynku fabrycznym przeznaczonym do wyburzenia; stały tam zdemolowana perkusja, stary mikrofon z osprzętem i kilka wzmacniaczy gitarowych marki Peavey, podłogi w kącie nie było widać spod sterty śmieci, betonowe ściany popękały i pociemniały od wilgoci. Jesienią wewnątrz robiło się lodowato, ale i tak spotykaliśmy się raz w tygodniu, próbując coś razem stworzyć.

Odwiedzałem Espena w Oslo, starałem się jeździć do niego tak często, jak tylko się dało, bo zarówno podróż pociągiem przez góry – siedziałem na ogół w wagonie restauracyjnym, czytałem albo podziwiałem krajobraz, niesamowi-

cie urokliwy w barwach jesieni – jak i sama wizyta w ogromnym, pięknym mieszkaniu, które miał do dyspozycji, dawały mi energię, mogłem się nią później karmić przez kilka tygodni. Podczas rozmów z Espenem zdarzało mi się mówić rzeczy, o których wcześniej w ogóle nie myślałem, napędzały je sama sytuacja i jego entuzjazm, nagle coś się rodziło, stawało sednem, przestawałem się skupiać na sobie i wychwytywać cudze opinie na swój temat, bo to, o czym rozmawialiśmy, odrywało się od tego wszystkiego, moja osoba znikła aż do czasu zamknięcia się takiej chwili, i znów zwyczajnie siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy stole, który jakby na powrót się ukazywał. Po tych weekendach, nieodmiennie bogatych w treść, bez względu na to, czy wychodziliśmy wieczorem na miasto, czy też Espen zapraszał jeszcze kogoś do domu na kolację, zawsze wiozłem plecak wypchany kupionymi tam książkami i czytałem je w drodze powrotnej przez góry. Raz było to *Wymazywanie. Rozpad* Thomasa Bernharda, wstrząsający, równie zimny, jak przejrzysty tekst, nieustannie krążący wokół tematu śmierci; rodzice i brat głównego bohatera giną w wypadku samochodowym, więc jedzie do domu na ich pogrzeb, przepełniony nienawiścią, tak jak wszyscy bohaterowie Bernharda, lecz w tej książce istniał obiektywizm, którego wcześniej u niego nie dostrzegałem, ukazywały się przyczyny, tak przytłaczające i potężne, że przesłaniały pełne wściekłości i nienawiści monologi, a śmierć, umniejszająca nawet największą nienawiść i wściekłość, wstąpiła w pewnym sensie w głównego bohatera; było to zimne, twarde i bezlitosne, lecz również piękne, a wszystko stworzone w natrętnym, starannym rytmie języka Bernharda, wsączającym się we mnie podczas lektury i tkwiącym w moim wnętrzu, nawet kiedy już odłożyłem książkę i wyjrzałem przez okno, na śnieg, który ledwie zdołał przysypać krzewinki, na dziką rzekę rzucającą się w rozpadlinę; pomyślałem: muszę tak pisać, mogę tak pisać, wystarczy po prostu pisać, to żadna sztuka, i zacząłem formułować w głowie początek powieści w rytmie Bernharda, był naprawdę niezły, pojawiło się następne zdanie, i jeszcze jedno, pociąg znów ruszył z szarpnięciem, a ja wymyślałem kolejne zdania, które jednak gdzieś przepadły, gdy usiadłem po południu przy komputerze. Tamte zdania wymyślone w pociągu były pełne życia i mocy, te, które widziałem na ekranie – martwe i puste.

Któregoś dnia w radiu zjawił się Yngve i spytał, czy nie poszedłbym z nim na kawę do Grillen. Ciągle nie miał pracy i trochę się nudził, był już gotów

podjąć nowe wyzwania, tak jak wielu jego kolegów, ale nic się nie działo, wciąż pobierał zasiłek dla bezrobotnych i mieszkał sam w wynajętym mieszkaniu na Møhlenpris; nie był już studentem, ale nie wszedł też w żadną nową rolę.

Oczywiście zgodziłem się z nim wyjść i ruszyliśmy obok siebie w dół po schodach.

– Kim jest ta dziewczyna, która idzie za nami? – spytał. – Oczekaj chwilę i dopiero się odwróc.

Nie musiałem się odwracać. Zauważyłem dziewczyny, kiedy wychodziliśmy z redakcji.

– To Tonje i Therese.

– A która jest ta z lewej?

– Z lewej tak jak idziemy czy jak się odwrócimy?

– Tak jak idziemy.

– Tonje.

– Jest prześliczna!

– To prawda, Tonje jest niebrzydka.

– Co robi?

– Studiuje medioznawstwo. Pracuje w redakcji społecznej.

Wspinaliśmy się już po schodach naprzeciwko i zaraz weszliśmy do Grillen.

– To pewnie wybierze się na przedświąteczną imprezę medioznawstwa – stwierdził Yngve.

– Ona na pewno. Ale ty raczej nie.

– A właśnie, że tak. Zresztą ty także.

– Ja? A co ja tam będę robił?

– Będziesz grał na perkusji. Mam zagrać kilka kawałków razem z Dagiem i Tine. Brakuje nam perkusisty. Już powiedziałem, że na pewno nie będziesz miał nic przeciwko temu.

– Jasne, że nie. Tylko zrobmy wcześniej jakąś próbę.

– To jedynie sześć utworów. A tak dla informacji: nazywamy się Di Derri-da-da.

– Okej.

Tonje była jedną z dziewczyn, na które zwróciłem uwagę rok wcześniej podczas rozmów kwalifikacyjnych. Twarz miała zarazem otwartą i tajemniczą, poruszała się elegancko, długie włosy na ogół splatała w gruby warkocz, ale czasami także nosiła rozpuszczone. Jej usta jako pierwsze przykuły mój wzrok, były piękne, lecz również jakby leciutko krzywe, spojrzenie mroczne, chociaż nie ponure ani też nie melancholijne, kryło się w nim coś innego, nie wiedziałem co, ale mnie ciekawiło. Zaczęła pracować w redakcji społecznej, do pracy podchodziła poważnie i ambitnie, trzymała się jednak poza kręgami, w których się obracałem, w radiu miała własnych przyjaciół, wyglądało na to, że zaprzyjaźniła się przede wszystkim z Therese, więc powoli przestałem na nią zwracać uwagę. Dni wypełniały mi praca i drobne zauroczenia – jakimś gestem, ładną linią uda, wyjątkowo ciemnymi brwiami, sposobem odwracania głowy. Któregoś wieczoru w Landmark, sali wystawowo-koncertowej w galerii sztuki współczesnej, wdąłem się w rozmowę z dziewczyną o długich jasnych włosach i oczach mocno umalowanych na czarno, wysoką i szczupłą, z dużym biustem; okazała się trochę nieśmiała, więc ją zostawiłem, ale się upiła i wróciła do mnie, zaczęła mnie, poszedłem za nią w stronę Centrum Studenckiego, tam wyrwała mi kolczyk z ucha i zaczęła z nim uciekać, dogoniłem ją, objąłem, pocałowaliśmy się, mieszkała niedaleko, kiedy przyszliśmy do niej, nastawiła Motorpsycho na full, a potem jednym ruchem ręki zwała na podłogę wszystko, co leżało na stole; obserwowałem ją, stojąc pod ścianą, była naprawdę uderzająco piękna, pociągała mnie, ale chciała wyłącznie niszczyć i płakać, więc jedynie trochę się poobściskaliśmy i zaraz powiedziała, że mam sobie iść, chociaż musiałem jej obiecać, że wrócę, następnego dnia o piątej, wtedy znów wszystko będzie dobrze, ale oczywiście nie było, bo kiedy nazajutrz po pracy zadzwoniłem do drzwi, napalony jak ogier, nikt mi nie otworzył, a gdy spotkałem ją kolejny raz, znów pijaną, powiedziała, że była wtedy w domu, ale się bała. Obiecała, że jeśli przyjdę jeszcze raz, to na pewno mnie wpuści. Okej, powiedziałem, ruszyła na parkiet, ja dalej stałem przy barze, a za moment zespół przerwał granie, bo ktoś rzucił piwem w klawisze; widziałem całą tę scenę, to była ona.

Inna od czasu do czasu odwiedzała mnie wieczorami, ale zaczynała się we mnie zakochiwać, więc ostatnim razem jej nie otworzyłem. Były jeszcze dwie,

z którymi trochę kręciłem, jedna bardzo mnie pociągała i całkiem się przed nią otworzyłem, raz poszedłem do niej do domu, ale dobitnie mi wytłumaczyła, że to był wypadek przy pracy, nie jest mną ani trochę zainteresowana, ba, posunęła się nawet do tego, że poprosiła mnie, abym nikomu o niczym nie mówił. Wieczorami ktoś dzwonił do niej do radia, wiedziałem kto i o mało nie oszalałem z zazdrości, chociaż nie miałem do tego żadnych podstaw, przecież nawet jej nie znałem.

Tonje znajdowała się poza tym wszystkim. Czasami zamieniałem z nią kilka słów, jeśli tak się złożyło lub jeśli potrzebowała technika do jakiejś produkcji, lecz nie miałem pojęcia, kim naprawdę jest i czym się zajmuje.

Rzeczywiście była prześliczna, tak jak powiedział Yngve, ale wiedziałem, że to nie jest dziewczyna dla mnie.

W pierwszym tygodniu grudnia skończyłem dwadzieścia pięć lat. To były okrągłe urodziny, ważne wydarzenie, powinienem był zorganizować wielką imprezę, ale znałem za mało osób, toteż nie miało to sensu. Kiedy więc przyszedłem tego dnia do radia, nikt nie wiedział, jaka to dla mnie ważna rocznica, co w zasadzie nawet mi się podobało, pasowało do tego człowieka, którym się stałem, trzymającego się na uboczu i nieściągającego na siebie niepotrzebnej uwagi, kogoś, kto się nie przechwala i zna swoje miejsce.

Przyszedłem wcześniej, we wspólnej przestrzeni biurowej nikogo nie było, sprzątnąłem na stole w kącie z kanapą, nastawiłem kawę i zacząłem przegłądać gazety, sprawdzając, czy nie ma w nich jakichś wiadomości dotyczących spraw studenckich, które mógłbym wyciąć i wykorzystać. Spadł śnieg, ciemność za oknami lekko połyskiwała, i już to wystarczyło, by nastrój wokół mnie się odmienił.

Otworzyły się drzwi przy schodach, podniosłem głowę.

Ingvild!

Uśmiechała się i machała do mnie ręką, szła w moją stronę.

– Dawno się nie widzieliśmy. – Uściskałem ją. – Co tutaj robisz?

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

– Dziękuję. Skąd wiedziałaś?

– Mam pamięć jak słoń.

– Napijesz się kawy?

– Chętnie, chociaż zaraz muszę lecieć.

Usiadła na brzeжку kanapy. Wyjąłem z ekspresu dzbanek z kawą i błyskawicznie napełniłem dwie filizanki, z filtra pociekło na rozgrzaną płytę.

– Jakie to uczucie mieć dwadzieścia pięć lat? – spytała. – Przyjemne?

– Nie czuję żadnej różnicy. A ty czułaś?

– Nie, nic oprócz tego, że fajnie nie mieć już dwudziestu lat.

– Racja.

– Coś ci przyniosłam. – Wyjęła z torby paczkę. – Proszę.

– Nawet prezent mi kupiłaś?

– Musiałam – stwierdziła lekko zakłopotana, odwracając wzrok.

Rozpakowałem. To był szary sweter z jagnięcej wełny, marki Benetton.

Popatrzyłem na nią, potem na prezent.

– Nie podoba ci się?

– Podoba, jest bardzo ładny. Ale sweter? Dlaczego kupiłaś mi sweter?

– Pomyślałam, że potrzebujesz. Ale jeśli ci się nie podoba, to możesz wymienić.

Siedziała z rękami złożonymi na kolanach.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziałem.

Zrozumiałem, że po mojej reakcji sądzi, iż sweter mi się nie podoba, zapadła chwila kłopotliwego milczenia, w końcu przyszło mi do głowy, że przecież mogę go włożyć. Ale przez to sytuacja jeszcze bardziej by się zapętlila, bo przecież w zakłopotanie wprowadził mnie właśnie fakt, że to był sweter. Dlaczego kupiła mi coś takiego? Kosztował kilkaset koron. No i była to w pewnym sensie rzecz osobista. Skoro już chciała mi coś dać, mogła kupić płytę, książkę, kwiatek, ale sweter?

Wstała.

– Muszę już lecieć. Mam wykład piętnaście po. Życzę ci miłego dnia urodzin!

Zniknęła na schodach, a ja wróciłem do czytania gazet z nożyczkami w rękę.

Po południu przyszedł Yngve, chciał mi jedynie złożyć życzenia, powiedział, że na prezent, niestety, nie ma pieniędzy, ale na pewno niedługo przyjdą

lepsze czasy i wtedy kupi mi coś naprawdę fajnego.

Nic więcej tego dnia się nie wydarzyło. Jak zwykle wróciłem do domu, jak zwykle poczytałem i posłuchałem płyt, porozmawiałem trochę z mamą, która opowiedziała mi, jak to było tego dnia dwadzieścia pięć lat temu. Tata nie zadzwonił, nie dzwonił zresztą nigdy, sądziłem, że pewnie nie wie, kiedy Yngve i ja mamy urodziny, a może wiedział, ale go to nie obchodziło; już się jednak do tego przyzwyczaiłem, więc wcale się tym nie przejąłem, on żył swoim życiem, ja swoim.

Tydzień później była impreza medioznawstwa. Miała się odbyć w Uglen, lokalu okrytym największą niesławą w Bergen, do którego przychodzili ci najbardziej zmęczeni, najwięksi desperaci; wybór typowy dla ironistów z medioznawstwa, ceniących Madonnę na równi z Mahlerem. Poszedłem tam wczesnym wieczorem, mieliśmy zrobić próbę dźwięku i ostatni raz przećwiczyć wszystkie utwory, których wcześniej prawie w ogóle nie próbowaliśmy. Śnieg się utrzymał, było dość mroźno, po raz pierwszy w ciągu tych pięciu lat, które spędziłem w Bergen, na ulicach dawało się wyczuć prawdziwą świąteczną atmosferę.

Zagraliśmy pięć coverów, między innymi *Forelska i lærer'n* oraz *Material Girl*, a oprócz tego piosenkę, do której muzykę stworzył Yngve, a Marit, wokalistka, napisała tekst.

Później stanęliśmy przy stoliku i popijaliśmy piwo, które dostaliśmy za darmo. Yngve znał tu wiele osób, przecież zaledwie pół roku wcześniej skończył studia, dla mnie w większości były to nieznajome twarze, oprócz Tonje, która podeszła się przywitać, kiedy skończyliśmy grać.

– Ty też tu jesteś? – zdziwiła się.

– Tak. Wynajmują mnie do gry na perkusji w całym mieście. Szczególnie dużo roboty mam teraz, przed świętami.

Uśmiechnęła się.

– Nie przedstawisz nas? – spytał Yngve.

– Tonje, to jest Yngve, mój brat. Yngve, to jest Tonje, z Radia Studenckiego.

Podali sobie ręce. Yngve, uśmiechnięty, patrząc jej w oczy, spytał, czy studiuje na pierwszym roku.

Chwilę porozmawiali, mieli ze sobą więcej wspólnego niż ona i ja, więc

zacząłem się rozglądać, wlewając w siebie zimne piwo i rozkoszując się jego smakiem, może nie tyle lekką goryczką, ile niesioną przez nie obietnicą nocy obfitującej w ciekawe wydarzenia i szybko narastającej radości.

Tonje odeszła do swoich znajomych, Yngve pociągnął łyk, odstawił szklankę i stwierdził, że Tonje jest strasznie fajna.

– Taak.

Zerknąłem na nią, rozmawiała z jakimś gościem, ale właśnie podniosła wzrok, napotkała moje spojrzenie i posłała mi uśmiech.

Odpowiedziałem tym samym.

Yngve opowiadał o rozmaitych stanowiskach, o które się starał, i o tym, jak trudno się gdzieś dostać, jeśli się nie ma kontaktów. Zastanawiał się, czy to nie był błąd, że skończył pełne studia, zamiast pracować.

– Ty tak zrobiłeś – mówił – i teraz nagle piszesz do „Morgenbladet” i pracujesz jako wolny strzelec dla NRK. Dzięki temu masz o wiele większe możliwości, niżbyś miał, gdybyś dalej studiował.

– Może i tak. Ale pisanie recenzji nie jest najbardziej lukratywnym zajęciem.

Spojrzeliliśmy na siebie z Tonje. Przez całą salę uśmiechała się do mnie, a ja do niej. Yngve w ogóle się nie zorientował.

– Może i recenzowanie książek nie jest zbyt opłacalne – ciągnął. – Ale jeśli dalej będziesz się tym zajmował, wyrobisz sobie nazwisko. Wtedy pójdzie ci o wiele łatwiej. Będziesz miał możliwość powołania się na coś konkretnego. A ja mam tylko dyplom.

– Jakoś to się ułoży. – Uśmiechnąłem się, czując w sobie lekkość. Za każdym razem, gdy patrzyłem w stronę Tonje, łaskotało mnie w brzuchu. Ona miała chyba jakiś szósty zmysł, bo bez względu na to, jak bardzo była zajęta rozmową, podnosiła wzrok za każdym razem, gdy na nią spoglądałem. Jej rozmówcy niczego nie zauważali. Yngve niczego nie zauważał. Jakby połączyła nas tajemnica i to ona była przyczyną wszystkich tych uśmiechów.

Hej, coś się dzieje między nami, prawda? – zdawał się mówić jej uśmiech.

Między nami? – mówił mój. – Żartujesz?

Nie.

Nie?

Podejdz tu, zobaczymy, co sie stanie.

Fantastycznie wygladasz.

Ty tez.

My dwoje?

Tak.

Tak?

Chodz, to zobaczysz.

– Dlaczego sie usmiechasz? – spytal nagle Yngve.

– Bez powodu. Po prostu mam dobry humor. Wystep nam wypalil i w ogole.

– To prawda, fajnie wyszlo.

Stalismy jeszcze jakis czas, popijalismy piwo, w koncu Yngve ruszyl przejdz sie po sali, a ja zostalem sam. Wtedy podeszla.

– Cześć – powiedziala.

– Dobrze, ze przyszlas. Nikogo tu nie znam.

– Zdziwilam sie, kiedy cie zobaczylam. No, ale ma to swoje wytumaczenie.

Spuasila wzrok i na moment sciagnela wargi, zaraz jednak znów na mnie spojrzala.

– Mialem nadzieje, ze tu bedziesz.

– Tak? Wiedziales, ze jestem na medioznawstwie?

– Wiedzialem. Ale to wszystko, co o tobie wiem.

– Najwyrazniej wiedza jest niezbyt rowno podzielona. Bo ja wiem o tobie calkiem sporo.

Wrocił Yngve.

– Jesteś niewiarygodnie podobny do Karla Ovego – stwierdzila Tonje. – Od razu, kiedy cie zobaczylam, domyslilam sie, ze jesteś jego bratem.

Postala z nami chwile, tak jak za pierwszym razem, rozmawiala glownie z Yngvem, ale to miedzy nami iskrzylo.

– Chyba nie zamierzasz juz isc? – spytala, patrzac na mnie przed powrotem do swoich przyjaciol.

– Nie – odparlem.

Odeszla, odprowadzilem ja wzrokiem. Miała proste plecy i dluga, ladna szyje, czesciowo zaslonieta wlosami splecionymi w warkocz. Do radia przy-

chodziła często w za dużych, luźnych ubraniach, w których się chowała, jak robi wiele dziewcząt, w wojskowej kurtce, grubym swetrze i czarnych botkach. Ale tego wieczoru była w prostej czarnej sukience, podkreślającej wąską talię, prezentowała się w niej zupełnie inaczej.

– No, no – powiedział Yngve.

– Co?

– Nie mówiłeś, że między wami coś jest, kiedy cię o nią pytałem.

– Bo nie było. Wcześniej zamieniliśmy ledwie kilka słów.

– No to co się teraz dzieje?

– Ty pytasz mnie, a ja ciebie – uśmiechnąłem się.

Za każdym razem, gdy tego wieczoru nasze spojrzenia się krzyżowały, miałem wrażenie, że wszystko znika, Yngve, studenci i wykładowcy, stoliki i krzesła, ale nie tylko, bo również wszystko w moim życiu, wszystko, co w sobie nosiłem, co niekiedy tak mnie przytłaczało, wszystko to ulatywało. Kiedy patrzyła na mnie z drugiego końca sali, istnieliśmy tylko ona i ja.

Dziwne.

Jeszcze dziwniejsze było to, że czułem się całkowicie bezpieczny, nie miałem się czego bać, nie musiałem się niczym niepokoić, nie zamierzałem nic osiągać, nic robić, nikogo udawać, nie musiałem nawet nic mówić.

Ale mówiłem.

Ciągnęło nas do siebie w ten wieczór, ona podchodziła i odchodziła, od czasu do czasu zamienialiśmy kilka zdań, a potem nagle zostawialiśmy sami i rozmawialiśmy, zanurzeni w siebie, nie widziałem nic oprócz niej, biło od niej tak mocne światło, że przesłaniało wszystko.

Przez cały wieczór wiele osób próbowało ją zawłaszczyć, jak się to zwykle dzieje na podobnych imprezach; ludzie przyglądają się sobie przez cały semestr, w czytelniach i na wykładach, w stołówce i w bibliotece, potem nagle spotykają się odświętnie ubrani, na coraz większym rauszu, gotowi wykorzystać okazję. Widziałem tych wszystkich, którzy chcieli z nią rozmawiać, no ale przecież to na mnie podnosiła oczy, to do mnie się uśmiechała, prawda?

Kiedy wreszcie zostaliśmy we dwoje, do naszego stolika podszedł Sverre Knudsen. Grał kiedyś w The Aller Værste! i był jednym z moich dawnych idoli, ale oczywiście nie obchodziło go to, ja też go nie obchodziłem, po prostu

nie odrywał oczu od Tonje. Gadał i gadał jak nakręcony, mówił, że chce o niej wiedzieć wszystko, ona wyraźnie nie chciała odpowiadać, wtedy oświadczył, że wie, kto strzelał do Williama Nygaarda^[31], zamierzał nazajutrz jechać do Oslo, żeby to ujawnić, kazał jej czytać „Dagbladet” za dwa dni, tam wszystko będzie napisane. Dodał, że obawia się o swoje życie, już od wielu dni go ściągają, ponieważ wie to, co wie, ale jest od nich bystrzejszy, wyprzedza ich, dzięki temu, że zna Bergen jak własną kieszeń.

Pojawił się Yngve, powiedział, że już idzie do domu. Rozejrzałem się, nie był w tym odosobniony, impreza miała się ku końcowi.

Sverre Knudsen chciał zabrać gdzieś Tonje, roześmiała się, patrząc na mnie, i stwierdziła, że pora stąd iść, czy nie zechciałbym jej kawałek odprowadzić?

Kiedy wyszliśmy, padał śnieg.

– Gdzie mieszkasz? – spytałem.

– Akurat teraz z mamą. W pobliżu Støletorget. Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem. Sam kiedyś mieszkałem niedaleko.

Ruszyliśmy w stronę hotelu Norge, ona w długim czarnym płaszczu, ja w swojej starej, grubej kapocie, z rękami w kieszeniach, w odległości dwóch metrów od niej. W oddali migotały w ciemności światła na zboczu góry.

– Mieszkasz z rodzicami? Ile ty właściwie masz lat?

– Po świętach się wyprowadzam. Znalazłam mieszkanie tuż przy dworcu autobusowym. Z tamtej strony – pokazała ręką.

Idąc wzdłuż fasady hotelu, dotarliśmy do Torgallmenningen, ulica była wyludniona, pokryta cieniutką warstwą śniegu.

– Po świętach wyjeżdżają do Afryki, więc muszę się wyprowadzić.

– Do Afryki?

– Tak, do Mozambiku. Mama, jej mąż i moja siostra. Ma dopiero dziesięć lat. Nie będzie jej łatwo, ale się cieszy.

– A twój ojciec? Też mieszka w Bergen?

– Nie. W Molde. Jadę do niego na święta.

– Masz więcej rodzeństwa?

– Trzech braci.

– Trzech braci?

– Tak. Coś w tym złego?

– Złego? Nie. Po prostu dużo was. Kiedy powiedziałaś o trzech braciach, odniosłem wrażenie, że należą do tych, którzy pilnują siostr. Może gdzieś tu się czają, czekając na nas.

– Może i tak. W takim razie powiem im, że masz wyłącznie dobre zamiary.

Spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Bo tak jest!

– Przecież wiem.

Chwilę szliśmy dalej w milczeniu. Padał śnieg. Ulice wokół nas były zupełnie ciche, patrzyliśmy na siebie i wymienialiśmy uśmiechy. Przeszliśmy przez Targ Rybny, wzdłuż całkiem czarnej wody. Byłem szczęśliwy jak nigdy dotąd. Przecież nic się nie wydarzyło, jedynie chwilę porozmawialiśmy, a teraz szliśmy razem, ja w odległości dwóch metrów od niej, z rękami w kieszeniach płaszcza, to wszystko. A jednak byłem szczęśliwy. Śnieg, ciemność, świetlisty neon kolejki na Fløyen, Tonje idąca obok mnie.

Co się stało?

Nic.

Byłem taki sam jak wcześniej. Miasto było takie samo jak wcześniej.

Mimo to wszystko się zmieniło.

Coś się otworzyło.

Ale co?

Szedłem obok niej w ciemności w stronę kolejki, wzdłuż murów starej szkoły, w górę Steinkjellersmauet, wszystko, co widziałem, wszystko, co myślałem, wszystko, co robiłem, nawet jeśli chodziło o stawianie jednej nogi przed drugą, przenikała nadzieja.

Tonje zatrzymała się przy drzwiach wąskiego starego drewnianego domu, pomalowanego na biało.

– To tutaj – oznajmiła. – Skoro przyszedłeś tak daleko, to chyba możesz na chwilę zajrzeć?

– Chętnie.

– Ale musimy zachowywać się cicho. Oni jeszcze śpią.

Weszliśmy do sieni, ostrożnie zdjąłem buty i po wąskich schodach ruszyłem za nią na górę. Na piętrze zauważyłem kuchnię, ale Tonje szła jeszcze wyżej,

tam gdzie były dwa pokoje, oba ze skośnym dachem. Wyglądały jak wyjęte z magazynu wnętrzarskiego.

– Jak tu ładnie – powiedziałem.

– To zasługa mamy. Potrafi urządzić wnętrze. Widzisz ten obrazek?

Wskazała pracę wykonaną z materiału, przedstawiającą chór. Wisiało na niej mnóstwo laleczek, każda miała inny wyraz twarzy.

– Jest artystką, ale nie poświęca już na to zbyt dużo czasu.

– Fajny.

– Tak, zabawny. Te obrazki sprzedają się jak świeże bułki, jeśli tylko chce jej się je robić.

Zdjąłem płaszcz i usiadłem w fotelu.

– Napijesz się czegoś? Herbaty?

– Herbata byłaby idealna.

Zeszła piętro niżej, a ja siedziałem, nie ruszając się z miejsca, dopóki pięć minut później nie wróciła z dwoma kubkami.

– Lubisz jazz? – spytała.

Pokręciłem głową.

– Niestety. Skłamałbym, gdybym powiedział, że tak. Ale rozumiem, że ty lubisz?

– Uwielbiam.

– No to musisz coś puścić.

Wstała i nastawiła płytę na starym sprzęcie Bang & Olufsen.

– Co to będzie?

– Bill Frisell. Zaraz usłyszysz. Naprawdę fantastyczny.

– Słyszę tylko dźwięki, zresztą trochę wymuszone.

– Co roku pracuję przy festiwalu jazzowym w Molde – powiedziała. – Od szesnastego roku życia.

– A co tam robisz?

– Opiekuję się muzykami. Odbieram ich z lotniska, obwozę, staram się zapewnić im rozrywkę. W zeszłym roku byłam z jednym na rybach.

Wyobraziłem ją sobie w uniformie i czapce kierowcy, parsknąłem śmiechem.

– Z czego się śmiejesz?

– Z niczego. Po prostu bardzo cię lubię.

Spuściła wzrok, na moment ściągnęła usta, już się zorientowałem, że ma taki nawyk, ale zaraz znów na mnie spojrzała z uśmiechem.

– Kiedy wczoraj wieczorem wychodziłam z domu, nawet do głowy mi nie przyszło, że nad ranem będę tu siedzieć z Karlem Ovem – powiedziała.

– Uważasz to za coś pozytywnego czy negatywnego?

– A jak ci się wydaje?

– Gdybym powiedział, że za coś pozytywnego, wyszedłbym na zarozumiałca. Zostaje więc negatywne.

– A myślisz, że gdyby tak było, tobym cię zaprosiła?

– Nie wiem. Nie znam cię.

– A ja ciebie.

– To prawda.

Wrażenie padającego śniegu cały czas się we mnie utrzymywało, siedzieliśmy u niej, a ja wyobrażałem sobie, jak płatki, wirując, sypią się z nieba i bezszelestnie lądują na dachu tuż nad naszymi głowami, jeden po drugim. Rozmawialiśmy o Radiu Studenckim, o tych, którzy tam pracują, o muzyce i o grze na perkusji, Tonje chciała, żebym ją nauczył, więc się przyznałem, że właściwie nie umiem grać. Opowiedziała mi, że już w czasach gimnazjalnych pracowała w lokalnej rozgłośni radiowej, a potem długo w jednej z najbardziej kontrowersyjnych stacji w Bergen, prowadzonej przez naczelnego krytycznie nastawionego do imigrantów i okrytego tak złą sławą, że nawet ja o nim słyszałem. Mówiła, że to miły, ale oryginalny człowiek, że nie zgadza się z jego opiniami, lecz wolność słowa ma wartość nadrzędną, dlatego zdumiewa ją, że mało kto brał to pod uwagę, kiedy potępiał tego człowieka i jego radiostację. Z każdą chwilą angażowała się coraz mocniej, rozumiałem, że radio i wolność słowa są dla niej bardzo ważne, podobało mi się to, chociaż takie skrajności były mi obce, a środowisko, które opisywała, stanowiło właśnie zupełną skrajność, mimo oczywistości, z jaką o nim mówiła.

– Gadam i gadam – stwierdziła w końcu. – Zazwyczaj wcale tak nie jest.

– Wierzę.

Na dole otworzyły się jakieś drzwi.

– Chyba się obudzili – wyjaśniła.

– Już idę.

Na schodach pojawiła się mała dziewczynka, chuda jak zapałka, z dużymi piwnymi oczami, ubrana w koszulę nocną sięgającą do ziemi.

– Cześć, Ylva, już wstałaś? – powitała ją Tonje. – To jest Karl Ove, mój kolega.

– Cześć – powiedziała dziewczynka, przyglądając mi się.

– Cześć. – Podniosłem się z fotela. – Już wychodzę. – Sięgnąłem po płaszcz przewieszony przez poręcz.

– Ale ty jesteś wysoki – zauważyła Ylva. – Ile masz wzrostu?

– Metr dziewięćdziesiąt trzy. Chcesz przymierzyć mój płaszcz?

Pokiwała głową. Podąłem go jej, wsunęła do środka najpierw jedną, potem drugą rękę. Zrobiła kilka kroków, dół ciągnął się za nią jak tren. Roześmiała się.

Byłem u rodziny.

Tonje odprowadziła mnie do drzwi, pożegnaliśmy się i ruszyłem w stronę centrum miasta – przez ten czas, który spędziłem u niej, całkowicie zmieniło charakter: ulicami jeździły ciężkie autobusy, ludzie wsiadali i wysiadali, szli pospiesznie, większość z parasolami, bo trochę się ociepliło, a śnieg padał mokry i ciężki. Minęła już siódma, nie było sensu wracać do domu, więc skierowałem się do Centrum Studenckiego, otworzyłem drzwi i poszedłem na górę.

W sali konferencyjnej ktoś spał na podłodze.

Sverre Knudsen.

Obok niego leżała jakaś drewniana płyta. Rozpoznałem ją, miała ten sam kolor co drzwi. Cofnąłem się o kilka kroków i sprawdziłem. Rzeczywiście, górna część została zdjęta. A więc w ten sposób się tu dostał. Jak natomiast sforsował drzwi zewnętrzne, pozostawało tajemnicą.

Wszedłem do środka, kucnąłem przy nim, położyłem mu rękę na ramieniu.

– Nie możesz tu spać – powiedziałem.

– Co jest, do cholery? – Usiadł.

– Nie możesz tu spać – powtórzyłem. – Niedługo przyjdą ludzie.

– A, to ty. Pamiętam cię. Byłeś razem z tą Tonje.

Wstałem.

– Napijesz się kawy?

Kiwnął głową, powlókł się za mną, usiadł na kanapie i rękami zaczął rozcierać twarz. Nagle się poderwał, podskoczył do okna i wyjrzał na ulicę.

– Nie zauważyłeś zielonego garbusa, kiedy tu szedłeś? – spytał.

– Nie.

– Ścigają mnie. Ale chyba nie wiedzą, że tu jestem. Może czekają na mnie w Oslo. Wiem, kto strzelał do Nygaarda.

– Mówiłeś o tym wczoraj.

Nie odezwał się. Z powrotem opadł na kanapę.

– Pewnie masz mnie za paranoika?

– Nie – zaprzeczyłem. – Ale dlaczego tutaj spałeś?

– Ta Tonje powiedziała, że pracuje w Radiu Studenckim. Myślałem, że może ją tu zastanę.

– Od dziecka byłem fanem The Aller Værste! To dla mnie wielka rzecz, że mogę cię poznać. Czytałem też jedną z twoich książek, *Sommerfuglbensin*.

Zbył mnie machnięciem ręki.

– Może przy okazji zrobimy wywiad – zaproponowałem. – Skoro już tu jesteś. O czasach The Aller Værste!

– Możemy.

Podaliśmy kawę, swoją wypiliśmy, stojąc przy biurku. Na schodach pojawił się Johs.

– Tak wcześnie dzisiaj? – zagadnął.

– Owszem.

– Pogadamy później – rzucił i zniknął na drugim końcu, tam gdzie odbywał służbę zastępczą.

Włączyłem radio, żeby się zorientować, co się dzieje i kto jest w studiu.

Sverre Knudsen spojrział na mnie.

– To będzie sensacja – powiedział. – Zobaczysz.

Pół godziny później weszliśmy do studia. Założyłem nową szpulę taśmy, włączyłem konsolę i poszedłem do Sverrego. Byłem okropnie zmęczony,

a jednocześnie po brzegi wypełniony wydarzeniami ostatniej nocy, więc miałem kłopoty z koncentracją, ale to i tak było nic w porównaniu ze Sverrem Knudsenem. Pot spływał mu po twarzy, gdy usiłował wspominać coś sprzed piętnastu lat, ale mimo najszczęśliwszych chęci nie potrafił wzbudzić tym zainteresowania. Po dwudziestu minutach oświadczyłem, że wystarczy, chyba odczuł ulgę, uściśnąłem mu rękę, niemal się stoczył ze stromych schodów i pognął w stronę miasta, a ja wróciłem do redakcji, próbując zabić czas, żebym mógł... żebym co mógł?

Zostać sam i myśleć o Tonje.

Przez cały dzień przeszywały mnie nagłe błyskawice radości. Stało się coś fantastycznego.

Ale co?

W zasadzie nic. Trochę porozmawialiśmy, to wszystko.

Pracowała tu od roku, przez rok widywałem, jak przychodzi i wychodzi, a ona widywała mnie. Przez cały ten czas nie zdarzyło się, abym poczuł to, co czuję teraz. Ani razu, nic tego nawet nie przypominało.

Nagle spotkaliśmy się na imprezie, uśmiechnęliśmy się do siebie i już?

Właśnie tak.

Jak to możliwe? Jak coś takiego mogło odmienić wszystko?

Bo wszystko się zmieniło, wiedziałem. Serce mi to mówiło. A serce nigdy się nie myli.

Nigdy, przenigdy nie myli się serce.

Wróciłem do domu, przespałem się parę godzin, wziąłem prysznic i usiadłem przy telefonie, musiałem do niej zadzwonić i podziękować za tę noc, zaproponować spotkanie. Zawahałem się, nagle wystraszony, że mogę coś popsuć. Ale zadzwonić musiałem.

Przemogłem się i wybrałem numer, wstrzymałem się przy ostatniej cyfrze, w końcu ją wcisnąłem. Odebrała jakaś kobieta, zapewne jej matka.

– Dzień dobry, mówi Karl Ove. Czy zastałem Tonje?

– Nie, akurat wyszła. Coś jej przekazać?

– Proszę po prostu powiedzieć, że dzwoniłem. Może spróbuję jeszcze później.

Położyłem się na łóżku, całe ciało mnie bolało.

Stanąłem przy oknie, patrząc na ogromne anteny na budynku TV2, na wiry w ciemności nad nimi.

Ubrałem się i wyszedłem. Ciągle czułem ból. Skierowałem się w stronę Nordnes. Obok mnie przejechał z hukiem pług śnieżny, błyskając światłami. Minałem oceanarium i ruszyłem dalej, w stronę parku, aż na cypel,ostałem tam na wietrze dującym mi w twarz, wpatrzony w fale bijące w dole o brzeg i w wielką ciemność, która obejmowała wszystko.

Rozejrzałem się. W pobliżu nie było żywego ducha.

– Oooooooooooooo! – krzyknąłem.

Potem podszedłem do totemu, stojącego w pobliżu, przyjrzałem mu się, myśląc o kontynencie, z którego pochodził, o Indianach, którzy kiedyś tam żyli i nic nie wiedzieli o naszym istnieniu, tak jak my nie wiedzieliśmy nic o nich. Ta wolność wynikająca z niewiedzy, z życia w przekonaniu, że są jedynymi ludźmi na Ziemi, a ich otoczenie jest jedynym światem, wprost nie mieściła się w głowie.

Wyobraziłem sobie Tonje i wezbrała we mnie fala radości i smutku.

Co z tego wyniknie?

Co z tego wyniknie?

Po powrocie do domu odczekałem jeszcze godzinę, nim znów zadzwoniłem.

Tym razem odebrała Tonje.

– Cześć – powiedziała. Głos miała ciepły i taki bliski.

– Dzięki za miłe chwile.

– I ja ci dziękuję. Moja siostra cały dzień mówi wyłącznie o tobie. Właśnie wróciliśmy ze spaceru.

– Koniecznie ją ode mnie pozdrów.

– Dobrze, pozdrowię.

Pauza.

– Kiedy mama mi przekazała, że dzwoniłeś, musiałam się położyć na podłodze.

– Na podłodze?

– Tak, tak mnie brzuch rozbolał.

– Hm.

Pauza.

– Chciałem spytać... właściwie... no... czy...

– O co chciałeś spytać?

– Czy ty... no... czy my... czy miałabyś ochotę zobaczyć się ze mną jeszcze?

Może byśmy gdzieś poszli?

– Tak.

– Tak?

– Tak.

– Tylko gdzieś na kawę. Ale nie do radia. Nie do bufetu ani nie do Grillen.
I nie do Opery.

Roześmiała się.

– Do Wessela?

– Dobrze. Jutro?

Następnego dnia redakcja społeczna organizowała zebranie. Nie pomyślałem o tym, ale oczywiście miała w nim uczestniczyć.

Kiedy przyszła, ledwie zawadziła o mnie spojrzeniem, nic więcej. Uśmiechnęła się jakby do siebie, ale nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, jakbym nie istniał.

Zajrzałem przez szybę do sali konferencyjnej, w której rozmawiali i gestykulowali bezgłośnie. Popatrzyła na mnie, uśmiechnęła się przelotnie i zaraz odwróciła głowę.

Co to miało znaczyć?

Korytarzem nadszedł Tore.

– Co słychać, Karl?

– Piekielnie się zakochałem – odparłem. – Aż mnie boli całe ciało. Stawy.
Bołą mnie s t a w y.

Zaczął się śmiać.

– Przecież widziałem się z tobą dwa dni temu. Wtedy nic takiego nie mówiłeś.

- No nie, do diabła, bo to się wydarzyło przedwczoraj.
 - Trochę jak w podstawówce – stwierdził. – Pytałeś ją, czy chce z tobą chodzić?
 - Nie.
 - Jeśli mi powiesz, kto to jest, to spytam za ciebie.
 - Tonje.
 - Tonje? Tonje z radia?
 - Tak.
 - Ta, która tam siedzi?
 - Tak.
 - Wie o tym?
- Pokręciłem głową.
Znów się roześmiał.
- Na pewno coś podejrzewa – powiedziałem. – Mamy się później spotkać. Wczoraj do niej dzwoniłem. Ale wyjdźmy stąd. Pójdiesz ze mną do bufetu?

Przez cały dzień nic nie jadłem, po powrocie do domu też nie mogłem nic w siebie wmusić, nie miałem siły i nie czułem, żeby mi to było potrzebne. Przecież cały w środku płonąłem.

Przez dwie godziny, które musiałem odczekać do wyjścia, chodziłem po mieszkaniu, kładłem się na łóżku i gapiłem w sufit, wstawiałem, znów chodziłem. Czułem się strasznie, wzniosłem się tak wysoko, że jedyną rzeczą, jaka mogła mnie czekać, był upadek.

O czym będę z nią rozmawiał?

Na pewno dam plamę, tak bardzo mi teraz zależało, że będę tam siedział, jękał się i czerwienił, wyjdę na idiotę, na tyle już siebie znałem.

Nie miałem w mieszkaniu lustra, dzięki czemu nie musiałem na siebie patrzeć, ale teraz wydawało mi się to absolutnie konieczne, więc kiedy się przebrałem i wtarłem żel we włosy, wziąłem jakąś płytę kompaktową, odwróciłem ją i obejrzałem się z różnych stron.

Zamknąłem drzwi i wyszedłem.

Bolał mnie brzuch.

W tym w ogóle nie było nic fajnego.

Same przykre odczucia.

Śnieg skrzył się na ulicach, kiedy wspinałem się na niewysokie wzgórze do kiosku przy pływalni, mijałem teatr i Operę, żeby za kolejnym rogiem wejść do Wesselstuen.

Nie było jej, dziękowałem za to Bogu, bo w ten sposób miałem jeszcze kilka minut dla siebie. Znalazłem wolny stolik i usiadłem. Kelnerowi, który stanął przy mnie, powiedziałem, że chwilę się wstrzymam ze złożeniem zamówienia.

Przyszła dziesięć minut później. Zadrzałem na jej widok. Niosła kilka reklamówek, położyła je pod ścianą i zdjęła płaszcz, zanim usiadła, wnosząc ze sobą wszystko, co na zewnątrz, latarnie i wystawy sklepowe, strumień ludzi idących ulicami i śnieg, tak jak kot wnosi ze sobą na kilka minut las i ciemność, kiedy wraca rano do domu.

– Kupowałam prezenty świąteczne – wyjaśniła. – Przepraszam za spóźnienie.

– Nic nie szkodzi.

– Zamówiłeś już coś?

– Nie. A co byś chciała?

– Może piwo?

Zaraz stanęły przed nami półlitrowe szklanki. W lokalu było dużo ludzi, panowała wesoła atmosfera, odbywały się ostatnie spotkania przedświąteczne, wokół nas siedzieli mężczyźni w garniturach o kroju z lat osiemdziesiątych i kobiety w sukniach z wywatowanymi ramionami i głębokimi dekolami, wznosili toasty, śmiali się. Tylko my milczeliśmy.

Mogłem powiedzieć, że jest gwiazdą, światłem, moim słońcem. Mogłem powiedzieć, że wprost chorobliwie za nią tęsknię. Mogłem powiedzieć, że nigdy w życiu czegoś takiego nie przeżyłem, a przeżyłem dużo. Mogłem powiedzieć, że chcę być z nią na zawsze.

Ale nic nie powiedziałem.

Tylko na nią zerkalem, leciutko się uśmiechając. Ona tak samo leciutko uśmiechała się w odpowiedzi.

– Masz prześliczne uszy – wypaliłem.

Spuściła wzrok.

– Tak myślisz? Tego jeszcze nie słyszałam.

Co ja takiego powiedziałem?

Że ma śliczne uszy?

To była prawda, bo miała niezwykle uszy, bardzo kształtne, ale tak samo piękne miała usta, szyję, dłonie, wąskie i blade, i oczy. Komplementowanie uszu kobiety to jakieś szaleństwo.

Zaczerwieniłem się jak burak.

– Po prostu nagle zwróciłem na nie uwagę. Dlatego tak mi się wyrwało. Wiem, że to mogło dziwnie zabrzmieć. Ale to prawda. Masz piękne uszy!

Moje tłumaczenie tylko pogorszyło sprawę.

Wypiłem łyk piwa.

– W każdym razie masz fajną siostrę.

„W każdym razie”?

– Przekażę jej, co powiedziałeś. Ona bardzo się tobą ekscytuje. Jest akurat w takim wieku. Nie bardzo wie, o co chodzi, ale wydaje jej się, że wie. Stara się chłonąć wszystko, co widzi.

Obróciła szklankę w dłoniach, lekko ściągnęła wargi i spojrzała na mnie, przechylając głowę.

– Będziesz miał jakąś przerwę świąteczną czy dyżurujesz w radiu?

– Dzień przed Wigilią jadę do mamy, zostanę u niej tydzień.

– A ja wyjeżdżam już jutro. Brat mnie zabiera samochodem.

– Mieszka w Bergen?

– Tak.

Z tego, co istniało między nami w tamten pierwszy wieczór i tamtą noc, nie pozostało już nic. Wszystko zgromadziło się we mnie.

– Kiedy wracasz? – spytałem.

– Na początku stycznia.

Tak długo. Przez ten czas tyle mogło się zdarzyć. Mogła tam kogoś spotkać, zejść się z jakimś dawno niewidzianym facetem.

Im dłużej z nią tu siedziałem, tym bardziej malały moje szanse. Już niedługo zacznę domyślać się prawdy.

Porozmawialiśmy trochę o radiu, o zwykłych, codziennych sprawach, jakbyśmy byli po prostu dwojgiem współpracowników z Radia Studenckiego, którzy wyszli razem na piwo.

Spojrzała na zegarek.

– Niedługo mam się spotkać z mamą i siostrą – oświadczyła. – One też kupują prezenty gwiazdkowe.

– Aha. No to widzimy się po świętach – powiedziałem.

Wyszliśmy razem, zatrzymaliśmy się na Torgallmenningen, ona miała iść w lewo, ja w prawo. Stała z torbami w rękach. Powiniennem ją uściskać, nie byłoby w tym nic złego, to zupełnie naturalna rzecz, przecież przed chwilą wyszliśmy z knajpy, ale się nie odważyłem.

– Wesołych świąt – powiedziałem, niezdarnie unosząc rękę.

– Wesołych świąt, Karl Ove.

Rozeszliśmy się. Ruszyłem przez Wzgórze na Møhlenpris do mieszkania Yngvego, które dzielił z koleżanką ze studiów. Na szczęście nie było jej w domu.

– No i jak tam? – spytał. – Zdarzyło się coś po tamtej imprezie?

Siedzieliśmy w dużym pokoju. Puścił My Bloody Valentine.

– Zaprosiła mnie do siebie. Ale do niczego nie doszło, tylko rozmawialiśmy. Dziś znów się z nią spotkałem, w Wesselstuen. Jestem taki zakochany, że w ogóle nie wiem, co mam robić.

– A ona?

– Nie mam pojęcia. Nie zdołałem z siebie wydusić żadnego rozsądnego słowa. Wiesz, jak się popisałem?

Pokręcił głową.

– Komplementowałem jej uszy! Wyobrazasz sobie? „Masz takie śliczne uszy!” Ze wszystkiego, co mogłem jej powiedzieć, wybrałem akurat to!

Wybuchnął śmiechem.

– To wcale nie takie głupie – stwierdził w końcu. – W każdym razie oryginalne.

– Co mam teraz zrobić?

– Zadzwoń do niej, umów się jeszcze raz. Jeśli coś ma się wydarzyć, przyjdzie samo.

- Taka jest twoja rada? Że to się stanie samo z siebie?
- Tak.
- Ona jutro wyjeżdża na święta. Zobaczę ją dopiero w styczniu. Myślałem o tym, żeby napisać do niej list. Co ty na to?
- Chyba niezły pomysł.
- No i chciałbym dać jej jakiś prezent. Niespodziankę. Jakoś to wszystko naprawić. Kupić jej coś, co mogłoby zrobić na niej wrażenie. Nie książkę ani płytę, coś innego. Bardziej osobistego. Ale nic mi nie przychodzi do głowy.
- Oczywiście nauszniki – podsunął Yngve. – Będziesz mógł napisać, że dasz jej to, żeby mogła zadbać o swoje śliczne uszy.
- Świetnie, tak zrobię! Wybierzesz się ze mną po prezenty jutro po południu? Może kupilibyśmy coś dla mamy?

I tak się stało. Chodziłem z Yngvem po mieście i szukałem nauszników. Nie była to rzecz będąca w powszechnym użyciu, ale w końcu jakieś znalazłem. Co prawda dość paskudne, przybrane czymś w rodzaju zielonego futerka, ale to w niczym nie przeszkadzało. Poprosiłem o zapakowanie, cały wieczór poświęciłem na napisanie listu i wszystko razem wysłałem do Molde.

- Mama wyczuła, że coś się stało, gdy tylko przekroczyłem próg jej domu.
- Poznałeś kogoś? – spytała.
 - Tak to po mnie widać?
 - Owszem.
 - Na razie nic jeszcze z tego nie wynikło.
 - Dostałam kartkę świąteczną od Gunvor.
 - Mamo, naprawdę! Między nami koniec. Możesz z nią utrzymywać kontakt, ale jeśli o mnie chodzi, to już przeszłość.
 - Przecież wiem – powiedziała. – Po prostu miło mi, że o mnie pamiętała. A jak ma na imię ta dziewczyna?
 - Powiem ci, jak coś z tego będzie.

Mama wydawała mi się zmęczona, była blada i nie miała tyle sił co zwykle. Samo nakrywanie do stołu, a potem sprzątanie sporo ją kosztowało.

W Wigilię rozpakowała prezent od Kjartana i aż pobladła.

– Co dostałaś? – spytałem.

– Wieniec. Na pewno chciał mi dać wianek bożonarodzeniowy, ale kupił nagrobny. Taki, jaki się nosi na pogrzeby.

– Nie dopatruj się w tym symboliki – powiedział Yngve. – To nic nie znaczy, po prostu się pomylił. Cały Kjartan.

Mama się nie odezwała, ale widziałem, że mocno to nią wstrząsnęło i mimo wszystko doszukuje się w tym znaczenia.

Kiedy już rozpakowaliśmy prezenty, zjedliśmy ciasteczka i wypiliśmy kawę, wyszedłem do pokoju, w którym stał telefon, i zadzwoniłem do Tonje.

– Cześć! – ucieszyła się. – Dziękuję za prezent! Bardzo fajny.

– To znaczy, że dotarł?

– Tak, przyszedł dzisiaj. Trochę się bałam rozpakowywać go na oczach wszystkich, bo przecież nie wiedziałam, co jest w środku, ale jednak się odważyłam. Cała rodzina wyglądała jak wielkie znaki zapytania. „Kto to jest Karl Ove?”, „Dlaczego ci daje nauszniki?”

Rozmawialiśmy długo. Mówiła, że wszyscy jej przyjaciele zjechali na święta, więc wychodzili razem na miasto albo się odwiedzali w domach, i ciągle czuli bliskość, chociaż od czasów licealnych minęło już pięć lat. Powiedziała też, że tam u nich jest mnóstwo śniegu, jej trzech bracia całe przedpołudnie odśnieżali dach. Wyobraziłem sobie to wszystko, dom wysoko na zboczu, z widokiem na całe miasto, fiord i góry po drugiej stronie, tak jak to opisała, i jej trzech braci, którzy w mojej wyobraźni mieli w sobie coś baśniowego, byli identyczni, zawsze trzymali się razem, a ich sercom najdroższa była siostra.

Kiedy po tej rozmowie wróciłem do salonu, z tęsknoty za Tonje ledwie mogłem wytrzymać. Nie miałem pojęcia, że szczęście może aż tak boleć.

Między świętami a Nowym Rokiem wróciłem do miasta na dyżury w radiu. Tonje przyjechała na początku stycznia, zadzwoniłem i zaprosiłem ją do siebie na obiad. Yngve często przyrządzał spaghetti z bekonem, porem, serem pleśniowym i śmietaną. Było to proste i smaczne danie, postanowiłem, że też spróbuję je zrobić. Dużego stołu nie miałem, więc pozostawało siedzenie na kanapie z talerzem na kolanach, ale musiało tak być; gdybyśmy spotkali się gdzieś na mieście, jedynie rozmawialibyśmy przy stoliku, w domu było trochę

swobodniej, mogłem stać i przyrządzać jedzenie, nalewać wina, włączać muzykę. Więcej ruchu.

Yngve podpowiedział mi, żebym do sosu dodał trochę białego wina. Poszedłem za jego radą, ale kiedy zaledwie na kilka minut przed przyjściem Tonje spróbowałem sosu, okazał się słodki i paskudny. Zadzwoiłem do Yngvego.

– Co mam robić?

– Dolej trochę więcej wina. To pomoże.

– Zaczekaj chwilę, nie odkładaj słuchawki.

Dolałem wina, rozmieszałem, spróbowałem.

– Jeszcze słodszy! Cholera jasna, to katastrofa! Ona już niedługo tu będzie!

– Jakie ty właściwie masz wino?

Przeczytałem mu nazwę.

– Nic mi to nie mówi. Ale wytrawne, prawda?

– Wytrawne?

– No tak.

Przebiegłem wzrokiem etykietę.

– Tu jest napisane, że półsłodkie. Myślałem, że będzie dobre, skoro nie całkiem słodkie.

– Nic dziwnego, że sos wyszedł przesłodzony. Teraz możesz jedynie dosypać soli i pieprzu i modlić się o jak najlepszy efekt. Powodzenia!

Rozłączył się, posoliłem i popieprzyłem sos, cały czas próbując go małą łyżeczką.

Dzwonek do drzwi.

Zdjąłem fartuch i pobiegłem na górę do wejścia.

Cała była czapką i szalikiem, parą wielkich oczu i uśmiechniętymi ustami.

– Cześć. – Nachyliła się, żeby mnie uściskać.

Pierwszy raz się dotknęliśmy.

– Wejdz – zaprosiłem ją.

Zeszła do przedpokoju, zdjęła płaszcz, rozglądając się. Co mogła zobaczyć? Murowane ściany z kilkoma plakatami, w głębi kuchnię, ściany również murowane, a obok pokój – łóżko, półka na książki, fotel, biurko, kilka plakatów, chodniczki z Ikea.

I jeszcze trzy zapalone świece w świeczniku na parapecie.

– Ładnie tu u ciebie – stwierdziła, zerkając na garnki. – Co będziemy jeść?

– A takie tam spaghetti.

Nałożyłem makaron na dwa talerze, polałem sosem, postawiłem przed nią czarny stołeczek, żeby miała coś choćby przypominającego stół, sam wzięłem talerz na kolana i zaczęliśmy jeść.

– Mmm, ale dobre – powiedziała.

– Daj spokój, wcale nie jest dobre. Dolałem białego wina, ale było za słodkie.

– Rzeczywiście, sos jest trochę słodki – uśmiechnęła się.

Wyniosłem talerze, nastawiłem płytę, *Siamese Dream Smashing Pumpkins*, siedzieliśmy, popijając słodkie białe wino, ona w żółtym fotelu, ja na łóżku, nie chciałem, żeby pomyślała, że zależy mi wyłącznie na seksie, dlatego nawet nie próbowałem się do niej zbliżyć. Rozmawialiśmy, nic poza tym. Z jakiegoś powodu zaczęliśmy mówić o różnych zespołach pochodzących z Bergen, nagle, nie wiadomo dlaczego, powiedziała, że wokalista tej grupy, o której właśnie mówiliśmy, jest biseksem. Przypadkiem akurat wtedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, a ja się zaczerwieniłem. Pomyślałem, że uważa mnie za biseksualistę, a nawet jeśli do tej pory tak nie myślała, to fakt, że zaczerwieniłem się w momencie, gdy to powiedziała, może wzbudzić w niej podejrzenia. Usiłowałem prędko wymyślić jakiś inny temat, ale nie potrafiłem, dlatego zapadła niewygodna i nieprzyjemna cisza.

Sprawa była beznadziejna. Wiedziałem, że nigdy jej nie zdobędę. Jak miałbym to zrobić?

O wiele łatwiej byłoby się poddać, rozstać się na zimno i więcej nie szukać kontaktu. Zniknęłyby wszystkie problemy, cały ból, poczucie klęski.

Ale nie mogłem.

Tonje wstała, stwierdziła, że zrobiło się późno i pora wracać do domu. Odprowadziłem ją do wyjścia, tam ją pożegnałem, a potem patrzyłem, jak idzie pod górę, nie odwracając się.

Kiedy zszedłem z powrotem do mieszkania, znów puściłem *Siamese Dream*, ułożyłem się w łóżku na plecach i pozwoliłem, żeby myśli o niej wypełniły mnie całego.

Nasze następne spotkanie wypadło trochę lepiej. Trafiliśmy w końcu do kawiarni w pobliżu Steinkjellersmauet, o tak późnej porze, że byliśmy tam sami. Siedzieliśmy przy oknie, na zewnątrz śnieg znaczył wszystkie płaszczyzny, jakby zatrzymując ów rozpad, którego jesienią doświadczało miasto, zalewane deszczem, kiedy wszystko zdawało się zapadać, ulice, zaułki, domy i parki. Śnieg utrzymywał miasto w ryzach, a ja to kochałem, kochałem nowe światło, jakie wokół siebie rozsiewał, i nastroje, które tworzył. I kochałem ją. Opo-
wiadala mi o swojej rodzinie, składającej się z babci, matki, braci i siostry, ojca i jego brata bliźniaka, stwierdziłem, że to jak z filmu Bergmana. Uśmiechnęła się. Powiedziała, że w weekend się przeprowadza, może mógłbym jej trochę pomóc? Oczywiście, mogłem. W sobotę po południu stawilem się przy jej mieszkaniu między dworcem autobusowym a stacją kolejową, na chodniku parkował biały samochód dostawczy, pięć osób nosiło na górę meble i pudła. Tonje rozjaśniła się na mój widok. W przelocie przywitałem się z pozostałymi, z trzema chłopakami, wśród których był jej brat, oraz z dziewczyną, i też zacząłem nosić kartony. Klatka schodowa była zrujnowana i pełna przeciągów, mieszkanie, duże, dwupokojowe, ale zniszczone, znajdowało się na trzecim piętrze, a do toalety, jak się okazało, należało przejść na drugi koniec wąskiej otwartej galeryjki, która biegła na zewnątrz budynku, kojarzącej się niemal z mostem.

– Nawet Nansen miałby opory przed wyjściem rano do ubikacji – stwierdziłem. – Wyobraź sobie, co będzie w czasie deszczu. Albo śniegu!

– To też będzie miało swój urok – powiedziała. – Nie uważasz?

– Może i tak. Można będzie sobie wyobrażać mostek na statku w czasie największego sztormu.

Odstawiłem karton na kuchenny stół i poszedłem po następny, lekko tylko skinąwszy głową pozostałej czwórce, która z głośnym tupaniem wchodziła na górę. Moja rola w tym wszystkim wydawała się trochę niejasna. Tych czworo było najwyraźniej jej bliskimi przyjaciółmi. O mnie nie dało się tego powiedzieć. No, ale kim wobec tego byłem?

Wszystko jedno, i tak nie chciałem być w żadnym innym miejscu, chciałem wnosić rzeczy do jej mieszkania, chciałem, żeby mignął mi mikser w kartonie, żebym mógł pomyśleć, że to jej mikser, przebłysk podeszwy w innym pudle i myśl: to jej buty, jej garnki, miski, talerze, filiżanki, szklanki, sztucce, patel-

nie, płyty, kasety, książki, ubrania, sprzęt stereo, telewizor, krzesła, stół, półki na książki, stolki, łóżko, rośliny, cały jej świat. W to sobotnie popołudnie uczestniczyłem w noszeniu po schodach całego jej życia.

Samochód obracał dwa razy, a kiedy wszystko zostało już wniesione, Tonje podała pizzę i zjedliśmy je wśród tego bałaganu. Nie odzywałem się, nie chciałem zajmować zbyt dużo miejsca. Tamci znali ją lepiej, więc uważałem, że powinienem się temu podporządkować.

Ale i tak mi to odpowiadało, bo kiedy tam siedziałem na podłodze, oparty plecami o ścianę, z kawałkiem pizzy w ręku, i słuchałem toczącej się rozmowy, wiedziałem, że Tonje jest moja. Od czasu do czasu posyłała mi roześmiane spojrzenia, a mnie za każdym razem przebiegały ciarki po plecach. Myśl o niej była lekka, unosiła się jak kopyta, jak niebo nad nami, ale już myśl o zbliżeniu się do niej miała swój ciężar. A jeśli się pomyliłem? Jeśli odmówi? Co będzie, jeżeli zacznie się ze mnie śmiać? Co ty sobie wyobrażasz? Za kogo ty się masz? J a miałabym chcieć być z t o b ą? Przecież jesteś tylko jakimś nieszczęsnym głupkiem!

Ale musiałem dziś spróbować.

Musiałem.

Jej brat wyszedł. Za chwilę pożegnał się ktoś następny. Siedziałem dalej. Kiedy ostatnia dwójka zaczęła szykować się do wyjścia, ja także wstałem.

– Też już idziesz? – spytała.

– Chyba tak.

– A nie mógłbyś zostać jeszcze chwilę i pomóc mi się rozpakowywać? Muszę zmontować półkę na książki, a to trudno zrobić w pojedynkę.

– Pewnie, że mogę.

Zostaliśmy sami.

Siedziałem pod ścianą, paliłem i piłem colę, ona na drewnianej skrzynce na środku pokoju machała nogami.

Płonałem. To ona wywoływała we mnie ten ogień. Wystarczyło, że na mnie spojrzała, a już mi pałały policzki.

– Jesteś typem złotej rączki? – spytała.

– Ja? Skąd.

– Tak właśnie myślałam.

– A ty?

– Wiesz, że tak. Lubię reperować różne rzeczy. Moim marzeniem jest mieć kiedyś stary dom. Wyremontować go, żeby był dokładnie taki, jaki będę chciała.

– Co jeszcze lubisz robić? – spytałem.

– Szyć. I gotować. Uwielbiam gotować. No i grać na perkusji.

– No tak.

– A ty? Co ty lubisz?

– Nie lubię szyć. Nie lubię gotować.

Lubię ciebie. Powiedźże to wreszcie! Powiedz!

– Pytałam, co lubisz, a nie czego nie lubisz!

Lubię ciebie, lubię ciebie!

– Lubię grać w piłkę. Ale nie grałem już od kilku lat. No i lubię czytać.

– To nie jest moja mocna strona. Przyznam, że wolę oglądać filmy.

– A jakie filmy lubisz?

– Woody’ego Allena. To moje ulubione.

Wstała.

– Złożymy tę półkę, żebyśmy mogli posłuchać jakiejś muzyki?

Kiwnąłem głową.

Kiedy znaleźliśmy już wszystkie części, ja trzymałem, a ona przykręcała z tyłu listwy i układała półki. Potem zaczęła montować sprzęt stereo.

– To nie ta sama wieża, która była w domu u twojej mamy?

– Tak. Pożyczyła mi, pod warunkiem że będę ostrożna.

Ustawiła kolumny w dwóch końcach pokoju, otworzyła karton z kompaktami i zaczęła je przeglądać.

– Jazz? – spytałem.

– Nie. Ale jest taki jeden kawałek... chciałabym, żebyś go posłuchał.

– Czyj?

– Smashing Pumpkins. To składanka piosenek różnych zespołów, na żadnej innej płycie go nie znalazłam. – Jest!

Włączyła.

Obserwowała mnie, kiedy muzyka zalała pokój. Ten utwór miał w sobie jakiś rozmarzenie i bezgraniczność, jakby opowiadał o czymś, co trwa i trwa, i nigdy się nie kończy.

– Prawda, że świetne? – spytała.

– Tak. Niesamowite.

Coś mi podpowiadało, że gdybym teraz wstał i ją objął, dobrze by się to skończyło. Odpowiedziałyby mi wtedy i ta jedna jedyna rzecz, o jakiej marzyłem, mogłaby się urzeczywistnić.

Zabrakło mi jednak odwagi, dalej siedziałem, chwila minęła. Tonje wzięła się do sortowania pudeł.

Pomogłem jej wynieść część do kuchni, otworzyła je i zaczęła układać rzeczy na swoich miejscach. Przez chwilę ją obserwowałem, zastanawiając się, co by było, gdybym nagle do niej przyskoczył, objął ją w pasie i zaczął całować tę jej cudowną szyję.

Nachyliła się, postawiła stos garnków na blacie i otworzyła szafkę stojącą na podłodze.

– Chyba będę już leciał – powiedziałem.

– Okej. – Wyprostowała się. – Wielkie dzięki za pomoc.

Włożyłem kurtkę i buty, otworzyłem drzwi, odprowadziła mnie, a kiedy wyszedłem na zimną, jaskrawo oświetloną klatkę schodową, odwróciłem się do niej.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć.

Teraz, pomyślałem, muszę to zrobić teraz.

Nachyliłem się szybko, żeby ją pocałować. Akurat w tym momencie odwróciła głowę w bok, rozpoczęła ruch dokładnie w tej samej chwili co ja, więc zamiast przycisnąć wargi do jej ust, dotknąłem nimi ucha.

Szybko ruszyłem w dół po schodach. Na ulicy przebiegłem kilka kwartałów, by jak najbardziej oddalić się od tej klęski.

Co ona sobie teraz o mnie myśli? Zachowałem się jak nastolatek. Zresztą nie była to tylko kwestia zachowania, tak się też czułem.

Niedługo nie będę miał już żadnych szans. Ile to może trwać? Nie będzie chciała czekać. Po co jej to? Po co jej ktoś taki jak ja?

Postanowiłem wrócić do niej nazajutrz, ot tak, zajrzeć w nadziei, że mnie zaprosi do środka. Obiecywałem sobie, że będę zdecydowany i rezolutny. Koniec z wahaniem, koniec z niezdarnością, dość już tych czerwieniących się policzków i urywanych zdań.

Jeśli powie nie, no to nie.

Całe niedzielne popołudnie spędziłem u Yngvego. Do niej poszedłem około siódmej, wcisnąłem dzwonek na dole, cofnąłem się o kilka kroków i spojrzałem w okna na trzecim piętrze.

Ciemne?

O nie. Czyżby wyszła?

Nagle jedno okno się otworzyło i wyjrzała z niego jej głowa.

– Hej! – zawołała. – Zaraz zejdem!

Podszedłem do schodków. Serce waliło mi w piersi.

Drzwi się otworzyły.

– Karl Ove... – powiedziała. – Wejdz!

Wymówiła moje imię z takim przejęciem, że kolana się pode mną ugięły. Kiedy wchodziłem na górę po schodach, które ona pokonywała szybko i z łatwością, nogi mi drżały.

Co to za piekło?

Wszedłem do kuchni, która była tuż przy drzwiach, zdjąłem buty, kurtkę, czapkę i rękawiczki.

– Napijesz się herbaty?

– Owszem, chętnie, dziękuję.

W pokoju, który był już prawie całkiem uporządkowany, usiadłem w niskim fotelu i zwinąłem sobie papierosa.

– Mnie też mógłbyś skrócić? – spytała.

– Jasne.

Skoncentrowałem się i włożyłem w to zadanie wszystkie swoje umiejętności, bo przecież to ona chciała tego papierosa, a mimo to wyszedł mi trochę twardy pośrodku i na jednym końcu odrobinę grubszy. Ponieważ Tonje była w kuchni, rozdarłem go i zrobiłem drugi. Ten mi wyszedł lepiej.

– Proszę – podałem jej.

Wsunęła go do ust i przypaliła. Zaciągnęła się ostrożnie, dym przez moment unosił się między nami, ale zaraz się rozwiął.

– Ładnie tu?

– Tak, bardzo ładnie.

– Właściwie dobrze się składa, że przyszedłeś. Chciałam przesunąć tę półkę, a wolałabym jej nie demontować wyłącznie z tego powodu.

– Bierzemy się do tego od razu? – spytałem.

– Możemy. – Odłożyła papierosa do popielniczki i wstała.

Kiedy półka już została przesunięta, Tonje nastawiła ten sam utwór, który puszczała mi poprzedniego wieczoru.

Spojrzelismy na siebie, zrobiła krok w moją stronę.

– Próbowalesz mnie wczoraj pocałować? – spytała z uśmiechem.

– Tak. Ale odwróciłaś głowę.

– Niechący, chyba rozumiesz. Spróbuj jeszcze raz.

Objęliśmy się. Pocałowaliśmy.

Przytuliłem się do niej, szeptem wymawiając jej imię.

Nie zamierzałem jej puścić. Nigdy, przenigdy.

Zostałem u niej całą noc. Lgnęliśmy do siebie, byliśmy wobec siebie całym otwarciem, wszystko przepełniało światło. Czułem się do bólu szczęśliwy, bo ją miałem, była przy mnie cały czas. Była przy mnie, wokół mnie, a ja czułem się do bólu szczęśliwy i wszystko przepełniało światło.

A więc życie potrafi być aż tak cudowne. Tak cudownie jest żyć.

Puszczaliśmy na okrągło ten sam utwór. Nie mogliśmy oderwać od siebie rąk. Nad ranem zasnęliśmy na kilka godzin, miałem iść do pracy, ale to nie wchodziło w grę, nie mogłem, nie teraz, kiedy była przy mnie, więc razem zszliśmy do budki telefonicznej. Podczas gdy dzwoniłem, ona stała na zewnątrz i się śmiała, w mitenkach, w czapce i wielkim szalu, owiniętym wokół szyi. W radiu jeszcze nikogo nie było, włączyła się tylko automatyczna sekretarka, więc się nagrałem, że jestem chory i nie mogę przyjść. Odłożyłem słuchawkę, wyszedłem z budki i objąłem Tonje, szliśmy obok siebie, tak blisko, jak tylko się dało.

– Nigdy dotąd nie urwałem się z pracy. Ani razu. Mam wyrzuty sumienia.
– Żałujesz? Przecież możesz iść do radia i powiedzieć, że nagle poczułeś się lepiej.

– Oczywiście, że nie żałuję!

– Tak też myślałam.

Ze wszystkich rzeczy, jakie mogliśmy robić tego dnia, wybraliśmy wycieczkę do oceanarium. Był styczeń, a więc prawie żadnych zwiedzających, waleśaliśmy się bez planu, śmialiśmy się, obserwując pingwiny pływające pod wodą, robiłem Tonje zdjęcia, bo po drodze wstałem do siebie po aparat, ona długo mówiła o tym, co wymyśli na obiad, to musiało być coś wyjątkowego, bo to przecież pierwszy dzień, kiedy jesteśmy razem. Bo już byliśmy razem!

Tego dnia przelewały się przeze mnie kolejne fale radości.

Tonje wzięła się do przyrządzania *boeuf bourguignon*, przyglądałem się, jak to robi, zanurzyła łyżkę w garnku, odwróciła się do mnie, wsunęła ją do ust i przewróciła oczami.

– Mniam! Fantastyczne! – powiedziała.

– Kocham cię.

Zdrętwiała, patrzyła na mnie wręcz z przerażeniem. Odwróciła się, zdjęła pokrywkę z drugiego garnka i niewielką igłą nakłuła ziemniak, który trząsał się we wrzątku, buchnęła para.

– Jeszcze dwie minuty.

Podszedłem do niej, objąłem ją i pocałowałem w kark.

Odwróciła twarz w moją stronę i pocałowała mnie.

– W dzieciństwie miałam taki dzień, kiedy wszystko było fantastyczne. Mama go wymyśliła. To miał być dzień kaczk. Poszliśmy do kina na film z Kaczorem Donaldem, karmiłyśmy kaczkę w parku, dostałam komiks o Donaldzie, a na koniec jadłyśmy kaczkę w restauracji.

– Naprawdę? Czy to nie trochę barbarzyńskie zakończenie dnia?

Roześmiała się.

– Uwielbiam kaczkę. To najpyszniejsza rzecz na świecie. Już wtedy tak uważałam. Ale najfajniejsze było to, że ten dzień spędziłyśmy tylko we dwie. Mama i ja. Cały dzień. Dzisiaj wiele razy to wspominałam. Czułam się taka szczęśliwa.

Po obiedzie Tonje odkryła, że nie ma kawy, i powiedziała, że skoczy po paczkę na stację benzynową. Stwierdziłem, że nie ma takiej potrzeby, ale się uparła i już za moment zbiegała po schodach.

Niepokoiliem się. Ten dzień przyniósł bezgraniczne szczęście. Teraz wydawało mi się, że ona umrze. Miałem świadomość, że popadam w paranoję, przecież szansa na to, że coś się stanie, była bliska zeru, ale nie mogłem zapamiętać nad obrazem nadjeżdżającego autobusu, szofera, który jej nie zauważa, kierowcy tira, który na moment zagląda za osłonę przeciwsłoneczną po paczkę papierosów i nie widzi, jak ona przebiega przez ulicę...

Minęło dziesięć minut. Minęło dwadzieścia. Trzydzieści.

Dlaczego nie wracała?

N a p r a w d ę coś się stało.

O nie, tylko nie to. Tylko nie to!

Z trudem panowałem nad mdłościami.

Nagle rozległy się kroki na schodach i Tonje wparowała do kuchni, uśmiechnięta od ucha do ucha, z czerwoną paczką kawy Friele w ręku.

– Spotkałam znajomego, którego dawno nie widziałam – wyjaśniła, wyplątując się z szalika. – Długo mnie nie było?

– Nie wolno ci mnie opuszczać na tyle czasu – powiedziałem.

– To następnym razem chodź ze mną!

Kiedy zbliżała się północ, poszliśmy do mnie, Tonje wzięła trochę swoich rzeczy. Na klamce drzwi do mojego mieszkania wisiała reklamówka. Zajrzałem do niej. Paczka kawy i duża tabliczka czekolady.

– Od kogo to dostałeś? – spytała Tonje.

– Nie mam pojęcia.

Najprawdopodobniej od którejś z dziewczyn z radia, ale tego nie mogłem powiedzieć. Zresztą nie miałem pewności.

– Widzę, że w Bergen jest więcej osób, które się o ciebie troszczą – zauważyła.

– Na to wygląda.

Weszliśmy do mieszkania, Tonje poszła pod prysznic i wróciła do pokoju owinięta ręcznikiem. W ręku trzymała butelkę *shampoo for kids*.

- Używasz szamponu dla dzieci? – spytałem, przyciągając ją do siebie.
- Tak, a co? Najlepszy do moich włosów.
- Jesteś pełna tajemnic.
- Ta akurat była dość nieduża, prawda?

Trzy dni później powiedziałem w radiu, że rzeczywiście byłem chory, jakaś grypa, trochę gorączki, chociaż niezbyt wysokiej, ale źle się czułem na tyle, że nie mogłem przyjść do pracy. Przed południem zjawił się Tore i zagadka reklamy na kłamce się rozwiązała. To on u mnie był.

– Dowiedziałem się, że się rozchorowałeś, i pomyślałem, że potrzebujesz pociechy.

Nie miałem serca mu mówić, że wcale nie byłem chory. Ale o Tonje powiedziałem. Nie mogłem się powstrzymać. Za bardzo mnie to przepełniało.

Wieczorem tego dnia poszliśmy do kina na *Prawdziwy romans*. Później mieliśmy iść do Tonje na gofry. W kinie trzymałem gofrownicę przy nogach. Kiedy wyszliśmy po filmie, uświadomiłem sobie, że jestem antytezą wszystkiego, co widzieliśmy. Oni mieli torby pełne broni, a ja taszczyłem gofrownicę. Nie mogłem przestać się z tego śmiać.

W piątek poszliśmy do Opery, pierwszy raz pokazaliśmy się razem, nadeszliśmy ulicą, trzymając się za ręce, całowaliśmy się, stojąc w kolejce do wejścia, było tam kilka osób z radia, wiedziałem, że o nas rozmawiają, Tonje i Karl Ove są razem, i nie chciałem tam być, nie chciałem pić, chciałem jedynie być z nią. Wszystkie pomieszczenia, do których wchodziliśmy, ulegały przemianie, nasycaly się niesamowitą atmosferą, zupełnie niezależną od tego, jak naprawdę wyglądały, jej mieszkanie, moje, kawiarenki, w których przesiadywaliśmy, ulice, którymi chodziliśmy.

Dwa tygodnie później zrobiłem idiotyczną rzecz. Yngve miał w planach koncert w Garage, zadzwonił, bo chciał, żebym z nim poszedł, zgodziłem się, ale powiedziałem, że spytam Tonje, może wybrałaby się z nami, czy to będzie w porządku?

Było w porządku. Przyszliśmy tam, trzymając się za ręce, zapłaciliśmy, przybito nam pieczątki na dłoniach i zeszliśmy do piwnicy, gdzie już czekał Yngve. Kupiłem piwo dla całej trójki, usiedliśmy przy jego stoliku, rozmowa toczyła się niemrawo, oni słabo się znali, a ja z jakiegoś powodu nie miałem za wiele do powiedzenia.

Zespół zaczął grać, podeszliśmy popatrzeć, Yngve i Tonje rozmawiali, on się nachylił i szepnął jej coś do ucha, ona kiwnęła głową i podniosła na niego wzrok, początkowo się ucieszyłem, to były przecież dwie najważniejsze osoby w moim życiu, znów poszedłem po piwo dla nas wszystkich, poczułem, że jestem już trochę wstawiony, ścisnąłem Tonje za rękę, odpowiedziała mi tym samym, ale trochę jakby nieobecna, trochę jakby odmieniona, a we mnie coś się odwróciło, ogarniał mnie coraz większy smutek, kupiłem kolejne piwa, a kiedy wróciliśmy do stolika, znów nie miałem nic do powiedzenia, opuściła mnie radość, piłem i patrzyłem przed siebie, uśmiechami odpowiadałem na uśmiechy Tonje, nie zorientowała się, że coś się zmieniło, bo Yngve był wesoły i rozgadany, ona była wesoła i rozgadana, przeskakiwali z tematu na temat, śmiali się i wyraźnie znakomicie czuli w swoim towarzystwie.

Znakomicie się czuli w swoim towarzystwie. Dlaczego zresztą miałoby być inaczej? Yngve to Yngve, czarujący, zabawny, doświadczony, facet pod każdym względem fajniejszy ode mnie.

Ona śmiała się z niego. On z niej.

Co tu się dzieje?

Poczułem się ciężki, ledwie mogłem się poruszyć, a w środku zrobiłem się całkiem czarny. Kłuło mnie każde spojrzenie, jakie sobie posyłali.

Był lepszy ode mnie. Tonje już o tym wiedziała. Po co jej ja, skoro może mieć jego?

Yngve wyszedł do toalety.

– Co się dzieje, Karl Ove? – spytała.

– Nic. Tak sobie siedzę i myślę. Tyle się wydarzyło w ostatnich dniach.

– To prawda. Ale ja się czuję kapitalnie. Masz fajnego brata.

– To dobrze.

Ale to się nie skończyło, tylko ciągnęło dalej, gadali ze sobą, jakbym w ogóle nie istniał, więc piłem i popadałem w coraz większą rozpacz. W końcu pomyślałem, że pierdołę to wszystko. Pierdołę całe to zasrane gównno.

Wstałem i poszedłem do toalety. Oparłem się czołem o ścianę. Na podłodze zobaczyłem stłuczoną szklankę po piwie. Nachyliłem się, wziąłem do ręki odłamek, przejrzałem się w lustrze. Pociągnąłem szkłem przez policzek. Ukazała się czerwona smuga i wystąpiło na nią kilka kropli krwi. Wytarłem tę krew, nie pojawiła się więcej. Przeciągnąłem szkłem przez drugi policzek, tym razem z całej siły. Wytarłem krew papierem, wrzuciłem go do sedesu, spuściłem wodę, odłamek szkła cisnąłem na podłogę za koszem na śmieci i wróciłem do stolika.

Z jakiegoś chorego powodu to, co zrobiłem, jakby dodało mi sił. Przyniosłem kolejne piwa. Tonje ujęła moją rękę i przycisnęła ją sobie do uda, cały czas rozmawiając z Yngvem, może zorientowała się, o czym myślę, i chciała mnie pocieszyć. Zabrałem rękę, wypłem duszkiem pół szklanki i nagle zatęskniłem za toaletą, nagle zapragnąłem być tylko tam, więc tam wróciłem, zamknąłem drzwi na zamek, sięgnąłem po szkło i zrobiłem dwa długie nacięcia obok tych poprzednich, i jeszcze jedno przez podbródek, w miejscu, gdzie skóra była cieńsza i gdzie bardziej bolało. Starłem krew, popłynęło jeszcze trochę, opłukałem twarz zimną wodą, osuszyłem ją i wróciłem do nich.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem, że cieszy mnie ich wzajemna sympatia. Wypiliśmy za to wszyscy troje.

– Co ty masz na policzku? – spytał nagle Yngve. – Ręka ci rano zadrzała przy goleniu?

– Mniej więcej.

Na sali było ciemno, mnóstwo ludzi, Tonje i Yngve pili, zajęci sobą, więc nie zauważyli, co zrobiłem, skończyło się na tym jednym komentarzu Yngwego. Ale nie miał na tyle wyobraźni, aby pomyśleć, że mogłem się pociąć. A ja to robiłem przez resztę wieczoru, na zimno i metodycznie, kolejne partie twarzy pokrywały się nacięciami, skaleczenia coraz bardziej piękły, w końcu, chociaż siedziałem obok nich i piłem, mało brakowało, a zacząłbym krzyczeć z bólu, gdyby nie to, że jednocześnie sprawiał mi przyjemność. Ten ból miał w sobie radość, radość z tego, że go wytrzymuję i że wytrzymam wszystko, wszystko, wszystko.

– Może pójdziemy do Opery, zanim tam zamkną? – zaproponował Yngve.

– Dobry pomysł – podchwyciła Tonje.

Wstałem pierwszy, włożyłem płaszcz i owinąłem szyję szalikiem, pilnując,

aby zakrył dolną część twarzy. Na czoło naciągnąłem czapkę, ruszyłem przodem po schodach i wyszedłem na Nygårdsgaten. Przyjemnie chłodne powietrze kąsało rany. Byłem już bardzo pijany, ale kroki stawiałem pewnie, a mój głos, gdybym nawet zdecydował się coś powiedzieć, brzmiałby zupełnie normalnie.

Miałem pustkę w głowie. Została mi jedynie triumfalna myśl o tym, co zrobiłem.

Tonje wzięła mnie za rękę. Yngve lekko pochylił głowę do przodu, jak zawsze, kiedy szedł.

Przed Operą była kolejka. Stanęliśmy na samym końcu.

Tonje spojrzała na mnie.

I zaczęła krzyczeć.

– Co się stało? Co się stało? Krew ci leci!

Przeszedłem na drugą stronę ulicy.

– Coś ty zrobił, Karl Ove? – Yngve ruszył za mną.

– Nic. Tylko się trochę pociąłem.

Dołączyła do nas Tonje.

Płakała, bliska hysterii.

– Co ty zrobiłeś? – powtarzała. – Co ty zrobiłeś?

Ruszyłem przed siebie. Yngve za mną.

– Idę do domu – oznajmiłem. – Zaopiekuj się Tonje.

– Jesteś pewien? Nie wymyślisz nic więcej?

– Zostaw mnie, do jasnej cholery. Zajmij się nią!

Stanął, a ja szedłem dalej, nie odwracając się, pod górę przy Tabernaklet, kościele zielonoświątkowców, dalej przez Skottegaten, do domu, w którym wynajmowałem mieszkanie. Wszedłem, w ubraniu położyłem się na łóżku i czekałem na dzwonek do drzwi, ona musiała przyjść za mną, musiała, musiała zostawić Yngvego i przyjść tutaj, zadzwonić, musiała, leżałem, nasłuchując, ale nic nie słyszałem, wreszcie zasnąłem, odcinając się od wszystkiego.

*

Już kiedy spałem, wiedziałem, że nie mogę się obudzić, że czeka mnie coś strasznego, i długo udawało mi się utrzymać w tej strefie tuż pod progiem świadomości, lecz w końcu źródło snu wyschło i nie mogłem tam dłużej pozostać.

Twarz mnie bolała, wszystko, co się wydarzyło, powróciło. Pomyślałem, że muszę odebrać sobie życie.

Myślałem o tym już wielokrotnie, ale to była taka zabawa, nigdy, w żadnych okolicznościach, nie mógłbym tego zrobić, również teraz.

A jednak czułem w sobie taki ból, że uśmierzyć go mogła jedynie ta myśl.

Poduszka była zakrwawiona. Poszedłem do przedpokoju i sięgnąłem po płytę CD, którą powiesiłem na gwoździu. Spojrzałem na swoją twarz.

Zniszczyłem ją. Wyglądałem jak potwór.

Jeśli zostaną blizny, już zawsze będę tak wyglądał.

Wziąłem prysznic. Położyłem się na łóżku. Usiłowałem sobie wyobrazić, jak musiała się czuć Tonje. Co może sobie teraz myśleć. Czy między nami już koniec?

Nie tak to sobie wyobrażała, wiążąc się ze mną.

Usiadłem i spuściłem głowę.

– Mój Boże – powiedziałem. – Niech to się dobrze skończy.

Poszedłem do kuchni, wyjrzałem na tylne podwórze.

Musiałem się z nią spotkać.

Ale może nie dzisiaj.

Dziś najlepiej zostawić ją w spokoju.

Wieczorem miałem grać z Yngvem i Torem w tej zamkniętej fabryce. Do Yngvego poszedłem kilka godzin wcześniej.

– Wyglądasz strasznie – powiedział wprost na mój widok. – Dlaczego to

zrobiłeś?

– Nie wiem. Po prostu. Trochę za bardzo się upiłem. Mogę wejść czy nie?

– Jasne.

Usiedliśmy w pokoju. Nie patrzyłem mu w oczy, wbiłem wzrok w podłogę jak pies.

– O czym myślałeś? Bo na pewno nie o Tonje.

– Co z nią? Co się stało?

– Odprowadziłem ją do domu.

– I co mówiła?

– Mówiła? Nic nie mówiła. Całą drogę płakała. Chociaż nie, powiedziała, że nic nie rozumie. Że byliście tacy szczęśliwi. Że wydawało jej się, że ty też jesteś szczęśliwy.

– Bo byłem.

– No, raczej na to nie wyglądało.

– Wiem.

Zapadła cisza.

– Musisz przestać pić. N i e m o ż e s z pić.

– Wiem.

Znowu cisza.

– Myślisz, że ode mnie odejdzie?

– Skąd mam wiedzieć? Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Musisz do niej iść.

– Nie teraz. Nie mam siły.

– Ale musisz.

– Nie możesz iść ze mną? No, nie do niej, ale może byś mnie odprowadził? Nie chcę być sam.

– Dobrze. I tak powinienem się przewietrzyć.

Gdy tylko wyszliśmy na dwór, Yngve zaczął mówić o innych rzeczach, zwyczajnych. Nie odzywałem się, ale cieszyłem się, że on mówi. To pomagało. Bałem się, że nie zastanę Tonje w domu, i poprosiłem, żeby na wszelki wypadek poczekał. Zadzwoiłem do drzwi i spojrzałem w okna, ale nie było żadnej

reakcji, więc wróciłem do Yngvego. Poszliśmy do knajpy otwartej całą dobę, korzystali z niej ludzie pracujący w systemie zmianowym, kierowcy ciężarówek i taksówkarze, więc ryzyko, że natkniemy się tam na kogoś znajomego, było minimalne. Kiedy zaczęło się ściemniać, wróciliśmy do Yngvego po gitarę i poszliśmy spotkać się z Torem.

Patrzył na mnie, biały jak ściana.

– Co ty zrobiłeś? – spytał.

Musiałem odwrócić wzrok, bo Tore się rozplakał.

– To tylko tak źle wygląda – powiedziałem. – Zwykle zadrapania, wcale nie głębokie.

– Niech cię cholera, Karl Ove!

– Daj spokój, chodźmy pograć.

Po godzinie w lodowatym lokalu, w czapkach, szalikach i grubych kurtkach, w białych oparach powietrza buchającego z ust, wyszliśmy stamtąd. Yngve wracał do domu. Tore i ja stanęliśmy na rogu. Powiedział, że pewien bliski mu człowiek próbował raz popełnić samobójstwo. Poszedł do lasu i strzelił sobie w pierś z wiatrówki. Znaleźli go i przeżył.

– Nie wiedziałem – mruknąłem.

– A skąd miałbyś wiedzieć? Bylebyś tylko ty nie wymyślił czegoś takiego.

– Ale to nie było nic podobnego, Tore. Nawet mi to w głowie nie powstało. Po prostu się schlałem i uznałem, że to dobry pomysł.

– Nie był.

– Teraz sam widzę, że nie.

Roześmialiśmy się i ruszyliśmy dalej. Na rogu przy Grieghallen pożegnaliśmy się, on poszedł pod górę do siebie, ja do Tonje.

Tym razem otworzyła okno. Ale nie zeszła na dół, żeby mnie wpuścić, jak robiła za każdym razem do tej pory, tylko zrzuciła mi klucz. Otworzyłem sobie drzwi i wszedłem na górę. Miała gości. Była u niej jej najlepsza przyjaciółka z chłopakiem.

Zatrzymałem się w drzwiach.

– Przepraszam – powiedziałem. – Wyglądam okropnie. Ale upiłem się i pościłem sobie twarz.

Tonje w ogóle na mnie nie patrzyła.

- Właśnie wychodziliśmy – odezwał się chłopak jej przyjaciółki.
Rzeczywiście wstali, ubrali się, pożegnali i wyszli.
- Tak mi przykro z powodu tego, co się stało. Możesz mi wybaczyć?
- Tak. Ale nie wiem, czy mogę dalej z tobą być. Nie wiem, czy tego chcę.
- Rozumiem.
- Robiłeś wcześniej takie rzeczy?
- Nie, nigdy. I nigdy więcej tego nie zrobię.
- Co w ciebie wstąpiło?
- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Po prostu zrobiłem to, i już.
Usiadłem w fotelu, wpatrzony w nią. Ona wpatrzona w okno.
- Jasne, że chcę z tobą być – powiedziała, odwracając się. Po policzkach płynęły jej łzy.

*

Rok później zamieszkaliśmy razem. Znaleźliśmy dwupokojowe mieszkanie tuż przy budynku Wydziału Nauk Ścisłych i staraliśmy się urządzić je jak najlepiej, choć mieliśmy niewiele mebli. W położonej w głębi sypialni, malutkiej jak kajuta na statku, w zasadzie nie mieściło się nic poza łóżkiem. Obok był salon, również nieduży, a żeby mieć więcej pomieszczeń, podzieliliśmy go regałem na książki. Po jednej stronie wygospodarowałem sobie niewielkie miejsce do pisania, po drugiej ustawiliśmy kanapę, krzesła i stół.

Tu doszło do naszych pierwszych kłótni, z powodu drobiazgów związanych ze wspólnym mieszkaniem, ale też tutaj po raz pierwszy toczyło się nasze prawdziwe wspólne życie, bo nagle musieliśmy wszystko robić razem. W tym małym mieszkanku razem spaliśmy, razem jedliśmy, razem słuchaliśmy muzyki lub oglądaliśmy telewizję i podobało mi się, że Tonje zawsze jest, a jeśli dołądkolwiek wychodzi, zawsze tu wraca. Została redaktor naczelną Radia Studenckiego i dużo pracowała. Ja po czterech latach przerwy wróciłem na uniwersytet, studiowałem historię sztuki na poziomie podstawowym i tak się wstydziałem tego, że jestem starszy od większości studentów, że w ogóle nie nawiązywałem z nimi kontaktu. Kiedy nie chodziłem na wykłady i nie oglądałem slajdów z dziełami sztuki, ślęczałem pochylony nad książkami w czytelni i uczyłem się jak dziki. Po zakończeniu służby zastępczej w marcu poprzedniego roku pojechałem razem z Jonem Olavem i kilkoma jego kumplami do Vats, gdzie budowano gigantyczną platformę gazową Troll, na której dostali pracę. Dołączyłem do nich w nadziei, że z czasem będą tam potrzebować więcej ludzi, i po przespaniu trzech nocy na kanapie w baraku administracji z gromady poszukiwaczy szczęścia zostaliśmy tylko Ben i ja, i chociaż byliśmy – przynajmniej ja – chyba najgorzej wykwalifikowanymi betoniarzami, jakich kiedykolwiek tam zatrudniono, w końcu dostaliśmy robotę. Przez dwa i pół miesiąca pracowałem przy budowie jednej z betonowych podpór; kiedy zaczynałem, wznosiła się jakieś dwadzieścia metrów nad poziomem morza, a kiedy kończyłem, miała już tych metrów ponad sto. Na początku cierpiałem na lęk wysokości, ale pod-

pora rosła tak powoli, że po jakimś czasie do tego przywykłem i w ostatnich dniach z poczuciem triumfu chodziłem po zewnętrznym rusztowaniu, składającym się z trzech desek i cienkiej balustrady, sto metrów nad poziomem wody, bez cienia strachu. Byłem marnym robotnikiem, ale przydzielano mi tak proste prace, że jakoś sobie radziłem. Pracowaliśmy na dwunastogodzinne zmiany, albo dzienne, albo nocne, a przebywanie w środku nocy pod gwiazdami, wśród monotonnego warkotu maszyn, i obserwowanie na środku fiordu świateł z trzech pozostałych budowanych podpór, w otoczeniu nieprzeniknionej ciemności i przy wtórze wiatru świszczącego w uszach, było naprawdę magiczne, wydawało się, że we wszechświecie istniejemy tylko my, nieduża kolonia ludzi na rozświetlonym pojeździe w wielkiej nicości. Tonje po moim powrocie złościła się na mnie, ale nie dlatego, że pojechałem do pracy zaledwie kilka tygodni po tym, jak się ze sobą związaliśmy, tylko dlatego, że ani razu nie zadzwoniłem. Tłumaczyłem jej, że raz próbowałem, ale nie zastałem jej w domu, a tam nie było czasu na dzwonienie, spałem, jadłem, pracowałem, i tyle. Zorientowałem się, że mi nie wierzy, że przypisuje temu wielkie znaczenie i uważa to za z n a k. Może rzeczywiście miała rację, naprawdę niewiele o niej myślałem, kompletnie pochłonięty obcością i niesamowitością tej pracy, ale czy to powinno się liczyć, skoro mogłem, patrząc jej w oczy, mówić, że ją kocham, i przy tym nie kłamać? Patrząc jej w oczy, mówić, że dla mnie istnieje tylko ona, teraz i już na zawsze?

Pieniądże wpłynęły na konto, lecz chciałem mieć ich więcej. Praca na budowie platformy gazowej w moim wypadku się zakończyła, ale mogłem się zatrudnić przy budowie platformy naftowej, która powstawała w stoczni w Hanøytangen niedaleko Bergen. Zadzwoniłem tam, powiedziałem, że wcześniej pracowałem dla Norwegian Contractors, kazali mi się natychmiast zgłosić. Spodziewali się chyba jakiegoś eksperta i nieźle się rozczarowali, kiedy zrozumieli, że jestem tylko inteligencikiem, który ma dwie lewe ręce. Ale mnie przyjęli i utrzymałem się w tej pracy aż do końca budowy. Robota była ciężka i monotonna, tak ją jednak polubiłem, że zacząłem się zastanawiać, czy nie zgłosić się do innych dużych projektów, na przykład na budowę nowego lotniska we wschodniej Norwegii, o którym rozmawiano podczas przerw.

Praca w Hanøytangen nie wymagała opuszczania Bergen, a moje wolne tygodnie spędzaliśmy razem z Tonje, albo u mnie – budziłem się wcześniej rano, wychodziłem po świeże krewetki, świeży chleb i świeżo zmieloną kawę, owo-

ce i sok na śniadanie – albo w jej krzywym mieszkaniu, pełnym przeciągów, rozświetlonym blaskiem pierwszego zauroczenia.

Pewnego dnia poznałem wreszcie matkę Tonje i jej męża, którzy od kilku miesięcy mieszkali w Afryce. Przyjechali do kraju na parę tygodni, wynajęli dom od jakichś znajomych, jedliśmy obiad w ogrodzie, bardzo się denerwowałem, ale nic złego się nie wydarzyło, dobrze mi życzyli i byli mnie ciekawi, a kiedy od nich wychodziliśmy, zaproponowali, żebyśmy ich odwiedzili w Afryce, na przykład w święta Bożego Narodzenia. Obiecaliśmy, że przyjedziemy. Mieliśmy pieniądze i mieliśmy czas.

Znów próbowałem pisać, ale bez powodzenia, nie podchodziłem do tego poważnie, więc i nie stworzyłem nic poważnego, przynajmniej w porównaniu z tym, co pisali Kjartan i Espen. Uznałem, że powinienem wyjechać na pewien czas, wyjechać gdzieś, gdzie mógłbym zająć się wyłącznie pisaniem, a ponieważ istniała możliwość odbierania norweskiego zasiłku dla bezrobotnych w którymś z krajów Unii Europejskiej, równie dobrze mogłem się przenieść do jednego z nich, na przykład do Anglii, napisałem więc do Olego, kolegi ze studiów. Ożenił się z Angielką, mieszkał w Norwich, stwierdził, że to idealne miasto dla mnie.

Rano w dniu wyjazdu stłukłem lusterko. Tonje nic nie powiedziała, ale zrozumiałem, że się wkurzyła. W taksówce na prom tłumaczyłem jej, że nie zrobiłem tego specjalnie.

– Przecież nie chodzi mi o lusterko, ty głupku – rozpląkała się. – Tylko o to, że ode mnie odjeżdżasz!

– Tak ci przykro?

– A co, nie wiedziałaś?

– Nie. To przecież tylko trzy miesiące. No i przyjedziesz mnie odwiedzić, a potem, do diabła, lecimy do Afryki! Poza tym muszę wreszcie coś napisać.

– Wiem. Tylko tak strasznie będę za tobą tęskniła. Ale dam radę. Nie musisz się mną przejmować.

Uśmiechała się.

Kiedy godzinę później szedłem trapem przypominającym wielką tubę, odwróciłem się, zobaczyłem ją i pomachaliśmy sobie ostatni raz, pomyślałem, że ją kocham i chcę się z nią ożenić.

To była jedna z tych myśli, które zmieniają wszystko. Które się pojawiają

i ustawiają wszystko na swoim miejscu. To była myśl, która miała w sobie przyszłość i sens. A właśnie tego mi brakowało, i to od dawna. Przyszłości i sensu.

Oczywiście moglibyśmy żyć razem, tak jak do tej pory, i zobaczyć, co z tego wyniknie. W zasadzie takie rozwiązanie nie zawierało wcale mniej przyszłości i sensu. Tonje była Tonje, bez względu na to, czy będziemy małżeństwem, czy nie. Ale mimo wszystko. Nie znałem nikogo w moim wieku, kto by się już ożenił, małżeństwo było przypisane do poprzednich pokoleń, pozostawało dziewiętnastowiecznym anachronizmem, wymyślonym z powodu sztywnej moralności seksualnej i równie sztywnego podejścia do człowieka, nakazującego, aby kobieta siedziała w domu z dziećmi, a mężczyzna pracował, równie staroświeckiego jak cylinder i nocnik, jak esperanto i parostatek. Dla człowieka naszych czasów rozsądnym rozwiązaniem było nie brać ślubu, dla człowieka naszych czasów rozsądnym rozwiązaniem było zamieszkać razem, darzyć się wzajemnie szacunkiem ze względu na nasze wnętrza, a nie uzależniać się od form zewnętrznych. Nic nie nakazywało nam brać ślubu, to się kojarzyło z rozlazłą parą, która w rozciągniętych spodniach od dresu ogląda wieczorami wideo, płodzi kilkoro dzieci, rozstaje się i zajmuje się nimi na zmianę co dwa tygodnie. Mogliśmy osiągnąć godne życie środkami, które nasze czasy dawały nam do dyspozycji. To było rozsądne i słuszne. Ale miłość nie miała nic wspólnego z rozsądkiem, miłość nie miała nic wspólnego z dostosowaniem się do czasów, miłość nie miała nic wspólnego ze słuszością, była czymś więcej, musiała być czymś więcej, więc, do jasnej cholery, dlaczego nie wyciągnąć z mroku czasów małżeństwa i ponownie nie ubrać miłości w jego formę? Dlaczego nie używać wielkich słów? Dlaczego nie przysiąc uroczyście, że będziemy się kochać do kresu naszych dni? Dlaczego nie upierać się przy głębokiej powadze, która się z tym łączyła? Dlaczego nie pielęgnować trwającego do końca życia zobowiązania? Wszystko, co poza tym robiliśmy, było jedynie wygłupem, bez względu na to, czym się zajmowaliśmy, nikt w nic tak naprawdę nie wierzył. Przynajmniej nikt, kogo znałem. Życie było zabawą, życie było sposobem na spędzenie czasu, a śmierć... śmierć nie istniała. Śmiałyśmy się ze wszystkiego, również ze śmierci, i nie bez racji, śmiech przecież zawsze ma ostatnie słowo, choćby w postaci wyszczerzonych zębów trupiej czaszki, gdy pewnego dnia spoczniemy z ustami pełnymi ziemi.

Ale ja chciałem, wierzyłem i postanowiłem.

Odebrałem w recepcji klucz do kabiny, zostawiłem w niej walizkę i poszedłem do kawiarni. Wszystko stało przede mną otworem, wyjeżdżałem do nowego kraju, do miasta, którego nigdy wcześniej nie widziałem, nie wiedziałem, gdzie będę mieszkać, i nie miałem pojęcia, co mnie czeka.

Zamierzałem zostać w Anglii trzy miesiące, później zaplanowaliśmy podróż do Afryki i tam chciałem się oświadczyć.

Idealnie się składało.

Prom zaczął sunąć po wodzie. Pomyślałem, że Tonje na pewno wraca już do domu, i wyszedłem na pokład sprawdzić, czy gdzieś jej nie zobaczę. Odpłynęliśmy już jednak za daleko, z tej odległości nie dało się rozpoznać ciemnych sylwetek poruszających się przy Bryggen.

Niebo było szare, woda, po której sunęliśmy, czarna. Położyłem dłonie na relingu i popatrzyłem w głąb Sandviken. Na krótką chwilę powróciła stara myśl, aby porzucić wszystko. Co gorsza, mógłbym to zrobić bez problemu. Zawsze wiedziałem, że mogę odwrócić się plecami do teraźniejszości, po prostu odejść, i nigdy nie będę tego żałował. Również Tonje mógłbym zostawić. Nie tęskniłem za nią, kiedy nie było jej przy mnie. Nigdy za nikim nie tęskniłem. Nigdy nie tęskniłem za mamą ani za Yngvem. Nigdy nie tęskniłem za Espenem ani za Torem. Nigdy nie tęskniłem za Gunvor w trakcie naszego związku i teraz też nie tęskniłem za Tonje. Wiedziałem, że będę chodzić ulicami Norwich, siedzieć w jakimś mieszkaniu i pisać, może wyjdę się napić z Olem i nie będę za nią tęsknił. Od czasu do czasu pomyślę o niej ciepło, ale bez tęsknoty. Miałem w sobie taką rysę, taką wadę, chłód w sercu. Kiedy zbliżałem się do ludzi, wyczuwałem, czego chcą, i podporządkowywałem się temu. Kiedy Gunvor czuła, że się od niej oddalam, wychwytywałem to odczucie i starałem się mu zaradzić. Robiłem to nie dla siebie, tylko dla niej. Gdy powiedziałem coś, co według mnie Espen uznał za głupie, wstydziłem się i starałem się to naprawić, w takich sytuacjach znaczenie miała wyłącznie jego ocena mojej osoby. Nie mogłem być oddalony i się z tym godzić? Nie mogłem być głupi i się z tym godzić?

Nie. Nie w takich sytuacjach, nie wobec tych ludzi.

Ale kiedy byłem sam, przestawało to mieć znaczenie.

Ów chłód w sercu mnie przerażał, niekiedy myślałem, że jestem nieludzki, niczym Drakula żywiący się uczuciami innych, lecz sam ich pozbawiony. Moje

zakochania – czymże innym były niż lustrami? O cóż innego w nich chodziło, jeśli nie o moje własne uczucia?

Jednak to, co czułem do Tonje, było szczere, a ponieważ szczere uczucia ceniłem najwyżej na świecie, musiałem wszystko na to postawić.

Ale za nią nie tęskniłem.

Cały dzień i wieczór czytałem, trochę też notowałem pomysły i przemyślenia. Wiedziałem, że teraz albo nigdy. Nie mogłem dłużej być kimś, kto pisze, ale go nie wydają, zarówno z przyczyn czysto praktycznych – po pierwsze, w zdobywaniu wykształcenia byłem już o kilka lat opóźniony w porównaniu z tymi, z którymi zaczynałem studia, a po drugie, musiałem zarobić na utrzymanie – jak i ze względu na moją godność. Dwudziestolatek, który zajmuje się wyłącznie pisaniem, bo chce zostać pisarzem, jest czarujący, dwudziestopięciolatek, który robi to samo, jest przegrany.

Opowiadanie takie jak Zmarli Joyce'a – zapisałem w notatniku. Przyjęcie rodzinne, którego uczestnicy reprezentują różne stadia życia: dziecko, młodzieniec, mężczyzna w średnim wieku, starzec, lecz jednocześnie są sobą i wykazują cechy charakterystyczne tylko dla siebie, przyjęcie, na które przyniesiono rozmaite konflikty, na którym obecne są lata czterdzieste, lata sześćdziesiąte, trochę jak kieszenie w terażniejszości, ta złożoność, bez żadnej przewodniej historii, wreszcie goście się rozchodzą i typowa rodzina wraca do domu samochodem. Na tylnym siedzeniu dwoje dzieci, starsze śpi, młodsze czuwa z zamkniętymi oczami i słyszy rozmowę rodziców o czymś niesłychanym. Albo o jakimś wydarzeniu z przeszłości, ważnym, albo o czymś, co dopiero ma się wydarzyć. Pada śnieg. Dojeżdżają na miejsce, dom jest pogrążony w ciemności i ciszy, wchodzą... i co dalej? Co ma się stać dalej? Co będzie dostatecznie niezwykłe, aby powiązać to wszystko, co się do tej pory wydarzyło?

Zamknąłem notatnik i zacząłem czytać *Ulverton* Adama Thorpe'a. Książkę przetłumaczył Svein Jarvoll. Opowiada o fikcyjnej miejscowości na angielskiej prowincji, a każdy rozdział rozgrywa się w innej epoce, pierwszy w siedemnastym wieku, ostatni w naszych czasach. Rozdziały mają różną formę i zostały napisane w różnych dialektach. Do jednego rozdziału Jarvoll wybrał dialekt z Skjåk i zdumiało mnie, jak bardzo pasuje on do opisu bram w ogrodzeniach, przez które przejeżdżało się konno, do pól i drzew, do niskich do-

mów z zapadniętymi dachami. Może dlatego, że dialekty w pewnym sensie wyrosły z krajobrazu, dany język kształtował się wyłącznie w danym miejscu, właśnie w tej czy tamtej dolinie, na przykład wymowa jakiegoś konkretnego słowa pojawiła się wraz z rosnącym w tej wsi wielkim dębem, obecnie już blisko tysiącletnim, wymowa innego słowa – jednocześnie z wykarczowaniem lasu, przygotowaniem ziemi pod uprawę i wybudowaniem kamiennego muru. W innych wioskach istniały inne słowa, inne dęby, pola i kamienne ogrodzenia.

Przez tę powieść płynął czas, wirując, przepływał przez życie ludzi. Niesamowicie to wciągało.

Może zafascynowało mnie tym bardziej, że wychowałem się w miejscu, w którym obecna była jedynie współczesność, a przeszłość istniała tylko w książkach?

Kupiłem sobie piwo, w notatniku zapisałem „XVII wiek” i spojrzałem na zegarek. Dochodziła już dwunasta, więc dopiłem i poszedłem się położyć.

Kabina mieściła się blisko dna promu, tuż pod maszynownią. Przypomniał mi się dziadek, ojciec mamy, on zawsze zamawiał kabinę ponad linią wody. Jeśli takiej nie dostał, spędzał noc w fotelu. Ja się podobnymi rzeczami nie przejmowałem. Prom mógł równie dobrze zatonać, kiedy będę spał, naprawdę mnie to nie obchodziło.

Rozebrałem się, przeczytałem parę stron *Ulvertonu* i zasnąłem. Kilka godzin później obudził mnie najbardziej fantastyczny sen, jaki kiedykolwiek mi się przyśnił.

Usiadłem i zacząłem się śmiać sam do siebie.

W tym śnie szedłem drogą koło naszego domu na Tybakken. Nagle nad ziemią poniósł się huk, potężny, wiedziałem, że takiego huku nigdy dotychczas nikt nie słyszał, przetoczył się po niebie jak grzmot, tyle że po stokroć głośniejszy.

To rozległ się głos Boga.

Zatrzymałem się i spojrzałem w niebo.

I uniosłem się w górę!

Zostałem podniesiony do nieba!

Cóż to było za uczucie! Huk, niesamowitość bliskości Boga, a potem ów niezwykły moment, kiedy się unosiłem. To była chwila spokoju i doskonałości,

uciechy i radości.

Położyłem się z powrotem.

Okej, to tylko sen. Ale odczucie było rzeczywiste. Naprawdę tak czułem. Pomyślałem: szkoda, że we śnie, ale teraz przynajmniej wiem, że ono istnieje, zamknąłem oczy i dosłownie zanurkowałem w sen, z nadzieją, że czeka mnie tam coś jeszcze bardziej fantastycznego.

W wieku siedmiu lat byłem w Anglii na wakacjach, a wspomnienia stamtąd należały do najprzyjemniejszych wspomnień z mego dzieciństwa i wszystkie do mnie powróciły, gdy nazajutrz stanąłem oparty o reling i zobaczyłem smugę, która pojawiła się w oddali. To była Anglia. Minęliśmy kilka kutrów rybackich, które wypłynęły na połów, krążyły nad nimi mewy. Przed nami ląd jakby osiadał, w miarę jak się zbliżaliśmy, widziałem go coraz więcej, aż w końcu wpłynęliśmy w coś w rodzaju kanału i znaleźliśmy się w środku tego krajobrazu, wśród zniszczonych budynków magazynowych i fabrycznych, między którymi na dużych, opustoszałych przestrzeniach walały się śmieci.

Trawa była żółta, niebo szare, a jeśli coś jaśniało kolorami, to cegły w ścianach budynków, ale one miały barwę rdzy, przemijalności i rozpadu. Wypełniło mnie to, ach, to była Anglia. Wyłaniające się budynki z pewnością pochodziły z początków epoki industrializacji, uwielbiałem to imperium, które się rozpadło, ale wciąż zachowało dumę, a ci, którzy dorastali wśród tej bez nadziejnie smutnej szarości, wszyscy bez wyjątku, ją zaczarowywali, najpierw pokolenie lat sześćdziesiątych, muzyka popowa, Beatlesi i Kinki, później heavy rock lat siedemdziesiątych, wszystkie te niegrzeczne kapele ze stalowych miast środkowej Anglii, których członkowie już w wieku dwudziestu lat zarabiali miliony, potem punk, wśród gór śmieci, które wypełniły Anglię w roku 1976, dalej postpunk i gotyk, owa ogromna powaga w tej muzyce, a ostatnio Madchester, *rave parties*, kolory i beat. Anglia, uwielbiałem Anglię, uwielbiałem wszystko, co się z Anglią wiązało. Piłka nożna, czego więcej można pragnąć niż starego, zniszczonego stadionu z początku stulecia, wypełnionego dziesięcioma czy dwunastoma tysiącami ponuro wyglądających i skłonnych do przemocy przedstawicieli klasy robotniczej, z mgłą wiszącą nad błotnistą murawą i kopnięciami tak mocnymi, że aż echo się unosiło między słupami reklamowymi? Ciemne domy z podłogami pokrytymi wykładziną, nawet na schodach i w pubach.

Kiedy prom przybił do portu, wsiadłem do piętrowego autobusu, jadącego do centrum. Gdy z niego wysiadłem, natychmiast powitały mnie okrzyki gazerów. Powietrze było tu o wiele cieplejsze niż w Bergen, znów znalazłem się w innym kraju, w odrobinę obcym otoczeniu. Poszedłem na dworzec kolejowy, kupiłem bilet do Norwich, posiedziałem parę godzin w kawiarni i wreszcie wsiadłem do pociągu.

W Norwich pojechałem taksówką do kampusu uniwersyteckiego. Ole mówił, że przed rozpoczęciem semestru można tam wynająć mieszkanie, i rzeczywiście tak było, przydzielono mi pokój, zostawiłem bagaż i poszedłem do pubu studenckiego, który od razu wypatrzyłem. Siedziałem tam parę godzin, popijałem i przyglądałem się studentom, starając się udawać, że też jestem stąd. Następnego dnia wybrałem się do miasta. Okazało się nieduże, otoczone średniowiecznym murem, pełne kościołów, obecnie używanych do najprzeróżniejszych celów, w dawnych kościołach widziałem i pub, i sklep sportowy. Była też w tym mieście rzeka, z barkami mieszkalnymi przycumowanymi do brzegów, i wielka, piękna średniowieczna katedra. Kupiłem chleb i kilka plasterków salami, usiadłem na trawie. Przede mną grały w rugby jakieś dzieciaki, prawdopodobnie gimnazjaliści. Widok ich strojów i obserwacja tej obcej mi gry wzbudziły we mnie dziwne odczucia, przesycone smutkiem. Pomyślałem o epoce wiktoriańskiej, o imperium, o szkołach z internatem, fabrykach i zamorskich koloniach, których te dzieci były częścią. To była ich historia i nigdy nie mogła stać się moją.

Kupiłem dwie lokalne gazety i usiadłem w pubie nad rzeką. Zamówiłem cydr, zacząłem przeglądać ogłoszenia o wynajmie mieszkań, zakreśliłem trzy, które mogły się okazać interesujące.

W pierwszym mieszkaniu wynajmowano pokoje wyłącznie studentom, a byłem na tyle głupi, że przedstawiłem się jako bezrobotny, wtedy kobieta, z którą rozmawiałem, po prostu odłożyła słuchawkę. Z drugą poszło mi lepiej. Powiedziała, że ma do wynajęcia pokój w mieście, ale sama z mężem mieszka gdzie indziej, czy mogę tam przyjechać?

Pewnie, że mogłem. Zapisałem adres, kupiłem gumę do żucia, żeby nie było czuć ode mnie alkoholu, i wsiadłem do taksówki.

Otworzył mi obdartus z brodą i kolczykami, uścisnął mi rękę, powiedział, że ma na imię Jim, i zawołał żonę, która wyszła się ze mną przywitać. Poje-

dziemy razem, oświadczył, wręczając mi kask typu nocnik. Motocykl stał w ogrodzie. Miał boczną przyczepkę, do której Jim kazał mi wsiąść. Tą przyczepką była przyspawana na stałe wanna. Wyprowadził pojazd i zachęcił mnie gestem, *take a seat*. Wsiadłem z wahaniem. Uruchomił motocykl, wyjechaliśmy na drogę w stronę miasta. Ludzie na chodnikach i w samochodach gapili się na mnie. Blisko dwumetrowy Norweg w nocniku na głowie mknący w wannie przez ulice Norwich.

Mieszkanie znajdowało się w dzielnicy robotniczej, w jednym z identycznych murowanych domków, ciągnących się szeregiem po obu stronach ulicy, lekko pnącej się pod górę. Facet otworzył drzwi kluczem, wszedłem za nim do środka. Najpierw zobaczyłem pokryte dywanem schody prowadzące na piętro, do dwóch pokoi, z których jeden mogłem mieć do dyspozycji. Łóżko, szafa, krzesło i biurko, nic poza tym.

Spytał, co o tym myślę.

– *It's brilliant* – powiedziałem. – *I'll take it*.

Zeszliśmy na dół, do salonu. Od podłogi po sufit wypełnionego rupieciami. Było tam wszystko, od starych części samochodowych po wypchane ptaki. Wyjaśnił, że jest kolekcjonerem.

Ale to nie była jedyna niespodzianka. W ogromnym terrarium, ustawionym na wolnym skrawku podłogi, leżał wąż dusiciel.

Właściciel powiedział, że normalnie dałby mi go potrzymać, ale gad akurat jest trochę głodny.

Spojrzałem na niego, żeby sprawdzić, czy żartuje.

Wyglądał najzupełniej poważnie.

Z salonu wchodziło się do niewielkiej kuchni, za nią była nieduża łazienka z wanną.

– *It's brilliant* – powtórzyłem, zapłaciłem kaucję w wysokości dwumiesięcznego czynszu, gospodarz pokazał mi, jak działa kuchenka gazowa, i powiedział, że mogę korzystać ze wszystkiego, co jest w mieszkaniu, no i że zajrzy w najbliższych dniach, żeby nakarmić węża.

Poszedł, a ja zostałem sam z wężem. Wił się powoli przy samej szybie terrarium. Cały się trząsałem, patrząc na niego, i czułem coraz silniejsze mdłości. Nawet kiedy się rozpakowywałem u siebie w pokoju, nie mogłem się pozbyć paskudnego wrażenia. Myśl, że gad jest na dole, nie opuszczała mnie ani na

chwilę, zabrałem ją nawet w sen. Dręczyły mnie koszmary o węzach różnych kształtów i rodzajów.

Ole napisał do mnie z informacją, że kiedy przyjadę, on akurat będzie w Norwegii, więc przez kilka dni mogłem się trzymać jedynie wyklejonego tapetą malutkiego pokoiku w mieszkaniu, które opuszczałem przed południem, żeby pochodzić po mieście, i do którego wracałem po południu. Niezwykle były dla mnie dźwięki dobiegające z zewnątrz, głosy rozbawionych dzieci, nawołujących się i krzyczących po angielsku, nigdy też do końca nie przywykłem do długiego szeregu brudnych domów, na które miałem widok, czułem się tak, jakbym się znalazł w angielskim serialu telewizyjnym, a w dodatku wąż na dole robił się coraz bardziej głodny. Czasami się unosił i walił łbem w szkło, przechodził mnie wtedy dreszcz. Ale trochę mnie też fascynował. Zdarzało się, że siadałem na podłodze przed terrarium i wpatrywałem się w to obce stworzenie, z którym dzieliłem mieszkanie.

Pod koniec tygodnia pojawił się właściciel. Zawołał mnie, stwierdził, że muszę coś zobaczyć.

Z zamrażarki wyjął kilka myszy. Z tej samej półki, na której położyłem kiełbasę. Lekko podgrzał je w piekarniku, leżały na grzbietach, z łapkami sztywno wyciągniętymi do góry. Kiedy wreszcie odtajały – w tym czasie zapalił fajkę i pokazał mi wygrzebaną ze stosu rupieci norweską mieszankę tytoniu Eventyr-blanding z lat siedemdziesiątych; tata palił taki tytoń, kiedy byłem mały – chwycił jedną mysz za ogon, odsunął wieko terrarium, kilka razy postukał w szybę, żeby śpiący gad się obudził, a potem przez chwilę machał mu myszą przed nosem. Wąż, ospały i powolny, ociężale uniósł łeb, a potem tak błyskawicznie, że aż odskoczyłem, rzucił się na mysz. Dostał cztery. Później parę dni leżał w terrarium zupełnie nieruchomo, a na jego smukłym ciele pojawiły się cztery spore wybrzuszenia.

Kiedyś świat składał się ze stworzeń takich jak to, niesłychanie prymitywne, pełzały po ziemi albo kroczyły z dudnieniem na ogromnych stopach, przypominających ptasie szpony. Czym było wtedy życie, skoro jego wyłącznym przejawem były one? Skoro wiedzieliśmy, że kiedyś tak jedynie wyglądało i właściwie nadal pozostało tym samym – wyłącznie ciałem, jedzeniem, światłem i śmiercią?

Kiedy pierwszy raz pracowałem w domu opieki, zrozumiałem jedno: życie

nie jest niczym nowoczesnym. Wszelkie odchylenia, wszelkie deformacje, wszelkie zwyrodnienia, wszelkie upośledzenia i dewiacje, wszelkie szaleństwa, wszelkie wady, wszelkie choroby nadal istniały, były tak samo obecne teraz, jak w średniowieczu, tylko je ukryliśmy, umieściliśmy w ogromnych budynkach w lesie, zorganizowaliśmy dla nich osobne obozy, konsekwentnie usuwamy je z widoku, aby sprawić wrażenie, że świat jest zdrowy i sprawny, że właśnie tak wygląda, świat i nasze życie, ale to nieprawda, życie jest również zniekształcone i powykręcane, chore i ułomne, niegodne i upodłone. W człowieczym rodzie jest pełno wariatów, idiotów i kalek, którzy albo się tacy urodzili, albo takimi się stali, tyle że pozostają niewidoczni na ulicach, już nie biegają i nie dręczą ludzi do obłędu, tylko znajdują się w cieniu naszej kultury, skryci w mrokach nocy.

Tak wygląda prawda.

Życie węża w terrarium stanowiło inną prawdę.

Kiedyś na ziemi nie istniało żadne stworzenie, które by miało oczy. A potem oczy powstały.

Już po kilku dniach w tym domu zdałem sobie sprawę, że mogę zapomnieć o pisaniu. Próbowałem, ale nic mi nie przychodziło do głowy. O czym miałem pisać? Kim byłem, że wydawało mi się, iż jestem w stanie stworzyć coś, co zainteresuje kogoś poza moją matką i moją dziewczyną?

Zamiast tego pisałem więc listy. Do Espena, do Torego, do Yngvego, do mamy, do Tonje. Szczegółowo opisywałem dni, od przyjścia listonosza, który mnie budził, bo zawsze rano, przechodząc, gwizdał *Międzynarodówkę*, poprzez wszystko, co widziałem podczas długich i licznych wędrówek po mieście, aż po dziwaczne przeżycia w urzędzie dla bezrobotnych, całą biedę i nędzę, która mi się tam objawiła, powagę życia, pozostającą w ostrym kontraście z moimi losami, ponieważ ja nie miałem noża na gardle, dostawałem zasiłek z pewnością dziesięć razy wyższy niż oni i będący właściwie jakąś bzdurą, zgłosiłem się przeciw po niego, żeby mieć czas na pisanie. Kurator, którego mi wyznaczono, miał chyba co do mnie pewne podejrzenia, w każdym razie zdarzało mu się podnieść głos, groził wstrzymaniem wszelkich wypłat, jeżeli wkrótce nie udokumentuję, że naprawdę szukam pracy w tym mieście.

Ole wrócił z Norwegii, odwiedziłem go w malusieńkim mieszkaniu, w któ-

rym mieszkał z bardzo angielską żoną. Ole pozostał dokładnie taki, jakiego go zapamiętałem, skromny aż do przesady, ale jednocześnie jego obecność wyczuwało się bardzo intensywnie. Ciągłe studiował na tych samych kierunkach, ale nie podchodził do egzaminów, lęk go paraliżował, bez względu na to, ile umiał i jak był bystry, nie potrafił się przemóc, aby wejść do sali egzaminacyjnej. Obchodziliśmy wszystkie antykwariaty, jego ulubieńcami byli Samuel Johnson, którego trochę tłumaczył dla przyjemności, oraz Boswell, no i ciągle Beckett, tak samo jak pięć lat wcześniej.

Bardzo go lubiłem. To jednak nie usprawiedliwiało mojego pobytu w Norwich. M u s i a ł e m pisać. Ale co? Potrafiło minąć pięć dni z rzędu, a ja nie zamieniłem z nikim ani słowa. Wszystko było obce, domy, ludzie, sklepy, pejzaż, nikt mnie nie potrzebował, nikt się mną nie przejmował, więc warunki miałem idealne, tego przecież chciałem, tylko chodzić i patrzeć na wszystko, co istniało, ale nie patrzyło na mnie.

Tylko z jakim pożytkiem? I jakim prawem? Jaki jest sens tego patrzenia, skoro nie umie się pisać o tym, co się widzi? Jaki jest sens przeżywania, skoro nie umie się pisać o tym, co się przeżywa?

Kilka razy upiłem się razem z Olem, on zawsze wracał do domu po zamknięciu pubu, ale ja nie chciałem, więc prowadził mnie do jakiegoś nocnego klubu, zęgnął się ze mną przed wejściem, a ja wchodziłem i dalej piłem sam, do nikogo się nie odzywając. Koło czwartej wlokłem się do domu i kładłem do łóżka. Następnego dnia długo spałem, budziłem się wypełniony lękiem, słuchałem kanału popowego BBC, czytałem wszystkie duże gazety, co zajmowało mi cały dzień. Potem znów kładłem się spać.

W radiu dwadzieścia cztery godziny na dobę puszczała debiutancki singiel Supergrass, więc go kupiłem. Do miasta przyjechał zespół Elastica, poszedłem na ich koncert, pijany i sam. Za pieniądze, które dostałem z Norwegii, kupowałem używane bluzy od dresu z lat siedemdziesiątych, buty, dzinsy, płyty i książki. Raz pojechałem rano autobusem do Londynu, cały dzień chodziłem wokół Tottenham Court Road, a wieczorem wróciłem do domu.

Spędziłem w ten sposób dwa i pół miesiąca, wtedy przyjechała do mnie w odwiedziny Tonje. Wybraliśmy się do Londynu, kupiliśmy bilety do Johannesburga i Maputo, i samolotem wróciliśmy razem do Bergen.

W Afryce spytałem, czy za mnie wyjdzie.

Powiedziała, że tak.

Po powrocie do Bergen, do nowego mieszkania, zrozumiałem, że nie mogę dłużej tak żyć. Za kilka miesięcy mieliśmy się pobrać, nie mogłem dopuścić do tego, żeby Tonje poślubiła idiotę, któremu wydawało się, że może zostać pisarzem, kogoś, kto marnuje życie, zbyt wysoko ją ceniłem, więc dokonałem zakupu najważniejszych książek z dziedziny historii sztuki, resztę wypożyczyłem z Biblioteki Uniwersyteckiej i siadłem do nauki.

Tore kończył poziom średnio zaawansowany na literaturoznawstwie i pisał o Prouście; zwierzył mi się, że dzwonił do niego pewien redaktor z Oslo, który czytał jego recenzje w „Morgenbladet”, i zaproponował mu pracę konsultanta w wydawnictwie. Tore się zgodził, przy okazji przyznał się, że sam pisze, a ten redaktor, Geir Gulliksen, powiedział, że chętnie przeczyta jego teksty.

Przecież ja też pisałem recenzje do „Morgenbladet”. Faktycznie to ja wciągnąłem do „Morgenbladet” Torego. Więc dlaczego ten Geir Gulliksen nie zadzwonił do mnie?

Ale u mnie też się coś wydarzyło. Pocztą dostałem zaproszenie do antologii. Chodziło o jakiś jubileusz Akademii Sztuki Pisania, zbierali teksty wszystkich wcześniejszych studentów. Wysłałem *Zoom*. To nie był żaden konkurs, antologia obejmowała wyłącznie prace tych, którzy się tam kiedyś kształcili, więc nawet nie brałem pod uwagę, że mogą mnie odrzucić. Ale odrzucili. Nie chcieli mojego opowiadania.

Wszystkie inne odmowy przyjmowałem ze spokojem, wszystkich się spodziewałem. Ale ta mnie zdruzgotała. Przez kilka tygodni nie mogłem wrócić do równowagi i podjąłem ostateczną decyzję, że kończę z pisaniem. To było po prostu zbyt upokarzające. Miałem dwadzieścia sześć lat, zamierzałem się ożenić, nie mogłem dłużej mamć się tym marzeniem.

Kilka tygodni później poszedłem do Torego, wybieraliśmy się do Stocznii na próbę nowego zespołu. W jego skład wchodziłi Hans, Knut Olav z Kafkatrakterne, a oprócz tego Tore i ja. Zespół nazwaliśmy Lemen^[32], od ostrzyżonej na jeża głowy Torego i jego niespożytej energii.

Szliśmy w stronę centrum. Był początek marca, około pierwszej po południu, suche ulice wypełniało blade, czyste wiosenne światło, które niezauważalnie zastąpiło niekończący się szereg mrocznych, szarych i wilgotnych zimo-

wych dni.

Tore spojrzał na mnie.

– Mam dobrą wiadomość – powiedział.

– Tak? – Spodziewałem się najgorszego.

– Przyjęli mój maszynopis. Książka wyjdzie jesienią! Debiutuję!

– Naprawdę? To fantastycznie, Tore!

Czułem, jak tracę siły, szedłem obok niego pozieleniały z zazdrości. To było takie niesprawiedliwe, tak cholernie niesprawiedliwe! Dlaczego on, o c z t e r y lata młodszy ode mnie, ma talent, a ja nie? Z talentem Espena pogodziłem się już dawno, jego debiut nie był niespodzianką, tak miało być, ale żeby T o r e? Taki młody?

Niech to szlag trafi.

Tore promieniał jak słońce.

– Geir Gulliksen powiedział: wydajemy! Całą noc siedziałem nad tytułem. Mam listę propozycji, chcesz zobaczyć?

Wyjął z wewnętrznej kieszeni złożoną kartkę, przeczytałem ją, idąc.

Kalendarz Juliana

Raz niewidoczny jak mdłości

Płatek

Uśpiony supel

Uwolniony rumieniec

Zaplątana sekunda

Ze wstydu

Raz na zawsze

– *Kalendarz Juliana* – oświadczyłem. – Bez najmniejszych wątpliwości.

– A mnie się podoba *Uśpiony supel*.

– To zbyt tajemnicze. Co to jest uśpiony supel?

– Chodzi o nastrój. O problem, który już istnieje, ale jeszcze nie dał o sobie znać. Jest w tym jakaś pasywność. Albo opuszczenie. Ale przede wszystkim

nastrój.

– *Kalendarz Juliana* – powtórzyłem, oddając mu kartkę.

Schował ją z powrotem do tej samej wewnętrznej kieszonki.

– Zobaczymy. Ale rzeczywiście niedługo kończę. Zostało jeszcze szlifowanie.

– Mam przeczytać?

– Jeszcze nie. Ale dobrze by było, żebyś rzucił okiem na ostatnią wersję.

Czytałem już wiele jego tekstów i jedno wiedziałem na pewno: nie jestem w stanie mu w niczym pomóc. Były o wiele lepsze niż wszystko, co napisałem. Najbardziej mnie jednak niepokoiło, że on wcale nie wziął jakiejś formy i nie wlał w nią tego, czym, jak się nauczył, należy ją wypełniać, chociaż właśnie tak można by to sobie wyobrazić w wypadku dwudziestodwuletniego debiutanta. Owszem, przyswoił sobie formę, ale cały ten projekt, wszystko, o czym pisał, w mglisty, lecz mimo to oczywisty sposób wiązało się z nim, z tym, co w nim najgłębsze, ze wszystkimi jego fascynacjami, z których prawie nie zdawał sobie sprawy i dlatego mógł o nich pisać z tak wielką radością odkrywcy.

– Gratuluję – powiedziałem. – To przecież fantastyczne.

– Cholera, no właśnie. Nareszcie! Musiałem przeżyć siedemnaście pieprzonych odmów, ale nareszcie mi to wydadzą!

W tym czasie dużo ćwiczyliśmy z zespołem, bo wiosną mieliśmy wystąpić w nowym domu kultury studenckiej, a tak dawno razem nie graliśmy, że ciągle było sporo do nadrobienia. Tore, który śpiewał, napisał połowę kawałków, drugą połowę Knut Olav, gitarzysta, z wyjątkiem jednego, autorstwa Hansa, obecnie basisty. Knut Olav był cholernie utalentowany, grał na wszystkich instrumentach i pisał świetne piosenki, mógłby daleko zajść, gdyby otoczył się lepszymi muzykami. Nie chciał jednak nawet o tym słyszeć. Był może tysiąc razy lepszym perkusistą ode mnie, lecz godził się, żebym to ja siedział i zwalniał lub zwiększał tempo jego utworów, a gdy pracował nad aranżacją, myślał wyłącznie o upraszczaniu. Ale ponieważ wokalistą był Tore, który w ogóle nie bał się występów na scenie, można powiedzieć, że był wręcz bezwstydnym, naprawdę nieźle to wychodziło.

Ogromnie lubiłem z nimi grać, a potem iść razem w miasto, czasami zadzwonić do Tonje, żeby się przyłączyła. W tym czasie dni stawały się coraz ja-

śniejsze, a na drzewach zaczynały pokazywać się liście.

W domu kultury studenckiej mieliśmy grać dziewiętnastego maja. Przyszedłem kilka godzin wcześniej na próbę dźwięku, w drzwiach powitał mnie Tore. Po jego minie od razu się zorientowałem, że coś się stało.

– Słyszałeś już? – spytał.

– Co?

– Tor Ulven nie żyje.

– Nie żyje? Naprawdę?

– Tak. Geir Gulliksen dzwonił i mi powiedział.

– Ale on był przecież młody.

– Tak. I był najlepszym pisarzem w Norwegii.

– To prawda. Cholera, to straszne.

– Tak.

Weszliśmy do kawiarni i dalej o tym rozmawialiśmy. Obaj, i Tore, i ja, uważaliśmy Ulvena za kogoś zupełnie innego i o wiele lepszego niż wszyscy pozostali pisarze norwescy. Pomyślałem o Espenie. To on mnie wprowadził w Ulvena i czytał go z większym zaangażowaniem niż ktokolwiek inny z moich znajomych.

Dołączyli do nas Hans i Knut Olav, poszliśmy na salę, w której miał się odbyć koncert. Przeprowadziliśmy próbę dźwięku, pomału lęk przed występem zaczął przejmować nad nami władzę, na pół godziny przed, jak zwykle, o mało nie zwymiotowałem, ale – również jak zwykle – lęk ustąpił, kiedy wyszliśmy na scenę i zaczęliśmy grać.

Później siedzieliśmy na zapleczu i piliśmy piwo. Gadaliśmy o występie – właściwie co ty zrobiłeś w tym miejscu, ja tutaj kompletnie straciłem kontrolę i w ogóle nie wiedziałem, gdzie jesteśmy – ktoś zajrzał do nas i powiedział, że na koncert przyszedł następca tronu, śmialiśmy się z tego, ale Tore cały czas myślami był gdzie indziej, wstrząśnięty tą nagłą śmiercią, widziałem to po nim, zauważałem te krótkie sekundy kompletnej nieobecności, chociaż zawsze tak lubił pogadać. Jeśli od kogoś czerpał inspirację do swojej książki, to właśnie od Ulvena. Szybko jednak stamtąd wyszliśmy, posiedzieliśmy trochę w Garage, a kiedy i ten klub zamknęli, Tonje i ja wróciliśmy do domu przez jasne, wiosenne ulice, pogrążone w nocnej ciszy pod górami i niebem, na którym

mrugały gwiazdy.

Coraz więcej czasu poświęciliśmy na rozmowy o planowanym ślubie. Tonje chciała, żeby wesele odbyło się w jej rodzinnym mieście, w Molde, na wyspie Hjertøya, właśnie tak miało być; ja chciałem, żeby było jak najskromniejsze, tylko rodzina, Tonje się na to zgodziła, pod warunkiem, że później urządzimy imprezę dla znajomych.

Zadzwoiłem do taty i poinformowałem go, że się żenię. Ciągłe trzymał mnie w garści, nie mijał dzień, żebym o nim nie myślał, dlatego od dawna bałem się tej rozmowy. Rozwiódł się i przeprowadził do regionu Østlandet, wschodniej części Norwegii, ale udało mi się go złapać u babci, jego matki.

– Mam dobrą nowinę, tato – zacząłem.

– Aha.

– Żenię się.

– Ho, ho. Nie za wcześnie?

– Nie. Bardzo tego chcę. Ty miałaś dwadzieścia lat, kiedy brałaś ślub.

– To były inne czasy. No i musiałem, wiesz.

– Pobieramy się latem w Molde. Oczywiście chciałbym, żebyś przyjechał.

– Powinno się udać. Myślę, że możemy przyjechać razem z babcią. A jak na imię tej dziewczynie, z którą się żenisz?

– Tonje.

– Aha, Tonje, ładnie. Muszę już kończyć.

– No to cześć.

– Cześć.

Bardzo się niepokoiłem, co to będzie, jeśli pojawi się na weselu, przecież tyle pił, a poza tym miałem go zobaczyć razem z mamą po raz pierwszy od szesnastego roku życia. Ale z drugiej strony chciałem, żeby przyjechał. Brałem ślub, a on był moim ojcem, uważałem, że jego obecność jest ważna. Mniej istotne wydawało mi się to, że rodzina Tonje zobaczy, jakiego mam ojca, chociaż mogło nawet dojść do skandalu.

Chciałem również, aby Tonje go poznała. Dużo jej o nim opowiadałem, ale spotkanie byłoby czymś zupełnie odmiennym, wtedy moje opowieści nabrały-

by innego wymiaru.

Kilka dni później Tore oświadczył, że przenosi się do Oslo. Chciał tam być, kiedy książka się ukáže, bo to tam się wszystko dzieje, nie tutaj. Inger miała jechać razem z nim, oczywiście, inaczej by się na to nie zdecydował. Tore nie umiał być sam.

– No a zespół? – spytałem. – Przecież wreszcie zaczyna nam coś wychodzić! Nie musisz się przeprowadzać tylko dlatego, że debiutujesz!

– Już tak długo mieszkamy w Bergen – odparł. – Mam wrażenie, że zasoby tego miasta się wyczerpały.

– I ty to mówisz? Do jasnej cholery, ja tu mieszkam już siedem lat!

– Jakby ktoś cię do tego zmuszał. Zabieraj Tonje i też się przenieś do Oslo.

– Za nic w świecie. O Bergen można dużo powiedzieć, pewnie rzeczywiście sprawy wolno się tu toczą, ale to przynajmniej nie jest centrum.

– Otóż to. Wszystko dzieje się tam, w centrum.

– Racja. I właśnie w takim miejscu nie chcę być.

– To co, będziesz tkwił tutaj i pozostaniesz nierozpoznanym geniuszem z prowincji?

– Geniuszem jak geniuszem... No, ale ty jedź. Jak powiedział Einar Førde^[33], cmentarze są pełne ludzi niezastąpionych.

– Co cię ugryzło?

– Mówię prawdę. Zespołowi zaczyna wychodzić coś dobrego.

Tore rozłożył ręce.

– Takie jest życie. Nie mogę przecież tutaj gnić tylko dlatego, że ty tak chcesz.

– W zasadzie masz rację.

Oddał pracę dyplomową, przyniósł mi maszynopis, który właściwie był gotowy do druku, przeczytałem go, miałem kilka uwag, których wysłuchał z wdzięcznością, ale się do nich nie zastosował, i któregoś dnia patrzyłem, jak wyruszają w drogę, Tore i Inger, do swojego nowego mieszkania w Oslo. Często jeździłem przez góry w odwiedziny do Espena, teraz mogłem jeszcze dodatkowo odwiedzać Torego. Ale moje życie było tutaj, z Tonje, w Bergen.

Trzy tygodnie przed ślubem zadzwonił tata. Powiedział, że jednak nie będą mogli przyjechać. Babcia źle się czuje, to daleka droga, nie może podjąć takiego ryzyka.

– Tak więc to niemożliwe, Karl Ove.

– Ale przecież ja się ż e n i ę!

– To niemożliwe, musisz to zrozumieć. Babcia jest taka słaba i... Nie możemy teraz jechać aż do Molde.

– Jesteś moim ojcem! A ja twoim synem! Żenię się! Nie możesz mi odmówić.

Zacząłem płakać.

– Owszem, mogę – oświadczył. – Nie przyjadę i basta.

– Będziesz taki sam jak twoi rodzice. Oni też nie przyszli na twój ślub. Ani na pierwszy, ani na drugi. Chcesz to samo zrobić mnie?

– Nie chce mi się dłużej tego słuchać – warknął i odłożył słuchawkę.

Płakałem jak nigdy wcześniej, kompletnie rozłożony emocjami, stałem pochylony na środku pokoju, a przeze mnie przetaczały się kolejne fale. Nie rozumiałem tego, nie wiedziałem, że taka ważna jest dla mnie jego obecność na ślubie, nawet nie przypuszczałem, że tak może być, ale tak było, skonstatowałem, po czym włożyłem ciemne okulary i wyszedłem na miasto, żeby chodzeniem uspokoić nerwy. Płakałem całą drogę aż do dworca autobusowego, świeciło słońce, na ulicach było pełno ludzi, ale pozostawałem jakby od nich odcięty, zanurzony głęboko w sobie, a kiedy w końcu się opanowałem i usiadłem w kawiarni w hotelu Terminus, nic nie mogłem pojąć. Gdy myślałem o tym na zimno, cieszyłem się przecież, że go nie będzie. Martwiłem się jego przyjazdem, w głębi ducha nie chciałem go widzieć, ani na ślubie, ani w ogóle w moim życiu. Tymczasem kiedy oświadczył, że nie przyjedzie, załamane się.

Siedząc w tej ślicznej, przestronnej i niemal zupełnie pustej kawiarni z lat dwudziestych nad dzbanuszką kawy na stoliku, wykończony płaczem, pomyślałem: niechże zrozumie to ten, kto potrafi. W tej samej chwili brązowa kropla oderwała się od dzióbka i spadła na biały obrus, który chciwie ją wchłoniął.

Kilka dni później pojechaliśmy do Molde. Chociaż wesele miało być nieduże, mieliśmy sporo do zrobienia. Należało załatwić łódź, która przetransportuje nas na wyspę, zamówić weselny obiad i ogarnąć wszystkie sprawy praktyczne, jakie się z tym wiązały. Musiałem też przygotować przemowę, którą miałem wygłosić, i nauczyć się tańczyć walca, tych dwóch rzeczy bałem się najbardziej. Kiedy wszyscy szli spać, puszczałem w salonie Everta Taubego, brałem w objęcia poduszkę i usiłowałem wykonywać taneczne kroki, w myślach powtarzając słowa dziadka ze strony mamy: ludzie bywają różni. Za garnitur zapłaciła mama, któregoś dnia poszliśmy do sklepu w Bergen i znaleźliśmy oliwkowozielony. Tonje miała włożyć prostą kremowożółtą sukienkę, którą uwielbiała.

Wreszcie nadszedł ten dzień, poszliśmy do urzędu, gdzie miał się odbyć ślub, denerwowałem się, sądziłem jednak, że wszystko mam pod kontrolą, ale kiedy przed wejściem zobaczyłem Mårda i Ingunn, którzy mi pogratulowali, zrozumiałem, że wcale tak nie jest. Nic nie miałem pod kontrolą, o mało się nie popłakałem. Nie rozumiałem, dlaczego tak jest, ale z całych sił musiałem powstrzymywać łzy.

Kiedy mówiliśmy sobie „tak”, oboje mieliśmy mokre oczy. Później całe towarzystwo piechotą przeszło do portu, gdzie czekała już łódź. Zrobiono nam zdjęcia, podano obiad, przemawiałem ja, przemawiał Yngve, który był moim świadkiem, przemawiał ojciec Tonje, przemawiała mama. Świeciło słońce, tańczyliśmy przed lokalem na czymś w rodzaju estrady, czułem radość, a jednocześnie smutek, bo Tonje była taka szczęśliwa, a ja nie byłem jej wart.

W podróż poślubną pojechaliśmy do Anglii, uparłem się przy tym, Tonje proponowała hotel nad morzem w jakimś ciepłym kraju, gdzie wszystko byłoby łatwe, ale nie chciałem nawet o tym słyszeć, no i wsiedliśmy w autobus z Londynu do Kornwalii – byłem tam jako sześciolatek, ale nic nie poznawałem – żeby przez tydzień jeździć wzdłuż wybrzeża od miasteczka do miasteczka i nocować w brudnych pokojach hotelowych, z jednym wyjątkiem, tak wspaniałym i romantycznym, jak sobie wymarzyła Tonje – z tarasem i widokiem na morze, z czekającym na nas szampanem, wycieczką wzdłuż dzikiego klifowego fragmentu wybrzeża, kolacją w restauracji, ja w garniturze, ona w sukience, byliśmy przecież świeżo upieczonymi małżonkami, kelnerzy o tym wiedzieli i poświęcali nam dużo czasu, a ja się czerwieniłem i wierciłem na krześle, źle się czułem, gdy byłem w centrum uwagi, źle się czułem w garnitu-

rze, wyglądałem przecież jak idiota; nie potrafiłem w tej sytuacji oderwać się od tego, co małe, i przejść do tego, co wielkie. Tonje, chłodna i piękna, jeszcze nie znała tej strony mojej osoby, ale wkrótce miała ją poznać.

Po powrocie do Bergen wprowadziliśmy się do nowego mieszkania, znajdowało się w Sandviken naprzeciwko kościoła i składało z długiego pomieszczenia, będącego połączeniem kuchni i salonu, oraz z sypialni. W przeciwieństwie do innych pokoi i mieszkań, które wynajmowałem w ciągu ostatnich siedmiu lat, miało wysoki standard. Nie stać nas było, ale i tak się na nie zdecydowaliśmy. Dobrze się w nim czułem, lubiłem zwłaszcza widok na kościół i otaczające go drzewa.

Pod koniec sierpnia wybraliśmy się do mamy, tam Yngve i ja pomalowaliśmy jej dom. Z wizytą przyjechał Kjartan. Powiedział, że ma przygotowany maszynopis, i chociaż nie robił sobie zbyt wielkich nadziei, bo już zbyt wiele razy spotkał się z odmową, mimo wszystko zamierzał go wysłać do wydawnictwa Oktober. Co ja na to?

– Wyślij, wyślij, to jest świetne.

Kjartan był pisarzem. Espen był pisarzem. Tore był pisarzem. Ale ja nie byłem pisarzem, byłem tylko studentem. Pogodziłem się z tym i zaangażowałem w naukę wszystkie swoje siły. Wcześniej rano wychodziłem do czytelnicy, stawałem się na wszystkie wykłady, potem wracałem do czytelnicy i do późnego wieczora ślęczałem nad książkami. Podobał mi się ten kierunek studiów, zwłaszcza wykłady, które w dużej mierze polegały na oglądaniu slajdów przedstawiających najpiękniejsze budynki, rzeźby i obrazy. Wszystko, co dawniej wydawało mi się trudne i nieprzeniknione, gdy jako dwudziestolatek próbowałem rozgryźć hardcorowe wywody, teraz rozumiałem bez najmniejszego problemu; dziwiło mnie to, bo przecież od tamtej pory nie wgłębiałem się w żadne teorie, ale nie poświęcałem wiele czasu na roztrząsanie tego, miałem się uczyć, więc się uczyłem.

Ukazała się książka Torego, zebrała dobre recenzje, zaproponowali mi, żeby dołączyłem do redakcji „Vaganta”, i nagle okazało się, że zasiadają w niej dwaj moi najlepsi przyjaciele. Tonje wciąż pracowała w radiu, w weekendy

odwiedzaliśmy jej matkę albo rodzinę jej brata, chyba że spędzaliśmy czas we dwoje, w domu przed telewizorem lub na spotkaniach z przyjaciółmi. Życie się ustabilizowało, toczyło gładko. Gdyby tylko udało mi się zaliczyć drugi kierunek, którego potrzebowałem, żeby się dostać na studia na poziomie zaawansowanym, również jego część związana z pracą zawodową mogłaby się jakoś ułożyć. Oprócz tego podjąłem ostatnią rozpaczliwą próbę napisania czegoś. Zrobiłem to, chociaż rozsądek mi podpowiadał, że nie powinienem, przestałem już wierzyć, że mi się uda, więc wręcz się do tego zmusiłem. Powiedziałem sobie: koniec z opowiadaniem, teraz liczy się powieść. Miała być o statku Fredensborg, który był wykorzystywany do przewozu niewolników i w osiemnastym wieku zatonął u wybrzeży Tromøi, a został odnaleziony, kiedy byłem mały, między innymi przez dyrektora mojej szkoły. Tę historię zawsze miałem w zanadrzu, zawsze mnie fascynowała, szczególnie gdy zobaczyłem przedmioty wydobyte ze statku, wystawione w Muzeum Okręgu Aust-Agder, świat i historia skupiły się nagle w miejscu tak bliskim temu, w którym się wychowałem, i teraz zacząłem o tym pisać. Szło mi wolno, wielu rzeczy nie wiedziałem, nie miałem na przykład pojęcia o codziennym życiu na pokładzie żaglowca przed blisko trzystoma laty, nie wiedziałem, co ci ludzie robili, jakich narzędzi używali ani jakie nosili imiona, wiedziałem jedynie, że były żagle i maszty, a przez to nie miałem żadnej swobody działania. Mogłem opisać morze i niebo, ale to było za mało, aby oprzeć na tym powieść. Myśli tych ludzi? No właśnie, o czym mógł myśleć marynarz w osiemnastym wieku?

Nie zrezygnowałem jednak. Walczyłem dalej. Wypożyczałem książki w Bibliotece Uniwersyteckiej, wieczorem po powrocie z czytelnicy pisałem zdanie albo dwa, spędzałem też nad tekstem parę godzin w niedzielne przedpołudnia. Nic dobrego z tego nie wychodziło, ale prędzej czy później mnie również musiało się poluzować, tak jak się poluzowało Kjartanowi: Oktober przyjął jego tomik wierszy, miał się ukazać następnej jesieni. Po dwudziestu latach pisania poezji nareszcie dotarł tam, dokąd zmierzał. Ogromnie się z tego cieszyłem, bo przecież zrezygnował z pracy, studia musiał rzucić, więc zostało mu jedynie pisanie.

Późną jesienią z Balestrand zadzwonił do mnie Yngve. Telefonował do niego Gunnar, mówił, że tata zniknął.

– Zniknął?

- Tak. Nie ma go ani w pracy, ani w mieszkaniu, ani u babci, ani u Erlinga.
 - A nie pojechał gdzieś na południe, do ciepłych krajów?
 - Wątpię. Raczej coś mu się stało. Szuka go policja. Zgłosili jego zaginięcie.
 - O cholera. Myślisz, że nie żyje?
 - Raczej nie.
- Kilka dni później Yngve znów zadzwonił.
- Tata się znalazł.
 - Tak? Gdzie?
 - W jakimś szpitalu. Jest sparalizowany, nie może chodzić.
 - Żartujesz? Naprawdę?
 - Z tego, co słyszałem, właśnie tak jest. Ale prawdopodobnie nie jest to trwały paraliż, tylko coś związanego z alkoholem.
 - I co teraz będzie?
 - Ma iść do kliniki na odwyk.
- Zadzwoniłem do mamy, żeby jej o tym opowiedzieć. Spytała o nazwę tej kliniki, powiedziałem, że nie znam, ale Yngve na pewno wie, gdzie to jest.
- A na co ci to? – chciałem wiedzieć.
 - Pomyślałam, że wyślę mu krótkie pozdrowienia.

Przyszła pora egzaminu, pisałem o posągach greckich, miałem satysfakcję, bo na ustnym oświadczyli, że nie ma znaczenia, co powiem, ponieważ i tak nie będą mogli mi postawić lepszej oceny niż ta, którą dostałem. Kontynuowałem studia na poziomie średnio zaawansowanym, a oprócz tego zacząłem estetykę filozoficzną, całe święta wielkanocne czytałem o krytyce czystego rozumu Kanta. Tonje złożyła papiery na kierunek radiowy w Szkole Wyższej w Voldzie, zadzwonił Tore z informacją, że będzie redagował antologię i chce, żebym się w niej znalazł. Ale ja nic nie mam, powiedziałem. No to napisz coś. Masz się w niej znaleźć. Uparł się, więc przejrzałem niewielką liczbę swoich tekstów, nic niewartych, może z wyjątkiem prawie gotowego fragmentu powieści. Tego dnia w osiemnastym wieku płynący z Kopenhagi Fredensborg przepływa między wyspami Mærdø a Tromøya w drodze do Afryki po niewolników, ktoś z załogi spogląda na ląd i widzi gospodarstwo: kobietę wyciągającą

wiadrem wodę ze studni, wokół niej krążą muchy. Marynarz patrzy na rozpadającą się chatę. Leży w niej mężczyzna, jakby pogrążony w śpiączce, przesyła coraz większą część doby, wszystko dookoła niszczeje, aż w końcu sen się wokół niego zamyka, otacza go kapsułą, a kobieta, która ze wszystkim musiała walczyć sama, jest wreszcie wolna. Ten tekst przerobiłem na opowiadanie, nazwałem je *Sen* i wysłałem Toremu.

Późną wiosną zadzwonił Eivind Røssaak, który został redaktorem działu kulturalnego w „Klassekampen”, z pytaniem, czy chcę recenzować dla nich książki. Przyjąłem propozycję. Przyszedł egzamin końcowy na studiach na poziomie średnio zaawansowanym, napisałem pięćdziesiąt stron o pojęciu *mimesis*, niedużą książeczkę, którą oddałem dyżurnym. Otrzymałem nieprzystojnie dobre oceny i zacząłem godzić się z myślą, że jednak czeka mnie kariera naukowa.

Tonje dostała się na studia w Voldzie, więc musiała się tam przeprowadzić, ja natomiast zamierzałem zostać w Bergen i kontynuować naukę na poziomie zaawansowanym, a gdy Tonje będzie na ostatnim roku studiów, dołączyć do niej. W tym czasie Tore przyjął moje opowiadanie, antologia się ukazała, niezauważona przez nikogo, coś jednak przyniosła, bo któregoś dnia zadzwonił Geir Gulliksen i spytał, czy w najbliższym czasie nie wybieram się do Oslo, bo jeśli tak, to chciałby, żebym do niego zajrzał, będziemy mogli porozmawiać o mnie i o tym, co piszę.

Skłamałem, że rzeczywiście się wybieram, i umówiliśmy się na spotkanie.

W Oslo, jak zawsze, zatrzymałem się u Espena. Teraz w stolicy mieszkał również Tore, spotkaliśmy się we trzech, przed południem pojechaliśmy na rowerach obejrzeć makabryczne mauzoleum Emanuela Vigelanda, a wieczorem spotkaliśmy się znowu, bo mieliśmy iść na kolację. To była kolacja „Vaganta”, przyszli wszyscy pracownicy tego czasopisma, Kristine Næss, Ingvild Burkey, Henning Hagerup, Bjørn Aagenæs, Espen, Tore, no i ja. Wcześniej prosili mnie, żebym przeprowadził wywiad z Runem Christiansenem, zaplanowany na następny dzień, więc w weekend byłem kimś w rodzaju stowarzyszonego członka redakcji. Kristine Næss zaprosiła nas wszystkich na kolację do siebie do domu. Siedzieliśmy wokół niedużego stołu, w intymnej, przyjaznej atmosferze, byli tam dwaj moi najlepsi przyjaciele, przeniknąłem wreszcie do tego

kregu, w którym tak bardzo chciałem się znaleźć, ale okazało się, że mój szacunek dla tych ludzi mnie przerósł, bałem się cokolwiek powiedzieć, siedziałem tylko i słuchałem. Henning Hagerup, najlepszy krytyk swojego pokolenia, usadzony obok mnie, zadał mi kilka grzecznościowych pytań, a ja n i e o d p o w i e d z i a ł e m. Po prostu nie odezwałem się ani słowem, tylko zerknąłem na niego, spuściłem wzrok i kiwnąłem głową, uśmiechnął się i odwrócił w drugą stronę. Zjedliśmy, rozmowa się toczyła, ale ja byłem niemy. Bałem się powiedzieć cokolwiek. W dużym lokalu, w obecności wielu innych ludzi w niczym by to nie przeszkadzało, bo nikt by tego nie zauważył, ale tu, w tak wąskim gronie, rzucało się to w oczy. Im dłużej milczałem, tym bardziej stawało się to widoczne, a im bardziej stawało się widoczne, tym bardziej zabranie głosu stawało się dla mnie niemożliwe. Przeklinałem samego siebie, zżył małem się w środku, słuchałem tego, o czym mówili, w myślach formułowałem zdania, ale ich nie wypowiadałem, zatrzymywałem je w sobie, wszystko w sobie zatrzymywałem. Minęła godzina, minęły dwie, trzy. Siedzieliśmy tam trzy godziny, a ja nie wypowiedziałem ani słówka. Robiło się coraz weselej, na stole stały piwo, wino i koniak. Minęły cztery godziny, pięć, a ja ciągle milczałem. Nagle pojawił się nowy problem. Musiałem niedługo wyjść, ale jak miałem to zrobić? Po pięciu godzinach nie mogłem po prostu wstać, podziękować za miły wieczór i oświadczyć, że niestety, muszę już lecieć. Nie mogłem też wyjść bez słowa. Byłem tam uwięziony, tkwiłem w tym uwięzieniu cały wieczór, wszyscy oczywiście to zauważyli, również Espen i Tore. Początkowo patrzyli na mnie pytająco, potem z zatroskaniem, ale ja w tym gronie, składającym się wyłącznie z pisarzy i krytyków, po prostu nie mogłem mówić, nie miałem nic do dorzucenia, byłem durniem, czerwieniącym się głupim gnojkiem, który przyjechał do Oslo z prowincji, bo z uwagi na swoje kąśliwe recenzje w „Klassekampen” i świetne stopnie na studiach wydawało mu się, że będzie miał do powiedzenia przynajmniej c o k o l w i e k, no, ale nie miałem, byłem nikim, zerem, byłem taki mały, że nie potrafiłem nawet odejść od stołu. Nie potrafiłem mówić, nie potrafiłem chodzić. Byłem uwięziony.

Minęło pięć i pół godziny, potem sześć.

Wtedy wstałem, żeby pójść do toalety. W przedpokoju włożyłem buty i kurtkę, zajrzałem do nich, ciągle siedzących przy stole, i rzuciłem:

– Muszę już lecieć. Dziękuję za miły wieczór.

Wszyscy zaczęli wołać: „cześć”, „trzymaj się”, „miło było cię poznać”. Ci-

chutko zamknąłem za sobą drzwi i spokojnie zszedłem po schodach, a kiedy znalazłem się na ulicy i poczułem na twarzy ostre jesienne powietrze, puściłem się biegiem. Biegłem ile sił w nogach na drugą stronę i wzdłuż kwartału, czułem pulsowanie w gardle, z trudem łapałem powietrze; przypuszczam, że tak biegłem i biegłem, ponieważ chciałem poczuć, że jeszcze żyję.

Runego Christiansena czytałem od lat, jego wizualna, niemal filmowa poezja silnie do mnie przemawiała, a nastroje, które wyczarowywała, czy raczej we mnie budziła, były w moim życiu pewną stałą, zaliczała się do tych rzeczy, na które zawsze patrzyłem i które przeżywałem, ale nigdy się nad nimi nie zastanawiałem. Jego wiersze poruszały tematykę przemijania, lecz nie w sposób tak okrutny jak utwory Tora Ulvena, nie miały w sobie tej twardości, która momentami pękała w uśmiechu trupiej czaszki, wesołym tańcu kościotrupa, nie było w nich tego śmiechu, będącego jedynym szańcem życia broniącym go przed pustką, nie, u Runego Christiansena przemijalność była łagodniejsza, emanowała nieco przymglonym światłem pogodzenia się z nią, u niego były rdza, jesień, zgnilizna, jeź drepczący przez suche liście, chmury przecinające niebo, romantyczność w hotelowym pokoju, w zejściu do tunelu podziemnego, w pociągu z łoskotem przejeżdżającym przez las.

Spotkałem się z nim w wyludnionej po niedzielnemu kawiarni w Lommedalen. Pobliski las powoli tonął w zmierzchu, a my rozmawialiśmy, rozdzieleni dyktafonem leżącym na stoliku. Gazety czy czasopisma bardzo rzadko pisały o jego poezji, a to miał być większy wywiad, więc Christiansen dobrze się przygotował, trzymał przed sobą kilka gęsto zapisanych kartek, na których przypuszczalnie zanotował wszystko, co zamierzał powiedzieć. Nie byłem wyrobionym czytelnikiem poezji, lecz moje pytania musiały dotknąć czegoś, co było dla niego ważne, albo też po prostu potrafił obrócić wszystko ku sednu, do którego pragnął dotrzeć, kiedy pisał, bo wywiad okazał się naprawdę dobry, spędziliśmy w tej kawiarni blisko dwie godziny i gdy stamtąd odchodziłem, żeby wsiąść w autobus do miasta, miałem wrażenie, że wszystko jest w moim zasięgu, że znajduję się w pobliżu czegoś ważnego, do czego mógłbym dosięgnąć, gdybym tylko się wyciągnął. Było to mgliste uczucie, nic, na czym dałoby się budować, ale, cholera, wiedziałem, że coś w tym jest. We mgle, w ciemności lasu, w kropkach rosy na świerkowych igłach. W wielorybach pływających w morzu, w sercu bijącym w piersi. Mgła, serce, krew,

drzewa. Dlaczego tak mnie to pociągało? Co mnie kusilo z taką mocą? Wypełniało takim pożądaniem? Mgła, serce, krew, drzewa. Ach, gdybym tylko zdołał o t y m pisać, nie, nie pisać o tym, lecz sprawić, aby tekst t y m b y ł, byłbym szczęśliwy. Wtedy znalazłbym spokój.

Następnego dnia przed południem miałem się spotkać z Geirem Gulliksenem. Pracował w wydawnictwie Tiden Norsk Forlag, mieszczącym się w pasażu przy operze. Zatrzymałem się przed wejściem i wytarłem dłonie o uda. Prawie nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje. Byłem umówiony z redaktorem w wydawnictwie w Oslo. Wprawdzie stało się to za pośrednictwem Torego, no i nie miałem nic, co mógłbym mu pokazać, ale naprawdę t u s t a ł e m, naprawdę byłem u m ó w i o n y, i tego nikt nie mógł mi odebrać.

Wjechałem windą na górę i znalazłem się w recepcji.

– Jestem umówiony z Geirem Gulliksenem – oznajmiłem.

W tej samej chwili wyszedł zza rogu, chudy, kościsty, uśmiechnięty, pewny siebie. Rozpoznałem go ze zdjęcia.

– Karl Ove? – spytał.

– Tak.

– Dzień dobry.

Podaliśmy sobie ręce.

– Możemy przejść do mojego gabinetu – powiedział.

Leżały tam sterty maszynopisów, wielkie koperty, zapewne również zawierające maszynopisy, i stosy książek.

Usiedliśmy.

– Napisałeś c h o l e r n i e dobre opowiadanie. Po prostu muszę to powiedzieć.

– Bardzo dziękuję.

– Pisziesz coś jeszcze? Może masz już coś gotowego?

Pokręciłem głową.

– Nie. Ale myślałem o tym, żeby zacząć jakiś większy projekt.

– Chętnie przeczytam.

Zaczął mnie wypytywać o różne rzeczy, o to, czym się zajmowałem, co lubię

czytać. Wymieniłem Stiga Larssona.

– Cholera, w s z y s c y młodzi pisarze mówią w tej chwili o Stigu Larssonie. Dwa lata temu nie mówił o nim n i k t.

– Ale to przecież dobra literatura.

– Jasne, że tak. Czytasz coś jeszcze?

– Tora Ulvena?

– No tak, oczywiście – roześmiał się. Ułożył równo jakiś maszynopis. Czy to był sygnał, że czas przeznaczony dla mnie minął?

Wstałem.

– Wobec tego przyślę coś, jak tylko będę miał gotowe.

– Tak, tak zrób. Tylko pamiętaj, że może upłynąć t r o c h ę czasu, zanim dostaniesz odpowiedź.

– Jasne, rozumiem.

Odprowadził mnie do wyjścia, uniósł rękę na pożegnanie i zawrócił do gabinetu. Pomyślałem, że ma wiele ważnych maszynopisów do przeczytania i wiele spotkań z ważnymi pisarzami. Nie zaliczałem się do nich, zorganizował to spotkanie ze względu na Torego, ale udało mi się przynajmniej uchylić drzwi do tego świata, nie byłem już tylko nazwiskiem, miałem również jakąś twarz, no i przecież obiecał, że przeczyta to, co mu przyślę.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy u ojca Tonje w Molde. Lubiłem przebywać w tym dużym domu z widokiem na fiord i góry po drugiej stronie; na parterze znajdował się basen z sauną, w której stał sprzęt do nurkowania, na piętrze duży otwarty salon, a jeszcze wyżej było poddasze, ze stołem do ping-ponga. Zawsze panował tam porządek, wszystko dobrze funkcjonowało, rano było odśnieżanie, przed południem wycieczki na nartach, potem smaczne obiady, przyjemne wieczory, a jeśli w tym domu istniały jakieś problemy, jeśli skrywał gdzieś tajemnice, to nigdy ich nie odkryłem. Zazwyczaj przed południem chodziliśmy do miasta i spotykaliśmy się z przyjaciółmi Tonje, w których towarzystwie nigdy nie potrafiłem zachowywać się naturalnie, siedziałem milczący i udręczony, chyba że piłem albo – tak jak w sylwestra, kiedy jedliśmy z nimi kolację u ojca Tonje – nagle postanowiłem się z nimi szczerze rozmówić. Ale tam nawet lęk następnego dnia był mniejszy, w tym uporządkowanym otoczeniu mniej czułem się złym człowiekiem, a bardziej młodym zię-

ciem, który podczas ferii postanowił sobie pofolgować.

Na początku stycznia Tonje wróciła do Voldy, ja natomiast zabrałem komputer i wyprawilem się do Kristiansand, gdzie wynająłem pokój w starym dworze na wyspie Andøya, którym dysponował wydział kultury w gminie. Miał z tym związek poeta Terje Dragseth. Po wielu latach pobytu w Kopenhadze wrócił do rodzinnego miasta i w urzędzie gminy zajmował się popularyzacją literatury. Tomy jego poezji publikowało wydawnictwo Tiden, był uważany za jednego z najlepszych poetów swojego pokolenia, jego wiersze często nazywano hymnami, ja ich nie czytałem. Był energiczny i otwarty, otaczała go aura ostra jak nóż. Zawiózł mnie do dworu, który kiedyś stał poza miastem, na wsi, a teraz znajdował się pośrodku osiedla. Oprowadził mnie, powiedział, że mam do niego dzwonić w razie jakichkolwiek problemów, trochę popracował w swoim gabinecie, mieszczącym się na drugim końcu budynku, którym również mogłem dysponować, kiedy chciałem, a potem wrócił do miasta, zostawiając mnie samego. Wypakowałem komputer z kartonu, połączyłem poszczególne części, obok ułożyłem w stos książki, które ze sobą przywiozłem. Dwa tomy *W poszukiwaniu straconego czasu*, *Avløsning* Tora Ulvena i debiut Torego, *Uśpiony super*^[34].

Pokój był nieduży, z łóżkiem, biurkiem i kąciem kuchennym, za to budynek, w którym się znajdował – ogromny. Z tego, co zrozumiałem, należał kiedyś do Olego Bulla^[35]. Wieczorem przechadzałem się po nim, meble, tapety i cała reszta były nietknięte jak w muzeum. Trochę powęszyłem w gabinecie Dragsetha, przejrzałem kilka książek, a potem wróciłem do siebie i usiadłem przy komputerze. Ale tego dnia wydarzyło się za dużo, żebym mógł pracować, więc zadzwoniłem do Tonje, rozmawiałem z nią godzinę i poszedłem spać.

Obudziłem się koło jedenastej, zjadłem śniadanie i włączyłem komputer.

O czym tu pisać?

Nie miałem pojęcia.

Otworzyłem kilka różnych plików, żeby sprawdzić, czy nie znajdę czegoś, co mógłbym kontynuować.

Wszystko ma swój czas. Teraz jest on tutaj, w tym domu, w tym oknie, z precyzyjnym wycinkiem przyrody za szybą, spoczywającej w mrocznej majowej ciemności; nie może być inaczej.

*

Kroki po miękkiej trawie, chlip, chlup w deszczu. Deszcz padający na ziemię, krople skapujące mu z gałęzi na kark, kiedy zatrzymuje się i otwiera furtkę, która uchyla się z lekkim zgrzytem i wraca na swoje miejsce z cichym stuknięciem o słupek, trzeba ją zamknąć na pętlę. Jego dłonie są lodowate. Wsuwa je do kieszeni i idzie dalej wąską, rozmiękłą drogą.

*

Postać pojawia się w śnieżnej zadymce, biegnie z głową pochyloną dla ochrony przed wiatrem. On dostrzega przez okno ruch, postać na ciężkim, szarym, niezmiennym tle staje się coraz wyraźniejsza; widać już rozgrzaną, nabiegłą kwią, przejętą twarz chłopca, który niesie ważne wiadomości i wielką odpowiedzialność. On już wie, o co chodzi, przed kilkoma minutami słyszał strzał. Natychmiast ogarnęła go niechęć tak wielka, że podał go w wątpliwość, w myślach tłumacząc sobie, że równie dobrze mógł to być grzmot, i zamiast mimo zamieci wyjść na wzgórze, aby to sprawdzić, dołożył do ognia świeże polano i usiadł w fotelu przy oknie, wciąż jeszcze z głową lekko zamroczoną snem. Teraz jednak już musiał wyjść, bo chłopiec walił pięściami w jego drzwi i wołał go po imieniu.

*

Co noc to samo. Na rusztowaniu, wysoko, z żelazną rurką w ręku. W dole ulice miasta, widok, od którego kręci się w głowie. Dźwięk syreny. Nagły brzęk metalu uderzającego o mur. Ktoś woła. Podchodzę do balustrady. Ramię dźwigu, kołysząc się, sunie nad dachem domu. Zawieszony na łańcuchu kontener huśta się powoli raz w jedną, raz w drugą stronę. Jak zdobycz, myślę. Odwracam się, wsuwam rurkę w zamek. Co za satysfakcja. Ręka zaciśnięta na balustradzie. Dłoń w rękawiczce. Dotyk szorstkiego materiału na palcach. Wiem, że metal jest zimny, poczuję to, jeśli dalej będę go ścisnął. Ale przełazę dołem, idę po deskach rusztowania. Podsuwam kask, zdejmuję rękawiczkę, drapię się w głowę. Czuję nagły chłód na spoconym czole. Złodowacenie przychodzi z wnętrza. Jeden ze starszych robotników stoi przy balustradzie i patrzy w dal. Podchodzę do niego. Nic nie mówi. Spoglądamy na miasto. Słońce na twardym, błękitnym niebie jest prawie białe. To ono przydaje wszystkiemu, na co patrzymy, takiej wielkiej precyzji. Zwały lodu lśnią w słońcu. Mam ochotę odezwać się do tego robotnika. Cień domów stojących w kwartale pod nami pada na chodnik, wyznacza ostrą granicę. Łagodne wygięcie betonowego mostu nad jeziorem, skutym lodem. Dym unoszący się z kominów na dachach, prawie niewidzialny, będący jedynie falą w powietrzu, nieco ciemniejszym odcieniem. Ciepło. Spokojne, hydrauliczne ruchy dźwigu. Nic nie mówię, nigdy nic nie mówię.

*

Z okna domu mogłem dostrzec jedynie pagórki, odległe o dwadzieścia metrów, z kępą drzew jarzębinowych i rozchwianym płotem na szczycie, zaznaczającym granicę sąsiedniego gospodarstwa. Dalej krajobraz, fiord i stroma góra po drugiej stronie, rozplynął się w ciężkiej, szarej mgle. Uchyliłem okno. Szum ciągle wzbierającego strumienia stał się głośniejszy. Głębokie ślady kół traktora na polu wypełniła brudna, szarobrazowa deszczówka. Myślałem o tym brutalnym odgłosie. Z każdym obrotem traktor zapadał się coraz głębiej, dźwięk się wzmacniał, narastała jego agresja i siła, był zapowiedzią zniecierpliwienia, następującej po nim aktywności i zagorzałej wiary w to, że każdy problem da się rozwiązać. Potem zapadła cisza. Sąsiad w wysokich gumiakach i żółtej kurtce przeciwdeszczowej zeskoczył na ziemię, chwilę przyglądał się traktorowi, po czym zaczął się cofać po śladach. Ruszył pod górę przez zagon porzeczek, za płot, bez pardonu zniszczony przez traktor, i zniknął z oczu nam, obserwującym go z okna. Chwilę później usłyszeliśmy odgłos innego traktora, skręcającego ze żwirowej drogi i z podskokiem wjeżdżającego na pole. Sąsiad stał na stopniu i mocno trzymał się ramy drzwi. W szoferce siedział drugi sąsiad. Dziadek patrzył przez okno, jak mocują łańcuch między traktorami i zapuszczają silniki, obserwował gęsty, czarny dym, który buchnął z rur wydechowych, gdy motory zwiększały moc, przyglądał się kołyszącemu się w przód i w tył traktorowi, który po kilku minutach znalazł się na twardym podłożu, i drugi sąsiad mógł wrócić do siebie. Dziadek patrzył na to z twarzą bez wyrazu, nie potrafiłem odczytać jego myśli, nie mogłem go też o nie spytać. Dwa dni wcześniej, pierwszego wieczoru, kiedy tu przyjechałem, spokojnie zaczął mówić o tegorocznych planach Kjartana związanych z tym, co wciąż nazywał bagnem. Gdy zobaczyłem, jak stoi i obserwuje całą tę aktywność rozgrywającą się za jego oknem, aktywność, w którą nie zostaliśmy zaangażowani – dlaczego sąsiad nie przyszedł po pomoc do nas? dlaczego nie skorzystał z naszego telefonu, który przecież był na wyciągnięcie ręki, w sieni? nie mógł zadzwonić stąd? – pomyślałem, że jego uwagi skierowane do Kjartana, dotyczące prowadzenia

gospodarstwa, nie były wyrazem wyrachowanego zła, jak początkowo sądziłem, ani też początków sklerozy, usuwającej w zapomnienie całą sytuację, nie, tu chodziło o stratę tak wielką, że nie potrafił się z nią pogodzić, musiał udawać, że wszystko jest jak dawniej, przetwarzając po swojemu to, co codziennie się tu działo, wyjaśniać to sobie w sposób, który mógł zaakceptować. Jesteś pewien, że stać nas na wynajęcie tylu ludzi? – spytał Kjartana tego samego dnia, kiedy siedzieliśmy w pokoju i jedliśmy gofry. Popijał przestudzoną mieszankę składającą się w połowie z kawy, a w połowie ze śmietanki, i ssąc kostkę cukru, czekał na odpowiedź. Spojrzałem na Kjartana. Nie zamierzał nic mówić, udawał zajętego jedzeniem, lecz nie na tyle przekonująco, bym nie zrozumiał, że stara się zapanować nad ogromną irytacją. Trwało to dłuższą chwilę. No, ale przecież masz dodatkowy dochód, odezwał się w końcu dziadek, chyba uspokojony. Nie wiedziałem, co powiedzieć, dlatego dalej jedliśmy w milczeniu. Nie było o co pytać. Nie było o czym rozmawiać.

Zdjąłem pokrywkę z garnka. Oka tłuszczu wypłynęły na wierzch, dwie parówki już pękły. Odłożyłem pokrywkę na bok i sięgnąłem do szuflady po drewniane szczypcy. Zegar na ścianie nad oknem pokazywał, że dochodzi dwunasta. Chociaż ziemię oddano w dzierżawę i już wiele lat temu ustały wszelkie czynności związane z robotami w polu, porządek dawnych posiłków został zachowany: śniadanie o szóstej, obiad o dwunastej, podwieczorek o piątej, kolacja o dziewiątej. Przyzwyczajenia związane z pracą. Tak było tu zawsze, od stuleci. I było tak nie bez powodu. Wściekłość, która czasami mnie ogarniała, gdy siadali do obiadu punktualnie o dwunastej, była absolutnie niesprawiedliwa, nie należało się tym irytować. A jednak: co to za życie, wstawać o świtaniu, żeby całe przedpołudnie siedzieć tak jak ona w fotelu albo jak on leżeć na kanapie przy radiu rozkręconym na cały regulator, aż do zniekształcenia głosów, co to za życie, i tak dzień po dniu, jakby na coś czekali, a podczas tego oczekiwania przychodzili do kuchni coś zjeść i wychodzili, żeby dalej tak żyć. Taki porządek był w nich zatopiony, niemal jak instynkt, więc nawet niewielkie odstępstwo mogłoby spowodować wstrząs, który zaczęłby zataczać coraz większe kręgi i stałby się nieznośny, może nawet stanowiłby zagrożenie dla życia.

Wyjąłem z piecyka bułki do hot dogów, wyłączyłem kuchenkę, ułożyłem parówki na półmisku i poszedłem po nich do pokoju. Dziadek, jak zawsze, leżał

na kanapie, w czarnym garniturze i trochę poplamionej, nie całkiem białej koszuli, w krawacie. Zerknąłem na telewizor, na obraz zmarzniętych, przemoczonych dzieci, maszerujących rządkiem jakąś drogą gdzieś w Norwegii, od czasu do czasu bez przekonania wykrzykujących: „Hura!”, wyłączyłem go pilotem i nachyliłem się nad krzesłem, na którym siedziała babcia. Ona też była odświętnie ubrana, w niebieską sukienkę z białym haftem, na piersi miała przypiętą broszkę. Za dekolt zatknięty kawałek papierowego ręcznika.

Tyle miałem. Dwa lata pracy. Znałem te zdania na pamięć. Aż trudno było uwierzyć, ile wysiłku mnie kosztowały. I ta radość ze sformułowania „z głową pochyloną dla ochrony przed wiatrem”, „chlip, chlup w deszczu”. Ale dalej nic nie dało się z nimi zrobić, wszystko się urywało.

O czym miałem pisać?

Wyłączyłem komputer, ubrałem się, wyszedłem na przystanek przy głównej drodze i autobusem pojechałem do miasta. Było mniejsze, niż je zapamiętałem, bardziej związane z krajobrazem, zwłaszcza z morzem, kołyszącym się ciężko w bezpośredniej bliskości ulic. Kilka razy przemierzyłem Markensgate w jedną i w drugą stronę, niebo było szare, przechodniów niewielu, ale atmosfera wydawała się przyjacielska, ludzie się witali, zatrzymywali na kilka słów. Pomyślałem, że to, co widzę, jest dniem powszednim, jednym z nieskończenie wielu dni, które pojawiają się i znikają. Mijający mnie ludzie są zanurzeni w swoim istnieniu, w samej jego głębi. Czułem się tak, jakbym znajdował się z boku tego wszystkiego, nie należałem tutaj, dla mnie było to tylko jakieś miejsce, a przynależność stała się zagadką. Na czym właściwie polegała? Nie mogło chodzić o miejsce samo w sobie, na nie bowiem składały się domy i skały nad morzem, lecz właśnie dzięki nim istniało, one nadawały mu znaczenie.

Wszystko oplecione wspomnieniami, wszystko zabarwione stanem ducha. A przez ten kokon, będący naszym życiem, przepływa czas. Kiedyś mieliśmy siedemnaście lat, kiedyś trzydzieści pięć, kiedyś pięćdziesiąt trzy. Pamiętamy ten dzień? Dziewiąty stycznia 1997 roku, kiedy wybraliśmy się do sklepu Rema 1000 na zakupy i wyszliśmy z torbami w obu rękach, postawiliśmy torby na ziemi koło samochodu, otworzyliśmy drzwiczki, ułożyliśmy torby na tylnym siedzeniu i wsiedliśmy? Pod ciemniejącym niebem, tuż nad morzem, z czarnym, bezlistnym lasem za plecami?

Kupiłem kilka płyt kompaktowych i cały stos przecenionych książek, które, jak sądziłem, mogły mi się przydać przy pisaniu.

Powiniennem odwiedzić babcię, nie mogłem przyjechać do tego miasta i tego nie zrobić, jeśli natknąłbym się na przykład na Gunnara, uznałby moje zachowanie za dziwne, wręcz niegrzeczne, gdybym się do nich nie odezwał i nie dał znać, że tu jestem.

Ale kilka dni mogłem się jeszcze wstrzymać, przyjechałem tu przecież, żeby pracować, więc na pewno to zrozumieją. Poszedłem do kawiarni w bibliotece, zamówiłem kawę i przeglądałem książki, od czasu do czasu zerkając w okno. Rozpoznałem dziewczynę, która stała za ladą. Chodziliśmy razem do gimnazjum, ale nie znałem jej na tyle dobrze, żeby się z nią przywitać, a ona w żaden sposób nie pokazała, że wie, kim jestem. To miasto było pełne takich twarzy, które kiedyś składały się na moje życie, lecz teraz nie miały już żadnego znaczenia.

Na zewnątrz jakaś dziewczyna parkowała rower. Wszystkie niezbędne ruchy wykonywała z piękną oczywistością – wprowadzić koło między słupki, wyjąć zamek, zapiąć go kliknięciem, wyprostować się, rozejrzeć, podejść do drzwi, zdjąć kaptur nieprzemakalnej kurtki.

Przywitała się z koleżanką siedzącą przy sąsiednim stoliku, przyniosła sobie filiżankę herbaty, usiadła i zaczęła mówić. Opowiadała o Chrystusie, o jakimś związanym z nim przeżyciu.

Zapisałem dokładnie jej słowa.

Tutaj miała zacząć się powieść. Właśnie tutaj, w tym mieście nad morzem, w bibliotecznej kawiarni, tą rozmową o Chrystusie.

Notowałem w podnieceniu. Młody człowiek wraca do rodzinnego miasta, do Kristiansand, w bibliotecznej kawiarni podsłuchuje rozmowę, spotyka dawnego kolegę z liceum, Kenta, i cofa się w czasie.

Kilka godzin później, już po powrocie do swojego pokoju, zacząłem pisać. Wieczorem zadzwoniłem do Tonje i jej to przeczytałem. Pochwaliła tekst. Kontynuowałem w nocy. Za każdym razem, gdy się zacinałem lub stwierdzałem, że zdania są za słabe, zaglądałem do którejś z książek leżących obok mnie, zwłaszcza do Prousta, i wypełniony nastrojem bijącym od tego fantastycznie bogatego, a zarazem przejrzystego języka, pisałem dalej. Nie wpro-

wadziłem żadnej akcji, chciałem spleść to, co wewnętrzne, z tym, co na zewnątrz, połączyć zwoje nerwowe w mózgu z kutrami cumującymi w porcie, aby zaś główny bohater nie był mną, starałem się nadać językowi bardziej konserwatywne brzmienie. Potem przepisałem wszystko jeszcze raz, wyszło mi tego pół strony, i dopiero się położyłem.

W weekend miałem już osiem stron.

Zadzwoiłem do babci. To ty? – zdziwiła się. Wyjaśniłem, że jestem w mieście, i spytałem, czy pasuje jej, żebym przyszedł. Powiedziała, że jest u niej tata i że miło będzie mnie zobaczyć.

Nie widziałem taty od prawie dwóch lat. Wcale też nie chciałem go widzieć, ale teraz gdy już się dowiedział, że jestem w mieście, nie mogłem odwołać tej wizyty.

Piechotą przeszedłem całą drogę od dworca autobusowego przez most Lundsbroa i ostatni kilometr do ich domu, cały czas zdenerwowany i spięty, chwilami wręcz wystraszony, wiedziałem, że na mnie nakrzyczy za to, że tak długo się nie odzywałem.

Zadzwoiłem do drzwi, minęło kilka minut, nim babcia otworzyła.

Zmieniła się. Schudła, sukienkę miała poplamioną i nieuprasowaną. Ale jej oczy były takie same. Na zmianę to się rozpromieniały, to patrzyły gdzieś w dal.

– Jest na górze. Dobrze, że przyszedłeś – powiedziała.

Ruszyłem za nią po schodach.

Siedział w salonie przed telewizorem. Kiedy wszedłem, odwrócił głowę. Twarz miał mokrą od potu.

– Umieram – oświadczył. – Mam raka.

Spuściłem wzrok. Kłamał nieustannie, również teraz, ale nie mogłem pokazać, że wiem, musiałem udawać, że w to wierzę.

– To straszne. – Zerknąłem na niego.

– Właśnie byłem w szpitalu. Rozcięli mi plecy. Jak chcesz, mogę ci pokazać bliznę.

Milczałem. Patrzył na mnie.

– Twój ojciec umiera – powiedział.

– No, ale może jeszcze będzie dobrze?

– Nie. To wykluczone.

Przeniósł wzrok na telewizor. Usiadłem na podnóżku. Babcia zajęła fotel obok tego, w którym siedział tata. Chwilę patrzyliśmy w ekran.

– Wszystko tutaj w porządku, babciu? – spytałem.

– Tutaj? Oczywiście – odparła. Nad jej głową unosiła się chmura dymu. Tata podniósł się powoli, ciężko przeszedł do kuchni, wrócił z butelką piwa.

Siedzieli w tej części salonu, która dawniej była używana jedynie przy wyjątkowych okazjach.

– Mieszkam w dworku na Andøi i piszę – wyjaśniłem.

– To dobrze, Karl Ove – odparł.

– No tak.

Wszyscy troje wpatrywaliśmy się w wielki telewizor. Na ekranie jakaś dziewczyna grała na flecie.

– Podobno najmłodsza córka Erlinga też znakomicie gra – skomentowała babcia.

– Dlaczego cały czas o niej mówisz? – zdenerwował się tata. – Ja też świetnie gram.

Złodowaciałem w środku. Powiedział to z całą powagą.

Po półgodzinie przed telewizorem wstałem i oświadczyłem, że muszę już iść.

– Któregoś dnia podczas twojego pobytu wybierzemy się do restauracji – powiedział tata. – Ja stawiam.

– Dobrze. Zadzwoń. No to na razie.

Nikt mnie nie odprowadził na dół. Wyszedłem stamtąd wzburzony, pojechałem autobusem na Andøyę, między domami na osiedlu zalegała gęsta mgła. W domu usmażyłem sobie trzy jajka i położyłem każde na oddzielnej kromce chleba, zjadłem je na stojąco przy oknie, a potem znów zasiadłem do pisania.

Trzy miesiące później, kiedy wróciłem do Bergen, miałem już sześćdziesiąt stron, które e-mailem wysłałem Geirowi Gulliksenowi. Przez dwa tygodnie, zanim zadzwonił, nachodziły mnie ataki bezdenne go wstydu i bezmiernego przerażenia. Najpierw usiłowałem wyprzeć z pamięci to, co napisałem, udawać, że w ogóle nie istnieje, ale się nie dawało, więc żeby zyskać kontrolę

nad gwałtownym uczuciem poniżenia, któregoś dnia usiadłem i spróbowałem przeczytać ten tekst jego oczyma. Włączyłem komputer, otworzyłem plik i zajaśniała przede mną strona tytułowa.

KARL OVE KNAUSGÅRD
WSZYSTKO MA SWÓJ CZAS
powieść, 1997

CZEŚĆ PIERWSZA
PIONIER CZASU

Miasto gdzieś w świecie, z domami i sklepami, z ulicami, portem, z okolicą. Geografia, architektura, materialność. Miejsce. Czasami myślę o tym mieście tuż przed zaśnięciem, idę ulicą, mijam dom za domem, kwartał za kwartałem, czasami zatrzymuję się przed jakąś fasadą i wodzę wzrokiem po mnóstwie szczegółów. Na tę brudną, pomalowaną na biało ścianę zawsze świeci słońce, odbija się w szybie uchylonych drzwi balkonowych, przed nimi skrzynka na kwiaty w kolorze terakoty, dwie puste butelki, między pręty balustrady wiatr wcisnął foliową torebkę. Czyjaś dłoń chwyta klamkę, na kilka sekund ukazuje się twarz i drzwi się zamykają. Myślę: ktoś tam jest, w tym ciemnym pokoju. I tak jest w całym mieście. Starsza kobieta odsuwa zasłonkę i wygląda, jakiś dźwięk przykuł jej uwagę. To sąsiad otwiera garaż; tak jak wiele razy wcześniej, kobieta obserwuje, jak on wsiada do samochodu i tyłem wyjeżdża z podjazdu, spuszcza wtedy zasłonkę i pochyła głowę, aby z powrotem skupić się na piśmie z krzyżówkami, rozłożonym przed nią na kuchennym stole. Od czasu do czasu zapala któregoś z niedopalonych papierosów leżących w popielniczce, coś pisze. Student gapi się w telewizor z wyłączoną fonią, obraz w blasku przedpołudniowego słońca jest rozmazany. Kobieta pochyła głowę i gładzi się po szyi, chory chłopiec śledzi wzrokiem samochód krążący po torze wyścigowym, inny siedzi przy komputerze i strzela do wszystkiego, co się rusza. Nikt ich nie widzi, a oni działają, nie myśląc; ona idzie przez kuchnię i otwiera szafkę, na kuchence skwierczy cebula na patelni, radio trzeszczy. Kot budzi się i przeciąga, a potem, miękko się poruszając, sprawdza, czy w miseczce jest coś do jedzenia; płacze niemowlę.

Tak to wygląda wokół mnie, myślę, i patrzę na cień rzucany przez szereg niskich domów, malujący ostrą granicę mniej więcej wzdłuż linii, na której zwały lodu i resztki śniegu leżą między chodnikiem a ulicą. Światła przy przejściu dla pieszych piszczą przenikliwie, na wypadek gdyby ktoś niewidomy chciał przedostać się na drugą stronę. Samochody czekają na jałowym biegu, lśniące, śliczne; jest mroźno, wdycham mieszankę ostrego powietrza i ciepłych spalin, kiedy przechodzę przez ulicę, żeby skręcić w Dronningens gate, oświetlony tego dnia słońcem, tak jak chodziłem tyle razy wcześniej w tym mieście, po którym czasami zdarza mi się wędrować z zamkniętymi oczami. W sypialni w mieszkaniu w Bergen, w pokoju gościnnym w gospodarstwie moich dziadków w Sogn, nawet w pokoju hotelowym, w którym spędzam noc, na południowym koniuszku Afryki, w regionie Transwal, potrafię sobie wyobrazić te ulice, nawet w chwili, gdy idę wzdłuż pięknej plaży w Cromer, powraca do mnie to światło i morze, mam je w sobie, noszę je w sobie, w mroku swojego mózgu.

Pogodne błękitne niebo, niskie słońce oświetlające duży hotel, tłum ludzi. Podchodzisz, żeby jak najlepiej widzieć, prześlizgujesz się między ludźmi, stajesz za prowizorycznymi kozłami, między nimi rozpięta jest lina, która ma na celu nikogo nie dopuszczać. Ciała ocierają się o ciebie, wszyscy stoją z odchylonymi, przekrzywionymi głowami, z oczami utkwionymi w szczyt budynku. Sączy się z niego do góry sinoczarny dym, idzie w ślad za nieprzewidywalnymi porywami wiatru, rozwiewa się. W przejrzyste powietrze buchają stale nowe kłęby dymu. Unosi się ramię dźwigu, słyszysz cichy, monotony dźwięk, który miesza się z wypowiedzanymi szeptem i pełnymi powagi komentarzami gapiów. Ktoś skoczył. Szron na asfalcie i błękitne niebo. Jest czysto, klinicznie, świat jest precyzyjny. Ale dym nie przestaje buchać, gęsty i czarny. Nie widzisz płomieni, tylko dym. Ta katastrofa jest bezgłówna, tak jak bezgłówny jest ból. Ktoś cię popycha. Przyjeżdża kolejna karetka, wysiadają z niej dwaj mężczyźni, opierają się o bok auta i też zadzierają głowy. W hotelu już nie ma ludzi. Korytarzami poruszają się tylko strażacy w maskach i kombinezonach przypominających skafandry astronautów, zaglądają do kolejnych pokoi, sprawdzają, może ktoś nie zdążył wyjść i się udusił, a teraz leży zwinięty w kłębek, tam gdzie upadł, gdy organizm nie mógł znieść już więcej dymu. Myślisz, że to musi przypominać utonięcie, ale jest jeszcze gorsze, bo przecież świeże powietrze jest tuż obok, ci ludzie umierają w nadziei.

To dzień twojej śmierci. Zjadasz kolację w hotelowej restauracji, wcześniej się kładziesz, trochę skaczesz po kanałach telewizyjnych, zatrzymujesz się na jakimś starym filmie, przy którym zasypiasz. Budzisz się kilka godzin później, w telewizorze pada śnieg, przestali nadawać program, wyłączasz go, rozbierasz się, wsuwasz się pod kołdrę i znów zasypiasz. Kolejne przebudzenie jest już ostatnie. Słyszysz krzyk i trzaskanie drzwiami, ryk płomieni, i właśnie tak umierasz, w dymie, który sączy się do wynajętego pokoju i uniemożliwia zobaczenie czegokolwiek, jesteś zdezorientowany do obłądu i tak umierasz, siedząc na podłodze w łazience, z mokrym ręcznikiem na twarzy. Jest już po wszystkim, myślisz, zmarłych wyniesiono, żywych ewakuowano. Ale pożar ciągle trwa. Ogień porusza się na oślep, płomienie pojawiają się w coraz to nowych miejscach, wrywają się spod kontroli.

– Cześć, Henriku!

Obracasz się na dźwięk swojego imienia i widzisz Kenta, zbliża się do ciebie w długim szarym płaszczu, w ręku trzyma biały kask.

– Ty też wagarujesz?

– Usłyszałem rano w wiadomościach. Ale już, zdaje się, po wszystkim.

– Jeszcze się pali. – Kent zadziera głowę.

– Ale chyba wszystkich wyprowadzili.

– To straszne – mówi Kent z uśmiechem.

– Najgorsi są ci ludzie, którzy przyszli tu, żeby się gapić. Ohyda – mówisz i też się uśmiechasz. Czujesz nagłą radość, że stoisz tutaj i rozmawiasz z Kentem, radość, jaką potrafi czuć siedemnastolatek. Nagłą radość, jaką siedemnastolatek potrafi poczuć z powodu najzwyczajniejszych rzeczy, takich jak rozmowa, zupełnie zwyczajna, z rówieśnikiem; ta radość, jeśli będzie trwała, grozi przejściem nad tobą kontroli, może objawić się w głosie albo w śmiechu, możesz się śmiać i śmiać z drobiazgów, oddawać się temu upojnemu, narastającemu śmiechowi, tracić kontrolę, więc powinieneś unikać takich sytuacji. Musisz spuszczać wzrok, zamiast patrzeć innym w oczy, powstrzymywać się od komentarzy, zamiast głośno je wypowiadać i wywoływać śmiech i uznanie innych. Myślisz, że nie możesz już sobie ufać, że coś się w tobie dzieje. Również w postaci tej odwrotności, tej nagłej chęci do płaczu, która cię nachodzi w najdziwniejszych sytuacjach, oczy ci wilgotnieją, nie radzisz sobie z tym, musisz spuścić wzrok, powstrzymywać się. Tak jak

teraz, przed hotelem, kiedy czujesz pulsującą radość, ale poprzestajesz na utrzymaniu wzroku na buchającym z góry dymie, jakby niesłychanie cię interesował ten dym i to, co zwiastuje: pożar w hotelu. Wieczorem zdjęcia płonącego hotelu obiegną cały świat, Niemcy będą siedzieć przed ekranem i oglądać obrazy hotelu, to się stało tutaj, Anglicy, Szwedzi, Francuzi, w tym mieście, Szwajcarzy i Duńczycy, w tym hotelu.

Zginęło czternaście osób.

Dalej akcja przenosi się do Bergen, miejsca zamieszkania głównego bohatera, następuje opis nocy spędzonej przez niego na dworze, a kiedy bohater idzie do domu przez Torgallmenningen – w tym miejscu wpadłem na idiotyczny pomysł – zatrzymuje się przy budce telefonicznej i wykręca numer, który należał do jego rodziny, kiedy był mały, odbiera on sam w wieku dziesięciu lat i opowiada, jak się miewa w tej chwili.

Co sobie pomyśli Geir Gulliksen?

Traci czas na jakiegoś niedojrzałego człowieka, który nie tylko bezwstydnie przesyła mu tak głupie teksty, że aż włos się jeży na głowie, ale na dodatek jeszcze całkiem serio wierzy, że mu je wydadzą, bo ktoś inny oprócz niego może się nimi zainteresować.

Jak to możliwe?

Jak mogłem być taki głupi?

Taki zarozumiały?

Wreszcie zadzwonił telefon.

– Cześć, mówi Geir Gulliksen.

– Cześć.

– Napisałeś fantastyczny tekst!

– Tak uważasz?

– Oczywiście. Jest naprawdę bardzo, bardzo dobry. Zwłaszcza ten fragment, kiedy główny bohater dzwoni do siebie samego, no wiesz. Kiedy idzie przez plac, wiesz, o co mi chodzi?

– Tak.

– Naprawdę coś w tym jest.

– Tak.

– Musisz dalej pisać. Więcej. To będzie dobre. N a p r a w d ę dobre. Jeśli chcesz, żebym czytał po kawałku, to przysyłaj. Ale mogę też poczekać na całość, jeśli tak ci bardziej odpowiada.

– Tak.

– I jeszcze jedna rzecz. Pod koniec tego fragmentu piszesz: „w świecie, poza światem, w świecie, poza światem”. Pamiętasz?

– Tak.

– To jest naprawdę znakomite. I zastanawiam się, czy nie ma w tym tytułu. Ewentualnego tytułu. *Poza światem*^[36]. Przemyśl to sobie.

Niesamowicie podbudowany, napisałem jeszcze dwieście stron, między innymi długi fragment o tacie, a pisząc go, płakałem, ledwie widziałem monitor przez łzy, i już wiedziałem, że to naprawdę jest dobre, że to zupełnie coś innego niż wszystkie moje wcześniejsze teksty.

Tej wiosny w Kristiansand odbyło się rodzinne przyjęcie, jeden z synów Gunnara przystępował do konfirmacji. Pojechałem tam i stawiłem się w domu babci wczesnym przedpołudniem. Tata siedział w kuchni, wielki i ciężki, ręce mu się trzęsły, a twarz błyszczała od potu. Był w garniturze, w koszuli i w krawacie. Jego brat Erling ze swoją rodziną i babcia siedzieli w salonie.

Pierwszy raz w życiu poczułem się silniejszy niż tata, pierwszy raz w życiu nie miałem w sobie cienia lęku, przebywając razem z nim w jednym pomieszczeniu.

Był niegroźny.

Spytałem, czy wciąż jest z tą samą kobietą, którą poznał jakiś czas temu, nie znałem nawet jej imienia.

– Nie, już nie – odparł. – Chciała decydować, gdzie będę ustawiał buty. Tak się nie da.

– No tak.

– A ty możesz o tym decydować?

– Chyba tak.

– To dobrze. Nie wolno rezygnować ze swojej wolności. Nigdy tego nie rób, Karl Ove.

– Dobrze.

Spojrzał na gazetę, która leżała rozłożona przed nim na stole. Był ociężały, powolny, chociaż biły od niego zdenerwowanie i niepokój.

– Przed wyjściem musisz mi pomóc zawiązać krawat – powiedziałem. – Jeszcze się tego nie nauczyłem.

– No a kto ci zwykle wiąże krawat?

– Na ogół Yngve.

– On potrafi?

– Tak.

Podniósł się powoli.

– Załatwimy to od razu – stwierdził. – Gdzie masz ten krawat?

– Tutaj. – Wyjąłem go z kieszeni marynarki.

Owinał mi nim szyję. Ciężko dyszał. Przyłożył do siebie obie końcówki, patrzył na nie, gdy je wiązał, docisnął.

– Już – powiedział.

Nasze spojrzenia się spotkały, zwilgotniały mi oczy, on się odwrócił i usiadł. W drzwiach stanął Erling z pękiem kluczy w ręku.

– To co, idziemy? – spytał. – Chyba nie chcemy się spóźnić do kościoła?

– Prawda, że Karl Ove elegancko dziś wygląda? – spytał tata.

Naprawdę tak powiedział.

– Jasne. – Erling się uśmiechnął. – No, musimy iść.

Kazanie było o modlitwie. Pastor powiedział, że Bóg nie jest automatem, do którego wrzuca się pieniądze i wypada cola. Nie wierzyłem własnym uszom. Ten człowiek miał za sobą sześć lat studiów teologicznych i blisko trzydziestoletnią praktykę, sądząc po wyglądzie, a o boskości wyrażał się w ten sposób?

Po nabożeństwie spotkałem przed kościołem starą znajomą. Nie widziałem jej od wielu lat. Uściskała mnie, chwilę porozmawialiśmy, powiedziała, że znów trafiła do Kristiansand, trochę jakby się tłumacząc, jakby uległa mocom silniejszym niż ona sama. Gdy tam staliśmy, zobaczyłem tatę idącego w stronę samochodu. I być może za sprawą tych wszystkich ludzi dookoła, może z powodu otoczenia, w którym go nie widywałem, nagle zobaczyłem go takim, ja-

kim był teraz. Wszystko, co zwykle determinowało mój ogląd jego osoby, całe nasze wspólne życie, wszystko, co robił, co mówił, wszystko, co składało się na pojęcie „tata” i co się w nim zawierało, bez względu na to, jak właściwie wyglądał, wszystko to nagle zniknęło. A wyglądał jak przebrany pijak. Jak alkoholik, którego rodzina sprowadziła, wystroiła i zabrała ze sobą.

W samochodzie toczyła się rozmowa o tym, którądy najlepiej jechać. Tata twierdził, że trzeba skręcić w prawo. Nikt go nie słuchał, więc się rozżłościł, cały czas powtarzał, że trzeba było skręcić w prawo i że zaraz się przekonają, iż miał rację.

Obserwowałem go, zmrożony w środku. Nastąpiła u niego ogromna regresja. Był jak dziecko. Przez całą drogę do domu Gunnara dąsał się, że nie pojechaliśmy tak, jak mówił. Kiedy dotarliśmy na miejsce, wysiadł ostrożnie, powoli podszedł do drzwi. Podczas obiadu siedział jakby osobno, nie uczestniczył w rozmowach, od czasu do czasu rzucał tylko jakiś komentarz, za każdym razem kompletnie bez związku. Cały czas się pocił, a ręka, którą podnosił do ust szklankę z cydrem, nie przestawała mu się trząść. Po jedzeniu dzieciaki zaczęły biegać w kółko, a za chwilę wymyśliły zabawę polegającą na wykrzykiwaniu imienia taty, podbieganiu do niego i dotykaniu go ze śmiechem. Nie reagował, drżał tylko, lekko przestraszony, i patrzył na nie. W końcu Erling kazał im przestać. Już do końca przyjęcia miałem w uszach dziecięce głosy, wykrzykujące z drwiną jego imię.

To był człowiek, który kiedyś miał siłę i aurę króla.

Nic już z niego nie zostało.

I dopiero wtedy, kiedy wszystko się skończyło, dopiero wtedy się do mnie zwrócił. Dopiero wtedy potrafił powiedzieć, że elegancko wyglądał. Ale ja nie miałem już ośmiu lat, tylko dwadzieścia osiem. Już tego nie potrzebowałem. I nie potrzebowałem już jego.

Do domu wracaliśmy dwoma mniejszymi samochodami. Rodzina Erlinga z babcią w jednym, tata i ja na tylnym siedzeniu drugiego. Spieszyło mi się, musiałem zdążyć na samolot, a torbę z codziennym ubraniem zostawiłem w przedpokoju. Tata stał na schodach i grzebał się z kluczami, w końcu znalazł ten właściwy, otworzył drzwi. Pisnął cicho alarm antywłamaniowy, tata spojrział na niego.

– Powinieneś wbić kod – powiedziałem.

– Wiem. Ale go nie pamiętam.

– Muszę wziąć torbę – oświadczyłem. – Leży w środku. Myślisz, że mogę po prostu wbiec i ją zabrać?

– Tak zrób.

Rzuciłem się do środka, alarm natychmiast zaczął wyc, głośno i przenikliwie. Chwyciłem torbę i wybiegłem, pewien, że na mnie nawrzeszczy, ale on tylko stał i wzrokiem pełnym rozpaczyny wpatrywał się w skrzynkę alarmu, w końcu zaczął przyciskać guziki. Pojawiła się babcia.

– Znowu uruchomiłeś alarm! – zawołała. – Ile razy mam ci tłumaczyć, że zanim wejdziesz, musisz wstukać kod!

Wyminęła go, wcisnęła odpowiednie cyfry.

– Nie pamiętam kodu – powiedział.

– Przecież jest taki prosty! – krzyknęła babcia. – Jesteś niemożliwy. Nic nie umiesz!

Patrzyła na tatę rozszoszczonymi oczami. Opuścił ręce i wbił spojrzenie w ziemię.

W Bergen dalej pracowałem nad powieścią. W połowie maja miała już około trzystu stron, wysłałem je Gulliksenowi. Poprosił, żebym przyjechał, abyśmy mogli o niej porządnie pogadać, więc wybrałem się do Oslo, zatrzymałem się u Espena, a kiedy wszedłem do gabinetu Gulliksena, mój maszynopis leżał na biurku.

Mówił o nim jakieś dziesięć minut.

A potem spytał:

– Chcesz już teraz podpisać umowę? Bo możemy tak zrobić. Czy wolisz zaczekać, aż będziesz miał ostateczną wersję? Jeśli się pospieszymy, mogłaby się ukazać późną jesienią.

– Chcecie ją wydać?

Nawet sobie tego nie wyobrażałem!

– Tak, a co? Jest już prawie gotowa. Nawet gdybyś od razu po wyjściu stąd wpadł pod tramwaj, materiału jest wystarczająco dużo.

Roześmiał się.

Na zewnątrz, w białym wiosennym świetle, poruszałem się wśród przechodniów jak w transie. Myśl o tym, co powiedział Gulliksen, wypełniła mnie całego, a otoczenie, wszystko, co miałem wokół siebie, daleko się odsunęło. Ze zgrzytem przejechał tramwaj, z taksówki wysiadł gruby facet, dwa autobusy, jeden za drugim, podjeżdżały pod górę. Nie mogłem uwierzyć, że to prawda, więc powtarzałem to sobie raz po raz. Zadebiutuję. Przyjęli moją powieść. Jestem pisarzem. Niemal się zataczałem, z takim ciśnieniem rozpierała mnie radość. Przyjęli moją powieść. Jestem pisarzem.

Espen mi otworzył, kiedy zadzwoniłem do drzwi, ale natychmiast wrócił do pokoju, akurat czymś bardzo zajęty. Skorzystałem więc z jego telefonu i zadzwoniłem do Tonje. Oczywiście nie zastałem jej w domu. Zatelefonowałem do Yngvego do pracy. Powiedziałem mu, że przyjęli moją powieść.

– Aha.

Nie mogłem pojąć tej obojętności w jego głosie.

– Czy to nie jest fantastyczne?

– Pewnie, że jest, ale przecież wiedziałeś, że tak będzie. Już dawno nawiązałeś kontakt z jakimś wydawnictwem.

– Tak, ale nie miałem pewności. Uważałem, że to się nigdy nie stanie.

– Aha. A widziałeś coś ciekawego w Oslo?

Kiedy się rozłączyliśmy, usiadłem na kanapie i czekałem, aż Espen upora się z tym, co robił, żebym mógł mu przekazać nowinę. On jednak też nie wykazał większego zainteresowania.

– Słyszałem, jak mówiłeś przez telefon – powiedział. – Gratuluję.

Pomyślałem, że dla niego to oczywistość, przecież prawie wszyscy jego znajomi byli pisarzami.

– Wierzyłeś w to? – spytałem. – Wierzyłeś, że kiedykolwiek ukaże się moja książka?

– Owszem. Chociaż nie sądziłem, że to będzie powieść. Myślałem, że raczej zbiór esejów.

Na początku lata opróżniliśmy mieszkanie i wszystkie rzeczy umieściliśmy

w magazynie poza miastem, gdzie miały stać do końca sierpnia, bo wtedy planowaliśmy przeprowadzkę do Voldy. Tonje zgłosiła się na letnie zastępstwo do regionalnej stacji NRK Hordaland, ale nie została przyjęta, więc żeby trochę zarobić, postanowiła popracować jako sekretarka w gabinecie lekarskim swojego ojca. Razem pojechaliśmy do mamy do Jølster, gdzie według planu miałem kończyć książkę. Tam Tonje zadzwoniła do innej regionalnej stacji, NRK Sogn og Fjordane, i cudem dostała pracę, więc odwołała umowę z ojcem i razem spędziliśmy w Jølster całe lato. Ona rano jeździła do NRK, ja zaczynałem pisać, ona przemierzała region w białym samochodzie z logo stacji radiowo-telewizyjnej, a ja pocilem się w pokoju tak zalanym światłem, że ledwie widziałem litery na ekranie. Po południu Tonje wracała do domu, szliśmy się kąpać albo grillowaliśmy w ogrodzie, czy też po prostu oglądaliśmy telewizję. Ale z powieścią mi nie szło, utknąłem, wpadałem w coraz większą rozpacz, zacząłem pracować na okrągło, również w nocy, o niczym innym nie myślałem. Opublikowanie jej w obecnym stanie byłoby dużym błędem, bo to, o czym mówiła, było całkowicie nieumotywowane. Młody człowiek przyjeżdża do rodzinnego miasta, wynajmuje mieszkanie, spotyka starych znajomych i wraca do niego całe życie, długa seria wspomnień, sama w sobie całkiem w porządku, tylko po co o nich opowiadać? Nie miałem żadnego motoru narracyjnego, należało go wymyślić, ale jak? Bohater oczywiście musiał skądś przyjechać, tam powinno dojść do jakichś wstrząsających wydarzeń, na tyle gwałtownych, że zmusiły go do ucieczki, a zarazem będących powodem, dla którego przyglądał się teraz całemu swojemu życiu, szukając przyczyny, związku, próbując zrozumieć siebie.

Na nic innego nie było we mnie miejsca. Od wszystkiego trzymałem się z dala, aż którejś nocy Tonje wykrzyczała swoją frustrację:

– Nie chcę, żeby tak dłużej było! Mam dopiero dwadzieścia sześć lat! Chcę żyć, Karl Ove, rozumiesz?

Próbowałem ją uspokoić, to przecież nie miało żadnego związku z nią, musiałem pisać, a wtedy nic innego się we mnie nie mieściło, tłumaczyłem, że to się wkrótce skończy, że ją kocham i zawsze będę kochał. Rozmowa ciut pomogła, zwłaszcza jej. Nieco ulżyła sercu tej nocy, zbliżyliśmy się do siebie, trochę jakbyśmy zaczynali wszystko od nowa.

Kilka dni później napisałem kawałek o północnej Norwegii i umieściłem Henrika Møllera-Straya, bo tak nazywał się główny bohater, w roli nauczycie-

la, który podjął tam pracę. Kazałem mu siedzieć w pokoju nauczycielskim, rozmawiać z innymi nauczycielami, chodzić do uczniów, których był wychowawcą, i już w momencie, gdy to zrobiłem, wiedziałem, że mam rozwiązanie wszystkich problemów.

Zakochał się w jednej z uczennic, w końcu się z nią przespał, chociaż miała dopiero trzynaście lat, więc musiał stamtąd uciekać, a nie miał innego miejsca, do którego mógłby pojechać, niż Kristiansand.

Pasowało mi to idealnie, ale nie mogłem tak zrobić, nie mogłem pozwolić mu się zakochać w trzynastoletce, a już na pewno nie mogli uprawiać seksu. To by było nieetyczne, zbyt wymyślne, posłużyłbym się tym wyłącznie z uwagi na kompozycję powieści, bo potrzebowałem intrygi z punktem kulminacyjnym, z maksymalnym przekroczeniem granic. Bohater mógłby też kogoś zabić, ale tego rodzaju konflikt w ogóle mnie nie interesował. Ukraść coś? Nie, nie. Musiało go poprowadzić coś dobrego, coś delikatnego i pięknego, a więc jedynie miłość, nic innego nie pasowało.

Ale nie mogłem tego wykorzystać.

Wybuchłyby dyskusje dotyczące moralności, a na tym w ogóle mi nie zależało.

Z drugiej strony poczułbym się nieprzyjemnie, pisząc o tym, bo zawierałaby się w tym jakaś prawda, o której nikt nigdy nie powinien się dowiedzieć, a gdyby znalazła się w mojej powieści, zaistniałaby w świecie, nie tylko we mnie, niezależnie od liczby zmyślonych elementów.

Tonje wyjechała do Molde, ja zostałem, żeby spotkać się z Torem, wybraliśmy się do domku letniskowego będącego własnością mojej rodziny, by dokończyć scenariusz do filmu. Opowiadał o kamienicy z wieloma mieszkaniami, rozgrywały się tam różne historie, najważniejsza była ta o kobiecie słyszającej dziwne odgłosy dochodzące z przewodu wentylacyjnego; jak się miało okazać po wielu perypetiach, dźwięki pochodziły z mieszkania dwóch braci, którzy przetrzymywali u siebie i maltretowali ojca.

Wieczorem, gdy skończyliśmy pracę, przedstawiłem Toremu swój dylemat.

– Zrób to, do diabła! Nie wolno ci nawet myśleć o tym, żeby z tego zrezygnować! Pisz! To będzie bomba!

Spędziliśmy tam cztery dni, wielokrotnie wyjawiałem mu swoje wątpliwości i niepewność, ale on cały czas się upierał. Pisz o tym, pisz koniecznie!

Chodziliśmy wąską ścieżką przez las nad jezioro, gdzie robiliśmy zakupy w niewielkim sklepiku, zabrałem go do Borghild, która śmiała się z nas i z naszych ogolonych głów, mówiła, że wyglądamy jak jeńcy z kolonii karnej. Podała nam kawę, a ja wypytywałem ją o dzieciństwo. Opowiadała, że chorowała na gruźlicę, kilka miesięcy spędziła w sanatorium wysoko w górach nad fiordem, bo kuracja polegała na tym, żeby wchłonąć jak najwięcej promieni słonecznych, więc kobiety siedziały na leżakach na werandzie na piętrze, a mężczyźni na werandzie na parterze, no bo my siedzieliśmy topless, jak to się teraz nazywa, wyjaśniła ze śmiechem, a później mówiła o powrocie do domu, o wstydzie wiążącym się z tą chorobą, no i o opaleniznie przywiezionej z sanatorium. Tore był zafascynowany Borghild, a ona też go polubiła. Wszyscy lubili Torego. Wróciliśmy do naszej chaty i kontynuowaliśmy pracę. Nagle przez okno wsunął łeb koń, karmiliśmy go cukrem i jabłkami, a wieczorem siedzieliśmy przed chatą, piliśmy piwo i paliliśmy, przy akompaniamencie szumu wodospadu w lesie, wpatrzeni w śnieg pokrywający szczyty gór po drugiej stronie, lśniący w blasku zachodzącego słońca.

W połowie sierpnia pojechałem autobusem do Voldy. Tonje wyszła po mnie na przystanek i zaczęliśmy się wspinać pod górę do domu, którego całe piętro zamierzaliśmy wynająć, starego, o niezbyt wysokim standardzie, ale w mieszkaniu były trzy pokoje tylko dla nas dwojga. Cały ubiegły rok Tonje zajmowała je z inną studentką, teraz należało wyłącznie do nas. Byliśmy mężem i żoną, na tę myśl wciąż przechodziły mnie ciarki, mieliśmy przeżyć razem całe życie. A teraz znaleźliśmy się tutaj, w niewielkiej wiosce wśród gór, pełnej studentów.

Z pokoju, którego używałem jako pracowni, roztaczał się widok na fiord i na prom kursujący tam i z powrotem niemal przez całą dobę, wieczorami rzęsiście oświetlony; gdy tylko postawiłem komputer na biurku, wiedziałem, że będę mógł tu pracować.

Tonje dobrze się czuła na studiach, miała tam wielu przyjaciół, czasami nas odwiedzali, lecz najczęściej spotykała się z nimi poza domem. Niekiedy do niej dołączałem, ale raczej rzadko. Przyjechałem tam, żeby pisać, to była moja ostatnia szansa. Za dwa lata miała mi stuknąć trzydziestka, więc musiałem włożyć w pracę całego siebie. W odróżnieniu od wszystkich innych miejsc, w których mieszkałem, z Voldą nie wiązały się żadne emocje. Wstawałem wie-

czorem, pisałem w nocy, kładłem się do łóżka rano, już tęskniąc za wieczorną godziną, kiedy będę mógł znowu pisać. Czasami jeździłem rowerem do miejscowego centrum handlowego po płyty albo książki, ale nawet ten krótki czas, jaki mi to zabierało, odczuwałem jako wielką ofiarę, coś, na co właściwie nie mogę sobie pozwolić. W ciągu tych miesięcy odkryłem wielką moc rutynowych czynności i powtórzeń. Robiłem dokładnie to samo bez wysiłku każdego dnia, a wszystkie siły wkładałem w pisanie. Na nie również czerpałem moc z tego samego źródła, tak więc to, co jednego dnia było trzema stronami, po stu dniach zmieniało się w trzysta stron, a w ciągu roku w ponad tysiąc. Z papierosów, których każdej nocy, siedząc w tym samym miejscu, rolowałem mniej więcej dwadzieścia, zawsze sypały się drobinki tytoniu, toteż po pół roku przy nodze krzesła wyrósł z nich całkiem ładny kopczyk. Litery na klawiaturze powoli się ścierały według jakiegoś systemu pozostającego dla mnie tajemnicą, niektóre po sześciu miesiącach wyglądały na zupełnie nietknięte, inne całkiem się starły. Ale rutyna miała jeszcze jedną funkcję, a mianowicie chroniła mnie przed oglądaniem mojej twórczości z zewnątrz. Dzięki rutynie dzień po dniu stale tkwiłem w tym samym. Jeśli coś mi zakłóciło schemat, na przykład czyjaś wizyta albo wyjście na piwo z Tonje, wszystko się plątało, wypadałem z rytmu, zaczynałem zauważać rutynowe czynności i to, co między nimi napisałem, co wydawało mi się tak złe, że aż śmieszne; czy naprawdę sądziłem, że kogoś w ogóle zainteresują te moje dziecinne, infantylne przemyślenia?

Kiedy już przyszło mi to do głowy, te myśli same zaczynały się nakręcać, a im głośniejsze się odzywały, tym trudniej było mi się zamknąć w bezpiecznym ogrodzeniu rutyny, wewnątrz którego panował spokój. Gdy tylko znów tam trafiłem, postanawiałem, że nie wolno mi go więcej opuszczać, nie wolno mi się z nikim spotykać ani wychodzić z Tonje, żeby się napić. Ale potem również to postanowienie gdzieś się ulatniało, bo wewnątrz właśnie tak to wyglądało: znikало wszystko to, co na zewnątrz. Często w trakcie pracy stawałem przy ciepłym piecu w łazience i wyglądałem przez okienko, trochę jak kot obserwowałem otoczenie, potrafiłem tak stać pół godziny albo godzinę i dopiero potem wracałem do pisania. Był to sposób na przerwę i odpoczynek, ale bez konieczności całkowitego odrywania się od pracy.

Czułem się fantastycznie. Przez ponad dziesięć lat nic mi się nie udawało, a potem nagle nie wiadomo skąd się to wzięło, wystarczyło po prostu pisać. W dodatku tekst w porównaniu z moimi wcześniejszymi próbami był takiej ja-

kości, że każdego wieczoru przeżywałem zaskoczenie, kiedy czytałem to, co napisałem poprzedniej nocy. To było jak odurzenie, jak chodzenie we śnie, stan, w którym człowiek wyrasta z siebie, a najdziwniejsze jest to, że ów stan utrzymywał się cały czas.

Tonje wiedziała, jakie to dla mnie ważne, i była samodzielna, żyła własnym życiem, miała własne ambicje, ale czasami wyczuwałem, że chciałaby więcej, więcej mnie, więcej nas, że to jej nie wystarcza, wówczas starałem się jej to dać, ale nie robiłem tego dla siebie, bo nie potrzebowałem nic ponad to, co już miałem, tylko dla niej.

Raz poprosiła, żebym pozwolił jej skorzystać z komputera. To miała być chwila, pół godziny, musiała coś napisać, a wyprawa do szkoły tylko w tym celu byłaby bezsensowna. Strasznie się zirytowałem, ale nic nie powiedziałem, jasne, że udostępnię jej komputer na pół godziny, lecz żeby zrozumiała, jakie to dla mnie poświęcenie, usiadłem na krześle w przedpokoju tuż przy drzwiach i czekałem, wściekle zniecierpliwiony.

Czasami referowała mi opinie na temat naszego życia wygłaszane przez jednego z jej przyjaciół, dziwiło go, że pracuję na okrągło i nigdy nigdzie się z nią nie pokazuję. Oczywiście przekazywała mi to, ponieważ sama również w głębi ducha tak uważała, a ja się złościłem, no bo co komu do naszego życia?

Wiosną któregoś wieczoru dostała gwałtownych bólów brzucha, stwierdziła, że musi jechać na pogotowie. Spytałem, czy mam jej towarzyszyć, powiedziała, że nie, żebym pisał, wszystko będzie dobrze. Potem przez okno w salonie widziałem, jak idzie pod górę, zgięta wpół, i pomyślałem, jakie to wielkoduszne z jej strony, że pozwala mi pisać. Sam nigdy nie domagałem się towarzysztwa w takich sytuacjach, nie robiłem scen, nie byłem sentymentalny i cieszyłem się, że ona też jest taka.

Zadzwoiła dwie czy trzy godziny później, zostawili ją w szpitalu, bo wciąż nie było wiadomo, co jej dolega, więc lekarze postanowili zrobić drobny zabieg, żeby to stwierdzić.

– Mam przyjechać?

– Tak. Mógłbyś?

Leżała w łóżku, kiedy przyszedłem, i uśmiechała się przeproszająco, ból minął, to pewnie nic poważnego.

Następnego dnia znów ją odwiedziłem, ale lekarze nadal niczego nie znaleźli, to była jakaś tajemnica. Wybierałem się do Oslo na ostatnie omówienie tekstu, już dawno miałem zamówione bilety lotnicze, więc musiała jakoś dotrzeć do domu sama. To nie był przecież żaden problem, poza tym miała wielu przyjaciół, którzy mogli jej zrobić zakupy, gdyby czegoś potrzebowała.

W maju po raz ostatni przeglądałem maszynopis, wszystko, co trzeba było poprawić, należało zrobić właśnie teraz, więc kiedy przyszedł 17 Maja i Tonje spytała, czy nie mógłbym spędzić z nią tego święta, najpierw pójść na śniadanie do przyjaciół, potem we wsi popatrzeć na pochód, a jeszcze później iść do gospody na piwo, powiedziałem, że to niemożliwe, bo muszę się spieszyć z poprawkami, nie mogę stracić całego dnia, poza tym ona zna tam przecież tylu ludzi.

Poszła w marynarskiej kurtce, wyglądała pięknie, jak ze snu, widziałem ją przez okno i tak właśnie pomyślałem. Potem usiadłem w słońcu na tarasie i z długopisem w ręku zacząłem przeglądać maszynopis. Po jakimś czasie coś zjadłem i dalej czytałem, dopóki nie zadzwonił telefon. To była Tonje.

– Tak mi ciebie brakuje – poskarżyła się. – Nie mógłbyś przyjść? Chociaż na chwilę. Świetnie się bawię, ale byłoby o wiele przyjemniej, gdybyś do nas dołączył. Wszyscy pytają, czy coś się stało, że cię nie ma.

– Daj spokój – powiedziałem. – Przecież wiesz, że muszę pracować. Nie mogę przyjść. Rozumiesz to, prawda?

Oczywiście, świetnie to rozumiała.

Rozłączyliśmy się.

Stałem i zapatrzyłem się w fiord.

Co ja, na miłość boską, wyprawiam?

Czy już całkiem odebrało mi rozum?

Ma świętować 17 Maja w tej swojej marynarskiej kurtce sama, beze mnie?

Błyskawicznie się ubrałem i prawie biegiem ruszyłem pod górę. Ledwie dotarłem na szczyt wzniesienia, zobaczyłem Tonje. Szła powoli, ze spuszczoną głową.

Płakała?

Tak, płakała.

Ach, Tonje.

Podbiegłem do niej i mocno ją objąłem.

– Nie przejmuj się mną – powiedziała. – Nie wiem, co mnie napadło.

Ostatnie słowa wypowiedziała z uśmiechem.

Wróciliśmy do wioski, do knajpy, w której siedzieli jej przyjaciele, a potem poszliśmy do gospody i upiliśmy się, jak należy w święto narodowe. To tam powiedziałem, że kiedy moja powieść zostanie wydana, trafi na pierwszą stronę „Dagbladet”. Tonje spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Założymy się? – spytałem. Tak, odparła. O wyjazd do Paryża. Jeśli wygrasz, zabierzesz mnie, a jeśli ja wygram, zabiorę ciebie.

Wieczorem tego dnia wracaliśmy mocno objęci. Tonje wyznała, jak bardzo męczy ją nasza sytuacja, tłumaczyłem, że to już niedługo, jeszcze tylko miesiąc i wszystko się zmieni.

– Najgorsze jest to, że ci wierzę – powiedziała.

Tego wieczoru, kiedy Anglia grała z Argentyną na mistrzostwach świata w piłce nożnej, firma przeprowadzkowa zabrała z magazynu nasze rzeczy. Następnego dnia przylecieliśmy do Bergen i czekaliśmy na transport przed naszym nowym mieszkaniem. Odpowiedzieliśmy na ogłoszenie w gazecie, Tonje napisała list, przedstawiła nas, no i dostaliśmy to mieszkanie. Jego właścicielką była starsza pani i chciała za nie jakieś grosze, chociaż było duże, przynajmniej według naszych standardów.

Zadzwoiła komórka, telefonował kierowca ciężarówki. Stał u stóp wzgórza i nie mógł pod nie podjechać. Szybko do niego zeszliśmy.

– Nie da się – obwieścił, drapiąc się w policzek. – Muszę wyładować wasze graty tutaj.

– Tu? – spytałem. – Na ulicy?

Kiwnął głową.

– To niemożliwe! – prawie krzychałem. – Przecież zapłaciliśmy za przeprowadzkę! Musi pan wnieść rzeczy do mieszkania!

– Ale nie podjadę pod tę górkę – powtórzył. – Mogę wam pożyczyć wózek, jeśli obiecacie, że go zwrócicie.

Poddałem się i pomogłem mu wystawić wszystkie meble i kartony na ziemię. Powstał stos wysokości człowieka. Kierowca odjechał, a ja zadzwoniłem

po pomoc do Eirika, jedyne go znajomego, który akurat był w mieście, nie mógł jednak przyjść, więc nie pozostawało nam nic innego, jak wziąć się do noszenia.

Ludzie, którzy tamtędy przechodzili, gapili się na nasz dobytek. Coś tu straszliwie zgrzyta, pomyślałem, ładując na wózek trzy kartony i pchając go pod górę. Nasze rzeczy wyglądały obscenicznie, jak nagie, obnażone. Leżanka na drodze. Nasze łóżko na drodze. Kanapa, krzesło, lampa. Obrazy. Biurko. Wszystko jaśniało w słońcu na tle szarego, suchego asfaltu.

W następnych dniach pomalowaliśmy mieszkanie i kiedy wreszcie ustawiliśmy meble i drobiazgi na swoich miejscach, poczuliśmy się szczęśliwi. Mieliśmy wrażenie, że to nasze pierwsze prawdziwe mieszkanie, przestaliśmy być studentami, tutaj zaczynała się nasza przyszłość. Tonje dostała pracę w NRK Hordaland, moja powieść była gotowa, została jedynie korekta. I okładka. W związku z nią pojechałem po pomoc do Yngvego, do Stavanger. Wiozłem ze sobą zdjęcia zeppelinów, od samego początku uważałem, że się nadadzą, bo nastrój, jaki starałem się oddać w tej powieści, owo przytłaczające uczucie przemijania czasu, całych epok, mało co symbolizowało lepiej niż sterowiec, ten wieloryb przestworzy, Moby Dick postępu, tak piękny i obcy, że patrzenie na niego sprawiało ból. Jako alternatywę wziąłem też książkę o przestrzeni kosmicznej, którą kiedyś dostałem od taty, ilustrowaną wyłącznie rysunkami, bez żadnych zdjęć. Wydano ją we wczesnych latach pięćdziesiątych, podróże kosmiczne jeszcze się nie zaczęły, ale już na ich temat spekulowano, szkicowano kombinezony, pokazywano, jak być może będzie ubrany pierwszy astronauta. Rysowano rakiety, domy na pustych planetach, pojazdy księżycowe. Wszystko w stylu typowym dla lat pięćdziesiątych, amerykańskiego optymizmu rodem z reklam. Ojciec z dzieckiem wskazujący palcem niebo usiane gwiazdami, przyszłość, przygoda, cały wszechświat otwarty przed ludźmi. Projekty okładek przygotowane przez Yngvego i Asbjørna, zarówno te z zeppelinami, jak i te z rysunkami z lat pięćdziesiątych, wyszły ładnie, ale nie oddawały w pełni treści książki. Yngve i Asbjørn wypróbowywali coraz to nowe wersje, a ja zacząłem się już na nie godzić, gdy nagle Asbjørn w magazynie fotograficznym natknął się na kilka zdjęć Jocka Sturgesa, amerykańskiego fotografika. Jedno przedstawiało dziewczynkę, dwunasto-, może trzynastoletnią, nagą, stojącą tyłem, i kiedy zobaczyliśmy to zdjęcie, sprawa była przesądzona. Przecież ta po-

wieść opowiadała właśnie o tym, nie o czasie, który minął, lecz o pożądaniu trzynastolatki.

Po powrocie do domu spędzałem dni na czytaniu gazet i oglądaniu telewizji. Czasami zachodziłem do Stoczni na kawę, którą wypijałem, czytając książkę, nie mogłem odzyskać równowagi, bo rutyna niczego już nie przynosiła, pozostawała tylko rutyną, a dni były puste. Tonje pracowała, Yngve i Asbjørn mieszkali w Stavanger, Espen i Tore w Oslo, Hans i prawie wszyscy inni znajomi też się tam przeprowadzili. W Bergen została ich zaledwie garstka. Wiedziałem, że w mieście jest Ole, który się rozwiódł i wrócił tutaj. Zadzwoiłem do niego, poszliśmy na piwo. Eirik, którego poznałem dopiero w Radiu Studenckim, pisał pracę doktorską z literaturoznawstwa, pojechałem do niego na uniwersytet, wypiliśmy kawę w bufecie.

Kiedy od niego wróciłem, zadzwoniła mama z wiadomością, że Borghild nie żyje. Któregoś dnia po prostu się nie obudziła, nie chorowała, nic ją nie bolało, umarła we śnie. Minął rok, odkąd widziałem się z nią ostatnio, pojechałem wtedy do niej rowerem od mamy, siedzieliśmy na werandzie, wypytywałem ją o życie w gospodarstwie w dawnych czasach, a jej opowieści zapisywałem w notesie, bo to, co dla niej było wspomnieniami, dla mnie było historią. Tamten świat diametralnie różnił się od dzisiejszego. Borghild należała do obydwu, ale umarła. Słyszałem, jak bardzo mamie jest smutno, umówiliśmy się, że przyjadę na pogrzeb. Tonje pracowała i nie mogła się wyrwać, ja zaś dzień przed wyjazdem spakowałem walizkę, nazajutrz rano wziąłem prysznic, zjadłem śniadanie i już miałem wychodzić na dworzec autobusowy, kiedy zadzwonił telefon. To był Yngve. Powiedział, że umarł tata.

*

Cztery dni później wyszedłem z kaplicy w Kristiansand po tym, jak drugi raz zobaczyłem tatę, a raczej to, co kiedyś nim było, bo teraz zostało jedynie ciało z jego rysami. Niebo było jasne, ale zamglone. Droga przede mną jechał strumień samochodów. Widok taty mnie przeraził, tym bardziej że on się zmienił w ciągu tych paru dni, które upłynęły, odkąd zobaczyłem go martwego pierwszy raz. Skóra pożółkła, jakby bardziej się zapadła. Był już w drodze do ziemi, coś go tam ciągnęło z wielką siłą. Przeszedłem przez kładkę dla pieszych, w dole przesuwały się samochody, docierał do mnie warkot silników, zapaliłem papierosa i podniosłem wzrok na wznoszące się przede mną szczyty budynków. Przemawiały już przez sam fakt stania tutaj, to, co mówiły, nie było ludzkie ani żywe, ale stanowiło jakąś wypowiedź. Dom po drugiej stronie ulicy, pochodzący chyba z lat trzydziestych, mówił coś innego, tak też było w całym mieście, we wszystkich miastach. Wyszczzerzone uśmiechy pod niebem, wśród których plątali się ludzie.

Skąd, do diabła, wzięła się ta krew?

Kiedy mieliśmy zobaczyć tatę po raz pierwszy, przedsiębiorca pogrzebowy ostrzegł nas, że było dużo krwi, więc widok może być nieprzyjemny. Oczywiście go umyli, ale krwi nie zdołali usunąć, jakby wsiąkła w skórę. Miał złamany nos. Ale w salonie, tam gdzie go znaleziono, nie było śladu krwi. Czyżby dokuczał mu tak dotkliwy ból, że wstał, upadł na przykład na obmurowanie kominika, złamał nos, wciągnął się na fotel i na nim umarł? Albo złamał nos dzień wcześniej gdzieś na mieście? A może to złamanie i krwotok były przyczyną zatrzymania akcji serca?

Ale gdzie podziała się krew?

Uznałem, że muszę nazajutrz zadzwonić do lekarza i spytać, co się właściwie stało tego dnia, kiedy został znaleziony martwy.

Po powrocie zastałem babcię przy kuchennym stole. Na moment się rozjaśniła, nie chciała być sama nawet przez chwilę – za każdym razem, kiedy Yngve i ja wychodziliśmy z domu, szła za nami.

Nastawiłem kawę, poszedłem do salonu i zadzwoniłem do Yngvego, uprzednio zamknąwszy drzwi do kuchni.

– Rozmawiałaś z lekarzem? – spytał.

– Nie, jeszcze nie. Chciałem się tym zająć jutro.

– To dobrze. A co tam słychać poza tym?

– Skosiłem dziś w ogrodzie prawie całą trawę, czy tam siano, nie wiem, jak to nazwać. Jutro mam zamiar dalej sprzątać.

– A pastor?

– Ojej, rzeczywiście! Załatwię to. Zadzwonię później. Chociaż wydaje mi się, że zakład pogrzebowy się z nim kontaktował.

– Na pewno. Ale trzeba omówić ceremonię. Pastor pewnie zechce powiedzieć kilka słów o tacie, więc będziesz musiał mu udzielić paru informacji.

– A co mam mówić?

– No, naszkicować obraz jego życia, po prostu. Nauczyciel na Tromøi, aktywny polityk lokalny, filatelista. Dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa, jedno z drugiego. Interesował się... Czym on się właściwie interesował?

Płakałem bezgłośnie.

– Łowieniem ryb – powiedziałem. – Lubił łowić.

Milczenie.

– Ale... myślisz, że powinienem coś powiedzieć o tym, jak skończył? O ostatnich latach? – spytałem.

– Raczej nie wprost.

– Może na przykład, że było mu trudno?

– Tak, to powinno wystarczyć.

– Chciałbym tylko, żeby to zabrzmiało godnie.

– Wiem. Ja też tego chcę.

– Kiedy przyjedziesz?

– Przypuszczalnie w dniu pogrzebu. Albo wieczorem dzień wcześniej.

– Okej. Tak czy owak, jutro do ciebie zadzwonię.

– Dzwonź.

– No to na razie.

– Na razie.

Pod wieczór chmury się rozeszły i niskie słońce rzuciło na miasto pomarańczowe światło, a jednocześnie zmierzch powoli wypełzał z ziemi, wkrótce zaczął się unosić, aby wypełnić całą przestrzeń aż do nieba, ostatniego szańca światła, które na razie wisiało niebieskie i przepastne. Później, w momencie trudnym do uchwycenia, zaświeciło światło jednej gwiazdy, słabiutkie jak nowo narodzone dziecko, ale stopniowo nabierało mocy, otoczyły je inne światła i wkrótce wciąż jasne letnie niebo całe się nimi zapełniło.

Babcia siedziała w salonie i oglądała telewizję, a ja stałem na tarasie i patrzyłem to na niebo, to na miasto i morze. Myślałem o tamtej książce z lat pięćdziesiątych, którą dostałem od taty. Czytał ją tutaj. Marzył o kosmosie, tak jak marzą dzieci, zastanawiał się, co przyniesie przyszłość, jakie rakiety, roboty, wynalazki i odkrycia. Jak się wtedy czuł?

Jaki był?

Tamtego lata, kiedy poznał mamę, gdy mieli po siedemnaście lat, to znaczy w 1961 roku, powiedział jej, że ma raka jąder i prawdopodobnie nie będzie mógł mieć dzieci.

Było to oczywiście kłamstwo, podobnie jak skierowane do mnie słowa o raku i śmierci.

Ale nie było kłamstwem, że umrze.

A więc może kłamstwem nie było również to, że nie mógł mieć dzieci, to znaczy, że ich nie chciał, wiedział, że nie powinien ich mieć.

O Boże, mieli wtedy po dwadzieścia lat. Jeśli byli równie niedojrzali jak ja w tym wieku, to jednak dokonali bohaterskiego czynu.

Zgasiłem papierosa i wszedłem do domu.

Zadzwonił telefon.

– Odbierz – powiedziała babcia, nie patrząc na mnie. Znów jakby odzywała się do kogoś innego niż ja, mówiła zupełnie innym tonem, a tym kimś nie mógł być nikt inny, jak tylko tata.

Poszedłem do jadalni i podniosłem słuchawkę.

– Cześć, mówi Gunnar. Jak się miewacie?

– Dobrze, jeśli można tak powiedzieć w tej sytuacji.

– Wiem, to okropne, Karl Ove. Ale pomyśleliśmy, że zabierzemy was jutro

do domku letniskowego. Trochę się oderwiecie od tego wszystkiego. Podobno ma być ładna pogoda. Co ty na to?

– Brzmi fantastycznie.

– No to się umawiamy. Przyjedziemy po was jutro rano. Postaraj się, żebyście już byli na nogach. Lepiej jechać wcześniej, to trochę skorzystamy z dnia, prawda?

– Pewnie. Tak będzie najlepiej.

Położyliśmy się w tym samym czasie, zszedłem po schodach za babcią, w przedpokoju się odwróciła, powiedziała „dobranoc” i zniknęła w swoim pokoju. Usiadłem u siebie na łóżku, oparłem głowę na rękach i długo płakałem. Właściwie miałem ochotę położyć się w ubraniu, od razu zasnąć, ale ponieważ rano miał przyjechać Gunnar, nie chciałem wyglądać jak flejtuch, więc zmobilizowałem resztki sił, poszedłem do łazienki, umyłem zęby, opłukałem twarz, ubranie powiesiłem na krześle i dopiero położyłem się do łóżka. Bałem się tego, najgorsze były chwile, gdy zamykałem oczy, leżałem i nic nie widziałem, wtedy wszystkie straszne myśli nagle jakby się na mnie rzucały, nareszcie uwolnione; podobnie było również tego wieczoru, choć jednocześnie powoli to zanurzałem się w sen, to się z niego wydobywałem, zdążyłem jeszcze pomyśleć, że trochę tak, jak wrzucony do wody haczyk na lince, ściągany w głąb przez obciążnik, ale w końcu ciemność zaatakowała z większą siłą i odpłynąłem ze świata.

Kiedy się obudziłem koło ósmej, babcia już wstała. Była w tej samej brudnej sukience, którą nosiła cały ten czas, od kilku dni, pachniała nieprzyjemnie i wydawała się głęboko zapadnięta w siebie.

Powinna się wykapać, przebrać w świeże ubranie, należało wyrzucić jej materac, dać nowy, czysty, z nową, czystą pościelą. Powinna dostać jedzenie, dobre, ciepłe jedzenie, i powinna odpocząć.

Nic z tych rzeczy nie potrafiłem jej zapewnić.

– Pewnie niedługo przyjadą – powiedziałem.

– Kto? – spytała, patrząc na mnie, z dymiącym papierosem w palcach.

– Gunnar i Tove. Mają nas dziś zabrać na działkę, pamiętasz?

– Rzeczywiście. To miło.

– Tak.

Trochę po dziewiątej podjechał samochód. Babcia wyjrzała przez okno, dokładnie w taki sam sposób, jaki zapamiętałem z dzieciństwa, odwróciła się do mnie, szybkim ruchem odgarnęła włosy.

– To Gunnar – oznajmiła.

– Schodzimy?

– Myślisz, że nie wejdą na górę?

– Mają nas zabrać na działkę.

– Rzeczywiście.

Zszedłem za nią po schodach. Gunnar czekał w przedpokoju. Opalony, jasnowłosa, wysoki i szczupły. Patrzył na mnie ciepło.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Całkiem nieźle – odparłem z wilgotnymi oczami. – Ale dobrze będzie na trochę się stąd wyrwać.

Babcia włożyła płaszcz i sięgnęła po torebkę, idąc do samochodu, niosła ją zawieszoną na przedramieniu. Tove, mrużąc oczy przed słońcem, przywitała się z nami, ujęła babcię pod ramię i pomogła jej wsiąść do auta. Obszedłem samochód i wsiadłem z drugiej strony.

Domek stał dwadzieścia kilometrów na wschód od miasta, na jednej z przybrzeżnych wysepek. Nie byłem tam od lat. W dzieciństwie przyjeżdżaliśmy tu mniej więcej raz do roku. Towarzyszyło temu wiele rytuałów i wszystko, co się z tym wiązało, było wielką przygodą. Zaczynało się już od parkingu, usytuowanego na niedużej polanie w lesie, każde miejsce było tam oznaczone numerem rejestracyjnym samochodu, namalowanym na kamieniu albo kawałku drewna. Dziadek podjeżdżał na swoje przy kamiennym ogrodzeniu, stawał w migoczącym cieniu gałęzi wielkiego dębu, otwierałem drzwiczki i wysiadałem; powietrze, pachnące ziemią, trawą, drzewami i kwiatami, było tak ciepłe, że wydawało mi się, iż się w nim zanurzam. Panowała niemal zupełna cisza, słychać było jedynie śpiew ptaków, czasami jakieś głosy z oddali albo warkot motorówki w niewielkim porcie, do którego zmierzaliśmy.

Parkowanie samochodu na trawie!

Duża, kanciasta lodówka turystyczna, którą babcia wyjmowała z bagażnika. Wyschnięty mech w szczelinach kamiennego ogrodzenia, wszystkie zapachy, które się w nim kryły, czasami naprawdę mroczne, mocno związane z ziemią; kiedy uniosło się kamień, okazywało się, że w wilgoci pod nim żyją małe stworzonka, które rozpierzchały się na wszystkie strony. Podobnie rzecz się miała ze sztywną trawą, pachnącą sucho i ciepło, ale kiedy trochę się pod nią pogrzebało, wydobywały się zupełnie inne zapachy, pełniejsze i głębsze, graniczące z wonią zgnilizny.

Trzmiel brzęczące wokół krzaków dzikiej róży po drugiej stronie kamiennego ogrodzenia. Niektóre miejsca na ścieżce, tam gdzie słońce świeciło od samego rana, niczym bunkry gorąca; pomieszczenia, do których się wchodziło i z których się wychodziło, a potem coraz wyraźniejszy zapach słonego morza i gnijących wodorostów. Krzyki mew.

Na wyspę transportował nas zawsze ten sam stary przewoźnik. Dziadkowie z pomostu podawali mu nasze bagaże, a on układał je na dnie łodzi, dopiero potem wsiadaliśmy. Babcia, elegancka kobieta tuż po sześćdziesiątce, zawsze walcząca z wiatrem, który wicherzył jej fryzurę, więc cały czas ją przyklepywała; dziadek, zamożny mężczyzna o kilka lat od niej młodszy, z czarnymi, zaczesanymi do tyłu włosami i delikatnymi wargami. Stary przewoźnik w kaleskach i czarnej czapce z daszkiem, z jedną ręką na manetce gazu przy silniku, a drugą złożoną na kolanach. Wypływaliśmy powoli, przecinaliśmy cieśninę, schodziliśmy na ląd na przystani po drugiej stronie, poniżej prostego białego domku, za którym Yngve i ja tak bardzo byliśmy stęsknieni. Rosły przy nim dzikie wiśnie i dziczące jabłka. Przy gładkich skałach w pobliżu można się było kąpać, z pomostu łowić kraby. Była tam też nieduża czerwona jolka Pioneer, często nią pływaliśmy. Ale najbardziej lubiliśmy grać w piłkę na skrawku płaskiej ziemi na tyłach domku, zwłaszcza gdy przyłączali się do nas dorośli, dziadek, Gunnar, czasami tata.

Wszystko to miałem przed oczami tego ranka. Ale parking nie był już porośnięty trawą, tylko wylany asfaltem. Długa droga przez las wcale nie była długa, pokonaliśmy ją w kilka minut. Nie czekał na nas żaden przewoźnik, tamten na pewno już dawno umarł, a atmosfera pracy panująca na przystani i wokół niej całkiem zniknęła, teraz to miejsce kojarzyło się z czasem wolnym, z letniskiem.

Las był jednak ten sam, odgłosy i zapachy te same. To samo morze z wyspa-

mi i wysepkami.

Gunnar przyciągnął łódź, Tove pomogła babci wsiąść i już wkrótce sunęliśmy przez cieśninę pod wysokim błękitnym niebem. Babcia siedziała nieruchomo, ze spuszczonego wzrokiem, jakby otoczenie, otwartość i lekkość, które nas powitały, do niej nie dotarły. Na jej bladą, po ptasiemu wychudzoną twarz patrzyło się tutaj z jeszcze większą przykrością niż w domu, to miejsce bowiem kojarzyło się z opaloną na brąz skórą po długich dniach na słońcu, z solą we włosach po orzeźwiającej kąpieli, ze śmiechem, z wesołymi, zalotnymi spojrzeniami, z wieczorami pełnymi krewetek, krabów i homarów.

Tove położyła mi rękę na ramieniu i patrząc na mnie, uśmiechnęła się pocieszająco.

Rozpłakałem się.

Ooooooch!

Odwróciłem się, spojrzałem na morze. W cieśninie było pełno łodzi, latem stanowiła trasę przelotową dla turystów. Drobne fale uderzały w kadłub motorówki, od czasu do czasu leciały na nas bryzgi słonej wody.

Kiedy Tove pomagała babci wsiąść na brzeg, Gunnar cumował łódkę. Odwrócił się do mnie.

– Czy babcia wczoraj piła? – spytał.

Zrobiło mi się gorąco, spuściłem wzrok.

– Wydaje mi się, że trochę tak.

– Miałem wrażenie, że coś czuję. Tak nie może być.

– No tak.

– Ona już nie potrafi sama o siebie zadbać.

– Rzeczywiście, to wyraźnie widać.

– Tyle lat jej pomagaliśmy. I twój ojciec, i Erling wyprowadzili się z miasta, więc ten obowiązek spoczywał na nas.

– Aż trudno uwierzyć, że mieliście siłę.

– Siła nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu musieliśmy. To przecież moja matka.

– Wiem.

– Idź, napij się kawy.

Z oczami mokrymi od łez poszedłem w stronę domku. Byłem kompletnie rozbity. Wystarczył jeden uśmiech, jedno życzliwe dotknięcie ręki, i już się rozsypałem.

Babcia była jego matką. Tata był moim ojcem. Wiedziałem, co się z nim dzieje, wiedziałem, że umrze. Nie kiwnąłem nawet palcem. Mogłem przyjechać, porozmawiać z nim, powiedzieć, że musi się leczyć. Yngve mógł się wybrać ze mną, mogliśmy przy nim siedzieć, dwaj jego synowie, i wziąć za niego odpowiedzialność.

Ten pomysł był mi równie obcy, jak nierealny. Mogłem zrobić wiele, mogłem zmusić się niemal do wszystkiego, gdyby okazało się to konieczne, ale do tego nigdy.

Miałbym mu powiedzieć: teraz jedziesz ze mną do Bergen, na razie możesz zamieszkać u Tonje i u mnie, a potem znajdziemy ci mieszkanie gdzieś w pobliżu?

Cha, cha.

Cha, cha, cha.

– Siadaj, Karl Ove, odpręż się trochę – powiedziała Tove. – Dużo przeszedłeś. Tu możesz sobie zrobić wolne. I tak musicie tam wrócić.

Zaszlochałem, zasłoniłem oczy ręką.

Babcia paliła papierosa, spoglądając na przystań, z której nadchodził już Gunnar.

Godzinę później zabrał mnie na spacer w głąb wyspy. Początkowo w ogóle się nie odzywaliśmy, tylko szliśmy obok siebie ścieżką, w otoczeniu drzew, wysokiej, suchej trawy, krzewów i zarośli, gdzieniegdzie jaśniały kwiaty, prześwitywała goła skała, całkiem szara, miejscami pokryta plamami barwnych porostów, w zagłębieniach wystrzępione źdźbła trawy lekko kołysały się na wietrze, a potem nagle otworzyło się przed nami podłużne pole, za nim jaśniało bielą kilka domów z pomarańczowymi dachami i czerwonymi proporczykami powiewającymi na masztach.

– Poznajesz, gdzie jesteś? – spytał Gunnar.

– Pewnie.

– Pamiętam, jak przyszliśmy tutaj, kiedy byłem mały. Twój ojciec był wtedy

młodym mężczyzną, studiował w Oslo, podziwiałem go, jak tylko młodszy brat potrafi podziwiać starszego.

– Aha – powiedziałem.

– Miał w sobie coś szczególnego. Nie był taki jak inni. Pamiętam, że siedział długo w nocy. Nikt inny tak nie robił.

– No nie.

– Był ode mnie dużo starszy, nie wychowywaliśmy się razem. Ja dopiero skończyłem dziesięć lat, a on już miał syna. Własne życie.

– Tak.

– Pod koniec nie było mu łatwo. Smutne, że tak się skończyło. Ale może stało się najlepiej, jak mogło. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak, chyba tak.

– Latem otworzyli tu małą restaurację. – Ruchem głowy wskazał nieduży dom, który mijaliśmy.

– Wygląda na fajną.

Idąc, cały czas płakałem bezgłośnie. Nie wiedziałem już, dlaczego płaczę, nie wiedziałem, co czuję, skąd się to wszystko bierze.

Zatrzymaliśmy się przy starym porcie, wokół którego odnowiono wszystkie domy szyprow, aż olśniewały bogactwem. Horyzont w oddali był ostry jak nóż. Błękitne niebo, błękitne morze. Białe żagle, dobiegający skądś śmiech, kroki na żwirze. Kobieta podlewała rabatkę dużą zieloną konewką. Strużki wody migotały w słońcu.

Kiedy Gunnar zaparkował samochód przed domem, była piąta i drzewa szumiały na wietrze od morza, bryza pojawiała się zawsze, kiedy słońce przesunęło się po niebie.

– Zajrzymy jutro – powiedział Gunnar. – Pomożemy. Na pewno zostanie jeszcze coś do zrobienia.

Uśmiechnął się.

Kiwnąłem głową, weszliśmy do środka. Po takiej ilości światła i powietrza na wyspie rozpad w tym domu, do którego w pewnym sensie zdążyłem już przywyknąć, znów się objawił. Zaraz po wejściu na górę wziąłem się do sprzątnięcia. Tym razem dwóch salonów za kuchnią. Błat, stół jadalniany, krze-

sła, wszystko w stylu lat trzydziestych, ze snycerką lekko stylizowaną na wi-kińską, niski stolik przy kanapie, biała boazeria z lat osiemdziesiątych, para-pet, drzwi na taras, stopnie schodów. W obu pokojach podłogę przykrywała wykładzina, oczyściłem ją odkurzaczem, ale nie na wiele się to zdało, pomy-ślałem, że jutro będę musiał kupić jakiś środek do czyszczenia, wylałem brud-ną wodę i zadzwoniłem do Tonje.

Kupiła już bilety lotnicze, dla siebie w jedną stronę i powrotne dla nas obojga. Opowiedziałem jej, co się działo, o spotkaniu z pastorem, które mnie czekało następnego dnia, mówiłem, że jest jeszcze niewiarygodnie dużo robo-ty, ale jakoś dam sobie radę. Powiedziałem, że mi jej brakuje i chciałbym, żeby tu była. Pierwsza część była prawdą, druga nie. Musiałem tu być albo sam, albo razem z Yngvem. Pogrzeb to zupełnie co innego, wtedy Tonje musia-ła tu być. Powiedziała, że cały czas o mnie myśli i że mnie kocha.

Kiedy się rozłączyliśmy, zadzwoniłem do Yngvego. Mógł przyjechać dopie-ro na pogrzeb, sytuację komplikowały dzieci, ale obiecał, że postara się wyre-czyć mnie, jak może, z domu. Obdzwoni krewnych i ich zaprosi, będzie w kon-takcie z zakładem pogrzebowym, zajmie się wszystkim, co mnie sprawiało taką trudność.

Gunnar i Tove przyszli następnego dnia. Tove pomogła babci się wykapać, naszykowała jej czyste ubranie i przygotowała coś do jedzenia, a my z Gunna-rem sprzątailiśmy i wyrzucaliśmy. Staralem się mu podporządkowywać, jak tylko potrafiłem, to przecież on wychował się w tym domu, to była jego matka, a ja byłem synem człowieka, który to wszystko zniszczył. Z babcią kąpiel zdziałała cuda, nagle jakby wydobyła się z siebie. W pewnej chwili zobaczy-łem, jak schodzi ze schodów z miską wody w rękach i papierosem w kąciku ust. Tove, która sprzątała w garderobie, ze śmiechem puściła do mnie oko. Przecież ona wygląda jak robotnik z browaru, powiedziała.

Około drugiej poszedłem do kancelarii kościoła na Lund. Znalazłem się w długim korytarzu, zajrzałem w otwarte drzwi, w środku za biurkiem siedzia-ła jakaś kobieta, uniosła się na mój widok, wyjaśniłem, o co mi chodzi, wska-zała właściwy pokój, zapukałem i wszedłem.

Pastor, mężczyzna w średnim wieku, o życzliwych oczach, uścisnął mi rękę, usiedliśmy. Nie miałem wielkiego zaufania do norweskich duchownych, z przerażeniem wspominałem przypowieść o automacie z colą, którą usłysza-łem poprzedniej wiosny. Jedyнным powodem, dla którego chciałem, aby tata

miał kościelny pogrzeb, była tradycja, dostojność takiej uroczystości. Niech odczytają nad nim pieprzone słowo Boże. Dlatego rozmowę z tym pastorem zaczynałem pełen wątpliwości. Chciałem tradycyjnej ceremonii, z psalmami, kazaniem, rzucaniem ziemi, jak najbardziej osobistej, ale z jak największym dystansem. Chciałem, aby na życie taty spoglądano z wielkiej perspektywy, a nie z tej małej. Żeby widziano nie mężczyznę, którego bały się własne dzieci i który w końcu zapisał się na śmierć, tylko człowieka, który urodził się na Ziemi, czysty i niewinny, jak wszyscy, który żył tak, jak żyją wszyscy, i umarł, jak wszyscy umierają.

Ale tak się nie dało. Po omówieniu praktycznych szczegółów przeszliśmy do tego, co pastor ma poruszyć w swojej przemowie.

– Kim był twój ojciec? – spytał.

Powiedziałem, że studiował w Oslo, wiele lat uczył w gimnazjum w Arendal, z żoną Sissel miał dwoje dzieci, Yngvego i Karla Ovego, później się rozwiódł i ożenił ponownie, kilka lat mieszkał na północy Norwegii, urodziła mu się córka, potem wrócił na południe i tu umarł, w wieku pięćdziesięciu czterech lat.

– Kim był twój ojciec dla ciebie, Karl Ove? – spytał.

Nie podobała mi się ta poufałość, kryjąca się za użyciem mojego imienia, a jednocześnie miałem ochotę jej ulec. To była jakaś cholerna manipulacja, wiedziałem o tym, bo przecież on mnie, do diabła, nie znał, ale kiedy popatrzyłem mu w oczy, w jego spojrzeniu nie zobaczyłem żadnego idioty, żadnego nawiedzonego ignoranta, tylko ciepło i zrozumienie. Widziałem, że nie byli mu obcy ludzie, którzy zapijają się na śmierć, ani też ludzie źli, i chyba wcale nie uważał ich za koniec świata, bo właściwie z nich składał się świat.

– Bałem się go – powiedziałem. – Zawsze cholernie się go bałem. Nawet teraz się go boję. Widziałem go w tym tygodniu już dwa razy, ale ciągle nie jestem pewien, czy naprawdę umarł. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Boję się, że przyjdzie i... i będzie na mnie zły. Po prostu. Trzymał mnie w szachu i nigdy nie puścił. Cieszę się, że umarł. Właściwie tak. To dla mnie wielka ulga. Mam z tego powodu straszne wyrzuty sumienia. Przecież on nie robił tego ani nie był taki s p e c j a l n i e.

Patrzyłem na pastora.

– A jaki stosunek miał do niego twój brat? Tak samo to odbiera?

– Nie wiem. Chyba nie. Wydaje mi się, że Yngve go nienawidzi. Ja nie. Ale nie wiem. Dla Yngvego zawsze był jeszcze gorszy. Na mnie potrafił spojrzeć, próbował coś naprawić, ale Yngve w ogóle nie chciał o tym słyszeć, od razu go odrzucał.

– Mówisz, że nie robił tego specjalnie. To dlaczego tak się ułożyło?

– Był udręczonym człowiekiem, widzę to teraz. Nie chciał żyć tak, jak żyliśmy, ale się do tego zmuszał. Potem się rozwiódł i miał robić to, co naprawdę chciał, ale było jeszcze gorzej, zaczął pić i w jakimś momencie stracił kontrolę. Wszystko chrzanił. W ostatnim czasie mieszkał u swojej matki. Tam umarł. Tam siedział i tam pił. Właściwie to było samobójstwo. Chciał umrzeć, jestem tego pewien.

Rozpłakałem się. W ogóle nie przejmowałem się tym, że płaczę na oczach obcego człowieka. Tego rodzaju kwestie przestały się dla mnie liczyć. Płakałem i płakałem, wylewałem z siebie wszystko, a on słuchał. Siedziałem tam godzinę, płakałem i opowiadałem o tacie. Kiedy już miałem iść, pastor uściśnął moją rękę i mi podziękował. Popatrzył na mnie łagodnym spojrzeniem, znów zacząłem płakać, powiedziałem, że to ja dziękuję, a kiedy stamtąd wyszedłem, korytarzem i w dół po schodach na osiedle do głównej drogi, czułem się tak, jakby coś we mnie odpuściło, jakbym nie dźwigał już sam tego, co do tej pory dźwigałem. Rozmawialiśmy jedynie o tacie i o mnie, ale to, że pastor mnie wysłuchał, tak jak musiał wysłuchiwać mnóstwa ludzi, którzy przychodzili do niego, by ulżyć sercu i opowiedzieć o szczegółach swojego trudnego losu, sprawiło, że nie była to tylko rozmowa o tacie i o mnie, lecz o życiu. Takie było to życie. Takie było życie taty.

Przyjechała Tonje, wtuliłem się w nią. Ściskaliśmy się, kołysząc.

– Dobrze, że jesteś – powiedziałem. – Tak się za tobą stęskniłem.

Dom był wysprzątnany, ciągle w ruinie, ale przynajmniej w miarę czysty. Umyłem wszystkie talerze, sztućce i szklanki, nakryłem do stołu, wszędzie były kwiaty. Przyjechali Yngve, Kari Anne, Ylva i maleńki Torje. Był też brat taty, Erling, z żoną i trojgiem dzieci. Na krześle przy stole, który przenieśliśmy do salonu, siedziała babcia. Miała dziś pochować swojego najstarszego syna. Nie mogłem na nią patrzeć, na to jej nieruchome, puste spojrzenie. Ale godzinę wcześniej oczy jej rozbłysły, kiedy Yngve pokazał jej Ylvę, zmierzwiła małej

włosy.

– Zawiążesz mi krawat? – spytałem Tonje.

Kiwnęła głową, przeszliśmy do kuchni, zarzuciła mi go na szyję i smyk, smyk, węzeł gotowy. To był ten sam krawat, w którym brałem ślub.

Zrobiła krok do tyłu i popatrzyła na mnie.

– Dobrze to wygląda?

– Bardzo dobrze – oceniła.

Wróciliśmy do salonu, spojrzałem na Yngvego.

– Idziemy?

Kiwnął głową, kilka minut później wyjechaliśmy. Niebo było białe, powietrze ciepłe. Trzasnęliśmy drzwiczkami i ruszyliśmy do kaplicy. Podszedł do nas jeden z pracowników zakładu pogrzebowego, wręczył nam program. Yngve zerknął na broszurkę.

– Jest błąd w nazwisku – zauważył.

– Bardzo przepraszam. Ale teraz, niestety, nie ma czasu, żeby to poprawić.

– Nie szkodzi. – Yngve spojrzał na mnie. – A ty jak myślisz?

– Trudno. Takie rzeczy się zdarzają.

Obaj jednak pomyśleliśmy swoje na temat tego nazwiska, którego sami nie nosiliśmy. Tata je wymyślił, tak jak jego babcia ze strony ojca wymyśliła nasze.

Przyjechał Gunnar z rodziną. Przyjechała córka Alfa z Alfem, który w ogóle się nie zmienił, a miał już pewnie osiemdziesiąt kilka lat. Dokuczała mu skleroza. Córka łagodnie, ale zdecydowanie musiała go poprowadzić do wejścia.

Wziąłem Tonje za rękę i weszliśmy.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, była biała trumna.

Leżysz tam, tato? – zadałem sobie w duchu pytanie. To tam leżysz, tato?

Usiedliśmy. Po policzkach płynęły mi łzy. Tonje parę razy mocno uścisnęła moją rękę. Oprócz rodziny, takiej niedużej, w kaplicy siedziały jeszcze trzy osoby.

Bąłem się, wiedziałem, co mnie czeka.

Za moimi plecami syn Erlinga wydał jakiś dźwięk. Wysoki, czysty ton, który się przeciągał i nagle gwałtownie urwał. Zrozumiałem wtedy, że płacze, bo za-

raz się to powtórzyło. Szlochał tak, że aż serce się krajało. Jego młodziutka dusza zobaczyła trumnę i już to wystarczyło. Płakał z całego serca.

Zaczął się nabożeństwo. Kościelny muzyk, którego wynajęliśmy, był stary, miał chropowaty głos, a sonata wiolonczelowa, którą zagrał, nie miała w sobie wirtuozerii, ale to nawet pasowało, życie nie jest idealne, idealna jest tylko śmierć, a tutaj życie obserwowało śmierć, chłopiec płakał na widok trumny.

Przemawiał pastor. Mówił o życiu taty i tych, którzy przyszli go pożegnać. Mówił o skupieniu wzroku. Jeśli człowiek nie skupi na czymś wzroku, to upada. Ważne jest skupienie wzroku na swoich dzieciach, na najbliższych, na tym, co w życiu ważne. Jeśli się tego nie zrobi, traci się to i wtedy nie ma się nic. Żaden człowiek nie jest w pełni człowiekiem, kiedy jest sam.

Yngve płakał. A gdy zobaczyłem, że cały drży, z twarzą wykrzywioną grymasem, usiłując chwytać powietrze, ja też zaszlochałem głośno z żalu i z radości, z żalu i z radości.

Wstaliśmy obaj, każdy położył swój wieniec na trumnie.

Stanęliśmy przed nią nieruchomo, z pochylonymi głowami.

Trzymaj się, tato, pomyślałem.

Kiedy usiedliśmy i wiolonczelista zaczął grać Bacha na swój trzeszczący, chropawy sposób, miałem wrażenie, że od płaczu rozerwę się na kawałki, szlochałem z otwartymi ustami, przetaczały się przeze mnie fale najgłębszych uczuć, takich, jakie się wydobywają, kiedy wszystko inne znika.

Po nabożeństwie Yngve mnie objął, staliśmy i płakaliśmy jeden drugiemu w ramię. A kiedy wyszliśmy przed kościół, zobaczyliśmy przejeżdżające w oddali samochody, parę staruszków idących przez cmentarz i mewę żeglującą w powietrzu nad naszymi głowami, wiedzieliśmy, że to już koniec, nareszcie koniec. Kilka razy głęboko odetchnąłem, ale łzy już się wyczerpały.

Podeszła do nas para ludzi, których nie znałem. Przedstawili się jako rodzice Rolfa, męża Ann Kristin. Powiedzieli, że tata był fantastycznym nauczycielem, Rolf mówił o nim z takim podziwem. Podziękowaliśmy, że zechcieli przyjść. Zawrócili do samochodu.

– A kto to jest? – Yngve dyskretnym ruchem głowy wskazał jakąś kobietę. Była w kapeluszu z woalką zasłaniającą twarz.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem. – Ale na każdym szanującym się po-

grzebie musi być kobieta, której nikt nie zna.

Roześmialiśmy się.

– No, pa, pa, papa – powiedział Yngve i znów zaczęliśmy się śmiać.

Najbliższa rodzina pojechała do domu babci; zaserwowano wykwinne kanapki. Siedziałem między Yngvem a Tonje. Nie było żadnej mowy ani słowa wspomnień. Żałowałem, że tak się stało, ale musiałbym sam je wygłosić, a to z pewnością by mi się nie udało, nie dałbym rady. Później, kiedy siedzieliśmy na tarasie, Alf powiedział, że na dachu jest jakiś człowiek, i zrozumiałem, że on wrócił do pewnego dnia przed wieloma, wieloma laty, kiedy tu przyszedł, a na dachu rzeczywiście ktoś siedział. No i dobrze. Wrócił do tego dnia, w którym i tata, i dziadek żyli.

*

Moja powieść była w księgarniach już od kilku tygodni i nic się nie działo, gdy nagle któregoś dnia zadzwonił telefon. Odebrała Tonje, która jadła już śniadanie, ja jeszcze leżałem, ale usłyszałem, jak mówi, że sprawdzi, czy nie śpię.

Wszedłem do salonu, podniosłem słuchawkę.

– Halo, tu Karl Ove.

– Mówi Mads z wydawnictwa Tiden. Czytałeś dzisiaj „Dagbladet”?

– Nie, dopiero wstałem.

– Wobec tego uważam, że powinieneś natychmiast wyjść po gazetę.

– Jest recenzja?

– No, można tak powiedzieć. Więcej ci nie zdradzę. Idź, pogadamy później.

Odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się do Tonje, która na stojąco dopijała herbatę. Wytarła dłonią swoje piękne usta i się uśmiechnęła.

– Jest recenzja w dzisiejszej „Dagbladet” – oznajmiłem. – Skoczę do kiosku.

– Mówił, co w niej jest?

– Nie, był bardzo tajemniczy. Ale domyślałam się, że jest dobra.

Tonje włożyła kurtkę w przedpokoju, a ja ubrałem się w sypialni. Kiedy wyszedłem z domu, pochylała się nad rowerem.

Pocałowaliśmy się w przelocie, ona pojechała w dół, a ja pod drzewami ruszyłem pod górę. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i dalej wspinałem się po zboczu w stronę szpitala. W kiosku mężczyzna o niezdrowej cerze przyglądał się półce z czasopismami, a gruba kobieta na wózku inwalidzkim siedziała przy kasie z portmonetką na kolanach, chciała kupić kolorowy tygodnik.

Zatrzymałem się przy stojaku z „VG” i „Dagbladet”.

Na samej górze, na prawo od logo było moje maleńkie zdjęcie, a pod nim nagłówek: *Sensacyjny debiut.*

No, nieźle. W każdym razie wygrałem zakład z Tonje.

Wziąłem gazetę, zapłaciłem i wyszedłem do szpitalnego holu. Otworzyłem na dziale kultury.

Recenzja zajmowała dwie strony. Napisał ją Rottem. Porównywał mnie do Hamsuna, Myklego i Nabokova.

Naprawdę nieźle. Właściwie lepiej być nie mogło.

Z gazetą pod pachą wróciłem do domu, zrobiłem sobie herbatę, usiadłem przy stole i zapaliłem papierosa. Potem zadzwoniłem do Tonje. Już zdążyła przeczytać recenzję i ogromnie się ucieszyła ze względu na mnie. Mnie natomiast radość nie rozpieierała, w pewnym sensie liczyłem na coś takiego.

Po południu zadzwonił do mnie dziennikarz z „Dagbladet”. Chciał zrobić wywiad, będący poniekąd kontynuacją recenzji. Umówiliśmy się na drugą w hotelu Terminus.

Padał deszcz, więc pojechałem do miasta autobusem zamiast rowerem i poszedłem do fryzjera. Wybrałem go kiedyś, ponieważ ten salon był tak niemodny, jak to tylko możliwe, a prowadził go młody, bystry i bardzo miły facet.

– Cześć – przywitał mnie, kiedy wszedłem.

– Znajdziesz dla mnie czas? Najchętniej od razu?

– Za dziesięć minut. Usiądź i poczekaj.

Za oknem ludzie chodzili z kołyszącymi się parasolami. Fryzjer skończył obsługiwać klienta, starszego mężczyznę, a ten wyraził swoje zadowolenie. Na podłodze leżały jego siwe, martwe włosy. Kiedy drzwi zamknęły się za nim przy wtórze dzwonka, usiadłem na fotelu, fryzjer założył mi fartuch, powiedziałem, że chcę na krótko, tak jak zawsze, zaczął mnie strzyc.

– Idę na wywiad – wyjaśniłem. – Więc muszę się dobrze prezentować.

– A co takiego zrobiłeś?

– Wydałem powieść. Zebrała dobre recenzje, dlatego chcą ze mną rozmawiać.

– Są z tego jakieś pieniądze? Dużo sprzedajesz?

– Nie wiem. Właśnie się ukazała.

– A o czym jest?

– O różnych rzeczach.

– Jakieś morderstwo?

- Nie.
- Miłość?
- Tak, właściwie tak.
- No to nie dla mnie. Moja pani właśnie się wyprowadziła.
- Naprawdę?
- Tak.

Zapadła cisza. Nożyczki biegały wokół mojej głowy.

- Chcesz, żeby przy uszach zostawić dłużej? A kark podgolimy?
- Idealnie.

Dopiero gdy zapłaciłem za strzyżenie, zacząłem się denerwować tym wywiadem. Już jednego udzieliłem, to było w dniu konferencji prasowej, zadzwonili z radia P2, z programu „Dagsnytt 18”, i spytali, czy mogę wystąpić. Miało być na żywo, a ja tak się denerwowałem, że nie mogłem przełknąć nawet łyka kawy, którą mi przyniesiono, kiedy siedziałem na kanapie przed studiem. Tomm Kristensen, prowadzący, wyszedł i oznajmił, że niestety, nie czytał mojej książki.

– Będę więc pytał trochę ogólnie, o sam debiut, co się wtedy czuje i tak dalej – zapowiedział. – Ale na okładce z tyłu napisano, że to książka o męskim wstydzie. Będzie pan mógł coś na ten temat powiedzieć?

– To nie ja pisałem tekst na okładkę. W ogóle nie wiedziałem, że to książka o wstydzie, dopóki tego nie przeczytałem.

– No to znajdziemy jakiś inny temat – stwierdził. – Będzie dobrze.

Za chwilę wprowadzono mnie do studia. Kristensen siedział w słuchawkach i bazgrał coś na kartce. Włożyłem słuchawki, które leżały przede mną, usłyszałem jakiś przerywnik.

Przedstawił mnie.

– W Belgii wybuchła właśnie wielka afera pedofiliska – zaczął. – A pan napisał powieść o nauczycielu, który utrzymuje stosunki seksualne z trzynastoletnią dziewczynką. Czy to znaczy, że powieść powstała na fali pedofilii?

Popatrzyłem na niego przerażony. Co on wygaduje?

– Ależ nie – zaprzeczyłem. – Absolutnie nie. Książka nie ma żadnego związku z Belgią.

Poczułem, że mogę mówić, i zdenerwowanie minęło.

– Jest pan debiutantem. Jak przebiegał ten proces? Czuł pan, że wydawnictwo nadmiernie nim steruje? Na przykład decydując o tym, jaki tekst ukaze się na tylnej stronie okładki?

– Nie, wcale tak nie czułem. Sam na przykład wybrałem zdjęcie na przód okładki.

– No tak, jest na nim naga dziewczynka. Dlaczego właśnie to? To miała być prowokacja?

– Nie, nie. Po prostu jest adekwatne do treści książki.

Kiedy wywiad dobiegł końca, byłem mokry od potu i trochę też wkurzony. Przecież ja tylko wydałem powieść, a z jego słów można było wnioskować, że kogoś zabiłem.

Ten dzisiejszy wywiad nie był wywiadem na żywo i prawdopodobnie miał nawiązywać do dobrej recenzji, nie powinienem zatem niczego się obawiać. Mimo to denerwowałem się, więc idąc lśnięcymi od deszczu ulicami i patrząc na światła samochodów rozmazane w szarości dnia, zastanawiałem się nad tym, co powiem. W hotelowej kawiarni mężczyzna, który musiał być dziennikarzem, wstał na mój widok; nazywał się Stang, rozmawialiśmy ponad godzinę, uznałem, że poszło fantastycznie, mówiłem i mówiłem, o literaturze, zarówno norweskiej, jak i zagranicznej, o własnej książce, o tym, co chciałem nią osiągnąć, że chodziło mi o odejście od minimalizmu, a przejście do maksymalizmu, do tego, co nabrzmiałe, gwałtowne, do baroku, *Moby Dicka*, że usiłowałem tę małą opowieść o jednym człowieku, w której na zewnątrz nic wielkiego się nie dzieje, a wszelki ruch jest wyłącznie wewnętrzny, napisać z epickim rozmachem, czy to jasne?

Kiwał głową i notował, notował i kiwał głową.

Następnego dnia cały w napięciu kupiłem „Dagbladet”.

Wywiad okazał się króciusiutki, wynikało z niego, że jestem dumny i zadowolony z recenzji, a „Dagbladet” czytam od dwunastego roku życia.

Pojechałem rowerem na uniwersytet i zapukałem do gabinetu Eirika.

– Widzę, że od dwunastego roku czytasz „Dagbladet” – zaśmiał się. – I jeszcze się c h w a l i s z, że czytasz popołudniówkę!

Usiadłem na krześle. Eirik w końcu zrozumiał, że jestem skrajnie załamany tym wywiadem. Zaprezentowano mnie w nim jako idiotę, kompletnego durnia,

„dumnego i zadowolonego”, o Boże, wstydziłem się tak, że chciałem zapaść się pod ziemię.

– Chyba nie ma w tym nic strasznego – pocieszał mnie Eirik.

– Może i nie, ale przecież wszyscy to czytają. Co za głupek!

– No, ale ty nie jesteś głupkiem. Uspokój się.

– Właśnie zaczynam się nad tym zastanawiać. Przecież p o w i e d z i a ł e m to, co tam jest napisane.

– Trochę więcej powściągliwości w takich sytuacjach – poradził mi Eirik – i będzie dobrze.

Eirik zaliczał się do tych, którzy mają coś do powiedzenia na każdy temat. Nie ogólnie czy bez uzasadnienia – był odczytany w każdej dziedzinie między niebem a ziemią, a dla mnie w tych miesiącach okazał się prawdziwym darem, takim jak wcześniej Espen i Tore, bo przeczytał moją powieść, a to, co o niej powiedział – na przykład użył określenia „autogeografia” – bezwstydnie wykorzystywałem we wszystkich wywiadach, których było coraz więcej. Siedziałem w hotelu Terminus i mówiłem albo zapraszałem dziennikarzy do domu i mówiłem, siedziałem przy stole i mówiłem, a kiedy wracała Tonje, mówiłem jej o wszystkim, co mówiłem. Kiedy czytałem te wywiady, płonąłem ze wstydu. Nocami leżałem, nie mogąc zasnąć i kuląc się na myśl o tym, że wypadłem jak kretyn. Ale gdy na kilka tygodni zapadała cisza, czułem pustkę. Chciałem więcej, a kiedy to więcej przychodziło, zawsze okazywało się straszne. W tym samym czasie zaczęto mnie również zapraszać na rozmaite imprezy. Pojechałem do Kristiansand, aby czytać fragmenty swojej powieści na spotkaniu, w którym uczestniczyli Bjarte Breiteig i Pål Gitmark Eriksen, oni również debiutowali tej jesieni i ponad wszystko cenili Tora Ulvena, co okazało się już po paru minutach rozmowy. Byli tak przejęci i jednogłośni, że uznałem ich za odpowiedź literatury norweskiej na bohaterów książek o młodych detektywach, Joego i Franka Hardy'ch; kiedy mieliśmy wyjść na scenę, publiczność na sali liczyła cztery osoby. Jedną z nich znałem, był to mój dawny nauczyciel z liceum, ale gdy później do niego podszedłem, okazało się, że jest zaprzyjaźniony z rodziną jednego z tych dwóch i dlatego się zjawił. Czytałem na głos w hotelu Terminus, stawili się wszyscy, których znałem w Bergen, salon wypełnił się ludźmi po brzegi, ale musiałem czytać bez mikrofonu i nie ze sceny, stałem bezpośrednio na podłodze, więc przypominało to czytanie u kogoś w prywatnym salonie, a kiedy zacząłem – to był fragment, w którym Henrik,

główny bohater, widzi, że ktoś go parodiuje – zaczerwieniłem się, bo wbiłem sobie do głowy, że w opinii wszystkich to ja jestem Henrikiem, a opis tej parodii to opis mojej osoby w trakcie tego występu. Czerwony jak burak, czytałem nierytmicznie, wiłem się jak dżdżownica, i to w obecności przyjaciół. Musieli mnie uznać za jeszcze większego nieudacznika, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażali, oto bowiem wydarzenie publiczne, sytuacja, w której naprawdę powinienem pokazać, na co mnie stać, a ja potrafiłem myśleć jedynie o parodiowaniu siebie samego w tym fragmencie, więc czytałem coraz szybciej, żeby jak najprędzej skończyć.

Po moim występie ktoś z publiczności podniósł rękę. Odbywało się to w tak zwanym salonie literackim, więc nikogo to nie zdziwiło.

– Być może Knausgårdowi nie najlepiej wychodzi głośne czytanie – powiedział – ale osobom, które jeszcze nie przeczytały jego książki, powiem, że ta powieść jest naprawdę świetna.

Miał okrągłe okulary, nastroszone włosy starego radykała i chciał mi pomóc. Ale i tak mnie to zapiekło, bo miałem nadzieję, że świadomość obciachu istnieje wyłącznie w mojej głowie.

Podszedł do mnie. Miał pomysł na film i spytał, czy nie napisałbym scenariusza. Przedstawił mi zarys, pokazał całe mnóstwo dokumentów i zdjęć. Powiedziałem, że to piekielnie interesujące i na pewno wchodzi w grę, chociaż w duchu modliłem się o to, żeby poszedł do diabła i nigdy więcej nie pokazywał mi się na oczy.

Czytałem również na pewnym niedzielnym spotkaniu w Bergen, na którym prezentowano osiągnięcia życia rozrywkowego miasta. Zaplanowano rozmaite występy, między innymi pewien artysta rewiowy dyrygował samochodami zjeżdżającymi z promu przy wtórze muzyki, ludzie zaśmiewali się do łez. Potem był numer z półnagimi paniami, które tańczyły z cylindrami i laseczkami. Następnie przyszła kolej na mnie. Kupiłem sobie nowy, elegancki garnitur Hugo Bossa. Tonje wcześniej doradziła mi, żebym, zanim zacznę czytać, koniecznie powiedział kilka słów. Wyszedłem na scenę.

– Przeczytam państwu tekst o śmierci – powiedziałem.

Ktoś z publiczności zaczął chichotać. Nie przestał, nawet kiedy zacząłem czytać, śmiech coraz szerzej się roznosił. Śmierć, cha, cha, cha. Rozumiałem ich, byłem pretensjonalnym młodym pisarzem z nabożnym stosunkiem do sa-

mego siebie, któremu wydawało się, że wie coś na temat wielkich rzeczy w życiu.

Pojechałem na spotkanie z czytelnikami zorganizowane w jednym z miasteczek w Vestfold, razem z autorem kryminału, który również debiutował w tym samym roku, zdominowałem ten wieczór i perorowałem, jakbym był Dantem, przed dwunasto- czy trzynastoosobową publicznością. Po wszystkim autor kryminału nie zgodził się, żebyśmy wymienili się książkami.

Jaki w tym sens? Lecieć samolotem na drugi koniec Norwegii po to, żeby przez dziesięć minut czytać swój tekst czterem osobom? Przechwalając się, mówić o literaturze dla dwunastu? Pleść bzdury gazetom, a później całymi dniami płonąć ze wstydu?

Gdybym tylko mógł pisać, może jakoś bym to przeżył. Nic mi jednak nie wychodziło. Pisałem i kreśliłem, pisałem i kreśliłem. W weekendy często odwiedzaliśmy matkę lub brata Tonje, szliśmy do Opery, Garage, do studenckiego domu kultury albo do kina, oglądaliśmy na wideo wypożyczone filmy. Struktura towarzyska była teraz inna niż za czasów studenckich. Bardzo wiele osób opuściło miasto, a ci, którzy zostali, pracowali i stracili dawną elastyczność. Mnie ludzie zaczęli traktować inaczej, teraz byłem „kimś”. Nienawidziłem tego. Wszystko straciło dla mnie sens.

W marcu moja powieść otrzymała Nagrodę Krytyków. Kiedy zatelefonowano, żeby mi o tym powiedzieć, akurat tkwiłem zaplątany w jakiś koszmar e-mailowy, najpierw napisałem coś głupiego, potem usiłowałem poprawić, a wyszło jeszcze głupiej i o poprawieniu nie było już mowy, trzeci e-mail nie wchodził w grę. Na niczym innym nie mogłem się skupić. Tonje kazała mi wziąć się w garść, bo ta nagroda to przecież była wielka rzecz, gdyby dwa lata wcześniej ktoś mi coś takiego powiedział, nigdy bym nie uwierzył. Owszem, zgadzałem się z nią, ale to nic nie zmieniało. No bo co sobie pomyśli o mnie ten gość, kiedy otrzyma tego drugiego e-maila?

Na uroczystość wręczenia nagród w Oslo zaprosiłem Yngvego i Tonje, zobaczyłem ich przy stoliku na końcu sali, kiedy szedłem, żeby odebrać nagrodę. Grad trzasków migawek, który się na mnie posypał, był fantastyczny. Geir Gulliksen powiedział kilka słów, wzruszyłem się i nie wiedziałem, gdzie oczy podziąć. Później z ludźmi z wydawnictwa poszliśmy do kawiarni Teatralnej. Początkowo czułem się nieswojo i w ogóle się nie odzywałem, ale na szczęście wkrótce nastrój mi się poprawił. W Savoyu spotkałem Kjartana Fløgstada, on

również był nominowany do tej nagrody, więc miałem ochotę przede wszystkim przeprosić go za to, że wygrałem. Zamiast tego spytałem, czy pamięta, że przeprowadzałem z nim kiedyś wywiad. Nie, nie pamiętał. Naprawdę? – spytał z uśmiechem. Naprawdę? Zaproponował, żebyśmy wymienili się książkami, i zaraz zniknął wśród swoich znajomych. W Lorry byłem już niezłe pijany, a gdy przy jednym ze stolików zobaczyłem Olego Roberta Sundego, natychmiast się do niego przysiadłem. Był z jakąś kobietą, oboje również solidnie wstawieni. Nagle ta kobieta nachyliła się do mnie, ujęła moją twarz w dłonie i złożyła na moich ustach długi pocałunek. Sunde tego nie skomentował, tylko odwrócił wzrok. Wstałem przerażony i wróciłem do naszego stolika.

W maju na Festiwalu Literatury w Lillehammer, podczas którego uczestniczyłem w kursie dla debiutantów, znów spotkałem Olego Roberta Sundego. Na imprezie kończącej festiwal zawołał głośno na mój widok:

– No, mamy i Knausgård! Piękny jest, ale, cholera, nie potrafi pisać!

Zareagowałem głównie zdziwieniem. Co to miało być? Obelga, i to niebłaha. Mimo żartobliwego tonu najwyraźniej chciał powiedzieć to, co powiedział, w każdym razie w trakcie wieczoru powtórzył to jeszcze kilkakrotnie. Za drugim razem, kiedy musiałem w odległości kilku metrów minąć jego stolik, żeby przejść do toalety, a on zawołał: „Knausgård, tak nęędznie pisze, ale jest taki piękny!”, w ogóle nie zareagowałem. Przeciwnie, w drodze powrotnej podszedłem do jego stolika, kiedy przywołał mnie gestem. Obok niego stały dwie kobiety. „No to mamy Knausgård – powiedział, a zwracając się do tych kobiet, dodał: – prawda, że piękny? Spójrzcie! – Ujął mnie za ręce. – Popatrzcie, jakie ma dłonie! Takie wielkie. A wiecie, co to oznacza? – Złapał mnie za krocze. Poczułem jego palce na jądrach i członku. – Że co innego również ma wielkie!” Wybuchnął śmiechem. Nawet wtedy nie zareagowałem. Wymamrotałem coś, uwolniłem się i odszedłem. Ten incydent był nieprzyjemny, bo Sunde fizycznie się do mnie zbliżył – był i wciąż jest pierwszym i jedynym mężczyzną, który mnie obmacywał – ale nic mi nie zrobił, wprawił mnie jedynie w zdumienie. Zdawałem sobie sprawę, że mogę uchodzić za przystojnego, więc to mnie nie zdziwiło, ale żebym źle pisał... No, owszem, ale chyba nie aż tak źle, przecież wydawnictwo mimo wszystko przyjęło moją książkę. Jedyłą dla mnie nowością w tej sytuacji, oprócz naruszenia granic mojej intymności, była podszywająca ją implikacja istotnej różnicy między literaturą, którą tworzyłem ja, a tą, którą tworzył Ole Robert Sunde. W tym czasie już go nie czyta-

łem, ale nie oznaczało to, że nie miałem świadomości jego intelektualnego formatu. W chwili wydawania *Ute av verden* literacko utożsamiałem się z „wysokim” modernizmem, a na tym panteonie znajdowali się tacy norwescy pisarze, jak właśnie Ole Robert Sunde, Svein Jarvoll, Jon Fosse, Tor Ulven i wczesny Jan Kjærstad. Ale kiedy byłem w Lillehammer, od wydania minęło już pół roku, książka sprzedawała się dobrze, udzielałem gazetom jednego idiotycznego wywiadu za drugim, wygadywałem głupoty w radiu, występowałem w telewizji, w bibliotekach i w księgarniach, i powoli zaczynałem zdawać sobie sprawę z tego, że mój obraz siebie jako pisarza być może nie do końca zgadza się z obrazem, jaki mieli inni. Na przykład Stig Sæterbakken w liście do „Dagbladet” nazwał mnie i Torego Renberga „Faldbakkenem i Faldbakkenem^[37]”, chyba zarzucając nam tym samym naśladownictwo; Liv Lundberg aż parskała pogardą, gdy przyjechaliśmy do Tromsø czytać swoje teksty, a później siedzieliśmy razem na nocnej imprezie; wkurzało ją wszystko, co wtedy mówiliśmy, a w końcu posunęła się do tego, że nas opluła. No i wreszcie dołączył Ole Robert Sunde z okrzykami podczas festiwalu w Lillehammer, które przecież wszyscy słyszeli. Kompletnie mnie to powaliło. Wyjechałem do Kristiansand, żeby tam pisać, raz przecież już mi się to udało i chciałem, żeby się powtórzyło. Ten sam pokój, ta sama atmosfera, dalszy ciąg tej samej powieści. Zdołałem napisać jedną stronę, przesłałem ją e-mailem do Nory, która czytała *Ute av verden*, zanim książka się ukazała, i była nią zachwycona, a poza tym miała już na koncie mocny tomik wierszy *Slaktarmøte*, ale tym razem odpisała, że niestety, nie uważa tekstu za dobry. Za szczególnie słaby uznała opis zraszacza ogrodowego, którego ruch przypomina machanie ręką, a ten opis zajął mi tyle czasu.

Zastanawiałem się, czy Hanne jeszcze mieszka w Kristiansand, a jeśli tak, to czy do niej nie zadzwonić. Zdecydowałem jednak, że tego nie zrobię. Skontaktowałem się natomiast z Janem Vidarem, dawno się nie widzieliśmy, więc wybraliśmy się na miasto, podeszła do nas uderzająco piękna dziewczyna, mniej więcej dwudziestopięcioletnia blondynka, i spytała, czy to ja jestem Karl Ove Knausgård, potwierdziłem i poszedłem z nią do jej mieszkania w suterenie w domu rodziców, położonym w okolicy, w której mieszkałem jako szesnastolatek. Była cholernie zgrabna i ładna, a ja w świetnym humorze, pijany, ale kiedy znalazłem się u niej w pokoju, na szczęście zrozumiałem, co się dzieje, i nawet nie próbowałem się do niej zbliżyć, zrobiła herbatę, usiadłem

daleko od niej i jakby nie było innych tematów do rozmowy, opowiedziałem jej o śmierci taty. Kiedy stamtąd wychodziłem, czułem się jak idiota, lecz również się cieszyłem, bo mało brakowało. Przecież kochałem Tonje i nie chciałem tego psuć. To było jedyne dobro, jakie miałem.

Zimą pojechałem na małą wysepkę w archipelagu Bulandet, najdalej na zachód wysuniętym skrawku Norwegii, wynająłem dom i spędziłem tam trzy miesiące. Miałem pisać. Wysepka była tak mała, że z jednego końca na drugi dało się przejść w dziesięć minut. Morze zawsze w zasięgu ręki, a zimowe sztormy równie gwałtowne, jak fantastyczne. Na wyspie mieszkało pięć innych osób, jeden mężczyzna zmarł podczas mojego pobytu. Widziałem, jak rano zabiera go łódź karetka, padał śnieg, cztery osoby stały na przystani, kiedy ratownicy medyczni załadowywali nosze.

Nie napisałem nic, co dałoby się wykorzystać. Codziennie łowiłem ryby, czytałem parę godzin, pisałem cały wieczór i całą noc. Wszystko okazało się bezwartościowe, ale chyba kiedyś wreszcie musiało ruszyć. A może byłem autorem jednej książki? Wykorzystałem w niej wszystko, co potrafiłem?

Na komórkę zadzwonił Geir Gulliksen z informacją, że powieść sprzedała się do Anglii. Wyobraziłem sobie angielskich dziennikarzy, którzy przyjeżdżają tutaj, aby przeprowadzić ze mną wywiad, już widziałem siebie, jak stoję z wędką na tle wzburzonego morza na zdjęciach, które trafią do „Guardiana”, „Timesa”, „Independenta”, „Daily Telegraph”.

Pojechałem na północ Norwegii i wynająłem pieprzoną rybacką chatę na Lofotach, żeby pisać. I nic.

Aż w końcu coś odpuściło. Zadzwonił John Erik Riley i spytał, czy nie miałbym tekstu dla „Vinduet”. Powiedziałem, że zobaczę i oddzwonię. Miałem jakieś czterysta czy pięćset stron z początkami powieści, przejrzałem je, znalazłem coś, co mogłoby się nadać, i trochę nad tym popracowałem, ale traktując to jako krótki tekst, nie jako powieść.

Kilka dni później został opublikowany na stronie internetowej magazynu.

OGIEŃ

Ogień należy do grupy zjawisk, które nigdy nie podlegały ewolucji. Wszel-

kie zmiany są zatem obce postaci ognia, nie daje się on popchnąć w żadnym kierunku w wyniku licznych przemian w otoczeniu, lecz trwa we własnej perfekcyjności. Ogień jest idealny. Najbardziej jednak wyjątkową cechą ognia, odróżniającą go od wielu innych niezmiennych fenomenów, stanowi to, że zdołał się wyrwać tyranii czasu i miejsca. Podczas gdy woda jest skazana na przebywanie w konkretnym miejscu, w takiej czy innej formie, podobnie jak powietrze i góry, ogień posiadał ową godną podkreślenia zdolność do zaprzestania istnienia – nie tylko do znikania z oczu, do ukrywania się, lecz po prostu do samounicestwienia – po to, by powstać ponownie, dokładnie w takiej samej formie, w nowym miejscu i w nowym czasie. Z tego powodu tak trudno nam pojąć ogień, przyzwyczajeni wszak jesteśmy do postrzegania świata jako ciągłego systemu powiązanych wydarzeń, jako czegoś, co z mnóstwem przeróżnych prędkości – od nieskończonego powolnego wzrostu drzewa po prędkie opadanie kropel deszczu – porusza się do przodu w czasie. Ogień nie mieści się w tym systemie, więc zapewne dlatego w Starym Testamencie boskość objawia się ludziom w postaci płomienia: forma objawienia i forma ognia są tożsame. Również boskość posiada ową zdolność nagłego ukazywania się w swojej perfekcyjnej formie, aby zaraz zniknąć. Również boskość ma w sobie ową tajemniczość, obcość i bezwzględność, które sprawiają, że jednocześnie czujemy wobec niej lęk i podziw. Każdy, kto kiedykolwiek widział płonącego dom, rozumie, co mam na myśli. Ogień, który porusza się przez pokoje i pochłania wszystko, co napotka, straszliwy ryk płomieni, ślepa wola, która zaledwie kilka godzin wcześniej nie istniała, lecz nagle powróciła, grasuje na naszych oczach z dzikością tak wielką, że można by przypuszczać, iż dzieje się to po raz pierwszy.

Ale teraz, w obecnym świecie alarmów przeciwpożarowych, systemów spryskiwaczy, samochodów wyposażonych w drabiny, sprzętu przeznaczonego do nurkowania w dymie, hydrantów, węży i gaśnic proszkowych, nikt już nie boi się ognia. Ogień został opanowany i przebywa na świecie w podobny sposób, jak dzikie zwierzęta przebywają w ogrodach zoologicznych, jest czymś, na co patrzymy, kiedy ma być miło, w postaci płomieni w kominku czy płomyka świeczki; w stanach, w których dawna dzikość istnieje tylko w postaci resztki: lekki trzask drewna, pochylony płomień w przeciagu, deszcz iskier sypiących się na mur kominka, gdy przesuwamy polana. A boskość – kto mówi dziś o boskości? Nie da się. Nie można mówić o boskości i nie czuć

się głupkiem. Mówienie o boskości zaczęło się łączyć z czymś wstydliwym, a ponieważ wstyd to nieproporcjonalność dwóch wielkości, najczęściej tej, którą jesteś sam dla siebie, i tej, którą jesteś dla innych, nie byłoby założeniem nierozsądnym, że nieco komiczny status boskości wynika z jej nieprzy- stosowania do czasu, w którym żyjemy, a zatem wpisuje się ona w szereg obyczajów i przedmiotów należących do przeszłości, którym czas umknął, ta- kich jak sterowiec, cylinder, formy grzecznościowe, nocnik, elektryczna ma- szyna do pisania. Przedmioty znikają, przedmioty się pojawiają, świat powo- li zaczyna się chwiać. Potem budzimy się pewnego dnia, sennie przecieramy oczy, odsuwamy zasłonę i wyglądamy: przejrzyste powietrze, ostro świecące słońce, skrzący się śnieg. Człapiemy do kuchni, włączamy radio, nastawiamy ekspres do kawy, szykujemy sobie kilka kanapek, jemy, pijemy, bierzemy prysznic, przebieramy się, idziemy do przedpokoju, wkładamy wierzchnie ubranie, zamykamy drzwi na klucz i przez miasto sypialnię we wschodniej Norwegii wyruszamy w stronę dworca, który co rano wypełnia się ludźmi do- jeżdżającymi do pracy. Stoją na peronie z gazetami zwiniętymi pod pachą i torebkami w rękach, chodzą trochę tam i z powrotem na mrozie, ziewają, zerkają na zegarek, spoglądają na tory. A potem, kiedy pociąg z hukiem wje- dzie na stację, ustawiają się w kolejce do drzwi, wsiadają, znajdują wolne miejsce, zdejmują płaszcze, kładą je na półkach, siadają. Ach, drobne przy- jemności w życiu osoby dojeżdżającej do pracy! Wyjąć bilet, ułożyć go na podłokietniku, rozłożyć gazetę i zacząć czytać, kiedy już pociąg powoli wy- jeżdża z dworca. Od czasu do czasu unieść wzrok i wyjrzeć: błękitne niebo, błysk słońca odbijającego się w maskach samochodów na drodze po drugiej stronie rzeki, dym z wiejskich zabudowań w dolinie, pokryte śniegiem góry. Nagły świst automatycznie otwieranych drzwi, trzask, kiedy się zamykają, głos konduktora zbliżającego się do twojego miejsca. Podajesz mu bilet, on go stempluje, czytasz dalej. Kiedy następnym razem wyglądasz przez okno, okazuje się, że wjechaliście w las. Ciemnozielone świerki rosną gęsto po obu stronach torów. Gałęzie zasłaniają słońce, ale ty myślisz, że jest odwrotnie, że one nie pozwalają ciemności się unieść, tak jakby resztką nocy została tu- taj, przy ziemi pokrytej śniegiem, pod drzewami w lesie, przez który jedzie- cie. Czasami widok się otwiera, dostrzegasz zagajniki, płoty, błyszczące dru- ty, nieduże stosy drewna. I nagle, w momencie gdy odwracasz głowę i znów patrzysz na gazetę rozłożoną na twoich kolanach, następuje zderzenie, wa- gon, w którym jedziesz, składa się jak papier, potężna siła wciska cię w sie-

dzenie z przodu i tracisz przytomność. Kiedy ją odzyskujesz kilka minut później, nie możesz się ruszyć, ropa z lokomotywy obryzgała wagon, słyszysz huk płomieni, krzyki pasażerów, próbujesz się uwolnić, ale nic z tego. Po śniegu obok torów przechodzą pasażerowie z tylnych wagonów. Słyszysz, jak płomienie zbliżają się do miejsca, na którym siedzisz, ściśnięty musisz czekać, aż ogień się do ciebie zbliży. Na zewnątrz płaty popiołu zaczynają opadać na śnieg. Wkrótce przyjeżdżają pierwsze karetki. Czujesz zapach stopionego plastiku, czujesz zapach palącej się ropy. Nie możesz się ruszyć, więc siedzisz w narastającym gorącu, aż staje się ono nieznośne, a ty w swojej bezradności modlisz się do swojego boga, wszechmocnego stwórcy nieba i ziemi, do którego nigdy nie zbliżyłeś się tak jak w tej chwili, bo właśnie tak objawia się on teraz, w swojej najczystszej i najpiękniejszej postaci: jako płonący pociąg w lesie.

A więc miałem pisać krótką prozę?

Z braku innych możliwości zabrałem się do tego.

Napisałem tekst o tacie. W zasadzie prawie wszystko, co pisałem, dotyczyło taty w taki czy inny sposób. Stworzyłem niezliczone warianty dwóch braci, Klause i Henrika, którzy wracają do rodzinnego miasta, aby go pochować, i sprzątają ten straszny dom, w którym umarł. Ale nic z tego nie wyszło, po prostu w to nie wierzyłem.

Mijały dni, mijały miesiące, minęły już dwa lata od mojego debiutu, nic nie wyprodukowałem, a któreś nocy, kiedy siedziałem pijany w salonie, postanowiłem zaraz rano polecieć samolotem do Kristiansand, bo dostałem kilka e-maili od dziewczyny z jednej z okolicznych wysp, napisała między innymi, że nic na sobie nie ma, a mnie po pijaku to wystarczyło, no i mogłem to zrobić, chociaż byłem splukany, wystarczyło użyć karty kredytowej. Ale w miarę jak zbliżał się poranek, coraz bardziej trzeźwiałem, to był chory pomysł, jeden z tych, jakie przychodziły mi do głowy, kiedy się schlałem, więc poszedłem położyć się do łóżka obok Tonje, która spała, podczas gdy ja wymyślałem brednie w salonie.

Ogarnęła mnie ciemność.

Miałem wszystko, co chciałem mieć. Byłem pisarzem i z tego się miałem

utrzymywać, przynajmniej dopóki nie skończy się stypendium. Byłem mężem pięknej kobiety, którą kochałem i która pozwalała mi robić, co chcę. Nie protestowała, kiedy mówiłem, że wyjeżdżam na dwa miesiące, nie zgłaszała pretensji, kiedy wychodziłem wieczorem, a wracałem o piątej nad ranem, pijany w sztok, i nigdy nie groziła, że mnie opuści, nawet wtedy, gdy przez dwa lata chodziłem przygnębiony i wyraźnie nienawidziłem samego siebie.

Jak to się mogło utrzymać?

Ale to nie był pełny obraz. Ja też starałem się być dla niej dobry, ona też mnie potrzebowała i dobrze czuliśmy się razem w naszym bergeńskim życiu, zarówno wtedy, gdy byliśmy sami, jak i wówczas, gdy przebywaliśmy z innymi, w kręgu rodziny i przyjaciół, więc jeśli ogarniała mnie wewnętrzna rozpacz, to nie miała ona związku z naszym codziennym życiem, z tymi drobnymi zdarzeniami, z których składa się każde życie i które potrafią nagle rozświetlić zmierzch bezsensu: otwierają się drzwi, ona wraca do domu, nachyla się i zdejmuje buty, patrzy na mnie z uśmiechem, twarz ma magiczną, dziecinną. Albo stoi i przelewa farbę z pięciolitrowego wiadra do mniejszego pojemnika, wdrapuje się na krzesło i zaczyna malować listwę nad oknem, ubrana w poplamione farbą ogrodniczki. Leży przy mnie na kanapie, oglądamy film, po policzkach płyną jej łzy, ja się z niej śmieję i ona też się śmieje przez te łzy. Są tysiące takich momentów, straconych już w chwili, gdy się pojawiają, ale które mimo wszystko pozostają, ponieważ to one tworzą związek, ów konkretny sposób połączenia nas ze sobą, taki sam jak we wszystkich innych związkach, a mimo to odmienny, to była ona i ja, nikt więcej, to byliśmy my, staraliśmy się radzić sobie ze wszystkim na bieżąco najlepiej, jak potrafiliśmy, ale mrok we mnie gęstniał, radość znikła, nie wiedziałem już, czego chcę, a co powinienem, wiedziałem tylko, że stoję w miejscu, znieruchomiałem, takie miałem poczucie, jakbym nie był ukształtowany od wewnątrz, lecz jedynie stanowił kształt stworzony przez wszystko, co na zewnątrz. Czułem się jak coś w rodzaju odcisku w materii, jak mnogość wydarzeń i czynności przylegających do formy całkowicie pustej w środku. Nocami, kiedy wychodziłem na miasto, ta tęsknota za czymś nowym przesłaniała mi wszystko, gotów byłem zrobić cokolwiek i w końcu to zrobiłem. Któregoś razu siedziałem w Operze wśród wielu znajomych, potem poszedłem na imprezę do kogoś do domu, piłem ostro, kompletnie rozstrojony, ale alkohol mi pomagał, na tej imprezie gadałem z Tomaszem, którego poznałem kilka lat wcześniej i natychmiast polubi-

łem, lecz nieczęsto nadarzała nam się okazja do rozmowy, raczej od czasu do czasu zamienialiśmy tylko kilka słów w jakiejś knajpie. Koło piątej nad ranem uzgodniliśmy, że pojedziemy dalej pić do niego do domu. On, jego kolega i ja. Kiedy czekaliśmy na taksówkę, w bramie pojawiła się kobieta, która też płatała się na tej imprezie, mogła mieć około trzydziestu pięciu lat, w ciągu tego wieczoru wielokrotnie na mnie patrzyła, unikałem jej, nie wymieniałem z nią spojrzeń ani z nią nie rozmawiałem, ale teraz sytuacja się zmieniła, podszedłem i spytałem, czy pojedzie z nami, powiedziała, że tak, przyjechała taksówka, wsiedliśmy, ona tuż przy mnie, położyłem rękę na jej udzie, ale siedziałem nieruchomo, tamci dwaj niczego nie zauważyli, w centrum wytoczyliśmy się z taksówki i poszliśmy do mieszkania Tomasa, na samej górze dużej kamienicy, bywałem tam wielokrotnie, zawsze nocą, zawsze pijany. Mieszkanie miało balkon, stałem tam kiedyś razem z innymi i patrzyłem, jak jakaś para pieprzy się na tylnym podwórzu, ona nachylona do przodu, rękami oparta o maskę samochodu, on posuwał ją od tyłu; wróciłem do mieszkania, porozmawiałem z kimś, trochę się napiłem, znów wyszedłem na balkon, a oni dalej swoje. Kiedy wreszcie skończyli, zaczęliśmy klaskać. On się nam wtedy uklonił, ona natomiast szybko poprawiła ubranie i uciekła. Tomasz był pisarzem, twarz miał piękną, wrażliwą i bardzo charakterystyczną, od razu się rozumiało, że nie jest taki jak inni, był wyjątkiem, bezdennie wielkoduszny i życzliwy, bardzo poważny i zaangażowany w to, czym się zajmował, samodzielny w ów rzadki sposób, jaki można zaobserwować zaledwie u garstki ludzi w danym pokoleniu. Dawniej uprawiał boks i szermierkę, otaczał się kobietami, chłopięcy i pełen zapału, w dodatku wśród moich znajomych był jedyną osobą oprócz Torego, która przeczytała *W poszukiwaniu straconego czasu*. Posługiwał się eleganckim stylem, szukał perfekcji i piękna, będąc w tym, jak niemal we wszystkim, moim przeciwieństwem. To on przewodził tego wieczoru, otworzył drzwi, wpuścił nas, nastawił muzykę, wyciągnął whisky, mieliśmy rozmawiać o Prouście, no i rzeczywiście rozmawiałem, ale niezbyt długo, bo znajdowałem się gdzieś na obrzeżach tego wszystkiego, myślałem jedynie o tej kobiecie, która z nami siedziała, na krześle niedaleko, pożałałem jej, więc podszedłem do niej, usiadła mi na kolanach, całowaliśmy się, moje dłonie błądziły po niej, w ogóle się nie przejmowałem, że to się dzieje na oczach Tomasa i jego kumpla, teraz to było wszystko, ona była wszystkim, zepchnąłem ją z kolan i wstałem, chwyciłem ją za rękę i zaprowadziłem do sypialni, do sypialni Tomasa, tam zamknąłem drzwi i zdarłem z niej ubranie, po prostu rozgarnąłem poły za-

kietu, nie bacząc na guziki, całowałem ją, ściągnąłem z niej spódnicę, potem rajstopy, była już prawie naga, rozpiąłem guzik w spodniach i pozwoliłem, żeby opadły, położyłem się na niej, oszalały z pożądania, nie myśląc o niczym, chociaż gdzieś z tyłu głowy przewijała się myśl, że właśnie tego chcę, więc to robię, to ja tego chcę, więc dlaczego mam tego nie robić? Jęknęła, a ja krzyknąłem, doszedłem i od razu wstałem, żeby wyjść, a ona leżała wpatrzona we mnie i mówiła, żebym nie odchodził, chciała jeszcze, zgodziłem się, znów się na niej położyłem, ale nie wyszło, więc się ubrałem, opuściłem sypialnię, w salonie, na nic nie patrząc, chwyciłem kurtkę i wyszedłem na ulicę, machnięciem ręki przywołałem taksówkę, podałem nasz adres, pięć minut później zapłaciłem, otworzyłem kluczem drzwi do mieszkania, rozebrałem się i położyłem obok Tonje.

Obudziłem się w piekle. Na dworze było całkiem ciemno, Tonje oglądała w salonie telewizję, słyszałem różne dźwięki. Moje ubranie, rzucone na stos przy łóżku, pachniało perfumami. Ja pachniałem seksem. Na myśl o tym, co zrobiłem, ogarnęły mnie poczucie winy, wstyd i lęk tak wielkie, że nic poza nimi nie istniało. Były bezdenne. Leżałem w ciemności jak sparaliżowany, nie mogłem nawet drgnąć, i wiedziałem, że jedynym wyjściem z tej sytuacji jest śmierć. Nie poruszyłem się, odkąd się obudziłem, jakby przyciskała mnie ciemność, z bólu byłem bliski krzyku, ale leżałem nieruchomo, cicho, z salonu dobiegały odgłosy włączonego telewizora, potem Tonje przeszła przez pokój i stanęła w otwartych drzwiach.

Leżałem z zamkniętymi oczami i ciężko oddychałem.

– Jeszcze śpisz? – spytała. – Dochodzi szósta. Nie mógłbyś wstać, żebyśmy mieli c o k o l w i e k z tego dnia?

– Mam napad lęku. Tak strasznie się schlałem.

– Biedaku. Ale może wypożyczylibyśmy jakiś film? Zrobiłabym pizzę.

– No dobrze.

Wyszła, a ja usiadłem na łóżku, wciąż pijany. Zabrałem ubranie do łazienki, wepchnąłem je do pralki razem z innymi ciuchami i nastawiłem pranie. Wykąpałem się. Byłem w piekle, to było piekło. Ale musiałem dać radę. Jeśli przetrwam ten dzień, następny i jeszcze następny, potem jakoś już pójdzie.

Zastanawiałem się, czy nie iść do niej i o wszystkim jej nie powiedzieć.

Wiedziałem, że sam tego nie udźwignę. Jej uczucia były czyste i szczerze, była uczciwa we wszystkim, co robiła, a związała się ze mną, takim podłym, zdolnym do najgorszych rzeczy. Gdybym jej wyznał, co zrobiłem, rzuciłaby mnie. Nie mogłem ryzykować. Już lepiej kłamać całą wieczność. Kłamać nie potrafiłem ani trochę, ale musiałem. Wiedziałem, że muszę kłamać codziennie do końca życia, ale wiedziałem też, że dam radę, że tak będę robił.

Wyjście z domu było dobrym rozwiązaniem, bo tutaj ktoś mógł zadzwonić, na przykład Tomas albo ta kobieta.

Ruszyliśmy w stronę Danmarksplass, gdzie znajdowała się duża wypożyczalnia.

– Fajnie było wczoraj? – spytała.

Pokręciłem głową.

– Właściwie nie, zupełnie zwyczajnie. Ale było sporo znajomych.

Spytała kto. Powiedziałem.

– Chyba w nic się nie wplątałeś?

Zaczerwieniłem się ze wstydu i strachu, twarz mi pałała, ale zmusiłem się, by dalej iść zwykłym krokiem i nie odwracać głowy, w ciemności Tonje nie mogła nic zobaczyć.

– Nie, skąd.

– To dlaczego wróciłeś tak późno? Była już ósma.

– Po imprezie poszedłem jeszcze do Tomasa, ja, on i jakiś jego kolega. Piliśmy whisky i rozmawialiśmy o literaturze. To akurat było dość fajne.

Wypożyczyliśmy dwa filmy i kupiliśmy składniki na pizzę. Kiedy wróciliśmy, błyskała lampka automatycznej sekretarki.

Tego nie wziąłem pod uwagę. To było jeszcze gorsze, bo wiadomość odtwarzała się głośno, więc jeśli byłoby tam coś o wczorajszej nocy, Tonje by usłyszała.

Weszła do kuchni rozpakować zakupy, wzięła się do pieczenia ciasta, a ja wcisnąłem guzik, żeby odtworzyć wiadomość, z nadzieją, że Tonje jest zbyt zajęta, by zwrócić na to uwagę.

Dzwonił Tomas. Nie powiedział nic konkretnego, tylko że możemy pogadać, jeśli będę chciał.

– Kto dzwonił? – spytała Tonje, stając w drzwiach z łopatką do smażenia

w ręku.

- Tomas. Chciał podziękować za wczorajszy wieczór.
Skasowałem wiadomość i usiadłem na kanapie.

Następnego dnia Tonje jak zwykle poszła do pracy. Zadzwoiłem do Olego, bo musiałem z kimś porozmawiać, nie potrafiłem dźwigać tego sam. Umówiliśmy się w klubie filmowym w Stoczni, pokazywali film Davida Leana.

Większość naszych znajomych w Bergen była wspólnymi znajomymi moimi i Tonje, więc nikomu z nich nie mogłem o tym opowiedzieć. Ole jednak, który się rozwiódł i wrócił z Norwich, znajdował się poza tym kręgiem. Owszem, znał Tonje, nawet się lubili, ale pozostawał przede wszystkim w relacji ze mną. Wciąż tłumaczył Samuela Johnsona, głównie dla siebie i dla zaspokojenia własnej ciekawości, zrezygnował ze studiów na uniwersytecie i poszedł do szkoły pielęgniarstwa. Raz zabrał mnie do podziemnych korytarzy pod szpitalem, zamierzałem o nich pisać, zafascynowały mnie bardziej, niż się spodziewałem. Pod ziemią istniał cały nieduży świat. A więc poszedłem z Olem na film Leana. Mówił o zdradzie, siedziałem znękany, byłem w piekle. Później poszliśmy na piwo do Wesselstuen i opowiedziałem mu wszystko. Potrzebowałem od niego rady, chciałem usłyszeć, czy mam się przyznać, powiedzieć jej i mieć nadzieję, że mi wybaczy, czy też nic nie mówić, udawać, że wszystko jest jak dawniej, i czekać, aż samo się jakoś ułoży, bo prawdopodobnie tak by się stało.

- Nawet nie myśl o tym, żeby się przyznać – powiedział Ole. – Co ci z tego przyjdzie? Wtedy ona też będzie musiała to dźwigać. Zrzucisz na nią część odpowiedzialności. A to ty jesteś za to odpowiedzialny, ty to zrobiłeś. Nie możesz tego cofnąć, to już się stało. W zasadzie nie ma znaczenia, czy ona o tym wie, czy nie.

- Ale to znaczy, że będę ją oszukiwał. Będę kłamał.

- Już ją oszukałeś. Słowa i czyny to nie jest jedno i to samo.

- No tak, masz rację. Ale to najstraszniejsza rzecz, jaką w życiu przeżyłem. Jeszcze nigdy tak nie cierpiałem. To nie do opisania. Boli tak, że chyba lepiej byłoby się zastrzelić.

- A masz pistolet?

- Ale śmieszne. O niczym innym nie myślę. To mnie dręczy na okrągło, od

rana do nocy. Nie istnieje nic oprócz tego, co zrobiłem. No a Tonje...

– To minie. Wiem, że to brzmi cynicznie, ale minie.

– Mam nadzieję.

Ale nie mijało. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, strach rozpalał się we mnie od nowa. Wyłączałem aparat najczęściej, jak to było możliwe, ale tak, żeby nie wyglądało na podejrzenie, bo kiedy wiedziałem, że nikt nie może zadzwonić, osiągałem przynajmniej jakąś formę spokoju. Kiedy wypożyczaliśmy film, zawsze czytałem zamieszczony z tyłu opis, żeby sprawdzić, czy nie będzie miał jakiegoś związku ze zdradą, a jeśli tak było, szukałem wymówki, żeby go nie oglądać. Czytałem dokładnie opisy programów telewizyjnych, by wiedzieć, co mogę włączyć, a czego nie. Jeśli była mowa o zdradzie, starałem się zająć czymś innym. Mimo wszystko zdarzało się jednak, że ten temat się pojawiał, ktoś nagle go poruszał, płonąłem wtedy ze wstydu i usiłowałem odciągnąć uwagę Tonje od ekranu, mówiąc o czymś innym. Zachowywałem się tak sztywno i sztucznie, że aż dziwne, iż się nie zorientowała, prawdopodobnie jednak myśl o zdradzie była tak daleka od jej wyobrażeń o mnie, że po prostu nigdy nie przyszło jej to do głowy. Z wyrzutami sumienia zmagalem się bez końca, poczucie winy nie mijało, bez względu na to, co robiliśmy, czułem, że jestem fałszywym kłamcą, zdrajcą, złym człowiekiem, a im więcej ciepła okazywała mi Tonje, im bardziej się do mnie zbliżała, tym ze mną było gorzej. Udawałem, że nic się nie dzieje, ale wszystko się popsuło, zmieniło w nieustanną grę.

Kupiliśmy dom w Minde, w pobliżu siedziby NRK. Ktoś w pracy u Tonje go sprzedawał, trafił nam się tanio, to była trzykondygnacyjna willa z początku dwudziestego wieku, kupiliśmy dwie górne kondygnacje, zajęliśmy jedną, studzięciometrową, a mniejsze mieszkanie na poddaszu wynajęliśmy. Ja cykliznowałem i olejowałem podłogi, Tonje malowała i tapetowała. Zdjęliśmy drzwi z zawiasów i oskrobaliśmy je ze starej farby, zaczęliśmy też zbierać oferty na remont łazienki, później chcieliśmy zabrać się do kuchni. Podobało nam się to mieszkanie, było prawdziwym skarbem. Miałem tam obszerny gabinet, oprócz tego były jeszcze dwa pokoje i sypialnia, balkon i duży ogród. Życie toczyło się normalnie, przyszłość należała do nas, zaczęliśmy mówić o dziecku. Pisać nie mogłem, od debiutu minęły cztery lata, ale nie stworzyłem nic nowego i prawdopodobnie miałem już nic więcej nie napisać. Pracowałem jednak dalej, zginałem kark i nie ustawałem. Na każdy dzwonek telefonu prze-

szywał mnie lęk. Nie chciał minąć. Gdy spoglądałem na Tonje lub gdy się do mnie uśmiechała, zalewały mnie wyrzuty sumienia. Ale jakoś to szło, dawałem radę, dni mijały, może to również miało w końcu minąć. Do miasta wrócili Hans i Sigrid, dużo czasu spędzaliśmy z nimi, razem wybraliśmy się do Londynu, zapraszaliśmy się nawzajem na kolacje, a dzięki ich przyjacielom mieliśmy swoje środowisko, mieliśmy życie. Hans i Sigrid przeprowadzili się do domu położonego wysoko nad Sandviken, pojechałem tam któregoś dnia, żeby pomóc Hansowi przy malowaniu, był wrzesień, niebo przejrzyste, błękitne, na fiordzie ćwiczyła łódź ratunkowa, wzbijając ogromną fontannę wody, która zdawała się sięgać do nieba, migotała w słońcu. To był jeden z tych dni, kiedy wszystko jest otwarte, a miasto w dole jawi się niczym pępek świata pod ogromnym niebem, i człowiek myśli, że życie warte jest swojej ceny. Nagle zadzwoniła Tonje, kazała nam włączyć radio, był atak na World Trade Center, samolot wbił się w jedną z wież. Włączyliśmy i dalej malowaliśmy w słońcu, a reporterzy usiłowali opisywać, co się stało i co się teraz dzieje. Nie odzywałem się, wszystko wydawało mi się niejasne, Hans powiedział, że to prawdopodobnie bin Laden, pierwszy raz usłyszałem wtedy to nazwisko. Pojechałem do domu, Tonje siedziała wpatrzona w ekran telewizora, na okrągło pokazywali, jak samolot wbija się w wieżę, a budynek się wali. Patrzyliśmy na to cały wieczór. Następnego dnia poleciliśmy na Paros, jeździliśmy po wyspie na skuterze, Tonje siedziała z tyłu, mocno mnie obejmując, kąpaliśmy się w morzu i czytaliśmy, kochaliśmy się, wieczorami wychodziliśmy do restauracji, spacerowaliśmy po ślicznych uliczkach, a któregoś dnia wybraliśmy się na Antiparos, tam gdzie byłem trzynaście lat wcześniej. Pamiętałem wszystko i śmiałem się z tego: na tamtej wysepce pisałem powieść w notatniku, czytałem Ulfa Lundella i chciałem zostać pisarzem. Przesiadywałem tam w samotności, a kiedy chciałem się wykąpać, bałem się rekinów. Tu, w Morzu Śródziemnym!

Było pięknie. Ale w domu nic się nie zmieniło, minęła jesień, nie mogłem pisać, Tonje pracowała, ja wzdygałem się przestraszony za każdym razem, kiedy słyszałem telefon, spodziewałem się samych nieprzyjemności. Ktoś kilkakrotnie dzwonił i się nie odzywał, owszem, takie rzeczy się zdarzały, lecz nie potrafiłem nie wiązać tych głuchych telefonów z tym, co wydarzyło się tamtej nocy, już blisko rok wcześniej.

Potem, w lutym, miałem sen. Śniło mi się, że stoję przed zakopanym w pia-

sku bykiem, który usiłuje się wydostać, w rękę trzymałem miecz. Uderzyłem nim w kark byka, łeb odpadł, ale zwierzę dalej się wykopywało. W końcu wyrwało się z piaskowej pułapki, a ja się obudziłem.

Miało się stać coś strasznego. Byłem pewien, sen mi o tym powiedział.

Ale co?

Pierwszym skojarzeniem była mieszkająca nad nami młoda dziewczyna, miała stałą pracę, rzadko ją widywaliśmy, ale ponieważ przebywała tak blisko, sądziłem, że cios padnie z jej strony, była niezrównoważona i zafiksowana na mnie. Myśl o takim zagrożeniu nawiedzała mnie już od pewnego czasu, właściwie niczym nieuzasadniona, korzeniami sięgająca moich wyrzutów sumienia i zmaltretowanego poczucia własnej wartości. Ale gdy na dodatek pojawił się ten sen, uznałem, że coś złego naprawdę nastąpi.

Minął cały dzień. Pracowałem u siebie w gabinecie, Tonje wróciła do domu, zjedliśmy obiad, poszedłem do gabinetu trochę poczytać, miałem tam fotel, nieduży stolik na popielniczkę i filiżankę kawy, wszystkie ściany pokrywały półki z książkami, jedną z moich największych przyjemności było siedzenie tutaj i patrzenie na książki, wyjmowanie ich, kartkowanie. Akurat wtedy czytałem *Anatomię melancholii* Burtona. Było trochę po jedenastej, w domu panowała cisza, cicho było też na ulicach. Do miniwieży stereo wrzuciłem płytę kompaktową Tortoise, zapaliłem kolejnego papierosa, dolałem sobie kawy.

W salonie zadzwonił telefon. Jego sygnał dotarł do mnie jak z oddali.

Wyłączyłem muzykę.

Jeśli ktoś dzwonił tak późno, coś musiało się stać.

Ktoś umarł. Ale kto?

Tonje otworzyła drzwi.

– Telefon do ciebie – powiedziała.

– Kto dzwoni?

– Nie przedstawił się. To musi być jakiś twój kumpel, którego nie znam, bo sobie żartował.

– Żartował?

– Tak.

Wstałem, poszedłem do salonu i sięgnąłem po słuchawkę. Tonje poszła za

mną.

– Halo?

– Czy to gwałciciel Karl Ove Knausgård?

– Co to ma znaczyć? Z kim rozmawiam?

Tonje się zatrzymała, wpatrzona we mnie, oparła się o ścianę.

– Do jasnej cholery, dobrze wiesz, o czym mówię! Rok temu zgwałciłeś moją dziewczynę.

– Nic takiego nie zrobiłem.

– Ale wiesz, o czym mówię.

– Tak. Ale to nie był gwałt.

W momencie gdy to powiedziałem, spojrzałem na Tonje. Zupełnie pobieląca na twarzy. Patrzyła na mnie wielkimi oczami. Gdyby nie ściana, pewnie by upadła.

– Właśnie że tak, do cholery! Jeśli się nie przyznasz, zaraz do ciebie przyjdziemy. A jak nie otworzysz, wyłamiemy drzwi. I jeśli wtedy też się nie przyznasz, porachujemy ci kości. Zmaltretujemy ci twarz. No i jak, pisarzu, przyznajesz się?

– Nie. To nie był gwałt. Owszem, przespaliśmy się ze sobą, przyznaję, ale to nie był gwałt.

Tonje nie odrywała ode mnie oczu.

– Właśnie że był, do cholery. Obudziła się w porwanym ubraniu. Jak to wyjaśnisz? Ona tu teraz przy mnie stoi.

– To nie był gwałt. Nieważne, co mówisz i co ona ci powiedziała.

– No to idziemy do ciebie.

– Chcę z nią porozmawiać.

– Pod warunkiem, że się przyznasz do gwałtu.

– To nie był gwałt.

– Zaraz usłyszysz to z jej ust.

Minęło kilka sekund. Podniosłem wzrok, Tonje wyszła z pokoju.

– Halo – odezwała się kobieta na drugim końcu.

– Twój facet mówi, że cię zgwałciłem – powiedziałem. – Jak możesz twierdzić coś takiego? Tak samo tego chciałaś jak ja.

– Nic nie pamiętam. Obudziłam się i zobaczyłam, że mam podarte ubranie. Nie wiem, co się stało. Możliwe, że to nie był gwałt, ale to było straszne. Powiedziałam mu o tym, a on od razu chciał do ciebie jechać, żeby cię dopaść. Udało mi się go powstrzymać, ale oni kompletnie oszaleli.

– Oni?

– Tak.

Okazało się, że jest ich dwóch. Jeden to jej były facet, a drugi to pisarz, którego nie znałem, ale przelotnie spotkałem kilka razy.

– Mówi, że nie jesteś taki świetny, jak wszyscy twierdzą.

– A co on ma z tym wspólnego?

– To przyjaciel.

– Okej. Nie życzę sobie, aby mówiono, że kogokolwiek zgwałciłem. To nie był gwałt. Nie mów, że to był gwałt.

– Nie był.

– Oni ciągle chcą do mnie przyjść?

– Nie wiem, co teraz zamierzają zrobić.

– Najlepiej będzie, jak się spotkamy. Ty, twój facet i ja. Porozmawiamy o tym.

– Dobrze.

– Możesz jutro? O drugiej w kawiarni przy Muzeum Sztuki Przemysłowej?

– W porządku. Ja też chcę o tym porozmawiać. Dzwoniłam parę razy, ale zawsze odbierała twoja żona.

– No to widzimy się jutro – zakończyłem i odłożyłem słuchawkę.

W tej samej chwili do pokoju weszła Tonje, musiała czekać na ten moment. Wpatrywała się we mnie.

– Musimy porozmawiać – powiedziałem.

Siedzieliśmy u mnie w gabinecie. Czuję się tak, jakbym wkroczył w strefę białego światła, a na zewnątrz nie było nic. Rozmawialiśmy o tym, co się stało. Ze szczegółami opisałem tamten wieczór. Tonje cały czas powtarzała: Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Dlaczego nic nie powiedziałeś? Dlaczego nic nie powiedziałeś? Przepraszałem, mówiłem, że nie zrobiłem tego specjalnie,

błagałem, żeby mi wybaczyła, ale znajdowaliśmy się w zupełnie innym miejscu, nie chodziło o wybaczenie, tylko o to, co wspólnie zbudowaliśmy, co było takie piękne i co zostało zniszczone. Sposób, w jaki to wyszło na jaw, tak gwałtownie i nieoczekiwanie, na pewno wywołał u Tonje szok, była w szoku, twarz miała zupełnie białą i nie płakała, usiłowała tylko to pojąć. Ja też byłem w szoku, to białe światło wypaliło wszystko, została jedynie ta straszna rzecz, którą zrobiłem. Mówiłem, że to nie był gwałt, ona powtarzała: oczywiście, wiem, nie o to chodzi. Ale mnie chodziło również o to, bo przecież wszystko mogło się wydarzyć, ta kobieta mogła iść na policję, nagle mogli się tu zjawić i mnie aresztować, nikt w życiu by mi nie uwierzył i zostałbym gwałtcielem, najgorszym z najgorszych, najbardziej haniebnym z haniebnych, już na zawsze, do końca życia. W dodatku byłem osobą publiczną, znalazłbym się na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju. Ale wtedy gdy siedzieliśmy w moim gabinecie i rozmawialiśmy, w ogóle o tym nie myślałem, wtedy liczyło się tylko to, co zrobiłem Tonje. Nie płakała, wycofała się w siebie, zapadła gdzieś, wstrząśnięta do głębi duszy.

Następnego dnia poszedłem do miasta, które całkiem zniknęło, jakby się zatarło, istniała jedynie myśl o tym, co zrobiłem.

Nie było ich w kawiarni. Czekałem godzinę, nie przyszli.

Zadzwoiłem do Tomasa i opowiedziałem mu, co się stało. Wpadł we wściekłość. Powiedział, że zna Arilda, tak miał na imię były facet tej kobiety, że to kryminalista, narkoman. Nie należy się go bać, ale jeśli chcesz, Karl Ove, to go odwiedzę i tak postraszę, że już nigdy się z tobą nie skontaktuje. Jeżeli będzie trzeba, pobiję go do nieprzytomności. Chcesz, żebym tak zrobił? Powiedziałem, że możemy jakiś czas poczekać i zobaczyć, co się wydarzy. Jeśli on jeszcze raz się ze mną skontaktuje, wtedy z nim porozmawiamy. Dobrze, zgodził się Tomas, możesz mi zaufać. Ci ludzie są straszni, chcą tylko krzywdzić.

Kiedy wróciłem do mieszkania, tak pięknie oświetlonego blaskiem zimowego słońca, usłyszałem, że Tonje nalewa wody do wanny. Nie chciałem jej przeszkadzać, wszedłem do salonu i patrzyłem na szczyt góry po drugiej stronie.

Woda przestała płynąć.

Usłyszałem długi, przeciągły szloch. Rozpacz Tonje była tak wielka, że też się rozpłakałem.

Ale nie potrafiłem jej pocieszyć, nie mogłem jej pomóc.

Więcej nie zadzwonili. Nigdy już się ze mną nie kontaktowali. Ale nasz związek i tak był zniszczony, może nawet już od tamtej nocy, kiedy zrobiłem to, co zrobiłem. Postanowiliśmy, że wyjadę na trochę. Zadzwoniłem do ludzi, od których rok wcześniej wynajmowałem dom na Bulandet, okazało się, że stoi pusty i mogę od razu w nim zamieszkać, więc popłynąłem promem do Askvoll, a stamtąd na Bulandet, do najdalej na zachód wysuniętego miejsca w kraju, wcinającego się głęboko w morze. Tam miałem jakiś czas żyć.

Nic nie pisałem, łowiłem ryby, spałem i czytałem. Moje rozdarcie nie było przejściowe ani powierzchowne, sięgało głęboko, takie miałem wrażenie, bo nie ustępowało, nie zmieniało się, codziennie budziłem się w rozpacz bez dna. Chodziło tylko o to, żeby wytrzymać. Skupiałem się wyłącznie na tym. Musiałem wytrzymać. Czytałem dzienniki Olava H. Haugego, przynosiły mi ogromną pociechę, nie mam pojęcia dlaczego, ale tak było, na kilka godzin w trakcie lektury znajdowałem spokój. Każde przybicie promu obserwowałem, stojąc w oknie, patrzyłem, czy ktoś nie wysiada, myślałem, że może Tonje przyplynie. Na nic się nie umawialiśmy, ustaliliśmy jedynie, że potrzebujemy czasu dla siebie, osobno, i że wyjadę tutaj. Nie wiedziałem, czy nasz związek się skończył, czy Tonje będzie chciała się rozwieść, czy może tęskni za mną i chce, żebyśmy dalej byli razem. Cała wina spoczywała na mnie, nie chciałem obciążać Tonje, trzymałem się z daleka, ona sama musiała zdecydować, co zrobi. Patrzyłem tylko z nadzieją na prom. Ale nie przyplynęła. Raz byłem pewien, że wysiadła, więc wskoczyłem w kalosze i pobiegłem jej na spotkanie, ale zaraz się zorientowałem, że to nie ona, i zawróciłem.

Zadzwonił Espen, wybierał się do Bergen, a ja tak bardzo chciałem z kimś porozmawiać, że wsiałem na prom i spotkałem się z nim, wypiliśmy kilka piw, przenocowałem w jego pokoju hotelowym. Na mieście natknęliśmy się na jedną z przyjaciółek Tonje. Patrzyła na mnie tak, jakby zobaczyła ducha. Następnego dnia wróciłem na wyspę i w jakiś dziwny sposób poczułem, że ta maleńka wysepka wysunięta w morze, z żółtym budyneczkiem z lat pięćdziesiątych na cyplu, jest moim domem. Pokochałem tamtejsze niebo, takie rozległe i dramatyczne, uwielbiałem nieliczne bezwietrzne dni ze słońcem, uwielbiałem stać na pomoście i patrzeć w przejrzystą, zieloną, świeżą i kuszącą wodę, w której długie pasma wodorostów unosiły się pionowo, pływały

wśród nich ryby, a kraby bokiem wędrowały po dnie. Rozgwiadzy, omułki, całe bogactwo podwodnego świata. Czasami w głębi przepływała foliowa torebka. Uwielbiałem też patrzeć na przystań, na niewielkie szopy, cały sprzęt, na sieci, balie i skrzynie. Ale najbardziej lubiłem patrzeć w niebo, obserwować nocą, jak chmury suną w ciemności niczym statki kierujące się ku brzegowi lub zbierają się na burzę, która zawsze nadciągała od zachodu, cały dom wtedy trząsł się i drżał, oddychał i stukał.

Podczas wypraw wędkarskich widywałem różne stworzenia, między innymi wydrę mieszkającą w pobliżu, zrobiła sobie niedużą ślizgawkę w śniegu i czasami po niej zjeżdżała. Niekiedy widywałem ją pływającą, niewielki czarny łepiek tuż nad powierzchnią wody. Którejś nocy przemknęła co sił w nogach po podeście przed domem. Polubiłem ją, cieszyłem się, że ją widzę, była jak przyjaciel.

Któregoś ranka na wyspie pojawiło się mnóstwo ptaków, urządziły jazgot jakich mało. Potem wzbiły się w powietrze, było ich kilkaset, przypominały chmurę, kilkakrotnie okrążyły wyspę, a później powoli opadły na ziemię jak dywan. W nocy stały po ciemku zupełnie bez ruchu. Myślałem o nich przed zaśnięciem. Cisza wśród tego, co żyje, jest zupełnie inna niż cisza wśród martwoty; nazajutrz jednak znów obudził mnie wszczyty przez nie harmider.

Zima zmieniła się w wiosnę. Nie miałem telewizora, nie miałem gazet, jadłem wyłącznie ryby, chrupki chleb i pomarańcze, a kiedy nie myślałem o Tonje, myślałem jedynie o tym, że muszę stać się dobrym człowiekiem. Musiałem stać się dobrym człowiekiem. Musiałem zrobić wszystko, żeby to osiągnąć. Nie mogłem więcej tchórzyć. Nie mogłem dłużej lawirować w mglisty sposób, musiałem być uczciwy, prosty, wyraźny i szczerzy. Musiałem patrzeć ludziom w oczy, odpowiadać za to, kim jestem, co myślę i co robię. Musiałem lepiej traktować Tonje, jeśli nadal bylibyśmy razem. Nie złościć się, zrezygnować z ironii i sarkazmu, wznieść się ponad małość i zawsze mieć w pamięci całościowy obraz. Tonje była wyjątkową osobą, niepowtarzalną, nie wolno mi było przyjmować jej w życiu za pewnik.

Najbardziej chciałem działać. Robić coś. Ale co by to miało być?

Zastanawiałem się nad odebraniem sobie życia, nad tym, czy po prostu nie popłynąć w morze, to było podniecające, przyjemne uczucie, wodziło na pokuszenie, ale wiedziałem, że nigdy tego nie zrobię. Takie poddanie się nie leżało w moim charakterze. Należałem do osób, które potrafią wiele wytrzymać. Ale

nikt nie powiedział, że w trakcie wytrzymywania nie można stać się kimś lepszym.

Pisałem listy do Tonje, ale ich nie wysyłałem. Nie dostałem też żadnego listu, nie miałem żadnych wiadomości. W końcu wróciłem.

Nie widzieliśmy się od trzech miesięcy. Kiedy znalazłem się u stóp wzgórza, na którym stał nasz dom, zatelefonowałem.

– Karl Ove, przyjeżdżasz? – spytała tym swoim ciepłym głosem.

– Tak, jestem już koło domu.

– Jesteś tutaj?

Otworzyłem drzwi własnym kluczem, wszedłem na górę, Tonje wyszła do przedpokoju. Za nią stanął jej kolega z pracy. Do diabła, pomyślałem, wprowadził się tu? Są razem?

Ale tak nie było. Przyszedł naprawić drzwi do łazienki. Tonje wychudła i wydawała się pełna smutku. Ja też schudłem, nie było we mnie radości.

Rozmawialiśmy kilka dni. Tonje chciała dalej ciągnąć nasz związek, ja też chciałem go ciągnąć, więc ciągnęliśmy. Dom, przyjaciele, rodzina, Bergen. W ciągu dnia pisałem, ona pracowała w NRK. Wszystko było jak dawniej. Lato przyszło i odeszło, Boże Narodzenie przyszło i odeszło, rozmawialiśmy o dziecku, ale ostatecznie nie zdecydowaliśmy się na ten krok. Któregoś wieczoru zadzwonił do mnie jakiś obcy facet. Powiedział, że był mężem tej kobiety, z którą zdradziłem żonę. Mieli dzieci. Chciał teraz, aby prawo do opieki nad nimi sąd przyznał tylko jemu. Pytał, czy zechcę wystąpić jako świadek. Mówił, że ci dwoje, jego była żona i jej facet, zrobili to samo pewnemu pastrowi, ona uprawiała z nim seks, a on zadzwonił do jego rodziny i o wszystkim powiedział, podobno duchowny musiał odejść z parafii. Nie wiedziałem, czy mam wierzyć temu człowiekowi, przez chwilę wydawało mi się, że to jakaś pułapka, że ktoś to nagrywa, ale jednak miałem wrażenie, że facet jest uczciwy. W końcu powiedziałem, że nie mogę mu pomóc. Kiedy zrelacjonowałem rozmowę Tonje, stwierdziła, że natychmiast zostałoby to upublicznione, bo wszystkie redakcje sprawdzają, co się dzieje na salach sądowych, więc gdybym się zgodził, tak jak rozważałem, od razu napisaliby: „Znany pisarz (32) oskarżony o gwałt”, a dalej podaliby informacje, które pozwoliłyby się domyślić, o kogo chodzi.

Uchwyciłem się pisania. Przesiadywałem w gabinecie od rana do wieczora,

nic mi nie wychodziło. Dziennikarze już dawno przestali dzwonić, a gdy od wielkiego dzwonu zdarzył się telefon, to na ogół z pytaniem, czy zechciałbym powiedzieć parę słów na potrzeby artykułu o niemocy twórczej lub o autorach jednej książki. W końcu w lutym 2002 roku coś ruszyło. Zacząłem pisać kolejny krótki tekst, akcję umieściłem w dziewiętnastym wieku, ale pozwoliłem, aby wszystko, co istniało teraz, istniało również wtedy, miejscem akcji zaś była Tromøya, która jednak nią nie była, bo miejsce miało inną historię; w tym równoległym świecie, podobnym do naszego, ale jednak nim niebędącym, kazałem Yngvemu, tacie i mnie popłynąć w pewną letnią noc na Torungen. Opisałem tamtą noc, tak jak ją zapamiętałem, z jednym wyjątkiem: mewa, na którą tata świecił latarką, miała pod skrzydłami chude wyrostki, przypominające ręce. Pozwoliłem tacie powiedzieć: „mewy były kiedyś aniołami”, i już wiedziałem, że mam materiał na powieść. Nareszcie, to będzie powieść!

Ogarnęło mnie wielkie podniecenie. Nabrałem niesamowitej energii, robiłem zakupy, gotowałem, gadałem o wszystkim, wykazywałem ogromną inicjatywę, proponowałem Tonje, żebyśmy się gdzieś wybrali, coś zrobili, nagle znów wszystko stało się możliwe.

Tonje wyjechała na seminarium do Kristiansand, więc miałem dużo czasu na pisanie. Wróciła do domu po trzech dniach i jeszcze tego samego wieczoru wybierała się na imprezę, miała na niej grać z zespołem, składającym się z pracowników NRK, spytała, czy chcę z nią iść, ale musiałem pisać, więc poszła sama. Po godzinie pożałowałem i mimo wszystko się tam wybrałem, zobaczyłem, jak gra na perkusji, i z jakiegoś powodu ogromnie mnie to wzruszyło, ale gdy podszedłem do niej później, kiedy już pakowała sprzęt, jakby mnie unikała, nie patrzyła mi w oczy, nie chciała rozmawiać. Znałem ją od tej strony, wiedziałem, że coś ją dręczy.

Akurat niosła korytarzem stojaki do talerzy, gdy z werblem w rękach oświadczyłem, że musi mi powiedzieć, co się stało, bo widzę, że o coś chodzi, że coś jej dokucza.

- Nie miałam zamiaru ci o tym mówić. Ale powiem. Zdradziłam cię.
- Teraz? W Kristiansand?
- Tak.

Patrzyłem na nią. Ona na mnie.

Zeżłościłem się. Myśl o tym, że oddała się innemu mężczyźnie, była strasz-

na. Ale czułem też ulgę, bo wina nie leżała już tylko po mojej stronie.

Po powrocie do domu usiedliśmy u mnie w gabinecie, tak jak przed rokiem. Teraz nie byłem w szoku, bo to, co zrobiła Tonje, stanowiło przedłużenie mojego czynu, ale wydawało mi się równie straszne.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytałem. – Ja się tak schlałem, że nie miałem pojęcia, co robię. Ale ty nigdy nie tracisz kontroli. Musiałaś działać świadomie.

– Nie wiem. Chyba dlatego, że nagle odzyskałeś dobry humor. Nagle zacząłeś promienieć szczęściem. Chodziłeś przygnębiony przez cztery lata, od tamtej jesieni, kiedy umarł twój ojciec, a ty zadebiutowałeś. To był taki ciężki czas, tak mało radości. Próbowałam, naprawdę próbowałam wszystkiego. I nagle znów możesz pisać i już jesteś zadowolony! Strasznie mnie tym sprokowałaś. Poczułam, że nie mam nic wspólnego z twoim życiem. Jakbym znajdowała się zupełnie poza nim. Chyba to było kroplą, która przepełniła czarę. Pomyślałam sobie wtedy: niech to szlag trafi, no i zrobiłam to.

Zasłoniłem twarz rękami.

Popatrzyłem na nią.

– I co teraz będzie? – spytałem.

– Nie wiem.

Położyliśmy się spać, następnego dnia rano spakowałem walizkę i pojechałem do Yngvego, który przeprowadził się do Voss. Spędziłem u niego dwa dni, uważałem, że powinienem zostać z Tonje, że teraz ona i ja jesteśmy kwita. Tonje to fantastyczna dziewczyna, nie powinienem jej porzucać.

Wróciłem do Tonje pociągiem, przegadaliśmy całą noc. Postanowiłem, że wyjadę. Chciałem uciec. Wszystko pozostawiliśmy otwarte, nie zerwaliśmy ze sobą, nie podjęliśmy żadnej definitywnej decyzji, chociaż oboje wiedzieliśmy, że to już koniec. A przynajmniej ja wiedziałem.

Odprowadziła mnie na dworzec.

Objęła mnie.

Płakała.

Ja nie płakałem. Uściskałem ją tylko i powiedziałem, żeby na siebie uważała. Pocałowaliśmy się, wsiadłem do pociągu, a kiedy ruszył ze stacji, patrzyłem, jak Tonje odchodzi po peronie w stronę miasta.

Nocnym pociągiem pojechałem do Oslo, po drodze liczyło się tylko to, żeby

nie myśleć. Czytałem jedną gazetę po drugiej, czytałem powieść Iana Rankina, pierwszy kryminał od dwudziestu lat, dopóki nie poczułem się tak zmęczony, że zasnąłem, gdy tylko zamknąłem oczy. W Oslo kupiłem kolejnego Rankina, przesiadłem się w pociąg do Sztokholmu, wsiałem, zacząłem czytać.

Tak opuściłem Bergen.

Przypisy

[1] *Jack* – prawdopodobnie chodzi o debiutancką powieść szwedzkiego pisarza Ulfa Lundella, o chłopaku, który marzy o karierze pisarza i muzyka. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Agnar Mykle (1915–1994) – pisarz norweski.

[3] Bjørø Håland – piosenkarz norweski, wykonujący głównie utwory w stylu country.

[4] Jølster – wiejska gmina położona w zachodniej Norwegii, w której mieszkał i tworzył malarz Nikolai Astrup. Gra słów polega na skojarzeniu jego nazwiska z nazwą kopenhaskiego lotniska Kastrup.

[5] Dawne zabudowania stoczni Georgernes Verft to obecnie największy w Norwegii dom kultury, w którym mieszczą się rozmaite instytucje kulturalne.

[6] *Ulv* (norw.) – wilk.

[7] Jej autorem jest francuski filozof Paul Ricoeur.

[8] Tytuł oryginału: *Archaeologist of Morning*.

[9] Przeł. Stanisław Jerzy Lec.

[10] Theodor Kittelsen (1857–1914) – norweski malarz, rysownik i ilustrator.

[11] Lars Hertervig (1830–1902) – malarz norweski.

[12] Nikolai Astrup (1880–1928) – jeden z najważniejszych malarzy norwe-

skich przełomu wieków.

[13] Tytuł oryginału: *The Friends of Eddie Coyle*.

[14] Seria książek o Stompie – stworzona przez Nilsa-Reinhardta Christensena norweska adaptacja młodzieżowej serii autorstwa brytyjskiego pisarza Anthony'ego Buckeridge'a, popularna zarówno w postaci książek, jak i słuchowisk.

[15] Opowiadania Julia Cortáзара pochodzące z czterech zbiorów wydanych w latach 1951–1966.

[16] Przeł. Stanisław Jerzy Lec.

[17] Do roku 2003 studia na uniwersytetach i w innych szkołach wyższych w Norwegii odbywały się w systemie: *grunnfag* (poziom podstawowy, dwa semestry) – *mellomfag* (poziom średnio zaawansowany, dodatkowy semestr). Należało studiować minimum przez osiem semestrów, zaliczając różne *grunnfag* i *mellomfag*, aby kontynuować studia na poziomie *hovedfag* (poziom zaawansowany, dodatkowe trzy do pięciu semestrów, który kończył się egzaminem na tytuł zawodowy odpowiadający tytułowi magistra).

[18] Olav Duun (1876–1939) – pisarz norweski.

[19] *Sjølv mord i Skilpaddekafeen* (norw.) – samobójstwo w kawiarni Pod Żółwiem.

[20] Dante Alighieri, *Boska komedia*, I 3, 9, przeł. Edward Porębowicz, Warszawa 1990, s. 34.

[21] *odd* (norw.) – czubek; (ang.) – dziwny; *bent* (norw.) – prosty; (ang.) – wygięty.

[22] Mao to po norwesku również skrót od *med andre ord* (m.a.o.) – innymi słowy.

[23] W skali ocen od 1 do 6, gdzie 1 jest oceną najwyższą.

[24] Tytuł oryginału: *The Enigma of Arrival*.

[25] Tytuł oryginału: *La révolution du langage poétique*.

[26] *Svartediket* (norw.) – Czarna Grobla.

[27] Festspillene – doroczny festiwal muzyczno-teatralny w Bergen.

[28] *Klassekampen* (norw.) – walka klas.

[29] *Sakte dans ut av brennende hus* (norw.) – Powoli tańcząc, wyjdź z płonącego domu.

[30] TONO – norweska organizacja zbiorczego zarządzania prawami autorskimi, odpowiednik polskiego ZAiKS-u.

[31] Jedenastego października 1993 roku do Williama Nygaarda, ówczesnego dyrektora wydawnictwa H. Aschehoug & Co. (W. Nygaard) AS, oddano przed domem trzy strzały, został ciężko ranny. Zamach wiązano z wydaniem przez Aschehoug *Szatańskich wersetów* Salmana Rushdiego. Sprawcy zamachu nie wykryto.

[32] *Lemen* (norw.) – lemingi.

[33] Einar Førde (1943–2004) – polityk norweski, parlamentarzysta Partii Pracy.

[34] Tytuł oryginalny: *Sovende floke*.

[35] Ole Bull (1810–1880) – norweski skrzypek i kompozytor okresu romantyzmu.

[36] *Ute av verden* (norw.) – Poza światem zniknęło ze świata.

[37] Knut Faldbakken (ur. 1941) – pisarz norweski.